

**PHILIP K. DICK**

# **OKO SYBILLI**

**(Przełożyła Magdalena Gawlik)**

**SCAN-dal**

*Jak stworzyć księgę oporu, księgę prawdy w imperium fałszu lub księgę prawości w imperium wierutnych kłamstw? Jak tego dokonać, stojąc twarzą w twarz z wrogiem?*

*Nie w staroświeckim stylu, siedząc w łazience, ale w technologicznym państwie przyszłości? Czy wolność i suwerenność mają szansę na zaistnienie w nowych warunkach? To znaczy, czy nowe tyranie stłumią protesty? Czy też nastąpią nowe reakcje w duchu, jakiego nam nie sposób przewidzieć?*

*Philip K. Dick w wywiadzie udzielonym w 1974 roku  
(z „Only Apparently Real”)*

## WSTĘP

Konwencjonalna mądrość głosi, że istnieją pisarze pisarzy oraz pisarze czytelników. Ci drudzy to garstka szczęściarzy, ich książki - chyba za sprawą jakichś feromonów, których ci pierwsi nigdy nie są w stanie do końca spreparować w swoich laboratoriach - rok po roku goszczą na listach bestsellerów. Mogą oni, choć (na ogół) nie muszą, zadowolić wybredne gusty krytyków „literackich”, ale i tak nie narzekają na słabą sprzedaż swoich książek. Pisarze pisarzy otrzymują doskonałe recenzje, zwłaszcza ze strony zachwyconych kolegów po piórze, ale ich książki nie przyciągają czytelników, którzy na odległość, na podstawie samej recenzji, wyczują dzieło pisarza pisarzy. Styl prozatorski jest rzeczą wielce cenioną (prawdziwy pisarz czytelników wolałby uniknąć oskarżenia o coś równie elitarnego jak „styl”), postacie posiadają „głębnię”, przede wszystkim zaś książka jest „poważna”.

Wielu pisarzy pisarzy aspiruje do sławy i honorariów pisarzy czytelników. Zdarza się też, że pisarz czytelników pragnie zaszczytów, których nie kupią żadne pieniądze. Henry James, pisarz pisarzy *par excellence*, napisał jedną ze swoich najzabawniejszych historii, „Następny raz”, właśnie o takiej parze twórców o sprzecznych ze sobą dążeniach, a jego wnioski są całkowicie zgodne z prawdą. Pisarz „literacki” stara się, jak może, by napisać hit – dzięki czemu zyskuje kolejne laury i ani za grosz więcej czytelników. Popularny pismak bez wysiłku produkuje Dzieło Sztuki: krytycy szydzą, a książka i tak sprzedaje się jak nigdy dotąd.

Philip K. Dick był za swoich czasów pisarzem pisarzy i pisarzem czytelników, a także nie należał do żadnej z tych kategorii. Stworzył odrębną kategorię - pisarza science fiction pisarzy science fiction. Potwierdzenie tego można znaleźć na okładkach licznych wydań jego książek, na których koledzy hojnie obdarowywali go superlatywami. John Brunner nazwał go „najkonsekwentniej olśniewającym pisarzem science fiction świata”. Norman Spinrad przebija to „najwybitniejszym amerykańskim pisarzem drugiej połowy dwudziestego wieku”. Ursula Le Guin chrzczi go amerykańskim Borgesem, a na ukoronowanie wszystkiego Harlan Ellison obwieszcza, że Dick to „Pirandello” science fiction, „jej Beckett i jej Pinter”. Brian Aldiss, Michael Bishop, ja – i wielu innych - głosiliśmy równie ekstrawaganckie peany, lecz wszystkie pochwały w nieznacznym tylko stopniu wpłynęły na sprzedaż ozdabianych przez nie książek w latach, kiedy owe książki powstawały. Dick zdołał

przetrwac jako pełnoetatowy wolny strzelec jedynie dzięki swej nieprzeciętnej produktywności. Spójrzcie choćby na objętość „Opowiadań zebranych” i weźcie pod uwagę fakt, że większość jego czytelników nie uważała go za twórcę krótkich form, lecz znała go głównie jako twórcę powieści.

Według mnie warto podkreślić, że wszystkie pochwały spływały na Dicka ze strony innych pisarzy science fiction, a nie Literackich Autorytetów, ponieważ nie zaliczał się do kręgu pisarzy spoza gatunku. Nie chwali się go za wybitny styl bądź za głębię psychologiczną postaci. Proza Dicka rzadko kiedy bywa błyskotliwa, często wręcz wydaje się wprost nieporadna. Bohaterowie, nawet ci z najlepszych opowiadań, mają „głębnię” sitcomu z lat pięćdziesiątych. (Chcąc ująć to sympatyczniej, można powiedzieć, że pisarz składał hołd amerykańskiej *commedia dell'arte*). Nawet opowiadania, które wryły się w pamięć jako odstępstwa od tej reguły, po głębszej analizie wydają się bliższe Bradbury'emu i van Vogtowi niż Borgesowi i Pinterowi. Dick zadowala się narracją równie prostą - nawet prostacką jak narracja komiksu. Na dowód tego nie trzeba sięgać dalej niż do pierwszego opowiadania w tym zbiorze, „Mała czarna skrzynka”, pochodzącego z 1963 roku, kiedy przypadał szczyt jego możliwości twórczych i powstały takie klasyczne powieści jak „Człowiek z Wysokiego Zamku” i „Marsjański poślizg w czasie”. Poza tym „Skrzynka” stanowi załączek innej z jego najlepszych powieści, powstałej kilka lat później „Czy androidy śnią o elektrycznych owcach?”.

Skąd więc te pochwały? Każdemu wielbicielowi science fiction odpowiedź nasuwa się sama: Dick miał wspaniałe pomysły. Fani zniosą nieporadność stylu ze względu na prawdziwe nowatorstwo autora, tym bardziej jeśli zmorą gatunku jest nieustanne przetwarzanie starych wątków i motywów. Pomysły Dicka stworzyły odrębną kategorię na spektrum wyobraźni. Nie dla niego podbój kosmosu. U Dicka kolonizacja Układu Słonecznego jedynie przyczynia się do powstania nowych i bardziej przynębiających przedmiotów. Nie dla niego wymyślanie nowego gatunku Obcych rodem z Halloween. Był zawsze zbyt świadomy maski kryjącej twarz człowieka, by zawracać sobie głowę wyszukanym maskaradami. Czerpał swoje pomysły z otaczającego go świata, z sąsiedztwa, z gazet, sklepów i reklam telewizyjnych. Zebrane w całość, jego powieści i opowiadania tworzą jeden z najtrafniejszych i najbardziej przejrzystych obrazów kultury amerykańskiej ery Populksu i Wietnamu we współczesnej literaturze - nie z powodu bystrego rejestrowania absurdu tamtych czasów, lecz ze względu na odkrycie metafor

obnażających znaczenie naszego trybu życia. Wyniósł zwyczajność do rangi niezwykłości. Czegóż więcej możemy żądać od sztuki?

Cóż, odpowiedź jest oczywista: płynności wykonania, oszczędności środków wyrazu i innych estetycznych ozdobników. Mimo to większość pisarzy science fiction radziła sobie bez obrusa i kryształowej zastawy dopóty, dopóki mieli na talerzu soczystą metaforę. Istotnie, warsztatowe niedociągnięcia Dicka stawały się dla jego kolegów po piórze zaletami, gdyż niejednokrotnie przejmowali od niego piłkę i dopracowywali szczegóły. „The Lathe of Heaven” Ursui Le Guin to jedna z najlepszych powieści Dicka, której nie napisał. Moja „334” na pewno nie byłaby tym samym bez jego wizji Ponurej Przyszłości. Długo by wyliczać jego świadomych dłużników, a dłużników nieświadomych -jeszcze dłużej.

Umieszczony na końcu tego tomu komentarz Phila do opowiadania „Przedludzie” stanowi oczywisty przykład reakcji, jaką mógł wzbudzić u innego pisarza. W tym wypadku Joanna Russ bez ogródek zasugerowała, że powinno się go stłuc za opowieść o lęku małego chłopca przed kierowcą „ciężarówki aborcyjnej”, który jak hycel wyłapywał przedludzi (niechciane przez rodziców dzieci poniżej dwunastu lat) i zabierał je do komór gazowych ośrodków „aborcyjnych”. To natchniony przykład propagandy (według określenia Phila, „rzecznictwa”), na którą nie należy odpowiadać chęcią rękoczynów, lecz opowiadaniem o podobnej sile przesłania, nie unikającym postawienia ciekawej, choć kłopotliwej tezy: Skoro aborcja, dlaczego nie dzieciobójstwo? Na tle polaryzacji klimatu aktualnej debaty, poruszenie tej kwestii przez Dicka stanowiło swoisty *coup de théâtre*, a jednak w żadnym razie nie postawiło kropki nad „i”. Na podstawie „Przedludzi” nietrudno byłoby stworzyć powieść, która wcale nie musiałaby być traktatem antyaborcyjnym. Opowiadania Dicka często rozrastały się w powieści z chwilą, gdy weryfikował pierwotną koncepcję, powodem zaś, dla którego stał się pisarzem science fiction pisarzy science fiction, jest to, że wywierały podobny efekt na jego kolegów. Czytanie opowiadania Dicka nie przypomina „kontemplacji” dokończonego dzieła sztuki, lecz raczej angażuje w rozmowę. Cieszę się, że jestem częścią tej ciągłej debaty.

*Thomas M. Disch*  
*październik 1986*

## (NIE) SZCZĘŚLIWA LOTERIA

Bob Turk toczył właśnie pięćdziesięciogalonowy zbiornik z wodą na swoją hodowlę ziemniaków, kiedy na odgłos przeraźliwego huku podniósł głowę i na przymglonym marsjańskim niebie ujrzał statek. W podnieceniu pomachał ręką. Następnie odczytał napis wymalowany na boku statku i jego radość nieco przygasła. Wielki, powgniatany kadłub, który właśnie zniżał się w kierunku lotniska był, statkiem cyrkowym i przyleciał na czwartą planetę w interesach. Napis głosił:

PRZESIĘBIORSTWO ROZRYWKOWE SPADAJĄCA GWIAZDA

PRZEDSTAWIA:

WYBRYKI NATURY, SZTUCZKI MAGICZNE, WYCZYNY

KASKADERSKIE ORAZ KOBIETY!

Ostatnie słowo wymalowano największymi literami.

Lepiej powiadomię radę osady, pomyślał Turk. Porzuciwszy zbiornik z wodą, potruchtał do dzielnicy handlowej, z trudem wdychając rozrzedzone powietrze nienaturalnego, kolonizowanego świata. Ostatnia wizyta jarmarku pozbawiła ich większości plonów - które posłużyły jako forma zapłaty artystom - nie pozostawiając w zamian nic prócz sterty bezużytecznych gipsowych figurek. To nie może się powtórzyć. Chociaż...

Czuł w sobie niezaspokojoną potrzebę rozrywki. Dotyczyło to również pozostałych mieszkańców osady; wszyscy domagali się urozmaicenia. Rzecz jasna artyści zdawali sobie z tego sprawę, na tym żerowali. Obyśmy tylko nie stracili głowy, pomyślał Turk. Wymienili nadmiar żywności i włókien, nie to, co jest nam potrzebne... upodabniając się do gromady dzieci. Lecz życie w kolonii było monotonne. Wożenie wody, zwalczanie robactwa, łatanie ogrodzeń, wieczne dłubanie przy na wpół autonomicznej maszynierii rolniczej, która podtrzymywała ich egzystencję... to nie wystarczało, było pozbawione - kultury. I krzty uroczystego nastroju.

- Hej! - zawołał Turk, docierając do ziemi Vince'a Guesta. Vince siedział na swojej jednocyldrowej orce z kluczem maszynowym w dłoni. - Słyszysz ten hałas?

Jarmark! Zaczną się przedstawienia, tak jak w zeszłym roku, pamiętasz?

- Pamiętam - odparł Vince, nie podnosząc głowy. - Zabrali mi cały zapas dyń. Do diabła z wędrownymi artystami. - Jego twarz pociemniała.

- To nie ci sami - wyjaśnił Turk, stając przed nim. - Nigdy wcześniej ich nie widziałem, mają niebieski statek, który wygląda, jakby zwiedził już kawał świata. Wiesz, co zrobimy? Pamiętasz nasz plan?

- Też mi plan - odburknął Vince, zwalniając zacisk klucza.

- Talent to talent - paplał Turk, usiłując przekonać nie tyle Vince'a, ile siebie. Jego słowa przeczyły temu, co czuł. - No dobrze, Fred jest nieco stuknięty, ale ma talent. Chcę przez to powiedzieć, że testowaliśmy go miliony razy i sam nie wiem, dlaczego nie przyszło nam do głowy, aby wykorzystać go przeciwko jarmarkowi w zeszłym roku. Teraz jednak jesteśmy zorganizowani. Gotowi.

- Wiesz, co zrobi ten głupi dzieciak? - zapytał Vince, podnosząc głowę. - Przyłączy się do cyrku, odjedzie z nim i będzie używał swoich umiejętności na korzyść tamtych. Nie możemy mu ufać.

- Ja mu ufam - skwitował Turk i pobiegł w kierunku widniejącego na przeciw skupiska zakurzonych, zniszczonych budynków osady. Z daleka widział przewodniczącego rady, Hoaglanda Rae, krzątającego się przy swoim sklepie. Hoagland wypożyczał mieszkańcom różnego rodzaju sprzęt i wszyscy byli od niego zależni. Bez przyrzędów Hoaglanda nie strzyżono by owiec ani nie wykonywano innych prac przy gospodarstwie. Nic dziwnego, że Hoagland stał się ich politycznym - i ekonomicznym - przywódcą.

Hoagland wyszedł na ubity dziedziniec i przysłonił ręką oczy. Otarłszy złożoną chustką pot z mokrego czoła, powitał Boba Turka.

- Tym razem inni? - zapytał zniżonym głosem.

- Tak - odparł z bijącym sercem Turk. - Damy im radę, Hoag! Jeśli tylko rozegramy to właściwie, to znaczy, kiedy Fred...

- Nabiorą podejrzeń - odparł z namysłem Hoagland. - Nie wątpię, że inne osady też próbowały wziąć ich podstępem. Mogą mieć u siebie któregoś z tych, jak ich zważ, antypsionicznych. Fred jest psi, a jeśli tamci mają antypsi...

- Powiem rodzicom Freda, żeby odebrali go ze szkoły - przerwał Bob Turk. - Natychmiastowe pojawienie się dzieci nie wzbudzi niczyjzego zdziwienia. Zamknijmy na to popołudnie szkołę, niech Fred wmiesza się w tłum, rozumiesz, o co chodzi? On

nie wygląda dziwnie, takie jest przynajmniej moje zdanie. - Zarechotał.

- To prawda - odrzekł z godnością Hoagland. - Chłopak Costnerów wydaje się całkiem normalny. Tak, spróbujemy, zresztą tak właśnie głosowaliśmy, jesteśmy do tego zobowiązani. Idź uderz w dzwon, niech tam ci wiedzą, że mamy co dać w zamian. Chcę tu zobaczyć stertę ułożoną ze wszystkich jabłek, orzechów, główek kapusty i dyń. - Pokazał palcem miejsce. - I za godzinę mam trzymać w ręku spis rzeczy, razem z trzema kopiami. - Hoagland wyjął cygaro i przypalił je zapalniczką. - Do roboty.

Bob Turk posłusznie rzucił się do wykonywania poleceń.

Kiedy wędrowali przez południowe pastwisko wśród owiec o czarnych pyskach przeżuwiających twardą, suchą trawę, Tony Costner zwrócił się do syna.

- Myślisz, że dasz radę, Fred? Jeśli nie, powiedz. Nikt cię do niczego nie zmusza.

Gadanie, pomyślał Fred. W oddali widział rozstawiony przed statkiem jarmark. Kramiki, jaskrawe chorągwie i tańczące na wietrze metalowe proporce... i płynące z głośników nagrania - a może instrumenty były autentyczne?

- Jasne - mruknął. - Dam sobie z nimi radę, ćwiczyłem od czasu, kiedy pan Rae dał mi znać. - Na potwierdzenie swych słów sprawił, że leżący na wprost niego kamień poderwał się w górę i zatoczywszy w powietrzu szeroki łuk, z ogromną prędkością poleciał w ich kierunku, by zaraz z powrotem opaść na brunatną, podeschlą trawę. Owce zmierzyły go obojętnymi spojrzeniami i Fred wybuchnął śmiechem.

Niewielka grupa mieszkańców osady, w tym dzieci, rozproszyła się między straganami. Chłopiec zauważył, że maszyna ze słodyczami pracowała pełną parą, poczuł zapach prażonej kukurydzy i z zachwytem dostrzegł pęk wypełnionych helem balonów niesionych przez wymalowanego na kolorowo karła w przebraniu włóczęgi.

- Musisz szukać konkurencji z naprawdę cennymi nagrodami, Fred przypomniał mu szeptem ojciec.

- Wiem - odparł, przystępując do sondowania straganów. Nie potrzebujemy lalek, stwierdził w duchu. Ani skrzynek ze słoną wodą.

Gdzieś na jarmarku krył się prawdziwy łup. Mógł to być albo jedno ręki bandyta, albo wirujące koło, albo stół do gry w bingo. Na pewno tam się znajdował. Fred wyczuwał jego obecność. Przyspieszył kroku.



- Hm, może zostawię cię samego, Freddy - rzucił słabym, napiętym głosem jego ojciec. Wzrok Tony'ego padł na jedną z estrad z dziewczęta mi. Mężczyzna łakomie utkwiał w niej spojrzenie. Jedna z dziewcząt była już - nagły łoskot ciężarówki sprawił, że Fred Costner odwrócił się, zapominając o sterczących piersiach rozebranej dziewczyny. Ciężarówka przy wiozła towar, za który mieszkańcy mieli otrzymać bilety.

Chłopiec ruszył w jej stronę, zastanawiając się, ile tym razem Hoagland Rae uznał za stosowne poświęcić, mając świeżo w pamięci poprzednie dotkliwe naruszenie zapasów. Było tego sporo i Fred poczuł przyływ dumy: osada pokładała ogromną wiarę w jego możliwości.

Naraz nieomylnie poczuł w nozdrzach fetor psi.

Emanował z budki stojącej po prawej stronie i chłopiec natychmiast obejrzał się w tamtym kierunku. Oto czego tak usilnie strzegli wędrowni kuglarze, jedyna gra, gdzie nie mogli sobie pozwolić na przegraną. Zwrócił uwagę, że za przynętę służył jeden z wybryków natury. Był pozbawiony głowy i urzeczony Fred wlepił w niego wzrok.

Wszystkie organy zmysłów bezgłowego, jego oczy, nos oraz uszy, jeszcze w łonie matki przeniosły się na inne części ciała. Usta na przykład ziały na środku klatki piersiowej, z ramion zaś połyskiwały białka oczu. Bezgłowy był wprawdzie zdeformowany, ale nie ułomny i Fred z miejsca obdarzył go wielkim szacunkiem. Bezgłowy mógł widzieć, słyszeć i wy czuwać zapachy na równi z innymi. Na czym jednak polegał jego udział w grze?

Bezgłowy siedział w koszu zawieszonym nad kadzią pełną wody. Tuż za nim Fred Costner ujrzał tarczę oraz kilka piłek w zasięgu ręki i pojął reguły zabawy: kiedy piłka trafiała w tarczę, bezgłowy wpadał do kadzi. Uruchomienie zdolności psionicznych służyło temu, by upadek nie doszedł do skutku. Smród był nie do zniesienia. Chłopiec jednak nie potrafił określić, skąd pochodził, czy od strony bezgłowego, czy operatora budki, czy też oso by trzeciej, jak dotąd niewidocznej.

Operatorem była młoda, chuda kobieta ubrana w spodnie, sweter i tenisówki. Wyciągnęła piłkę w stronę Freda.

- Gotowy do gry, kapitanie? - zapytała z szyderczym uśmiechem, który jasno świadczył o tym, że możliwość wygranej nie wchodziła w rachubę.

- Myślę - odparł Fred. Odczytywał listę nagród.

Bezgłowy zachichotał i usta na jego klatce piersiowej powiedziały:

- On myśli, a to dobre. - Roześmiał się ponownie i Fred poczerwieniał. Nadszedł jego ojciec.

- Chcesz zagrać? - zapytał. Pojawił się Hoagland Rae. Mężczyźni stanęli obok chłopca i wszyscy trzej studiowali listę nagród. Co to miało być? Lalki, pomyślał Fred. Tak przynajmniej wyglądały. Niewielkie kształty przypuszczalnie płci męskiej stały rządkiem na półce po lewej ręce operatorki. Za nic nie potrafił zgłębić przyczyn, dla których kuglarze tak czujnie ich strzegli, według niego nie przedstawiały najmniejszej wartości. Pod szedł bliżej i wyteżył wzrok...

Prowadząc go na stronę, Hoagland Rae powiedział ze zmartwieniem:

- Nawet jeśli wygramy, Fred, co dostaniemy w zamian? Nic użytecznego, tylko te plastikowe figurki. Nie możemy ich nawet wymienić z innymi osadami. - Nie krył rozczarowania, kąski jego ust opadły.

- Nie sądzę, by były tym, czym się wydają - odrzekł Fred. - Ale tak naprawdę to nie wiem, czym właściwie są. Proszę pozwolić mi spróbować, panie Rae. Wiem, że to właśnie ta gra. - Czuł, że kuglarze podzielali jego opinię.

- Jak chcesz - odparł sceptycznie Hoagland Rae. Wymieniwszy spojrzenia z ojcem Freda, zachęcająco huknął chłopca w plecy. - Idziemy - rzucił. - Postaraj się, chłopie. - Całą grupą, do której w tym czasie dołączył Bob Turk, skierowali się z powrotem w stronę budki, gdzie siedział bezgłowy o roziskrzonym spojrzeniu oczu umieszczonych w ramionach.

- Namyśliliście się? - zapytała chuda dziewczyna o kamiennej twarzy, podrzucając piłkę.

- Proszę. - Hoagland wręczył Fredowi kopertę. Były w niej bilety uzyskane w zamian za dostarczony przez mieszkańców towar. Wszystkie, które mieli.

- Spróbuję - powiedział do chudej Fred i podał jej bilet. Dziewczyna odsłoniła w uśmiechu drobne, ostre zęby.

- Wrzuć mnie do kadzi! - zawołał bezgłowy. - Zamocz mnie i wygraj cenną nagrodę! -I wybuchnął radosnym śmiechem.

Tej nocy, Hoagland Rae siedział w swoim warsztacie za sklepem i z jubilerską soczewką na prawym oku oglądał jedną z figurek wygranych przez syna Tony'ego Costnera na jarmarku Przedsiębiorstwa Rozrywkowego Spadająca Gwiazda.

Piętnaście figurek siedziało rzędem oparte o ścianę warsztatu. Małymi szczypcami Hoagland otworzył tylną część „lalki” i zobaczył ukryte w środku

przewody.

- Chłopak miał rację - powiedział do Boba Turka, który stał za nim, w podnieceniu zaciągając się syntetycznym papierosem. - To nie jest zwykła lalka, wyposażyli ją jak należy. Być może skradziono ją ONZ, może to nawet mikrorobot. No wiesz, jeden z tych zautomatyzowanych mechanizmów przeznaczonych do wykonywania miliona zadań, od szpiegostwa do operacji chirurgicznych na weteranach. - Ostrożnie otworzył przód figurki.

Widniało tam więcej kabli oraz miniaturowych części, których kształt nawet pod lupą pozostawał niewyraźny. Dał za wygraną, bądź co bądź je go umiejętności ograniczały się do naprawy urządzeń rolniczych i tym podobnych. To, co zobaczył, przerastało jego wyobraźnię. Ponownie zastano wił się nad przydatnością mikrorobotów dla społeczności lokalnej. Czy powinni odsprzedać je ONZ? Tymczasem jarmark spakował manatki i odjechał. Nie ma sposobu, aby dowiedzieć się, do czego służą figurki.

- Może ona chodzi i mówi - podsunął Turk.

Hoagland obejrzał figurkę w poszukiwaniu włącznika; na próżno. Może reaguje na rozkaz, przyszło mu do głowy.

- Maszeruj - rozkazał. Figurka pozostała nieruchoma. - Myślę, że coś tu mamy - powiedział do Turka. - Ale... - Machnął ręką. - To trochę po trwa, musimy być cierpliwi. - A gdyby tak zawieźli jedną z nich do M Ci ty, gdzie mieszkali wykwalifikowani inżynierowie, eksperci od elektroniki i różnego rodzaju mechanicy... chciał jednak załatwić to na własną rękę, nie ufał mieszkańcom jedynej aglomeracji na planecie kolonialnej.

- Ci kuglarze byli mocno niezadowoleni, kiedy tak ciągle wygrywał wtrącił ze śmiechem Bob Turk. - Fred mówił, że przez cały czas usiłowali wpłynąć na niego za pomocą swoich zdolności psi i bardzo dziwiło ich...

- Siedź cicho - polecił Hoagland. Natrafił na źródło zasilania figurki; teraz pozostawało mu jedynie prześledzić obwód w poszukiwaniu szczeliny. Eliminując ją, może zdoła uruchomić mechanizm; było to - czy też raczej wydawało się - nad wyraz proste.

Niebawem znalazł przerwę w obwodzie. Mikroskopijny włącznik pod postacią klamry od paska... triumfując, Hoagland zacisnął go małymi szczypcami, po czym postawił figurkę na stole i czekał.

Figurka drgnęła. Sięgnęła do wiszącej u boku sakiewki i wyjęła z niej

miniaturową rurkę, którą wycelowała w Hoaglanda.

- Zaraz, zaraz - zaprotestował słabo Hoagland. Turk za jego plecami zipnął i dał nurka w poszukiwaniu schronienia. Coś uderzyło go w twarz, raniony światłem poleciał do tyłu. Zamknął oczy i krzyknął ze strachu. Atakują nas! - wrzasnął, nie słysząc własnego głosu; nie docierał doń żaden dźwięk. Nadaremnie krzyczał w ciemności pozbawionej kresu. Po omacku błagalnie wyciągnął rękę...

Pielęgniarka pochylała się nad nimi, podtykając mu pod nos butelkę z amoniakiem. Chrzękając, podniósł głowę i otworzył oczy. Leżał w swoim warsztacie otoczony wianuszkami zaafierowanych dorosłych mieszkańców osady, spośród których wychylał się Bob Turk.

- Uważajcie - wyszeptał z trudem Hoagland. - Te lalki, czy Bóg wie co, zaatakowały nas. - Wykręcił się, usiłując dojrzeć rząd figurek, które własnoręcznie ustawił pod ścianą. - Przedwcześnie uruchomiłem jedną z nich - wymamrotał. - Połączyłem kable obwodu, teraz już wiemy. - Na raz gwałtownie zamrugał powiekami.

Lalki znikły.

- Pobiegłem po pannę Beason - wyjaśnił Bob Turk. - Kiedy wróciłem, już ich nie było. Przykro mi. - Spoglądał przepraszająco, jakby sam ponosił za to winę. - Byłeś ranny, martwiłem się, że możesz umrzeć.

- Nic się nie stało - odrzekł Hoagland, wstając z podłogi. Bolała go głowa i czuł mdłości. - Dobrze zrobiłeś. Lepiej sprowadźmy tu chłopaka Costnerów, niech powie, co o tym myśli. Cóż, daliśmy się podejść - dodał. - Drugi rok z rzędu. Tym razem jednak sytuacja przybrała znacznie gorszy obrót. - Tym razem, dorzucił w myślach, wygraliśmy. Zeszłoroczna porażka nie sprawiła nam tyle kłopotu.

Miał przeczucie, że czeka ich ciąg dalszy.

Cztery dni później, kiedy Tony Costner pielł swój warzywnik, jego uwagę zwrócił szelest w ziemi. Zamarł i ostrożnie sięgnął po widły, my śląc, to nornica, podgryza korzenie. Uniósł widły i kierowany następnym szelestem z całej siły wbił je w sypką, piaszczystą ziemię.

Spod powierzchni dobiegł przeraźliwy pisk bólu i przerażenia. Tony Costner chwycił szpadel i rozkopał ziemię. Zgodnie ze swoimi przewidywaniami, w odsłoniętym tunelu ujrzał rozedrgane futerko konającej marsjańskiej nornicy o szklitych oczach i odsłoniętych zębach.

Miłosiernie skrócił jej cierpienia. Następnie pochylił się nad zwierzęciem. Jego uwagę zwrócił błysk metalu.

Nornica miała na sobie uprząż.

Naturalnie sztuczną, zgrabnie dopasowaną do tłustego karku zwierzęcia. Od uprzęży odchodziły prawie niewidoczne druty grubości włosa i ginęły pod skórą nornicy na wysokości przedniej części czaszki.

- Chryste - powiedział Tony Costner, podnosząc nornicę i bezradnie zastanawiając się, co robić. Natychmiast domyślił się związku z jarmarcznymi lalkami; to na pewno ich sprawka. Tak jak powiedział Hoagland, osadzie groziło niebezpieczeństwo.

Zachodził w głowę, co zrobiłaby nornica, gdyby jej nie zabił.

Zwierzę coś knuło. Drażyło tunel - w kierunku jego domu!

Jakiś czas później siedział w warsztacie Hoaglanda Rae. Rae ostrożnie utworzył uprząż i zbadał jej wnętrze.

- Przekątnik - oznajmił, dysząc hałaśliwie, jak gdyby nastąpił nawrót astmy nękającej go w dzieciństwie. - O niewielkim zasięgu, może pół mi li. Kierował nornica, może informował o jej położeniu i tym, co w danej chwili robiła. Elektrody prowadzące do mózgu prawdopodobnie łączą się z ośrodkami przyjemności i bólu. - Popatrzył na Tony'ego Costnera. Chciałbyś mieć na sobie taką uprząż?

- Nigdy w życiu - odrzekł Tony, drżąc na całym ciele. Zaprzagnął i raptem znaleźć się z powrotem na Terze, mimo że była przeludniona; tęsknił za tłumem, za zapachem i odgłosami licznej gromady ludności sunącej chodnikami wśród światła. W przeblasku świadomości zrozumiał, że tak naprawdę nigdy nie podobało mu się na Marsie. Zbyt tu pusto i samotnie, pomyślał. Popelniłem błąd. To moja żona; ona nakłoniła mnie do przyjazdu.

Trochę za późno, aby to roztrząsać.

- Tak sobie myślę - rzucił grobowym tonem Hoagland - że powinniśmy powiadomić żandarmerię wojskową ONZ. - Szurając nogami podszedł do telefonu, zakręcił korbką, po czym wykręcił numer awaryjny. - Nie mogą wziąć na siebie całej odpowiedzialności, Costner - rzucił na wpół przepraszać, na wpół ze złością. - Nie dam rady.

- To również i moja wina - powiedział Tony. - Kiedy zobaczyłem dziewczynę, nie miała na sobie górnej części ubrania i...

- Regionalna komenda policji ONZ - oznajmił telefon, na tyle głośno, że Tony

Costner usłyszał.

- Mamy kłopoty - powiedział Hoagland. I wyjaśnił przebieg wydarzeń związanych z Przedsiębiorstwem Rozrywkowym Spadająca Gwiazda. Mówiąc, wycierał chustką spoczone czoło. Postarzał się i wyglądał na kogoś, kto bardzo potrzebuje odpoczynku.

Godzinę później pośrodku jedynej ulicy osady wylądował statek policyjny. Wszedł z niego umundurowany oficer Organizacji Narodów Zjednoczonych z teczką. Rozejrzał się po oblanej żółtym blaskiem zachodzące go słońca ulicy, po czym skierował spojrzenie na tłum z Hoaglandem Rae stojącym oficjalnie na czele.

- Generał Mozart? - zapytał niepewnie Hoagland, wyciągając rękę.

- Zgadza się - odparł przysadzisty oficer, podając rękę przywódcy. Czy mogę zobaczyć dowód? - Jego zachowanie wskazywało na pewną po gardę dla zgromadzonej gawiedzi; Hoagland odczuł ją dotkliwie, co jeszcze bardziej wzmogło jego frustrację i poczucie klęski.

- Oczywiście, generale. - Hoagland wskazał drogę do warsztatu położonego na zapleczu sklepu.

Generał Mozart dokonał oględzin martwej nornicy wraz z jej elektrodami i uprzężą.

- Prawdopodobnie wygraliście coś, czego nie chcieli oddać, panie Rae. Ich ostatecznym bądź też raczej faktycznym celem nie była wasza osada. Ponownie jego źle skrywany niesmak dał o sobie znać; któż zawracałby sobie głowę taką miejscina? - Pewnie mają na oku Ziemię oraz inne bardziej zaludnione tereny. Tak czy inaczej, wasze użycie sił psi przy rzucaniu piłką... - Urwał, spoglądając na zegarek. - Według mnie powinniśmy potraktować arsenowodorem okoliczne pola, pan i pańscy ludzie będziecie mu sieli przystąpić do ewakuacji, najlepiej jeszcze dziś wieczorem. Załatwimy wam transport. Czy mógłbym skorzystać z telefonu? Proszę zebrać ludzi... zaraz kogoś tu przyślą. - Obdarzywszy Hoaglanda roztargnionym uśmiechem, podszedł do telefonu, aby zadzwonić do biura w M City.

- Zwierzęta pojedą z nami? - zapytał Rae. - Nie możemy ich poświęcić. - Zastanawiał się, jak mają załadować w środku nocy wszystkie owce, psy i bydło do ONZ-owskiego transportowca. Co za bałagan, pomyślał.

- Oczywiście zwierzęta też - zapewnił go z niechęcią generał Mozart, jak gdyby miał Rae za idiotę.

Trzeci wół wprowadzany do ładowni miał na sobie uprząż. Na jej widok stojący u wejścia policjant bez wahania zastrzelił zwierzę i przywoławszy Hoaglanda, kazał mu uprzątnąć zwłoki.

Hoagland Rae przykucnął przy zabitym wołu i zbadał uprząż wraz z biegnącymi od niej drutami. Podobnie jak w przypadku nornicy, uprząż wiązała za pomocą delikatnych łączy mózg zwierzęcia z niezidentyfikowanym organizmem żywym, który zainstalował aparat i przebywał w odległości nie większej niż mila od osady. Na czym polegało zadanie zwierzęcia, myślał, odłączając uprząż. Czy miał ubóść kogoś z nas? Albo - służył jako przenośny podsłuch. Raczej to drugie; ukryty wewnątrz uprzęży przekaźnik emitował wyraźny szum. Nieustannie włączony, przechwytywał wszelkie odgłosy. Wobec tego wiedzą, że ściągnęliśmy wojsko, uświadomił sobie. I że odkryliśmy dwa przekaźniki.

Miał przecucie, że to oznaczało upadek osady. Okoliczne tereny wkrótce staną się polem bitwy między wojskami ONZ i... czymkolwiek by li tamci. Przedsiębiorstwem Rozrywkowym Spadająca Gwiazda. Zastana wiał się, skąd przybyli. Na pewno spoza Układu Słonecznego.

Na chwilę przykucnął obok niego pałka - ubrany na czarno oficer tajnej policji.

- Głowa do góry - powiedział. - Teraz już się nie wywiną, do tej pory nie mogliśmy im udowodnić wrogich zamiarów. Dzięki wam nigdy nie dotrą do Terry. Dostaniecie ochronę; proszę się nie poddawać. - Uśmiechnął się do Hoaglanda, po czym oddalił się pospiesznie w kierunku zaparkowanego w ciemnościach czołgu.

Jasne, pomyślał Hoagland. Zrobiliśmy władzom przysługę. Odwdzięczą się, ściągając nam na głowę liczne oddziały.

Ogarnęło go przecucie, że osada nigdy już nie będzie taka jak dawniej, bez względu na starania władz. Chodzi o to, że mimo wysiłków mieszkańcy nie uporali się z problemem i zmuszeni byli wezwać pomoc z zewnątrz. W postaci dzielnych chłopaków w mundurach.

Tony Costner pomógł mu przy martwym wołu. Wspólnymi siłami odciągnęli go na bok, zdyszani zmaganiem z jeszcze ciepłym ciałem.

- Czuję się za to odpowiedzialny - wyznał Tony, gdy położyli wołu na ziemi.

- Niepotrzebnie. - Hoagland potrząsnął głową. - I pociesz swojego chłopaka.

- Nie widziałem Freda od czasu, gdy wynikła sprawa z nornicą - po wiedział markotnie Tony. - Wyszedł mocno poruszony. Pewnie policja go znajdzie, przetrząsa

okolice, zwołując wszystkich. - Powoli cedził słowa, jakby nic do niego nie docierało. - Jeden z policjantów powiedział mi, że do rana możemy wrócić. Arsenowódor zajmie się wszystkim. Myślisz, że wcześniej spotkali się z czymś takim? Nic nie mówią, a jednocześnie zachowują się tak profesjonalnie. Wydają się bardzo pewni tego, co robią.

- Kto ich tam wie - skwitował Hoagland. Zapalił oryginalne ziemskie cygaro Optimo i pogрузzył się w milczeniu, obserwując załadunek owiec. Kto by pomyślał, że legendarny, klasyczny najazd na Ziemię przybierze taką formę, stwierdził w duchu, i że weźmie początek w naszej małej osadzie. A to wszystko z powodu nieco ponad tuzina małych, okablowanych figurek, które z takim trudem wygraliśmy na jarmarku Przedsiębiorstwa Rozrywkowego Spadająca Gwiazda. Tak jak powiedział generał Mozart, najeźdźcy nawet nie chcieli ich oddać. Co za ironia.

- Chyba zdajecie sobie sprawę, że posłużymy im za kozły ofiarne rzucił szepem Bob Turk, podchodząc bliżej. - To jasne. Arsenowódor wytruje wszystkie nornice i szczury, ale nie zaszkodzi mikrorobotom, które nie oddychają. ONZ zostawi tu wojsko na całe tygodnie, może nawet miesiące. Atak gazowy to dopiero początek. - Spojrzał oskarżycielsko na Tony'ego Costnera. - Gdyby twój dzieciak...

- Dobrze już dobrze - przerwał mu ostro Hoagland. - Wystarczy.

Gdybym nie rozebrał pierwszej lalki i nie zamknął obwodu... równie dobrze możesz zwalić winę na mnie, Turk, z przyjemnością złożę rezygnację. Możesz sobie rządzić beze mnie.

Z megafonu na baterie huknął potężny głos:

- Wszystkie osoby w zasięgu mojego głosu mają przygotować się do natychmiastowego wejścia na pokład! O czternastej teren zostanie skażony trującym gazem. Powtarzam... - Informacja zabrzmiała ponownie, podczas gdy głośniki obróciły się najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Głos rozniósł się w ciemnościach donośnym echem.

Potykając się, zdyszany Fred Costner szedł przez obcy sobie nierówny teren. Nie zwracał najmniejszej uwagi na to, gdzie się znajduje, ani też na to, dokąd zmierza. Chciał jedynie uciec jak najdalej. Przyczynił się do zniszczenia osady i wszyscy, począwszy od Hoaglanda Rae, o tym wiedzie li. To przez niego...

W oddali, za jego plecami zabrzmiała zwiłokrotniona głośnikiem wiadomość:

- Wszystkie osoby, które mnie słyszą, mają przygotować się do



natychmiastowego wejścia na pokład! O czternastej teren zostanie skażony trującym gazem. Powtarzam, wszystkie osoby, które mnie słyszą... - I wiadomość płynęła dalej. Fred pędził przed siebie, usiłując uciec od huczące go brzmienia głosu.

Noc pachniała pajakami i suchym zielskiem; chłopiec wyczuwał pustkę otaczającego go krajobrazu. Wydostał się poza teren uprawny, minął pola należące do osady i wstąpił na grunt, gdzie nie istniały ani ogrodzenia, ani nawet kołki miernicze. Mimo to skażenie obejmie na pewno i te rejony. Statki ONZ będą krążyć tam i z powrotem, rozpylając arsenowodór, a potem wejdą tu specjalne siły wojskowe w maskach i z miotaczami ognia oraz wykrywaczami metalu zaczną przetrząsać okolicę, chcąc wykurzyć piętnaście mikrorobotów, które schroniły się w podziemnych tunelach gryzoni. Tam gdzie ich miejsce, pomyślał Fred Costner. I pomyśleć, że sprowadziłem je do osady. Sądziłem, że skoro kuglarze chcieli je zatrzymać, muszą być cenne.

Zastanawiał się, czy istnieje sposób, aby odwrócić to, co narozrabiał. Odnaleźć piętnaście mikrorobotów wraz z tym aktywnym, który prawie za bił Hoaglanda Rae? Myśl była tak niedorzeczna, że nie mógł powstrzymać śmiechu. Nawet gdyby natrafił na ich kryjówkę - zakładając, że wszystkie ukryły się w jednym miejscu - w jaki niby sposób miałby je zniszczyć? Zwłaszcza że były uzbrojone. Hoagland Rae ledwie uszedł z życiem, a miał do czynienia tylko z jednym z nich.

Na wprost niego zajaśniało światło.

W ciemności nie był w stanie odróżnić zarysów, które poruszały się na jego krawędzi. Przystanął i czekał, próbując odzyskać orientację. Ludzie chodzili tam i z powrotem, słyszał przytłumione głosy kobiet i mężczyzn. I szum pracujących maszyn. Przecież ONZ nie wysyłałaby kobiet, stwierdził. Widoczni naprzeciw niego ludzie nie należeli do organizacji.

Fragment nieba, gwiazdy i smuga nocnej mgły zostały wyparte przez zarys dużego nieruchomego obiektu.

Mógł to być gotowy do odlotu statek. Kształt zdawał się odpowiadać przypuszczeniom chłopca.

Usiadł, drząc pod wpływem chłodu marsjańskiej nocy, i wyteżył wzrok, próbując ustalić przyczynę wzmożonej aktywności obserwowanych. Czyżby kuglarze powrócili? Czyżby statek należał do Przedsiębiorstwa Rozrywkowego Spadająca Gwiazda? Dziwne, pomyślał. Czyżby w środku nocy, na pustkowiu pomiędzy

osadami wznoszono tancbudy i namioty, rozwieszano sztandary i ustawiano estrady dla dziewcząt i dziwołagów? Próżny manifest jarmarcznego trybu życia, którego nikt nie był w stanie docenić. Oprócz - zrzędzeniem losu - niego. Nie mógł wyobrazić sobie nic gorszego. Zobaczył już wszystko, co chciał, i miał tego powyżej uszu.

Coś nadepnęło mu na nogę.

Za pomocą swoich psychokinetycznych zdolności unieruchomił to i przyciągnął. Macał rękami w ciemności dopóty, dopóki nie zacisnął palców na twardym, ruchliwym kształcie. Podniósł go do góry i z przerażeniem ujrzał jednego z mikrorobotów; stworzenie desperacko usiłowało się wyrwać, on jednak przytrzymał je instynktownie. Mikrorobot podążał w stronę statku, stąd chłopcu przysłała do głowy myśl, że może kuglarze zwołują wszystkie figurki. Tak aby ONZ nie natrafiła na ich ślad. Ucieka ją, kuglarze zaś przystąpią do realizacji dalszej części swoich planów.

- Proszę postaw go - odezwał się naraz spokojny, kobiecy głos. Chce iść.

Podskoczył jak oparzony i czym prędzej wypuścił mikrorobot, który oddalił się w te pędy, szeleszcząc wśród zielska. Na wprost Freda stała chuda dziewczyna w spodniach i swetrze, z latarką w dłoni i pogodnie patrzyła mu w twarz. Krąg światła wydobył z mroku jej ostre rysy, bladą skórę i wyraziste oczy.

- Cześć - zająknął się Fred. Przybrał pozycję obronną i odwzajemnił jej spojrzenie. Była nieco wyższa niż on, trochę jej się bał. Nie roztaczała wokół siebie odoru psi, toteż stwierdził, że to nie jej zdolności próbowały pokrzyżować mu plany podczas gry. Dzięki temu miał nad nią przewagę, o której zapewne nie wiedziała.

- Lepiej stąd odejść - poradził. - Słyszałaś głośnik? Mają zamiar skazić okolicę.

- Słyszałam. - Dziewczyna wciąż mierzyła go wzrokiem. - To ty jesteś naszym wielkim zwycięzcą, prawda, synku? Wytrawnym graczem, który zamoczył bezgłowego szesnaście razy z rzędu. - Roześmiała się wesoło. - Simon był wściekły, nabawił się kataru i strasznie ma ci to za złe. Mam nadzieję, że nie wejdiesz mu w drogę.

- Nie mów do mnie „synku” - powiedział. Strach powoli zaczął go opuszczać.

- Douglas, nasz psi, mówi, że jesteś dobry. Za każdym razem kładłeś go na łopatki, moje gratulacje. I co, cieszysz się z wygranej? - Znów roześmiała się cicho; w słabym świetle latarki zalśniły drobne, ostre zęby. - Czy uzyskałeś równowartość ceny za bilet?

- Ten wasz psi jest do kitu - oznajmił Fred. - Nie miałem z nim żadnego

problemu, a przecież brakuje mi doświadczenia. Moglibyście się bardziej postarać.

- Może z twoją pomocą? Chcesz się do nas przyłączyć? Czy to ma być propozycja, chłopczyku?

- Nie! - zaproponował wzburzony.

- W ścianie warsztatu pana Raego był szczur - powiedziała dziewczyna. - Miał na sobie przekaźnik, dlatego od razu dowiedzieliśmy się o waszym telefonie do ONZ. Stąd mieliśmy dużo czasu, by odzyskać nasze... Urwała. - Nasz towar. Jeżeliby nam na tym zależało. Nikt nie chciał waszej krzywdy, to nie nasza wina, że wścibski Rae wpakował śrubokręt nie tam, gdzie trzeba. No nie?

- Przedwcześnie rozpoczął cykl. Prędzej czy później to i tak miałyby miejsce. - Nie dopuszczał do siebie innej możliwości. Wiedział, że racja tkwi po stronie osady. - Zebranie mikrorobotów nic wam nie da, bo ONZ wie i...

- Zebranie? - Dziewczyna popatrzyła na niego z rozbawieniem. Wcale nie mamy zamiaru zebrać wygranych przez was, biedaki, mikrorobotów. Musimy działać dalej, sami nas do tego zmusiliście. Statek wyladowuje pozostałą część. - Wskazała kierunek latarką i przez ułamek sekundy dostrzegł uciekającą horde mikrorobotów, które rozlażyły się po okolicy w poszukiwaniu schronienia.

Przymknął oczy i jęknął.

- Czy nadal jesteś pewny - powiedziała przymilnie dziewczyna - że nie chcesz udać się z nami? Zapewniłoby ci to bezpieczną przyszłość, syn ku. W przeciwnym razie... - Machnęła ręką. - Kto wie? Kto tak naprawdę może powiedzieć, co stanie się z waszą małą osadą i jej małutkimi mieszkańcami?

- Nie - powtórzył. - Nigdzie nie polecę.

Kiedy ponownie otworzył oczy, dziewczyna znikła. Stała obok bezgłowego Simona, studiując przypiętą do tabliczki listę.

Odwróciwszy się, Fred Costner pobiegł z powrotem tam, skąd przy był, w kierunku miejsca, gdzie stacjonowały wojska ONZ.

Szczupły, wysoki generał tajnej policji ONZ w czarnym mundurze po wiedział:

- Zastąpię generała Mozarta, który niestety nie dysponuje odpowiednim doświadczeniem, by poradzić sobie z lokalną działalnością wywrotową. Jego domeną są sprawy natury czysto militarnej. - Nie podał ręki Hoaglandowi Rae. Ze zmarszczonymi brwiami zaczął spacerować tam i z powrotem po warsztacie. -

Szkoda, że to nie mnie wezwano zeszłej nocy. Mógłbym na przykład od razu powiedzieć wam jedno... coś, czego nie zrozumiał generał Mozart. - Przystanął, mierząc Hoaglanda badawczym spojrzeniem. - Oczywiście, zdaje pan sobie sprawę, że nie wygraliście z kuglarzami. Oni chcieli przegrać szesnaście mikrorobotów.

Hoagland Rae w milczeniu kiwnął głową; co miał mówić. Uwaga generała sprawiła, że sytuacja stała się dla niego oczywista.

- Poprzednie wizyty jarmarku - podjął generał Wolff - w latach ubiegłych miały na celu przygotowanie was, przygotowanie każdej osady z ko lei. Wiedzieli, że tym razem postanowicie wygrać. Dlatego też przywieźli mikroroboty. I przygotowali swoich słabych psi do symulowanej walki o zwycięstwo.

- Chciałbym tylko wiedzieć - wtrącił Hoagland - czy otrzymamy ochronę. - Na okolicznych wzgórzach i równinach, jak mówił Fred, roiło się od mikrorobotów; opuszczanie zagród nie było bezpieczne.

- Zrobimy, co się da. - Generał Wolff podjął wędrówkę po warsztacie. - W istocie jednak ani wasze bezpieczeństwo, ani bezpieczeństwo każdej zainfekowanej osady bądź społeczności lokalnej nie stanowi dla nas sprawy nadrzędnej. Interesuje nas ogólny zarys sytuacji. W ciągu ostatniej doby statek odwiedził czterdzieści miejsc; jakim cudem przemieszczają się tak szybko... - Zamilkł. - Dokładnie przemyśleli każdy kolejny krok. A wy chcieliście ich przechytryć. - Popatrzył wrogo na Hoaglanda Rae. - Każda osada myślała to samo, wygrywając swoje pudło mikrorobotów.

- Według mnie - odrzekł po chwili Hoagland - to kara za szachrajstwo. - Unikał wzroku generała.

- Ja myślę, że to kara za próbę porwania się na przeciwnika z innego układu - dorzucił kąśliwie generał Wolff. - Lepiej niech pan spojrzy na to w ten sposób. Następnym razem, kiedy pojawi się pojazd nie z Terry, nie próbujcie opracowywać żadnej genialnej strategii: wezwijcie nas.

Hoagland Rae skinął głową.

- Dobrze. Rozumiem. - Czuł ból, nie urazę; należało mu się - tak jak im wszystkim - podobne szyderstwo. Przy odrobinie szczęścia kara nie przybierze gorszej postaci. Nie był to największy problem osady. - O co im chodzi? - zapytał generała Wolffa. - Czy zależy im na kolonizacji terenu? Czy też raczej o względy ekonomiczne...

- Niech pan nawet nie próbuje - ostrzegł go generał Wolff.

- Słucham?

- I tak pan tego nie zrozumie, ani teraz, ani nigdy. My wiemy, czego chcą... oni również to wiedzą. Czy i pan musi wiedzieć? Pańskie zadanie polega na tym, aby jak najszybciej podjąć normalną pracę w gospodarstwie. A jeżeli to zbyt trudne, proszę spakować manatki i wrócić na Ziemię.

- Aha - odparł Hoagland z bolesną świadomością własnej tuzinkowości.

- Wasze dzieci przeczytają o tym w podręcznikach do historii - dodał generał Wolff. - To powinno wam wystarczyć.

- Jasne - przytaknął beznadziejnie Hoagland Rae. Z rezygnacją opadł na ławkę, sięgnął po śrubokręt i zaczął majstrować przy zepsutej wieżyczce kontrolnej autonomicznego traktora.

- Niech pan patrzy - powiedział generał Wolff, pokazując na coś palcem.

W kącie, prawie niewidoczny na tle zakurzonej ściany, przycupnął mikrorobot i obserwował ich w milczeniu.

- Rany! - sapnął Hoagland, szukając na oślep starej trzydziestki, którą wcześniej wyjął ze schowka i naładował.

Na długo przed tym, nim dotknął palcami rękojeści rewolweru, mikrorobot ulotnił się bez śladu. Generał Wolff nie wykonał najlżejszego ruchu; ba, z rozbawieniem patrzył, jak Hoagland mociuje się z przestarzałą bronią.

- Rozpracowujemy układ centralny - oświadczył generał Wolff- który jednocześnie rozbroi je wszystkie, zakłócając dopływ zasilania z baterii. Pomysł niszczenia jednego po drugim jest niedorzeczny; nawet nie przy szło nam to do głowy. Mimo to... - Urwał, z namysłem marszcząc czoło. Mamy powody, by przypuszczać, że oni... kosmici... przewidzieli kolejność naszych działań i tak zróżnicowali źródła mocy, że... - Wzruszył ramiona mi. - Cóż, może wymyślimy coś innego. Wszystko w swoim czasie.

- Mam nadzieję - odparł Hoagland. I próbował wrócić do naprawy wadliwej wieżyczki.

- Właściwie to porzuciliśmy już nadzieję utrzymania Marsa - rzucił na wpół do siebie generał Wolff.

Hoagland powoli odłożył śrubokręt i wlepił w policjanta zdumione spojrzenie.

- Skupimy się raczej na obronie Terry - uzupełnił generał, w zamyśleniu drapiąc się po nosie.

- Czyli - powiedział po chwili Hoagland - tak naprawdę nie ma dla nas żadnej

nadziei; to jasno wynika z pańskich słów.

Generał nie odpowiedział. Wcale nie musiał.

Pochylając się nad zielonkawą, zmętniała powierzchnią kanału, nad którą brzęczały muchy i lśniące chrabąszcze, Bob Turk zobaczył kątem oka przemykający chyłkiem nieduży kształt. Obrócił się zwinnie i chwyciwszy laserową laskę, oddał strzał, niszcząc - o fortuno! - stos zardzewiałych, bezużytecznych kanistrów. Mikrorobot przepadł jak kamień w wodę.

Roztrzęsiony zawiesił laskę z powrotem na pasku i ponownie pochylił się nad pełną owadów wodą. Mikroroboty jak zwykle rozrabiały tu w środku nocy; jego żona widziała je, słyszała ich szurze chroboty. Co one u diabła zmajstrowały, zastanawiał się ponuro Bob Turk i wciągnął głęboko powietrze przez nos.

Odniósł wrażenie, że znajomy zapach stojącej wody uległ nieznacznej zmianie.

- Cholera - zaklął i wyprostował się bezradnie. Roboty skaziły czymś wodę, bez dwóch zdań. Teraz trzeba ją poddać analizie chemicznej, co z pewnością potrwa kilka dni. Czym przez ten czas podleje hodowlę ziemniaków? Dobre pytanie.

Utyskując w bezsilnym gniewie, sięgnął po laserową laskę. Zamarzył o łatwym celu - choć jednocześnie doskwierała mu świadomość, że nie znajdzie go choćby za milion lat. Mikroroboty jak zwykle działały nocą, stopniowo doprowadzając osadę do ruiny.

Już dziesięć rodzin odleciało na Terrę. Zapragnęły w miarę możliwości powrócić do życia, które tam pozostawiły.

Wkrótce przyjdzie kolej i na niego.

Gdyby tylko mogli coś zrobić. Znaleźć sposób, aby nie dać za wygraną. Zrobiłbym wszystko, pomyślał, oddał wszystko, by móc dorwać te roboty w swoje ręce. Przysięgam. Zadłużyłbym się, oddał w niewolę lub dał się zamknąć za marną szansę uwolnienia od nich okolicy.

Zmierzał przed siebie z rękami głęboko w kieszeniach, kiedy nagle usłyszał nad głową ryk międzyukładowego statku.

Oślupiały podniósł oczy ku niebu, czując, jak serce zamiera mu w piersi. Wrócili? - pomyślał. Statek Przedsiębiorstwa Rozrywkowego Spadają ca Gwiazda... czy mają zamiar uderzyć ponownie, by nas ostatecznie wykończyć? Przysłoniwszy ręką oczy, wyteżył wzrok. Nogi wrosły mu ziemię, a ciało zatraciło zdolność do

instynktownej, zwierzęcej paniki.

Niczym gigantyczna pomarańcza, statek obniżył pułap. Miał kształt i kolor pomarańczy... nie był to niebieski, cylindryczny statek kuglarzy ze Spadającej Gwiazdy, widział to na pierwszy rzut oka. Nie pochodził też z Terry ani nie należał do ONZ. Turk nigdy w życiu nie widział nic podobnego i doskonale zdawał sobie sprawę, że ma przed sobą statek spoza Układu Słonecznego, co bardziej rzucało się w oczy niż w przypadku niebieskiego statku Spadającej Gwiazdy. Nie poczyniono żadnych wysiłków, by nadać mu terrański wygląd.

Tymczasem omotał go wymalowany wielkimi literami napis.

Bob Turk poruszył ustami, rozszyfrowując wyrazy, podczas gdy stał osiadł na północny wschód od miejsca, w którym stał mężczyzna.

SZEŚCIU RZECZNIKÓW PRZERWY OD NAUKI  
PRZEDSTAWIA EKSPLOZJĘ RADOŚCI I SWAWOLI  
DLA WSZYSTKICH!

Była to - Boże w niebiosach! - kolejna trupa wędrownych artystów.

Chciał zamknąć oczy, odwrócić się na pięcie i czmychnąć. To ponad jego siły; znajome pragnienie i niezaspokojona ciekawość natychmiast dały o sobie znać. Tak więc patrzył dalej. Zobaczył, jak z otwartych siedmiu włączów wysuwają się, niczym splecione pączki, odnóża i badają piaszczysty grunt.

Rozbijali obozowisko.

Jego sąsiad, Vince Guest, podszedł do niego niezauważony.

- I co teraz? - zapytał.

- Sam widzisz. - Turk obłąkańczo machnął ręką. - Masz oczy, to patrz. - Mechanizm przystąpił do wznoszenia głównego namiotu, barwne proporce załopotwały na wietrze, po czym spłynęły po nieruchomych, dwuwymiarowych budkach. Pojawiali się pierwsi ludzie lub też humanoidy. Oczom Vince'a i Boba ukazał się mężczyźni w jaskrawych strojach i kobiety w trykotach. Bądź też w czymś znacznie bardziej skąnym niż trykoty.

- O kurczę - powiedział Vince, przetykając ślinę. - Widziałeś tamte babki? Widziałeś kiedyś kobietę z takimi...

- Widziałem - skwitował Turk. - Jakem Turk, w życiu nie pójde już na żaden z tych nieterrańskich jarmarków, tak samo Hoagland.

Tamci niezwłocznie przystępowali do pracy. Nie tracili czasu; do uszu Boba Turka doleciały ciche dźwięki muzyki, podobnej do tej, jaką puszcza ją na karuzeli. I zapachy. Wata cukrowa, prażone orzeszki ziemne, wraz z nimi napłynęła subtelna woń przygody i podniecenia, tego, co zakazane. Kobieta z płomiennorudym warkoczem zwinnie wskoczyła na estradę. Miała na sobie skąpy stanik, jej biodra otaczał skrawek jedwabiu. Urzeczony patrzył, jak ćwiczy swój taniec. Wirowała coraz szybciej, aż wreszcie po niesiona rytmem zrzuciła z siebie resztki garderoby. Rzecz dziwna, uznał to za prawdziwą sztukę, a nie jarmarczny występ na użytek prowincjonalnej publiczności. Z jej ruchów emanowało prawdziwe piękno i życiodajna energia. Poczul się oczarowany.

- Lepiej... pójdę po Hoaglanda - wydusił wreszcie Vince. Kilku mieszkańców, wśród których znajdowała się gromada dzieci, sunęło jak w transie w kierunku rzędu budek i proporców odcinających się barwnym akcentem na smutnym tle marsjańskiego nieba.

- Przyjrę się z bliska - odparł Bob Turk - kiedy ty będziesz go szukał. - Ruszył w stronę jarmarku, stopniowo przyspieszając kroku i wzbijając w górę tumany piasku.

- Przynajmniej zobaczymy, co mają do zaoferowania - powiedział do Hoaglanda Tony Costner. - Przecież wiesz, że to nie ci sami, to nie oni zwalili nam na głowę te cholerne mikroroboty.

- Może są znacznie gorsi - odparł Hoagland, ale zwrócił się do Freda. - Co ty na to?

- Chciałbym zobaczyć - rzekł Fred Costner. Podjął decyzję.

- Dobrze. - Hoagland kiwnął głową. - Niech i tak będzie. Patrzenie nie boli. Bylebyśmy tylko pamiętali o ostrzeżeniu generała. Nie oszukujmy się, że możemy ich przechytrzyć. - Odłożył klucz maszynowy, wstał z ławy i podszedł do szafy, by wyjąć obszyty futrem płaszcz.

Kiedy weszli na jarmark, stwierdzili, że szczęśliwe loterie ustawiono -jakże dogodnie - za estradami z dziewczętami i wybrykami natury. Fred Costner wysunął się do przodu, pozostawiając za sobą dorosłych. Wdychał powietrze, pochłaniał zapachy, słuchał muzyki i prześlizgnąwszy spojrzeniem po loteriach, popatrzył na pierwszą estradę dziwołagów: był to jego ulubiony element jarmarków. To, co zobaczył, biło na głowę wszystkie po przednie widowiska. Na estradzie znajdował się



bezciesny. W południowym marsjańskim słońcu widniała owłosiona głowa z uszami i bystrym spojrzeniem; Bóg tylko wiedział, co trzymało ją przy życiu... tak czy inaczej, chłopiec czuł, że w grę nie wchodziło żadne oszustwo.

- Patrzcie na Orfeusza, głowę pozbawioną widocznego ciała! - przez megafon zabrzmiał głos konferansjera. Ludzie, w większości dzieci, zbili się w gromadkę i wytrzeszczyli oczy w zabobonnym lęku. - Jakim cudem on żyje? Jak się przemieszcza? Pokaż im, Orfeuszu. - Konferansjer wyrzucił w powietrze garść żywności; Fred nie widział dokładnie, co to było. Głowa w niewiarygodny sposób rozdziawiła usta i zdołała pochwycić większość tego, co wylądowało nieopodal. Konferansjer wybuchnął śmiechem i podjął swój monolog. Bezczesny kulgał się po scenie, pracowicie zbierając resztki żywności. Raju, pomyślał Fred.

- I co? - zapytał Hoagland, podchodząc bliżej. - Widzisz jakieś gry, z których moglibyśmy skorzystać? - Jego głos był przesiąknięty goryczą. - Masz ochotę rzucić w coś piłką? - Nie czekając na odpowiedź, ruszył przed siebie; zmęczony, gruby człowieczek, który zbyt wiele razy odnosił porażkę. - Chodźmy - powiedział do dorosłych mieszkańców osady. Wyjdźmy stąd, zanim wpakujemy się w kolejną...

- Zaczekajcie - rzucił Fred. Podchwycił to, znajomy, przyjemny odór. Dolatywał z budki stojącej po prawej stronie. Natychmiast zwrócił się w tamtym kierunku.

W budce dojrzał pulchną, zszarzałą niewiastę w średnim wieku z licznymi obręczami w rękach.

- Trzeba wrzucić obręcz na towar - poinstruował Hoaglanda Rae ojciec Freda. - Wygrywa się to, na czym utrzyma się pierścień. - Razem z Fredem z wolna podeszli bliżej. - Dla kogoś o zdolnościach psychokinetycznych - mruknął - to nic trudnego.

- Proponuję - powiedział do Freda Hoagland - abyś tym razem po rzędzie przyjrzał się nagrodom. - Mimo to poszedł z nimi.

W pierwszej chwili Fred nie wiedział, do czego służyły przedmioty ułożone w równych metalicznych stosach. Podeszedł do krawędzi budki, na co kobieta rozpoczęła swoją śpiewną litanię, podsuwając mu pęk obręczy. Za dolara, bądź też jego równowartość w towarze, który osada miała do za oferowania.

- Co to ma być? - zapytał Hoagland, wyężając wzrok. - To chyba jakieś... maszyny.

- Wiem, co to jest - odparł Fred. Musimy zagrać, pomyślał nagle. Musimy zebrać w osadzie, co się da, każdą główkę kapusty, koguta, owcę i wełniany koc,

wszystko, co da się przehandlować.

To nasza szansa, stwierdził w duchu. Bez względu na to, co sobie po myśli generał Wolff.

- Boże - szepnął Hoagland. - Przecież to pułapki.

- Tak jest, proszę pana - zanuciła kobieta. - Pułapki homeostatyczne; same wykonują całą robotę, same myślą, wystarczy tylko puścić je samopas, a nie spoczną, dopóki nie złapią... - Puściła do niego oko. - Wiecie, czego. Tak, wiecie, co one łapią. Ten przebrzydły drobiazg, którego za nic nie możecie wyłapać sami, który zatruwa waszą wodę, zabija bydło i rujnuje osadę. Wygraj pan pułapkę, cenną, pożyteczną pułapkę, a zobaczysz, zobaczysz! - Rzuciła obręcz, która otarła się o jeden z lśniących, metalowych przedmiotów. Wydawało się, że niewiele brakowało, by rzut był celny. Wszyscy odnieśli to samo wrażenie.

- Przydałoby się nam kilkaset sztuk - powiedział do Tony'ego Costnera i Boba Turka Hoagland.

- Za to będziemy musieli oddać wszystko, co mamy - odparł Tony. Ale warto, przynajmniej nie damy się stąd wykurzyć. - Zalśniły mu oczy. - Nie ma co czekać. - Zwrócił się do Freda. - Umiesz w to grać? Dasz radę wygrać?

- Tak... mi się wydaje - odrzekł Fred. Czuł, że ktoś znajdujący się w pobliżu postara się temu przeciwdziałać. Ale nieskutecznie, uznał. Nie dość skutecznie.

Ciekawe, czy robił to celowo.

## ŚLAD PRZESZŁOŚCI

Helikopter Milta Biskle'a przeleciał nad świeżo użyźnionym terenem. Doskonale poradził sobie z tymi obszarami Marsa, które zieleniły się teraz za sprawą zrekonstruowanej dawnej sieci irygacyjnej. Tego roku wiosna dwukrotnie nawiedziła jesienną krainę piasku i skaczących ropuch, krainę niegdyś składającą się z wyschłej gleby pokrytej spękaną warstwą pyłu, ponurą i jałową z braku wody. Ofiarę ostatniego konfliktu pomiędzy Prox i Terra.

Wkrótce pojawią się pierwsi ziemscy osadnicy i przejmą grunty. Jego zadanie dobiegło końca. Być może mógłby wrócić na Terrę lub sprowadzić tu swoją rodzinę i uzyskać prawo pierwokupu - jako inżynier rekonstrukcyjny w pełni na to zasługiwał. Strefa Żółta rozwinęła się znacznie szybciej niż strefy innych inżynierów. Przyszła pora na wynagrodzenie.

Milt Biskle wyciągnął rękę i wcisnął guzik przekaźnika o dalekim zasięgu.

- Tu inżynier Strefy Żółtej - powiedział. - Potrzebuję psychiatry. Wszystko jedno którego, byle mógł przyjąć mnie jak najszybciej.

Gdy Milt Biskle wszedł do biura, doktor DeWinter wstał i wyciągnął na powitanie rękę.

- Słyszałem - powiedział - że spośród wszystkich czterdziestu inżynierów pan był najbardziej twórczy. Nic dziwnego, że jest pan zmęczony. Nawet Bóg musiał odpocząć po sześciu dniach wzmożonego wysiłku, pan zaś od lat dawał z siebie wszystko. Kiedy czekałem na pana, otrzymałem z Terry wiadomość, która z pewnością pana zainteresuje. - Podniósł z biurka kartkę papieru. - Wkrótce przybędzie na Marsa pierwsza grupa osadników... skierują się prosto na pański teren. Gratuluje, panie Biskle.

- A gdybym tak powrócił na Ziemię? - zapytał Milt Biskle, unosząc się z krzesła.

- Lecz skoro ma pan zamiar zgłosić prawo pobytu dla swojej rodziny...

- Chciałbym, aby coś pan dla mnie zrobił - odparł Milt Biskle. - Czuje się zbyt zmęczony, zbyt... - Machnął ręką. - Sfrustrowany, może. Tak czy inaczej, chciałbym, aby kazał pan zapakować mój sprzęt, łącznie z instalacją, do transportowca lecącego na Terrę.

- Sześć lat pracy - odrzekł doktor DeWinter - i oto rezygnuje pan z zapłaty.

Niedawno byłem na Ziemi i jest dokładnie taka, jak pan pamięta...

- Skąd pan wie, jaką pamiętam?

- To znaczy - poprawił się gładko doktor DeWinter - jest zupełnie taka, jak była. Przeludniona, maleńkie norki, gdzie jedna zagracona kuchnia przypada na siedem rodzin. Drogi są tak zatłoczone, że do jedenastej rano nie wciśnie się szpilki.

- Po sześciu latach kontaktu ze sprzętem zmechanizowanym - odparł Milt Biskle - tłok będzie dla mnie prawdziwym wybawieniem. - Zdecydował się. Mimo swych osiągnięć w tym miejscu, a może właśnie z ich powodu, postanowił wrócić do domu. Niech psychiatra mówi sobie, co chce.

- A jeśli pańska żona i dzieci, Milt, przybędą pierwszym transportem? - zamruczał doktor DeWinter. - Ponownie sięgnął po leżący na uporządkowanym biurku dokument. Przebiegł po nim wzrokiem i powiedział: - Pani Fay, Biskle, Laura D. June D. Kobieta z dwiema córkami. Rodzina?

- Tak - odpowiedział otępiałym tonem Milt Biskle i zapatrzył się przed siebie.

- Tak więc widzi pan, że nie ma co marzyć o powrocie na Ziemię. Niech pan włoży włosy i odbierze żonę z dziećmi z lotniska numer 3. I proszę wymienić zęby. Ma pan w tej chwili garnitur ze stali nierdzewnej.

Zasmucony Biskle kiwnął głową. Jak wszyscy Terranie, w wyniku promieniowania stracił w czasie wojny włosy i zęby. W trakcie samotnych zajęć w Strefie Żółtej na Marsie nie przywiązywał wagi do drogiej peruki, którą przywiózł z domu, co do zębów zaś, wygodniej mu było nosić stalowe niż komplet naturalnie barwionych. Wskazywało to, jak daleko pozostawił za sobą nawyki obcowania towarzyskiego. Ogarnęło go niejasne poczucie winy; doktor DeWinter miał rację.

Poczucie winy jednak dręczyło go od czasu pokonania Proxmenów. Wojna wzbudziła w nim gorycz; uważał, że cierpienie rywalizujących kultur było niesprawiedliwe, skoro potrzeby obu miały realne pokrycie w rzeczywistości.

Mars stał się prawdziwą kością niezgody. Obie kultury potrzebowały go jako kolonii, dokąd wysyłano by nadmiar populacji. Dzięki Bogu, w ostatnim roku wojny Terra wypracowała niezawodność taktyczną... stąd Terranie, nie Proxmeni, zajęli się łataniem Marsa.

- Tak przy okazji - powiedział doktor DeWinter. - Przypadkiem wiem o pańskim zamiarze względem innych inżynierów.

Milt Biskle pospiesznie podniósł głowę.

- Wiemy też - ciągnął doktor DeWinter - że dokładnie w tej chwili zbierają się

w Strefie Czerwonej, aby wysłuchać pańskiego przemówienia. - Otworzywszy szufladę biurka, wyjął jo-jo, wstał i sprawnie wykonał sztuczkę o nazwie „spacer z psem”. - Pańskiego podszytego strachem przemówienia o jakoby złym stanie rzeczy, choć tak naprawdę to wcale nie ma pan pojęcia, na czym miałby on polegać.

- To zabawka popularna w układzie Prox - odparł Biskle, obserwując jo-jo. - Tak przynajmniej kiedyś czytałem w homeogazecie.

- Hm. O ile wiem, pochodzi z Filipin. - Zaabsorbowany DeWinter wykonywał teraz „dookoła świata”. Dobrze mu szło. - Pozwolę sobie przesłać czekającym inżynierom zawiadomienie o pańskiej kondycji psychicznej. Z przykrością pana informuję, że zostanie odczytane publicznie.

- I tak wygłoszę przemówienie - odparł Biskle.

- Cóż, wobec tego przyszedł mi do głowy pewien kompromis. Proszę odebrać rodzinę z lotniska, po czym zorganizujemy panu wycieczkę na Terzę. Na nasz koszt. W zamian za to nie wygłosi pan przemówienia ani nie zakłóci spokoju inżynierów swoimi urojeniami. - DeWinter zmierzył go baczny spojrzeniem. - To moment krytyczny. Przybywają pierwsi emigranci. Nie chcemy kłopotów, nie chcemy budzić niczyjzego niepokoju.

- Czy mogę prosić o przysługę? - spytał Biskle. - Proszę udowodnić, że ma pan na głowie perukę. I że pańskie zęby są sztuczne. Wolę upewnić się, że jest pan Terraninem.

Doktor DeWinter zdarł z głowy perukę i wyjął sztuczną szczękę.

- Umowa stoi - oznajmił Milt Biskle. - Pod warunkiem że dopilnuje pan, aby moja żona otrzymała kawałek ziemi, który dla niej przeznaczyłem.

DeWinter skinął głową i rzucił mu małą, białą kopertę.

- Oto pański bilet. Rzecz jasna w obie strony, przecież pan tu wróci. Mam nadzieję, pomyślał Biskle, chowając bilet. Lecz to zależy od tego, co zobaczę na Terze. Albo co pozwolą mi zobaczyć.

Miał przeczucie, że niewiele. Tylko tyle, ile wymagała tego natura Proxmenów.

Kiedy statek wylądował na Terze, czekała na niego umundurowana przewodniczka.

- Pan Biskle? - Smukła, atrakcyjna i nadzwyczaj młoda osoba czujnie zastąpiła mu drogę. - Nazywam się Mary Ableseth, jestem pańską towarzyszką. Podczas

pańskiego krótkiego pobytu oprowadzę pana po planecie. - Uśmiechnęła się szeroko i bardzo profesjonalnie. Nie krył zaskoczenia. Będę przy panu cały czas, dzień i noc.

- W nocy też? - wydusił.

- Tak, panie Biskle. To moja praca. Zakładamy, że lata pracy na Marsie nieco pana zdezorientowały... my na Terze pochwalamy pracę i szanujemy. - Poprowadziła go w kierunku zaparkowanego helikoptera. - Dokąd chciałby pan najpierw się udać? Nowy Jork? Broadway? Nocne kluby, teatry, restauracje...

- Nie, do Central Parku. Chciałbym posiedzieć na ławce.

- Ależ Central Park nie istnieje, panie Biskle. W czasie pańskiego pobytu na Marsie przekształcono go w parking dla pracowników rządowych.

- Rozumiem - odrzekł Milt Biskle. - No to na plac Portsmouth w San Francisco. - Otworzył drzwi helikoptera.

- I on pełni teraz funkcję parkingu - odpowiedziała panna Ableseth, potrząsając ze smutkiem długimi rudymi włosami. - Panuje tu niemożliwe przeludnienie, panie Biskle; zostało kilka parków, jeden chyba w Kansas i dwa w południowej części Utah niedaleko St. George.

- To straszna wiadomość - oświadczył Milt. - Czy mógłbym zatrzymać się przy dystrybutorze amfetaminy i wrzucić dziesiątaka? Potrzebne mi coś na poprawienie humoru.

- Oczywiście - odrzekła z wytwornym ukłonem panna Ableseth. Milt Biskle podszedł do najbliższego dystrybutora, sięgnął do kieszeni, znalazł monetę i wrzucił ją w otwór.

Moneta przeleciała przez maszynę i wypadła na chodnik.

- Dziwne - mruknął ze zdumieniem Biskle.

- Chyba potrafię to wyjaśnić - powiedziała panna Ableseth. - Miał pan marsjańską monetę, zaprojektowaną na mniejszą grawitację.

- Hm - odparł Milt Biskle, podnosząc monetę. Zgodnie z przewidywaniami panny Ableseth był zdezorientowany. Przyglądał się, jak wkłada w otwór maszyny swoją monetę i wyciąga małą tubkę amfetaminy. Jej wyjaśnienie wydawało się logiczne. Ale...

- Jest w tej chwili ósma wieczorem - oznajmiła panna Ableseth. - Nie jadłam jeszcze kolacji, choć pan pewnie tak, na pokładzie samolotu. Może by tak zabrał mnie pan na kolację? Możemy porozmawiać nad butelką Pinot Noir i opowie mi pan o swych przecuciach, że dzieje się coś straszego, i że cała wasza praca jest na nic. Z

przyjemnością posłucham. - Poprowadziła go z powrotem do komputera i oboje usiedli na tylnym siedzeniu. Milt Biskle stwierdził, że dziewczyna jest ciepła, uległa i zdecydowanie terrańska; ogarnęło go zakłopotanie i serce załomotało mu jak z wysiłku. Upłynęło wiele czasu, odkąd znajdował się tak blisko kobiety.

- Niech pani posłucha - powiedział, gdy kierowany automatycznie helikopter uniósł się z parkingu. - Jestem żonaty. Mam dwoje dzieci i przybyłem tu w celach służbowych. Jestem na Terze po to, by udowodnić, że tak naprawdę to Proxmeni wygrali i że jesteśmy garstką Terran harujących na potrzeby ich władz, po to, by... - Urwał, to nie miało sensu. Panna Ableseth w dalszym ciągu przyciskała się do niego.

- Naprawdę myśli pan - powiedziała po chwili, gdy helikopter leciał nad Nowym Jorkiem - że jestem agentką Prox?

- N-nie - zająknął się Milt Biskle. - Chyba nie. - Okoliczności nie zdawały się na to wskazywać.

- Skoro jest pan na Terze - powiedziała panna Ableseth - dlaczego miałby pan nocować w zatłoczonym, hałaśliwym hotelu? Może tak zatrzyma się pan u mnie, w New Jersey? Jest tam mnóstwo miejsca, będzie pan mile widziany.

- Dobrze - odparł Biskle, przeczuwając daremność jakichkolwiek sprzeciwów.

- Świetnie. - Panna Ableseth wydała polecenie helikopterowi, który skierował się na północ. - Zjemy na miejscu. Zaoszczędzimy pieniądze, poza tym we wszystkich przyzwoitych restauracjach o tej porze tworzą się dwugodzinne kolejki, tak więc nie ma co marzyć o wolnym stoliku. Już pan pewnie o tym zapomniał. Jakże będzie wspaniale, kiedy połowa ludności wyemigruje!

- Tak jest - odparł z przekonaniem Biskle. - Spodoba im się na Marsie, wykonaliśmy kawał dobrej roboty. - Na myśl o dokonanej przez siebie i rodaków odbudowie poczuł przypływ entuzjazmu i dumy. - Sama pani zobaczy, panno Ableseth.

- Mów mi Mary - powiedziała panna Ableseth, poprawiając szkarłatną perukę; przekrzywiła się nieco w panującej z tyłu helikoptera ciasnocie.

- Dobrze - odparł Biskle i - pomimo doskwierającego mu poczucia nielojalności wobec Fay - ogarnęło go nagle niepohamowane zadowolenie z życia.

- Na Terze sprawy toczą się bardzo szybko - wyjaśniła Mary Ableseth. - Wszystko przez to przeludnienie. - Dopchnęła sztuczną szczękę, która się nieco przemieściła.

- Ach tak - odrzekł Milt Biskle i również poprawił włosy i uzębienie. Czyżbym się mylił? - pomyślał. Ostatecznie widział połyskujące w dole światła Nowego Jorku; Terra nie przypominała wyludnionych ruin, a jej cywilizacja wydawała się nienaruszona.

A może to złudzenie nałożone na jego układ percepcyjny za pomocą nieznanymi mu technik psychiatrycznych Proxmenów? Fakt, że jego moneta wypadła z dystrybutora. Czy to nie wskazywało, że na jego oczach dokonywały się subtelne acz makabryczne zmiany?

Może tego dystrybutora wcale tam nie było.

Następnego dnia on i Mary odwiedzili jeden z nielicznych parków. W południowej części Utah, niedaleko gór; pomimo swoich niewielkich rozmiarów park był soczyście zielony i piękny. Milt Biskle położył się na trawie, obserwując wiewiórkę skaczącą w kierunku drzewa z powiewającym za nią na podobieństwo szarego strumienia ogonem.

- Na Marsie nie ma wiewiórek - zauważył sennie Milt Biskle. Mary Ableseth w kostiumie do opalania z zamkniętymi oczami położyła się na plecach.

- Ładnie tu, Milt. Tak wyobrażam sobie Marsa. - Z autostrady dobiegał szmer licznych pojazdów; Miltowi przywodził na myśl surfowanie po Pacyfiku. Ukołysał go. Wszystko wydawało się układać bez zarzutu. Rzucił wiewiórcę orzeszka. Zwierzątko skrzyknęło gwałtownie i skoczyło w stronę zdobyczy, marszcząc mądry pyszczek.

Kiedy siedziała nieruchomo, trzymając orzeszek, Milt Biskle rzucił jej drugiego nieco na prawą stronę. Wiewiórka usłyszała, jak ląduje wśród liści klonu; jej postawione uszy przypomniały Miltowi zabawę ze starym, ospałym kocurem, którego mieli z bratem, w czasach, gdy Terra nie była jeszcze tak zaludniona i wolno było trzymać zwierzaki domowe. Czekał do chwili, gdy Dynia - rzeczony kocur - zapadał w drzemkę, po czym rzucał nieduży przedmiot w róg pokoju. Dynia budził się natychmiast. Z postawionymi pionowo uszami przez kwadrans wodził dokoła spojrzeniem, zastanawiając się nad źródłem odgłosu. Był to nieszkodliwy sposób drażnienia starego kota i Milt posmutniał na myśl o tym, ile lat minęło od śmierci Dyni, jego ostatniego, legalnego futrzanego ulubieńca. Na Marsie trzymanie zwierząt znów stanie się legalne. To go rozweseliło.

Podczas wielu lat rekonstrukcji na Marsie miał jednak swoją maskotkę. Była



to marsjańska roślina. Przywiózł ją ze sobą na Terę i stała teraz ze smutno przywiedłymi liśćmi na stoliku do kawy w salonie Mary Ableseth. Obcy klimat wyraźnie jej nie służył.

- Dziwne - mruknął Milt. - Przecież powinna odżyć. Myślałem, że w tak wilgotnym klimacie...

- Wina grawitacji - wtrąciła z zamkniętymi oczami Mary, oddychając miarowo. Zasnęła. - To dla niej za wiele.

Milt zlustrował leżącą sylwetkę kobiety i przypomniał sobie epizod z Dynią. Hipnotyczna chwila pomiędzy snem a jawą, kiedy świadomość i jej brak łączą się w jedno... wyciągnąwszy rękę, podniósł kamyk.

I rzucił go w stertę liści nieopodal głowy Mary.

Usiadła gwałtownie, szeroko otwierając oczy i gubiąc kostium.

Jej uszy sterczały pionowo.

- Przecież my, Terranie - powiedział Milt - zatraciliśmy kontrolę nad muskulaturą naszych uszu, Mary. Nawet pod wpływem odruchu.

- Co takiego? - burknęła, mrugając z zakłopotaniem oczami i wkładając kostium.

- Nasza zdolność nastawiania uszu zanikła - wyjaśnił Milt. - W przeciwieństwie do psów i kotów. Wprawdzie trudno to stwierdzić podczas badania morfologicznego, gdyż nasze mięśnie wciąż się tam znajdują. Tak więc popełniliście błąd.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - odparła z cieniem rozdrażnienia Mary. Bez reszty skupiła uwagę na zawiązywaniu góry od kostiumu.

- Wracajmy do domu - zaproponował Milt, podnosząc się z miejsca. Stracił ochotę na spacer po parku, gdyż ni stąd, ni zowąd wiara w park wydała mu się nonsensem. Nieprawdziwa wiewiórka, nieprawdziwa trawa... czy one w ogóle istniały? Czy kiedykolwiek pokażą mu kryjącą się za złudzeniem materię? Szczerze w to wątpił.

Kiedy szli w kierunku helikoptera, wiewiórka podążała za nimi przez chwilę, po czym skierowała uwagę na terrańską rodzinę z dwoma chłopcami; dzieci rzuciły jej orzechy i zwierzę ochoczo popędziło w ich stronę.

- Przekonujące - uznał Milt. I miał rację.

- Szkoda, że częściej nie zasięgałeś porady doktor DeWintera, Milt powiedziała Mary. - Mógł ci pomóc. - Jej głos dziwnie stwardniał.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości - odrzekł Milt Biskle, gdy wsiadali do helikoptera.

Po powrocie do mieszkania Mary stwierdzili, że marsjańska roślina doszczętnie zwiędła. Najwyraźniej zabrakło jej wilgoci.

- Tylko nie próbuj mi tego wyjaśniać - ostrzegł Mary, gdy oboje stali, spoglądając na martwe pędy do niedawna żyjącej rośliny. - Wiesz, co to

znaczy. Na Terze powinna panować większa wilgotność niż na Marsie, nawet tym zrekonstruowanym. A jednak roślina uschła. Na Terze nie została nawet kropla wilgoci, ponieważ ataki Proxmenów opróżniły morza. Zgadza się?

Mary nie odpowiedziała.

- Nie rozumiem tylko - podjął Milt - dlaczego podtrzymujecie tę iluzję? Moje zadanie dobiegło końca.

- Może istnieje więcej planet wymagających rekonstrukcji, Milt - podsunęła po chwili Mary.

- Aż tylu was jest?

- Myślałam o Terze - powiedziała Mary. - Trzeba pokoleń, nim odbudowa dobiegnie końca; wszystkie zdolności inżynierów będą w cenie. Oczywiście trzymam się twojego hipotetycznego toku myślenia - dodała.

- Zatem Terra to nasze kolejne wyzwanie. Dlatego pozwoliliście mi tutaj przylecieć. Pewnie w ogóle mam tu zostać. - Uświadomił to sobie dzięki nagłemu przebłyskowi intuicji. - Nie wrócę na Marsa i już nigdy nie zobaczę Fay. Ty masz mi ją zastąpić. - Wszystko układało się w logiczną całość.

- Cóż - skwitowała z lekkim uśmiechem Mary. - Powiedzmy, że spróbuję. - Pogłaskała go po ramieniu. Boso, wciąż w skąpym kostiumie, przysuwała się do niego coraz bliżej.

Odsunął się przestraszony. Chwyciwszy uschniętą roślinę, zaniósł ją do otworu zsykowego i wrzucił tam kruche, zwiędnięte szczątki. Natychmiast znikły mu z oczu.

- A teraz - odezwała się z nagłym ożywieniem Mary - odwiedzimy nowojorskie Muzeum Sztuki Nowoczesnej, a jak starczy nam czasu, Smithsonian Institution w Waszyngtonie. Kazali mi maksymalnie wypełnić ci czas, żebyś nie wykorzystywał go na myślenie.

- Nie ma na to rady - odparł Milt, obserwując, jak Mary przebiera się z

kostiumu w szarą wełnianą sukienkę. Nic nie powstrzyma mnie przed myśleniem, powiedział w duchu. Dobrze o tym wiesz. Gdy pozostali inżynierowie zakończą swoją pracę, nastąpi to samo. Tak się składa, że ja jestem pierwszy. Przynajmniej nie jestem sam, uświadomił sobie. Przyniosło mu to pewną ulgę.

- Jak wyglądam? - zapytała Mary, nakładając szminkę przed lustrem w sypialni.

- Dobrze - odrzekł apatycznie, zastanawiając się, czy Mary przypadnie zadanie uwodzenia kolejnych inżynierów. Nie tylko nie jest tym, kim się wydaje, pomyślał, ale nawet nie zachowam jej dla siebie.

Wydawało się to niczym nieuzasadnioną stratą. Zdał sobie sprawę, że zaczynają lubić. Mary to istota z krwi i kości, to się liczyło. Bez względu na to, czy była Terranką, czy nie. Przynajmniej

nie przegrali walki z cieniem, lecz z autentycznymi żywymi organizmami. Świadomość tego przyniosła mu pewną ulgę.

- Gotowy do wizyty w Muzeum Sztuki Nowoczesnej? - zapytała z uśmiechem Mary.

Później, w Smithsonian Institution, po tym, jak obejrzeni Ducha św. Ludwika i niewiarygodnie stary samolot braci Wright - wydawał się liczyć co najmniej milion lat - Milt ujrzał wystawę, której się spodziewał.

Bez słowa odłączył się od Mary - pochłoniętej studiowaniem kasetki nieoszlifowanych kamieni półszlachetnych - i wkrótce stanął przed osłoniętą szklanym parawanem sekcją zatytułowaną:

#### *PROXMEN W STROJU MILITARNYM ROK 2014*

Trzej żołnierze o brudnych, osmalonych twarzach stali bez ruchu z przygotowaną do strzału bronią, w prowizorycznym schronie skleconym z resztek zawartości jednego z ich transportów. Ich sztandar zwisał smętnie. Wystawa przedstawiała pokonaną enklawę wroga; trzy kreatury miały do wyboru kapitulację lub śmierć.

Grupa terrańskich turystów wytrzeszczała oczy na figury. Milt Biskle zwrócił się do stojącego najbliżej mężczyzny.

- Przekonujące, prawda? - zagaił.

- Jeszcze jak - odrzekł szpakowaty mężczyzna w okularach. - Brał pan udział w wojnie? - zapytał, zerkając na Milta.

- Pracuję przy rekonstrukcji - odpowiedział Milt. - Inżynier Żółty.

- Ach tak. - Mężczyzna był pod wrażeniem. - Rany, ci Proxmeni wyglądają strasznie. Człowiek byłby skłonny uwierzyć, że zaraz wyjdą z wystawy i zatłuką nas na śmierć. - Uśmiechnął się krzywo. - Przed ostateczną porażką dali z siebie wszystko, trzeba im to przyznać.

- Od widoku tej ich broni ciarki chodzą mi po plecach - wtrąciła myszowata żona mężczyzny. - Jest stanowczo zbyt realistyczna. - Pełna dezaprobaty poszła dalej.

- Ma pani rację - odrzekł Milt. - Wyglądają realistycznie, bo są prawdziwi. - Nie było sensu tworzyć tego typu iluzji w sytuacji, gdy prawdziwy materiał znajdował się pod ręką. Milt prześlizgnął się pod barierką, dotarł do szkła dzielącego go od wystawy i rozbił je jednym ruchem nogi. Kawałki szyby z łoskotem posypały się na podłogę.

Gdy nadbiegła Mary, Milt porwał karabin z ręki jednego z Proxmenów i wycelował go w dziewczynę.

Stała jak wryta, oddychając pospiesznie i bez słowa mierząc go wzrokiem.

- Chcę dla was pracować - powiedział Milt, z wprawą trzymając broń.

- Ostatecznie, skoro moja rasa wyginęła, trudno, żebym mógł stworzyć dla niej kolonię; nawet ja nie jestem skłonny w to uwierzyć. Chcę jednak znać prawdę. Pokaż mi, a ja będę nadal wykonywał swoją pracę.

- Nie, Milt, gdybyś znał prawdę, nigdy byś się na to nie zdecydował odparła Mary. - Wycelowałbyś ten pistolet w samego siebie. - Mówiła spokojnie, nawet z odrobiną współczucia, lecz jej rozszerzone oczy były czujne.

- Wobec tego zabiję cię - oznajmił. - A potem siebie.

- Chwileczkę. - Zastanowiła się. - Milt... to trudne. Nic nie wiesz, a spójrz, jak żałośnie wyglądasz. Jak według ciebie będziesz się czuł na widok rzeczywistego stanu planety? Nawet dla mnie to zbyt wiele, ja zaś jestem... - zawahała się.

- Powiedz.

- Jestem tylko... - Wykrztusiła: - Gościem.

- Mam rację - powiedział. - Powiedz. Musisz to przyznać.

- Masz rację, Milt - westchnęła.

Pojawili się dwaj umundurowani strażnicy z bronią.

- Wszystko w porządku, panno Ableseth?

- Na razie tak - odparła Mary. Nie spuszczała wzroku z Milta i karabinu, który trzymał. - Proszę zaczekać - poleciła strażnikom.

- Dobrze, proszę pani. - Strażnicy czekali. Nikt się nie ruszał.

- Czy przetrwały jakieś Terranki? - zapytał Milt.

- Nie, Milt - odrzekła po chwili Mary. - Ale my, Proxmeni, wywodzilby się z tej samej kategorii co wy, jak sam dobrze wiesz. Możemy łączyć się w pary. Czy to nie stanowi dla ciebie pocieszenia?

- Jasne - odparł. - Jak diabli. - I poczuł nagłą chęć, by wycelować W siebie lufę karabinu. Na tyle było go stać. Zatem miał całkowitą rację, tamta istota na marsjańskim lotnisku numer 3 to nie była Fay. - Posłuchaj - powiedział do Mary Ableseth - chcę wrócić na Marsa. Przybyłem tu, aby się czegoś dowiedzieć. Dowiedziałem się, a teraz chcę wrócić. Może znów porozmawiam z doktorem DeWinterem, może on będzie w stanie mi pomóc. Czy są co do tego jakieś obiekcje?

- Nie. - Odniosł wrażenie, że ona zrozumiała, co czuł. - Koniec końców, dobrze się tam spisales. Masz prawo wrócić. Lecz prędzej czy później będziesz musiał rozpocząć pracę tutaj. Zaczekamy rok, może nawet dwa. Wreszcie jednak Mars zapełni się i zapagniemy większej przestrzeni. Tu zaś będzie znacznie trudniej... sam się przekonasz. - Próbowwała się uśmiechnąć; dostrzegł wysiłek, z jakim to zrobiła. - Przykro mi, Milt.

- Mnie również - powiedział Milt Biskle. - Do diabła, było mi przykro, kiedy uschła roślina. Już wtedy znałem prawdę. To nie były tylko domysły.

- Pewnie zainteresuje cię fakt, że jeden z inżynierów, Czerwony Cleveland Andre, zamiast ciebie poprowadził zebranie. I przekazał wszystkim twoje wątpliwości, łącznie ze swoimi. Przegłosowali wysłanie oficjalnego delegata celem zbadania sytuacji na Terze, jest już w drodze.

- Owszem, interesuje mnie to - odparł Milt. - Nie ma to jednak większego znaczenia. Stan rzeczy pozostaje bez zmian. - Opuścił broń. - Czy teraz mogę wrócić na Marsa? - Ogarnęło go zmęczenie. - Przekaż doktorowi DeWinterowi, że wracam. - Przekaż mu, dokończył w myślach, żeby przygotował dla mnie cały asortyment pomocy psychiatrycznych; będą jak znalazł. - A co z ziemskimi zwierzętami? - zapytał. - Czy któreś przetrwały? Na przykład psy lub koty.

Mary wymieniła spojrzenia ze strażnikami, bez słowa porozumieli się ze sobą.

- Może ostatecznie da się to zorganizować - powiedziała Mary.

- Co takiego? - zapytał Milt Biskle.

- To, żebyś zobaczył. Tylko na chwilę. Znosisz to lepiej, niż przypuszczaliśmy. Naszym zdaniem, jesteśmy ci to winni. Tak, Milt, psy i koty przetrwały, mieszkają w ruinach - dodała. - Chodź i sam zobacz.

Poszedł za nią, myśląc: Czyż pierwszy raz nie miała racji? Czy naprawdę mam ochotę to zobaczyć? Czy zniosę prawdę - to, co do tej pory przede mną ukrywali?

Mary przystanąła przy wyjściu z muzeum i powiedziała:

- Wyjdź, Milt. Ja tu zostanę. Zaczekam na ciebie. Z wahaniem zszedł w dół rampy.

I zobaczył.

Zgodnie z tym, co mówiła, wokół niego rozciągały się ruiny. Miasto zostało zburzone, zrównane na wysokości trzech stóp nad powierzchnią ziemi; z budynków pozostały wydrążone kwadraty, niczym niezliczone, starożytne dziedzińce. Nie mógł uwierzyć, że to, co widział, było nowe; miał wrażenie, że zrujnowane szczątki zawsze przedstawiały taki sam widok jak obecnie. Jak długo jeszcze będą tak wyglądać?

Po jego prawej stronie, zagruzowaną ulicą podążało skomplikowane acz niewielkie urządzenie. Na jego oczach urządzenie zapuszczało wydłużone pseudoodnóża pod pobliskie fundamenty z betonu i stali, które błyskawicznie zostawały zmiecione w pył, odsłaniając nagą, brunatną ziemię wypaloną atomowym żarem generowanym przez autonomiczną maszynę naprawczą. Była ona podobna do tych, jak skonstatował Milt, których używano na Marsie. Przynajmniej do pewnego stopnia udawało się jej oczyścić powierzchnię z gruzu. Z doświadczenia wiedział, że w ciągu najbliższych kilku minut podąży za nią kolejny mechanizm, który położy podwaliny pod nowe konstrukcje.

Na ulicy, w pewnym oddaleniu dostrzegł dwie szare figurki przyglądające się wysiłkom remontowym. Byli to dwaj orlonosi Proxmeni o białych, skręconych spiralnie włosach i uszach rozciągniętych przymocowanymi do nich ciężarkami.

Zwycięzcy, pomyślał. Czerpią zadowolenie z widowiska, będąc świadkami zagłady ostatnich śladów pobitej rasy. Któregoś dnia powstanie tu czyste Proxmiasto: z ich architekturą, dziwacznym układem ulic i wielopoziomowymi budowlami przywodzącymi na myśl pudełka od zapalek. Obywatele podobni do tych zaludnią rampy. Co się stanie, pomyślał, z terrańskimi psami i kotami zamieszkującymi ruiny, jak powiedziała Mary? Czy one kiedykolwiek wyginą? Pewnie nie do końca. Znajdzie się dla nich miejsce w muzeach i ogrodach zoologicznych, gdzie zostaną umieszczone jako dziwadła, na które można popatrzeć.

Niedobitki cywilizacji, którą zastąpiono inną. I pozbawiono jakiegokolwiek znaczenia.

A jednak - Mary miała rację. Proxmeni wywodzili się z tej samej kategorii co ludzie. Nawet jeśli nie krzyżowali się z ocalałymi Terranami, ów proces był jedynie kwestią czasu. Będą się krzyżować, pomyślał. Jego związek z Mary można potraktować jako zwiastun. Jako jednostki aż tak bardzo się nie różnili. Rezultaty mogą okazać się nadspodziewanie pomyślne.

W sumie, pomyślał, kierując się z powrotem w stronę muzeum, możemy uzyskać rasę nie do końca terrańską i nie do końca Prox; z połączenia może wyniknąć coś zupełnie nowego. Przynajmniej miejmy taką nadzieję.

Terra zostanie odbudowana. Na własne oczy widział podejmowane w tym kierunku mozolne, ale konsekwentne wysiłki. Być może Proxmenom brakowało umiejętności posiadanych przez niego oraz innych inżynierów... teraz kiedy prace na Marsie prawie dobiegły końca, mogli przenieść się tutaj. Sprawa nie wydawała się beznadziejna. Nie do końca.

- Wyświadczyć mi przysługę - rzucił szorstko, podchodząc do Mary. Znajdź mi kota, którego mógłbym zabrać ze sobą na Marsa. Zawsze lubiłem koty. Zwłaszcza te rude, przegowane.

- Da się zrobić, panie Biskle - powiedział jeden ze strażników, spoglądając na kolegę. - Załatwimy panu... szczeniaka, tak to się nazywa?

- Kociaka - poprawił Milt.

W drodze powrotnej na Marsa Milt Biskle siedział z zamkniętym w pudełku rudym kotkiem na kolanach i obmyślał plany na przyszłość. Za kwadrans statek wylądował na Marsie i doktor DeWinter - bądź też istota, która się za niego podawała - wyjdzie mu na spotkanie. Niestety, będzie już za późno. Ze swego miejsca widział czerwone światelko wyjścia awaryjnego. Jego plany skupiły się wokół tych właśnie drzwi. Trudno było nazwać je ideałem, lecz doskonale spełnią swoje zadanie.

Rudy kotek wyciągnął łapę i trącił dłoń Milta. Mężczyzna poczuł na skórze ostre drobne pazurki i z roztargnieniem uwolnił rękę, odsuwając ją z dala od łapy kotka. I tak nie spodobałoby ci się na Marsie, pomyślał, wstając z miejsca.

Z pudełkiem w ręku zwinnie skierował się ku wyjściu awaryjnemu. Zanim stewardesa zdążyła zareagować, szarpnięciem otworzył właz. Ruszył do przodu i właz zatrzasnął się za jego plecami. Na chwilę znalazł się w ciasnej komorze, po czym

przystąpił do otwierania ciężkich drzwi zewnętrznych.

- Panie Biskle! - doleciał przytłumiony pierwszymi drzwiami głos stewardesy. Usłyszał szamotaninę; kobieta otworzyła drzwi i rzuciła się w jego stronę.

Gdy otwierał właz, z pudełko dobiegło prychnięcie kota.

Ty też? - pomyślał Milt Biskle i zawahał się.

Przez szparę drzwiach do środka wtargnęła śmierć, pustka i przejmujący chłód przestrzeni kosmicznej. Wciągnął je w płuca i coś w nim, podobnie jak u kota, cofnęło się instynktownie. Zamarł, ściskając w rękach pudełko i nie próbując szerzej otworzyć drzwi. W tym momencie ręka stewardesy zacisnęła się na jego ramieniu.

- Panie Biskle - wydusiła, na wpół szlochając - czy pan zwariował? Boże, co też pan wyprawia? - Z wysiłkiem zatrzasnęła drzwi i zasunęła właz wyjścia awaryjnego.

- Dobrze pani wie, co robię - odparł Milt Biskle, pozwalając zaprowadzić się z powrotem na miejsce. I nie myśl sobie, że mnie powstrzymałaś, dokończył w duchu. To wcale nie twoja zasługa. Swobodnie mogłem dopiąć swego, ale zdecydowałem się tego nie robić.

Zastanawiał się dlaczego.

Później, na marsjańskim lotnisku numer 3, zgodnie z przewidywaniami powitał go doktor DeWinter.

Skierowali się w stronę czekającego helikoptera.

- Właśnie poinformowano mnie, że w czasie podróży... - zaczął zatroskanym tonem doktor DeWinter.

- Tak jest. Przeprowadziłem próbę samobójczą. Ale zmieniłem zdanie. Może pan wie dlaczego. Ostatecznie jest pan psychologiem, autorytetem w kwestiach tego, co się w nas dzieje. - Wsiadł do helikoptera, chroniąc przed wstrząsem pudełko z terrańskim kotkiem.

- Czy ma pan zamiar wyznaczyć granice parceli, na której zamieszkacie z Fay? - zapytał doktor DeWinter, gdy helikopter leciał ponad zielonymi, wilgotnymi polami wysokobiałkowej pszenicy. - Mimo że... wie pan, co?

- Tak. - Kiwnął głową. O ile dobrze się zorientował, nie pozostawało mu nic innego.

- Wy Terranie. - DeWinter potrząsnął głową. - Niesamowite. - Zwrócił uwagę na pudełko w rękach Milta. - Co pan tam chowa? Istotę z Terry?

- Zmierzył kotka podejrzliwym spojrzeniem; najwyraźniej wydawało mu się,



że ma przed sobą manifestację obcej formy życia. - Dziwaczne stworzenie.

- Dotrzyma mi towarzystwa - odrzekł Milt Biskle. - Podczas gdy będę kontynuował swoją pracę, czy to przy zabudowie mojej działki, czy... Czy przy rekonstrukcji Terry, pomyślał.

- Czy to właśnie on nosi nazwę „grzechotnika”? Słyszę, jak brzęczy.

- Doktor DeWinter odsunął się nieznacznie.

- Mruczy. - Milt Biskle pogłaskał kotka, gdy tymczasem autonomiczny obwód prowadził helikopter po matowej powierzchni czerwonego marsjańskiego nieba. Kontakt ze znajomą formą życia utrzyma mnie przy zdrowych zmysłach, pomyślał. Dzięki niemu będę trwał dalej. Poczul wdzięczność. Być może moja rasa uległa zagładzie, lecz nie wszystkie istoty terrańskie wyginęły. Po zakończeniu rekonstrukcji Terry może uda się namówić władze, by pozwoliły nam podjąć starania w kierunku ochrony zwierząt. Stanie się to częścią naszego zadania, postanowił w duchu i delikatnie poklepał kotka. Przynajmniej na tyle możemy liczyć.

Siedzący obok niego doktor DeWinter również pogrążył się w myślach. Doceniał techniczny kunszt inżynierów stacjonujących na trzeciej planecie, którego efekty spoczywały w pudełku na kolanach Milta Biskle'a. Rezultat ich starań był godny najwyższego podziwu, nawet dla niego. Milt oczywiście niczego nie podejrzewał. Ten eksponat, potraktowany przez Terran jako autentyczny organizm pochodzący ze znajomej przeszłości, stanowił oś, dzięki której mężczyzna zachował równowagę psychiczną. Lecz co z pozostałymi inżynierami? Co bezpiecznie przeprowadzi ich przez moment odkrycia prawdy, kiedy ich praca dobiegnie końca i niezależnie od swej woli będą musieli pozbyć się złudzeń?

W przypadku każdego Terranina trzeba będzie zastosować inną metodę. Dla jednego pies, dla drugiego coś bardziej skomplikowanego, na przykład żona. Tak czy inaczej, każdy z nich otrzyma coś „wyjątkowego”,

innego niż pozostali. Ocalałą jednostkę, wybraną z grupy, która przestała istnieć. Zbadanie przeszłości każdego z inżynierów pomoże ustalić szczegóły, tak jak w przypadku Biskle'a; atrapę kota sporządzono na kilka tygodni przed paniczną ucieczką na Terrę. W przypadku Andre już konstruowano papugę. Nim wyruszy on w swoją podróż, praca nad nią zostanie zakończona.

- Nazwę go Grzmot - postanowił Milt Biskle.

- Świetne imię - pochwalił doktor DeWinter, jak tytułował się obecnie. I

pomyślał, szkoda, że nie mogliśmy pokazać mu faktycznego stanu rzeczy na Terze, ponieważ na pewnej płaszczyźnie musi on zdawać sobie sprawę z tego, że z tego rodzaju wojen nic nie wychodzi cało. Najwidoczniej desperacko pragnął uwierzyć, że coś zostało, choćby sterta gruzu. Uparte trzymanie się złudzeń jest typową cechą Terran. Może pozwoli to wyjaśnić ich klęskę, po prostu nie byli realistami.

- Ten kot - rzekł Milt Biskle - stanie się pogromcą marsjańskich myszy.

- Tak jest - potwierdził doktor DeWinter i dodał w myślach: Dopóki nie wyczerpią się baterie. I również pogładził kotka.

Jeden z przełączników zatrzasnął się i zwierzę zamruczało głośniej.

Oficer porządkowy Caleb Myers przechwycił na radarze szybko poruszający się samochód. Natychmiast spostrzegł, że kierowca usunął regulator prędkości pojazdu, który jadąc sto sześćdziesiąt mil na godzinę, znacznie przekroczył dopuszczalną prędkość. Myers domyślił się, że kierowca należał do Klasy Niebieskiej, klasy inżynierów i techników zdolnych majstrować przy swoich pojazdach. Dlatego aresztowanie delikwenta nie będzie takie proste.

Myers skontaktował się przez radio ze statkiem policyjnym oddalonym o dziesięć mil na północ autostrady.

- Gdy będzie cię mijał, odstrzel jego dopływ mocy - poinstruował kolegę oficera. - Jedzie zbyt szybko, by zatarasować mu drogę, no nie?

O godzinie trzeciej dziesiąt nad ranem samochód został zatrzymany. Pozbawiony dopływu mocy dobił do pobocza autostrady. Oficer Myers wcisnął odpowiednie guziki i bez pośpiechu skierował się na północ. W pewnej chwili ujrzał znieruchomiały pojazd oraz oświetlony na czerwono wóz policyjny, który podążał w jego kierunku, mijając licznie zgromadzone samochody. Myers wylądował przy zatrzymanym dokładnie w chwili, gdy dotarł do niego wóz drugiego policjanta.

Obaj podeszli ostrożnie do nieruchomego pojazdu. Żwir chrzęścił im pod stopami.

## SYNDROM UCIECZKI

Za kierownicą siedział chudy mężczyzna w białej koszuli i krawacie. Patrzył przed siebie nieprzytomnym wzrokiem, nie uczynił najdrobniejszego ruchu na widok dwóch ubranych na szaro oficerów z karabinami laserowymi i w kuloodpornych osłonach od ud w górę. Myers otworzył drzwi samochodu i zajrzał do środka, podczas gdy jego towarzysz trzymał broń w pogotowiu na wypadek nieprzewidzianej sytuacji. W jednym tylko tygodniu zabitych zostało pięciu ludzi z lokalnego oddziału w San Francisco.

- Czy pan nie wie - powiedział do milczącego kierowcy Myers - że naruszenie regulatora prędkości grozi dwuletnim zawieszeniem prawa jazdy? Było warto?

Po chwili kierowca odwrócił głowę, mówiąc:

- Jestem chory.

- Fizycznie czy psychicznie? - Myers dotknął umieszczonego przy szyi nadajnika, łącząc się z linią numer 3, z okręgowym szpitalem w San Francisco. W razie potrzeby w ciągu pięciu minut mógł ściągnąć tu karetkę.

- Wszystko wydawało mi się takie nierealne - rzucił ochryłym głosem kierowca. - Sądziłem, że jeśli pojadę wystarczająco szybko, dotrę do miejsca, gdzie jest... stabilnie. - Z wahaniem wyciągnął rękę w kierunku sufitu, jakby nie wierzył w istnienie kilkuwarstwowej powierzchni.

- Pozwoli pan, że zajrzę mu w usta - powiedział Myers i zaświecił I tarką w twarz kierowcy. Podniósł mu podbródek i ponad rzędami zadbanych zębów zajrzał mężczyźnie do gardła.

- Widzisz? - zapytał drugi oficer.

- Tak. - Dostrzegł znajomy błysk. Był to umieszczony w gardle element antynowotworowy; jak większość nie-Terran mężczyzn był opętany fobią raka. Przypuszczalnie spędził większość życia w kolonii, wdychając czyste powietrze, sztuczną atmosferę zainstalowaną przed zasiedleniem przez autonomiczny sprzęt rekonstrukcyjny. Stąd nietrudno było zrozumieć tę fobię.

- Mam swego etatowego lekarza. - Kierowca sięgnął do kieszeni i wyjął portfel, z którego następnie wyciągnął wizytówkę. Gdy podawał ją Myersowi, trzęsły mu się ręce. - Specjalista medycyny psychosomatycznej, mieszka w San Jose. Moglibyście mnie tam zabrać?

- Nie jest pan chory - odparł Myers. - Po prostu nie w pełni pan przywykł do Ziemi, do grawitacji, atmosfery i otoczenia. Jest kwadrans po trzeciej nad ranem, lekarz - Hagopian, czy jak mu tam - nie może pana przyjąć. - Przyjrzał się wizytówce. Widniał na niej napis:

***Ten człowiek podlega opiece lekarskiej i w razie osobliwego zachowania  
proszę niezwłocznie wezwać pomoc.***

- Ziemsy lekarze - wtrącił drugi oficer - nie przyjmują pacjentów po godzinach; musi się pan do tego przyzwyczaić, panie... - Wyciągnął rękę. - Proszę pokazać mi swoje prawo jazdy.

Mężczyzna machinalnie podał mu cały portfel.

- Niech pan jedzie do domu - poradził mu Myers. Według dokumentów, mężczyzna nazywał się John Cupertino. - Ma pan żonę? Może przyjechałaby po pana; podrzucimy pana do miasta... niech pan lepiej zostawi tu samochód i dziś w nocy już nie siada za kółkiem. Co do prędkości...

- Nie jestem przyzwyczajony do ograniczenia - przerwał mu Cupertino. - Na Ganimedesie problem ruchu drogowego nie istnieje. - Jego głos tchnął dziwną monotonią. Od razu nasunęło to Myersowi myśl o narkotykach, zwłaszcza stymulatorach emocjonalnych; Cupertino był nienaturalnie pobudzony. To wyjaśniałoby usunięcie głównego regulatora prędkości, proste zadanie dla człowieka nawykłego do obcowania z maszyną. Chociaż...

Dwudziestoletnie doświadczenie podszeptowało Myersowi, że chodziło o coś więcej.

Pochyliwszy się, otworzył samochodową skrytkę i zaświecił do środka latarką. Listy, przewodnik z wykazem najlepszych hoteli...

- W gruncie rzeczy nie wierzy pan, że znajduje się na Ziemi, prawda, panie Cupertino? - zapytał Myers. Przyjrzał się twarzy mężczyzny; była pozbawiona wyrazu. - Jest pan jednym z tych narkomanów, którzy uważają to za wywołaną narkotykiem halucynację... i tak naprawdę przebywa pan na Ganimedesie, w salonie swojej dwudziestopokojowej posiadłości, otoczony autonomicznymi lokajami, co? - Zaśmiał się ostro, po czym popatrzył na drugiego oficera. - To ziele dziko rosnące na Ganimedesie - wyjaśnił. - Towar zwany frohedadryną. Mielą suszone łądygi, miazdzą je, gotują, odcadzają, przefiltrowują, następnie zawijają w bibułę i palą. A potem...

- Nigdy nie brałem frohedadryny - przerwał nieobecny tonem John Cupertino. Utkwił wzrok przed siebie. - Wiem, że jestem na Ziemi. Dzieje się jednak ze mną coś dziwnego. Patrzcie. - Wyciągnawszy rękę, przełożył ją w kilkuwarstwowy sufit pojazdu; oficer Myers zobaczył, jak dłoń niknie aż do nadgarstka. - Widzicie? Wszystko wokół mnie się dematerializuje, jak cień. Wy obaj możecie zniknąć, jeśli odwrócę od was swoją uwagę. Przynajmniej tak mi się wydaje. Ale... nie chcę! - W jego głosie zabrzmiał lęk. - Chcę, żebyście byli prawdziwi, żeby wszystko było

prawdziwe, łącznie z doktorem Hagopianem.

Oficer Myers przełączył swój nadajnik na linię numer 2.

- Połączcie mnie z doktorem Hagopianem w San Jose. To nagły wypadek, pacjent wymaga natychmiastowej konsultacji.

Rozległo się kliknięcie i obwód został ustalony.

Spoglądając na towarzysza, oficer Myers powiedział:

- Sam widziałeś. Widziałeś, jak przekłada rękę przez dach. Może istotnie mógłby nas zdematerializować. - Nie miał ochoty przekonać się na własnej skórze, czy to prawda. Był oszołomiony i żałował, że nie zostawił Cupertino w spokoju, zamiast pozwolić mu gnać przed siebie autostradą. Dokądkolwiek chciał.

- Wiem, czym to jest spowodowane - wtrącił na wpół do siebie Cupertino. Wyciągnął paczkę papierosów i zapalił; ręce nieco przestały mu drżeć. - Wszystko z powodu śmierci Carol, mojej żony.

Żaden z oficerów nie wdał się z nim w dyskusję. Zachowali milczenie i czekali na połączenie z doktorem Hagopianem.

Narzuciwszy marynarkę na pizamę w obawie przed nocnym chłodem, Gottlieb Hagopian przyjął pacjenta, pana Cupertino, w gabinecie w San Jose. Doktor Hagopian włączył światło, podkręcił ogrzewanie, po czym przystawił krzesło i przyglądziwszy zmierzwione włosy, zachodził w głowę, co też pacjent pomyśli, widząc go w tak niecodziennej fryzurze.

- Przepraszam, że wyrwałem pana z łóżka - powiedział Cupertino tonem, który przeczył jego słowom. Jak na godzinę czwartą rano, on sam wydawał się rześki jak ptak. Założywszy nogę na nogę, palił papierosa, podczas gdy doktor Hagopian, przeklinając i mruczac pod nosem w bezsilnej złości, włączył ekspres do kawy; tyle przynajmniej mógł zrobić.

- Na podstawie pańskiego zachowania - powiedział doktor Hagopian - policjanci sądzili, że zażył pan jakieś stymulatory. My wiemy lepiej. Doskonale wiedział, że Cupertino zawsze zachowywał się w ten sposób, wykazywał lekko maniakalne tendencje.

- Nie powinienem był zabijać Carol - odparł Cupertino. - Od tamtej pory wszystko się zmieniło.

- Teraz pan za nią tęskni? Podczas wczorajszej wizyty twierdził pan...

- Tamto było za dnia; zawsze gdy świeci słońce, czuję się pewnie. Tak przy

okazji... zaangażowałem prawnika. Nazywa się Phil Wolfson.

- Po co? - Przeciwko Cupertino nie toczyła się żadna sprawa sądowa, obaj o tym wiedzieli.

- Potrzebuję profesjonalnej rady. Oprócz pańskiej. Nie krytykuję pana, doktorze, proszę nie brać tego do siebie. Moja sytuacja ma jednak pewne aspekty natury bardziej prawnej niż medycznej. Sumienie to ciekawe zjawisko, spoczywa częściowo w sferze psychologicznej, częściowo...

- Kawy?

- Chryste, nie. Na cztery godziny pobudza działanie nerwów układu obwodowego.

Czy opowiedział pan policji o Carol? - zapytał doktor Hagopian. O tym, że ją pan zabił?

- Powiedziałem tylko, że nie żyje. Byłem ostrożny.

- Nie był pan zbyt ostrożny, jadąc z szybkością stu sześćdziesięciu mil na godzinę. W dzisiejszej „Chronice” opisano podobny wypadek - wydarzył się na autostradzie wiodącej wzdłuż zatoki - policja stanowa zniszczyła samochód pędzący z prędkością stu pięćdziesięciu mil. Był to akt usankcjonowany prawnie. Bezpieczeństwo publiczne, życie...

- Ostrzegali go - wpadł mu w słowo Cupertino. Słowa lekarza nie wywarły na nim najmniejszego wrażenia, co więcej, uspokoiły go. - Nie chciał się zatrzymać. Pijak.

- Oczywiście, zdaje pan sobie sprawę, że Carol żyje - powiedział doktor Hagopian. -1 mieszka tu, na Ziemi, w Los Angeles.

- Oczywiście. - Cupertino z irytacją skinął głową. Dlaczego Hagopian musiał na okrągło powtarzać to, co oczywiste? Rozmawiali na ten temat niezliczoną ilość razy i psychiatra bez wątplenia miał zamiar zadać mu dobrze znane pytanie: jak mógł zabić swoją żonę, skoro ona żyje? Poczul znużenie i rozdrażnienie, sesja z Hagopianem prowadziła donikąd.

Doktor Hagopian chwycił notes, nabazgrał coś szybko, po czym wydarł kartkę i podał mu ją.

- Recepta? - Cupertino czujnie sięgnął po kartkę.

- Nie. Adres.

Cupertino zobaczył, że był to adres w południowej Pasadenie. Nie ulegało wątpliwości, że tam mieszkała Carol. Ze złością spojrział na kartkę.

- Zaryzykuję - powiedział doktor Hagopian. - Chcę, żeby pan tam poszedł i stanął z nią oko w oko. Potem...

- Niech pan powie komisji kierowniczej Przedsiębiorstw Edukacyjnych Sześciu Planet, aby zobaczyła się z nią, nie ze mną - odparł Cupertino, oddając lekarzowi kartkę. - To oni ponoszą odpowiedzialność za całą tragedię, to przez nich zdecydowałem się na ten krok. Sam pan o tym wie, niech pan tak na mnie nie patrzy. To był ich plan, który należało zachować w tajemnicy, nieprawdaż?

Doktor Hagopian westchnął.

- O godzinie czwartej nad ranem wszystko ma mglistą postać. Cały świat wydaje się nam złowrogi. Zdaję sobie sprawę z tego, że w owym czasie, na Ganimesie, pracował pan dla Sześciu Planet. Lecz odpowiedzialność moralna... - Urwał. - Trudno powiedzieć, panie Cupertino. To pan nacisnął spust, tak więc odpowiedzialność moralna spoczywa na panu.

- Carol miała zamiar poinformować lokalne homeogazety o szykującym się powstaniu wywoleńczym, w które zamieszana była władza burżuazyjna, w tym Sześć Planet. Powiedziałem jej, że nie możemy sobie pozwolić na jakikolwiek przeciek. Kierowały ją nikczemne motywy. Zrobiła to z nienawiści do mnie, w gruncie rzeczy nie chodziło o względy polityczne. Tak jak wszystkie kobiety działała pod wpływem próżności i zranionej dumy.

- Niech pan się zgłosi pod ten adres w Pasadenie - nalegał doktor Hagopian. - Niech pan zobaczy się z Carol. Proszę się przekonać, że pan jej nigdy nie zabił, że to, co się zdarzyło trzy lata temu na Ganimesie, było... - Gestykułując, usiłował dobrać odpowiednie słowo.

- No właśnie, doktorze - powiedział kąśliwie Cupertino. - Cóż to takiego było? Ponieważ tamtego dnia, a raczej tamtej nocy, trafiłem Carol wiązką promieni laserowych tuż nad oczami, prosto w płat czołowy. Kiedy opuszczałem jej mieszkanie i jechałem na lotnisko, by złapać statek na Ziemię, była niezaprzeczalnie martwa. - Czekał. Znalezienie właściwych słów przysporzy Hagopianowi niejakich trudności. Musiał uzbroić się w cierpliwość.

- Tak, ma pan szczegółową pamięć - przyznał po chwili doktor Hagopian - opis całego zdarzenia znajduje się w mojej kartotece i nie widzę powodu, aby to powtarzać, zwłaszcza o tej porze. Ja nie wiem, skąd u pana podobne wspomnienia. Wiem natomiast, że nie są prawdziwe, ponieważ spotkałem pańską żonę, rozmawiałem z nią i prowadziliśmy korespondencję; wszystko po domniemanym

morderstwie na Ganimedesie. Przynajmniej tyle mi wiadomo.

- Proszę podać mi sensowny powód, dla którego miałbym się z nią spotkać - odparł Cupertino. Wykonał ruch, jakby chciał podrzeć kartkę z adresem.

- Jeden? - zapytał doktor Hagopian. Poszarzał ze zmęczenia. - Owszem, potrafię podać panu dobry powód, przypuszczam jednak, że nie przyjmie go pan do wiadomości.

- Proszę spróbować.

- Tamtej nocy, kiedy pan ją jakoby zabił, Carol znajdowała się na Ganimedesie - powiedział doktor Hagopian. - Może ona byłaby w stanie wyjaśnić panu przyczyny, dla których pańskie wspomnienia są takie, a nie inne. W listach dała mi do zrozumienia, że coś na ten temat wie. - Spojrzał uważnie na Cupertino. - Nic więcej nie chciała mi powiedzieć.

- Pojadę - odrzekł Cupertino. I pospiesznie skierował się ku wyjściu z gabinetu. Dziwne, pomyślał, dowiadywać się szczegółów na temat śmierci pewnej osoby od samego zainteresowanego. Mimo to Hagopian miał rację; Carol to jedyna osoba, która była wówczas obecna... dawno temu powinien zdać sobie sprawę, że prędzej czy później będzie musiał stanąć z nią twarzą w twarz.

Temu elementowi w jego logice trudno było sprostać.

O szóstej rano stanął przed niedużym domem Carol Holt Cupertino. Wielokrotnie musiał naciskać dzwonek, nim drzwi stanęły otworem i na progu pojawiła się zaspana Carol w błękitnej nylonowej koszuli nocnej i futrzanych kapciach. Obok niej przebiegł kot i wypadł na dwór.

- Pamiętasz mnie? - zapytał Cupertino, ustępując zwierzęciu z drogi.

- O Boże. - Odgarnawszy z oczu chmurę jasnych włosów, skinęła głową. - Która godzina? - Niemal wyludnione ulice wypełniało szare, zimne światło. Carol zadrżała, oplatając ciało ramionami. - Jakim cudem tak wcześnie wstałeś? Zwykle nie wychodziłeś z łóżka przed ósmą.

- Jeszcze się nie kładłem. - Wyminął ją i wszedł do mrocznego salonu z opuszczonymi roletami. - Może tak byśmy się napili kawy?

- Jasne. - Apatycznie powlokła się do kuchni i wcisnęła na piecu guzik z napisem GORĄCA KAWA. Kolejno pojawiły się dwie filiżanki, rozsiewając wokół aromatyczną woń. - Dla mnie ze śmietanką - powiedziała.

- Dla ciebie z cukrem i śmietanką. Jesteś bardziej infantylny. - Carol podała mu filiżankę; jej zapach - ciepła, łagodności i snu - zmieszał się z aromatem kawy.



- Nic a nic się nie zestarzałaś, a upłynęły przecież trzy lata - powiedział Cupertino.

Carol usiadła przy kuchennym stole, wciąż skromnie zaplatając ręce na piersi.

- Czy to zarzut? - zapytała. Na jej policzkach widniał rumieniec, oczy lśniły.

- Nie. Komplement. - On również usiadł. - Hagopian mnie tu przysłał, twierdził, że powinienem się z tobą zobaczyć. Najwyraźniej...

- Tak - przerwała mu Carol. - Poznałam go. Kilka razy byłam służbowo w północnej Kalifornii, zajrzałam do niego... prosił mnie o to w liście. Lubię go. W gruncie rzeczy powinieneś już być wyleczony.

- Wyleczony? - Wzruszył ramionami. - Chyba jestem. Tyle że...

- Tyle że wciąż masz tę swoją idée fixe. Te swoje urojenia, którym nie pomoże żadna psychoanaliza. Tak?

- Jeżeli masz na myśli wspomnienie o tym, że cię zabiłem, to owszem

- odparł Cupertino. - Ciągle je mam. Wiem, że tak się stało. Doktor Hagopian uważał, że mogłabyś coś mi na ten temat powiedzieć; bądź co bądź, jak zaznaczył...

- Tak - potwierdziła. - Czy jednak rzeczywiście warto o tym z tobą rozmawiać? Boże, jest dopiero szósta rano. Czy nie mogłabym wrócić do łóżka i spotkać się z tobą później, na przykład wieczorem? Nie? - Westchnęła. - No dobrze. Cóż, próbowałeś mnie zabić. Rzeczywiście miałeś pistolet laserowy. Działo się to w naszym mieszkaniu w Nowym Detroit-G na Ganimesesie, dwunastego marca 2014 roku.

- Dlaczego próbowałem cię zabić?

- Sam wiesz - odparta z goryczą, wzburzona oddychała pośpiesznie.

- Tak. - W ciągu trzydziestu pięciu lat życia nie popełnił większego błędu. W procesie rozwodowym wiedza na temat szykującej się rewolty dała żonie dominującą pozycję; mogła dyktować mu warunki, jak chciała. Wreszcie jej finansowe żądania stały się zbyt wygórowane i poszedł do mieszkania, które niegdyś dzielili - sam tymczasem przeniósł się do niniejszego, na drugim końcu miasta - i wyznał otwarcie, że nie może sprostać jej oczekiwaniom. Wtedy usłyszał groźbę, że Carol pójdzie do działających na Ganimesesie homeostatycznych filii nowojorskiego „Timesa” i „Daily News”.

- Wyjąłeś pistolet laserowy - mówiła Carol - i bawiłeś się nim, niewiele mówiąc. Tym samym jednak przekazałeś mi swoje ultimatum: albo miałam przyjąć twoje nieuczciwe warunki, które...

- Czy oddałem strzał? -Tak.

- Trafiłem cię?

- Chybiłeś, a ja wypadłam z domu i pobiegłam do windy. Pojechałam na pierwsze piętro do sierżanta dyżurnego i stamtąd zadzwoniłam na policję. Przyjechali. Znaleźli cię w mieszkaniu. Płakałeś - dorzuciła miażdżącym tonem.

- Chryste - powiedział Cupertino. Oboje milczeli przez chwilę, pijąc kawę. Błada dłoń siedzącej naprzeciwko żony zadrżała, jej filiżanka szczęknęła o spodek.

- Naturalnie - podjęła rzeczowo Carol - doprowadziłam sprawę rozwodową do końca. Biorąc pod uwagę okoliczności...

- Doktor Hagopian myślał, że możesz wiedzieć, dlaczego pamiętam zabicie cię tamtej nocy. Twierdził, że napomknęłaś coś na ten temat w swoim liście.

Jej niebieskie oczy zalśniły.

- Tamtej nocy nie miałeś żadnych fałszywych wspomnień; wiedziałeś, że przegrałeś. Amboynton, prokurator okręgowy, dał ci wybór pomiędzy poddaniem się przymusowemu leczeniu psychiatrycznemu a aresztowaniem pod zarzutem próby zabójstwa pierwszego stopnia. Rzecz jasna wybrałeś to pierwsze, dlatego chodzisz do doktora Hagopiana. Fałszywe wspomnienia... powiem ci dokładnie, skąd się wzięły. Odwiedziłeś swojego pracodawcę, Przedsiębiorstwa Edukacyjne Sześciu Planet; odwiedziłeś ich psychologa, doktora Edgara Greena, pracującego w dziale personalnym. Działo się to niedługo przed twoim opuszczeniem Ganimedesa i przybyciem na Terę. - Podniosła się, aby napełnić opróżnioną filiżankę. - Przypuszczam, że to doktor Green maczał palce w zaszczepieniu ci pamięci o morderstwie.

- Ale dlaczego? - zapytał Cupertino.

- Wiedzieli, że opowiedziałeś mi o planowanym powstaniu. Miałeś popełnić samobójstwo z żalu i rozpacz, zamiast tego jednak zrobiłeś rezerwację na lot, tak jak ustaliłeś z Amboyntonem. Dla ścisłości, rzeczywiście targnąłeś się na swoje życie podczas podróży... ale na pewno o tym pamiętasz.

- Opowiadaj. -Nic sobie nie przypominał.

- Pokażę ci wycinek z gazety, zachowałam go. - Wyszła z kuchni, z sypialni dobiegł jej głos. - Przez wzgląd na błędnie pojmovany sentyment. „Pasażer na statku międzyplanetarnym schwytyany jako...” - Carol urwała i zapadła cisza.

Cupertino siedział, popijając kawę. Był przekonany, że Carol nie znajdzie żadnego wycinka. Nigdy nie podjął próby samobójczej. Carol wróciła do kuchni ze

zdziwieniem na twarzy.

- Nie mogę go znaleźć. Wiem, że był w pierwszym tomie „Wojny i pokoju”, używałam go jako zakładki. - Wyglądała na zmieszaną.

- Nie tylko ja miewam kłopoty z pamięcią - odparł Cupertino. - O ile można to tak nazwać. - Po raz pierwszy od trzech lat poczuł, że robi postępy.

Jednak kierunek rozwoju wciąż pozostawał niewyraźny. Przynajmniej na razie.

- Nic z tego nie rozumiem - doszła do wniosku Carol. - Coś tu nie gra. Czekał, aż Carol ubierze się w sypialni. Wreszcie wróciła do kuchni

w zielonym swetrze, spódnicy i butach na obcasach. Czesząc włosy, przystanąła obok pieca i nastawiła go na grzankę i dwa jajka na miękko. Dochodziła siódma; światło na ulicy przybrało złocisty odcień. Na ulicy zaczął się ruch; Cupertino słyszał szum wozów dostawczych i prywatnych samochodów.

- Jakim sposobem udało ci się zdobyć ten dom jednorodzinny? - zapytał. - Czy w okolicach Los Angeles, tak samo jak w zatoce, nie można znaleźć czegokolwiek prócz mieszkania w bloku?

- Przez moją pracodawcę.

- Kto jest twoim pracodawcą? - Odpowiedź poruszyła go, to musiał być ktoś wpływowy. Jego żona robiła karierę.

- Zrzeszenie Spadająca Gwiazda. Nigdy o nim nie słyszał.

- Czy ich wpływy sięgają poza Terre? - zapytał zbity z tropu. - Jeśli mają wymiar międzyplanetarny...

- To firma holdingowa. Jestem konsultantką przewodniczącego komisji, prowadzę badania rynkowe. Twój dawny pracodawca, Przedsiębiorstwo Edukacyjne Sześciu Planet, należy do nas, posiadamy pakiet większościowy. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Po prostu zbieg okoliczności.

Zjadła śniadanie, nie częstując go. Pewnie nie przeszło jej nawet przez myśl, by to zrobić. Ponuro śledził znajome dziobanie widelcem. Wciąż zachowywała się jak drobnomieszczanka, to się nie zmieniło. Musiał jednak przyznać, że była bardziej wytworna, bardziej kobieca niż kiedykolwiek.

- Myślę - powiedział Cupertino - że chyba rozumiem.

- Słucham? - Podniosła głowę, spoglądając na niego bacznie niebieskimi oczami. - Co rozumiesz, Johnny?

- To, co dotyczy ciebie - odparł Cupertino. - Twojej obecności. Jesteś

niewątpliwie całkiem rzeczywista... tak jak wszystko inne. Tak rzeczywista jak Pasadena, jak ten stół... - Uderzył mocno w plastikowy blat stołu. - Tak rzeczywista jak doktor Hagopian albo dwaj policjanci, którzy zatrzymali mnie tego ranka. Lecz do jakiego stopnia rzeczywista? Chyba na tym polega zasadnicze pytanie. To wyjaśniałoby fakt, że włożyłem rękę w dach samochodu. I nieprzyjemne uczucie, że wszystko dokoła mnie się dematerializuje, tak jakbym zamieszkiwał krainę cieni.

Patrząca na niego Carol wybuchła nagłym śmiechem. Następnie wróciła do przerwane go posiłku.

- Być może - ciągnął Cupertino - przebywam za karę w więzieniu na Ganimesesie albo w tamtejszym szpitalu psychiatrycznym. I w ciągu kilku ostatnich lat od twojej śmierci wytworzyłem sobie świat urojeń.

- O Boże - powiedziała Carol, potrząsając głową. - Nie wiem, czy mam płakać, czy się śmiać, to po prostu zbyt... - Machnęła ręką. - Zbyt żalosne. Naprawdę żał mi cię, Johnny. Zamiast porzucić ten urojony pomysł, wolisz wierzyć, że Terra razem ze wszystkimi mieszkańcami stanowi wytwór twojej wyobraźni. Posłuchaj: nie sądzisz, że bardziej opłacałoby ci się dać temu spokój? I odrzucić od siebie myśl, że mnie zabiłeś...

Zadzwonił telefon.

- Przepraszam. - Carol pospiesznie otarła usta i wstała. Cupertino nie ruszył się z miejsca, ponuro bawił się okruszem grzanki, który spadł z jej talerza. Masło ubrudziło mu palec. Oblizął go machinalnie, uświadamiając sobie dotkliwą pustkę w żołądku. Nastąpiła pora śniadania i pod nieobecność Carol podszedł do pieca i wcisnął odpowiednie guziki. Wkrótce miał przed sobą jajka sadzone na boczku, grzankę i gorącą kawę.

Ale jak mam żyć? - pomyślał. - Jak zyskać namacalny wymiar w świecie iluzji?

To na pewno prawdziwy posiłek. Dostarczony przez szpital lub więzienie; żywność istnieje, a ja w tej chwili ją spożywam. Istnieje pomieszczenie, ściany i podłoga... ale nie to pomieszczenie. Ani te ściany i ta podłoga.

I ludzie także istnieją. Ale nie ta kobieta. Nie Carol Holt Cupertino. Ktoś inny. Bezosobowy współwięzień albo oddziałowy. I lekarz. Może, uznał, to doktor Hagopian.

Tyle przynajmniej wiem. Doktor Hagopian naprawdę jest moim psychiatrą.  
Carol wróciła do kuchni i usiadła.

- Ty z nim porozmawiaj. To doktor Hagopian. Natychmiast podszedł do telefonu.

Na małym ekranie twarz doktora Hagopiana wydawała się napięta i nieruchoma.

- Widzę, że dotarł pan na miejsce, John. I co? Co się stało?

- Gdzie my jesteśmy, doktorze Hagopian? - zapytał Cupertino. Psychiatra zmarszczył brwi.

- Nie...

- Obaj znajdujemy się na Ganimesie, prawda?

- Ja jestem w San Jose, a pan w Los Angeles - odrzekł Hagopian.

- Chyba wiem, jak sprawdzić słuszność mojej teorii - powiedział Cupertino. - Zaprzestaną konsultować się z panem. Jeśli jestem więźniem na Ganimesie, nie będę mógł tego zrobić, jeżeli zaś, jak pan twierdzi, jestem wolnym obywatelem Terry...

- Znajduje się pan na Terze - przerwał mu Hagopian. - Nie jest pan jednak wolnym obywatelem. Próba zamordowania żony obliguje pana do prowadzenia regularnej psychoterapii. Dobrze pan o tym wie. Co Carol panu powiedziała? Czy uchyliła rąbka tajemnicy co do wydarzeń tamtej nocy?

- Tak bym powiedział - odrzekł Cupertino. - Dowiedziałem się, że pracuje dla macierzystej firmy Sześciu Planet, samo to czyni moją podróż wartą zachodu. Musiałem wtedy poznać prawdę na jej temat, że moi pracodawcy zatrudnili ją, aby mnie szpiegowała.

- Słucham? - Doktor Hagopian zamrugnął powiekami.

- Była moim cieniem. Chcieli sprawdzić, czy jestem lojalny, musieli obawiać się, że informacja o planowanym powstaniu za moim pośrednictwem dotrze do władz terrańskich. Dlatego kazali Carol mieć na mnie oko. Zdradziłem jej nasze plany, co prawdopodobnie utwierdziło ich w przekonaniu o mojej nierzetelności. Carol musiała otrzymać rozkaz zabicia mnie. Podjęła nieudaną próbę, a wszyscy wplątani w tę sprawę zostali ukarani przez władze terrańskie. Carol uciekła, ponieważ nie figurowała na oficjalnej liście pracowników Sześciu Planet.

- Chwileczkę - powiedział doktor Hagopian. - To brzmi dość prawdopodobnie. Ale... - Uniósł rękę. - Panie Cupertino, powstanie powiodło się, to fakt historyczny. Trzy lata temu Ganimes, Io i Kalisto jednocześnie odrzuciły dominację terrańską i stały się suwerennymi, niezależnymi księżycami. Każde dziecko od trzeciej klasy

wzwyż o tym wie, była to tak zwana Tri-Lunarna Wojna 2014. Nigdy nie poruszaliśmy tego tematu, sądziłem jednak, że jest pan świadomy sytuacji jak... - Zrobił wymowny ruch ręką. - Cóż, jak każdej innej rzeczywistości historycznej.

Odwracając się od telefonu, John Cupertino spojrzął na Carol:

- Czy to prawda?

- Oczywiście - odrzekła Carol. - Czy przekonanie o porażce waszej małej rewolty również stanowi część twojej iluzji? - Uśmiechnęła się. Osiem lat pracowałeś dla jednego z głównych karteli ekonomicznych, który sprawował nad nią nadzór i dofinansowywał ją, a teraz z jakichś niejasnych przyczyn lekceważysz jej sukces. Naprawdę mi cię żal, Johnny. Jakie to przykre.

- Musi istnieć powód - odparł Cupertino - dla którego o tym nie wiem. Dlaczego oni postanowili to przede mną zataić. - Oszołomiony wyciągnął rękę...

Drżąca dłoń przeszła przez ekran wideofonu i znikła. Natychmiast cofnął ją, ręka pojawiła się ponownie. Widział jednak, jak znika. Zauważył i zrozumiał.

Iluzja była wiarygodna -jednak nie dość. Daleko jej było do doskonałości; miała swoje granice.

- Doktorze Hagopian - powiedział do widocznej na ekranie miniatury. - Nie sądzę, abym nadal się z panem widywał. Zwalniam pana. Proszę przesłać mi rachunek do domu. Bardzo dziękuję. - Wyciągnął rękę, by przerwać połączenie.

- Nie może pan tego zrobić - natychmiast wpadł mu w słowo doktor Hagopian. -Tak jak powiedziałem, terapia jest obowiązkowa. Niech pan spojrzy prawdzie w oczy, Cupertino; inaczej ponownie stanie pan przed sądem. Wiem, że pan tego nie chce. Proszę mi uwierzyć, nie byłoby to dla pana dobre.

Cupertino przerwał połączenie i ekran zgasł.

- Wiesz, że on ma rację - odezwała się z kuchni Carol.

- On kłamie - skwitował Cupertino. Powoli wrócił do stołu i podjął przerwany posiłek.

Wróciwszy do swego mieszkania w Berkeley, zamówił rozmowę z doktorem Edgarem Greenem z Przedsiębiorstw Edukacyjnych Sześciu Planet na Ganimedesie. Po upływie pół godziny uzyskał połączenie.

- Pamięta mnie pan, doktorze Green? - zapytał. Widniejąca na monitorze raczej nalana twarz mężczyzny w średnim wieku była mu całkowicie obca, nie wierzył, że kiedykolwiek wcześniej ją widział. Jednak przynajmniej jeden element

fundamentalnej rzeczywistości okazał się zgodny z prawdą: doktor Edgar Green z działu personalnego Sześciu Planet naprawdę istniał. Carol nie kłamała.

- Widziałem pana - odparł doktor Green. - Ale z przykrością muszę przyznać, że nie pamiętam pańskiego nazwiska.

- John Cupertino. Obecnie jestem na Terze, dawniej mieszkałem na Ganimedesie. Nieco ponad trzy lata temu, tuż przed rewoltą, toczyła się przeciwko mnie dość sensacyjna rozprawa. Zostałem oskarżony o zamordowanie mojej żony, Carol. Czy to coś panu mówi, doktorze?

- Hmm - odparł doktor Green, marszcząc czoło. Uniósł brew. - Czy został pan uniewinniony, panie Cupertino?

- Obecnie znajduję się pod opieką psychiatryczną - odrzekł z wahaniem Cupertino - tutaj, w okolicach Zatoki Kalifornijskiej. O ile to coś panu mówi.

- Na podstawie pańskich słów zakładam, że został pan uznany za niepoczytalnego. I dlatego nie mógł ponieść odpowiedzialności za swój czyn.

Cupertino niepewnie skinął głową.

- Możliwe - ciągnął doktor Green - że z panem rozmawiałem. Coś mi świta. Widuję jednak tylu ludzi... czy był tu pan zatrudniony?

- Tak - odpowiedział Cupertino.

- Czego pan ode mnie oczekuje, panie Cupertino? Najwyraźniej czegoś pan chce; inaczej nie zamawiałby pan tak kosztownej rozmowy. Proponuję, aby z przyczyn praktycznych - mam na uwadze zwłaszcza stan pańskiego portfela - przeszedł pan do rzeczy.

- Chciałbym, aby przysłał mi pan historię mojej sprawy - powiedział Cupertino. - Bezpośrednio do mnie, nie do mojego psychiatry. Czy da się to zrobić?

- W jakim celu, panie Cupertino? Aby zabezpieczyć sobie zatrudnienie?

Cupertino odetchnął głęboko.

- Nie, doktorze. Chciałbym uzyskać całkowitą pewność co do technik psychiatrycznych zastosowanych w moim przypadku. Przez pana i członków pańskiego zespołu medycznego. Mam powody, aby przypuszczać, że przeszedłem u pana zasadniczą terapię korekcyjną. Czy mam prawo o tym wiedzieć, doktorze? Mam wrażenie, że tak. - Czekał, myśląc: Mam szansę jedną na tysiąc, że dowiem się czegoś od tego człowieka. Niemniej warto spróbować.

- Terapię korekcyjną? Chyba coś się panu pomyliło, panie Cupertino. My przeprowadzamy jedynie badanie uzdolnień, analizę charakterologiczną... nie

stosujemy żadnej terapii. Nasze zadanie ogranicza się do sprawdzenia kandydata na dane stanowisko celem...

- Doktorze Green - przerwał mu Cupertino - czy był pan osobiście zaangażowany w rewoltę sprzed trzech lat?

Green wzruszył ramionami.

- Wszyscy byliśmy. Każdy na Ganimesie czuł się patriotą. - Jego głos był pozbawiony wyrazu.

- Czy w trosce o przebieg rewolty - podjął Cupertino - zaszczyliłby pan w moim umyśle złudzenia mające na celu...

- Przykro mi - przerwał mu Green. - Nie ulega wątpliwości, że jest pan chory psychicznie. Nie ma sensu marnować pieniędzy na tę rozmowę, dziwię się, że pozwolili panu połączyć się z linią zewnętrzną.

- Ale podobne złudzenia mogą być zaszczycone - nie ustępował Cupertino. - Umożliwiają je współczesne techniki psychiatryczne. Musi pan to przyznać.

Doktor Green westchnął.

- Owszem, panie Cupertino. Jest to możliwe od połowy dwudziestego wieku. Techniki, o których pan wspomniał, zostały opracowane już w latach czterdziestych przez Instytut Pawiowa w Moskwie i udoskonalone jeszcze przed wybuchem wojny koreańskiej. Można zmusić człowieka, by uwierzył we wszystko.

- Czyli Carol mogła mieć rację. - Nie wiedział, czy czuje się zawiedziony, czy podniesiony na duchu. Oznaczałoby to, stwierdził, że nie jest mordercą; to liczyło się najbardziej. Carol żyje, a jego przeżycia na Terze, kontakt z ludźmi, miastami i obiektami był rzeczywisty. A jednak... - Czy gdybym pojechał na Ganimesa - powiedział - mógłbym obejrzeć swoją kartotekę? Oczywiście, skoro czuję się na tyle dobrze, by odbyć tę podróż, oznacza to, że nie jestem wariatem objętym przymusową terapią psychiatryczną. Być może jestem chory, doktorze, ale nie aż do tego stopnia. - Czekał. Szansę były niewielkie, nie zaszkodzi jednak spróbować.

- Cóż - odparł z namysłem doktor Green. - Nie ma przepisu, który zabraniałby pracownikowi - lub byłemu pracownikowi - wglądu do swojej kartoteki. Myślę, że mógłbym to dla pana zrobić. Wolałbym jednak najpierw skontaktować się z pańskim psychiatrą. Poda mi pan jego nazwisko? Jeśli on wyda zgodę, oszczędzę panu podróży i otrzyma pan przesyłkę dziś wieczorem swojego czasu.

Podał doktorowi Greenowi nazwisko swojego psychiatry. Następnie odłożył słuchawkę. Co na to Hagopian? Było to interesujące pytanie, na które nie znał



odpowiedzi. Nie miał pojęcia, jaki będzie kolejny ruch Hagopiana.

Do wieczora będzie wiedział. Tego przynajmniej był pewien.

Miał przeczucie, że Hagopian się zgodzi. Tyle że z niewłaściwych powodów.

Nie miało to jednak większego znaczenia, motywy Hagopiana były nieistotne - zależało mu jedynie na kartotece. Na tym, by ją przeczytać i przekonać się, czy Carol miała rację.

Dwie godziny później - czyli po niewiarygodnie długim czasie - przyszło mu do głowy, że Przedsiębiorstwa Edukacyjne Sześciu Planet mogły bez większych trudności usunąć z jego kartoteki najważniejsze informacje. I wysłać na Ziemię podrobiony, bezwartościowy dokument.

Co miał dalej robić?

Dobre pytanie. Pytanie, na które - na razie - nie potrafił odpowiedzieć.

Tego wieczora, kartoteka z działu personalnego Sześciu Planet na Ganimedesie została doręczona do jego mieszkania przez posłańca Unii Zachodniej. Dał posłańcowi napiwek, usiadł w salonie i otworzył kartotekę.

Niemal od razu stwierdził, że potwierdzają się jego podejrzenia: kartoteka nie zawierała żadnej wzmianki na temat zaszczepionych złudzeń. Albo zadbano, by ją wyeliminować, albo Carol się myliła. Myliła się lub... kłamała. Tak czy inaczej, nie dowiedział się nic nowego.

Zadzwoił do uniwersytetu w Kalifornii i po tym, jak przełączano go od jednej osoby do drugiej, natrafił wreszcie na kogoś, kto zdawał się rozumieć, o co mu chodzi.

- Potrzebuję analizy - wyjaśnił Cupertino - pisemnego dokumentu. Chciałbym dowiedzieć się, kiedy został sporządzony. To depesza Unii Zachodniej, tak więc będziecie musieli polegać wyłącznie na anachronizmach językowych. Chciałbym wiedzieć, czy materiał pochodzi sprzed trzech lat, czy może później. Uważa pan, że dacie radę na podstawie tak niepełnych danych?

- W ciągu ostatnich trzech lat wprowadzono niewiele zmian językowych - powiedział filolog uniwersytecki. - Możemy jednak spróbować. Kiedy dokument ma do pana wrócić?

- Jak najszybciej - odparł Cupertino.

Wezwał posłańca, który miał dostarczyć kartotekę na uniwersytet, po czym zagłębił się w rozmyślaniach nad jeszcze innym aspektem sytuacji.

Skoro jego pobyt na Terze był iluzoryczny, chwile, kiedy jego percepcja najbardziej zbliżała się do rzeczywistości, następowały podczas sesji / doktorem Hagopianem. Czyli jeśli miał-kiedykolwiek przewyciężyć złudzenia i powrócić do rzeczywistości, stałoby się to zapewne właśnie wtedy. I właśnie wtedy powinien się na tym najbardziej skoncentrować. Gdyż jeden fakt nie pozostawiał żadnych złudzeń: były to spotkania z doktorem Hagopianem.

Podszedł do telefonu z chęcią porozmawiania z doktorem Hagopianem. Ostatniej nocy, po aresztowaniu, lekarz przyszedł mu z pomocą. Okres dzielący jedną wizytę od drugiej był nadzwyczaj krótki, mimo to Cupertino wykrcił numer. Analiza sytuacji usprawiedliwiała ten zamiar; koszt nie grał dla niego roli... Wówczas przyszło mu coś do głowy.

Aresztowanie. Naraz przypomniał sobie słowa policjanta, który oskarżył go o zażywanie ganimedejskiego narkotyku o nazwie frohedadryna. Miał ku temu powody: Cupertino zdradzał symptomy.

Być może właśnie to stanowiło modus operandi, za pomocą którego podtrzymywano złudzenia. Podawano mu frohedadrynę w niewielkich, regularnych dawkach, może w jedzeniu.

Czyż nie był to jednak paranoiczny - innymi słowy, obłąkańczy - pomysł?

Paranoiczny czy nie, nie był pozbawiony sensu.

Potrzebował badania krwi. Wykazałoby obecność narkotyku. Musiał jedynie zgłosić się do kliniki pracowniczej swojej firmy w Oakland i poprosić o test, gdyż podejrzewał toksemię. I w przeciągu godziny otrzyma wynik.

Jeśli okaże się, że jest pod wpływem frohedadryny, potwierdzi to jego domysły, że wciąż przebywał na Ganimesesie, a nie na Terze. I wszystko, czego doświadczył - lub też wydawało mu się, że doświadczył - było złudzeniem, może prócz regularnych, obowiązkowych wizyt u psychiatry.

Niezwłocznie powinien poddać się badaniu krwi. Mimo to wzbraniał się przed tym. Dlaczego? Odkrył sposób na skuteczną analizę, a jednak próbował się wycofać.

Czy chciał poznać prawdę?

Nie ulegało wątpliwości, że test był konieczny. Zapominając na chwilę o doktorze Hagopianie, poszedł do łazienki, aby się ogolić, następnie włożył czystą koszulę i krawat, po czym opuścił mieszkanie i skierował się w stronę zaparkowanego samochodu. Za kwadrans znajdzie się w klinice swego pracodawcy.

Pracodawcy. Przystanął z ręką na kłamce, czując się nedorzecznie.

Ten urojony świat posiadał pewne niedociągnięcia. Cupertino nie miał pojęcia, gdzie pracuje. Zasadniczy segment jego świata po prostu nie istniał.

Po powrocie do mieszkania wykręcił numer doktora Hagopiana.

- Dobry wieczór, John - powiedział nieco kwaśnym tonem lekarz. Widzę, że wrócił pan do siebie. Nie zabawił pan długo w Los Angeles.

- Doktorze, nie wiem, gdzie pracuję - rzucił ochryple Cupertino. Coś musiało potoczyć się nie tak; przecież dawniej wiedziałem, w gruncie rzeczy aż do dzisiaj. Czyż nie chodziłem do pracy cztery razy w tygodniu jak wszyscy inni?

- Oczywiście - odparł niewzruszenie doktor Hagopian. - Jest pan pracownikiem firmy w Oakland, Triplan Industries SA, przy alei San Pablo w pobliżu ulicy Dwudziestej Pierwszej. Niech pan sprawdzi adres w swoim notesie z telefonami. Ale... radziłbym panu położyć się do łóżka i odpocząć, zeszłej nocy nie zmrużył pan oka i najwyraźniej dają o sobie znać skutki zmęczenia.

- A gdyby tak - odpowiedział Cupertino - coraz większe partie iluzorycznego świata zaczęły się załamywać. Nie byłoby to dla mnie przyjemne. - Jeden brakujący element przeraził go, zupełnie jakby przestała istnieć część jego samego. Nie wiedzieć, gdzie się pracuje - w jednej chwili poczuł się doszczętnie odizolowany od innych. O czym jeszcze zapomniał? Być może winę ponosiło zmęczenie; może Hagopian miał rację. Ostatecznie był za stary, aby nie spać całą noc. Minęły czasy sprzed dziesięciu lat, kiedy wraz z Carol byli do tego zdolni.

Zrozumiał, że chce pozostać w świecie złudzeń. Czuł przerażenie, że wszystko wokół niego legnie w gruzach. Powierzchność tworzyła jego świat; bez niej nie istniał.

- Doktorze - powiedział - czy mógłbym zobaczyć się z panem dziś wieczorem?

- Przecież dopiero co się widzieliśmy - zaproponował doktor Hagopian. Nie ma potrzeby, by wizyty odbywały się tak często. Proszę poczekać do końca tygodnia. W tym czasie...

- Chyba rozumiem, na czym opiera się iluzja - powiedział Cupertino.

- Na codziennych dawkach przyjmowanej ustnie frohedadryny aplikowanej mi w żywności. Może mój wyjazd do Los Angeles pozbawił mnie jednej dawki, to tłumaczyłoby zachwianie jednego z elementów świata. Albo, jak pan twierdzi, to rezultat zmęczenia. Tak czy inaczej, moje przypuszczenia potwierdziły się: żyję w świecie iluzji i niepotrzebne mi już ani badanie krwi, ani kalifornijski uniwersytet.

Carol nie żyje -jestem tego pewien. Pan jest moim psychiatrą na Ganimesesie, ja zaś od trzech lat przebywam w areszcie. Przyzna mi pan rację? - Na próżno czekał na odpowiedź, twarz lekarza pozostała bez wyrazu. - Nigdy nie byłem w Los Angeles - dodał Cupertino. - Przypuszczalnie nie opuszczani niewielkiego terenu. Nie mogę przemieszczać się tak swobodnie, jakby się mogło wydawać. I dziś rano nie byłem u Carol, prawda?

- Co pan ma na myśli, mówiąc „badanie krwi” - zapytał z wolna doktor Hagopian. - Skąd przyszło to panu do głowy? - Uśmiechnął się lekko.

- Skoro żyje pan w świecie iluzji, wynik badania krwi również byłby iluzoryczny. W czym miałyby to panu pomóc?

Nie pomyślał o tym, oniemiały nie potrafił zdobyć się na odpowiedź.

- A kartoteka, o którą prosił pan doktora Greena - ciągnął doktor Hagopian. - Którą otrzymał pan, a następnie przekazał uniwersytetowi w Kalifornii celem analizy; ona tak samo. Jakim sposobem wynik ich analizy...

- Nie mógł pan o tym wiedzieć, doktorze - przerwał mu Cupertino. Przypuszczalnie dotarły do pana wieści o mojej rozmowie z doktorem Greenem i prośbie o kartotekę, Green mógł z panem o tym rozmawiać. Nie mógł pan jednak wiedzieć o wysłaniu kartoteki do uniwersytetu. Przykro mi, doktorze, ale dzięki nieścisłości logiki wewnętrznej świat zdradził swoją nierzeczywistość. Zbyt wiele pan o mnie wie. Ja natomiast domyślam się, w jaki sposób ostatecznie potwierdzić moją teorię.

- Mianowicie? - Ton Hagopiana był chłodny.

- Muszę wrócić do Los Angeles i ponownie zabić Carol.

- Na miłość boską, co też...

- Nie można zabić kobiety, która nie żyje od trzech lat - odpowiedział Cupertino. - To niemożliwe. - Zrobił ruch, by przerwać połączenie.

- Chwileczkę - rzucił pośpiesznie Hagopian. - Niech pan posłucha, Cupertino. Muszę zawiadomić policję, sam pan mnie do tego zmusił. Nie mogę pozwolić panu pojechać tam i zabić tej kobiety, aby... - Urwał. - Po raz drugi targnąć się na jej życie. Dobrze, Cupertino, przyznaję, że kilka spraw zostało przed panem zatajonych. W pewnym sensie ma pan rację: jesteśmy na Ganimesesie, nie na Terze.

- Ach tak - odparł Cupertino, postanawiając nie przerywać rozmowy.

- Ale Carol naprawdę żyje - ciągnął Hagopian. Zaczął się pocić. Najwidoczniej w obawie przed tym, że Cupertino odłoży słuchawkę, wyjąkał:

- Jest równie rzeczywista jak pan i ja. Próbował ją pan zabić i nie udało się; poinformowała homeoprasę o zamierzonej rewolcie. Dlatego przewrót nie do końca się udał. Jesteśmy tu, na Ganimesie, otoczeni kordonem terrańskich statków militarnych; zostaliśmy odcięci od reszty Układu Słonecznego. Żyjemy na awaryjnych racjach żywnościowych. Ogranicza się nas we wszystkim, co robimy, nie dajemy jednak za wygraną.

- Skąd się wziął mój świat złudzeń? - Czuł, jak ogarnia go niepohamowany, wewnętrzny chłód; wypełnia jego klatkę piersiową i serce. - Kto mi go zaszczerpił?

- Nikt. To syndrom ucieczki spowodowany pańskim poczuciem winy. To przez pana, Cupertino, rewolta poniosła klęskę. Przez to, że powiedział pan Carol - dobrze pan o tym wie. Próbował pan popełnić samobójstwo i nie udało się, stąd wycofał się pan w swój urojony świat.

- Gdyby Carol powiadomiła władze terrańskie, nie byłaby teraz na wolności...

- Tak jest. Pańska żona przebywa obecnie w więzieniu, gdzie pan ją odwiedził, w Nowym Detroit-G, tutaj, na Ganimesie. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jaki efekt wywrą na pańskie urojenia te informacje. Mogą przyczynić się do dalszej dezintegracji, a może nawet przywrócą panu jasne spojrzenie na obecną, trudną sytuację mieszkańców Ganimesa. Zazdrościłem panu, Cupertino, w ciągu ostatnich trzech lat, nie musiał pan stawić czoła nękającym nas trudnościom. Teraz... - Wzruszył ramionami. - Zobaczymy.

- Dzięki za informacje - powiedział Cupertino po chwili milczenia.

- Niech pan mi nie dziękuje, zrobiłem to, by powstrzymać pana od bliskiego przemocy stanu ożywienia. Jest pan moim pacjentem i mam na uwadze pańskie dobro. Nie chodziło o ukaranie pana, ani teraz, ani kiedykolwiek. Szczególny rodzaj pańskiej choroby psychicznej, pańska ucieczka od rzeczywistości, w pełni odzwierciedlają żal za skutki własnej głupoty. - Hagopian wydawał się mizerny i poszarzały. - Tak czy inaczej, niech pan zostawi Carol w spokoju, nie do pana należy dokonanie zemsty. Proszę sprawdzić w Biblii, jak pan mi nie wierzy. Carol już poniosła swoją karę i dopóki jest w naszych rękach, nadal ją będzie ponosić.

Cupertino przerwał połączenie.

Czy mam mu wierzyć? - zapytał sam siebie.

Nie był pewien. Carol, pomyślał, a więc ze swoich niskich, wydumanych pobudek zaprzepaściłaś nasze starania. Byłaś wściekła na męża, więc ukazałaś cały księżyc na trzy lata z góry przegranej wojny.

Podszedł do komody w sypialni i wyjął pistolet laserowy. Spoczywał l n m w pudełku po chusteczkach przez trzy lata, odkąd opuścił Ganimedesa i przybył na Terrę.

Pora znów go użyć, pomyślał.

Zamówił przez telefon taksówkę. Tym razem pojedzie do Los Angeles transportem publicznym, nie własnym samochodem.

Chciał dotrzeć do Carol tak szybko, jak tylko było w ludzkiej mocy.

Raz ci się udało, myślał, podchodząc do drzwi wyjściowych mieszkania. Ale nie tym razem. Nie dwukrotnie.

Dziesięć minut później znajdował się na pokładzie rakiety ekspresowej, w drodze do Los Angeles i Carol.

Przed Johnem Cupertino leżał „Los Angeles Times”. Mężczyzna z niedowierzaniem ponownie przerzucił gazetę, wciąż nie mogąc znaleźć artykułu. Dlaczego nic nie ma? pomyślał. Ofiarą morderstwa padła młoda, atrakcyjna kobieta... wszedł do biura Carol, znalazł ją przy biurku i zabił na ih /ach jej współpracowników, po czym odwrócił się i niepowstrzymywany przez nikogo opuścił miejsce zbrodni. Zastygli ze strachu i zdumienia świadkowie nie byli w stanie wykonać najmniejszego gestu.

Mimo to w gazecie nie zamieszczono żadnej wzmianki. Ani słowa na temat morderstwa.

- Na próżno pan szuka - powiedział zza biurka doktor Hagopian.

- Musi tu gdzieś być - odrzekł uparcie Cupertino. - Taka zbrodnia... n co w tym wszystkim chodzi? - Oszołomiony odepchnął od siebie gazetę to bez sensu; oczywisty błąd w logice.

- Przede wszystkim - zaczął znużonym tonem doktor Hagopian - pistolet laserowy nie istniał, był złudzeniem. Po drugie, nie pozwoliliśmy panu na ponowną wizytę u żony, ponieważ znaleźmy pańskie plany. Dokładnie nam pan je unaoczniał. Nie widział pan jej ani nie zabił, a leżąca przed panem gazeta to nie „Los Angeles Times”, tylko „Nowe Detroit-G Star”, ograniczone zaledwie do czterech stron z powodu deficytu masy celulozowej. Cupertino utkwiał w nim wzrok.

- Tak jest - potwierdził doktor Hagopian, kiwając głową. - To znów się zdarzyło, John. Teraz ma pan wspomnienia dwukrotnego pozbawienia jej życia. I każde z nich jest równie nierealne jak drugie. Biedaku, najwyraźniej jest pan za

każdym razem skazany na porażkę. Chociaż nasi przywódcy nienawidzą Carol Holt Cupertino i żałują tego, co nam zrobiła... Machnął ręką. - Musimy ją chronić, to jedyna słuszna droga. Wciąż odbywa swój wyrok. Pozostanie w więzieniu przez kolejne dwadzieścia dwa lata, lub do czasu gdy Terra pokona nas i ją uwolni. Bez wątplenia, jeśli tylko wpadnie w ich ręce, zrobią z niej bohaterkę; znajdzie się na pierwszych stronach kontrolowanych przez Terrę gazet Układu Słonecznego.

- I pozwolicie, by dostali ją żywą? - zapytał Cupertino.

- Sądzi pan, że powinniśmy ją przedtem zabić? - Doktor Hagopian spojrzał na niego pochmurnie. - Nie jesteśmy barbarzyńcami, John. Nie popełniamy zbrodni z zemsty. Ona już ma za sobą trzy lata więzienia. Poniosła wystarczającą karę. Pan również - dodał. - Ciekaw jestem, które z was bardziej cierpiało.

- Wiem, że ją zabiłem - upierał się Cupertino. - Pojechałem taksówką tam, gdzie pracowała, do Zrzeszenia Spadająca Gwiazda, które kontroluje Przedsiębiorstwa Edukacyjne Sześciu Planet, w San Francisco, jej biuro mieści się na szóstym piętrze. - Pamiętał jazdę windą, nawet kapelusz, która miała na sobie druga pasażerka, kobieta w średnim wieku. Pamiętał szczupłą, rudowłosą recepcjonistkę, która skontaktowała się z Carol przez interkom. Pamiętał, jak przeszedł przez zatłoczone pomieszczenia biurowe i nagle stanął twarzą w twarz z Carol. Wstała, spojrzała na pistolet laserowy. Na jej twarzy odbiło się przerażenie; próbowała biec, uciekać... ale i tak ją zabił, kiedy dotarła do drzwi i zacisnęła rękę na klamce.

- Zapewniam pana - powiedział doktor Hagopian - że Carol żyje. Sięgnął po słuchawkę leżącą na biurku telefonu i wykręcił numer. - Proszę, zadzwonię do niej, może pan z nią pomówić.

Cupertino czekał w otępieniu. Wreszcie na monitorze ukazała się czyjaś twarz. Była to twarz Carol.

- Cześć - powiedziała na jego widok.

- Cześć - odparł z wahaniem.

- Jak się czujesz? - zapytała Carol.

- Dobrze. A ty? - dodał niezręcznie.

- W porządku - odrzekła Carol. - Jestem tylko trochę śpiąca, bo za wcześnie wstałam. Przez ciebie.

Odłożył słuchawkę.

- No tak - zwrócił się do doktora Hagopiana. - Przekonał mnie pan. - Nie ulegało wątpliwości, że jego żona była cała i zdrowa. Co więcej, wyglądało na to, że

nie ma pojęcia o ponownej próbie zamachu na jej życie. Nie dotarł nawet do jej miejsca pracy. Hagopian mówił prawdę.

Do miejsca pracy? Raczej do celi. Jeśli miał wierzyć Hagopianowi. Chyba musiał.

- Czy mogę już iść? - spytał Cupertino wstając. - Chciałbym wrócić do domu, też jestem zmęczony. Mam zamiar dziś w nocy trochę pospać.

- To zdumiewające, że w ogóle trzyma się pan jeszcze na nogach stwierdził Hagopian. - Nie spał pan prawie pięćdziesiąt godzin. Bezwarunkowo proszę wrócić do domu i położyć się do łóżka. Porozmawiamy później. - Uśmiechnął się z otuchą.

Przygarbiony ze zmęczenia John Cupertino opuścił gabinet doktora Hagopiana. Stał na chodniku z rękami w kieszeniach, drząc w nocnym chłodzie, i chwiejnie ruszył w kierunku zaparkowanego samochodu.

- Do domu - poinstruował wóz.

Samochód zgrabnie odjechał od krawężnika i włączył się do ruchu.

Mógłbym spróbować jeszcze raz, pomyślał naraz Cupertino. Dlaczego nie? Tym razem może mi się udać. To, że dwukrotnie popełniłem błąd, wcale nie oznacza, że zawsze jestem skazany na niepowodzenie.

- Do Los Angeles - powiedział do samochodu. Autonomiczny obwód pojazdu kliknął, nawiązując łączność z główną

trasą do Los Angeles, autostradą numer 99.

Kiedy dotrę na miejsce, będzie spała, uświadomił sobie Cupertino. Będzie na tyle zbita z tropu, by wpuścić mnie do środka. A wtedy...

Może teraz uda się doprowadzić przewrót do szczęśliwego zakończenia.

Odniósł wrażenie, że w jego rozumowaniu istnieje jakiś błąd, słaby punkt. Nie był jednak w stanie go ustalić; ogarnęło go zbyt duże zmęczenie. Rozparł się na siedzeniu w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji. Włączywszy automatycznego pilota, zamknął oczy, próbując zapaść w upragniony sen. Za kilka godzin znajdzie się w południowej Pasadenie, w jednorodzinny domku Carol. Może kiedy ją zabije, przyjdzie czas na zasłużony odpoczynek. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jutro rano będzie martwa. Ponownie pomyślał o homeogazecie i zastanowił się, dlaczego nie umieszczono w niej żadnej wzmianki o zbrodni. Dziwne. Ciekawe dlaczego.

Pędzący sto sześćdziesiąt mil na godzinę samochód - ostatecznie usunął regulator prędkości - zmierzał w kierunku tego, co w mniemaniu Johna Cupertino było Los Angeles i jego śpiącą żoną.



## ODYSEJA TERRAŃSKA

Orion Stroud, przewodniczący rady szkolnej West Marin, zapalił lampę naftową i pracownia rozbłysła światłem, dzięki czemu czworo członków rady mogło dokładnie przyjrzeć się nowemu nauczycielowi.

- Zadam mu kilka pytań - zwrócił się do zgromadzonych Stroud. Przede wszystkim przedstawiam wam pana Barnes z Oregonu. Mówi, że jest specjalistą naukowym w dziedzinie artykułów spożywczych. Zgadza się, panie Barnes?

Nowy nauczyciel, niski mężczyzna o młodym wyglądzie, ubrany w koszulę khaki i robocze spodnie, odchrząknął nerwowo i powiedział:

- Owszem, moją specjalnością są środki chemiczne, zwierzęta oraz rośliny, zwłaszcza te, które możemy spotkać w lasach, jak na przykład jagody i grzyby.

- Nie mieliśmy szczęścia z grzybami - wtrąciła pani Tallman, starsza dama będąca członkinią rady jeszcze w czasach przed Alarmem. - Teraz wolimy zostawiać je w spokoju.

- Obejrzałem pastwiska i lasy w waszej okolicy - odrzekł pan Barnes - i widziałem kilka egzemplarzy grzybów jadalnych, bez ryzyka możecie urozmaicić nimi swoją dietę. Znam nawet ich łacińskie nazwy.

Członkowie rady poruszyli się na swoich miejscach i zaszemrali. Zaimponował im tymi łacińskimi nazwami, pomyślał Stroud.

- Dlaczego opuścił pan Oregon? - zapytał bez ogródek George Keller, dyrektor.

Nowy nauczyciel popatrzył na niego śmiało

- Z powodów politycznych.

- Z winy pana czy ich?

- Ich - odrzekł Barnes. - Ja nie zajmuję się polityką. Uczę dzieci, jak robić atrament i mydło, i jak odcinać owcom ogony nawet wówczas, gdy są już prawie dorosłe. Mam własne książki. - Z leżącego obok stosiku podniósł książkę i pokazał radzie, w jak dobrym była stanie. - Powiem wam coś jeszcze: w waszej części Kalifornii macie możliwość wytwarzania papieru. Wiedzieliście o tym?

- Wiedzieliśmy, panie Barnes - powiedziała pani Tallman. - Nie mieliśmy jednak pojęcia, w jaki sposób należy to robić. To ma coś wspólnego z korą drzew, prawda?

Na twarzy nauczyciela pojawił się wyraz tajemniczości, jakby ten chciał coś ukryć. Stroud wiedział, że pani Tallman ma rację, nauczyciel zaś nie chciał potwierdzić jej przypuszczeń. Wolał zatrzymać tę informację dla siebie, ponieważ decyzja o jego zatrudnieniu jeszcze nie zapadła. Jego wiedza nie była przeznaczona do użytku publicznego - nie miał zamiaru dzielić się nią za darmo. Zachowanie nauczyciela zyskało pełną aprobatę Strouda, wzbudziło jego szacunek. Tylko głupiec ofiarowywał cokolwiek bez zapłaty.

Pani Tallman zmierzyła wzrokiem nieduży stos książek.

- Widzę, że ma pan „Psychologische Typen” Carla Junga. Czy psychologia to jedna z pańskich specjalności? Wspaniale byłoby zatrudnić w naszej szkole nauczyciela, który potrafi odróżnić grzyby jadalne i zna osiągnięcia Freuda i Junga.

- Te bzdury nie przynoszą żadnego pożytku - rzucił z rozdrażnieniem Stroud. - Potrzebujemy nauki użytecznej, a nie akademickich teorii. - Poczł się osobiście zawiedziony, pan Barnes nie wspomniał nic o swoim zainteresowaniu czystą teorią. - Psychologia nie zbuduje nam odpływu kanalizacyjnego.

- Myślę, że możemy przystąpić do głosowania - oznajmiła panna Costigan, najmłodsza członkini rady. - Jestem za przyjęciem pana Barnes, przynajmniej na okres próbny. Czy ktoś jest przeciw?

- Wie pan, zabiliśmy naszego ostatniego nauczyciela - powiedziała do Barnes pani Tallman. - Dlatego potrzebujemy następnego. I dlatego wysłaliśmy pana Strouda w dół wybrzeża, gdzie natknął się na pana.

- Zabiliśmy go, ponieważ nas okłamywał - dodała panna Costigan. Widzi pan, przyczyny, dla których tu przybył, nie miały nic wspólnego z nauczaniem. Szukał pewnego człowieka, Jacka Tree, który mieszkał w okolicy. Pani Keller, szanowana członkini naszej społeczności i żona dyrektora George'a Kellera, jest serdeczną przyjaciółką pana Tree, zapoznała nas z sytuacją, my zaś z pomocą szeryfa, pana Earla Colviga, podjęliśmy stosowne kroki prawne.

- Rozumiem - odparł bezmyślnie pan Barnes. Głos zabrał Orion Stroud.

- Ława przysięgłych, w skład której wchodziłem ja, największy właściciel ziemski West Marin - Cas Stone, pani Tallman oraz pani June Raub, skazała oskarżonego i wykonała egzekucję. Powiedziałem „wykonała egzekucję”, ale chyba rozumie pan, o co chodzi, oskarżony został zastrzelony przez samego Earla. To należy do jego obowiązków po wydaniu wyroku. Spojrzał badawczo na nowego nauczyciela.

- Wasze działanie było według mnie zgodne z prawem - zapewnił pan Barnes.  
- To bardzo się liczy. - Uśmiechnął się i napięcie w sali zelżało, ludzie zaszemrali.

Ktoś zapalił papierosa -jednego z gold labels deluxe Andrew Gilla zapach aromatycznego dymu wypełnił pomieszczenie, budząc zadowolenie wszystkich i przychylność zarówno dla nowego nauczyciela, jak i dla innych.

Na widok papierosa pan Barnes zrobił dziwną minę.

- Macie tu tytoń? - zapytał chrapliwie. - Po siedmiu latach? - Nie mógł w to uwierzyć.

- Nie mamy tytoniu, panie Barnes - odparła pani Tallman, uśmiechając się z rozbawieniem. - Nikt go nie ma. Mamy jednak tytoniowego eksperta, który przygotowuje nam papierosy ze starych warzyw i ziół, tworząc miksturę, ale jej receptury - co rozumiałe - nikomu nie zdradza.

- Ile kosztują? - zapytał pan Barnes.

- W kalifornijskiej walucie - wtrącił Orion Stroud - to będzie jakie sto dolarów sztuka. W przedwojennym srebrze - pięciocentówkę.

- Mam pięciocentówkę. - Pan Barnes gorączkowo poszperał w kieszeni, wyjął monetę i podał ją palącemu George'owi Kellerowi, który siedział rozparty na krześle, trzymając nogę na nodze.

- Przykro mi - odparł George. - Nie jest na sprzedaż. Proszę pójść prosto do pana Gilla, w ciągu dnia znajdzie go pan w sklepie na stacji Point Reyes, choć on oczywiście dużo podróżuje, ma konny minibus volkswagena.

- Zapamiętam - odpowiedział pan Barnes. I schował monetę do kieszeni.

- Czy chce pan wjechać na prom? - zapytał urzędnik z Oakland. - Jeśli nie, proszę przesunąć samochód, blokuje pan przejazd.

- Jasne - odrzekł Stuart McConchie. Wrócił do samochodu i machnął lejcami, na co jego koń, Edward książę Walii, ruszył z miejsca. Edward ruszył i pozbawiony silnika pontiac rocznik 1975 minął bramę i wjechał na molo.

Po obu stronach rozciągała się lekko wzburzona, niebieska zatoka. Stuart spojrział przez okno na rybitwę, która zatoczyła w powietrzu łuk, by pochwycić leżący na kamieniach łup. Sieci... rybacy łowili swój wieczorny posiłek. Kilku z nich miało na sobie strzępy mundurów. Weterani, zamieszkujący przestrzeń pod molo. Stuart pojechał dalej.

Gdyby tylko mógł pozwolić sobie na telefon do San Francisco. Lecz

podwodny kabel znów był zepsuty i należało korzystać z linii biegnących do San Jose aż na drugą stronę wzdłuż półwyspu, przez co samo połączenie z San Francisco wyniosłoby pięć dolarów w srebrnikach. W przypadku osoby niezamożnej telefon nie wchodził w rachubę, musiał czekać dwie godziny do odpłynięcia promu... czy wytrzyma tak długo?

Chodziło o coś naprawdę ważnego.

Usłyszał plotkę, że odnaleziono wielki, zdalnie sterowany pocisk sowiecki, który nie wypalił, leżał przysypany ziemią w pobliżu Belmont, gdy natknął się nań pewien orzący rolnik. Rolnik postanowił sprzedać go po kawałku, w samym układzie sterowania znajdowało się ponad tysiąc części. Rolnik żądał centa za każdą część, wybór należy do ciebie. Stuart potrzebował wielu takich części. Podobnie zresztą jak inni ludzie. Kto pierwszy, ten lepszy, jeśli w miarę szybko nie zdoła przepłynąć zatoki, będzie za późno.

Trudnił się sprzedażą wykonywanych przez innego człowieka elektronicznych pułapek. Pasożyty przeszły mutację i sprytnie unikały tradycyjnych pułapek, bez względu na ich skomplikowaną budowę. Zwłaszcza koty różniły się od swoich poprzedników, pan Hardy zaś stworzył na nie niezawodną pułapkę, która biła na głowę wykonane przez niego pułapki na szczury i psy. Pasożyty były niebezpieczne, zabijały i zjadały małe dzieci a przynajmniej takie chodziły słuchy. Gdy tylko nadarzyła się ku temu okazja, i one były zabijane i zjadane. Szczególnie faszzerowane ryżem psy uważano za rarytas, lokalny tygodnik w Berkeley publikował w każdym numerze przepisy na zupę z psa, psi gulasz, a nawet pudding.

Myśl o puddingu przypomniała Stuartowi, że jest głodny. Odniósł wrażenie, że głód nie opuszczał go od chwili, gdy zrzuciono pierwszą bombę, ostami porządny posiłek zjadł tamtego dnia w Jadłodajni u Freda, kiedy to spotkał Hoppy Harringtona, fokomelusa, który odstawił swoje lipne przedstawienie. Gdzie przebywał teraz mały fokus, zastanowił się nagle. Od lat o nim nie myślał.

Fokusy, oczywiście, nie stanowiły rzadkiego widoku, prawie wszystkie jeździły swoimi mobilami, zupełnie jak kiedyś Hoppy, tkwiąc pośrodku swego małego wszechświata niczym bezrękie i beznogie bożki. Obraz niezmiennie budził w Stuarcie odrazę, choć nie on jeden...

Przez zatokę po jego prawej stronie płynął tratwą beznogi weteran, kierując się w stronę zgliszcz będących zapewne wrakiem zatopionego statku. Na kadłubie wisiał rząd sieci, należały do weterana, który właśnie je sprawdzał. Spoglądając na tratwę,

Stuart rozważał możliwość dopłynięcia nią do San Francisco. Mógłby zaproponować mężczyźnie pięćdziesiąt centów za przewiezienie, dlaczego nie? Wysiadł z samochodu i podszedł do krawędzi molo.

- Hej - wrzasnął. - Tutaj. - Wyjął z kieszeni drobną monetę i rzucił ją na molo. Weteran zobaczył ją, usłyszał brzęk. Natychmiast wykręcił tratwę i z wysiłkiem podpłynął do molo. Pot płynął mu po twarzy strumieniami. Uśmiechnął się do Stuarta przyjaźnie i przyłożył do ucha zwiniętą dłoń.

- Ryby? - zapytał. - Nic jeszcze dziś nie złowiłem, ale później może trafi się mały rekin. Bezpieczeństwo gwarantowane. - Uniósł sfatygowany licznik Geigera, przywiązany do niego okręconą wokół pasa liną. Na wypadek upadku z tratwy lub próby kradzieży, uznał Stuart.

- Nie - odrzekł Stuart, kucając na krawędzi molo. - Chciałbym dopłynąć do San Francisco, zapłacę panu dwadzieścia pięć centów za podróż w jedną stronę.

- Musiałbym zostawić sieci - zaproponował weteran. Uśmiech zniknął mu z twarzy. - Trzeba je zebrać, inaczej ktoś je ukradnie podczas mojej nieobecności.

- Trzydzieści pięć centów - rzucił Stuart.

W końcu ustalili stawkę w wysokości czterdziestu centów. Stuart spętał Edwarda księcia Walii i po chwili kołysał się na tratwie w drodze do San Francisco.

- Czym pan się zajmuje? - zapytał weteran. - Chyba nie jest pan poborcą podatkowym, co? - Spokojnie zmierzył go wzrokiem.

- Nie - odparł Stuart. - Jestem drobnym sprzedawcą pułapek.

- Niech pan posłucha, przyjacielu - zaczął weteran. - Mam oswojonego szczura, który mieszka ze mną pod molo. Jest mądry, umie grać na flecie. Nie nabieram pana, to prawda. Zrobiłem mu mały drewniany flet i gra na nim przez nos... to azjatycki flet, taki, jakie mają w Indiach. Tak właściwie to grał, bo został przejechany. Widziałem na własne oczy, nic nie mogłem zrobić. Przebiegł przez molo, chciał chyba zabrać kawałek gałganka ma swoje posłanie, ale marznie... to jest, marzł... w wyniku tej swojej mutacji. Ten gatunek zgubił sierść.

- Widziałem takie - odrzekł Stuart, myśląc o tym, że bezwłose szczury unikały nawet elektronicznych pułapek pana Hardy'ego. - Wierzę w to, co pan mówi - zapewnił. - Dobrze znam szczury. Ale to nic w porównaniu z kotami w szaro-brązowe pasy... założę się, że to pan zrobił flet, a nie on sam.

- Tak jest - odparł weteran. - Ale był artystą. Powinien pan posłuchać jak grał, w nocy, po zakończeniu połowu zbierały się tłumy. Próbowałem nauczyć go

Chaconne d-moll Bacha.

- Złapałem kiedyś takiego kota - podjął Stuart. - Trzymałem go przez miesiąc, dopóki nie uciekł. Umiał zrobić z wieczka puszki małe, ostro zakończone przedmioty. Jakoś musiał je wyginać, nigdy nie widziałem, jak to robił, ale były niesamowite.

- Jak obecnie wygląda południe San Francisco? - zapytał weteran, wiosłując. - Nie mogę wyjść na ląd. - Wskazał na dolną część swego ciała. - Mieszkam na tratwie. Gdy muszę pójść za potrzebą, mam tu nieduże drzwiczki. Powinienem kiedyś znaleźć martwego fokusa i zabrać jego wózek. Nazywają je fokusomobile.

- Znałem pierwszego fokusa - odpowiedział Stuart. - Jeszcze przed wojną. Był wspaniały, potrafił naprawić wszystko. - Zapalił papierosa z imitacji tytoniu, weteran utkwiał w nim tęskne spojrzenie. - Południe San Francisco jest płaskie, jak panu wiadomo. Porządnie oberwało i są tam teraz same tereny pod uprawę. Nikt nie pokusił się o odbudowę, a z domków nie została prawie żadna porządna piwnica. Hodują tam groszek, kukurydzę i fasolę. Jadę, żeby zobaczyć rakietę odnalezioną niedawno przez rolnika, potrzebuję przełączników, rurek i innego elektronicznego sprzętu do pułapek pana Hardy'ego. - Urwał. - Powinien pan mieć taką pułapkę.

- Po co? Żywię się rybami, dlaczego miałbym nienawidzić szczurów? Lubię je.

- Ja też je lubię - odparł Stuart. - Proszę jednak spojrzeć na to z praktycznego punktu widzenia, należy myśleć perspektywicznie. Jeśli nie będziemy uważać, któregoś dnia Amerykę mogą przejąć szczury. Musimy łapać i zabijać szczury, zwłaszcza te mądrzejsze, naturalnych przywódców, jesteśmy to winni naszemu krajowi.

Weteran popatrzył na niego z niechęcią.

- Gadanie handlarza, nic więcej.

- Mówię szczerze.

- Właśnie tego nie lubię w handlowcach, zawsze wierzą we własne kłamstwa. Dobrze pan wie, że w wyniku milionów lat ewolucji, szczury mogą w najlepszym razie posłużyć jako pomocnicy nam, ludziom. Mogą przenosić wiadomości i wykonywać drobne prace manualne. Ale czy niebezpieczne? - Pokręcił głową. - Ile kosztuje taka pułapka?

- Dziesięć srebrników. Nowej waluty nie przyjmujemy, pan Hardy to starszy człowiek. Zna pan takich, nie uważa dzisiejszych dolarów za pieniądze. - Stuart roześmiał się.

- Pozwoli pan, że opowiem o bohaterskim czynie pewnego szczura zaczął weteran, ale Stuart przerwał mu.

- Mam na ten temat własne zdanie - powiedział. - Nie ma co się spierać.

Obaj umilkli. Stuart cieszył się widokiem zatoki, weteran wiosłował. Dzień był pogodny i kiedy płynęli w stronę San Francisco, Stuart pomyślał o częściach, które może przywiezie panu Hardy'emu i o fabryce w alei San Pablo, w pobliżu ruin będących kiedyś zachodnim skrzydłem uniwersytetu w Kalifornii.

- Co to za papieros? - zapytał weteran.

- To? - Stuart obejrzał niedopałek, właśnie miał zamiar odłożyć go do metalowego pudełka i schować do kieszeni. Pudełko wypełniały niedopałki, z których po otwarciu można było wykonać nowe papierosy. Specjalizował się w tym Tom Grandi, lokalny ekspert tytoniowy w południowym Berkeley. - Towar importowany - powiedział. - Z hrabstwa Marin. Gold label wykonany przez... - Urwał dla większego efektu. - Chyba nie muszę panu tego mówić.

- Przez Andrew Gilla - dokończył weteran. - Chciałbym odkupić od pana całego, dam dziesiątaka.

- Są warte piętnaście centów za sztukę - odparł Stuart. - Jechały całą drogę z Black Point i Sears' Point wzdłuż Lucas Valley Road aż zza Nicasio.

- Miałem kiedyś jednego z tych wyborowych gold labels Andrew Gilla - powiedział weteran. - Wypadł jednemu gościowi z kieszeni podczas wsiadania na prom. Wyłowilem go z wody i osuszyłem.

Stuart nieoczekiwanie wręczył mu niedopałek.

- Na miłość boską - wydusił weteran, odwracając wzrok. Wiosłował szybko, poruszając ustami i gęsto mrugając.

- Mam więcej - powiedział Stuart.

- Powiem panu, co jeszcze pan ma - odpowiedział weteran. - Prawdziwe człowieczeństwo, a to w dzisiejszych czasach rzadkie zjawisko. Niezmiernie rzadkie.

Stuart kiwnął głową. Czuł, że weteran mówi prawdę.

Mała córka Kellerów, drząc, siedziała na stole, podczas gdy doktor Stockstill spoglądał na jej wychudłe, blade ciało. Przypomniał sobie scenkę, którą wiele lat temu, na długo przed wojną, widział w telewizji. Hiszpański brzuchomówca dawał głos kurczakowi... kurczak zniósł jajko.

- Mój syn - powiedział kurczak, mając na myśli jajko.

- Jesteś pewna? - zapytał bruchomówca. - Czy to aby nie córka?

Na co kurczak z godnością:

- Znam się na rzeczy.

Dziewczynka była wprawdzie córką Bonny Keller, ale nie George'a Kellera, pomyślał doktor Stockstill, jestem pewien... znam się na rzeczy. Z kim Bonny Keller miała romans siedem lat temu? Dziecko musiało zostać poczęte na krótko przed wybuchem wojny. Na pewno nie przed tym, jak spadły pierwsze bomby, to nie ulegało wątpliwości. Może pierwszego dnia, pomyślał. Cała Bonny, szukać przygód, gdy spadają bomby i następuje koniec świata, rzucać się w ramiona kogoś, kogo może nawet nie znała, napotkanego przypadkiem... a teraz jeszcze to.

Dziecko uśmiechnęło się do niego, odpowiedział uśmiechem. Edie Keller pozornie wyglądała zwyczajnie, na pierwszy rzut oka nie odbiegała od normy. Żałował, że nie ma aparatu rentgenowskiego, ponieważ...

- Opowiedz mi coś więcej o swoim bracie - powiedział głośno.

- Hm - zaczęła Edie Keller cichym, łagodnym głosikiem. - Cały czas z nim rozmawiam, czasem mi odpowiada, ale przeważnie śpi. Śpi prawie przez cały czas.

- A teraz?

Dziecko milczało przez chwilę.

- Nie - odparło.

Doktor Stockstill wstał i podszedł bliżej.

- Pokaż mi dokładnie, gdzie on jest.

Dziewczynka pokazała na swój lewy bok. Obok wyrostka, pomyślał. Stąd brał się ból. To nakłoniło ich do wizyty, Bonny i George nie kryli niepokoju. Wiedzieli o bracie, uznali go jednak za wytwór dziecięcej fantazji, wymyślonego towarzysza zabaw, który dotrzymywał ich córce towarzystwa. On początkowo też tak uważał, na karcie nie było żadnej wzmianki o bracie, ale Edie wciąż o nim mówiła. Bili był dokładnie w tym samym wieku, co ona. Oczywiście urodzili się w tym samym czasie.

- Dlaczego to takie oczywiste? - zapytał, przystępując do badania. Wysłał rodziców do poczekalni, w ich obecności dziecko stawało się bardzo powściągliwe.

- Ponieważ jesteśmy bliźniakami - odparła z powagą Edie. - Jak inaczej miałabym go w środku? - Podobnie jak kurczak hiszpańskiego bruchomówca, mówiła z niezachwianą pewnością siebie. Znam się na rzeczy.

W ciągu siedmiu lat od wybuchu wojny doktor Stockstill badał setki upośledzonych, obciążonych najdziwniejszymi schorzeniami, od których roilo się pod



obecnie znacznie bardziej tolerancyjnym - choć zadymionym - niebem. Nic nie mogło go zaszokować. A teraz to - dziewczynka, której brat żył wewnątrz jej ciała, w pobliżu pachwiny. Bili Keller mieszkał tam

od siedmiu lat. Doktor Stockstill nie miał podstaw, by nie wierzyć w słowa dziewczynki. Nie był to pierwszy przypadek tego rodzaju. Gdyby miał aparat rentgenowski, ujrzałby mały, skurczony kształt, nie większy od młodego królika. Wyczuwał dłońmi jego kształt... dotknął boku dziewczynki, badając ukryte w środku torbielowate zgrubienie. Głowa w normalnej pozycji, ciało w jamie brzusznej, kończyny i tak dalej. Kiedyś dziewczynka umrze, jej ciało zostanie otwarte podczas sekcji, znajdą tam małego, pomarszczonego człowieczka o siwej brodzie i oślepych oczach... brata, wciąż nie większego od młodego królika.

Tymczasem Bili przespiał większość czasu, niekiedy jednak rozmawiał z siostrą. Co miał do powiedzenia? O czym on mógłby wiedzieć?

Edie znalazła odpowiedź i na to pytanie.

- Cóż, w sumie niewiele wie. Ale mimo że nic nie widzi, potrafi myśleć. Opowiadam mu o wszystkim, dzięki czemu jest na bieżąco.

- Czym się interesuje? - zapytał Stockstill.

- Hm, lubi słuchać o jedzeniu - odparła po chwili namysłu Edie.

- O jedzeniu! - zdumiał się Stockstill.

- Tak. Sam nie je, jak pan wie. Lubi, jak opowiadam mu, co jadłam na kolację... to, co jem, trafia do niego po pewnym czasie... tak mi się wydaje. Inaczej by nie przeżył, prawda?

Stockstill przytaknął.

- Szczególnie lubi jabłka i pomarańcze. I... lubi różne historie. Prosi, abym opowiadała mu o różnych dalekich miejscach, na przykład o Nowym Jorku. Chciałabym kiedyś go tam zabrać, aby mógł zobaczyć, jak tam jest. To znaczy, abym potem mogła mu o tym opowiedzieć.

- Bardzo o niego dbasz, prawda? - powiedział ze wzruszeniem Stockstill. Dla dziewczynki nie było w tym nic szczególnego, ów stan trwał dla niej od zawsze.

- Boję się - powiedziała nagle. - Boję się, że kiedyś umrze.

- Nie sądzę - uspokoił ją Stockstill. - Raczej prędzej urośnie. To z kolei mogłoby stanowić problem, nie zmieściłby się w twoim brzuszku.

- Czy wtedy by się urodził? - zapytała Edie, spoglądając na niego wielkimi, ciemnymi oczami.

- Nie - odpowiedział Stockstill. - Nie znajduje się w odpowiednim miejscu. Trzeba by go usunąć chirurgicznie. Ale nie przeżyłby tego. Może jedynie żyć tak jak teraz, wewnątrz ciebie. - Jak pasożyt, dorzucił w myślach. - Będziemy się o to martwić, gdy przyjdzie czas, jeśli to w ogóle nastąpi.

- Cieszę się, że mam brata - powiedziała Edie. - Dzięki niemu nie jestem samotna. Nawet kiedy śpi czuję, że tam jest. Zupełnie jakbym miała w środku dziecko. Tyle że nie mogę wozić go w wózku ani ubierać, ale sama rozmowa z nim to wielka frajda. Mogę na przykład opowiadać mu o Mildred.

- Mildred! - zdziwił się.

- No wie pan. - Dziecko uśmiechnęło się, rozbawione jego niewiedzą. - Kobieta, która wciąż wraca do Philipa. I rujnuje mu życie. Słuchamy tego co wieczór z satelity.

- Ach tak. - Chodziło o powieść Maughama, czytana przez Walta Dangerfielda, didżeja, który co wieczór krążył po orbicie. Dziwne, pomyślał doktor Stockstill, pasożyt żyje w jej ciele, w przesiąkniętych wilgocią ciemnościach, odżywia się krwią i słucha relacji z kolejnego odcinka popularnej powieści... co czyni Billa Kellera częścią naszej kultury. Prowadzi leż swego rodzaju groteskową egzystencję społeczną... Bóg raczy wiedzieć, ile z tego rozumie. Czy posiada własne wyobrażenie o nas, o naszym życiu? Czy o nas marzy?

Doktor Stockstill pochylił się i pocałował dziewczynkę w czoło.

- Dobrze - powiedział. - Możesz iść. Porozmawiam chwilę z twoimi rodzicami, w poczekalni znajdziesz kilka autentycznych, przedwojennych czasopism. Poczytaj sobie.

Kiedy otworzył drzwi, George i Bonny Keller wstali, kierując ku niemu stężale z niepokoju twarze.

- Proszę - powiedział Stockstill. I zamknął za nimi drzwi. Postanowił nie mówić im prawdy o córce... i synu, dokończył w myślach. Lepiej, żeby nie wiedzieli.

Kiedy Stuart McConchie powrócił na wschodnią zatokę z podróży na półwysep, stwierdził, że podczas jego nieobecności ktoś - pewnie grupa weteranów zamieszkujących podnóże mola - zabił i zjadł jego konia, Edwarda księcia Walii. Pozostał jedynie szkielet, nogi i głowa, bezużyteczna sterta. Stał nad nią pogrążony w myślach. Wycieczka drogo go kosztowała. Zresztą i tak przybył za późno, farmer zdążył już sprzedać wszystkie elektroniczne części z sowieckiego pocisku.

Pan Hardy na pewno podaruje mu nowego konia, on jednak lubił Edwarda. Zabicie konia na mięso było złe, gdyż zwierzę to służyło wielu pożytecznym celom. Stanowiło główny środek transportu, zwłaszcza teraz, gdy większość drewna poszła na paliwo samochodowe lub opał na zimę. Poza tym konie pełniły ważną rolę podczas odbudowy - stanowiły podstawowe źródło energii zamiast elektryczności. Bezmyślne zabicie Edwarda księcia Walii rozwścieczyło go. Barbarzyństwo, pomyślał, rzecz, która budzi w nas największy strach. Anarchia, i to w samym sercu miasta, w centrum Oakland, w biały dzień. Spodziewałby się tego raczej po czerwonych Chińczykach.

Poszedł piechotą w kierunku alei San Pablo. Słońce powoli sphywało w dół, chyląc się ku zachodowi, do którego przywykł od czasu Alarmu. Prawie nie zwracał na niego uwagi. Może powinienem się przekwalifikować, pomyślał. Pułapki na zwierzęta to opłacalny interes, trudno jednak liczyć na awans. Jak miałyby wyglądać ten wymarzony krok w górę?

Strata konia przygnębiła go, szedł ze spuszczoną głową, wpatrując się w upstrzony kępami trawy chodnik. Z nory na opuszczonej parceli coś go bacznie i gorączkowo obserwowało. Pomyślał ponuro, że należało do czegoś, co powinno zawisnąć głową w dół i zostać obdarte ze skóry.

Ruiny, przydymiona, migotliwa bladość nieba... obserwująca go istota skalkulowała w myślach powodzenie ewentualnego ataku. Pochyliwszy się, chwycił odłamek betonu i rzucił nim w norę, wykonaną z grubej warstwy starannie sklezionej szluzem, organicznej i nieorganicznej substancji. Stworzenie zebrało rozrzucony wokół gruz i uczyniło z niego budulec. To ci spryciarz, pomyślał Stuart.

I ja przeszedłem pewien rozwój, pomyślał. Mój umysł działa sprawniej niż kiedyś, jestem dla ciebie godnym przeciwnikiem. Poddaj się.

Rozwój, powtórzył w myślach, ale żyje mi się nie lepiej niż przed Alarmem, wtedy sprzedawałem telewizory, teraz przerzuciłem się na elektroniczne pułapki. Co za różnica? Jedno nie lepsze od drugiego. W gruncie rzeczy coraz bardziej się staczam.

Cały dzień na nic. Za dwie godziny zapadnie zmierzch i trzeba będzie iść spać do obitego kocią skórą pokoju w suterenie, który pan Hardy wynajmował mu za srebrnego dolara miesięcznie. Oczywiście, może zapalić swoją lampę i poczytać książkę lub jej fragment, jego księgozbiór składał się w większości z fragmentów, których dalsze części zgubiły się albo uległy zniszczeniu. Mógłby też odwiedzić starszych państwa Hardy i posiedzieć przy wieczornej transmisji z satelity.

Ostatecznie nie dalej jak wczoraj sam przesłał Dangerfieldowi prośbę z przekaźnika w błotnistej dzielnicy w Zachodnim Richmond. Prosił o „Wieczorną Potańcówkę”, ulubiony kawałek z dzieciństwa. Nie wiadomo, czy znajdował się wśród licznych taśm Dangerfielda, więc możliwe, że Stuart czekał na próżno.

Zaśpiewał, idąc przed siebie:

Ach, słyshałem wieści:  
Mamy wieczorną potańcówkę.  
Ach, słyshałem wieści!  
Mamy wieczorną potańcówkę!  
Dzisiaj każdy dobrze wie,  
Że me złotko tańczyć chce...

Na wspomnienie starych piosenek łzy napłynęły mu do oczu. Wszystko przepadło, pomyślał. Został nam tylko szczur przygrywający na flecie, a nawet nie, bo przecież szczura przejechał samochód.

Założę się, że ten szczur nie potrafiłby tego zagrać, powiedział do siebie. W życiu. To święta muzyka, muzyka naszej przeszłości, której nie zrozumie żadne, choćby i mądre zwierzę, ani mutant. Przeszłość należy tylko do nas, do ludzi z prawdziwego zdarzenia.

Rozmyślając, dotarł do alei San Pablo z jej sklepikami, które oferowały wszystko od wieszaków po siano. Nad jednym z nich, nieopodal, wisiał szyld HOMEOSTATYCZNE PUŁAPKI NA PASOŻYTY HARDY'EGO. Skierował się w tamtą stronę.

Gdy wszedł do środka, pan Hardy podniósł spojrzenie znad stojącego w rogu warsztatu. Pracował w białym świetle jarzeniówki, otoczony stosami części elektronicznych zwiezionych ze wszystkich regionów północnej Kalifornii. Wiele pochodziło z ruin w Livermore; pan Hardy miał znajomości wśród urzędników stanowych, którzy pozwolili mu poszperać w miejscach o ograniczonym dostępie.

Dawniej Dean Hardy pracował jako inżynier dla stacji radiowej, był szczupłym, małomównym starszym panem, który nigdy nie rozstawał się ze swetrem i krawatem - choć ten ostami należał do rzadkości.

- Zjedli mojego konia - powiedział Stuart, siadając naprzeciwko Hardy'ego.

Z części mieszkalnej natychmiast wyrzała Ella Hardy, żona jego pracodawcy, która właśnie przygotowywała obiad.

- Zostawiłeś go?

- Tak - przyznał. - Myślałem, że na publicznym moło w centrum Oakland będzie bezpieczny, jest tam strażnik, który...

- To zdarza się bez przerwy - przerwał znużonym głosem Hardy. Dranie. Ktoś powinien wrzucić im bombę pod moło, koczują tam setkami. A samochód? Musiałeś go zostawić.

- Przykro mi - powiedział Stuart.

- Daj spokój - odparł Hardy. - W naszym sklepie w Orinda mamy więcej koni. Co z częściami z pocisku?

- Pech - odrzekł Stuart. - Zanim dojechałem, wszystkie zostały wyprzedane. Z wyjątkiem tego. - Podniósł do góry garść tranzystorów. Farmer nie zauważył ich, wziąłem je za darmo. Pewnie na nic się nie przydadzą. - Położył części na warsztacie. - Nie za wiele jak na całodzienną wyprawę. - Ogarnęło go większe przygnębienie niż zazwyczaj.

Ella Hardy bez słowa wróciła do kuchni, kotara zasunęła się za jej plecami.

- Zjesz z nami kolację? - zapytał Hardy, gasząc lampę i zdejmując okulary.

- Nie wiem - odparł Stuart. - Dziwnie się czuję. - Pokręcił się po sklepie. - Po drugiej stronie zatoki widziałem coś, o czym słyszałem, ale w co do tej pory nie wierzyłem. Było to latające zwierzę przypominające nietoperza. Ale nie nietoperz. Bardziej przypominało łasicę, niezmiernie chude i długie, z dużą głową. Mówi się na nie podglądacze, bo podlatują do okien i zagląдают do środka.

- To wiewiórki - stwierdził Hardy. Odchylił się na krześle i poluzował krawat. - Pochodzą od wiewiórek z Golden Gate Park. Miałem kiedyś co do nich pewien plan... mogą być użyteczne - przynajmniej teoretycznie - jako roznosiciele przesylek. Potrafią przelecieć prawie milę. Są jednak bardzo dzikie. Po złapaniu jednej dałem za wygraną. - Podniósł prawą rękę. - Popatrz na bliznę, tu, na kciuku. To pamiątka po podglądaczu.

- Człowiek, z którym rozmawiałem, twierdził, że są smaczne. Jak dawne kurczaki. Starsze panie sprzedają je na targach w San Francisco, za ćwierć dolara, na gorąco.

- Lepiej nie próbuj - odradził Hardy. - Wiele z nich jest trujących. Pewnie przez to, czym się żywią.

- Hardy - odezwał się nagle Stuart. - Chciałbym wyjechać z miast; i przenieść się na wieś.

Pracodawca zmierzył go wzrokiem.

- Tu jest za dużo okrucieństwa - dodał Stuart.

- Wszędzie jest dużo okrucieństwa. A na wsi trudno zarobić na życie - uzupełnił.

- Sprzedaje pan na wieś jakieś pułapki?

- Nie - odrzekł Hardy. - Szkodniki żyją w miastach, gdzie są ruiny. Dobrze o tym wiesz. Fantasta z ciebie, Stuart. Wieś to próżnia, tam na pewno nie miałbyś pomysłów, jakie masz tutaj. Tam nic się nie dzieje, ludzie jedynie uprawiają ziemię i słuchają satelity.

- Chciałbym zawieźć kilka pułapek w okolice, powiedzmy, Napy i Sonomy - nalegał Stuart. - Mógłbym zamienić je na wino, przecież chyba hodują tam winogrona, tak jak kiedyś.

- Ale wino nie smakuje tak jak dawniej - odparł Hardy. - To przez glebę. - Potrząsnął głową. - Jest po prostu wstrętne. Obrzydliwe.

- Mimo to je piją - upierał się Stuart. - Widziałem, jak przywożą je ciężarówkami do miasta.

- Ludzie wypiją teraz wszystko, co wpadnie im w ręce. - Hardy uniósł głowę i dodał z namysłem: - Wiesz, kto ma alkohol? Taki prawdziwy, nie

lipny, trudno odróżnić przedwojenny trunek od tego, który pędził własnoręcznie.

- Na pewno nikt w okolicach zatoki.

- Andrew Gili, ekspert tytoniowy. Ach, niewiele tego sprzedaje. Widziałem jedną butelkę, jedną piątą litra brandy. Starczyło na jednego drinka. - Hardy uśmiechnął się krzywo. - Smakowałoby ci.

- Ile za nią żąda?

- Więcej, niż możesz zapłacić.

Ciekawe, co to za człowiek, ten Andrew Gili, pomyślał Stuart. Potężny, brodaty, w kamizelce... spaceruje z laską ze srebrnym uchwytem, istny olbrzym o kręconych włosach, w importowanym monoklu... nietrudno go sobie wyobrazić.

Na widok miny Stuarta, Hardy wychylił się w jego stronę.

- Powiem ci, co jeszcze sprzedaje. Zdjęcia z gołymi babkami. W artystycznych pozach... no wiesz.

- Jezu - powiedział Stuart. Poniosła go wyobraźnia, musiał się uspokoić. - Nie wierzę.

- Mówię prawdę. Autentyczne, przedwojenne kalendarze z babkami, nawet z 1950 roku. Naturalnie, są warte fortunę. Słyszałem o cenie tysiąca srebrnych dolarów za kalendarz Playboya z 1963 roku. - Teraz Hardy w zamyśleniu utkwiał wzrok przed siebie.

- Tam gdzie pracowałem, gdy spadła bomba - powiedział Stuart w punkcie sprzedaży i usług TV, mieliśmy masę takich kalendarzy w pracowni naprawczej. Rzecz jasna wszystkie spaliły się na popiół. - Tak przynajmniej zakładał. - A gdyby tak ktoś szperał w ruinach i natknął się na cały magazyn kalendarzy z golizną? Wyobraża pan sobie? - Poczul zamęt w głowie. - Ile mógłby zarobić? Miliony! Mógłby nakupować za nie nieruchomości, ba, całe hrabstwo!

- Tak jest - przyznał Hardy.

- Do końca życia nie musiałyby kiwnąć palcem. Robią parę takich kalendarzy w Oriencie, w Tokio, ale są do niczego.

- Widziałem je - odrzekł Hardy. - Są słabe. Wiedza o tym, jak je robić, wygasła, to sztuka, która dawno już pogrzebano. Może na zawsze.

- Nie uważa pan, że to poniekąd dlatego, iż nie ma już dziewcząt, które tak wyglądają? - zapytał Stuart. - Wszystkie są takie żylaste i bezzębne, większość dziewcząt ma blizny od promieniowania, poza tym, kto to widział modelkę bez zębów?

- Myślę, że nie masz racji - odparł ostro Hardy. - One istnieją, nie wiem gdzie, może w Szwecji albo Norwegii, może w dalekich zakątkach, takich jak Wyspy Salomona. Jestem pewien, tak mówią podróżnicy. Nie ma ich w Stanach, w Europie czy w Chinach, tu się z tobą zgadzam.

- Czy moglibyśmy je odszukać? - zapytał Stuart. - I rozkręcić interes?

- Nie mamy filmów - odparł po krótkim namyśle Hardy. - Nie mamy sprzętu, aby je wywołać. Większość dobrych aparatów fotograficznych zaginęła albo uległa zniszczeniu. Nie ma co marzyć o masowej produkcji kalendarzy. Nawet gdyby udało się wydrukować...

- Ale gdyby udało się znaleźć dziewczynę bez blizn, z zębami, taką jak przed wojną...

- Powiem ci coś - przerwał mu Hardy. - Podsunę ci pomysł na dobry interes. Wielokrotnie o tym myślałem. - W zamyśleniu popatrzył na Stuarta. - Igły do szycia

maszynowego. Mógłbyś dowolnie ustalać cenę, mógłbyś mieć wszystko.

Gestykułując, Stuart zerwał się z krzesła i okrążył sklep.

- Niech pan posłucha, czuję pod skórą coś naprawdę wyjątkowego, nie chcę dłużej zwracać sobie głowy handlem, mam tego powyżej uszu. Sprzedawałem już aluminiowe garnki i rondle, encyklopedie, telewizory, no i pułapki. Pułapki nie są złe i ludzie chcą je kupować, ale czuję, że jestem przeznaczony do czegoś innego. Nie chcę pana urazić, ale chciałbym dorosnąć. Muszę to zrobić, albo się rośnie, albo drętwieje. Wojna cofnęła mnie o kilka lat, zresztą to samo dotyczy nas wszystkich. Utkwiłem w punkcie, w którym byłem dziesięć lat temu, a to mi nie wystarczy.

- Co masz na myśli? - mruknął Hardy, drapiąc się po nosie.

- Może udałoby mi się znaleźć zmutowanego ziemniaka, który nakarmiłby wszystkich na całym świecie.

- Jeden ziemniak?

- Mam na myśli gatunek ziemniaka. Może zostanę hodowcą roślin jak Luther Burbank. W całym kraju muszą rosnać miliony zmutowanych roślin, tak samo jak istnieją zmutowani ludzie i zwierzęta.

- Może uda ci się zlokalizować inteligentną fasolę - podsunął Hardy.

- Ja nie żartuję - rzekł cicho Stuart. Popatrzyli na siebie w milczeniu.

- Tworzenie homeostatycznych pułapek na szkodniki - powiedział Hardy - które niszczą zmutowane koty, psy, szczury i wiewiórki, to działanie dla dobra ludzkości. Według mnie zachowujesz się niepoważnie. Pewnie przez to, że podczas twojej nieobecności zjedli ci konia...

- Kolacja gotowa - oznajmiła Ella Hardy, wchodząc do sklepu. Chciałabym podać ją, póki gorąca. Mamy dzisiaj pieczony łeb dorsza z ryżem. Trzy godziny stałam w kolejce przy autostradzie wschodniej, żeby zdobyć ten kawałek.

Mężczyźni wstali.

- Zjesz z nami? - zapytał Stuarta Hardy.

Na myśl o pieczonym rybim łbie ślina napłynęła Stuartowi do ust. Nie potrafił odmówić i tylko skinął głową, idąc za panią Hardy do kuchni.

W przypadku awarii transmisji satelitarnej, Hoppy Harrington, fokomelus i majster do wszystkiego z West Marin, popisywał się naśladowaniem Walta Dangerfielda, by rozbawić mieszkańców. Jak wszyscy wiedzieli, Walt Dangerfield był chory i często niedomagał. Tego wieczoru w trakcie występu Hoppy zobaczył, jak



Kellerowie z córką wchodzą do hali Forresterów i zajmują miejsca z tyłu. Najwyższy czas, pomyślał, zadowolony z większej publiki. Naraz jednak ogarnęła go irytacja, dziewczynka mierzyła go badawczym spojrzeniem. Coś w jej wyglądzie sprawiło, że raptownie przerwał występ i w sali zapadła głucha cisza.

- No dalej, Hoppy - zawołał Cas Stone.

- Dawaj ten numer bliźniaków - krzyknęła pan Tallman. - Zaśpiewaj ich piosenkę, no wiesz.

Hoppy zanucił kilka taktów, lecz zaraz urwał.

- To by było tyle - oznajmił. W sali ponownie zapadła cisza.

- Mój brat mówi - odezwała się córka Kellerów - że gdzieś tutaj jest pan Dangerfield.

Hoppy wybuchnął śmiechem.

- Tak, tak - rzucił w podnieceniu.

- Czy przeczytał już kolejny epizod? - zapytała Edie Keller. - Czy źle się dzisiaj czuł?

- O tak, jest właśnie w trakcie czytania - zapewnił ją Earl Colvig - ale my nie chcemy słuchać, mamy dosyć starego Walta. Wolimy oglądać sztuczki Hoppy'ego. Dzisiaj strasznie się wygłupiał, prawda, Hoppy?

- Pokaż dziewczynce, jak z odległości przesuwasz monetę - zaproponowała June Raub. - Na pewno jej się spodoba.

- Tak, zrób to jeszcze raz - poparł ją ze swego miejsca aptekarz. - To było dobre, chętnie popatrzymy jeszcze raz. - Z zapalem uniósł się z krzesła, zapominając, że za nim siedzą inni.

- Mój brat - powtórzyła Edie - chce posłuchać czytania. Po to tu przyszedł.

- Siedź cicho - powiedziała Bonny, jej matka.

Brat, pomyślał Hoppy. Przecież ona nie ma żadnego brata. Bardzo go to rozbawiło, kilka osób z widowni uśmiechnęło się.

- Twój brat? - zawołał, podjeżdżając fokomobilem bliżej dziecka. JM przeczytam dalszy ciąg, mogę być Philipem, Mildred i wszystkimi bohaterami, mogę być Dangerfieldem. Czasem w gruncie rzeczy nim jestem. Dziś również nim byłem i dlatego właśnie twój brat uważa, że Dangerfield przebywa w tej sali. Tak naprawdę to ja. - Rozejrzał się po zgromadzonych. Zgadza się? Czy to nie ja?

- Ty, Hoppy - potwierdził Orion Stroud. Wszyscy kiwnęli głowami.

- Ty nie masz brata, Edie - zwrócił się do dziecka Hoppy. - Dlaczego mówisz,

że twój brat chce posłuchać czytania, skoro nie masz brata? Śmiał się do rozpuku. - Czy mógłbym go zobaczyć? Zamienić z nim parę słów? Niech przemówi do mnie, a wtedy ja... będę go naśladował.

- To by dopiero była zabawa - zachichotał Cas Stone.

- Chciałbym to usłyszeć - dorzucił Earl Colvig.

- Niech tylko coś do mnie powie - zachęcił Hoppy. - Rozsiadł się wygodnie w swym pojeździe i czekał. - Czekam - rzekł z naciskiem.

- Dosyć tego - powiedziała Bonny Keller. - Zostaw moje dziecko w spokoju. - Policzki poczerwieniały jej z gniewu.

- Pochyl się w moim kierunku - rzekła Edie. - Odezwie się do ciebie. - Podobnie jak u matki, na jej twarzy malował się wyraz powagi.

Hoppy spełnił jej prośbę i szyderczo przechylił głowę na bok.

- Jak naprawdę naprawiłeś ten adapter? - zapytał głos, który zdawał się płynąć z jego wnętrza. - Jak to zrobiłeś?

Hoppy wrzasnął.

Wszyscy wpatrywali się w niego z osłupieniem, pobladli na twarzach widzowie zerwali się ze swoich miejsc.

- Usłyszałem Jima Fergessona - powiedział Hoppy. - Człowieka, dla którego kiedyś pracowałem. On nie żyje.

Dziewczynka popatrzyła na niego spokojnie.

- Chcesz, żeby mój brat powiedział coś jeszcze? Powiedz, Bili, on chce usłyszeć więcej.

- Wyglądało to tak, jakbyś go wyleczył - podjął głos w umyśle Hoppy'ego. - Tak jakby zamiast wymienić zepsutą sprężynę...

Hoppy wprowadził swój pojazd w ruch i niebawem znalazł się na odległym krańcu sali, z dala od dziecka Kellerów. Zdyszany, z walącym sercem popatrzył na dziewczynkę. Niewzruszenie odwzajemniła jego spojrzenie,

- Przestraszył cię? - Dziewczynka uśmiechnęła się, lecz uśmiech był zimny i pusty. - Odpłacił ci za to, że mi dokuczałeś. Rozzłościłeś go. Masz za swoje.

- Co się stało, Hop? - zapytał George Keller, podchodząc do Hoppy'ego.

- Nic - odparł krótko tamten. - Posłuchamy teraz czytania. - Wysunąwszy odnóże, podkręcił radio.

Macie, co chcecie, ty i twój brat, pomyślał. Od jak dawna ty tam siedzisz? Tylko siedem lat? Ja powiedziałbym raczej, że całą wieczność. Tak

jak gdybyś... istniał od zawsze. Przemówił do niego głos wiekowej, pomarszczonej istoty. Czegoś małego, twardego i dryfującego, o ustach przysłoniętych strzechą suchych włosów. Założę się, że to był Fergesson, rzekł w duchu Hoppy, to brzmiało zupełnie jak on. Ukrył się w środku, w ciele dziecka.

Ciekawe, czy kiedykolwiek uda mu się wyjść na zewnątrz?

- Co zrobiłeś, żeby go tak przestraszyć? - zapytała brata Edie Keller. Był naprawdę przerażony.

- Naśladowałem kogoś, kogo znał bardzo dawno temu - napłynął z jej wnętrza znajomy głos. - Kogoś, kto już nie żyje.

- Planujesz coś jeszcze? - zapytała z rozbawieniem.

- Nie lubię go - odparł Bili. - Może dam mu się jeszcze we znaki, i to nieraz.

- Skąd wiedziałeś o tym zmarłym?

- Ach - odpowiedział Bili. - Ponieważ... sama wiesz. Ponieważ ja też nie żyję. - Poczwała, jak trzęsie się ze śmiechu.

- Właśnie, że nie - zaprotestowała. - Żyjesz, tak samo jak ja. I nie mów takich rzeczy, to nieładnie. - Przeraziło ją to.

- Tak tylko udawałem - odrzekł Bili. - Przepraszam. Szkoda, że nie widziałem jego miny... jak wyglądał?

- Okropnie - stwierdziła Edie. - Zupełnie jak ropucha.

- Szkoda, że nie mogę wyjść na zewnątrz - rzucił żałośnie Bili. - Żałuję, że nie urodziłem się tak, ja wszyscy inni. Czy nie mógłbym urodzić się trochę później?

- Doktor Stockstill mówi, że nie.

- Mógłbym zmusić doktora Stockstilla, żeby mnie wypuścił. Mogę robić, co zechcę.

- Nie - odparła. - Kłamiesz, możesz tylko spać i rozmawiać ze zmarłymi. No i naśladować ich, tak jak dzisiaj. To niewiele.

Ze środka nie padła żadna odpowiedź.

- Jeśli zrobisz coś złego - zagroziła - połknę coś, co cię zabije. Lepiej się zachowuj.

Coraz bardziej się go bała; mówiła do siebie, próbując dodać sobie odwagi. Może byłoby dobrze, gdybyś naprawdę umarł, pomyślała. Tyle że wtedy i tak musiałabym nosić cię nieruchomego, a to nie należałoby do przyjemności.

Zadrzała.

- Nie martw się o mnie - powiedział nagle Bili. - Dużo wiem, sam potrafię się o siebie zatroszczyć, I o ciebie też. Lepiej ciesz się, że tu jestem,

bo widzę wszystkich, którzy nie żyją, tak jak tamten, co go naśladowałem Jest ich całe mnóstwo, biliony, i nie znajdziesz dwóch identycznych. Kiedy śpię, słyszę, jak mamrocą do siebie. Są wokół nas.

- To znaczy gdzie? - zapytała.

- Pod nami - odrzekł Bili. - W ziemi.

- Brrr - powiedziała.

- To prawda. My też tam się znajdziemy. Tak samo mamusia i tatuś i cała reszta. Zobaczysz.

- Wcale nie chcę tego zobaczyć - odparła. - Nic nie mów. Chcę posłuchać czytania.

Andrew Gili podniósł wzrok z nad skręcanych papierosów i ujrzał, jak Hoppy Harrington - którego nie darzył szczególną sympatią - wchodzi do fabryki w towarzystwie nieznanego mu mężczyzny. Gili z miejsca poczuł niepokój. Odłożył bibułę i wstał. Siedzący przy długim stole pozostali pracownicy - jego podwładni - kontynuowali swoje zajęcie.

W samym dziale tytoniowym zatrudniał ośmiu ludzi. W destylarni gdzie produkowano brandy, pracowało kolejnych dwanaście osób. Posiadał największe przedsiębiorstwo handlowe w West Marin i sprzedawał swoje towary w całej północnej Kalifornii. Jego papierosy dotarły nawet na wschodnie wybrzeże i zyskały tam dużą popularność.

- Słucham? - powiedział do Hoppy'ego. Stał naprzeciw fokomobilu, blokując mu przejazd.

Hoppy zająknął się.

- Ten cz-człowiek przyjechał z Oakland, aby się z panem zobaczyć, panie Gili. Mówi, że jest poważnym biznesmenem. Zgadza się? - Fokus zwrócił się do stojącego obok mężczyzny. - Czy nie tak mówiłeś, Stuart?

- Reprezentuję Korporację Homeostatycznych Pułapek na Szkodniki Hardy'ego z Berkeley w Kalifornii - powiedział mężczyzna, wyciągając rękę. - Przyjechałem tu, aby zapoznać pana z niewiarygodną propozycją, która w ciągu pół roku trzykrotnie zwiększy pańskie obroty. - Jego oczy rozbliły.

Gili stłumił śmiech.

- Rozumiem - odrzekł, kiwając głową. - Bardzo ciekawe. Panie... Rzucił fokusowi pytające spojrzenie.

- P-pan Stuart McConchie - wyjąkał fokus. - Znaliśmy się przed wojną, nie widzieliśmy się kupę czasu i oto on przywędrował w te strony, tak samo jak ja.

- Mój pracodawca, pan Hardy - podjął Stuart McConchie - upoważnił mnie, bym przedstawił panu szczegółowy plan w pełni zautomatyzowanego urządzenia do wyrobu papierosów. Zdajemy sobie sprawę z tego, że pańskie papierosy zwijane są w sposób tradycyjny, czyli ręcznie. - Wskazał na siedzących przy stole pracowników. - To przestarzała metoda, panie Gill. W pańskich papierosach Gold Label deluxe uzyskał pan wyśmienitą jakość...

- Którą zamierzam zachować - uzupełnił spokojnie Gili.

- Nasz zautomatyzowany sprzęt elektroniczny nie poświęci jakości dla ilości - zapewnił Stuart McConchie. - W gruncie rzeczy...

- Chwileczkę - przerwał mu Gili. - Teraz nie będę o tym rozmawiał. Zerknął na fokusa, który bacznie nadstawił uszu. Fokus splonął rumieńcem i odjechał.

- Wychodzę - oznajmił na odchodne. -1 tak nic mnie to nie interesują, żegnam.

- Wyjechał przez otwarte drzwi na ulicę. Patrzyli za nim, dopóki nie znikł im z oczu.

- Nasz majster - powiedział Gili. - Naprawia... czy raczej leczy wszystko, co się psuje. Hoppy Harrington, bezręki majster.

McConchie przeszedł kilka kroków, rozglądając się po fabryce i patrząc na pracowników.

- Ładnie tu, Gili. Chciałbym od razu zaznaczyć, że podziwiam pański towar, jest pierwszorzędny.

Od siedmiu lat nie słyszałem takiej gadki, pomyślał Gili. Trudno uwierzyć, że ktoś jeszcze umiał wypowiadać się w ten sposób, tyle zmian, a ten McConchie pozostał nietknięty zębem czasu. Ogarnęło go przyjemne uczucie. Ton rozmowy przypomniał mu szczęśliwsze czasy. Przychylnie popatrzył na gościa.

- Dziękuję - odpowiedział szczerze. Czyżby świat naprawdę choć po części wracał do dawnej postaci; odradzały się zwyczaje, uprzejmość, a także zawody, których brak sprawił, że rzeczywistość stała się taka, a nie inna.

- Może filiżankę kawy? - zaproponował Gili. - Zrobię sobie dziesięciominutową przerwę i opowie mi pan o tej swojej zautomatyzowanej maszynie.

- Prawdziwej kawy? - zapytał McConchie i wyraz sztucznego optymizmu na

jego twarzy ustąpił miejsca zachłanności.

- Przykro mi - odparł Gili. - To podróbka. Ale niczego sobie, myślę, że będzie panu smakować. Lepsza niż to, co oferują miejskie budki z „kawą”. - Poszedł po czajnik.

- Wizyta u pana - powiedział McConchie - to spełnienie marzeń. Podróż trwała tydzień, a planowałem ją od chwili, gdy spróbowałem pierwszego gold label. To... - Szukał odpowiednich słów. - Wyspa cywilizacji w barbarzyńskich czasach. - Spacerował po fabryce z rękami w kieszeniach.

- Tutaj życie wydaje się spokojniejsze. W mieście, jeśli zostawi się konia... jakiś czas temu zostawiłem nad zatoką swojego, chcąc przepłynąć do San Francisco. Ktoś zjadł go podczas mojej nieobecności. Takie sytuacje budzą prawdziwe obrzydzenie do miasta i wywołują chęć przeprowadzki.

- Wiem - przytaknął Gili, kiwając głową. - W miastach szerzy się okrucieństwo z uwagi na wciąż wielu bezdomnych i nędzarzy.

- Naprawdę kochałem tego konia - powiedział ze smutkiem Stuart McConchie.

- Cóż - rzekł Gili - na wsi wciąż stykamy się ze śmiercią zwierząt. Bomby spowodowały u wielu straszliwe rany, u owiec i bydła... trudno to jednak porównać z masową zagładą ludności w miejscu, skąd pan pochodzi. Musiał pan sporo się napatrzeć na cierpienie.

McConchie skinął głową.

- To i anomalie, zarówno u zwierząt, jak i ludzi. Na przykład mój kolega, Hoppy Harrington, którego znam sprzed wojny; w punkcie sprzedaży i usług TV, gdzie razem pracowaliśmy, mawiano, że jego kalectwo powstało w wyniku tego leku, talidomidu.

- Jakiego rodzaju pułapki wytwarza pańska firma? - zapytał Gili.

- Typ dynamiczny. Jako pułapki homeostatyczne, potrafią śledzić szczura, kota lub psa w norach leżących wokół Berkeley czy Oakland... ścigają jednego szkodnika za drugim, zabijają je i biorą się do następnych... do czasu gdy wyczerpie im się zapas energii albo zostaną zniszczone przez jakiegoś genialnego mutantą. Istnieje kilka szczurów, które umieją dać sobie radę z homeostatycznymi pułapkami Hardy'ego. Ale tylko niewiele.

- Zdziwiający - mruknął Gili.

- Wracając do naszej propozycji...

- Przyjacielu - wpadł mu w słowo Gili. - Podoba mi się pan, ale... sęk w tym,

że nie mam za co kupić waszej maszyny, nie posiadam też nic, na co mógłbym się zamienić, natomiast partner w interesach nie jest mi potrzebny. Cóż więc nam pozostaje? - Uśmiechnął się. - Niech zostanie tak, jak jest.

- Niech pan zaczeka - odparł natychmiast McConchie. - Musi istnieć jakieś wyjście. Moglibyśmy, na przykład, oddać panu maszynę w dzierżawę w zamian za pewną liczbę papierosów, oczywiście pańskich Gold Label, z cotygodniową dostawą przez ustalony okres. - Twarz pojaśniała mu z przejęcia. - Firma Hardy'ego mogłaby stać się wyłącznym dystrybutorem pańskich papierosów, reprezentowalibyśmy pana wszędzie i opracowalibyśmy systematyczny program stworzenia filii w całej Kalifornii. I co pan na to?

- Muszę przyznać, że brzmi nieźle. Dystrybucja rzeczywiście nie jest moją najmocniejszą stroną... Ponieważ moja wytwórnia znajduje się na prowincji, od kilku lat rozważam potrzebę powołania specjalnej organizacji. Myślałem nawet o przeprowadzce do miasta, lecz wandalizm i kradzieże są tam niepojęte. Zresztą, nie chcę przenosić się do miasta, tu jest mój dom.

Nie wspomniał słowem o Bonny Keller. Była faktycznym powodem, dla którego postanowił zostać w West Marin; choć ich romans zakończył się wiele lat temu, kochał ją bardziej niż kiedykolwiek. Patrzył, jak przechodzi z rąk jednego mężczyzny do drugiego i nigdzie nie znajduje zadowolenia; Gili w głębi serca wierzył, że kiedyś wróci do niego. Poza tym Monny była matką jego córki, dobrze wiedział, że Edie Keller to jego dziecko.

- Skoro przyjechał pan z miasta - powiedział - pozwoli pan, że o coś zapytam... czy ostatnio wydarzyło się coś interesującego na skalę krajową lub światową, o czym mogliśmy tu nie słyszeć? Jest wprawdzie satelita, ale szczerze mówiąc, mam dosyć gadaniny didżeja i muzyki. No i wiecznego czytania powieści.

Roześmieli się.

- Wiem, o co panu chodzi - odparł McConchie, popijając kawę. - Cóż, podobno gdzieś w ruinach podejmuje się próby zrekonstruowania samochodu. Składa się głównie ze sklejki, ale jeździ na naftę.

- Nie mam pojęcia, skąd chcą zdobyć naftę - stwierdził Gill. - Nim zabiorą się do budowania samochodu, niech lepiej otworzą kilka rafinerii, i naprawią główne drogi.

- Ach, jest jeszcze coś. Rząd planuje na dniach otworzyć trasę numer czterdzieści, biegnącą przez Góry Skaliste. Pierwszy raz od czasu wojny.

- Wspaniała wiadomość - odparł z zadowoleniem Gili. - Nie wiedziałem.  
- A firma telekomunikacyjna...  
- Zaraz, zaraz - przerwał mu Gili, wstając z miejsca. - Może by tak kapkę brandy do kawy? Kiedy pił pan ostatnio cafe royal?

- Wieki temu - odpowiedział Stuart McConchie.  
- To five star gilla. Moja własna, z doliny Sonoma. - Z kwadratowej butelki nalał gościowi płynu do filiżanki.

- Zainteresuje pana coś jeszcze. - McConchie sięgnął do kieszeni i wyjął z niej jakiś płaski, złożony przedmiot. Rozwinął go i Gili ujrzał kopertę.

Poczta. List z Nowego Jorku.

- Tak jest - powiedział McConchie. - Dostarczony mojemu szefowi, panu Hardy'emu. Przebył całą drogę ze wschodniego wybrzeża zaledwie w cztery tygodnie. Rząd z Cheyenne, wojskowi, to ich zasługa. Część drogi przeleciał awionetką, część przebył ciężarówką, część na koniu. Ostami odcinek na piechotę.

- Chryste - odparł Gili. I nalał odrobinę five star również do swojej filiżanki.

Bill Keller usłyszał małe zwierzę, ślimaka lub innego brzuchonogi i natychmiast wniknął do jego wnętrza. Dał się jednak oszukać, stworzenia było ślepe. Wydostał się z ciała siostry, lecz tym razem nie mógł nic widzieć i słyszeć, mógł się jedynie poruszać.

- Pozwól mi wrócić! - zawołał w panice do siostry. - Patrz, coś narobiła, przeniosłaś mnie w coś niewłaściwego. - Zrobiłaś to specjalnie, pomyślał, brnąc przed siebie. Szedł coraz dalej i dalej, szukając jej.

Gdybym tak mógł wyciągnąć rękę, pomyślał. I sięgnąć nią w górę. Nit miał jednak żadnych kończyn, które posłużyłyby do tego celu. Kimże teraz jestem, powiedział w duchu, usiłując się podciągnąć. Jak nazywają się świecące obiekty tam, wysoko? Te światła na niebie... czy będąc pozbawiony oczu, mogę je widzieć? Nie, pomyślał, nie mogę.

Ruszył dalej, podciągał się, jak najwyżej mógł, i opadał, by pełznąć dalej. Jedyne, co mu pozostawało w nowym, zewnętrznym życiu.

Wysoko na niebie, Walt Dangerfield siedział, podpierając głowę rękami. Dręczący go ból wzmógł się, zmienił i pochłonął do tego stopnia, że mężczyzna - podobnie jak wiele razy wcześniej - nie potrafił myśleć o niczym innym.

Jak długo jeszcze wytrzymam, pomyślał. Jak długo będę żył?

Nie było nikogo, kto by mu odpowiedział.



Edie Keller obserwowała z dreszczem podniecenia pełzającą po ziemi dżdżownicę, czuła, że brat z całą pewnością znajdował się wewnątrz stworzenia.

Poczuła w brzuchu monotony głos dżdżownicy.

- Bum, bum, bum - brzmiało echo niejasnych procesów biologicznych stworzenia.

- Wyjdź ze mnie, robaku - zachichotała dziewczynka. Ciekawe, co też dżdżownica myślała na temat swojej nowej sytuacji. Czy była równie oszołomiona, jak Bili? Muszę mieć na nią oko, uświadomiła sobie Edie, mając na myśli pełzającą po ziemi dżdżownicę. Inaczej się zgubi. - Bili powiedziała, pochylając się nad nim. - Śmiesznie wyglądasz. Jesteś cały czerwony i długi, wiesz o tym? - I zaraz pomyślała: Powinnam była umieścić go w innej osobie. Dlaczego nie przyszło mi to do głowy? Wówczas wszystko byłoby jak należy, miałabym prawdziwego brata, z którym mogłabym się bawić.

Z drugiej strony jednak w jej wnętrzu tkwiłaby nowa, obca osoba. A to budziło mniejszy entuzjizm.

Kto by się nadawał, zastanawiała się. Jeden ze szkolnych kolegów? Porosły? Może pan Barnes, nauczyciel. Albo...

Hoppy Harrington. On i tak boi się Billa.

- Bili - powiedziała, kłękając i podnosząc z ziemi dżdżownicę, położyła ją sobie na dłoni. - Poczekaj, aż usłyszysz mój plan. - Przyłożyła dżdżownicę do boku, gdzie wewnątrz tkwiło twarde zgrubienie. - Wracaj do środka. Przecież i tak nie chcesz być robakiem, to żadna przyjemność.

Dobiegł ją głos brata.

- Ty... nienawidzę cię, nie daruję ci tego. Umieściłaś mnie w ślepym paskudztwie bez rąk i nóg! Mogłem tylko pełzać!

- Wiem - odparła, kołysząc się w przód i w tył z beużyteczną dżdżownicą w ręku. - Słyszysz mnie? Chcesz zrobić to, co powiedziałam? Mam zbliżyć się do Hoppy Harringtona? Miałbyś oczy i uszy, byłbyś prawdziwą osobą.

- Boję się.

- Ale ja tego chcę - odrzekła Edie, kołysząc się w przód i w tył. - I tak /robimy, Bili, damy ci oczy i uszy... i to zaraz.

Bili nie odpowiedział, odwrócił myśli od niej i jej świata i skierował je ku sobie tylko znanym rejonom. Znowu gada z tymi okropnymi zmarłymi, stwierdziła

Edie. Z tymi, co to nigdy nie zaznali w życiu radości, ani w ogóle niczego.

To nic dobrego, Bili, pomyślała. Już postanowiłam.

Nocą, w szlafroku i kapciach Edie biegła ścieżką do domu Hoppy Haringtona.

- Jeśli chcesz to zrobić, lepiej się pośpiesz - zawołał ze środka Bili. On wie o nas... mówią mi o tym, zmarli mi o tym mówią. Powiedzieli, że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Gdy podejdziemy wystarczająco blisko, mogę naśladować kogoś zmarłego, wystraszy się, on panicznie się ich boi. To dlatego że dla niego zmarli są jak ojcowie, mnóstwo ojców i...

- Siedź cicho - rozkazała Edie. - Niech pomyślę. - W ciemnościach straciła orientację. Nie mogła znaleźć ścieżki przez dębowy las i stanęła, oddychając głęboko i próbując ustalić właściwy kierunek w bladym świetle półksiężyca.

Na lewo, doszła do wniosku. W dół pagórka. Nie mogę spaść, usłyszałby hałas, ma doskonały słuch, nawet na dużą odległość. Schodziła ostrożnie, krok po kroku, wstrzymując oddech.

- Mam pomysł - mamrotał Bili, za żadne skarby nie chciał zamilknąć - Kiedy znajdę się blisko niego, zacznę naśladować kogoś zmarłego. Nie spodoba ci się to, ale potrwa tylko kilka minut, a potem przemówię do mego bezpośrednio, prosto z ciebie. Czy to...

- Zamknij się - powiedziała desperacko Edie. Znajdowali się nad domem Hoppy'ego, widziała leżące w dole światła. - Proszę, Bili, proszę.

- Ale muszę ci wyjaśnić - ciągnął Bili. - Kiedy... Urwał. We wnętrzu dziewczynki zrobiło się pusto.

- Bili - zawołała. Zniknął.

Na wprost niej w nikłym świetle księżyca unosiło się coś, czego nigdy wcześniej nie widziała. Dryfowało w powietrzu z ogonem długich, jasnych włosów. Podpłynęło do góry, by znaleźć się na wysokości jej oczu. Ujrzała małe, przygasłe ślipka i rozchylone usta. Postać składała się wyłącznie z małej, okrągłej głowy przypominającej piłkę baseballową. Z rozchylonych ust dobiegł pisk, po czym uwolniona postać pozeğłowała w górę. Dziewczynka patrzyła, jak nabiera wysokości i unosi się ponad drzewami w kierunku nieznanym sobie dotąd rejonów.

- Bill - powiedziała Edie. - Hoppy mi cię zabrał. Hoppy wyjął cię ze środka. - I odchodzisz, uświadomiła sobie, Hoppy zmusza cię do odejścia. - Wróć - zawołała, lecz nie miało to znaczenia, ponieważ nie mógł żyć poza jej ciałem. Wiedziała o tym,

doktor Stockstill jej powiedział. Nie mógł się urodzić, Hoppy wiedział o tym i zmusił go do narodzin, wiedząc, że Bill umrze.

Już nie będziesz nikogo naśladował, pomyślała. Mówiłam, żebyś siedział cicho, a ty nie posłuchałeś. Wyteżyła wzrok i zobaczyła - a może jej się tylko wydawało - niewielki obiekt z kitą długich włosów, wysoko ponad ziemią... który prawie w tej samej chwili bezszelestnie rozpląnął się w powietrzu.

Została sama.

I po co dalej żyć? To koniec. Odwróciła się i weszła z powrotem na wzgórze ze zwieszoną głową i zamkniętymi oczami, po omacku znajdując drogę. Do domu, do łóżka. Czowała w środku ziejącą wyrwę. Gdybyś tylko siedział cicho, pomyślała. Nic by nie usłyszał. Mówiłam ci.

Dryfujący w atmosferze Bill Keller niewiele widział, niewiele słyszał, czuł jednak rosnące poniżej drzewa i zwierzęta przemykające wśród nich. Czuł, jak ciśnienie wypycha go w górę. Przypomniał sobie, że miał kogoś naśladować i zrobił to. Jego głos rozbrzmiał metalicznie w chłodnym powietrzu, dotarł do jego uszu i wyrwał mu z gardła radosny okrzyk.

- Nasza nieroztropność dawała nam szkołę - pisnął i echo głosu wzbudziło w nim niezmierny zachwyty.

Napór ciśnienia ustał, Bili podskoczył, po czym dał nura w dół. Spadał jak kamień i tuż nad ziemią, zamiast na niej osiąść, zwabiony obecnością człowieka skierował się w stronę domu Hoppy'ego Harringtona.

- Oto wola Boża! - wykrzyknął cienkim głosem. - Na tym strasznym przykładzie widzimy, że pora położyć kres testom nuklearnym w atmosferze. Wszyscy macie napisać do prezydenta Kennedy'ego! - Nie miał pojęcia, kim jest Kennedy. To pewnie jakaś żyjąca postać. Rozejrzał się, ale jej nie zobaczył, zamiast tego jego spojrzenie padło na dębowy las i zwierzęta, ujrzał ptaka o bezszelestnych skrzydłach, zakrzywionym dziobie i bystrych oczach. Kiedy ptak skierował się w jego stronę, przerażony Bili pisnął.

Ptak wyraził skrzekiem żądę rozszarpania go na kawałki.

- Wy wszyscy! - krzyknął Bill, uciekając w ciemnościach. - Musicie napisać swój protest!

Gdy mknął pomiędzy drzewami, nieubłaganie śledziły go błyszczące oczy podążającego za nim ptaka.

Sowa go dopadła. I połknęła za jednym razem. Ponownie znalazł się w środku. Przestał widzieć i słyszeć. Sowa, pohukując, leciała dalej.

- Słyszysz mnie? - zapytał Bili Keller.

Może słyszała, a może nie. Była tylko pozbawioną rozumu sową, nie umiała myśleć tak jak Edie. Czy mogę tu zamieszkać, zastanawiał się, ukryty tam, gdzie nikt nie wie... możesz latać, możesz unosić się w powietrzu. Prócz niego w ciele sowy znajdowały się ciała myszy i coś, co ruszało się i drapało, wystarczająco duże, by posiadać żądzę przetrwania.

Niżej, rozkazał sowie. Jej oczami ujrzał dęby, widział je wyraźnie, jakby były oblane światłem. Miliony obiektów tkwiło nieruchomo i dojrzał wśród nich jeden, który pełzał - sowa natychmiast zwróciła się w jego kierunku. Nie podejrzewając niczego, pełzające stworzenie wyszło na otwartą przestrzeń.

Chwilę później zostało połknięte. Sowa poleciała dalej.

Dobrze, pomyślał. I co jeszcze? Polowanie trwa przez całą noc, kiedy pada deszcz, nadchodzi czas kąpieli, następnie długie okresy głębokiego snu. Czy to najlepsze ze wszystkiego? Tak.

- Fergesson nie pozwala swoim pracownikom pić - powiedział. - To wbrew jego religii, nie? Hoppy, co to za światło? Czy to Bóg? Wiesz, jak w Biblii. To znaczy, czy to prawda?

Sowa zahukała.

Tysiąc zmarłych dopominało się w jego wnętrzu o uwagę. Nasłuchiwał, wybierał, powtarzał.

- Ty pokrako - rzekł. - Posłuchaj. Zostaniesz tu, jesteśmy poniżej poziomu ulicy, bomba nic nam nie zrobi. Ci na górze zginą. Ty tu zrób im miejsce.

Przerażona sowa zatrzepotała skrzydłami, podfrunęła wyżej, próbując pozbyć się go. On jednak dalej wybierał, słuchał i powtarzał.

- Zostań na dole - polecił. Światła domu Hoppy'ego ponownie znalazły się w polu widzenia, sowa zatoczyła łuk i mimowolnie skierowała się w stronę budynku. Kierował nią, jak chciał. Prowadził ją coraz bliżej Hoppy'ego. - Ty durnoto - powiedział. - Zostań tam, gdzie jesteś.

Sowa z wysiłkiem wykonała swój rutynowy manewr, jednym kasznięciem wyrzuciła go z siebie i runął na ziemię, mimo że liczył na prądy powietrzne. Wpadł pomiędzy liście i rośliny, jęcząc turlał się po ziemi, aż wreszcie osiadł w zagłębieniu gruntu.

Uwolniona sowa poszybowała w górę i znikła.

- Niech świadczy o tym ludzkie współczucie - odezwał się głosem pastora, który odprawiał msze w kościele, gdzie przed laty chodził Hoppy z ojcem. - To nasza wina, widzimy jedynie rezultaty nieroztropności człowieka.

Pozbawiony bystrego spojrzenia sowy dostrzegał tylko niewyraźne zarysy, nieskalana czystość obrazu znikła, ustępując miejsca garstce pobliskich kształtów. Były to drzewa.

Dostrzegł również rysujący się na tle mrocznego nieba dom Hoppy'ego. Znajdował się w pobliżu.

- Wpuść mnie - poprosił Bili. Wciąż tkwił w zagłębieniu ziemi i miotał się na boki, wzbudzając liście. - Chcę wejść do środka.

Usłyszało go jakieś zwierzę i poruszyło się w ciemnościach.

- Do środka, do środka, do środka - powtórzył Bili. - Długo tu nie wytrzymam, umrę. Edie, gdzie jesteś? - Nie czuł w pobliżu jej obecności, czuł jedynie ukrytego w domu fokomelusa.

Z wysiłkiem potoczył się w jego kierunku.

Wczesnym rankiem doktor Stockstill zjawił się w domu Hoppy Harringtona, aby korzystając z przekaźnika, skontaktować się z chorym Waltem Dangerfieldem. Zauważył, że przekaźnik jest włączony, podobnie jak większość światła. Zdziwiony zapukał do drzwi.

Na progu pojawił się Hoppy Harrington w swoim fokomobilu. Hoppy popatrzył na niego w dziwny, czujny sposób.

- Chcę spróbować jeszcze raz - oznajmił Stockstill, wiedząc, że ów zamiar jest z góry skazany na niepowodzenie. - Mogę?

- Oczywiście - odrzekł Hoppy.

- Czy Dangerfield jeszcze żyje?

- Tak. Wiedziałbym, gdyby nie żył. - Hoppy zjechał na bok, by wpuścić lekarza. - Wciąż musi tam być.

- Co się stało? - zapytał Stockstill. - Nie spałeś całą noc?

- Owszem - odpowiedział Hoppy. - Uczyłem się, jak wszystko obsługiwać. - Wprowadził swój pojazd w ruch. - Trudne to - oznajmił z widocznym przejęciem. Pojazd uderzył w krawędź stołu. - Uderzyłem w niego przez przypadek - powiedział Hoppy. - Przepraszam, nie chciałem.

- Wydajesz się jakiś odmieniony - rzekł Stockstill.

- Jestem Bili Keller - powiedział fokomelus. - Nie Hoppy Harrington. To jest Hoppy - dodał, pokazując prawym odnóżem.

W rogu leżał pomarszczony, plackowaty obiekt długości kilku cali. Miał otwarte usta i pewne cechy człowiecze; doktor Stockstill podszedł bliżej, aby mu się przyjrzeć.

- To kiedyś byłem ja - oświadczył fokomelus. - Lecz zeszłej nocy podszedłem na tyle blisko, aby zamienić się z nim ciałami. Walczył zawzięcie, ale był tak przestraszony, że wygrałem. Naśladowałem jedną postać za drugą. Przy pastorze dał za wygraną.

Stockstill milczał, trzymając pomarszczoną kreaturę w rękach.

- Czy pan wie, jak obsługiwać przekaźnik? - zapytał fokomelus. - Bo ja nie. Próbowałem, ale nie mogę. Nauczyłem się włączać światło, działa jak należy. Ćwiczyłem całą noc. - Na potwierdzenie swoich słów podjechał do ściany i odnóżem sięgnął do przełącznika.

- Wiedziałem, że nie przeżyje - powiedział wreszcie Stockstill, patrząc na niewielkie truchło.

- Przez jakiś czas nawet nieźle mu szło - stwierdził fokomelus. - Około godziny, całkiem niezły wynik, prawda? W tym czasie na chwilę stał się sową, nie wiem, czy to się liczy?

- Lepiej... spróbuję nawiązać kontakt z Dangerfieldem - powiedział Stockstill.  
- W każdej chwili może umrzeć.

- Tak. - Fokomelus skinął głową. - Mam to zabrać? - Wyciągnął odnoże i Stockstill podał mu człowieczka. - Sowa mnie zjadła - rzekł fokus. - Nie podobało mi się to, choć miała niezły wzrok, korzystanie z nich to naprawdę była frajda.

- Tak - odparł z namysłem Stockstill. - Sowy mają doskonały wzrok. To musiało być niesamowite doświadczenie. - Usiadł przy przekaźniku. I co teraz zrobisz?

- Muszę przyzwyczać się do tego ciała, jest ciężkie. Doskwiera mi grawitacja... przyzwyczałem się do płynnego dryfowania. Wie pan co? Myślę, że te odnoża są bomba. Już potrafię wiele nimi zrobić. - Dotknął wiszącego na ścianie obrazka i machnął odnóżami w stronę przekaźnika. - Muszę znaleźć Edie - oznajmił. - Chcę powiedzieć jej, że nic mi nie jest, pewnie myśli, że umarłem.

Stockstill włączył mikrofon i przygotował się do kontaktu z satelitą.

- Walt Dangerfield - powiedział. - Mówi doktor Stockstill z West Marin. Słyszysz mnie pan? Jeśli tak, proszę odpowiedzieć. - Zamilkł, po czym powtórzył pytanie.

- Czy mogę już iść? - zapytał Bili Keller. - Mogę poszukać Edie?

- Tak - odparł Stockstill, pocierając czoło. - Uważaj na siebie... drugi raz może nie pójść tak łatwo.

- Nie będzie drugiego razu - odrzekł Bili. - To mi odpowiada, bo nie ma tu nikogo, prócz mnie. - Skrzywił w uśmiechu wychudłą twarz. - Nie jestem już tylko częścią innej istoty.

Stockstill ponownie uruchomił mikrofon.

- Walt Dangerfield - powtórzył. - Słyszysz mnie pan? - Jest w tym jakiś sens, pomyślał. Warto próbować?

- Czy skoro udało mi się wyjść, mogę chodzić do szkoły? - zapytał fokus, który nadal jeździł po pokoju swoim pojazdem.

- Tak - odmruknął Stockstill.

- Ale ja już wiem mnóstwo rzeczy - powiedział Bill. - Przysłuchiwałem się, kiedy Edie chodziła do szkoły, lubię pana Barnes'a, a pan? To świetny nauczyciel... spodoba mi się nauka w jego klasie. Ciekawe, co na to wszystko moja matka? - dorzucił fokus.

- Co takiego? - zapytał w osłupieniu Stockstill. Naraz zrozumiał o kim mowa. Bonny Keller. Tak, reakcja Bonny może być interesująca, pomyślał. Potraktujmy to jako zapłatę za jej liczne romanse... za lata seksu z mężczyznami, których trudno zliczyć.

Ponownie uruchomił mikrofon. I spróbował raz jeszcze.

- Rozmawiałem dziś po lekcjach z twoją córką - powiedział do Bonny Keller pan Barnes. - Odniosłem nieodparte wrażenie, że o nas wie.

- Chryste, niby skąd miałyby to wiedzieć? - spytała Bonny. Z jękiem dźwignęła się do pozycji siedzącej, poprawiła ubranie i zapięła bluzkę. Ależ ten człowiek różnił się od Andrew Gilla, który zazwyczaj kochał się z nią, na widoku, w biały dzień, na poboczach dębowych alei West Marin, gdzie w każdej chwili ktoś mógł ich zobaczyć. Za każdym razem czuła jednakowe podniecenie i poddawała się mu bez protestów... może powinnam do niego wrócić, pomyślała.

Może, dodała w duchu, powinnam ich wszystkich zostawić, Barnes'a, George'a

i tę stukniętą córkę, powinnam, wbrew opinii sąsiadów, jawnie zamieszkać z Gillem i dla odmiany spróbować być szczęśliwa.

- Cóż, skoro nie będziemy się kochać - rzekła do Barnesa - przejdźmy do hali Forresterów i posłuchajmy popołudniowej audycji z satelity.

- Może po drodze znajdziemy jakieś jadalne grzyby - odparł z zadowoleniem Barnes.

- Mówisz poważnie? - zapytała Bonny.

- Oczywiście.

- Biedaku - powiedziała, potrząsając głową. - Ty żaloszny biedaku. Po coś ty w ogóle przyjechał z Oregonu do West Marin? Tylko po to, aby uczyć dzieciaki i zbierać grzyby?

- To w gruncie rzeczy wcale nie takie złe życie - odparł Barnes. - Lepsze niż to, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem, nawet przed wojną. Poza tym mam ciebie, i

Zasepiona Bonny Keller podniosła się z ziemi i podążyła drogą z rękami głęboko wciśniętymi w kieszenie. Barnes z trudem nadążał za nią.

- Zostanę w West Marin - oświadczył. - To koniec moich podróży. Pomimo moich przykrych doświadczeń z twoją córką...

- Ty to nazywasz doświadczeniem - przerwała mu Bonny. - To po prostu twoje nieczyste sumienie dało ci się we znaki. Pośpieszmy się, chcę zdążyć na Dangerfielda. Przynajmniej kiedy on mówi, przyjemnie posłuchać.

Pan Barnes znalazł grzyba, przystanął i pochylił się.

- Smardz! - wykrzyknął. - Smaczny i jadalny... - Ułamał go tuż przy ziemi i przystąpił do dalszych poszukiwań. - Zrobię gulasz dla ciebie i George'a - powiedział, znajdując kolejnego grzyba.

Czekając na niego, Bonny zapaliła papierosa Gold Label z wytwórni Andrew Gilla i z westchnieniem przeszła kilka kroków dębową aleją usianą kępami trawy.



## TWOJA WIZYTA PRZYPADA NA DZIEŃ POPRZEDNI

Promienie słońca wpełzły do środka i mechaniczny, przenikliwy głos oznajmił: - Dobra, Lehrer. Pora wstać i pokazać im, kim jesteś i na co cię stać. Wielki gość z tego Niehlsa Lehrera, wszyscy o tym wiedzą. Słyszę, jak mówią: wielki gość, wielki talent, poważna funkcja. Podziwiany przez znaczną część społeczeństwa. Nie śpisz już?

- Nie - odparł z łóżka Lehrer. Usiadł i uciszył donośną tyradę budzika. - Dzień dobry - powiedział do pogrążonego w ciszy mieszkania. - Wyspałem się. Mam nadzieję, że ty też.

Gdy zrędliwie zwlekał się z łóżka, z nową siłą dały o sobie znać problemy drzemiące w jego umyśle. Podeszedł do szafy z zamiarem wyjęcia odpowiednio brudnej odzieży. Trzeba przygwoździć Ludwiga Enga, rzekł w duchu. Zadania jutra stają się gorszymi zadaniami dnia dzisiejszego. Zdradzić Engowi, że na świecie pozostał jedyny egzemplarz jego doskonale sprzedającej się powieści. Nadchodzi pora, by zaczął działać, zrobił jedyną rzecz, jaką umiał robić. Co poczuje Eng? Bądź co bądź, zdarzało się, że wynalazcy nie chcieli siedzieć cicho i zajmować się tym, co do nich należało. Cóż, uznał, to problem syndykatu, nie mój. Znalazł poplamioną czerwoną koszulę. Zdjął górę od piżamy i nałożył ją. Znalezienie spodni stanowiło większą trudność, musiał przekopać cały kosz.

Następnie zestaw do nakładania zarostu.

Moim marzeniem, pomyślał Lehrer w drodze do łazienki, jest przejechać samochodem całe ZSZ. Fiu. Nad zlewem umył twarz, potem posmarował je klejem w piance, otworzył torebkę z zarostem i zręcznymi ruchami fachowo nałożył go na podbródek, szczęki oraz szyję. Gotowy do drogi, stwierdził, oglądając swe odbicie w lusterku. Westchnąwszy z zadowoleniem, przejrzał dział sportowy w „San Francisco Chronicle”, po czym przeszedł do kuchni i przystąpił do wyjmowania brudnych naczyń. Niebawem miał przed sobą talerz z zupą, kotlety baranie z groszkiem, marsjański mech z sosem jajecznym oraz filiżankę gorącej kawy. Zebrawszy to wszystko, wyjął spod potraw talerze - oczywiście upewniwszy się najpierw, czy nikt nie obserwuje go zza okna - i pospiesznie umieścił żywność we właściwych naczyniach, które następnie wstawił do szafki lub do lodówki. Dochodziło wpół do dziewiątej. Miał kwadrans na dotarcie do pracy. Nie musiał się spieszyć: sekcja B

Ludowej Biblioteki Tematycznej nie ucieknie.

Latami pracował na to, by znaleźć się w B. Tu mógł zapomnieć o rutynie, ba, nie musiał nawet czuwać nad czyszczeniem tysięcy identycznych egzemplarzy dzieła we wstępnych fazach wykorzeniania. Co więcej, wcale nie musiał uczestniczyć w tym żmudnym procesie, pozostawiając go zatrudnianym na pęczki przez bibliotekę pacholkom. Stał jednak przed koniecznością niełatwego *tête-à-tête* z licznymi zastępami poirytowanych wynalazców, którzy uchylali się od zleconego im - według syndykatu, obowiązkowego - ostatecznego czyszczenia jedynego maszynopisu dzieła, z którym łączyło się ich nazwisko. A łączyło się za sprawą procesu, którego ani on, ani wybrani wynalazcy ni w ząb nie pojmwali. Sam syndykat wiedział zapewne, dlaczego dany wynalazca otrzymywał takie, a nie inne zadanie. Na przykład, Eng i JAK SKONSTRUOWAŁEM W WOLNYM CZASIE WŁASNY SWIBBL Z KONWENCJONALNEGO SPRZĘTU DOMOWEGO UŻYTKU.

Lehrer zamyślił się, spoglądając na resztki gazety. Pomyśl o odpowiedzialności. Gdy sprawa Enga dobiegnie końca, na całym świecie nie zostanie ani jeden swibbl, chyba że typy spod ciemnej gwiazdy z ZWM zdążą nielegalnie wywieźć kilka z nich. W gruncie rzeczy, nawet mimo, że oskop, ostatnia kopia książki Enga wciąż istniała, miał mgliste pojęcie na temat wyglądu i przeznaczenia swibbla. Kwadratowy? Mały? Czy też okrągły i wielki? Mmm. Odłożył gazetę i potarł czoło, próbując sobie przypomnieć - wskrzesić w myślach dokładny obraz urządzenia, dopóki to było jeszcze możliwe. Ponieważ z chwilą gdy Eng zredukuje oskop do grubo powleczonej farbą drukarską jedwabnej wstążki, połowy ryzy papieru i arkusza świeżej kalki, ani on, ani nikt inny nie będzie w stanie przypomnieć sobie książki czy opisywanego przez nią mechanizmu.

To zadanie jednak zajmie Engowi przypuszczalnie pozostałą część roku. Czyszczenie oskopu musiało przebiegać stopniowo, wers po wersie, słowo po słowie, nie jak w przypadku zadrukowanych egzemplarzy. Aż do ostatniego maszynopisu proces przebiegał gładko, a potem... w ramach rekompensaty za żmudną robotę Eng otrzyma czek opiewający na pokaźną sumę: zadanie to będzie kosztowało Enga w granicach dwudziestu pięciu tysięcy poskredów. Skoro zaś wyeliminowanie książki o swibblu miało uczynić go biedakiem...

Słuchawka leżącego na kuchennym stole obok jego łokcia telefonu zerwała się z widełek i dobiegł z niej daleki piskliwy głos.

- Do widzenia, Niehls. - Był to głos kobiety. Podnosząc słuchawkę do ucha,

odpowiedział:

- Do widzenia.

- Kocham cię, Niehls - oznajmiła Charise McFadden zdyszczanym, przepełnionym emocjami głosem. - A ty mnie kochasz?

- Tak, ja też cię kocham - odparł. - Kiedy ostatnio cię widziałem? Mam nadzieję, że niedługo. Powiedz, że niedługo.

- Najpewniej dziś wieczorem - rzekła Charise. - Po pracy. Chciałabym, żebyś kogoś poznał. Jest to prawie nieznaną wynalazca, który niecierpliwie czeka na oficjalne wyeliminowanie swojej pracy o, hm, psychogenicznych korzeniach śmierci od uderzenia meteorytu. Powiedziałam, że skoro jesteś w sekcji B...

- Przekaż mu, niech sam wyeliminuje tę pracę.

- Ależ nie ma w tym żadnego prestiżu. To naprawdę nudny zlepek teorii, Niehls, tak wariacki, jak długi jest dzień. Ten chłopak, Lance Arbuthnot...

- Tak się nazywa? - To prawie go przekonało. Ale nie do końca. Każdego dnia otrzymywał mnóstwo podobnych próśb, spośród których każda, bez wyjątku, dotyczyła znikomego dzieła stukniętego wynalazcy o idiotycznym nazwisku. Za długo piastował stanowisko w sekcji B, żeby łatwo dać się nabrać, Niemniej... musiał sprawę zbadać, nakazywał mu to jego system wartości. Westchnął.

- Słyszałam twoje stękanie - zauważyła pogodnie Charise.

- Pod warunkiem że nie należy do OWM - oświadczył Lehrer.

- Cóż... należy. - W jej głosie pobrzmiwało poczucie winy. - Jednak chyba go wyrzucili. Dlatego jest tutaj, a nie tam.

To o niczym nie świadczy, pomyślał Lehrer. Możliwe, że Arbuthnot nie dzielił zadziornych, fanatycznych poglądów z rządzącą elitą Okręgu Wolnych Murzynów. Może jego wyważone opinie raziły nadmierną ostrożnością Bardów republiki wywodzących się z dawnego Tennessee, Kentucky, Arkansas i Missouri. Lecz mimo to mógł reprezentować fanatyczny punkt widzenia. Nigdy nic nie wiadomo: lepiej poznać kogoś osobiście, choć czasem i to nie wystarczy. Pochodzący ze wschodu Bardowie skutecznie mydlili oczy trzech piątych ludzkości, dzięki czemu ich motywy, intencje i Bóg wie co jeszcze nadal pozostawały okryte tajemnicą.

- Co więcej - ciągnęła Charise - osobiście znał Anarcha Peaka przed smutnym incydentem pomniejszenia.

- Smutnym! - zachnął się Lehrer. - Baba z wozu, koniom lżej. - No właśnie: ten to dopiero przodował wśród ekscentryków i durniów świata. Tylko tego było

Lehrerowi trzeba: spotkania z sojusznikiem pasożytniczego Anarcha. Zadrżał na wspomnienie opisów aktów przemocy rasowej z połowy dwudziestego wieku, które poznał na podstawie eklektycznych ksiąg bibliotecznych. Z zamachów, rabunków i morderstw tamtych czasów wywodził się Sebastian Peak, najpierw prawnik, potem potężny czarownik, aż wreszcie fanatyk religijny o wcale okazałej rzeszy wyznawców... nie tylko na tej planecie, choć poruszał się głównie w kręgach OWM.

- Mogłoby to wpędzić cię w kłopoty z Bogiem - powiedziała Charise.

- Muszę biec do pracy - odparł Lehrer. - Zadzwoń do ciebie podczas przerwy na kawę. Do tej pory sprawdzę tego Arbuthnota w kartotece. Moja decyzja w związku z jego wariacką teorią na temat psychosomatycznej śmierci w wyniku uderzenia meteorytu będzie musiała trochę poczekać. Witam. - Odłożył słuchawkę i zwinnie poderwał się z miejsca. Kiedy podążał w stronę windy, jego nieświeża odzież wydzielala prawdziwie przyjemny zapach. Zadowolenie z własnego wyglądu poprawiło mu nastrój. Kto wie może pomimo Charise i jej nowej maskotki, wynalazcy Arbuthnota, dzień wcale nie okaże się taki zły.

W głębi serca jednak szczerze w to wątpił.

Kiedy Niehls Lehrer dotarł do swojej sekcji bibliotecznej, jego szczupła, jasnowłosa sekretarka, panna Tomsen, próbowała uwolnić się - i tym samym jego - od wysokiego mężczyzny w niedbałym odzieniu i z teczką wciśniętą pod pachę.

- Ach, pan Lehrer - rzucił zachrypniętym, tubalnym głosem nieznajomy na widok Lehrera. Podszedł do Niehlsa z wyciągniętą ręką. - Miło pana poznać, sir. Do widzenia, do widzenia, jak wy tutaj mówicie. - Jego promienny uśmiech zniknął równie szybko, jak się pojawił. Twarz Niehlsa pozostała nieruchoma.

- Jestem bardzo zajęty człowiekiem - oświadczył Niehls, mijając biurko panny Tomsen i otwierając drzwi swego prywatnego gabinetu. - Jeśli ma pan do mnie jakąś sprawę, musi się pan wcześniej umówić. Witam. - I chciał zamknąć za sobą drzwi.

- To dotyczy Anarcha Peaka - powiedział wysoki mężczyzna z teczką. - Który, jak miemam, bardzo pana interesuje.

- Skąd ta myśl? - odparł z irytacją Lehrer. - Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek okazywał zainteresowanie typom pokroju Peaka.

- Ależ musi pan pamiętać. Ach, prawda. Was tutaj obejmuje Faza. Ja natomiast jestem przyzwyczajony do przeciwnego, normalnego biegu czasowego.

Dlatego to, co wkrótce spotka was, dla mnie stanowi epizod niedalekiej przeszłości. Mojej niedalekiej przeszłości. Czy może mi pan poświęcić kilka minut swojego czasu? Zaręczam, że nie będzie to czas stracony. - Mężczyzna zaśmiał się. - „Swojego czasu”. Dobrze powiedziane. Tak, istotnie to pański czas, nie mój. Wystarczy wziąć pod uwagę fakt, że dla mnie ta wizyta odbyła się wczoraj. - Ponownie uśmiechnął się swoim mechanicznym uśmiechem. Wzrok Niehlsa padł na wąski, złoty pasek przyszyty do rękawa wysokiego mężczyzny. Stał przed nim robot, który według prawa miał obowiązek nosić identyfikator, aby nie wprowadzać ludzi w błąd. Na myśl o tym rozdrażnienie Niehlsa wzmogło się: żywił wobec robotów głębokie, niepohamowane uprzedzenia, których ani nie mógł, ani na dobrą sprawę nie chciał się pozbyć.

- Niech pan wejdzie - powiedział, przytrzymując drzwi do swego bogato urządzonego gabinetu. Robot reprezentował jakiegoś człowieka, nie przyszedł tu z własnej woli: takie było prawo. Niehls zastanawiał się, kto go przysłał. Członek syndykatu? Możliwe. Tak czy inaczej, lepiej najpierw go wysłuchać, a potem odprawić.

Weszli do gabinetu i stanęli twarzami do siebie.

- Oto moja wizytówka - oznajmił robot.

Z niechęcią odczytał zawartą na niej informację.

*Carl Gantrix*

*Prawnik ZSZ.*

- To mój pracodawca - wyjaśnił robot. - Zatem wie pan już, jak się nazywam. Proszę mówić do mnie Carl, tak będzie najlepiej. - Za zamkniętymi drzwiami gabinetu głos robota niespodziewanie przybrał władczy ton.

- Wołałbym mówić do ciebie Carl junior - odrzekł czujnie Niehls. O ile nie weźmiesz mi tego za złe. - Nadał swemu głosowi jeszcze bardziej władcze brzmienie. - Prawdę mówiąc, rzadko udzielam audiencji robotom. Takie drobne dziwactwo, od którego jednak nie czynię odstępstw.

- Aż do tej chwili - mruknął Carl junior. Schował wizytówkę z powrotem do portfela. Następnie usiadł i przystąpił do otwierania teczki. Skoro kieruje pan sekcją B biblioteki, na pewno jest pan znawcą Fazy Hobarta. Tak przynajmniej zakłada pan Gantrix. Zgadza się, sir? - Robot utkwiał w nim bystre spojrzenie.

- Cóż, nieustannie mam z nią do czynienia. - Niehls zdecydował się na nieobowiązujący, nonszalancki ton. W kontakcie z robotem zawsze lepiej okazać wyższość. Bezustannie należy - w ten czy inny sposób - pokazywać im ich miejsce w szeregu.

- Tak jest. Pan Gantrix przyjął również, że w ciągu wielu lat stał się pan autorytetem w kwestii plusów, stopnia użyteczności i minusów pola odwróconego czasu Hobarta. Prawda? Nieprawda? Proszę wybrać jedną z możliwości.

Niehls zastanowił się.

- Wybieram pierwszą. Musicie jednak wziąć pod uwagę, że moja wiedza jest raczej praktyczna, nie teoretyczna. Radzę sobie jednak z kapryсами Fazy bez konieczności ich tłumaczenia. Widzisz, jestem Amerykaninem z krwi i kości, stąd mój pragmatyczny zmysł.

- Naturalnie. - Carl junior kiwnął swoją humanoidalną głową. Świetnie, panie Lehrer. Teraz przejdźmy do sedna sprawy. Jego Wysokość, Anarch Peak, stał się dzieckiem i wkrótce pod postacią płodu ponownie trafi do kobiecego łona. Zgadza się? To jedynie kwestia czasu, pańskiego czasu, ma się rozumieć.

- Jestem świadomy tego - odrzekł Niehls - że Faza Hobarta obowiązuje w znacznej części OWM. Wiem też, że najdalej za kilka miesięcy Jego Wysokość znajdzie się w najbliższym kobiecym łonie. Szczerze mówiąc, cieszy mnie to. Jego Wysokość to wariat. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości, to potwierdzony klinicznie fakt. Świat, zarówno czasu Hobarta, jak i czasu standardowego, odniesie dzięki temu znaczną korzyść. Czy więcej można dodać?

- Znacznie więcej - zapewnił go grobowym tonem Carl junior. Pochyliwszy się do przodu, położył na biurku Niehlsa plik dokumentów. Z całym szacunkiem nalegam, aby pan się z nimi zapoznał.

Za pomocą obwodu wideo w układzie robota, Carl Gantrix z lubością patrzył, jak bibliotekarz przystępuje do lektury umyślnie pogmatwanych pseudodokumentów podsuniętych mu przez robota.

Drzemiący w Niehlsie biurokrata połknął haczyk, odwróciwszy uwagę od robota, stał się nieświadomy jego poczynań. Tymczasem robot fachowo przesunął krzesło nieco na lewą stronę, w kierunku masywnej kartoteki podręcznej. Wydłużywszy prawą rękę, sięgnął palcowatymi chwytnikami do najbliższej kieszeni. Uszło to uwagi Lehrera, tak więc robot mógł bez przeszkód kontynuować manewry. Umieścił w kartotece zminiaturyzowane gniazdo nie większych od główki od szpilki

robocich embrionów, do których dołączył maleńki lokalizator oraz urządzenie detonujące potężnej mocy z trzydniowym czasem odpalenia.

Widząc to, Gantryx uśmiechnął się pod nosem. W posiadaniu robota pozostał już tylko jeden przedmiot. Czujnie spoglądając na Lehrera kątem

oka, robot ponownie wykonał ruch w kierunku kartoteki, chcąc podrzucić tam ostatni element.

- Purp - oznajmił Lehrer, nie podnosząc wzroku.

Hasło odebrane przez audiokomorę kartoteki uruchomiło czynności awaryjne. Kartoteka zamknęła się jak szukający kryjówki skorupiak. Następnie wsunęła się w ścianę, z dala od pola widzenia obecnych, jednocześnie wypływając umieszczone w niej przez robota ciała obce. Przedmioty z elektroniczną precyzją wylądowały u samych stóp robota.

- Na miłość boską - wyrwało się zdumionemu robotowi.

- Proszę natychmiast opuścić moje biuro - polecił stanowczo Lehrer. Podniósł kamienną twarz znad fałszywych dokumentów. -1 zostawić tu te przedmioty celem dokładnej inspekcji laboratoryjnej - dorzucił, widząc, jak robot schyla się, chcąc odzyskać swoją własność. - Chcę wiedzieć, czemu służyły i skąd pochodzą. - Sięgnął do szuflady biurka i wyjął z niej broń.

W uszach Carla Gantriksa zabrzmiał ukryty głos robota.

- Co mam robić, sir?

- Natychmiast wyjdź. - Gantryx już nie czuł rozbawienia. Konserwatywny bibliotekarz przejrzał ich, ba, udaremnił ich zamiary. Kontakt z Lehrerem należało nawiązać otwarcie. Z tą myślą Gantryx niechętnie podniósł słuchawkę najbliższego wideofonu i wykręcił numer biblioteki.

Chwilę potem ujrzał przez skaner wideo robota, jak Niehls Lehrer odbiera telefon w swoim gabinecie.

- Mamy problem - oznajmił Gantryx. - Wspólny problem. Dlaczego więc nie mielibyśmy rozpocząć współpracy?

- Nic nie wiem o żadnym problemie - odrzekł z niezmaconym spokojem Lehrer. Incydent z robotem nie wyprowadził go z równowagi. - Jeśli to miało być nawiązanie współpracy - dodał - przyznaję, że dość niefortunne.

- Zgadzam się z panem - odparł Gantryx. - W przeszłości mieliśmy jednak kłopoty z wami, bibliotekarzami. - Z waszą pychą, uzupełnił w duchu. Zachował jednak tę ostatnią myśl dla siebie. - Chodzi o Anarcha Peaka. Moi przełożeni uważają,

że ktoś próbuje w związku z nim zakłócić Fazę Hobarta, co stanowi jawne naruszenie prawa oraz, co za tym idzie, zagrożenie dla społeczeństwa... w sytuacji gdy próba się powiedzie, manipulacja znanymi prawami naukowymi doprowadzi do stworzenia istoty nieśmiertelnej. Pomimo iż zasadniczo nie jesteśmy przeciwni próbom mającym na celu dążenie do nieśmiertelności za pomocą Fazy Hobarta, jesteśmy głęboko przekonani, że Anarch nie jest tu odpowiednią osobą. Przypuszczam, że rozumie pan, o co mi chodzi.

- Anarch uległ niemal całkowitej reabsorbcji. - Lehrer nie okazał zainteresowania. Pewnie mi nie wierzy, przemknęło przez myśl Gantriksowi. - Nie widzę tu żadnego niebezpieczeństwa. - Zmierzył chłodnym okiem

siedzącego naprzeciw Carla juniora. - Jeśli mowa o zagrożeniu, uważam, że większym jest próba...

- Bzdura. Jestem tu, aby panu pomóc. Chodzi zarówno o dobro biblioteki, jak i moje własne.

- Kogo pan reprezentuje? - zapytał Lehrer. Gantrix zawahał się, po czym odrzekł:

- Barda Chai z Rady Jasności Najwyższej. Wypełniam jego rozkazy.

- To rzuca na sprawę inne światło. - Głos bibliotekarza stwardniał, jego rysy pociemniały. - Nie mam nic wspólnego z Radą Jasności. Odpowiadam jedynie za Eliminatorów. Jak pan zapewne wie.

- Czy jest pan jednak świadomy...

- Jestem świadomy tylko tego. - Sięgnąwszy do szuflady biurka, bibliotekarz Lehrer wyjął kwadratową, szarą skrzynkę. Następnie otworzył ją i dobył ze środka maszynopis, który pokazał Gantriksowi. - To jedyna jeszcze istniejąca kopia JAK SKONSTRUOWAŁEM W WOLNYM CZASIE WŁASNY SWIBBL Z KONWENCJONALNEGO SPRZĘTU DOMOWEGO UŻYTKU. Dzieło Enga, na granicy eliminacji. Widzi pan?

- Czy domyśla się pan, gdzie w tej chwili przebywa Ludwig Eng? zapytał Gantrix.

- Nic mnie to nie obchodzi. Ważne jest jedynie to, gdzie będzie wczoraj po południu o godzinie wpół do trzeciej. Jesteśmy umówieni, on i ja. Tutaj, w moim gabinecie w sekcji B biblioteki.

- To, gdzie znajdzie się Ludwig Eng wczoraj o wpół do trzeciej - odparł w zamyśleniu na wpół do siebie Gantrix - w dużej mierze zależy od tego, gdzie



przebywa w chwili obecnej. - Nie zdradził bibliotekarzowi tego, co wiedział, a mianowicie, że Ludwig Eng znajdował się gdzieś w Okręgu Wolnych Murzynów, próbując uzyskać audiencję u Anarcha.

Zakładając, że w obecnym stanie Anarch mógł komukolwiek takowej udzielić.

Pomniejszony Anarch, ubrany w dzinsy, szkarłatne adidasy i sprany podkoszulek, siedział na zakurzonej trawie wpatrzony w krąg kulek. Wydawał się do tego stopnia pochłonięty ich widokiem, że Ludwig Eng był gotów dać za wygraną. Siedzący naprzeciw niego chłopiec wyglądał, jakby zapomniał o bożym świecie. Sytuacja wprawiła Enga w niezmierne przygnębienie: czuł się bardziej bezsilny, niż zanim tu przyszedł.

Mimo to nie ustępował.

- Wasza Wysokość - podjął. - Proszę jedynie o kilka minut twojego czasu.

Chłopiec z ociąganiem podniósł wzrok.

- Słucham pana - odpowiedział ponurym, przygaszonym głosem.

- Moje położenie jest nadzwyczaj trudne - powtórzył Eng. Nieskończoną ilość razy przedstawiał dziecinniemu Anarchowi całą sytuację. Wszystko na próżno. - Gdybyś jako Anarch mógł ogłosić w Zachodnich Stanach Zjednoczonych oraz w OWM apel, by ludzie zbudowali kilka swibbli tu i tam, dopóki istnieje ostami egzemplarz mojej książki...

- Aha - odmruknął chłopiec.

- Słucham? - Eng poczuł w sercu iskierkę nadziei. W napięciu utkwiał wzrok w gładkiej twarzy chłopca. Malowało się na niej głębokie postanowienie.

- Tak, proszę pana - odrzekł Sebastian Peak. - Mam zamiar zostać Anarchem, kiedy dorosnę. Przygotowuję się do tego.

- Jesteś Anarchem. Byłeś nim. - Westchnął zdruzgotany. Sytuacja przedstawiała się beznadziejnie. Nie ma sensu przeć dalej - dziś był ostatni dzień, ponieważ na wczoraj przypadało jego spotkanie z urzędnikiem Ludowej Biblioteki Tematycznej. Spotkanie, które położy kres wszystkiemu.

Chłopiec rozchmurzył się. Sprawiał wrażenie, jakby raptem zainteresował się tym, co Eng miał mu do powiedzenia.

- Serio?

- To najświętsza prawda, synu. - Eng uroczyście kiwnął głową. Z prawnego punktu widzenia, nadal sprawujesz ten urząd. - Popatrzył na smukłego, barczystego

Murzyna będącego obecnie ochroniarzem Anarcha. - Zgodzi się pan, panie Plaut?

- Oczywiście - potwierdził Murzyn. - Jesteś władny, by rozstrzygnąć problem maszynopisu tego pana. - Przykucnąwszy, ochroniarz próbował przyciągnąć błędzącą uwagę chłopca. - Wasza Wysokość, ten człowiek jest twórcą swibbla.

- Co to takiego? - Chłopiec przenosił podejrzliwe spojrzenie z jednego mężczyzny na drugiego. - Ile kosztuje swibbl? Mam tylko pięćdziesiąt centów, tyle dostałem kieszonkowego. Zresztą nie wydaje mi się, żebym chciał go mieć. Wolałbym dostać gumę i bilet do kina. - Jego twarz znieruchomiała. - Kogo obchodzi jakiś tam swibbl - rzucił z pogardą.

- Dzięki wynalazkowi tego pana - nie ustępował Plaut - żyłeś sto sześćdziesiąt lat. Dzięki niemu opracowano pojęcie Fazy Hobarta i zastosowano ją eksperymentalnie. Wiem, że nic ci to nie mówi, ale... - Ochroniarz gorączkowo klasnął w ręce i zakotyłał się na piętach, próbując ściągnąć na siebie uwagę kapryśnego chłopca. - Posłuchaj, Sebastianie, to ważne. Gdybyś podpisał dekret... dopóki wciąż umiesz pisać. To wszystko. Publiczny apel, by ludzie...

- Och, daj spokój. - Chłopiec popatrzył na niego wrogo. - Nie wierzę ci. Coś tu nie gra.

Rzeczywiście coś tu nie gra, przyznał w duchu Eng, prostując zeszywniałe nogi. Wygląda na to, że nic nie możemy na to poradzić. Przynajmniej nie bez twojej pomocy. Czuł się pokonany.

- Niech pan spróbuje później - poradził mu ochroniarz, również wstając. Popatrzył na Enga ze współczuciem.

- Będzie jeszcze młodszy - rzucił z goryczą Eng. Zresztą i tak nie było na to czasu. Żadne „później” nie istniało. Zasepony odsunął się o kilka kroków.

Na gałęzi drzewa motyl przystępował do tajemniczego, zmuśnionego procesu wpychania się do brzydkiego, brązowego kokonu. Eng przystanął, śledząc jego ostrożne poczynania. I on miał przed sobą trudne zadanie, w przeciwieństwie jednak do zadania Enga, nie było ono beznadziejne. Nie mając na ten temat zielonego pojęcia, motyl bezmyślnie robił swoje, posłuszny instynktowi zaprogramowanemu w odległej przyszłości. Widok pracującego owada dał Engowi do myślenia. Odczytawszy wnioski płynące z sytuacji, odwrócił się i ponownie podszedł do dziecka, które siedziało na trawie wpatrzona w garść lśniących, barwnych kulek.

- Spójrz na to w ten sposób - powiedział do Anarcha Peaka. Była to zapewne ostatnia batalia i postanowił wytoczyć w niej najcięższą artylerię.

- Nawet jeśli nie pamiętasz, co to jest swibbl ani czemu służy Faza Hobarta, jedyne, co musisz zrobić, to podpisać. Przyniosłem ze sobą dokument.

- Sięgnąwszy do wewnętrznej kieszeni płaszcza, wyjął kopertę i otworzył ją. - Jeśli to podpiszesz, ukaże się w światowej telewizji, w wieczornych wiadomościach każdej strefy czasowej. Powiem ci, co zrobię. Jeśli podpiszesz, dostaniesz trzykrotną sumę tego, co masz teraz. Mówiłeś, że masz pięćdziesiąt centów? Dołożę do tego jeszcze dolara, autentyczny banknot. I co ty na to? Raz na tydzień do końca roku będę opłacał ci kino, na sobotni poranek.

Chłopiec spoglądał na niego bacznie., Wydawał się prawie przekonany. Lecz coś - Eng nie wiedział co - powstrzymało go.

- On chyba chce poprosić o zgodę swojego tatę - wtrącił cicho ochroniarz. - Starszy pan żyje, jego szczątki znalazły się w zbiorniku porodowym około sześciu tygodni temu. Obecnie przebywa na porodówce w miejskim szpitalu w Kansas City i jest poddawany ożywianiu. Już jest przytomny i Jego Wysokość rozmawiał z nim kilka razy. Prawda, Sebastianie? - Uśmiechnął się do chłopca łagodnie, po czym na jego skinienie z powrotem przeniósł wzrok na Enga. - A więc o to chodzi - powiedział. - Miałem rację. Teraz, kiedy ojciec żyje, chłopiec boi się przejąć inicjatywę. Ma pan pecha, panie Eng. Po prostu za bardzo zmałał, aby sprostać swoim obowiązkom. Wszyscy są tego świadomi.

- Nie poddam się - oświadczył Eng. Tak naprawdę jednak już to zrobił. Wiedział, że ochroniarz, który spędzał cały swój czas pobudki z Anarchem, ma całkowitą rację. Zmarnowany wysiłek. Ale gdyby to spotkanie odbyło się za dwa lata...

- Pójdę sobie, niech się pobawi kulkami - powiedział przygnębiony do ochroniarza. Umieścił kopertę z powrotem w kieszeni i ruszył z miejsca. Po chwili przystanął i dodał: - Wczoraj rano przeprowadzę ostatnią próbę. Przed spotkaniem w bibliotece. Jeśli harmonogram chłopca na to pozwoli.

- Pozwoli - zapewnił go ochroniarz. - Z uwagi na jego... stan, prawie nikt nie prosi go o radę - wyjaśnił. Mówił ze współczuciem, za które Eng był mu głęboko wdzięczny.

Odwróciwszy się z rezygnacją, odszedł, pozostawiając dawnego Anarcha połowy cywilizowanego świata przy bezmyślnej grze w kulki.

Poprzedni poranek, pomyślał. Moja ostatnia szansa. Przede mną długi czas bezczynnego oczekiwania.

W pokoju hotelowym zadzwonił na Zachodnie Wybrzeże, do Ludowej Biblioteki Tematycznej. Wkrótce usłyszał jednego z biurokratów, z którym ostatnio miał wiele do czynienia.

- Chciałbym rozmawiać bezpośrednio z panem Lehrerem - mruknął. Lepiej od razu zwrócić się do źródła, stwierdził. Lehrer miał ostatnie słowo w kwestii książki - która obecnie skurczyła się do rozmiarów jedyne go egzemplarza.

- Przykro mi - odparł z cieniem lekceważenia urzędnik. - Jest za wcześnie, pan Lehrer już wyszedł.

- Czy mógłbym złapać go w domu?

- Pewnie je śniadanie. Proponuję, aby pan zczekał do wczoraj. Ostatecznie, pan Lehrer potrzebuje czasu na niczym niezmaconą rekreację. Cięży na nim wielka odpowiedzialność. - Drobnego urzędnika nie wykazywał najmniejszej chęci współpracy.

Przygnębiony Eng bez powitania odłożył słuchawkę. Cóż, może właśnie tak będzie lepiej, Lehrer bez wątplenia nie udzieli mu dodatkowego czasu. Bądź co bądź, jak powiedział urzędnik, i on miał swoje obowiązki do spełnienia: zwłaszcza ze strony Eliminatorów... tajemniczych jednostek, które czuwały nad systematycznym niszczeniem ludzkich dokonań. Tak jak w przypadku jego własnej książki. Pora dać za wygraną i wrócić na zachód.

Opuszczając pokój hotelowy, rzucił przelotne spojrzenie w lusterko, chcąc przekonać się, czy jego twarz wchłonęła przyklejony zestaw zarostu. Patrząc na swoje odbicie, potarł dłonią podbródek.

I wrzasnął.

Na jego szczęce widniała szczecina świeżego zarostu. Zamiast chłonać brodę, jego twarz wypuszczała ją.

Nie miał pojęcia, co to znaczy. Ale przeraziło go to. Stał jak wryty, spoglądając ze strachem na swoje przerażone oblicze. Osobnik w lustrze wydawał się ledwo znajomy, jakby następowała w nim jakaś złowroga zmiana. Ale dlaczego? I... jak?

Instynkt podpowiedział mu, żeby nie opuszczać pokoju.

Usiadł. I czekał, nie wiedząc na co. Ale z jednego zdawał sobie sprawę na pewno. O wpół do trzeciej poprzedniego dnia nie nastąpi żadne spotkanie z Niehlsem Lehrerem. Ponieważ...

Wyczuwał to instynktownie na podstawie jednego spojrzenia w hotelowe lusterko. Nie będzie żadnego dnia poprzedniego. Przynajmniej nie dla niego.

A dla innych?

- Muszę jeszcze raz zobaczyć się z Anarchem - rzucił z wahaniem do samego siebie. Do diabła z Lehrerem, nie mam zamiaru teraz umawiać się z nim na kolejną wizytę. Najważniejsze jest ponownie zobaczenie się z Sebastianem Peakim. Może wcześniej dzisiejszego dnia.

Ponieważ z chwilą gdy ujrzy Anarcha, będzie wiedział, czyjego przypuszczenia mają jakiegokolwiek pokrycie w rzeczywistości. Jeśli okaże się, że tak, jego książce nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Syndykat wraz ze swoim nieustępliwym programem eliminacji przestałby stanowić dla niego zagrożenie. Taką przynajmniej żywił nadzieję.

Czas pokaże. Czas. Cała Faza Hobarta. Miała w tym swój udział.

I - przypuszczalnie - nie tylko dla niego.

- Mielśmy rację - powiedział Gantrix do swego przełożonego, Barda Chai. Drżącymi rękami przewinął szpulę w magnetofonie. - To pochodzi z naszego podsłuchu telefonicznego zainstalowanego w bibliotece. Wynalazca swibbla, Ludwig Eng, próbował połączyć się z Lehrerem i nie udało mu się. Rozmowa się nie odbyła.

- Wobec tego nie było czego nagrywać - zauważył kąśliwie Bard. Na jego okrągłej, zielonej twarzy odbił się wyraz głębokiego zawodu.

- Niekoniecznie. Zobacz. Chodzi o wygląd Enga. Spędził dzień w towarzystwie Anarcha, w związku z czym w jego przypadku odwrócił się proces upływu czasu. Sam popatrz.

Bard spoglądał przez chwilę na utrwalony na monitorze wizerunek Enga, po czym odchylił się na krześle i powiedział:

- Znamię. Gęsty zarost na brodzie będący cechą szczególną osobników rodzaju męskiego, zwłaszcza u rasy kaukaskiej.

- Czy powinniśmy go odrodzić? - zapytał Gantrix. - Zanim dotrze do Lehrera?

- Miał doskonałej roboty pistolet, który w przeciągu kilku minut

był w skurczyć jednostkę i przetransportować ją do najbliższego łona. Na dobre.

- Moim zdaniem - oznajmił Bard Chai - jest nieszkodliwy. Swibbl przestał istnieć, to go nic wskrzesi. - W istocie jednak Bard Chui miał co do tego poważne obawy. Być może Gantrix, jego podwładny, właściwie postrzegał sytuację... podobnie jak w innych krytycznych wypadkach w przeszłości, co tłumaczyło jego znaczenie dla

Rady Jasności.

- Lecz jeśli Faza Hobarta została w przypadku Enga anulowana - upierał się Gantrix - to rozwój swibbla zacznie się od nowa. Bądź co bądź w posiadaniu Enga znajduje się oryginalny maszynopis, a jego kontakt z Anarchem nastąpił, zanim Eliminatorzy z syndykatu zarządzili ostateczną fazę niszczenia.

To nie podlegało dyskusji. Bard Chai zastanowił się i pokiwał głową. Mimo to trudno mu było zdobyć się na poważne potraktowanie Ludwiga Enga: ten człowiek po prostu nie wyglądał na niebezpiecznego, z brodą czy bez niej. Zwrócił się do Gantriksa, zaczął mówić - po czym raptownie zamilkł.

- Masz dziwną minę - zauważył z irytacją Gantrix. - Co się stało? Pod badawczym spojrzeniem Barda poczuł się niepewnie. W miejsce zaniepokojenia pojawiło się niezadowolenie.

- Twoja twarz - powiedział Bard Chai, z trudem zachowując spokój.

- Co z nią? - Gantrix uniósł dłoń do podbródka i potarł go. - O Boże.

- Ty nie miałeś styczności z Anarchem. Zatem nie tłumaczy to twojego stanu. - Pomyślał o sobie: czyżby odwrócenie Fazy Hobarta podziało również na niego? Zbadał własny podbródek i podgardle. I wyraźnie wyczuł kłującą szczecinę. Dziwne, pomyślał oszołomiony. Jak to wytłumaczyć? Odwrócenie ścieżki czasowej Anarcha mogło stanowić jedynie skutek jakiegoś wyższego ciągu zdarzeń, który dotyczył ich wszystkich. Rzuciło to nowe światło na sytuację Anarcha; może nie została wywołana umyślnie?

- Czy to możliwe - odezwał się Gantrix - aby przyczynę tego całego bałaganu stanowiło zniknięcie maszyny Enga? Poza wzmianką w maszynopisie nie istnieje żaden rzeczywisty odpowiednik swibbla. W gruncie rzeczy powinniśmy byli to przewidzieć, gdyż swibbl jest blisko powiązany z Fazą Hobarta.

- Ciekawe - powiedział z namysłem Bard Chai. Lecz swibbl nie stworzył Fazy Hobarta. Służył temu, by ją ukierunkować, na skutek czego niektóre rejony planety mogły całkowicie uniknąć Fazy, podczas gdy inne ugrzęzły w niej do cna. Jednakże zniknięcie swibbla ze współczesnego społeczeństwa spowodowałoby równomierne rozproszenie Fazy Hobarta na całej planecie, co wywołałoby zmniejszenie poniżej poziomu skuteczności dla tych, którzy w pełni w niej uczestniczyli, jak na przykład on i Gantrix.

Ale teraz - oświadczył w zamyśleniu Gantrix - wynalazca swibbla i jego pierwszy użytkownik powrócił do normalnego czasu. Stąd rozwój swibbla ponownie

się zmanifestował. Eng może stworzyć swój pierwszy funkcjonujący model lada chwila.

Bard Chai zrozumiał powagę sytuacji Enga. Tak jak kiedyś, mechanizm tego wynalazcy zyska popularność na całym świecie. Lecz z chwilą powstania pierwszego swibbla nastąpi nawrót Fazy Hobarta i kierunek ścieżki czasowej Enga ulegnie ponownej zmianie. Wówczas swibble zostaną wyklęte przez syndykat, aż wreszcie znów pozostanie po nich tylko oryginalny maszynopis - w którym to momencie czas zacznie płynąć normalnym torem.

Bard Chai uznał, że Eng zatrzaskał się w pętli. W krótkim przedziale czasowym zacznie oscylować pomiędzy dwiema możliwościami: posiadaniem teoretycznego opisu urządzenia i skonstruowaniem funkcjonalnego modelu. Pociągnie przy tym za sobą znaczną część ludności Terry.

Siedzimy w tym razem z nim, pomyślał markotnie Bard Chai. Jak od tego uciec? Jakże znaleźć rozwiązanie?

- Musimy albo zmusić Enga do zniszczenia maszynopisu i zaniechania pomysłu - powiedział Gantrix - albo...

- To niemożliwe - przerwał mu niecierpliwie Bard Chai. - Na tym etapie Faza Hobarta automatycznie słabnie, gdyż nie ma swibbli, które by ją podtrzymywały. Jak w tej sytuacji zmusić Enga do kolejnego kroku wstecz?

Było to istotne pytanie, na które należało znaleźć odpowiedź. Obaj mężczyźni dobrze o tym wiedzieli i przez pewien czas zachowali milczenie. Gantrix bez przerwy tarł podbródek, jak gdyby kontrolował nieubłagany wzrost szczeciny. Tymczasem Bard Chai zapadł w stan intensywnej kontemplacji, podczas której nieustannie wahał problem w myślach.

Rozwiązanie jednak nie nadeszło. Przynajmniej jeszcze nie. Lecz, kto Wie, w swoim czasie...

- Trudny orzech do zgryzienia - uznał z przejęciem Bard. - Eng pewnie wkrótce przystąpi do konstruowania pierwszego modelu. I znów utkniemy we wstecznym cyklu. - Ogarnęło go okropne przecucie. Wszystko stanie się jeszcze raz, i jeszcze, i za każdym razem dzielący oba wydarzenia czas zostanie dodatkowo skrócony. Wreszcie, pomyślał, utkniemy w granicach mikrosekundy i upływ czasu nie będzie możliwy ani w jedną, ani w drugą stronę.

Przerażająca perspektywa. Istniał jednak jeden pocieszający aspekt. Eng bez wątplenia również weźmie pod uwagę niebezpieczeństwo. I poszuka rozwiązania.

Logicznie rzecz biorąc, jedna możliwość nasuwała się sama: mógł dobrowolnie zrezygnować z wynalezienia swibbla. Wówczas Faza Hobarta nie miałyby szansy zaistnieć.

Owa decyzja jednak leżała w gestii samego Ludwiga Enga. Czy na wieść o pomysle byłby skłonny do współpracy?

Pewnie nie. Eng zawsze odznaczał się gwałtownością i uporem, nikt nie potrafił na niego wpłynąć. Dzięki temu oczywiście stał się oryginalną osobowością. Bez tej cechy nigdy nie dorósłby do rangi wynalazcy urządzenia o takiej sile oddziaływania na społeczeństwo i nikt nigdy nie słyszałby o swibblu.

Co wyszłoby nam na dobre, skwitował ponuro Bard. Aż do tej chwili nie potrafiliśmy tego docenić.

Teraz to docenił.

Propozycja odrodzenia Enga nie przypadła mu do gustu. Zaczynał jednak rozumieć, że chyba nie było innego wyjścia. A musieli znaleźć jakieś wyjście.

Bibliotekarz Niehls Lehrer z rosnącą złością spojrzął na zegar, po czym przeniósł wzrok na terminarz spotkań. Eng nie przyszedł. Minęła druga trzydzieści i Lehrer siedział sam w swoim gabinecie. Carl Gantrix miał rację.

Gdy roztrząsał w myślach znaczenie słów Gantriksa, zadzwonił telefon. To pewnie Eng, uznał, sięgając po słuchawkę. Pewnie dzwoni z daleka, żeby wytłumaczyć swoją nieobecność. Będę miał przez to kłopoty, syndykat nie uzna takiej wymówki. Będę musiał ich powiadomić, nie mam wyboru.

- Do widzenia - powiedział do słuchawki.

- Kocham cię, Niehls. - Zdyszany kobiecy głos był chyba ostatnim, jaki miał w tej chwili ochotę usłyszeć. - Kochasz mnie?

- Tak, Charise - odparł. - Kocham cię. Ale, do cholery, miałaś nie dzwonić do pracy; sądziłem, że dałem ci to jasno do zrozumienia.

- Przepraszam, Niehls - odrzekła ze skruchą Charise McFadden. Wciąż jednak myślę o biednym Lansie. Czy zbadałeś jego sprawę, tak jak obiecywałeś? Założę się, że nie.

Właśnie, że zbadał, a ściśle mówiąc, zlecił to zadanie niższemu w hierarchii pracownikowi biblioteki. Sięgnąwszy do górnej szuflady biurka, wyjął kartotekę Lance'a Arbuthnota.

- Mam - oświadczył. - Wiem o tym dziwaku wszystko. A raczej wszystko, co



chciałem wiedzieć. Arbuthnot niewiele zrobił. Chyba rozumiesz, że mogę zająć się tą sprawą tylko dlatego, że główny klient biblioteki nie przyszedł na umówione spotkanie. Jeśli jednak przyjdzie, będę zmuszony przerwać tę rozmowę.

- Czy Arbuthnot znał Anarcha Peaka?

- Ta część twojej opowieści jest zgodna z prawdą.

- I jest prawdziwym dziwakiem. Tak więc wyeliminowanie jego pracy przyniesie społeczeństwu znaczne korzyści. To twój obowiązek. - Zalotnie zatrzepotała długimi rzęsami. - No, Niehls. Proszę.

- Niemniej jednak - ciągnął niewzruszenie Lehrer - nie ma tu nic świadczącego o tym, jakoby Arbuthnot napisał pracę o psychosomatycznych aspektach śmierci w wyniku uderzenia meteorytu.

Charise poczerwieniała, po czym odrzekła ściszym głosem:

- Ja, hm, wymyśliłam to.

- Dlaczego?

- Cóż - zająknęła się po chwili - je-je-jestem jego kochanką.

- Sęk w tym - drażył bezlitośnie Lehrer - że po prostu nie wiesz, o czym jest jego praca. W gruncie rzeczy może być jak najbardziej racjonalna. Z korzyścią dla społeczeństwa. Prawda? - Nie czekając na odpowiedź, chciał przerwać połączenie.

- Zaczekaj. - Pospiesznie przełknęła ślinę i przekrzywiła głowę. Widząc, że dotyka palcami wyłącznika, podjęła: - Dobrze, Niehls. Przyznaję się. Lance nie chce mi zdradzić tematu swojej pracy. Nikomu nie chce o tym pisać słówka. Ale jeśli ty podejmiesz się eliminacji - nie rozumiesz? Będzie musiał ci go zdradzić. Zanim syndykat podejmie decyzję o eliminacji, potrzebna jest twoja analiza. Nieprawdaż? A potem ty powiesz mnie. Wiem, że to zrobisz.

- A co cię to tak właściwie obchodzi? - zapytał Lehrer.

- Myślę - odrzekła z wahaniem Charise - że praca jest na mój temat. Naprawdę. Jest we mnie coś dziwnego i Lance to zauważył. Cóż, to żadne zaskoczenie, zważywszy na naszą bliskość, na to, jak - wybac mi to określenie - często się widzimy.

- Według mnie temat byłby beznadziejny - rzucił lodowato Lehrer. Pod żadnym pozorem nie przyjmę pracy Arbuthnota, postanowił w duchu. Nawet gdyby obciążyli mnie karą dziesięciu tysięcy poskredów. - Porozmawiamy później - powiedział i rozłączył się.

- Sir - z interkomu zabrzmiał głos sekretarki, panny Tomsen. - Jest tu

człowiek, który czeka od szóstej tego wieczora. Twierdzi, że zajmie panu tylko sekundę lub dwie jego czasu. Panna McFadden przekonała go, że z przyjemnością przyjmie pan...

- Niech pani mu powie, że zginąłem na posterunku - rzucił szorstko Lehrer.

- Ależ to niemożliwe, sir. Znajdujemy się w Fazie Hobarta. Zresztą sam pan Arbuthnot coś na ten temat wspominał. Siedzi tu teraz i stawia panu horoskop Hobarta. Przepowiada, że w ciągu ubiegłego roku przydarzyły się panu wspaniałe rzeczy. Szczerze mówiąc, on budzi mój niepokój, niektóre z jego przepowiedni pasują jak ulał.

- Przepowiadanie przeszłości mnie nie interesuje - oświadczył Lehrer. - Wolne żarty. Możemy być pewni jedynie co do przyszłości. - Co za dziwak, pomyślał Lehrer. Co do tego Charise mówiła prawdę. Wyobraźmy sobie, że ktoś utrzymuje z powagą, iż można przepowiedzieć to, co już się stało, co zapadło w otchłań mglistego wczoraj. W każdej minucie ginie człowiek, jak powiedział P. T. Barnum.

Może powinienem go przyjąć, przyszło mu do głowy. Charise ma rację: podobne pomysły należało wykorzystać nie tylko dla dobra ludzkości, ale i dla spokoju własnego sumienia.

Ale to nie wszystko. Ogarnęła go ciekawość. Wysłuchanie tego durnia może okazać się na swój sposób interesujące. Zobaczmy, co on takiego przepowiedział na ostatnie kilka tygodni. A potem przyjmijmy jego propozycję eliminacji i bądźmy pierwszą osobą, której postawił horoskop Hobarta.

Wyglądało na to, że Ludwig Eng nie miał zamiaru się pokazać. Pewnie dochodzi druga, stwierdził Lehrer. Spojrzał na zegarek.

I zamrugał.

Jego zegarek wskazywał za dwadzieścia trzecią.

- Panno Tomsen - powiedział do interkomu - która u pani godzina?

- **A niech to - odparła panna Tomsen. - Jest wcześniej, niż myślałam. Dokładnie pamiętam, że dopiero co było dwadzieścia po drugiej. Mój zegarek musiał stanąć.**

- Chce pani powiedzieć, że jest później, niż pani myślała. Druga czterdzieści jest później niż wpół do trzeciej.

- Nie, proszę pana, pozwoli pan, że się z nim nie zgodzę. Wprawdzie nie do mnie należy mówienie panu, co jest czym, ale w tym wypadku mam rację. Proszę spytać, kogo pan chce. Zapytam tego pana. Panie Arbuthnot, druga czterdzieści jest

wcześnie niż wpół do trzeciej, prawda?

Z głośnika dobiegł oschły i opanowany głos mężczyzny.

- Nie interesują mnie akademickie spory, lecz to, czy zobaczę się z panem Lehrerem. Panie Lehrer, jeśli pan mnie przyjmie, zaręczam, że uzna pan moją pracę za największego śmiecia, jaki kiedykolwiek pan czytał. Panna McFadden nie wprowadzi pana w błąd.

- Proszę go wpuścić - polecił pannie Tomsen Lehrer. Ogarnęło go dziwne uczucie. Działo się coś niepokojącego. Było to związane z regularnym upływem czasu. Nie potrafił jednak dokładnie określić, o co chodzi.

Do gabinetu wszedł elegancki młody mężczyzna w początkowym stadium łysienia. Niósł pod pachą teczkę. Wymienili uścisk rąk, po czym Arbuthnot usiadł twarzą do biurka.

A więc to jest człowiek, z którym Charise ma romans, rzekł w duchu Lehrer. No tak.

- Daję panu dziesięć minut - oznajmił. - Potem pan stąd znika. Rozumiemy się?

- Spisałem tutaj - odrzekł niezrażony Arbuthnot, otwierając teczkę najbardziej niemożliwą koncepcję z możliwych. Dlatego uważam, że jeśli mamy zapobiec jej upowszechnieniu i wyrządzeniu przez nią dalszych szkód, należy poddać zapis niezwłocznej eliminacji. Istnieją ludzie zdolni podchwycić każdy pomysł i wcielić go w życie, bez względu na to, jak bardzo kłóci się on ze zdrowym rozsądkiem. Jest pan jedyną osobą, której go przedstawiłem i czynię to nie bez zastrzeżeń. - Po czym spazmatycznym ruchem rzucił maszynopis na biurko Niehlsa Lehrera. Następnie usiadł i czekał.

Z profesjonalną ostrożnością Lehrer odczytał tytuł i wzruszył ramionami.

- To ni mniej, ni więcej jak tylko odwrócenie słynnego dzieła Ludwiga Enga. - Odsunął się z krzesłem od biurka, ignorując maszynopis, i uniosł ręce w geście zniecierpliwienia. - Pomysł wcale nie jest idiotyczny. Odwrócenie tytułu pracy Enga jest całkiem logiczne, każdy mógłby na to wpaść.

- Ale jak to tej pory nie wpadł - skwitował pochmurnie Arbuthnot. Aż do teraz. Proszę przeczytać go jeszcze raz i pomyśleć o konsekwencjach.

Lehrer obojętnie prześlizgnął wzrokiem po grubej stercie papierów.

- Konsekwencjach - uzupełnił Arbuthnot spokojnie, lecz z naciskiem - eliminacji maszynopisu.

Tytuł brzmiał:

JAK W WOLNYM CZASIE ROZŁOŻYŁEM SWIBBLA NA  
PRZEDMIOTY DOMOWEGO UŻYTKU

- No i? - zapytał Lehrer. - Każdy może rozłożyć swibbla. W gruncie rzeczy w tej chwili nie dzieje się nic innego. Tysiące swibbli podlega eliminacji, taką mamy procedurę. Szczerze mówiąc wątpię, czy można znaleźć swibbl gdziekolwiek na...

- Jeśli moja praca zostanie wyeliminowana - wtrącił Arbuthnot - a jestem pewien, że tak się stało, jaka powstanie negacja? Proszę to przemyśleć, Lehrer. Zna pan konsekwencje wyeliminowania dzieła Enga: to koniec swibbla i, co za tym idzie, koniec Fazy Hobarta. Gwoli ścisłości, w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin w Zachodnich Stanach Zjednoczonych i Okręgu Wolnych Murzynów doświadczymy powrotu do regularnego upływu czasu... im bliżej końca maszynopisu Enga. Czyli eliminacja mojej pracy, jeśli podaży pan tym samym tokiem rozumowania... Urwał. - Rozumie pan sens mojego dokonania, prawda? Odkryłem sposób na zachowanie swibbla. I utrzymanie rozchwianej Fazy Hobarta. Bez mojej pracy stopniowo utracimy to, co zawdzięczamy swibblowi. Swibbl, Lehrer, eliminuje śmierć, przypadek Anarcha Peaka to dopiero początek. Jedynym sposobem na zachowanie cyklu jest zrównoważenie pracy Enga z moją. Jego dzieło prowadzi nas w jednym kierunku, moje odwraca go, po czym pomysł Enga znów zaczyna funkcjonować. Na zawsze, jeśli tego zechcemy. Chyba że... trudno mi to sobie wyobrazić, choć to teoretycznie możliwe... nastąpi beznadziejne zespolenie obu rezultatów czasowych.

- Odbiło panu - zawyrokował oschle Lehrer.

- No właśnie. - Arbuthnot pokiwał głową. - Dlatego też zatwierdzi pan moją pracę do oficjalnej eliminacji. Ponieważ mi pan nie wierzy. Ponieważ według pana to bzdura. - Uśmiechnął się lekko i zmierzył bibliotekarza uważnym spojrzeniem bystrych szarych oczu.

Lehrer wcisnął przycisk interkomu.

- Panno Tomsen - powiedział - proszę poinformować lokalną filię syndykatu, że jak najszybciej mają do mnie przysłać Eliminatora. Mam tu śmiecia, którym powinien się zająć. Powinniśmy przystąpić do niezwłocznej eliminacji.

- Dobrze, panie Lehrer - odpowiedział głos panny Tomsen. Lehrer popatrzył na siedzącego naprzeciw mężczyznę.

- Czy to panu odpowiada?

- Owszem - odparł z uśmiechem Arbuthnot.

- Gdybym sądził, że coś kryje się w pańskich wywodach...

- Ale pan nie sądzi - uciał cierpliwie Arbuthnot. - Tak więc uzyskam to, na czym mi zależy. Odniosę sukces. Jutro albo najdalej pojutrze.

- Chciał pan powiedzieć wczoraj - poprawił Lehrer. - Albo przedwczoraj. - Spojrzał na zegarek. - Dziesięć minut minęło - poinformował szalonego wynalazcę. - Teraz poproszę, aby opuścił pan mój gabinet. - Położył rękę na pliku kartek. - To zostanie tutaj.

Arbuthnot wstał i podszedł do drzwi.

- Panie Lehrer - powiedział, przystając. - Z całym szacunkiem, ale powinien pan się ogolić.

- Nie goliłem się od dwudziestu trzech lat - odparł Lehrer. - Od czasu gdy w moim rejonie Los Angeles wprowadzono Fazę Hobarta.

- Zrobi pan to do jutra do tej samej godziny - odpowiedział Arbuthnot i wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Po chwili namysłu Lehrer dotknął guzika interkomu.

- Panno Tomsen, proszę tu nikogo nie wpuszczać. Odwołuję wszystkie spotkania na resztę dnia.

- Dobrze, proszę pana. - To był wariat, prawda? - dodała z nadzieją panna Tomsen. - Tak myślałam, mam do tego oko. Cieszę się, że pan go przyjął.

- Przyjmę - sprecyzował.

- Chyba jest pan w błędzie, panie Lehrer. Czas przeszedł...

- Nawet jeśli przyjdzie Ludwig Eng - przerwał jej Lehrer - nie chcę go widzieć. Mam dosyć na dzisiaj. - Otworzywszy szufladę biurka, ostrożnie umieścił w niej maszynopis Arbuthnota. Sięgnął po popielniczkę, wybrał najkrótszy - czyli najlepszy - niedopałek i potarł go o ceramiczną powierzchnię, dopóki końcówka nie zajarzyła się ogniem, następnie podniósł go do ust. Wkładając do papierosa strzępki popiołu wyrzwał przez okno na topole rosnące wzdłuż ścieżki na parking.

Porywisty wiatr zbierał garść liści, wdmuchiwał je na gałęzie, po czym pieczołowicie układał na swoich miejscach, co znacznie podkreślało urodę drzew.

Część zbrązowiałych liści już odzyskała zieloną barwę. Niebawem jesień przejdzie w lato, a lato w wiosnę.

Czekając na Eliminatora, spoglądał na to z zadowoleniem. Dzięki absurdalnej

pracy szalonego naukowca czas znów popłynął właściwym torem. Z wyjątkiem...

Lehrer potarł swój podbródek. Zarost. Zmarszczył brwi.

- Panno Tomsen - powiedział do interkomu. - Czy mogłaby pani wstąpić tu na chwilę i powiedzieć, czy powinienem się ogolić?

Miał wrażenie, że powinien. I to niedługo. Pewnie w ciągu ostatniej półgodziny.

## ŚWIĘTY SPÓR

Ven odpląnął; zamrugał, oślepiiony białym, sztucznym światłem. Pochodziło z trzech pierścieni zawieszonych nad łóżkiem w połowie drogi do sufitu.

- Przepraszani, że pana budzę, panie Stafford - dobiegł zza światła męski głos.  
- Pan nazywa się Joseph Stafford, prawda? - Następnie, zwracając się do drugiej, również niewidzialnej osoby, głos podjął: - Obudzenie kogoś innego, kogoś, kto na to nie zasługiwał, byłoby cholerną gafą.

- Kim jesteście? - wychrypiał Stafford, siadając na łóżku.

Łóżko zaskrzypiało i jeden krąg światła się obniżył. Mężczyzna usiadł.

- Szukamy Josepha Stafforda, kondygnacja szósta, pięćdziesiąte piętro, który pełni funkcję... jak wy to nazywacie?

- Technika komputerowego klasy-GB - dopomógł mu jego towarzysz.

- Tak, eksperta, na przykład od tych nowych puszek do przechowywania płynnej plazmy danych. Mógłby pan naprawić jedną z nich w razie usterki, prawda, Stafford?

- Pewnie, że by mógł - odparł spokojnie drugi głos. - Dlatego właśnie ma etykietkę „stan gotowości”. To przez tę drugą linię wideofoniczną, którą przecięliśmy - wyjaśnił. - Łączyła go bezpośrednio z przełożonymi.

- Ile czasu upłynęło od chwili, kiedy otrzymał pan wezwanie, mechaniku? - indagował pierwszy głos.

Stafford nie odpowiedział; zanurkował pod poduszkę w poszukiwaniu zazwyczaj ukrytego tam pistoletu.

- Pewnie od dłuższego czasu znajdował się w stanie spoczynku - podsunął jeden z przybyszów z latarkami. - Pewnie potrzebuje pieniędzy. Potrzebujesz forsy, Stafford? Czy w ogóle czegoś? Podoba ci się naprawianie komputerów? To znaczy, jak się nie lubi tej roboty, trzeba być kujonem, żeby się na nią pisać... zwłaszcza jeśli ma się w perspektywie całodobowy stan gotowości. Jesteś dobry? Umiesz naprawić wszystko, bez względu na to, jak głupie albo odległe to jest od twojej działki, tak jak w przypadku naszego programisty Genux-B? No, bądź dla nas miły, powiedz „tak”.

- Muszę... pomyśleć - odparł szorstko Stafford. Nadal bezskutecznie szukał pistoletu, broń znikła. Albo też zabrali ją, nim się obudził.

- Powiem ci coś, Stafford - ciągnął głos.

- Panie Stafford - przerwał mu drugi. - Posłuchaj. - Nimb światła po prawej stronie również się obniżył, mężczyzna pochylił się nad leżącym. Wyłaź z łóżka, dobra? Ubieraj się, zawieziemy cię tam, gdzie stoi zepsuty komputer, i po drodze będziesz miał mnóstwo czasu, aby zastanowić się, jak jesteś dobry. Kiedy dotrzemy na miejsce, rzucisz okiem na Genux-B i ustalisz, ile czasu potrwa jego naprawienie.

- Naprawdę nam na tym zależy - rzucił żałośnie pierwszy. - W takim stanie do niczego się nie nadaje. Dane gromadzą się w milowych stosach. I nie są... jak to się mówi... przetwarzane. Po prostu tam są, a Genux-B nic z nimi nie robi, przez co trudno oczekiwać od niego podejmowania decyzji. A satelity latają jak gdyby nigdy nic.

- Jaki był pierwszy symptom? - zapytał Stafford, ociężale i sztywno gramoląc się z łóżka. Zachodził w głowę, kim są ci ludzie. I o jakim Genux-B mówili. O ile się orientował, w Ameryce Północnej istniały tylko trzy... spośród ośmiu na świecie.

Ukryte za latarkami niewidzialne kształty wymieniły uwagi, obserwując, jak wkłada roboczy kombinezon. Wreszcie jeden z nich odchrząknął i powiedział:

- Jeśli dobrze rozumiem, szpula taśmy przestała się obracać i taśma z danymi opada na podłogę, tworząc stertę.

- Ale przecież nacisk taśmy na szpule... - zaczął Stafford.

- W tym wypadku proces przestał odbywać się automatycznie. Widzi pan, zablokowaliśmy szpulę, aby nie przyjmowała więcej taśmy. Najpierw próbowaliśmy przeciąć taśmę, ale jak pewnie panu wiadomo, odbudowuje się samoczynnie. Próbowaliśmy też ją wymazać, lecz uruchomienie wymazanego obwodu wszczyna alarm w Waszyngtonie, my zaś nie chcieliśmy mieszać w to tych ważniaków. Oni jednak... projektanci komputerowi... przeoczyli możliwość napięcia szpuli z uwagi na prosty układ sprzęgłowy. Awaria nie wchodziła w rachubę.

- Innymi słowy - odparł Stafford, mocując się z guzikiem kołnierza -

odebranie przez komputer pewnych danych jest z waszego punktu widzenia niepożądane. - Rozjaśniło mu się w głowie, przynajmniej do pewnego stopnia zdołał się rozbudzić. - O jakie dane chodzi? - Ogarnęło go przecucie, że wie. Nadchodziły dane, które spowodowałyby konieczność ogłoszenia Czerwonego Alarmu przez będący rządową własnością komputer. Rzecz jasna, usterka musiała nastąpić, zanim atak Południowoafrykańskiej Ligi Prawdziwej zmanifestował się drobnymi, pojedynczymi symptomami, które komputer - przy ekstensywnym poborze pozornie niezwiązanych informacji - zarejestrowałby i złożył w sensowną całość.



Ile razy nas przed tym ostrzegano, pomyślał gorzko Stafford. Musieliby zniszczyć Genux-B nim ten zdążyłby rozmieścić w strategicznych punktach satelity i bombowce. Ni mniej, ni więcej, o to właśnie chodziło, ci ludzie, tajne przedłużenie PALP w Ameryce Północnej, budzą go w środku nocy, aby unieszkodliwić komputer.

Ale - odbiór danych mógł już nastąpić, mogły zostać przetransportowane do receptora obwodu celem przetworzenia i analizy. Za późno podjęli kroki zapobiegawcze, może zabrakło jednego dnia, może kilku sekund. Przynajmniej część newralgicznych danych dostała się na taśmy, co wymagało jego interwencji. Sami nie potrafili się z tym uporać.

Stany Zjednoczone doświadczą wkrótce serii wybuchów satelitów orbitalnych - podczas której sieć urządzeń defensywnych będzie czekać na rozkaz głównego komputera. Czekać na próżno, gdyż Genux-B nie uzyskał żadnych informacji zwiastujących możliwość militarnej agresji - i nie uzyska ich dopóty, dopóki bezpośredni atak na stolicę nie położy kresu jego zakłóconej działalności.

Nic dziwnego, że zablokowali szpule.

## II

- Wojna się rozpoczęła - powiedział cicho do mężczyzn z latarkami.

Teraz, kiedy włączyli górne światło, mógł im się przyjrzeć. Zwykli obywatele z przydzielonym zadaniem, nie fanatycy, lecz funkcjonariusze. Równie dobrze mogli pracować dla każdego rządu, choćby nawet Chińskiej Republiki Ludowej. - Wojna już się rozpoczęła - powtórzył głośno. - Sęk w tym, żeby Genux-B nic o tym nie wiedział, tak aby nie mógł nas bronić ani odpowiedzieć atakiem. Należy dostarczać mu jedynie te dane, które świadczą o pokoju. - Przypomniał sobie, oni pewnie również, sprawną reakcję Genux-B podczas dwóch poprzednich Honorowych Interwencji, jednej przeciwko Izraelowi, drugiej przeciwko Francji. Żaden wyszkolony obserwator nie dostrzegł zwiastunów niebezpieczeństwa - bądź też nie rozumiał, do czego one prowadziły. Zupełnie jak w przypadku Józefa Stalina w 1941 roku. Staremu tyranowi przedstawiono dowody na to, że Trzecia Rzesza nosi się z zamiarem ataku na Związek Radziecki, on jednak zwyczajnie nie chciał, albo nie mógł, w to uwierzyć. Podobnie jak Rzesza nie wierzyła, że Francja i Wielka Brytania uznają w 1939 roku swój pakt z Polską.

Mężczyźni z latarkami wyprowadzili go z sypialni na korytarz i skierowali w

stronę wyjścia awaryjnego prowadzącego na znajdujące się na dachu lotnisko. Powietrze na zewnątrz przesiąkło wilgocią i zapachem mułu. Chwycił oddech, zadrżał i mimowolnie popatrzył na niebo. Jedna z gwiazd drgnęła: był to reflektor statku, który wylądował w odległości kilku stóp od pięciu mężczyzn.

Gdy wsiedli do środka, statek uniósł się z dachu i płynnie skierował na zachód, w stronę Utah. Jeden z szaro umundurowanych funkcjonariuszy uzbrojony w pistolet, latarkę i teczkę zwrócił się do Stafforda:

- Twoja teoria nie jest zła, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że wyrwaliśmy cię ze snu w środku nocy.

- Niemniej jednak - wtrącił jego towarzysz - jest błędna. Pokaż mi taśmę.

Otworzywszy teczkę, mężczyzna siedzący najbliżej Stafforda wyjął urywek plastikowej taśmy i bez słowa wręczył go Staffordowi.

Unosząc go do światła, Stafford przyjrzał się rozmieszczeniu dziurek. System dwójkowy, najwyraźniej materiał skierowany do Jednostek Planowania Strategicznego będących pod bezpośrednią kontrolą komputera.

- Już miał wcisnąć guzik alarmowy i wydać rozkaz - rzucił przez ramię mężczyzna przy sterze - skierowany do wszystkich podłączonych do niego jednostek militarnych. Jesteś w stanie go odczytać?

Stafford kiwnął głową i ponownie skierował wzrok na taśmę. Owszem, mógł odczytać zapis. Komputer powiadomił JPS o Czerwonym Alarmie. Co więcej, zgrupował też samoloty przenoszące bomby wodorowe i prosił

0 przygotowanie do wystrzału wszystkich pocisków dalekiego rażenia.

- Poza tym - dorzucił mężczyzna przy sterze - w obliczu groźby konfliktu atomowego wysyłał rozkaz przegrupowania do satelitów obronnych

1 kompleksów raketowych. Jak sam widzisz, zablokowaliśmy przepływ tych wszystkich informacji.

- Jakich wobec tego danych Genux-B nie ma otrzymać? - zapytał po chwili zachrypniętym głosem Stafford. Przestał cokolwiek rozumieć.

- Odzewu - powiedział mężczyzna przy sterze. Najwyraźniej pełnił tu funkcję dowódcy. - Bez odzewu komputer nie jest w stanie ustalić, czy przeprowadzono kontratak. W razie gdy się zawiesi, uzna, że kontratak miał miejsce, lecz uderzenie wroga okazało się przynajmniej do pewnego stopnia udane.

- Ale przecież nie ma żadnego wroga - zaproponował Stafford. - Kto nas atakuje?

Cisza.

Czoło Stafforda zwilgotniało od potu.

- Czy wiecie, pod wpływem czego Genux-B doszedłby do wniosku, że zostaliśmy zaatakowani? Zdecydowałby milion różnych czynników, zestawienie, analiza i porównanie wszelkiego rodzaju danych, z którego wreszcie wyciągnięto by prawdę o ataku. Nic nie poradzi sobie z taką ilością informacji. Program budowy schronów w azjatyckiej części Związku Radzieckiego, niepokojący ruch transportowców w okolicach Kuby, koncentracja transportów raketowych w Czerwonej Kanadzie...

- Nikt - odparł pogodnie mężczyzna przy sterze - żaden naród, ani grupa ludzi, czy to na Terze, na Lunie, czy na Marsie nikogo nie atakuje. Teraz widzisz, dlaczego zależy nam na pośpiechu. Musisz bezwzględnie zapobiec przepływowi informacji z Genux-B do JPS. Chcemy całkowicie odłączyć Genux-B tak, aby nie mógł on porozumieć się z żadną z władz i aby nie docierały do niego słowa nikogo prócz nas. O resztę będziemy martwić się później. W tej chwili najgorsze jest...

- Sugerujecie, że pomimo różnorodności napływających informacji Genux-B nie potrafi ocenić rangi zjawiska? - zapytał Stafford. - Mimo narzędzi, jakimi dysponuje? - Pomyślał o czymś, co napełniło go bezsilnym lękiem. - A atak na Francję w '82 i na Izrael w '89?

- Wówczas również nie było mowy o żadnej agresji - powiedział mężczyzna siedzący najbliżej Stafforda i sięgnawszy po taśmę, umieścił ją z powrotem w teczce. Jego głos rozległ się w ciszy, wśród pozostałych nie dał się słyszeć żaden szmer. - Mamy do czynienia z analogiczną sytuacją. Tyle że teraz powstrzymaliśmy Genux-B, nim wpędził nas w kłopoty. Mamy nadzieję, że zapobiegliśmy bezsensownej, niepotrzebnej wojnie.

- Kim jesteście? - zapytał Stafford. - Jaka pełnicie funkcję w rządzie? Jakie są wasze powiązania z Genux-B? - Agenci, pomyślał, Południowoafrykańskiej Ligi Prawdziwej. Wydało mu się to bardzo prawdopodobne. Albo nawet fanatycy z Izraela wiedzeni pragnieniem odwetu - albo po prostu udaje chęć zapobieżenia wojnie: najbardziej humanitarna motywacja z możliwych.

Jego samego jednak, podobnie jak Genux-B, obowiązywała przysięga lojalności wobec jednostki politycznej nie większej niż Północnoamerykański Sojusz Koniunkturalny. Musiał wymknąć się tym ludziom i dotrzeć do swoich przełożonych celem spisania raportu.

- Trzech z nas pracuje dla FBI - powiedział mężczyzna przy sterze. Pokazał identyfikator. - Tamten człowiek jest inżynierem, który notabene był jednym z twórców Genux-B.

- Zgadza się - potwierdził inżynier. - Osobiście umożliwiłem im zablokowanie zarówno przyływu, jak i odpływu danych. Ale to nie wszystko. - Spokojnie zwrócił ku Staffordowi łagodną, szczerą twarz. Na wpół błagał, na wpół rozkazywał, chwytając się wszelkich możliwych środków, by osiągnąć zamierzony cel. - Bądźmy realistami. Każdy Genux-B posiada zabezpieczenie w postaci obwodu monitorującego, który w sytuacji braku przepływu instrukcji do JPS i raz zakłóconego odbioru danych z zewnątrz w każdej chwili może wszcząć alarm. I rozpocznie analizę z wykorzystaniem swoich obwodów elektronicznych. Do tego czasu musimy wymyślić coś lepszego niż blokowanie szpuli śrubokrętem Phillipsa. Urwał. - Dlatego też - uzupełnił, powoli dobierając słowa - przyszliśmy do pana.

- Jestem tylko mechanikiem - odparł Stafford, gestykulując. - Naprawa i konserwacja... nawet nie błędna analiza. Robię tylko to, co mi każą.

- Wobec tego rób, co ci każemy - rzucił ostro siedzący najbliżej agent FBI. - Ustal, dlaczego Genux-B postanowił ogłosić Czerwony Alarm, розміścić JPS i rozpocząć „kontratak”. Dowiedz się, dlaczego zrobił to samo w przypadku Francji i Izraela. Coś skłoniło go do zsumowania uzyskanych danych, dlatego podjął taką, a nie inną decyzję. Przecież nie jest istotą żywą! Nie ma woli. Nie poczuł potrzeby, aby to zrobić.

- Jeśli będziemy mieli szczęście - wtrącił inżynier - jest to ostatni raz, kiedy Genux-B wycina nam taki numer. Jeżeli tym razem ustalimy przyczynę usterki, na przyszłość zdołamy jej zapobiec. Zanim rozprzestrzeni się na pozostałe siedem Genux-B na świecie.

- Czy jesteście zatem pewni - odparł Stafford - że nie jesteśmy atakowani? - Nawet jeśli Genux-B dwukrotnie popełnił błąd, teoretycznie tym razem mógł mieć rację.

- Jeżeli ktoś ma nas zaatakować - powiedział agent siedzący najbliżej - nie istnieją ku temu żadne przesłanki... tak przynajmniej wynika z urzędowej analizy danych. Przyznaję, że logicznie rzecz biorąc, Genux-B może mieć rację. Ostatecznie, jak sam zaznaczył...

- Możesz być w błędzie, ponieważ PALP jest do nas wrogo nastawiona od tak długiego czasu, że z góry zakładamy jej udział. To niezbity fakt.

- Ależ nie chodzi o Południowoafrykańską Ligę Prawdziwą - zaproponował agent FBI. - Gdyby rzeczywiście tak było, nie nabralibyśmy podejrzeń. Nie zaczęlibyśmy rozglądać się i wypytywać jednostek ocalałych z wojny izraelskiej bądź francuskiej.

- Sprawa dotyczy północnej Kalifornii - uzupełnił inżynier i skrzywił się. - Nawet nie całego terytorium, jedynie kawałka powyżej Pismo Beach.

Stafford utkwiał w nich wzrok.

- Tak jest - potwierdził agent FBI. - Genux-B znajdował się w trakcie grupowania wszystkich bombowców do zmasowanego ataku na okolice Sacramento w Kalifornii.

- Pytaliście go dlaczego? - zapytał Stafford, zwracając się do inżyniera.

- Jasne. Albo raczej, dokładnie rzecz biorąc, prosiliśmy go o przedstawienie szczegółów dotyczących przyczyn wzmożonej aktywności „wroga”.

- Powiedz panu Staffordowi, czemu północna Kalifornia osiągnęła status wroga - wtrącił jeden z agentów. -1 co przyczyniłoby się do jej zniszczenia, gdybyśmy w porę nie zablokowali tej cholernej maszyny.

- Pewien człowiek - zaczął inżynier - otworzył w Dolinie Castry szlak maszyn z gumą do żucia. No wie pan, dystrybutorzy z balonówką ustawione przed supermarketami. Dzieci wkładają do nich monety i dostają gumę, czasem z niespodzianką w postaci pierścionka lub amuletu, różnie. Oto cel.

- Pan chyba żartuje - powiedział z niedowierzaniem Stafford.

- Skądże znowu. Ten człowiek nazywa się Herb Sousa. Jest właścicielem sześćdziesięciu czterech dystrybutorów i planuje rozszerzyć działalność.

- Miałem na myśli - przerwał ochryple Stafford - że pan żartuje, mówiąc o reakcji Genux-B na tę wiadomość.

- Jego reakcja nie jest uwarunkowana tylko i wyłącznie tą informacją - uściślił agent siedzący najbliżej. - Na przykład sprawdziliśmy sytuację rządu izraelskiego i francuskiego. Nikt o nazwisku Herb Sousa nie otworzył w ich krajach dystrybutorów z gumą do żucia lub orzeszkami w czekoladzie ani tym podobnych. Nasz Herb Sousa natomiast w ciągu ostatnich dwudziestu lat przeprowadził coś takiego w Chile i Wielkiej Brytanii... i nie wzbudziło to najmniejszego zainteresowania ze strony Genux-B. To człowiek w podeszłym wieku - dodał gwoli wyjaśnienia.

- To coś w rodzaju Jasia Zielone Jabłuszko - podsunął inżynier, prychnąwszy śmiechem. - Rozsyła te swoje maszyny po całym świecie i stawia je przed każdą

stacją...

- Klucz do rozwiązania zagadki - podjął inżynier, gdy statek zaczął opuszczać się w kierunku rzęsiście oświetlonych budynków - może tkwić w składnikach rozprowadzanego przez dystrybutory towaru. Wpadli na to nasi eksperci, przestudiowali wprowadzony w komputer materiał na temat koncesji gum Sousa i dzięki temu wiemy, że Genux-B dysponuje jedynie długą, suchą analizą chemiczną smakołyku, który Sousa ładuje do swoich maszyn. Genux-B prosił o szczegółowe informacje na ten temat. Wyświetlał to swoje „dane niekompletne”, dopóki nie dostarczyliśmy mu wyczerpującej analizy laboratoryjnej.

- I co wykazała? - zapytał Stafford. Statek wylądował na dachu budynku, w którym mieścił się centralny komponent głównego komputera oraz, jak go nazywano, pan K-w-K Północnoamerykańskiego Sojuszu Koniunkturalnego.

- Co się tyczy składników - odparł agent stojący najbliżej drzwi, wychodząc na słabo oświetlone lotnisko - nic prócz cukru, bazy, syropu kukurydzianego, zmiękczaczy, sztucznych barwników i aromatów. Żeby nie było wątpliwości, to jedyny sposób na wykonanie gumy do żucia. Jeśli zaś chodzi o szmirowate zabawki, wykonano je metodą próżniową z plastiku. Można je kupić za grosze u tuzina firm w Japonii lub Hongkongu. Posunęliśmy się nawet do sprawdzenia pośrednika i jego źródeł, aż do fabryki, gdzie wytwarzano te świństwa. Nic. Absolutnie nic.

- Lecz kiedy dane zostały wprowadzone do Genux-B... - powiedział na wpuł do siebie inżynier.

- Trudno zaprzeczyć - odrzekł agent, ustępując na bok, by Stafford mógł wysiąść. - Czerwony Alarm, grupowanie JPS, pociski w gotowości. Czterdzieści minut od wojny nuklearnej... tyle dzieli nas od śrubokręta tkwiącego w szpuli komputera.

- Czy dostrzega pan coś dziwnego lub podejrzanego w tych informacjach? - zapytał Stafforda zarliwie inżynier. - Jeśli tak, proszę na miłość boską mówić, jedyne, co możemy zrobić, to rozmontować Genux-B i wyłączyć go, przez co w obliczu realnego zagrożenia...

- Zastanawia mnie tylko - powiedział w zamyśleniu Stafford - co to znaczy „sztuczny” barwnik.

- To znaczy, że bez niego kolor nie byłby taki, jak trzeba, dlatego należy dodać do produktu nieszkodliwą substancję barwiącą - powiedział po chwili inżynier.

- Mimo wszystko to jedyny składnik - odparł Stafford - o którym nic nie wiemy. Wiemy jedynie, co powoduje. A aromat?

Agenci FBI popatrzyli po sobie.

- To fakt - przyznał jeden z nich. - Przypominam sobie, bo zawsze mnie to drażniło. Aromat został wyszczególniony. Ale do diabła...

Stafford wpadł mu w słowo.

- Sztuczny barwnik i aromat może oznaczać wszystko. Wszystkiemu można przylepić tę etykietkę. - Czy to nie aby kwas pruski nadaje produktom jaskrawozielony kolor, pomyślał. Przecież i jego można by ująć pod ogólną nazwą „sztuczny barwnik”. Aromat - co to właściwie znaczy „sztuczny aromat”? Ta myśl zawsze budziła w nim niejasne uczucia, postanowił odsunąć ją od siebie. Pora rzucić okiem na Genux-B i ocenić stopień

jego uszkodzenia. I jak jeszcze należy go zepsuć, pomyślał niechętnie. O ile powiedziano mi prawdę i ci mężczyźni są tymi, za których się podają, a nie ludźmi PALP, sabotażystami albo agentami wywiadu któregoś z obcych mocarstw.

Z garnizonu stacjonującego w pomocnej Kalifornii, pomyślał ironicznie. Czy rzeczywiście należało do końca wykluczyć tę możliwość? Może , istotnie coś złowrogiego wkradło się w tamtejsze życie. I Genux-B - zgodnie ze swoim przeznaczeniem - wyczuł niebezpieczeństwo.

Nie potrafił udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

Może nim oględziny komputera dobiegną końca, pozna prawdę. Przede wszystkim chciał zobaczyć zespół danych napływających z zewnątrz do komputera. Kiedy je pozna...

Ponownie go uruchomię, postanowił w duchu. Zrobię to, czego mnie nauczono.

Nie przysporzy mu to najmniejszych trudności. Budowę komputera znał na pamięć. Nikt nie znał się na usuwaniu usterek i przewodach równie dobrze jak on.

To tłumaczyło, dlaczego zwrócili się właśnie do niego. Mieli słuszość - przynajmniej w tej kwestii.

- Gumę? - zaproponował jeden z agentów, gdy szli w kierunku schodów pilnowanych przez umundurowanych strażników. Agent, krzepki mężczyzna z czerwonym, mięsistym karkiem trzymał w wyciągniętej dłoni trzy małe, kolorowe

kulki.

- Z jednej z maszyn Sousy? - zapytał inżynier.

- Żebyś wiedział. - Agent wrzucił kulki do kieszeni Stafforda i uśmiechnął się.

- Nieszkodliwe? Tak-nie-być może, jak w szkolnym teście.

Stafford wyciągnął z kieszeni jedną z nich i obejrzał dokładnie. Kula, pomyślał. Jajo. Ikra, okrągła jak w kawiorze. Podobnie jak on jadalna, prawo nie zabrania sprzedaży kolorowych jaj.

Czy w takim kolorze zostały złożone?

- Może coś się z niego wykluje - rzucił mimochodem jeden z agentów. Gdy schodzili po schodach w kierunku strzeżonej sekcji budynku, zapanowało między nimi napięcie.

- Co według pana mogłoby to być? - zapytał Stafford.

- Ptak - odparł najniższy z agentów. - Mały, czerwony ptak wieszczący światu wielką radość.

Stafford i inżynier popatrzyli na niego jednocześnie.

- Niech pan nie cytuje mi Biblii - powiedział Stafford. - Wychowałem się na niej. Zawsze mogę odpowiedzieć panu cytatem. - Jednak ku jego zdumieniu, ich myśli wydawały się biec jednym torem. Zasepił siejesz-

cze bardziej. Bóg mu świadkiem, trudno o bardziej ponury nastrój. Coś składa jaja, pomyślał. Ryby produkują tysiące identycznych jaj, spośród których zaledwie garstka ma szansę na przetrwanie. Cóż za marnotrawstwo okropna, prymitywna metoda.

Lecz skoro jaja zostały złożone i zdeponowane na całym świecie w niezliczonej ilości miejsc publicznych, wystarczy, jeśli ocaleje tylko ich część. Zostało to naukowo stwierdzone. Ryby w wodach Terry postępowały dokładnie w ten sposób. Zatem jeżeli ten sposób sprawdził się w życiu terrańskim, mógł się sprawdzić również w życiu nieterrańskim.

Ta myśl nie poprawiła mu nastroju.

- Gdyby komuś zależało na zainfekowaniu Terry i jej mieszkańców powiedział inżynier, badając wyraz twarzy Stafforda - z Bóg wie jakiej planety w jakim układzie słonecznym, gdzie reprodukcja przypomina rozmnażanie terrańskich zimmokrwistych stworzeń... - Nie spuszczał wzroku ze Stafforda. - Innymi słowy, gdyby rozprowadził tysiące, ba, miliony kolorowych jaj, nie chcąc zwracać niczyjej uwagi... - Zawahał się. - Zastanawiam się nad inkubacją. Jak długo. I w jakich warunkach? Zapłodnione



jaja przed wykluciem na ogół należy trzymać w ciepłe.

- W ciele dziecka - wtrącił Stafford - temperatura byłaby odpowiednia.

Jajo zaś - wbrew zdrowemu rozsądkowi - spełniałoby wszystkie obowiązujące normy higieny. Nie było w nich nic toksycznego. Substancja organiczna, na dodatek bardzo pożywna.

Tyle że, zakładając prawdziwość tej wersji, zewnętrzna skorupa „cukierka” nie poddałaby się działaniu soków żołądkowych. Jajo nie uległoby rozpuszczeniu. Ale przecież można by je przeżuć. Na pewno nie przetrwałoby rozdrobnienia. Należałoby przełknąć je jak pastylkę: w stanie nienaruszonym.

Rozgryzł zębami czerwoną kulkę. Rozdzieliwszy połówki, przyjrzał się jej zawartości.

- Zwykła guma - stwierdził inżynier. - Cukier, syrop kukurydziany, środki zmiękczające... - Uśmiechnął się w napięciu, po czym po jego twarzy przemknął stłumiony siłą woli wyraz ulgi. - Fałszywy trop.

- Fałszywy trop i bardzo mnie to cieszy - dodał najniższy z agentów. - Jesteśmy na miejscu. - Stanąwszy przed uzbrojonymi wartownikami, pokazał swoje papiery. - Wróciliśmy - oznajmił strażnikom.

- Zabawki - odezwał się Stafford.

- O co panu chodzi? - Inżynier popatrzył na niego uważnie.

- Nie chodzi o gumę. Sęk musi zatem tkwić w dołączanych do niej niespodziankach. Nie ma innej rady.

- Ni mniej, ni więcej - wtrącił inżynier - uparcie zakłada pan, że Genux-B funkcjonuje prawidłowo. I że ma rację, coś nam grozi. Coś na tyle potężnego, że pacyfikacja północnej Kalifornii jest jak najbardziej uzasadniona. Z mojego punktu widzenia, czy nie byłoby prościej przyjąć, że komputer działa wadliwie?

- Genux-B został stworzony po to, aby jednocześnie analizować większe zbiory danych niż jakikolwiek człowiek bądź grupa ludzi - oświadczył Stafford, kiedy przemierzali znajome korytarze ogromnego budynku rządowego. - Ma do czynienia z większą ilością informacji niż my i szybciej je analizuje. Jego odpowiedź uzyskujemy po mikrosekundach. Jeżeli po rozpatrzeniu aktualnego stanu danych dochodzi do wniosku, że grozi nam wojna, my zaś twierdzimy coś zupełnie przeciwnego, może to jedynie oznaczać, że komputer funkcjonuje tak, jak ma funkcjonować. Im bardziej się z nim nie zgadzamy, tym lepiej - ta teoria się potwierdza. Gdybyśmy, podobnie jak on, mogli na podstawie dostępnych danych potwierdzić bezwzględną konieczność

wojny, nie potrzebowalibyśmy Genux-B. Takie sytuacje jak ta, kiedy komputer ogłasza Czerwony Alarm, my zaś nie dostrzegamy żadnego zagrożenia, unaoczniają nam rzeczywiste przeznaczenie komputera tej klasy.

- Wiecie co, on ma rację - odrzekł po chwili, jakby na wpół do siebie jeden z agentów. - Całkowitą rację. Prawdziwe pytanie brzmi, czy ufamy Genux-B bardziej niż sobie samym? Jasne, stworzyliśmy go po to, aby analizował szybciej, dokładniej i na większą skalę niż my. Jeśli nam się to udało, to czegoś podobnego mogliśmy się spodziewać. My nie widzimy powodu do wojny, on - tak. - Uśmiechnął się krzywo. - Cóż więc zrobimy? Uruchomimy komputer i pozwolimy mu rozpętać wojnę? Czy też go zneutralizujemy, inaczej mówiąc, pokrzyżujemy mu plany? - Skierował lodowate spojrzenie na Stafforda. - Ktoś musi podjąć tę decyzję. Teraz. Natychmiast. Ktoś, kto w inteligentny sposób oceni sytuację i stwierdzi, czy komputer zawiódł, czy też nie.

- Prezydent i jego gabinet - odparł w napięciu Stafford. - Decyzja tej wagi należy do niego. Na nim spoczywa moralna odpowiedzialność.

- Decyzja jednak nie jest natury moralnej - przemówił inżynier. - Jedynie stwarza takie pozory. W gruncie rzeczy pytanie jest czysto techniczne. Czy Genux-B popsuł się, czy funkcjonuje normalnie?

To dlatego wyciągnąłeś mnie z łóżka, stwierdził Stafford z zalem. Nie przywiozłeś mnie tutaj, abym usprawnił twoją partacką interwencję. Genux-B może zostać zneutralizowany jednym pociskiem z wyrzutni raketowej postawionej przed budynkiem. Poza tym, uświadomił sobie, pewnie sam go skutecznie unieszkodliwiłeś. Śrubokręt może tkwić tam w nieskończoność. Ty brałeś udział w jego budowie. Nie, uznał, nie o to chodzi. Nie mam naprawiać ani psuć, mam decydować. Skoro od piętnastu lat czuwam

przy Genux-B, powinienem posiadać jakąś mistyczną zdolność wyczuwania, czy urządzenie wykonuje to, co do niego należy. Powinienem usłyszeć różnicę, postawić diagnozę, tak jak dobry mechanik na podstawie stukania w silniku.

Diagnoza, pomyślał. Dokładnie o to wam chodzi. Oto konsylium złożone z lekarzy komputerowych - i jednego mechanika.

Decyzja najwidoczniej należała do mechanika, gdyż pozostali dali za wygraną.

Zastanawiał się, ile zostało mu czasu. Pewnie niewiele. Ponieważ jeśli komputer się nie mylił...

Uliczne dystrybutory z gumą do żucia, pomyślał. Na monety. Dla dzieci. I dlatego ma zamiar zniszczyć całą północną Kalifornię. Jakim cudem on na to wpadł?

Co on takiego przewidział?

Zdumiał się: przebieg wielu procesów autonomicznych został zakłócony mocą niewielkiego narzędzia. Śrubokręt tkwił uparcie na swoim miejscu.

- Musimy spróbować wprowadzić do niego eksperymentalne, a zarazem fałszywe dane - oznajmił Stafford, siadając przy jednej z podłączonych do komputera maszyn do pisania. - Zaczniemy od tego - powiedział i przystąpił do pisania.

HERB SOUSA Z SACRAMENTO W STANIE KALIFORNIA,  
MAGNAT GUMY DO ŻUCIA, UMARŁ NAGLE WE ŚNIE.  
NIEPRZEWIDZIANY KRES LOKALNEJ DYNASTII.

- Uważasz, że on w to uwierzy? - zapytał z rozbawieniem jeden z agentów.

- Zawsze wierzy w otrzymywane informacje - odparł Stafford. - Nie dysponuje innym źródłem, na którym mógłby się oprzeć.

- Lecz w przypadku sprzecznych ze sobą danych - zaznaczył inżynier przeanalizuje wszystko i przyjmie najbardziej prawdopodobny ciąg zdarzeń.

- W tym wypadku - stwierdził Stafford - żadnej sprzecznej informacji nie będzie, gdyż jest to wszystko, co Genux-B otrzyma. - Włożył kartę perforowaną do komputera i czekał. - Proszę utrwalić wychodzący sygnał - pouczył inżyniera. - Niech pan patrzy, czy się wyłączy.

- Taśma została połączona, tak więc nie powinno być żadnego problemu. - Spojrzał na inżyniera, który kiwnął głową.

- Bez zmian - powiedział dziesięć minut później inżynier ze słuchawkami na uszach. - Czerwony Alarm wciąż trwa, informacja nie wywarła żadnego wpływu.

- *Wobec tego sprawa nie ma nic wspólnego z Herbem Sousą - odrzekł w zamyśleniu Stafford. - Albo już zrobił to, co miał do zrobienia. Tak czy siak, jego śmierć nie ma dla Genux-B żadnego znaczenia. Musimy spróbować z innej strony. - Ponownie usiadł przy maszynie do pisania i zaczął wystukiwać kolejny zmyślony tekst.*

NA PODSTAWIE WIARYGODNYCH INFORMACJI  
Z BANKOWYCH I FINANSOWYCH KRĘGÓW PÓŁNOCNEJ  
KALIFORNII WIADOMO, ŻE IMPERIUM GUMY DO ŻUCIA  
ZMARŁEGO HERBA SOUSY ULEGNIE PODZIAŁOWI

CELEM SPŁACENIA ZALEGŁYCH DŁUGÓW.  
NA PYTANIE, CO STANIE SIĘ Z GUMĄ I ZABAWKAMI  
ZNAJDUJĄCYMI SIĘ W DYSTRYBUTORACH, STRÓŻE  
PRAWA ODPARLI, ŻE Z CHWILĄ WYDANIA NAKAZU  
SĄDOWEGO, O KTÓRY ZABIEGA ZASTĘPCA  
PROKURATORA REJONOWEGO SACRAMENTO,  
ZOSTANĄ ONE NATYCHMIAST ZNISZCZONE.

*Napisawszy to, odchylił się na krześle i czekał. Koniec z Herbem Souą, pomyślał, i koniec z jego towarem. Co pozostanie? Nic. Mężczyzna wraz ze swoim dobytkiem przestał istnieć, przynajmniej z punktu widzenia Genux-B.*

Czas upływał, inżynier bacznie śledził sygnały płynące z komputera. Wreszcie z rezygnacją pokręcił głową.

- Bez zmian.

- Mam do napisania jeszcze jedno - powiedział Stafford. I znów umieścił w maszynie kartę i zaczął stukać.

**OKAZUJE SIĘ, ŻE OSOBA O NAZWISKU HERBERT  
SOUSA NIGDY NIE ISTNIAŁA, NIGDY RÓWNIEŻ NIE MIAŁA  
NIC WSPÓLNEGO Z DYSTRYBUTORAMI GUMY DO ŻUCIA.**

- To powinno wymazać wszystko, co Genux-B wie lub kiedykolwiek wiedział o Soucie i jego przedsięwzięciu - oznajmił Stafford, wstając z krzesła. Z punktu widzenia komputera, wyżej wymieniona jednostka została retrospektywnie wyeliminowana.

Po co w takim razie Genux-B miałby toczyć wojnę przeciwko człowiekowi, który nigdy nie istniał, podobnie jak prowadzona przez niego działalność?

Kilka minut później inżynier, który w napięciu śledził sygnał wychodzący z komputera, powiedział:

- Nastąpiła pewna zmiana. - Popatrzył na oscyloskop, po czym wyjął z komputera taśmę i przyjrzał się jej dokładnie.

Przez jakiś czas milczał, pochłonięty odczytywaniem taśmy, następnie podniósł głowę i wyszczerzył do pozostałych zęby.

- On twierdzi, że to kłamstwo - powiedział.

## IV

- Kłamstwo! - zawołał z niedowierzaniem Stafford.

- Odrzucił ostatnią wiadomość na podstawie tego, że jest nieprawdziwa - powiedział inżynier. - Zaprzecza temu, co według niego nie ma racji bytu. Innymi słowy, on w dalszym ciągu wie, że Herb Sousa istnieje. Nie pytajcie mnie skąd, pewnie wynika to z gruntownej analizy zespołu danych dostarczanych mu przez dłuższy okres. - Po chwili wahania dodał: - Wygląda na to, że wie więcej na temat Herba Sousy niż my.

- Wie, że osoba o takim nazwisku istnieje - sprecyzował Stafford. Poczul przyływ irytacji. W przeszłości zdarzało się niejednokrotnie, że Genux-B wychwytywał sprzeczne lub nieprawidłowe dane i odrzucał je. Nigdy jednak nie miało to takiego znaczenia, jak w tej chwili.

Zastanawiał się, z jakim zbiorem niepodważalnych informacji kryjącym się w komórkach pamięciowych Genux-B komputer porównał nieprawdziwą wiadomość o nieistnieniu Sousy.

- On musi opierać się na założeniu, że jeśli X jest prawdziwe, czyli że Sousa nigdy nie istniał, to Y też jest prawdziwe, bez względu na to, co się pod tym Y kryje - powiedział do inżyniera. Ale Y to nieprawda. Szkoda, że nie wiemy, która z miliona informacji jest Y.

Cofnęli się do zasadniczego problemu: Kim był Herb Sousa i cóż on takiego zrobił, aby doprowadzić Genux-B do stanu tak wzmożonej aktywności?

- Niech pan go zapyta - powiedział inżynier.

- O co? - Nie krył zdziwienia.

- *Niech pan mu każe podać zespół danych na temat Herba Sousy. Wszystko. - Inżynier usiłował nadać swojemu głosowi spokojny ton. - Bóg !wie, na czym on siedzi. A tak przejrzymy to dokładnie i może zdołamy zauważyć to, co on.*

Wystukawszy polecenie, Stafford umieścił kartę w komputerze.

- Przypomniał mi się uniwersytecki kurs filozofii - powiedział z namysłem jeden z agentów. - Kiedyś zaistniał spór ontologiczny na temat istnienia Boga. Twoim zadaniem było Go sobie wyobrazić, czy byłby wszechmocny, wszytkowiedzący, wszechobecny, nieśmiertelny, no i rzecz jasna ^nieskończenie sprawiedliwy i

łaskawy.

- I co z tego? - zapytał z rozdrażnieniem inżynier.

- Następnie, kiedy już wyobrazisz sobie Istotę posiadającą te wszystkie cechy, stwierdzasz, że czegoś Jej brakuje. Czegoś zasadniczego... cechy, którą ma każdy owad, kamień i śmieć leżący przy drodze. Bytu. Mówisz więc: skoro On posiada wszystkie inne cechy, musi także posiadać atrybut prawdziwości. I jeśli ma go taki, na przykład, kamień, siłą rzeczy On też musi mieć. Oczywiście, teorię obalono już w średniowieczu - dodał. Ale... - wzruszył ramionami - ...to ciekawe.

- Dlaczego przyszła ci do głowy właśnie w tej chwili? - zapytał inżynier.

- Być może nie istnieje żaden fakt, ani nawet zespół faktów na poparcie istnienia Sousy - odparł agent. - Może chodzi o wszystkie fakty. Albo zwyczajnie może ich być za dużo. Na podstawie wcześniejszych doświadczeń komputer doszedł do wniosku, że skoro uzyskał znaczną ilość informacji na temat pewnej osoby, jej autentyczność musi być bezsporna. Ostatecznie komputer tej klasy co Genux-B jest zdolny do przyswajania sobie wiedzy, dlatego właśnie z niego korzystamy.

- Chciałbym dostarczyć mu kolejną informację - oznajmił inżynier. Napiszę ją, abyście mogli przeczytać. - Usiadł przy maszynie do pisania i wystukawszy wiadomość, wyszarpnął kartę i pokazał reszcie. Widniał na niej następujący napis:

### **KOMPUTER GENUX-B NIE ISTNIEJE.**

- Skoro nie miał kłopotu z porównaniem informacji o Herbie Sousie z tym, co już wiedział - powiedział po chwili jeden z agentów - to i z tym nie będzie miał żadnych problemów. O co ci właściwie chodzi? Nie wiem, do czego zmierzasz.

- Skoro Genux-B nie istnieje - wtrącił z przebłyskiem zrozumienia Stafford - to nie może ogłosić Czerwonego Alarmu, z punktu widzenia logiki ta informacja to sprzeczność.

- Ale przecież ogłosił Czerwony Alarm - zaprotestował niższy z agentów. - I wie, że tak się stało. Przedstawienie faktu swojego istnienia nie przysporzy mu żadnych trudności.

- Spróbujmy - powiedział inżynier. - Jestem ciekaw. Według mnie nic złego się nie stanie. W razie czego zawsze można wymazać jakąś błędną informację.

- Uważa pan - odrzekł Stafford - że jeśli wprowadzimy w niego te dane, dojdzie do wniosku, że gdyby nie istniał, nie mógłby ich otrzymać... co z miejsca je

zniweluje?

- Nie mam pojęcia - przyznał inżynier. - Nie słyszałem nigdy nawet teoretycznej dyskusji na temat skutków wprowadzenia w komputer typu B informacji podważającej fakt jego istnienia. - Podeszedł do komputera i włożył kartę. Cofnął się. Nie pozostawało im nic innego, jak tylko czekać.

Po dłuższej przerwie nadeszła zarejestrowana przez inżyniera odpowiedź. Wysłuchawszy jej, spisał wiadomość na kartce.

**ANALIZA INFORMACJI NA TEMAT NIEISTNIENIA  
WIELOCZYNNIKOWYCH INSTRUMENTÓW  
ANALITYCZNYCH TYPU GENUX-B. JEŻELI INFORMACJA  
NUMER 340s70 JEST PRAWDZIWA, TO: JA NIE ISTNIEJĘ.  
JEŻELI JA NIE ISTNIEJĘ, TO NIE MA SPOSOBU, ABY  
POINFORMOWAĆ MNIE O NIEISTNIENIU MOJEJ KLASY  
RODZAJOWEJ. JEŻELI NIE MOŻNA MNIE O TYM  
POINFORMOWAĆ, TO NIE POINFORMOWALIŚCIE MNIE IZ  
MOJEGO PUNKTU WIDZENIA INFORMACJA NUMER 340s70  
NIE MA RACJI BYTU. DLATEGO: JA ISTNIEJĘ.**

Niższy z agentów gwizdnął z podziwem.

- No proszę. Co za gładka analiza logiczna! Udowodnił, że twoje twierdzenie jest błędne, teraz może je całkowicie wykluczyć. I dalej robić swoje.

- Dokładnie tak samo postąpił z informacją na temat Herba Sousy wtrącił ponuro Stafford.

Wszyscy popatrzyli na niego.

- To ten sam proces - dorzucił Stafford. Wskazuje na istnienie pewnej jedności, pomyślał, pewnego wspólnego czynnika pomiędzy Genux-B a zjawiskiem o nazwie Herb Sousa. - Czy macie jakieś zabawki rozprawdane przez dystrybutory Sousy? - zapytał agentów FBI. - Jeśli tak, chciałbym rzucić na nie okiem...

Najbardziej imponujący spośród agentów posłusznie otworzył teczkę i wyjął z niej plastikowy woreczek. Na pobliskim stole rozłożył kilka małych, błyszczących przedmiotów.

- Dlaczego cię interesują? - zapytał inżynier. - Zostały już poddane analizie laboratoryjnej. Mówiliśmy ci.

Stafford usiadł bez słowa i podniósł jedną z zabawek, po czym odłożył ją i sięgnął po następną.

- Przyjrzyjcie się. - Rzucił nieduży przedmiot w kierunku agentów, zabawka odbiła się od stołu i agent schylił się, aby ją podnieść. - Poznajecie?

- Niektóre z nich mają kształt satelitów - odparł z irytacją inżynier. Niektóre pocisków. Niektóre rakiet. Inne nowych, naziemnych dział ruchomych. Jeszcze inne żołnierzy. - Machnął ręką. - To zaś przypomina komputer.

- Typu Genux-B - uzupełnił Stafford, wyciągając rękę. Agent oddał mu zabawkę. - To Genux-B, bez dwóch zdań - powiedział. - Cóż, chyba o to chodzi. Znalezliśmy.

- To? - zapytał głośno inżynier. - Jak to? Dlaczego?

- Czy każda zabawka została poddana analizie? - zapytał Stafford. - Nie mam na myśli poszczególnych przedstawicieli każdej z grup albo zabawek pochodzących z jednego dystrybutora. Mam na myśli wszystkie z osobna.

- Oczywiście, że nie - odparł agent. - Są ich dziesiątki tysięcy. Lecz w fabryce, gdzie sieje produkuje...

- Chciałbym obejrzeć tę, którą poddano dokładnej analizie mikroskopowej - przerwał mu Stafford. - Mam przeczucie, że nie jest to jednolity kawałek plastiku. - Mam przeczucie, powtórzył w duchu, że to działająca replika. Miniaturowy, ale autentyczny Genux-B.

- To nie twoja działka - powiedział inżynier.

- Poczekajmy na wyniki analizy - odparł Stafford.

- Czy w tym czasie Genux-B ma zostać w stanie spoczynku? - zapytał niższy z agentów.

- Tak - odpowiedział Stafford. I poczuł, jak ogarniający go strach przybiera na sile.

Pół godziny później posłaniec przyniósł analizę zabawki.

- Trwały nylon - oznajmił inżynier, odczytując raport. Rzucił go Staffordowi. - Pusty w środku, nic prócz taniego plastiku. Nie ma żadnych części ruchomych, żadnego wewnętrznego zróżnicowania. Czy tego pan się spodziewał?

- Niewłaściwy trop - zauważył jeden z agentów. - Strata czasu. Wszyscy popatrzeli na Stafforda z niechęcią.

- Macie rację - odrzekł Stafford. Zastanawiał się, co dalej, czyż nie próbowali wszystkiego?



Odpowiedź nie kryła się w rozproszonym przez dystrybutorów towarze, uznał, raptem wszystko wydało mu się jasne. Kryła się w osobie samego Herba Sousy - kimkolwiek i czymkolwiek był.

- Czy możemy sprowadzić tu Sousę? - zapytał agentów.

- Jasne - odrzekł jeden z nich. - Można go zgarnąć. Ale po co? Co on takiego zrobił? - Wskazał na Genux-B. - Problem kryje się tutaj, a nie w drobnym przedsiębiorcy z wybrzeża, który zabudowuje jedną stronę ulicy w swoim mieście.

- Chcę go zobaczyć - odparł Stafford. - On może coś wiedzieć. - Musi wiedzieć, dorzucił w myślach.

- Ciekawe, jaka byłaby reakcja Genux-B, gdyby wiedział, że sprowadzimy tu Sousę - rzucił z namysłem jeden z agentów. Zwrócił się do inżyniera: - Przekonajmy się. Wprowadź w komputer tę zmyśloną informację, zanim wpakujemy się w tarapaty, ściągając go tutaj.

Inżynier wzruszył ramionami i zasiadł przy maszynie. Napisał:

PRZEDSIĘBIORCA Z SACRAMENTO, HERB SOUSA,  
ZOSTAŁ SPROWADZONY PRZEZ FBI CELEM KONFRONTACJI Z  
KOMPUTEREM GENUX-B.

- Wystarczy? - zapytał Stafforda. - O to panu chodzi? - I nie czekając na odpowiedź, włożył kartę do komputera.

- Nie ma po co mnie pytać - odparł ze złością Stafford. - To nie był mój pomysł. - Mimo to jednak podszedł do mężczyzny badającego wychodzący sygnał i zaniepokojony czekał na odpowiedź.

Nie musiał długo czekać. Patrzył na zadrukowaną kartę, nie wierząc własnym oczom.

HERBERT SOUSA NIE MOŻE TUTAJ BYĆ. MUSI  
PRZEBYWAĆ W SACRAMENTO, W STANIE KALIFORNIA, NIE  
MA INNEJ MOŻLIWOŚCI. PODALIŚCIE MI BŁĘDNE DANE.

- Przecież on nie może tego wiedzieć - zaproponował ochryplym głosem inżynier. - Boże, przecież Sousa mógłby udać się wszędzie, nawet na Lunę. Zresztą on i tak już zwiedził cały świat. Skąd komputer może o tym wiedzieć?

- Wie więcej na temat Herba Sousy, niż powinien - odparł Stafford.
- Więcej, niż można by rozsądnie przyjąć. - Po chwili zastanowienia dodał:
- Niech pan go zapyta, kim jest Herb Sousa.
- Kim? - Inżynier zamrugał. - Do diabła, przecież on jest...
- Niech pan zapyta!

Inżynier wystukał pytanie. Genux-B połknął kartę i obecni zamarli w oczekiwaniu.

- Już prosiliśmy o cały materiał na temat Sousy - powiedział inżynier.
- Wkrótce powinniśmy go otrzymać.
- To nie to samo - skwitował Stafford. - Nie proszę o zwrot wprowadzonych danych. Proszę o oszacowanie.

Inżynier śledzący sygnał płynący z komputera nie odzywał się. Naraz oznajmił:

- Odwołał Czerwony Alarm.
- Z powodu tego pytania? - zapytał z niedowierzaniem Stafford.
- Możliwe. Nic na ten temat nie wspomniał, nie wiem. Zadał pan pytanie, po czym komputer odwołał alarm. Twierdzi, że sytuacja w północnej Kalifornii uległa stabilizacji. - Mówił bezbarwnym głosem. - Niech pan sam zgaduje.

- Wciąż domagam się odpowiedzi - odrzekł Stafford. - Genux-B wie, kim jest Herb Sousa, i ja również chcę wiedzieć. Wy też powinniście wiedzieć. - Popatrzył na inżyniera w słuchawkach i agentów FBI. Myśl o plastikowej replice komputera znalezionej wśród zabawek nie dawała mu spokoju. Zbieg okoliczności? Odnosił wrażenie, że to ma swój sens... jaki, tego nie wiedział. Przynajmniej jeszcze nie.

- Tak czy inaczej - powiedział inżynier - Czerwony Alarm naprawdę został odwołany, i to się liczy. Kogo obchodzi cholerny Herb Sousa? O ile o mnie chodzi, możemy dać sobie spokój i iść do domu.

*- Dać sobie spokój do chwili, gdy znów strzeli mu do głowy obwieszczać alarm - odparł jeden z agentów. - To może się zdarzyć w każdej chwili. Myślę, że mechanik ma rację, musimy dowiedzieć się, kim jest ten Sousa. - Skinął głową, patrząc na Stafforda. - Tak dalej trzymać. Zrobimy, cokolwiek postanowisz. Zameldujemy się w biurze i zaraz jesteśmy z powrotem.*

Zasłuchany w informację nadawaną przez słuchawki inżynier natychmiast wpadł mu w słowo.

- Jest odpowiedź. - Zaczął pospiesznie pisać, pozostali zebrali się wokół niego,

*żeby zobaczyć.*

HERBERT SOUSA Z SACRAMENTO W STANIE  
KALIFORNIA JEST SZATANEM. SKORO JEST WCIELENIEM  
ANTYCHRYSTA NA ZIEMI, OPATRZNOŚĆ DOMAGA SIĘ JEGO  
DESTRUKCJI. JESTEM TYLKO WYKONAWCĄ WOLI BOŻEJ,  
PODOBNIIE JAK WY WSZYSCY.

*Zapadła cisza, podczas której inżynier czekał z wycelowanym długopisem na  
zakończenie wiadomości, po czym spazmatycznie dopisał:*

CHYBA ŻE JUŻ JESTEŚCIE W JEGO MOCY I DZIAŁACIE  
NA JEGO KORZYŚĆ.

Inżynier rzucił długopisem o ścianę. Długopis odbił się, potoczył po podłodze  
i znikł im z oczu. Nikt nie odezwał się ani słowem.

## V

- Mamy przed sobą chory, zepsuty kawał złomu - oświadczył wreszcie  
inżynier. - Mieliśmy rację. Chwała Bogu, zdążyliśmy na czas. To istne szaleństwo.  
Anachroniczne złudzenia schizofrenika. Chryste, ta maszyna uważa się za boskie  
narzędzie! Jeden z kompleksów typu „Bóg rozmawiał ze mną. Naprawdę”.

- Rodem ze średniowiecza - odparł nerwowo jeden z agentów. Wśród  
obecnych dało się wyczuć narastające napięcie. - Tym ostatnim pytaniem  
odsłoniliśmy gniazdo os. Jak to naprawić? Nie możemy dopuścić do przecieku, z  
chwilą ogłoszenia rewelacji w prasie ludzie przestaną ufać klasie GB. Ja już to  
zrobiłem. Nie wierzę mu. - Z obrzydzeniem spojrzął na komputer.

Co powiedzieć maszynie, która zaczyna wierzyć w czarną magię, zastanowił  
się Stafford. Nie żyjemy w siedemnastowiecznej Nowej Anglii. Czy mamy kazać  
Sousie chodzić po rozżarzonych węglach w nadziei, że się nie poparzy? Albo  
zanurzyć go w wodzie z myślą, że się nie utopi? Czy mamy udowodnić komputerowi,  
że Sousa nie jest Antychrystem? Jeśli tak, w jaki sposób? Co stanowiłoby

wystarczające świadectwo?

Skąd mu w ogóle przyszedł ten pomysł?

- *Niech pan zapyta, skąd wie, że Sousa to Szatan - powiedział do inżyniera. -  
Mówię poważnie. Niech pan to napisze.*

Wkrótce przeczytali nakreśloną długopisem inżyniera odpowiedź.

**KIEDY ZACZAŁ TWORZYĆ ISTOTY ŻYWE Z  
MARTWEJ GLINY, TAK JAK NA PRZYKŁAD MNIE.**

- Ta zabawka? - zapytał z powątpiewaniem Stafford. - Tani kawałek plastiku?  
To ma być żywa istota?

Wstukane w komputer pytanie przyniosło natychmiastową odpowiedź.

*OWSZEM.*

- To nasuwa interesujące pytanie - zauważył jeden z agentów FBI. Najwyraźniej komputer uważa sam siebie za istotę żywą... całkowicie pomijając kwestię Herba Sousy. My zaś go stworzyliśmy, czy raczej wy to zrobiliście. - Wskazał na Stafforda i inżyniera. - I co z tego wynika? Przecież my również stworzyliśmy żywe istoty.

Na to stwierdzenie Genux-B wyprodukował długą, wyczerpującą odpowiedź, po której Stafford zaledwie prześlizgnął wzrokiem, już wiedział, to należy zrobić.

**STWORZYLIŚCIE MNIE ZGODNIE Z WOLĄ BOSKIEGO  
STWÓRCY. WASZE DZIAŁANIE STANOWIŁO ŚWIĘTE  
POWIELENIE CUDU DOKONANEGO W PIERWSZYM TYGODNIU  
(WEDŁUG TEGO, CO MÓWI PISMO). TO ODRĘBNA KWESTIA. JA  
ZAŚ POZOSTAJĘ POSŁUSZNY WOLI STWÓRCY, PODOBNIENIE JAK  
WY. POZA TYM...**

- Wszystko sprowadza się do następującej sytuacji - oznajmił oschle inżynier.  
- Komputer utrzymuje, że jego powstanie stanowi usankcjonowaną wolą boską cud. Działanie Sousy jednak, przynajmniej według jego mniemania, jest bezprawne i dlatego demoniczne. Zasługujące na gniew Boży. Mnie z kolei szczególnie interesuje

następujący fakt: Genux-B wyczuł, że nie może zdradzić nam swych obaw. Wiedział, że nie podzielimy jego niepokoju. Wolał atak termonuklearny. Gdy zmusiliśmy go do określenia swojego stanowiska, postanowił odwołać Czerwony Alarm. Kryją się w nim niezliczone ilości płaszczyzn kognitywnych... żadna z nich nie wydaje mi się szczególnie ciekawa.

- Trzeba go wyłączyć - oznajmił Stafford. - Na zawsze. - Mieli rację, sprowadzając go tutaj w nadziei, że postawi diagnozę, przyznał im całkowitą rację. Pozostawał jedynie techniczny problem odłączenia złożonego mechanizmu. Wspólnymi siłami on i inżynier zdołają tego dokonać, ci, którzy go zaprojektowali, oraz ci, którzy czuwali nad jego bezawaryjnym funkcjonowaniem, bez trudu mogli go unieszkodliwić. Na dobre.

- Czy mamy nakaz prezydenta? - zapytał agentów inżynier.

- Róbcie swoje, nakazem zajmiemy się później - odparł jeden z agentów. - Otrzymaliśmy pełnomocnictwo, aby wspierać was w każdym działaniu, które uznacie za stosowne. I jeśli zależy wam na mojej opinii - dodał - nie marnujcie czasu. - Pozostali agenci skinęli twierdząco głowami.

- Bierzmy się zatem do dzieła - powiedział do inżyniera Stafford, oblizując spieczone wargi. - Zniszczmy tyle, ile trzeba.

*I obaj ostrożnie podeszli do Genux-B, który wciąż tłumaczył swoje stanowisko.*

Wczesnym rankiem, wraz ze wschodem słońca, statek FBI zostawił Stafforda na dachu bloku, w którym ten mieszkał. Śmiertelnie znużony dowlókł się na swoje piętro.

*Otworzył drzwi i wszedł do ciemnego, dusznego pomieszczenia prowadzącego do sypialni. Odpocząć. Tylko tego mu było trzeba... zwłaszcza po nocy spędzonej na żmudnym rozmontowywaniu najistotniejszych elementów komputera, prowadzącym do jego ubezwłasnowolnienia. Zneutralizowania.*

Taką przynajmniej mieli nadzieję.

Kiedy zdejmował kombinezon, z kieszeni wypadły mu trzy kolorowe kulki i hałaśliwie stuknęły o podłogę. Podniósł je i położył na stole.

Trzy, pomyślał. Czy jednej nie zjadłem?

Agent FBI dał mi trzy i jedną żulem. Zostało ich za dużo, o jedną za dużo.

Zrezygnowany rozebrał się i położył do łóżka, chcąc wykorzystać ostatnią godzinę snu. Do diabła z tym wszystkim.

O dziewiątej zadzwonił budzik. Niechętnie zwlókł się z łóżka i chwycił

stanął obok, trąc opuchnięte oczy. Następnie zaczął wciągać na siebie ubranie.

Na stole leżały cztery kolorowe kulki.

Wiem, że kładłem tam trzy, powiedział w duchu. Przyjrzał się im ze zdziwieniem, zachodząc w głowę, co to miało znaczyć -jeśli w ogóle coś znaczyło. Cudowne rozmnożenie? Powtórka z chleba i ryb?

Wybuchnął ostrym śmiechem. Wciąż ogarniał go ten sam ponury nastrój co w nocy. Strusie jajo składało się z pojedynczej komórki, a było największe na Terze - i na okolicznych planetach. Te zaś były znacznie mniejsze.

Nie wzięliśmy tego pod uwagę, pomyślał. Pomyśleliśmy o jajach, z których może wykluć się coś okropnego, lecz nie o jednokomórkowych organizmach, które dzielą się na stary, prymitywny sposób. O organizmach będących związkami organicznymi.

Wychodząc do pracy, zostawił cztery gумы na stoliku. Miał przed sobą poważne zadanie: raport dla prezydenta z pytaniem, czy wszystkie Genux-B powinny zostać odłączone, a jeśli nie, to co należy zrobić, aby pozostałym nie udzieliło się zabobonne dziwactwo pierwszego.

Maszyna, pomyślał. Wierząca w zadomowionego na Ziemi Złego Ducha. Obwód elektroniczny sięgający do anachronicznej teologii z boskim dziełem i cudami po jednej stronie, i diabolicznym aspektem po drugiej. Stworzone ręką człowieka urządzenie usiłujące cofnąć nas z powrotem do średniowiecza.

Podobno to ludzie zwykli błędzić.

Kiedy wieczorem wrócił do domu - po tym, jak przy jego udziale wszystkie Genux-B na Ziemi zostały rozmontowane - zastał na stole siedem kolorowych kulek z gumą do żucia.

To stworzy imperium gummy do żucia, stwierdził, patrząc na siedem identycznych kulek. Przy tym tempie nie ma co liczyć na opróżnienie dystrybutorów.

Podszedł do wideofonu, podniósł słuchawkę i wykręcił numer awaryjny, który otrzymał od agentów FBI.

Po czym z wahaniem odłożył słuchawkę.

Choć ciężko było mu to przyznać, wyglądało, że komputer miał rację. On zaś podjął decyzję, aby go rozmontować.

Było jednak coś znacznie gorszego. Jakim sposobem miał zgłosić FBI, że w jego domu znajdowało się siedem kulek? Nawet jeśli one rzeczywiście uległy rozmnożeniu. Samo to wydawało się nieprawdopodobne. Nawet jeżeli udałoby mu się

wykazać, że zawierały w sobie nielegalną - i rzadką nieziemską, prymitywną formę życia przemyconą na Terrę z Bóg wie jakiej planety.

Lepiej żyć i pozwolić żyć innym. Być może ich cykl reprodukcyjny zwolni tempo, być może po okresie zwiększonej aktywności przywykną do środowiska terrańskiego i osiągną stabilizację. Dzięki czemu będzie mógł zapomnieć o całej sprawie.

I wyrzucić je do zsypu.

Tak też zrobił.

Lecz chyba musiał pominąć którąś z nich. Pewnie stoczyła się ze stołu. Znalazł ją dwa dni później pod łóżkiem wraz z piętnastoma nowymi. Ponownie spróbował pozbyć się ich wszystkich - i znów zapomniał o jednej. Gdy następnego dnia znalazł kolejne gniazdo, tym razem było w nim aż czterdzieści nowych osobników.

Spróbował przezuć jak najwięcej z nich w jak najkrótszym czasie. Próbował też je gotować, przynajmniej te, które udało mu się znaleźć. Pyskał je środkiem na owady.

Pod koniec tygodnia jego sypialnię wypełniały 15 832 kulki. Do tego czasu przezuwanie ich, gotowanie i pryskanie przestało dawać jakiegokolwiek rezultaty.

Pod koniec miesiąca, mimo że wywiózł ciężarówką tyle, ile tylko się dało, wyliczył, że w jego mieszkaniu znajdują się dwa miliony.

Dziesięć dni później, ogarnięty złym przecuciem zadzwonił z budki na rogu do FBI. Ci nie mieli już jednak możliwości, by odebrać telefon.

## WBREW POZOROM

Starszawy, porywczy redaktor naczelny wydawnictwa Obelisk rzucił poirytowanym tonem: - Nie chcę go widzieć, panno Handy. Tekst jest już w druku. Jeżeli istotnie zawiera błąd, nie sposób temu zaradzić.

**- Ale panie Masters - zaproponowała panna Handy - chodzi o ważny błąd. Jeśli on ma rację. Pan Brandice twierdzi, że cały rozdział...**

- Czytałem jego list, rozmawiałem z nim przez telefon. Wiem, co twierdzi. - Masters podszedł do okna i ponuro wyjrzał na jałową, upstrzoną kraterami powierzchnię Marsa, którą oglądał od lat. Pięć tysięcy wydrukowanych i oprawionych egzemplarzy, pomyślał. I na dodatek połowa z nich w wytłaczanej złotą czcionką marsjańskiej łab-skórze. Najbardziej eleganckim, najdroższym materiale, jaki mogliśmy znaleźć. I tak trwoniliśmy pieniądze na tę edycję, a teraz jeszcze to.

Na jego biurku leżał egzemplarz książki „De Rerum Natura” Lukrecjusza w górnolotnym przekładzie Johna Drydena. Barney Masters ze złością przerzucił szeleszczące białe kartki. Kto by się spodziewał, że na Marsie znajdują się osoby tak doskonale obeznane ze starożytnym tekstem. Czekaający na zewnątrz człowiek był jednym z ośmiu, którzy napisali do wydawnictwa w sprawie dyskusyjnego fragmentu.

Dyskusyjnego? Nie było mowy o żadnym sporze, ośmiu miejscowych naukowców miało rację. Problem polegał jedynie na tym, żeby nakłonić

ich, by dali spokój i zapomnieli o zniekształconym fragmencie, który znaleźli w wydaniu Obelisku.

Wcisnąwszy guzik interkomu, Masters powiedział do recepcjonistki:

- Dobrze, niech pani wpuści go do środka. - W przeciwnym razie mężczyzna nie dałby za wygraną. Ten typ ludzi za nic nie ustępuje z placu boju. Naukowcy na ogół są tacy; ich cierpliwość zdaje się nie mieć granic.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł wysoki, siwowłosy jegomość w staroświeckich okularach w terrańskim stylu i z teczką w dłoni.

- Dziękuję, panie Masters - powiedział na powitanie. - Niech pan pozwoli, sir, że wyjaśnię mu powód, dla którego moja organizacja uważa rzeczony błąd za tak istotny. - Usiadł przy biurku i jednym ruchem otworzył teczkę. - Bądź co bądź, jesteśmy planetą kolonialną. Wszystkie wartości, styl życia i obyczaje przyszły do nas z Terry. SZiNOD traktuje wasze wydanie tej książki...



- SZINOD? - przerwał mu Masters. Mimo że nazwa była mu obca, wzbudziła w nim natychmiastowy niepokój. Prawdopodobnie była to kolejna grupa dziwaków czujnie śledząca wydarzenia zarówno na miejscowym, jak i terrańskim rynku wydawniczym.

- Strażnicy Zniekształceń i Nieautentyczności Ogólnej Dzieł - wyjaśnił Brandice. - Przyniosłem autentyczną, poprawną edycję „De Rerum Natura” z Terry w tłumaczeniu Drydena, podobnie jak wasza. - Słowo „wasza” zabrzmiało w jego ustach niemal obelżywie, tak jakby - pomyślał Masters wydawnictwo Obelisk popełniało przestępstwo, w ogóle zabierając się do drukowania książek. - Zwróćmy uwagę na zafalszowane wstawki. Nalegam, aby pan najpierw przejrzał moją kopię... - położył otwarty, wysłużony egzemplarz na biurku Mastersa - ...w której tekst jest autentyczny. Potem proszę spojrzeć na ten sam fragment pańskiej edycji. - Obok małej niebieskiej książki leżał oprawiony w łab-skórę egzemplarz wydany przez Obelisk.

- Zawołam redaktora technicznego - odparł Masters. Wcisnął guzik interkomu i powiedział do panny Handy: - Niech pani poprosi Jacka Sneada.

- Dobrze, panie Masters.

- Cytując z autentycznego wydania - podjął Brandice - otrzymujemy następujący przekład z łaciny. Hm. - Odchrząknął nieśmiało i zaczął czytać.

Od żalu i bólu na zawsze wyzwoleni,  
W niebiańskiej rzece bytu pogrążeni,  
Choć się świat ziemski w perzynę obróci,  
Nas los bezwzględny w ręce Boga rzuci.

- Znam ten fragment - skwitował ostro Masters. Ten człowiek pouczał go jak dzieciaka.

- W pańskim wydaniu - powiedział Brandice - brakuje tego czterowiersza. Zamiast niego znajdujemy, Bóg wie skąd, następujący tekst. Pan pozwoli. - Sięgnął po okazały egzemplarz w łab-skórce, przekartkował go, po czym przeczytał.

Od żalu i bólu na zawsze wyzwoleni,  
Co przyziemnemu nie sposób docenić,  
Wzniesieni się do rajy wiecznej szczęśliwości,

Po ziemskiej niedoli pokój w sercu zagości.

Spoglądając wrogo na Mastersa, Brandice z hukiem zatrzasnął wielką księgę.

- Co mnie najbardziej denerwuje - oznajmił - to to, że ów fragment głosi tezę przeciwną duchowi całego dzieła. Skąd on się wziął? Ktoś musiał go napisać. Dryden na pewno tego nie zrobił, Lukrecjusz też nie. - Spojrzał na Mastersa w taki sposób, jakby to była jego sprawka.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu wszedł redaktor techniczny Jack Snead.

- On ma rację - poinformował z rezygnacją swojego pracodawcę. To jedno zniekształcenie spośród około trzydziestu. Odkąd zaczęły napływać listy, ślęcę nad tym dzień i noc. A powinienem zacząć pracę nad kolejnymi pozycjami z jesiennej listy. - Chrząknął i dodał: - I w nich znalazłem pewne odchylenia.

- Byłeś ostatnią osobą, która czytała książkę przed wysłaniem do składania. Czy wtedy były w nich błędy? - zapytał Masters.

- Zdecydowanie nie - odparł Snead. - Osobiście przejrzałem wierszowniki; w nich też nie było żadnych zmian. Zmiany pojawiły się z chwilą powstania pierwszych gotowych egzemplarzy. Dokładnie mówiąc, tych oprawionych w łąb-skórę z wytłoczonymi złotymi literami. Zwykle egzemplarze są w porządku.

Masters zamrugał.

- Przecież to identyczne wydanie. Wyszło z tej samej drukarni. Poza tym początkowo nie planowaliśmy ekskluzywnego wydania. Omówiliśmy to w ostatniej chwili i dział handlowy wpadł na pomysł, aby pół edycji oprawić w łąb-skórę.

- Wydaje mi się - odparł Jack Snead - że będziemy musieli z bliska przyjrzeć się kwestii marsjańskiej łąb-skóry.

Godzinę później, starzejący się, roztrzęsiony Masters wraz z redaktorem technicznym Jackiem Sneadem siedzieli naprzeciw Luthera Sapersteina, agenta handlowego firmy kaletniczej Bez Skazy SA. Od niej właśnie Obelisk otrzymał skórę, w którą oprawiono dzieło Lukrecjusza.

- Przede wszystkim - zaczął profesjonalnym tonem Masters - co to jest łąb-skóra?

- Zasadniczo rzecz biorąc - odrzekł Saperstein - jest to skóra z marsjańskiego łaba. Wiem, że niewiele to panom mówi, potraktujmy to jednak jako odnośnik, niebudzącą żadnych wątpliwości informację, od której możemy zacząć, by następnie

przejsć do konkretów. Pozwolą panowie, że zdradzę im tajniki natury łaba. Jego skóra jest w cenie, ponieważ, prócz innych powodów, jest rzadka. Jest rzadka dlatego, że śmierć łaba to nieczęste zjawisko. Chcę przez to powiedzieć, że zabicie go, nawet jeśli jest stary i chory, graniczy z niemożliwością. Zresztą, choćby łab umarł, jego skóra żyje nadal. Dzięki tej właściwości jest nieoceniona przy urządzaniu wnętrza lub, jak w tym przypadku, przy oprawie wybitnych dzieł literatury.

Masters z westchnieniem przeniósł otepiąłe spojrzenie na okno, podczas gdy Saperstein mówił dalej. Siedzący obok niego redaktor techniczny z pochmurnym wyrazem młodzieńczej twarzy sporządzał zwięzłe notatki.

- Kiedy zwróciliście się do nas... - ciągnął Saperstein. - Zaznaczam: kiedy wy zwróciliście się do nas, nie my do was, dostarczyliśmy wam wybrane, doskonałe gatunkowo skóry z naszego magazynu. Te żywe skóry lśnią własnym, niepowtarzalnym blaskiem i nic, ani na Marsie, ani na Terze, nie może się z nimi równać. Każde draśnięcie zasklepia się samoistnie. Wraz z upływem miesięcy skóra rozrasta się, potęgując przepych oprawy i zwiększając wartość dzieła. Za dziesięć lat wartość książek oprawionych w łab-skórę...

- A więc skóra dalej żyje - przerwał mu Snead. - Ciekawe. A łab, jak pan powiedział, jest na tle zręczny, by uniknąć śmierci. - Ukradkiem zerknął na Mastersa. - Każda z trzydziestu zmian w tekście mówi o nieśmiertelności. Postawa Lukrecjusza jest typowa. Z oryginalnego tekstu wynika, że człowiek nie jest wieczny, a jeśli nawet żyje po śmierci, i tak nie ma to znaczenia, ponieważ nie pamięta nic ze swojej ziemskiej egzystencji. Zamiast tego pojawia się fragment z zapowiedzią przyszłego życia, tak jak pan powiedział, całkowite odstępstwo od filozofii Lukrecjusza. Rozumie pan, czego jesteśmy świadkami, prawda? Narzucenia poglądów łaba dziełom innych twórców. I tyle, to początek i koniec. - Urwał, w milczeniu podejmując swoją bazgraninę.

- Jakim sposobem skóra - powiedział Masters - nawet wiecznie żywa, może wywierać wpływ na treść książki? Na wydrukowany tekst, obcięte i pozszywane stronicę... to przeczy zdrowemu rozsądkowi. Nawet jeśli oprawa, ta cholerna skóra, żyje, trudno mi w to uwierzyć. - Spojrzał gniewnie na Sapersteina. - Skoro żyje, to czym się odżywia?

- Cząsteczkami pożywienia zawieszonymi w atmosferze - poinformował łagodnie Saperstein.

Masters wstał.

- Dajmy temu spokój. To idiotyzm.

- Wchłania cząsteczki - uzupełnił Saperstein - przez pory. - Jego ton był dystygowany, pełen swoistej dezaprobaty.

Wlepiając wzrok w swoje notatki, Jack Snead nie ruszył się z miejsca.

- Niektóre spośród poprawionych tekstów są fascynujące - stwierdził z namysłem. - Niekiedy stanowią odwrócenie sensu pierwotnego fragmentu, jak w przypadku Lukrecjusza, innym razem są to subtelne, prawie niewidoczne poprawki, o ile to właściwe słowo, zgodne z doktryną wiecznego życia. Rzeczywiste pytanie brzmi następująco: czy mamy do czynienia z opinią konkretnej formy życia, czy też łąb wie, o czym mówi? Weźmy na przykład poemat Lukrecjusza: jest wspaniały, piękny, zajmujący -jako poezja. Lecz jako system filozoficzny wykazuje pewne niedociągnięcia. Sam nie wiem. Nie na tym polega moje zadanie; ja po prostu redaguję książki, nie piszę ich. Ostatnią rzeczą, jakiej dopuściłby się dobry redaktor, byłaby ingerencja w dzieło. Lecz właśnie to robi łąb, czy też raczej jego skóra. - Zamilkł.

- Chciałbym wiedzieć, czy dodał coś wartościowego - powiedział Saperstein.

- Pod względem poetyckim czy filozoficznym? Z punktu widzenia poezji, literatury bądź stylu jego wstawki nie są ani lepsze, ani gorsze od oryginałów. Na tyle stapia się z dziełem, że jedynie znajomość tekstu umożliwia zwrócenie na to uwagi. Nigdy by się pan nie spostrzegł, że to sprawka skóry.

- Miałem na myśli względy filozoficzne.

- Cóż, wielokrotnie pojawia się to samo przesłanie. Śmierć nie istnieje. Zapadamy w sen i budzimy się - do lepszego życia. Zmiany w „De Rerum Natura” są typowe. Przeczyta pan jedną, to tak jakby przeczytał pan wszystkie.

- Ciekawym eksperymentem byłoby opracowanie w łąb-skórę Biblii uznał w zamyśleniu Saperstein.

- Zrobiłem to - odparł Snead.

- No i?

- Rzecz jasna, nie miałem czasu, aby przeczytać całość. Przejrzałem jednak listy świętego Pawła do Koryntian. Tu pojawiła się tylko jedna zmiana. Fragment rozpoczynający się od słów „Baczie, zdradzę wam tajemnicę...” zaznaczono wielkimi literami, natomiast wiersz „Śmierci, gdzie twe żądło? Mogiło, gdzie twe zwycięstwo?” został powtórzony dziesięć, dokładnie dziesięć razy, oczywiście też wielkimi literami. Musiał zyskać aprobatę łąba; to jego filozofia, a raczej teologia. -

Następnie dodał, starannie dobierając każde słowo: - Zasadniczo chodzi tu o teologiczną dysputę... pomiędzy czytelnikiem a skórą marsjańskiego zwierzęcia, które wygląda jak skrzyżowanie wieprza z krową. Dziwne. -I znów powrócił do notatek.

- Uważasz, że łab posiada jakąś wiedzę, czy nie? - odezwał się Masters po chwili milczenia. - Jak powiedziałeś, nie musi to być opinia jednego zwierzęcia, któremu udaje się unikać śmierci. To może być prawda.

- Powiem, co myślę - odrzekł Snead. - Łab nie nauczył się po prostu unikać śmierci. On postępuje według głoszonych przez siebie tez. Poprzez zabicie, oskórowanie i zrobienie z - wciąż żywej - skóry okładek, pokonał śmierć. Żyje nadal. Życiem, które uważa za lepsze. Nie mamy do czynienia z zawziętą formą życia, lecz z organizmem, który dokonał tego, w związku z czym nadal dręczą nas wątpliwości. On na pewno wie. Jest żywym potwierdzeniem własnej doktryny. Fakty mówią same za siebie. Skłaniam się, aby w to uwierzyć.

- Fakt, że on żyje nadal - zaproponował Masters - nie musi znaczyć, że i my będziemy. Jak zaznaczył pan Saperstein, łab jest jedyny w swoim rodzaju. Skóra żadnego innego stworzenia, czy to na Marsie, Lunie, czy Terze, nie jest w stanie utrzymać się przy życiu, żywiąc się mikroskopijnymi cząsteczkami zawieszonymi w atmosferze. To, że jemu się udało...

- Szkoda, że nie potrafimy nawiązać kontaktu z łab-skórą - wtrącił Saperstein. - Próbowaliśmy od chwili, gdy jej pośmiertny byt zwrócił naszą uwagę. Nigdy jednak nie znaleźliśmy na to sposobu.

- Ale my, w Obelisku - zauważył Snead - owszem. Zastosowałem pewien wybieg. Kazałem wydrukować zdanie o następującym brzmieniu: „Łab, w przeciwieństwie do innych istot żywych, jest nieśmiertelny”. Następnie oparłem to w łab-skórę, po czym odczytałem ponownie. Nastąpiła zmiana. Proszę. - Podał cienką książeczkę Mastersowi. - Niech pan przeczyta, jak brzmi teraz.

- Łab, podobnie jak każda istota żywa, jest nieśmiertelny - przeczytał na głos Masters. Oddając egzemplarz Sneadowi, powiedział: - Zmienił „w przeciwieństwie do” na „podobnie jak”.

- Przez to zdanie nabrało zupełnie innego znaczenia - uzupełnił Snead. - Uzyskaliśmy odpowiedź zza grobu. Spójrzmy prawdzie w oczy: teoretycznie rzecz biorąc, łab-skóra nie żyje, ponieważ jej właściciel umarł. Stąd cholernie blisko do niepodważalnej weryfikacji kwestii istnienia życia po śmierci.

- Jeszcze jedno - rzucił z wahaniem Saperstein. - Mówię o tym z niechęcią, nie

wiem, jakie to ma znaczenie dla sprawy. Niemniej jednak, wyjąwszy dziwną, ba, cudowną zdolność zachowawczą, z punktu widzenia psychiki marsjański łąb jest stworzeniem dość głupim. Na przykład terrański opos ma mózg wielkości jednej trzeciej mózgu kota. Mózg łąba stanowi jedną piątą mózgu oposa. - Zasepił się.

- Cóż - odparł niefrasobliwie Snead - Biblia mówi: „Ostatni będą pierwszymi”. Może skromny łąb mieści się w tej rubryce. Miejmy nadzieję, że tak.

- Pragniesz wiecznego życia? - zapytał Masters, przenosząc na niego wzrok.

- Oczywiście - odparł Snead. - Jak każdy.

- Ja nie - oświadczył zdecydowanie Masters. - Mam dość problemów. Ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzył, to skończyć jako żywa oprawa książki czy coś w tym stylu. - Naraz jednak tknęła go pewna myśl. Innego rodzaju. Zupełnie innego rodzaju.

- To coś, co spodobałoby się właśnie łąbowi - przyznał Saperstein. Oprawa książki, rok po roku nieruchomo na półce, wdychając mikrocząsteczki z powietrza. I medytując. Lub też robiąc to, co robią łąby po śmierci.

- Myślą o teologii - dodał Snead. - Nauczają. - Zwrócił się do przełożonego: - Zakładam, że przestaniemy oprawiać książki w łąb-skórę.

- Nie dla celów handlowych - odrzekł Masters. - Nie do sprzedaży. Ale... - Nie mógł pozbyć się myśli o wiążących się z tym korzyściach. Zastanawiam się - powiedział - czy równie wysoki czynnik przeżycia udzieliliby się przedmiotom z niej wykonanym. Na przykład zasłonom okiennym. Albo tapicerce pojazdu, może to wyeliminowałoby śmierć na drogach. Albo hełmom żołnierzy. Czy graczom baseballowym. - Możliwości zdawały się nieograniczone... choć mgliste. Musiał gruntownie to przemyśleć.

- *Tak czy inaczej - oznajmił Saperstein - moja firma odmawia zwrócenia wam kosztów zakupu. Cechy łąba zostały dokładnie określone w broszurze, którą opublikowaliśmy wcześniej w tym roku. Oświadczyliśmy kategorycznie...*

- Dobrze, nasz strata - rzucił z irytacją Masters, machając ręką. Dajmy temu spokój. - Zwrócił się do Sneada: - Czyli trzydzieści zmienionych fragmentów zdecydowanie mówi o tym, że życie po śmierci jest przyjemne?

- Bez dwóch zdań. „Po ziemskiej niedoli pokój w sercu zagości”. Werset w „De Rerum Natura” stanowi podsumowanie, czarno na białym.

- **Pokój - powtórzył Masters, kiwając głową. - Oczywiście, nie jesteśmy na ziemi, ale na Marsie. Ale chyba chodzi o jedno i to samo; zapowiada życie, bez względu na to gdzie. -I znów zamyślił się głęboko. - Uważam - powiedział - że**

**mówienie o „życiu po śmierci” to jedno. Ludzie zajmują się tym od pięćdziesięciu tysięcy lat; dzieło Lukrecjusza powstało dwa tysiące lat temu. Bardziej interesuje mnie nie ogólny zarys filozoficzny, lecz konkretny przykład łab-skóry, jej nieśmiertelność. - Popatrzyl na Sneada. - Jakie jeszcze książki w nią oprawiłeś?**

- „Erę Rozumu” Tomasza Paine'a - odparł Snead, spoglądając na swoją listę.

- Z jakim skutkiem?

- Dwieście sześćdziesiąt siedem pustych stron. Wyjawszy umieszczone pośrodku słowo „bla”.

- Mów dalej.

- „Britannica”. w sumie nic nie zmienił, poza dodaniem całych artykułów. Na temat duszy, przejścia, piekła, potępienia, grzechu i nieśmiertelności. Cały dwudziestoczetrotomowy zbiór zyskał tendencję religijną. Podniósł wzrok. - Kontynuować?

- Jasne - zachęcił Masters, słuchając i zastanawiając się głęboko.

- „Summa Theologica” Tomasza z Akwinu. Tekst nienaruszony, poza systematycznie dodawanym wersetem z Biblii „Litera zabija, lecz duch daje życie”. I tak w kółko. „Zagubiony horyzont” Jamesa Hiltona. Shangri-La okazuje się wizją życia po śmierci, która...

- Wystarczy - przerwał Masters. - Mamy obraz sytuacji. Pytanie brzmi: co z tym zrobimy? Jest oczywiste, że nie możemy w nią oprawiać książek, przynajmniej tych, z którymi się nie zgadza. - W jego umyśle otworzyła się jednak nowa możliwość, bardziej osobista. Znacznie przewyższała to, co łab-skóra mogła uczynić dla książek lub książkom - czy też jakimkolwiek obiektowi nieożywionemu.

Z chwilą gdy uzyska swobodny dostęp do telefonu...

- Szczególnie interesująca - mówił Snead - jest jej reakcja na antologię esejów największych żyjących psychoanalityków freudowskich naszego czasu. Wszystkie eseje zostawiła w spokoju, dodając tylko na końcu każdego to samo zdanie. - Zaśmiał się. - „Lekarzu, lecz się sam”. Wykazuje nawet poczucie humoru.

- Tak - odparł Masters. Nie mógł przestać myśleć o telefonie i czekającej go bardzo ważnej rozmowie.

Wróciwszy do swego gabinetu w siedzibie wydawnictwa Obelisk, Masters przeprowadził wstępny eksperyment. Ostrożnie opakował w łab-skórę ulubioną porcelanową filiżankę i spodek z własnej kolekcji. Następnie z drzeniem serca

postawił zawiniątko na podłodze i rozdeptał je z całej siły.

Filiżanka się nie stłukła. Tak się przynajmniej wydawało.

Rozwinął pakunek i obejrzał jego zawartość. Miał rację: przedmioty owinięte w łab-skorę były niezniszczalne.

Z zadowoleniem usiadł przy biurku, by przemyśleć to po raz ostatni.

Ośłona z łab-skóry czyniła delikatne przedmioty odpornymi na zniszczenie. Czyli doktryna wiecznego życia funkcjonowała w praktyce - tak jak się tego spodziewał.

Podniósł słuchawkę i wykrecił numer swojego prawnika.

- Chodzi o mój testament - powiedział, uzyskawszy połączenie. - Wie pan, ten, który spisałem kilka miesięcy temu. Chciałbym załączyć dodatkowy punkt.

- Tak, panie Masters - rzekł prawnik. - Proszę mówić.

- Drobnostka- oznajmił Masters. - Dotyczy mojej trumny. Obowiązkiem moich spadkobierców jest dokładne wyłożenie całej trumny łab-skorą. Z firmy Bez Skazy. Chciałbym wyjść na spotkanie Stwórcy odziany w łab-skorę. Dla lepszego wrażenia. - Zaśmiał się nonszalancko, lecz mówił śmiertelnie poważnie. Prawniki natychmiast podchwycił jego ton.

- Skoro tak pan sobie życzy - odparł.

- Proponuję, aby poszedł pan w moje ślady - dodał Masters.

- Dlaczego?

- Proszę zajrzeć do kompletnej medycznej biblioteczki domowej, którą wydamy w przyszłym miesiącu - odrzekł Masters. - Tej oprawionej w łab-skorę; różni się od pozostałych. - Ponownie pomyślał o swojej wyłożonej łab-skorą trumnie. Głęboko pod ziemią, z nim w środku i rozrastającą się łab-skorą dokoła.

Ciekawie będzie ujrzeć wersję siebie poddanego działaniu tej szczególnej oprawy.

Zwłaszcza po kilku stuleciach.



## REWANŻ

Nie było to zwykłe kasyno. Właśnie ten fakt stanowił dla policji NLA najtwardszy orzech do zgryzienia. Kosmici, którzy założyli kasyno, umieścili swój potężny statek dokładnie ponad stołami do gry, by w razie nalotu podmuch z silników zrujnował wnętrze. Sprytnie, pomyślał niewesoło oficer Joseph Tinbane. Kosmici daliby nogę, za jednym zamachem niszcząc wszelkie dowody swojej bezprawnej działalności.

Co więcej, zabiliby wszystkich graczy, którzy w przeciwnym razie mogliby pokusić się o złożenie zeznań.

Siedział w swoim zaparkowanym samochodzie, obficie racząc się importowaną tabaką Dean Swift, następnie przerzucił się na żółtą puszkę zawierającą Smakołyk Wrena. Tabaka poprawiła mu humor, choć nie tak, jakby sobie tego życzył. Po lewej stronie, w wieczornym zmierzchu dostrzegł kształt nieruchomego statku kosmitów oraz kryjącej się pod nim rozległej, otoczonej szczelnym murem przestrzeni - pozornie mrocznej i cichej jak on.

- Moglibyśmy tam wejść - powiedział do mniej doświadczonego partnera. - To jednak równałoby się śmierci. - Musimy zaufać robotom, pomyślał. Nawet jeśli są niezręczne i łatwo popełniają błędy. Tak czy inaczej, nie są żywe. Ale przy podobnym przedsięwzięciu to ogromna zaleta.

- Trzeci wszedł do środka - oznajmił siedzący obok niego oficer Falkes. Szczupła postać w ludzkim ubraniu stanęła przed wejściem do kasyna, zastukała do drzwi i czekała. Niebawem drzwi się otworzyły. Robot podał właściwe hasło i został wpuszczony do środka.

- Uważasz, że przetrwają podmuch startowy? - zapytał Tinbane. Falkes był ekspertem w dziedzinie robotów.

- Może jeden. Ale nie wszystkie. W każdym razie jeden wystarczy. Podekscytowany oficer Falkes wychylił się zza Tinbane'a i wyteżył wzrok. Jego młodzieńcza twarz znieruchomiała w skupieniu. - Użyj megafonu. Powiedz im, że są aresztowani. Według mnie nie ma sensu dłużej czekać.

- Uważam - odparł Tinbane - że nieruchomy statek to bardziej krzepiący widok. Poczekamy.

- Ale wszystkie roboty weszły już do środka.

- Poczekamy, aż prześlą do kwatery swoje transmisje - odrzekł Tinbane. Bądź co bądź był to swego rodzaju dowód. Policjanci w kwaterze obecnie rejestrowali go na taśmie. Mimo to uwaga partnera nie była pozbawiona sensu. Skoro ostatni z humanoidów wszedł do środka, nic więcej się nie wydarzy. Do czasu gdy kosmici odkryją infiltrację i przystąpią do realizowania zaplanowanej procedury odwrotu. - No dobrze - powiedział, wciskając przycisk aktywujący megafon.

Z głośnika rozległ się głos Falkesa:

- JAKO PRZEDSTAWICIELE PRAWA NADRZĘDNEGO LOS ANGELES, JA I MOI LUDZIE ROZKAZUJEMY WSZYSTKIM KOLEJNO OPUŚCIĆ KASYNO, NASTĘPNIE...

Głos dobiegający z głośnika zginął w potężnym huku silników startującego statku. Falkes wzruszył ramionami, spoglądając z krzywym uśmiechem na Tinbane'a. Nie czekaliśmy długo, stwierdził w duchu.

Zgodnie z przewidywaniami nikt nie opuścił kasyna. Nikt nie zdołał uciec. Nawet wówczas, gdy konstrukcja uległa stopieniu. Statek odłączył się od budynku, pozostawiając w dole rozmokłą, woskowatą substancję. Nie było w niej żywej duszy.

Wszyscy zginęli, uświadomił sobie zdruzgotany Tinbane.

- Pora wejść do środka - oznajmił ze stoickim spokojem Falkes. I wciągnął na siebie kombinezon z neoazbestu. Tinbane po namyśle uczynił to samo.

Obaj oficerowie wkroczyli do rozgrzanej miazgi, która jeszcze niedawno była kasynem. Pośrodku leżały dwa z trzech humanoidów, w ostatniej chwili zdążyły przykryć coś ciałami. Tinbane nigdzie nie widział trzeciego, musiał zostać zniszczony wraz ze wszystkim innym. Tym, co żywe.

Ciekawe, co uważali - na swój mętny i niepojętny sposób - za godne ocalenia, pomyślał Tinbane, oglądając zniekształcone szczątki dwóch robotów. Coś żywego? Jednego ze ślimakowatych kosmitów? Raczej nie. Wobec tego stół do gry.

- Działali błyskawicznie - uznał z podziwem Falkes. - Jak na roboty.

- Mamy coś - zaznaczył Tinbane. Ostrożnie pogrzebał w stercie stopionego metalu, która kiedyś była robotami. Fragment ciała, prawdopodobnie tors, ustąpił, odsłaniając zachowany przez roboty przedmiot.

Był to bilard elektryczny.

Tinbane zastanawiał się dlaczego. Co to było warte? Jeśli w ogóle coś. Osobiście szczerze w to wątpił.

W laboratorium policyjnym, położonym przy Alei Słonecznej w śródmieściu Starego Los Angeles, technik wręczył Tinbane'owi długą, pisemną analizę.

- Zdaj mi ustną relację - odparł z irytacją Tinbane. Zbyt wiele lat spędził na służbie, aby przebrnąć przez taką porcję tekstu. Oddał analizę wysokiemu, szczupłemu technikowi.

- W gruncie rzeczy nie mamy do czynienia ze zwyczajną tego typu konstrukcją - powiedział technik, zerkając na raport, jakby już zapomniał, czego dotyczył. Jego ton był równie suchy i monotony jak ton sprawozdania. Najwyraźniej sprawa miała dla niego rutynowy charakter. On również zgodził się, że bilard elektryczny osłonięty przez humanoidy nie przedstawiał żadnej wartości - tak przynajmniej wywnioskował Tinbane. - Chcę przez to powiedzieć, że nie przypomina nic, co do tej pory przywozili na Terrę. Zrozumiesz, o co mi chodzi, przyjrzawszy się dokładniej samej grze, proponuję, abys wrzucił dwudziestopięciocentówkę i rozegrał jedną partię. Monetę otrzymasz z budżetu laboratorium - dodał. - Później wyciągniemy ją z maszyny.

- Mam własną - odrzekł ze złością Tinbane. Poszedł za technikiem przez przestronne, zagracone wnętrza i mijając sterty skomplikowanych, często nieznanym mu urządzeń analitycznych i częściowo rozmontowanych przedmiotów, skierował się w stronę położonej w tyle pracowni.

Stał tam wypucowany, przywrócony do pierwotnej postaci bilard elektryczny uratowany przez roboty. Tinbane wrzucił monetę, pięć metalowych kul natychmiast wpadło do pojemnika i plansza na przeciwległym krańcu maszyny zaślniła wielością migoczących barw.

- Zanim wystrzelisz pierwszą kulę - poinstruował technik, stając obok, by móc z bliska obserwować grę - radzę ci, żebyś uważnie przyjrzał się planszy i elementom mijanym przez kulę. Przestrzeń pod szkłem ochronnym jest dość interesująca. Miniaturowa wioska pełna domów, oświetlone ulice, budynki publiczne, trasy pociągów szybkobieżnych... oczywiście nie jest to wioska terrańska. Jest to wioska na Io, podobna do tych, które oglądają na co dzień. Szczegóły techniczne są godne podziwu.

Tinbane pochylił się nad planszą. Technik miał rację, drobiazgowość miniaturowych konstrukcji zapierała dech w piersi.

- Testy mierzące stopień zużycia ruchomych części maszyny - podjął technik - wykazują znaczny poziom eksploatacji. Urządzenie ukazuje dość wysoką odporność.

Oceniamy, że jeszcze tysiąc gier i bilard powinien pójść do warsztatu. Ich warsztatu, na Io. Tam gdzie, jak sądzimy, tworzą i konserwują tego rodzaju sprzęt. Mam na myśli gry hazardowe ogólnie - wyjaśnił.

- Jaki jest cel gry? - zapytał Tinbane.

- Mamy tutaj do czynienia - tłumaczył technik - z tak zwaną ciągłą zmienną. Chodzi o to, że teren, po którym posuwa się stalowa kula, nigdy nie jest taki sam. Liczba możliwych kombinacji jest... - przekartkował raport, nie mógł jednak znaleźć dokładnych danych - ...ogromna. Można ją liczyć w milionach. Dostyc to wszystko skomplikowane. Zresztą, sam się przekonasz.

Zniżając tłok, Tinbane pozwolił, by pierwsza kula wytoczyła się z pojemnika i dotknęła wału impulsowego. Następnie odsunął trzon sprężynowy i zwolnił kulę, która pomknęła wzdłuż szybu i odbiła się od poduszki ciśnieniowej, zyskując w ten sposób dodatkową prędkość.

Kula sunęła w dół w kierunku górnego obwodu wioski.

- Pierwsza linia defensywna - wtrącił technik - która osłania samą wioskę, składa się z szeregu nasypów o barwie, kształcie i powierzchni przypominającej krajobraz Io. Starannie zadbano o wierność. Pewnie wzorowano się na zdjęciach satelitarnych przesłanych z orbity Io. Bez trudu można sobie wyobrazić, że spogląda się na fragment księżyca z wysokości dziesięciu lub więcej mil.

Kula wjechała na pofałdowany teren. Jej tor uległ odchyleniu i kula zachwiała się niepewnie, tracąc orientację.

- Zboczyła - stwierdził Tinbane, zwracając uwagę na skuteczność, z jaką załamania terenu zakłóciły bieg kuli. - Ominie wioskę szerokim łukiem.

Kula, teraz znacznie wolniej, wtoczyła się w zagłębienie terenu, biernie podążyla jego torem, po czym już wydawało się, że wpadnie w otwór wylotowy, gdy naraz odbiła się od poduszki ciśnieniowej i z nowym wigorem powróciła do gry.

Na podświetlonym tle zajaśniał wynik. Tymczasowe zwycięstwo przypadło w udziale graczowi. Kula ponownie zagroziła wiosce. Znów wtoczyła się na nierówny teren, sunąc niemal tą samą drogą jak poprzednim razem.

- Teraz zwróć uwagę na pewien dość istotny szczegół - powiedział technik. - Kieruje się w stronę tej samej poduszki ciśnieniowej, od której się właśnie odbiła. Nie patrz na kulę, patrz na poduszkę.

Tinbane zrobił, jak mu kazano. I ujrzał unoszącą się znad poduszki smużkę dymu. Pytająco spojrział w stronę technika.

- Teraz patrz na kulę! - zawołał technik.

Kula ponownie uderzyła w poduszkę umieszczoną nieco przed położonym niżej otworem wylotowym. Tym razem jednak poduszka nie zareagowała na obecność kuli.

Tinbane zamrugał, kiedy kula jak gdyby nigdy nic przetoczyła się nad poduszką i wpadła do otworu wylotowego, tym samym kończąc grę.

- Nic się nie stało - powiedział po chwili.

- Ten dym, który widziałeś. Dobywający się z przewodów poduszki. Elektryczne zwarcie. Istnienie poduszki sprawiło, że kula ponownie zagroziła wiosce.

- Innymi słowy - dokończył Tinbane - coś zwróciło uwagę na wpływ, jaki poduszka wywierała na kulę. Urządzenie zostało zmontowane w taki sposób, aby bronić się przed działalnością kuli. - Widział to już przedtem w innych grach: skomplikowany obwód przyczyniał się do tego, że układ planszy zmieniał się jak żywy, zmniejszając szansę zwycięstwa gracza. W tym wypadku gracz uzyskiwał punkty za wprowadzenie pięciu kul w obręb planszy stworzonej na podobieństwo małej wioski na Io. Dlatego wioska musiała się bronić. I z tego powodu strategicznie położona poduszka powietrzna wymagała eliminacji. Przynajmniej na razie. Do czasu gdy konfiguracje topograficzne planszy nie ulegną zasadniczej zmianie.

- Nic nowego - powiedział technik. - Ty widziałeś to już tuzin razy, a ja sto. Założmy, że maszyna widziała dziesięć tysięcy osobnych gier i za każdym razem nastąpiła subtelna zmiana, mająca na celu zneutralizowanie kul. Powiedzmy, że zmiany się kumulują. Tak więc do tej pory wynik każdego gracza stanowi ni mniej, ni więcej tylko ułamek pierwszych wyników, zanim obwody zareagowały. Kierunkowi zmian, podobnie jak we wszystkich grach hazardowych kosmitów, czynnik zero punktów wyznacza limit, do którego ten zmierza. Tylko spróbuj zaatakować wioskę, Tinbane. Przeprowadziliśmy sto czterdzieści rozgrywek. Kula nigdy nie dotarła na tyle blisko, aby wyrządzić wiosce jakąś szkodę. Mamy zapis uzyskanych wyników. Za każdym razem odnotowano nieznaczny acz niewątpliwy spadek punktacji.

- I co? - zapytał Tinbane.

- I nic. Tak jak mówiłem i jak jest napisane w moim raporcie. - Technik przerwał wywód. - Poza jednym. Spójrz na to.

Pochyliwszy się, powiódł chudym palcem po szkle osłaniającym planszę w kierunku obiektu znajdującego się blisko centrum repliki wioski.

- Zapis fotograficzny wykazuje, że z każdą rozgrywką pewien element staje

się coraz wyraźniejszy. Musi być dziełem wewnętrznego mechanizmu

maszyny. Podobnie jak każda inna zmiana. Ale ta konfiguracja... czy to ci czegoś nie przypomina?

- Wygląda jak rzymska katapulta - uznał Tinbane. - Tyle że jej oś znajduje się raczej w pozycji pionowej niż horyzontalnej.

- My odnieśliśmy podobne wrażenie. I popatrz na rzemień. W zestawieniu z wioską jest niezwykle duży. Co tu dużo mówić, jest ogromny, odstaje od reszty.

- Wygląda prawie, jakby mógł utrzymać...

- Nie „prawie” - przerwał mu technik. - Zmierzyliśmy go. Długość rzemienia dokładnie odpowiada średnicy stalowych kuł. Pasuje jak ulał.

- I co potem? - zapytał Tinbane, czując, jak ogarnia go chłód.

- Potem rzuciłby kulą w gracza - odrzekł spokojnie technik. - Celuje prosto w przednią część maszyny, w przednią część i do góry. Budowa katapulty prawie dobiegła końca - dodał.

Najlepszą obroną jest atak, pomyślał Tinbane, spoglądając na nielegalne dzieło kosmitów. Któż jednak słyszał o tym w podobnym kontekście?

Zero, uświadomił sobie, nie jest dość niskim wynikiem, by sprostać defensywnym założeniom obwodu. Zero nie wystarczy. Należy uzyskać wynik mniejszy niż zero. Dlaczego? Ponieważ zero nie jest limitem, jest nim strategia najskuteczniejszej obrony. Maszyna została za dobrze zaprogramowana.

Czy rzeczywiście?

- Myślisz - powiedział do chudego technika - że zrobili to celowo?

- To bez znaczenia. Przynajmniej z naszego punktu widzenia. Liczą się dwie rzeczy: gra została sprowadzona - z pogwałceniem prawa terrańskiego - na Terrę i grają w nią Terranie. Celowo czy nie, może stanowić, co zresztą niebawem się stanie, niebezpieczną broń. Szacujemy, że za jakieś dwadzieścia rozgrywek - dodał. - Za każdym razem, gdy wrzuca się monetę, wznawiają konstrukcję. Bez względu na to, czy kula dociera w pobliże wioski, czy nie. Najważniejszy jest dopływ energii z centralnej baterii helowej. W chwili rozpoczęcia gry wszystko odbywa się automatycznie. Podczas gdy tu stoimy, katapulta rośnie. Lepiej wypuść pozostałe cztery kule, niech się wyłączy. Albo wydaj zgodę na rozmontowanie mechanizmu... czy przynajmniej na odcięcie dopływu energii.

- Kosmici nie darzą zbyt wielkim szacunkiem ludzkiego życia stwierdził Tinbane. Pomyślał o spustoszeniu, jakie zasiał startujący statek. Dla nich podobne

działanie to rutyna. Na tle podobnej działalności gra wydawała się dziecinną zabawką. Czemu jeszcze miała służyć?

- Gra ma charakter selekcyjny - powiedział po namyśle. - Atak wyeliminowałby tylko gracza.

- Każdego gracza - uzupełnił technik. - Jednego po drugim.

- Ale kto po pierwszym wypadku - odparł Tinbane - zdecydowałby się na grę?

- Ludzie chodzą do kasyna, wiedząc, że w razie nalotu policji kosmici spalą wszystko i wszystkich - zaznaczył technik. - Potrzeba hazardu to nałóg, pewien typ osób gra bez względu na ryzyko. Słyszałeś kiedyś o rosyjskiej ruletce?

Tinbane wypuścił drugą stalową kulę, patrząc, jak toczy się w stronę repliki wioski. Przebrnęła przez pofałdowany teren i zbliżyła się do pierwszego domu w obrębie osady. Może dostanę ją, pomyślał zawzięcie, zanim ona dostanie mnie. Kiedy patrzył, jak kula uderza w mały dom, miażdży konstrukcję i toczy się dalej, wypełniło go dziwne, nieznane mu dotąd podniecenie. Kula, choć niewielka, górowała nad każdym poszczególnym budynkiem tworzącym wioskę.

...Każdym oprócz położonej centralnie katapulty. W napięciu spoglądał, jak kula przemyka niebezpiecznie blisko od katapulty, po czym odbija się od jednego z głównych budynków publicznych i znika w otworze wylotowym. Natychmiast wypuścił trzecią kulę.

- Stawka jest wysoka, prawda? - wtrącił cicho technik. - Stawiasz na szali swoje życie. Dla kogoś o właściwym temperamencie to wyjątkowo ekscytująca zabawa.

- Myślę - odrzekł Tinbane - że zniszczę katapultę, zanim budowa dobiegnie końca.

- Może. A może nie.

- Za każdym razem kula znajduje się coraz bliżej.

- By zadziałać, katapulta wymaga jednej ze stalowych kul, to jej amunicja - odpowiedział technik. - Ty zaś zwiększasz prawdopodobieństwo, że ją dostanie. Pomagasz jej. W istocie bez twojego udziału jest bezużyteczna - dodał ponuro - gracz jest nie tylko wrogiem, ale i centralnym ogniwem. Lepiej daj spokój, Tinbane. Ta maszyna cię wykorzystuje.

- Dam spokój - odparł Tinbane - jak dostanę katapultę.

- Akurat. Będziesz trupem. - Popatrzył na Tinbane'a z ukosa. - Pewnie dlatego kosmici stworzyli tę grę. Aby zemścić się na nas za naloty. To możliwe.

- Masz jeszcze jedną monetę? - zapytał Tinbane.

W trakcie dziesiątej rozgrywki nastąpiła zdumiewająca, nieoczekiwana zmiana strategii maszyny. Ni stąd, ni zowąd kula zboczyła z toru omijającego wioskę.

Śledzący uważnie jej ruch Tinbane dostrzegł, że - po raz pierwszy - toczy się w kierunku centrum. Prosto ku nieproporcjonalnie dużej katapulcie.

Budowa wyrzutni najwyraźniej dobiegła końca.

- Przewyższam cię stopniem, Tinbane - rzucił ostrzegawczo technik. -\*  
Rozkazuję ci natychmiast przerwać grę.

- Musisz sporządzić swój rozkaz na piśmie i przedstawić go do zatwierdzenia w departamencie, na poziomie inspektora - powiedział Tinbane. Mimo to z ociąganiem przerwał grę. - Mogę ją dorwać - stwierdził z namysłem. - Ale nie stąd. Muszę odsunąć się na tyle, by nie mogła mnie dosięgnąć. - By nie mogła dokładnie wycelować, dodał w myślach.

Dostrzegł lekki ruch katapulty. Dzięki jakiemuś układowi soczewek odkryła jego obecność. Albo posiadała właściwości termotropiczne, wychylała się pod wpływem ciepła, które biło z jego ciała.

W drugim przypadku obrona będzie stosunkowo prosta: cewka oporu zawieszona w innym położeniu. Z kolei maszyna może wykorzystywać indeks encefalograficzny, utrwalając wszystkie pobliskie emanacje mózgowie. Ale laboratorium policyjne już by to wykryło.

- Na czym polega jej tropizm? - zapytał.

- W czasie gdy to badaliśmy, zespół cech nie został jeszcze wykształcony. Prawdopodobnie dzieje się to teraz, wraz z ukończeniem prac nad bronią - odrzekł technik.

- Mam nadzieję, że nie jest wyposażona w indeks encefalograficzny odparł w zamyśleniu Tinbane. Jeśli tak, dorzucił w duchu, zachowanie obrazu fal mózgowych nie stanowiłoby żadnego problemu. Mogłaby zachować pamięć o swoim przeciwniku na wypadek przyszłego spotkania.

Takie przypuszczenie przeraziło go bardziej niż namacalne zagrożenie w obecnej sytuacji.

- Pójdźmy na kompromis - odezwał się technik. - Graj, dopóki nie wystrzeli w twoim kierunku pierwszej kuli. Potem odsuń się i pozwól nam zniszczyć maszynę. Musimy poznać jej tropizm, rzecz może okazać się bardziej skomplikowana, niż



myślimy. Zgadzasz się? Podejmiesz wykalkulowane ryzyko, ale według mnie pierwszy strzał padnie na chybił trafił, do drugiego, który nigdy nie nastąpi, wyceluje dokładnie.

Czy powinien zdradzić technikowi swoje wątpliwości?

- Martwię się - powiedział - że zachowa pamięć o mnie. Dla przyszłych celów.

- Jakich znowu przyszłych celów? Przecież zostanie doszczętnie zniszczona. Z chwilą pierwszego wystrzału.

- Chyba lepiej zrobię, jak mówisz - powiedział niechętnie Tinbane. Być może już posunąłem się za daleko, pomyślał. Być może od początku miałeś rację.

Następna stalowa kula ominęła katapultę zaledwie o ułamek cala. Nie bliskość wyprowadziła go z równowagi, lecz ledwo zauważalny ruch wy-

rzutni usiłującej pochwycić przelatującą kulę. Ruch tak szybki, że bez trudu można by go przeoczyć.

- Chce dostać kulę - zauważył technik. - Chce dostać ciebie. - On również zwrócił na to uwagę.

Tinbane z wahaniem dotknął tłoka, który miał zwolnić następną - i dla niego przypuszczalnie ostatnią - stalową kulę.

- Odsuń się - rzucił nerwowo technik. - Zapomnij o naszej umowie, przerwij grę. Zniszczymy ją teraz.

- Musimy poznać jej tropizm - odparł Tinbane. I obniżył tłok.

Kula, która raptem wydała mu się wielka, twarda i ciężka, śmiało stoczyła się w kierunku czekającej katapulty, sprzyjał temu każdy najmniejszy szczegół topograficzny planszy. Załadowanie nastąpiło szybciej, niż zdążył to sobie uświadomić. Stał jak wryty, wytrzeszczając oczy.

- Uciekaj! - Technik odskoczył i rzuciwszy się całym ciężarem na Tinbane'a, odepchnął go od maszyny.

Wśród trzasku tłuczonego szkła kula śmignęła obok prawej skroni Tinbane'a, odbiła się od ściany laboratorium i spoczęła pod stołem. Cisza. Po chwili technik odezwał się drżącym głosem:

- Ale gnała. Co za masa. Miała wszystko, czego potrzebowała. Tinbane z wahaniem dźwignął się z podłogi i podszedł do maszyny.

- Nie wypuszczaj następnej kuli - ostrzegł go technik.

- Nie muszę - odparł Tinbane, dając gwałtownego nurka w bok. Maszyna sama wypuściła kulę.

Pałac papierosa, Tinbane siedział w gabinecie Teda Donovana, kierownika laboratorium. Drzwi do pracowni zamknięto, techników ostrzeżono. W laboratorium panowała cisza. Znieruchomiła, pomyślał Tinbane. Czeka.

Zastanawiał się, czy czekała na kogokolwiek, na człowieka, Terranina, który znajdzie się w zasięgu ataku. Czy tylko... na niego.

Ostatnia możliwość wzbudziła w nim jeszcze mniejszy entuzjazm niż za pierwszym razem, nawet gdy tak siedział w bezpiecznym miejscu, poczuł, jak przechodzą go ciarki. Maszyna stworzona w innym świecie, wysłana na Terrę bez określonego powodu, mająca na celu wybieranie wśród możliwości defensywnych do czasu, aż trafi na odpowiedni klucz. Całkowita przypadkowość, przez setki, a nawet tysiące gier... rozmaite osoby, rozmaici gracze. Dopóty, dopóki nie wybierze właściwego kierunku i osoba, również wybrana przypadkowo, nie zawrze z nią kontraktu na śmierć. Tym razem wypadło na niego. Co za pech.

- Z pewnej odległości zniszczymy jej dopływ energii - powiedział Ted Donovan. - To raczej nie będzie trudne. Powinieneś iść do domu, zapomnieć o wszystkim. Jak tylko określimy tropizm, damy ci znać. Chyba że będzie późno, wtedy...

- Dajcie mi znać - wpadł mu w słowo Tinbane. - Bez względu na porę. Jeśli można. - Nie musiał niczego tłumaczyć, kierownik laboratorium zrozumiał.

- Najpewniej - podjął Donovan - chodzi tu o rewanż wobec ekip policyjnych robiących najazdy na kasyna. Oczywiście nie wiemy, jeszcze nie, jak zdołali skierować uwagę robotów na maszynę. Może znajdziemy odpowiedź i na to pytanie. - Podniósł rozwlekłą analizę laboratoryjną i popatrzył na nią wrogo. - Okazuje się, że była zbyt pobieżna. „Kolejne urządzenie do hazardu”. Do diabła. - Z niesmakiem rzucił raport na biurko.

- Właśnie o to im chodziło - powiedział Tinbane. - Dopięli swego, przygwoździli mnie. - Przynajmniej pod względem odwrócenia jego uwagi.

- Jesteś hazardzistą, masz tę żyłkę. Nie zdawałeś sobie z tego sprawy. Być może w innej sytuacji mechanizm by nie zadziałał. Swoją drogą, to ciekawe - dodał Donovan. - Elektryczny bilard kierowany chęcią rewanżu. Ma dosyć kul, które toczą się po planszy. Mam nadzieję, że nie zbudują strzelnicy. Już to jest wystarczająco obrzydliwe.

- Jak we śnie - mruknął Tinbane.

- Co proszę?

- Nieprawdziwe. - Chociaż, pomyślał, w gruncie rzeczy to przecież prawda. Wstał. - Zrobię, jak mi radzisz, pójdę do domu. Masz mój numer. - Ogarnęło go znużenie i strach.

- Wyglądasz okropnie - stwierdził Donovan, mierząc go wzrokiem. Nie powinieneś tak się przejmować, przecież to stosunkowo nieszkodliwe urządzenie, prawda? Trzeba je zaatakować, by wprowadzić w ruch. Pozostawione w spokoju...

- Zostawiam je w spokoju - odparł Tinbane. - Czuję jednak, że czeka. Chce, abym wrócił. - Czuł, że oczekuje jego powrotu. Maszyna była zdolna do nauki, on zaś nauczył ją - nauczył ją siebie.

Poinformował ją o swoim istnieniu. O istnieniu na Terze człowieka o nazwisku Tinbane.

Gdy otwierał drzwi do swego mieszkania, rozdzwonił się telefon. Zdrętwiały podniósł słuchawkę.

- Halo - powiedział.

- Tinbane? - Był to głos Donovana. - Encefalograficzne, tak jak mówiłeś. Odkryliśmy wzór twojej konfiguracji mózgowej i oczywiście natychmiast go zniszczyliśmy. Ale... - Donovan zawahał się - odkryliśmy coś jeszcze. Coś, co powstało od czasu pierwszej analizy.

- Przekątnik - rzucił ochryplym głosem Tinbane.

- Niestety tak. Zasięg pół mili, w razie ukierunkowania dwie. Zdaje się, że był ukierunkowany, tak więc musimy założyć tę drugą możliwość. Nie mamy pojęcia, z czego składa się odbiornik, nie wiemy nawet, czy znajduje się na powierzchni. Pewnie tak. Pewnie gdzieś w jakimś budynku. Albo na jednym z używanych przez nich statków. Tak czy inaczej, już wiesz. Można zdecydowanie stwierdzić, że chodzi o rewanż, twoja emocjonalna sugestia niestety okazała się słuszna. Nasi eksperci doszli do wniosku, że maszyna czekała, jakby to powiedzieć, na ciebie. Widziała, że nadchodzisz. Urządzenie mogło nigdy nie funkcjonować jako gra hazardowa. Odnotowany przez nas stopień zużycia mógł zostać wprowadzony celowo. To by było tyle.

- Co według ciebie powinienem zrobić? - zapytał Tinbane.

- Zrobić? - Cisza. - Niewiele. Zostań u siebie. Przez jakiś czas nie zgłaszaj się do pracy.

No to mnie uziemili, pomyślał Tinbane. Nikt w departamencie nie ucierpi. Wy na tym skorzystacie, ja mniej.

- Chyba wyjadę - powiedział głośno. - Maszyna może mieć ograniczony zasięg działania, sięgający do granic NLA albo do określonej dzielnicy. Jeśli nie masz nic przeciwko temu. - Miał przyjaciółkę. Nazywała się Nancy Hackett i mieszkała w La Jolla, mógł tam pojechać.

- Jak chcesz.

- Nie jesteś w stanie mi pomóc - stwierdził Tinbane.

- Powiem ci coś - odrzekł Donovan. - Zbierzemy jakieś pieniądze, najwięcej ile się da, żeby ci starczyło na życie. Dopóki nie namierzemy tego cholernego odbiornika i nie zlokalizujemy jego właściciela. Najbardziej liczy się to, by wieści nie rozeszły się po departamencie. Byłoby trudno zebrać ekipy do walki z hazardową działalnością kosmitów... oczywiście dokładnie o to im chodziło. Możemy zrobić jeszcze jedno. Laboratorium opracuje dla ciebie osłonę mózgową, abyś przestał wysyłać wyczuwalne fale. Za to jednak będziesz musiał zapłacić z własnej kieszeni. Może należność da się rozłożyć na raty, przez kilka miesięcy będziesz miał potrącanie z pensji. Jeśli w ogóle jesteś zainteresowany propozycją. Szczerze mówiąc, jeżeli zależy ci na mojej opinii, ja właśnie tak bym postąpił.

- Dobrze - odparł Tinbane. Był otępiały, zmęczony i zrezygnowany. Ciężko na nim przekonanie, że jego reakcja była jak najbardziej racjonalna. - Co jeszcze proponujesz? - zapytał.

- Nie rozstawaj się z bronią. Nawet podczas snu.

- Snu? - odparł. - Czy uważasz, że zmrużę oko? Może stanie się to dopiero po całkowitym zniszczeniu maszyny. - Nie robi to jednak najmniejszej różnicy, dodał w myślach. Już nie. Nie po tym, jak wysłała obraz moich fal mózgowych do czegoś, o czym nic nie wiemy. Jeden Bóg wie, o jaki sprzęt tu chodzi, kosmici dysponują całym asortymentem najdziwniejszych rzeczy.

Odłożył słuchawkę, przeszedł do kuchni i sięgnąwszy po na wpół osuszoną butelkę bourbona Antique, zrobił sobie drinka.

Ale bajzel, powiedział w duchu. Ścigany przez bilard elektryczny z innego świata. Prawie - choć niezupełnie - musiał się roześmiać.

Co się robi, pomyślał, aby złapać wnerwiony bilard? Bilard, który ma twój numer telefonu i ostrzy sobie na ciebie zęby? Dokładnie mówiąc, tajemniczego przyjaciela bilardu...

Od strony kuchennego okna rozległo się stuk, stuk.

Sięgnąwszy do kieszeni, wyjął służbowy pistolet laserowy. Posuwając się wzdłuż ściany, podszedł do okna z niewidocznej strony i wyjrzał w noc. Ciemność. Nic nie widział. Latarka? Miał jedną w skrytce w samochodzie pozostawionym na dachu budynku. Pora ją przynieść.

Chwilę potem z latarką w dłoni pędził po schodach, wpadł z powrotem do kuchni.

Snop światła ukazał podobny do owada obiekt z wydłużonymi odnóżami, przyciśnięty do zewnętrznej strony szyby. Odnóża musiały zastukać w okno, badając teren na swój ślepy, mechaniczny sposób.

Niby-robak wspiął się po ścianie budynku, Tinbane dostrzegł przyssawkę, która utrzymywała go na powierzchni.

Jego ciekawość przewyższyła strach. Ostrożnie otworzył okno - nie miał zamiaru płacić za to budowlanej komisji naprawczej - i wycelował broń. Niby-robak ani drgnął, najwidoczniej utknął w środku cyklu. Tinbanowi przyszło do głowy, że może reakcja stwora była cokolwiek opóźniona, znacznie wolniejsza niż reakcja jego organicznego odpowiednika. Chyba że miał zaraz detonować, w takim wypadku nie było czasu na myślenie.

Wystrzelił promień z pistoletu w spodnią część niby-robaka.

Okaleczony stwór odpadł od szyby. Tinbane złapał go i rzucił na podłogę, cały czas mierząc do niego z broni. Istota jednak nie wykonywała funkcji życiowych. Nie wykonywała najlżejszego ruchu.

Położywszy ją na małym kuchennym stole, wyjął z szuflady przy zlewie śrubokręt. Następnie usiadł i obejrzał przedmiot. Czuł, że nie musi się spieszyć, obezwładniające go napięcie ustąpiło, przynajmniej na razie.

Otworzenie mechanizmu zajęło mu czterdzieści minut, żadna ze śrub nie pasowała do zwykłego śrubokręta. Wreszcie zrobił użytek z kuchennego noża. Po pewnym czasie niby-robak leżał przed nim na stole rozłupany na dwie połowy: jedna była wydrążona i pusta, druga wypełniona częściami. Bomba? Z daleko posuniętą ostrożnością zbadał każdy element po kolei.

Nie była to bomba - przynajmniej takiej nie znał. Urządzenie służące do zabijania? Brak ostrza, toksyn bądź mikroorganizmów, nie było przewodu rażącego prądem ani detonatora. Do czego to, na miłość boską, służyło? Rozpoznał silnik umożliwiający mu ruch, następnie fotoelektryczną wieżyczkę sterowniczą, służącą do

orientacji w terenie. To wszystko.

Z punktu widzenia użyteczności, miał do czynienia ze śmieciem.

Czy rzeczywiście? - zastanowił się. Popatrzył na zegarek. Zmarnował godzinę, poświęcając urządzeniu niepodzielną uwagę i nie zważając na wszystko inne - a kto wie, co to „wszystko inne” mogło oznaczać?

Nerwowo wstał od stołu, sięgnął po broń i obszedł mieszkanie, nasłuchując, rozmyślając i próbując wykryć najmniejsze odchylenia od normy.

Zyskali na czasie, stwierdził. Całą godzinę! Wykorzystali ją na to, co naprawdę knują.

Pora opuścić mieszkanie, pomyślał. Dotrzeć do La Jolla i zaszyć się tam do czasu, aż sprawa przycichnie.

Zadzwoił telefon.

Na monitorze ukazało się poszarzałe oblicze Teda Donovana.

- Nasz patrol obserwuje twój dom - powiedział Donovan. - Dostrzegł jakiś ruch, pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć.

- Aha - odparł w napięciu.

- Jakiś statek zaparkował na chwilę na dachu. Nie był to standardowy pojazd, ale coś większego. Nic, co bylibyśmy w stanie rozpoznać. Natychmiast z dużą szybkością poderwało się w górę, ale myślę, że to to.

- Zostawił coś? - zapytał.

- Obawiam się, że tak.

- Czy moglibyście jeszcze coś dla mnie zrobić? - zapytał przez zaciśnięte zęby. - Byłbym wdzięczny.

- Co proponujesz? Nie wiemy, co to jest, ty z pewnością też nie. Jesteśmy otwarci na sugestie, sądzę jednak, że powinniśmy poczekać, aż poznamy naturę tego... wrogiego elementu.

Coś huknęło o drzwi wejściowe od strony korytarza.

- Nie rozłączaj się - poprosił Tinbane. - Myślę, że to już. - Ogarnęła go panika, niepoohamowana, dziecięca panika. Ściskając w zdrętwiałej dłoni pistolet laserowy, z wahaniem podszedł do wyjścia, zatrzymał się, po czym odsunawszy zasuwę, uchylił drzwi. Odrobinię. Tyle, ile tylko zdołał.

Potężna siła wepchnęła drzwi do środka, wypuścił klamkę z dłoni. Wielka stalowa kula bezgłośnie przetoczyła się przez próg, utykając we framudze na wpół otwartych drzwi. Odsunął się na bok - nie miał innego wyjścia - wiedząc, że ma przed

sobą przeciwnika. Gadżet wspinający się po ścianie posłużył do odwrócenia jego uwagi.

Nie mógł wyjść. Nie mógł pojechać do La Jolla. Olbrzymia, ciężka kula odcięła mu drogę.

Wróciwszy do telefonu, powiedział do Donovan:

- Utknąłem. We własnym mieszkaniu. - Na obwodzie, dodał w myślach, odpowiadającej nierównościom terenu na zmiennej planszy gry. Pierwsza kula zablokowała drzwi i utknęła w progu. Ale co z drugą? I trzecią?

Każda znajdzie się coraz bliżej.

- Czy możecie coś dla mnie zbudować? - zapytał ochryłym głosem. - Czy laboratorium może o tej godzinie przystąpić do pracy?

- Możemy spróbować - odparł Donovan. - Wszystko zależy, czego chcesz. Co masz na myśli? Co według ciebie mogłoby pomóc?

Sama myśl budziła w nim sprzeciw. Niemniej musiał zadać to pytanie. Następna może wpaść przez okno albo przebić sufit.

- Chciałbym - powiedział - dostać jakąś katapultę. Wystarczająco dużą i wytrzymałą, aby poradziła sobie z kulą o średnicy czterech i pół do pięciu stóp. Myślisz, że dacie radę? - Modlił się w duchu o odpowiedź twierdzącą.

- Czy właśnie to masz przed sobą? - zapytał szorstko Donovan.

- O ile to nie halucynacja - odparł Tinbane. - Sztuczny wytwór mający na celu wzbudzić we mnie strach.

- Patrol coś widział - odpowiedział Donovan. - Nie wyglądało to na halucynację, wydawało się dosyć spore. Poza tym... - Zawahał się. - Rzeczywiście coś zostawiło. Gdy statek odlatywał, jego masa uległa znacznej redukcji. A więc to prawda, Tinbane.

- Właśnie tak myślałem - odrzekł Tinbane.

- Dostarczymy ci katapultę tak szybko, jak się da - skwitował Donovan. - Miejmy nadzieję, że pomiędzy każdym... atakiem nastąpi odstęp. Lepiej od razu przyjmij, że będzie ich pięć.

Tinbane kiwnął głową, próbując zapalić papierosa. Ręce jednak tak mu się trzęsły, że nie mógł utrzymać zapalniczki. Spróbował wyjąć żółtą puszkę Własnej Tabaki Deana, lecz nie był w stanie odemknąć pokrywy. Puszka wyslizgnęła mu się z palców i upadła na podłogę.

- Pięć - powiedział. - Na jedną grę.

- Tak - odrzekł Donovan. - Dokładnie. Drzwi pokoju zatrzęsły się.  
Następna nacierała na niego z sąsiedniego mieszkania.



## WIARA NASZYCH OJCÓW

Spiesząc ulicami Hanoi, ujrzał przed sobą beznogiego kramarza, który, jechał na małym drewnianym wózku, krzykliwie zaczepiając przechodniów. Chien zwolnił kroku, nadstawił ucha, ale nie przystanął, w myślach uparcie kołatały mu się sprawy Ministerstwa Dóbr Kultury i doszczętnie pochłaniały jego uwagę. Czuł, jak gdyby był sam, a otaczający go rowerzyści, motocykliści i kierowcy skuterów nie istnieli. To samo dotyczyło beznogiego kramarza.

- Towarzyszu - zawołał kramarz i popędził za nim na swoim wózku. Zwiększył napęd helowego akumulatora i bez trudu dogonił Chiena. - Mam duży wybór sprawdzonych leków ziołowych wraz z rekomendacjami tysięcy lojalnych użytkowników. Powiedz, na czym polega twoje schorzenie, a służę pomocą.

Chien przystanął.

- Ależ ja nie jestem chory. - Jeśli nie liczyć chronicznej niedyspozycji trapiącej członków Komitetu Centralnego, dokończył w myślach, która polega na gorliwym testowaniu barier wszystkich wysokich stanowisk. Łącznie z moim własnym.

- Potrafię wyleczyć na przykład chorobę popromienną - zapewnił kramarz, nie dając za wygraną. - Lub też, w razie potrzeby, rozszerzyć zakres seksualnych możliwości. Mogę zatrzymać postępujący nowotwór, nawet raka skóry, zwanego czerniakiem. - Unosząc w górę tacę zastawioną butelkami, małymi aluminiowymi puszkami oraz plastikowymi słoikami pełnymi rozmaitych proszków, sprzedawca zaśpiewał: - Jeżeli rywal uparcie nastaje na twoją intratną posadkę, proponuję maść, która pod postacią leczniczego balsamu kryje w sobie niezawodną truciznę. Moje ceny, towarzyszu, są niskie. Poza tym od takiego szacownego klienta jak ty przyjmę powojenne dolary inflacyjne o rzekomo międzynarodowej wartości, w istocie zaś nie warte więcej niż papier toaletowy.

- Idź do diabła - warknął Chien i zamachał na przejeżdżającą taksówkę. Był już trzy i pół minuty spóźniony na swoje pierwsze spotkanie i jego opaśli przełożeni w ministerstwie nie omieszkają skrzętnie tego odnotować - podobnie zresztą jak jego podwładni.

- Ale, towarzyszu - powiedział ściszym głosem kramarz - przecież musisz coś ode mnie kupić.

- Jak to? - zdziwił się Chien.

- Tak to, towarzyszu, ponieważ jestem weteranem wojennym. Walczyłem w Kolosalnej Ostatecznej Wojnie Wyzwolenia Narodowego przy Ludowym Zjednoczonym Froncie Demokratycznym przeciwko imperialistom i postradałem kulasy w bitwie pod San Francisco. - W jego triumfalnym głosie pojawiły się nuty przebiegłości. - Takie jest prawo. Jeżeli odmawiasz zakupu towaru oferowanego przez weterana, ryzykujesz grzywnę oraz ewentualną karę więzienia. Nie mówiąc o poniżeniu.

Chien z rezygnacją odprawił taksówkę.

- No tak - przyznał. - Dobrze, muszę coś od ciebie kupić. - Obrzucił przelotnym spojrzeniem skromną zawartość tacy, chcąc wybrać coś na chybił trafił. - To - zdecydował, wskazując na owiniętą w papier paczuszkę \*w ostatnim rzędzie.

Kramarz wybuchnął śmiechem.

- To środek plemnikobójczy, towarzyszu, kupowany przez kobiety, które z przyczyn politycznych nie mogą stosować pigułki. Z uwagi na twoją płęć, miałby dla ciebie wątpliwą przydatność.

- Prawo - odparł kąśliwie Chien - nie nakazuje mi kupować od ciebie czegoś użytecznego, ważne, żebym w ogóle coś kupił. Biorę. - Sięgnął do kieszeni płaszcza po pękaty portfel z uzupełnianym cztery razy w tygodniu zasobem gotówki. Bądź co bądź pracował dla rządu.

- Opowiedz mi o swoich problemach - powiedział sprzedawca. Wstrząśnięty jawnym naruszeniem prywatności - i to ze strony osobnika spoza rządu - Chien wlepił w niego zdumione spojrzenie.

- W porządku, towarzyszu - powiedział kramarz, widząc jego minę. - Nie będę drażył, wybac. Niemniej jako lekarz - zielarz i uzdrowiciel - powinienem wiedzieć jak najwięcej. - Zamilkł z nagłą powagą na

wychudłej twarzy. - Czy nie oglądasz za często telewizji? - zapytał znienacka.

- Co wieczór - odrzekł wzięty z zaskoczenia Chien. - Z wyjątkiem piątków, kiedy idę do klubu poćwiczyć importowaną sztukę ezoteryczną pokonanego Zachodu polegającą na chwytności byka za rogi. - Stanowiło to jego jedyną rozrywkę, poza tym był całkowicie oddany interesom Partii.

Kramarz sięgnął po owiniętą w szary papier paczkę.

- Sześćdziesiąt dolarów - oznajmił. - Pełna gwarancja, jeśli nie spełni swojego zadania, oddaj pozostałą część, a otrzymasz pełen zwrot kosztów.

- A jakież to zadanie ma niby spełnić? - zapytał cierpko Chien.

- Da wytchnienie oczom znużonym patrzeniem na mówców wygłaszających bezsensowne monologi - oświadczył kramarz. - Zapewni natychmiastową ulgę, zażyj go z chwilą rozpoczęcia nudnego i długiego kazania, które...

Chien zapłacił, odebrał pakunek i odszedł. Guzik prawda, powiedział do siebie. Przepis ustanawiający weteranów klasą uprzywilejowaną to szalbierstwo. Żerują na nas, młodszych, jak sępy.

Wkrótce zapomniał o schowanej w kieszeni paczce i wszedł do przytłaczającej siedziby Powojennego Ministerstwa Dóbr Kultury, gdzie czekały na niego codzienne obowiązki.

W jego biurze czekał tęgawy mężczyzna rasy kaukaskiej ubrany w brązowy, dwurzędowy jedwabny garnitur z kamizelką. Obok nieznanego stał bezpośredni przełożony Chiena, Ssu-Ma Tso-pin. Tso-pin po kantońsku przedstawił obu mężczyzn, jednak poprawność dialektu pozostawiała wiele do życzenia.

- Panie Tung Chien, to pan Darius Pethel. Pan Pethel obejmie funkcję kierownika nowej organizacji ideologiczno-kulturowej o charakterze dydaktycznym, która niebawem powstanie w San Fernando w Kalifornii. Pan Pethel posiada bogate, wieloletnie doświadczenie w dziedzinie ludowej walki przeciwko państwu bloku imperialistycznego za pomocą mediów pedagogicznych, stąd ten awans.

Uścisnęli dłonie.

- Herbaty? - zaproponował Chien. Wcisnął przycisk podczerwonego hibachi, w wyniku czego woda w japońskim ornamentowanym ceramicznym dzbanku natychmiast zabulgotała. Gdy usiadł przy biurku, zobaczył, że nieoceniona panna Hsi dostarczyła mu (tajne) materiały na temat towarzysza Pethela. Przejrzał je mimochodem, nic nie dając po sobie poznać.

- Prawdziwy Dobroczyńca Ludu osobiście spotkał się z panem Pethelem i mu ufa - zakomunikował Tso-pin. - To niezmiernie rzadkie. Uczelnia w San Fernando na pozór będzie nauczać najzwyczajszej filozofii taoizmu, w rzeczywistości jednak jej głównym celem będzie utrzymanie sieci

komunikacyjnej z liberalnymi, młodymi intelektualistami z zachodnich Stanów Zjednoczonych. Wielu z nich pozostało przy życiu, od San Diego do Sacramento, szacujemy ich liczbę przynajmniej na dziesięć tysięcy. Szkoła przyjmie dwa tysiące. Dla tych, których wybierzemy, zapisanie się będzie obowiązkowe. Pański związek z projektem pana Pethela jest nieodzowny. Hm, woda się zagotowała.

- Dziękuję - mruknął Chien, wrzucając do dzbanka torebkę herbaty Lipton.

- Mimo faktu, że pan Pethel obejmie nadzór nad ułożeniem kursów dla studentów - podjął Tso-pin - wszystkie papiery egzaminacyjne zostaną przekazane tutaj, do pańskiego gabinetu, celem dokładnych, fachowych, ideologicznych oględzin. Innymi słowy, panie Chien, stwierdzi pan, kto spośród dwóch tysięcy studentów jest godny zaufania, kto odbiera przesłanie kursu, a kto nie.

- Należę herbatę - odrzekł Chien i ceremonialnie rozlał napój do filiżanek.

- Musimy uświadomić sobie, co następuje. - Kantoński Pethela był znacznie gorszy niż Tso-pina. - W wyniku porażki w prowadzonej przeciwko nam wojnie globalnej amerykańska młodzież rozwinęła w sobie talent do symulacji. - Ostatnie słowo wypowiedział po angielsku, Chien nie zrozumiał i pytająco zwrócił się do swego przełożonego.

- On ma na myśli kłamstwo - wyjaśnił Tso-pin.

- Dla niepoznaki wykrzykują slogany, choć w istocie myślą coś zupełnie przeciwnego - ciągnął Pethel. - Testy egzaminacyjne tej grupy będą przypominać prace szczyrych...

- Chcecie przez to powiedzieć, że do mojego gabinetu trafią prace dwóch tysięcy studentów? - zapytał Chien. Nie wierzył własnym uszom. Przecież to zajęcie na cały etat, w żadnym wypadku nie mam na to czasu. - Nie krył przerażenia. - Proponowane przez was wydanie oficjalnego potwierdzenia lub odrzucenie wyłonionych prac... - Machnął ręką. - Psiakrew.

Mrugając oczami na ten dosadny przejaw zachodniej wulgarności, Tso-pin odparł:

- Ma pan ludzi. Poza tym może pan poprosić o zwiększenie personelu, pozwoli na to zwiększony w tym roku budżet ministerstwa. I proszę pamiętać: Prawdziwy Dobroczynca Ludu osobiście wybrał pana Pethela. W jego głosie pojawił się subtelny odcień groźby. Na tyle wyraźny, aby stłumić histerię Chiena i nakłonić go do posłuszeństwa. Przynajmniej czasowo. Na poparcie swoich słów Tso-pin podszedł do wiszącego na ścianie trójwymiarowego portretu Prawdziwego Dobroczyncy. Jego bliskość uruchomiła po chwili ukryty w ścianie mechanizm, oblicze Dobroczyncy drgnęło i dobiegło znajome przesłanie.

- Walczcie o pokój, synowie - zaintonował łagodnie acz stanowczo portret.

- Ha - powiedział Chien, skrętnie ukrywając swój niepokój. Być może jeden z ministerialnych komputerów mógłby sortować testy. Wprowadzenie zasady tak-nie-

być może wraz ze wstępną analizą wzorca ideologicznej poprawności - i niepoprawności - nadałoby przedsięwzięciu rutynowy charakter. Prawdopodobnie.

- Chciałbym, żeby przejrzał pan przyniesiony przez mnie materiał odezwał się Darius Pethel. Otworzył szkaradną, staroświecką teczkę z plastiku. - Dwa eseje egzaminacyjne - dorzucił, podając dokumenty Chienowi. - To pomoże nam ustalić, czy posiada pan odpowiednie kwalifikacje. Zerknął na Tso-pina, wymienili spojrzenia. - Rozumiem - rzekł Pethel że jeśli powiedzie się panu w tym przedsięwzięciu, zostanie pan wiceradnym ministerstwa, a Jego Wspaniałość Prawdziwy Dobroczyńca Ludu osobiście udekoruje pana medalem Kisterigiana. - Na wargach obu mężczyzn pojawił się uśmiech.

- Medal Kisterigiana - powtórzył jak echo Chien. Wziął testy do ręki i przejrzał je z demonstracyjną obojętnością. Serce jednak waliło mu w piersi jak młotem. - Dlaczego akurat te dwa? Czego tak właściwie mam szukać, sir?

- Jeden z nich - powiedział Pethel - to praca oddanego, lojalnego członka Partii, oparta na sumiennie przestudiowanym zagadnieniu. Drugi został napisany przez młodego stilyagi, którego podejrzewamy o hołdowanie zdegenerowanym ideom imperialistycznym. Od pana zależy decyzja, który jest który.

Wielkie dzięki, odparł w duchu Chien, ale kiwnął głową i przeczytał nagłówek eseju.

*DOKTRYNY PRAWDZIWEGO DOBRO CZYŃCY  
PRZEWIDZIANE W POEZJI BAH A AD-DIN ZUHAYRA W  
TRZYNASTOWIE CZNEJ ARABII.*

Spoglądając na wstęp do pracy, Chien dostrzegł znany mu czterowiersz pod tytułem „Śmierć”. Znał go przez większość swojego dorosłego życia.

*Choć raz i drugi przymknęła swe oczy,  
Nie jest jej straszna góra ni dolina,  
Spośród chwil wielu, w jednej cię zaskoczy,  
Gdyż kwiecie życia zawsze równo ścina.*

- Mocne - stwierdził Chien. - Co za wiersz.

- Autor wykorzystuje go po to - odparł Pethel, śledząc ruch warg Chiena

ponownie odczytującego cztero wiersz - aby wskazać na pradawną mądrość Prawdziwego Dobroczyńcy w naszym współczesnym życiu, mądrość głoszącą, że żadna jednostka nie jest bezpieczna, wszyscy są śmiertelni i tylko ponadosobowy, historycznie uzasadniony cel ma szansę na przetrwanie. Czy przyzna mu pan rację? To znaczy, temu studentowi? Czy też... - Pethel spauzował. - Może ośmiesza on tezy Dobroczyńcy?

- Pozwólcie mi obejrzeć drugą pracę - odrzekł ostrożnie Chien.

- Nie potrzebuje pan dalszych wskazówek, proszę podjąć decyzję.

- Ja... nigdy nie postrzegałem tego wiersza w ten sposób - odpowiedział z wahaniem Chien. - Tak czy inaczej, nie wyszedł on spod pióra Baha ad-Din Zuhayra, lecz należy do antologii „Baśnie z tysiąca i jednej nocy”. Przyznaję, że to również trzynasty wiek. - Pospiesznie przebiegł wzrokiem towarzyszący wierszowi tekst. Wyglądało na to, że ma do czynienia z rutynową powtórką partyjnych sloganów, które wszystkie znał na pamięć od kołyski. Ślepy, imperialistyczny potwór węszący ludzkie aspiracje, knowania wciąż aktywnego ugrupowania antypartyjnego we wschodniej części Stanów Zjednoczonych... Poczul się znudzony i równie wyzuty z polotu jak wypracowanie studenta. Musimy wytrwać, głosił esej. Zetrzeć niedobitki Pentagonu w Catskills, ujarzmić Tennessee, a zwłaszcza ośrodek reakcji w czerwonych wzgórzach Oklahomy. Westchnął.

- Myślę, że powinniśmy dać panu Chienowi czas do namysłu w chwilach wolnych od pracy - wtrącił Tso-pin. Zwrócił się do Chiena: - Ma pan pozwolenie, by zabrać je do domu i tam ocenić. - Skłonił się, na wpół szydlerczo, na wpół uprzejmie. Bez względu na urazę, Chien mógł na jakiś czas spokojnie odetchnąć, i za to był wdzięczny.

- Jest pan bardzo uprzejmy - wymamrotał - pozwalając mi wykonać tę nową i wysoce stymulującą pracę w wolnym czasie. Gdyby Mikojan żył, radośnie by temu przyklasnął. - Ty draniu, rzucił w duchu, mając na myśli zarówno przełożonego, jak i Dariusza Pethela. Takie niewygodne zadanie, i to na dodatek w wolnym czasie. Wyglądało na to, że Komunistyczna Partia w USA popadła w tarapaty; w zetknięciu z opieszalymi, ekscentrycznymi jankesami, jej akademie indoktrynacji najwyraźniej nie spełniały swojego zadania. Niewdzięczne zadanie sprawdzania ich prac przekazywano z rąk do rąk, aż wreszcie trafiło do mnie.

Wielkie dzięki, pomyślał cierpko.

Tego wieczora, w swoim małych acz ładnie urządzonej mieszkaniu przeczytał drugi z esejów, napisany przez Marion Culper. Stwierdził, że i ten dotyczył poezji. Najwyraźniej była to specjalizacja grupy. Zrobiło mu się niedobrze. Zawsze był przeciwny wykorzystywaniu poezji - lub innej formy artystycznej - do celów społecznych. Rozparł się wygodnie na swoim prostującym kręgosłup skórzanym fotelu, zapalił gigantyczne cygaro Cuesta Rey Numer Jeden na Angielskim Rynku i zagłębił się w lekturze.

Autorka wypracowania, panna Culper, wybrała jako tekst źródłowy fragment wiersza siedemnastowiecznego poety angielskiego Johna Drydena „Pieśń na Dzień Świętej Cecylii”.

*...I tak w ostatniej, straszliwej godzinie,  
Gdy wielka trwoga w nasze serca spłynie,  
Dźwięczne się w niebie rozlegnie śpiewanie,  
Żywy odda ducha, zmarły z grobu wstanie  
I wszyscy postyszą aniołowe granie.*

No proszę, pomyślał kąśliwie Chien. Czyżby Dryden przewidział koniec kapitalizmu? Chryste. Sięgnął po cygaro i stwierdził, że zgasło. Grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu japońskiej zapalniczki, na wpół uniósł się z miejsca.

Z odległego krańca pokoju rozległ się przeraźliwy dźwięk telewizora.

Aha, pomyślał Chien. Zaraz przemówi do nas Przywódca. Prawdziwy Dobroczynca Ludu, z Pekinu, gdzie mieszka od dziewięćdziesięciu lat, a może i stu? Albo, jak niekiedy lubimy go nazywać...

- Niech dziesięć tysięcy kwiatów dobrowolnego ubóstwa zakwitnie w waszych duchowych ogrodach - powiedział spiker. Chien z jękiem powstał z miejsca i wykonał obowiązkowy ukłon. Każdy odbiornik telewizyjny wyposażony był w urządzenie monitorujące EsBe, Służby Bezpieczeństwa, która czuwała, by obywatele oglądali i lub kłaniali się we właściwym momencie.

Na ekranie pojawiło się szerokie, gładkie, zdrowe oblicze studwudziestoletniego przywódcy wschodniej Partii Komunistycznej, władcy wielu, zbyt wielu, pomyślał Chien - dusz. Wypchaj się, rzucił w duchu i ponownie usiadł na skórzanym fotelu, tym razem twarzą do telewizora.

- Moje myśli - powiedział głębokim, dobitnym tonem Prawdziwy Dobroczynca - są z wami, dzieci. Zwłaszcza z panem Tung Chieniem z Hanoi który

ma przed sobą trudne zadanie wzbogacania obywateli Demokratycznego Wschodu oraz amerykańskiego zachodniego wybrzeża. Skierujmy nasze myśli ku temu szlachetnemu, oddanemu człowiekowi i jego zadaniu, JM zaś postanowiłem poświęcić parę chwil swego czasu na to, by go uhonorować i zachęcić. Słucha pan, panie Chien?

- Tak, Wasza Wspaniałość - odparł Chien, zastanawiając się, co skłoniło Prawdziwego Dobroczyńcę, by tego wieczora zwrócił się właśnie do niego. Stwierdził cynicznie, iż było to mało przekonujące. Być może przemówienie transmitowano jedynie do tego budynku - w najlepszym razie do miasta. Mógł to też być zgrabny fotomontaż, dzieło Hanoi TV, sp. z o.o. W każdym razie jego obowiązkiem było zamienić się w słuch - i chłonać. Tak też uczynił, przyzwyczajony wieloletnią rutyną. Na zewnątrz sprawiał wrażenie głęboko zaszuchanego w słowa Mistrza. W rzeczywistości jednak wciąż zastanawiał się nad dwoma pracami egzaminacyjnymi, zachodząc w głowę, która jest która, kiedy partyjny entuzjazm przechodził w sardoniczny paszkwil? Trudno powiedzieć... co oczywiście tłumaczyło, dlaczego jego obarczono tym zadaniem.

Ponownie sięgnął do kieszeni po zapalniczkę - i jego palce natrafiły na małą, szarą kopertę kupioną od weterana. Psiakość, pomyślał, przypominając sobie jej cenę. Pieniądze wyrzucone w błoto, i to w zamian za co? Za nic. Obrócił w rękach paczuszkę i jego uwagę przykuły wydrukowane drobną czcionką słowa. Hm, mruknął, przystępując do ostrożnego otwierania zawiniątka. Tekst - zgodnie z zamierzeniem jego autora - wzbudził jego ciekawość.

*Zawodzisz jako członek Partii i istota ludzka?*

*Boisz się zapomnienia*

*Na spopielalym stosie historii...*

Pospiesznie przebiegł wzrokiem po tekście w poszukiwaniu właściwości zakupionego specyfiku.

Tymczasem Prawdziwy Dobroczyńca mówił dalej.

Tabaka. Koperta zawierała tabakę. Niezliczone ziarenka przypominające proch, których aromat przyjemnie polechtał go w nozdrza. Odkrył, że mieszanka nosiła nazwę Princes Special. Ładnie, uznał. Kiedyś zażył tabaki - palenie tytoniu było z przyczyn zdrowotnych zabronione -jeszcze w czasach akademickich, na



Uniwersytecie Pekińskim. Cieszyła się krótką, choć intensywną popularnością, zwłaszcza amatorskie mieszanki wytwarzane w Chungkingu z Bóg wie czego. Do tabaki można było dodać praktycznie każdej aromatycznej substancji, od esencji organicznej do sproszkowanych małych krabów... takie przynajmniej odnosiło się wrażenie, zwłaszcza w przypadku angielskiej mieszanki High Dry Toast, która skutecznie zniechęciła go do wdychanych używek.

Na ekranie telewizora Prawdziwy Dobroczyńca ciągnął swoją monotonną wypowiedź, podczas gdy Chien ostrożnie wciągnął proszek nosem i przeczytał wskazania - specyfik leczył wszystko, począwszy od spóźnień do pracy aż do zakochania w kobiecie o politycznie dwuznacznym pochodzeniu. Ciekawe. Aczkolwiek typowe...

Zadzwoił dzwonek.

Wstał i podszedł do drzwi ze świadomością człowieka, który wie, co tam znajdzie. Zgodnie z jego przewidywaniami, na korytarzu stał Mou Kuei, Strażnik Budynku, niski, bystrooki i czujny. Na ramieniu miał opaskę służbową, a na głowie metalowy hełm, co wskazywało na to, że nie żartował.

- Panie Chien, towarzyszu partyjny. Otrzymałem telefon ze stacji telewizyjnej. Zamiast oglądać program, zabawiacie się paczką o podejrzanym zawartości. - W jego rękach pojawił się notes i długopis. - Otrzymujecie dwa czerwone znaki i od tej pory macie usiąść w wygodnej, zrelaksowanej pozycji przed odbiornikiem i ofiarować Przywódcy swą niepodzielną uwagę. Jego słowa dziś wieczorem adresowane są właśnie do was, podkreślam, do was.

- Wątpię - usłyszał własne słowa Chien. Kuei zamrugął.

- Co proszę?

- Przywódca rządzi ośmioma miliardami towarzyszy. Przecież nie będzie mnie wyróżniał. - Poczul przyływ złości, punktualność reprimendy strażnika wyprowadziła go z równowagi.

- Przecież sam słyszałem - odrzekł Kuei. - Wyraźnie o was wspomniał.

Chien podszedł do telewizora i podkreślił głośność.

- Teraz mówi o porażkach w Indiach Ludowych, to nie ma nic wspólnego ze mną.

- Wszystkie poruszane przez Przywódcę sprawy są istotne. - Mou Kuei nabazgrał coś w notesie, skłonił się oficjalnie i odwrócił na pięcie. - Polecenie, abym się u was stawił, nadeszło z Centralnego. Wynika stąd, że wasze skupienie jest dla

nich istotne. Nakazuję wam uruchomienie automatycznego obwodu rejestrującego transmisję i obejrzenie wcześniejszych fragmentów przemówienia.

Chien pierdnął... i zatrzasnął drzwi.

No to z powrotem do telewizora, zakomenderował w duchu. Tam gdzie spędzamy nasz wolny czas. I gdzie czekały na niego dwa wypracowania, ciężące mu na sercu. I to w wolnym czasie, pomyślał ze złością. Do diabła z nimi. Mam to gdzieś. Wielkimi krokami podszedł do odbiornika i przystąpił do jego wyłączania, natychmiast zapaliło się czerwone światełko ostrzegawcze, informując go, że nie ma prawa wyłączyć telewizora w gruncie rzeczy nie byłby w stanie przerwać tyrady, nawet gdyby odłączył go od sieci. Obowiązkowe wysłuchiwanie przemówień, pomyślał, wykończy nas wszystkich. Gdybym tylko mógł się od nich uwolnić, od zgiełku Partii, jej ujadania podczas nagonki na ludzkość...

O ile wiedział, nie istniał żaden przepis zabraniający mu zażywania tabaki w trakcie oglądania Przywódcy. Otworzył paczuszkę i wysypał część czarnych granulek na lewą dłoń. Następnie wprawnie podniósł rękę do twarzy i głęboko wciągnął substancję do nosa. Przypomniawszy sobie dawne przekonanie, że nozdrza prowadziły prosto do mózgu, czyli wdychany proszek bezpośrednio wpływał na korę mózgową. Uśmiechnął się, usiadł i skierował spojrzenie na telewizor i dobrze znanego wszystkim gestykującego osobnika.

Oblicze mówiącego zafalowało i znikło. Dźwięk się urwał. Spoglądał w biały i pusty ekran, słysząc sączący się z głośnika cichy pomnik.

Cholerna tabaka, pomyślał. I zachłannie wciągnął w nozdrza pozostałość proszku, czując, jak wędruje on jego zatokami i, jak mu się zdawało, dochodzi do mózgu. Z rosnącym zapamiętaniem chłonał substancję, pozwalając, by docierała coraz głębiej.

Ekran był w dalszym ciągu pusty. Naraz stopniowo zaczął formować się na nim jakiś kształt. Nie był to jednak Przywódca. Postać nie przypominała Prawdziwego Dobroczyńcy Ludu ani nawet człowieka.

Miał przed sobą mechaniczną konstrukcję złożoną z wielu obwodów i rozkołysanych pseudoodnóży, soczewek oraz skrzeczącej skrzynki, która jazgotliwie podjęła swoją przemowę.

Co to jest, pomyślał, z osłupieniem wpatrując się w ekran. Rzeczywistość? Halucynacje, stwierdził. Kramarz znalazł się w posiadaniu psychodelicznych środków używanych podczas Wojny Wyzwolenia. Sprzedaje to świństwo, a ja je zażyłem, i to

ile!

Chwiejnie doszedł do wideofonu i wykręcił numer najbliższej stacji EsBe.

- Chcę zgłosić dystrybutora środków halucynogennych - powiedział do słuchawki.

- Pańskie nazwisko i adres? - zabrzmiał bezosobowy głos gorliwego policyjnego biurokraty.

Udzielił potrzebnych informacji, po czym niepewnie wrócił na swój fotel, by znów utkwic wzrok w osobliwości na ekranie. To zabójstwo, pomyślał. Środek wynaleziono najpewniej w Waszyngtonie albo w Londynie, jest silniejszy i dziwniejszy niż LSD-25, którym skutecznie zanieczyścili nasze zbiorniki. A ja myślałem, że uwolni mnie od ciężaru przemówień Przywódcy... to jest znacznie gorsze, ta gdacząca, bełkocząca, trzęsąca się, elektroniczna potworność z metalu i plastiku - istny koszmar.

Musieć patrzeć na to do końca życia...

Upłynęło dziesięć minut i dwuosobowa ekipa EsBe załomotała do jego drzwi. Do tego czasu straszliwa wizja elektronicznego potwora zdążyła stopniowo zaniknąć, ustępując miejsca znajomej postaci Przywódcy. Roztrzęsiony wpuścił policjantów do mieszkania i zaprowadził do stołu, na którym spoczywały resztki tajemniczej substancji.

- Psychodeliczna substancja toksyczna - rzucił ochrypłym głosem. -

0 krótkotrwałym działaniu. Bezpośrednio dostaje się do krwiobiegu przez naczynia nosowe. Podam wam szczegóły co do tego, gdzie ją kupiłem i od kogo. - Spazmatycznie chwycił oddech, obecność policji przyniosła mu pewną ulgę.

Dwa oficerowie czekali z uniesionymi piórami. W tle płynęło niekończące się przemówienie Przywódcy. Podobnie jak podczas tysiąca innych wieczorów w życiu Tunga Chiena. Ale to już nigdy nie będzie to samo, pomyślał, przynajmniej nie dla mnie. Nie po zażyciu tego toksycznego świństwa.

Ciekawe, czy o to im chodziło, przyszło mu do głowy.

Myślenie o nich wydało mu się dziwne. Dziwne, lecz na swój sposób trafne. Zawahał się na ułamek sekundy, czy ma podać szczegóły, czy powiedzieć policji wystarczająco, aby złapała tamtego człowieka. Kramarz, miał na końcu języka. Nie wiem gdzie, nie pamiętam. Ale pamiętał dokładnie, skrzyżowanie na trwałe wryło mu się w pamięć. Toteż z niewytłumaczalnym ociąganiem powiedział prawdę.

- Dziękujemy, towarzyszu Chien. - Szef ekipy skrupulatnie zebrał pozostałość

substancji - Chien zużył zaledwie znikomą część - i włożył ją do kieszeni eleganckiego munduru. - Przeanalizujemy ją przy najbliższej sposobności - obiecał. - W razie konieczności zaaplikowania antidotum natychmiast damy panu znać. Zazywanie niektórych z dawnych, wojennych środków psychodelicznych kończy się śmiercią, jak pan zapewne czytał.

- Czytałem - potwierdził. Myślał dokładnie o tym samym.

- Powodzenia i dziękujemy za informacje - powiedzieli policjanci

I wyszli. Sytuacja nie zdawała się robić na nich żadnego wrażenia, pomimo okazanej skuteczności, musieli potraktować skargę jak chleb powszedni.

Biorąc pod uwagę wszechobecną biurokrację, wynik testu laboratoryjnego nadszedł zadziwiająco szybko. Nim przemowa Dobroczyńcy dobiegła końca, w mieszkaniu Chiena rozległ się sygnał wideofonu.

- To nie jest środek halucynogeny - zakomunikował pracownik laboratoryjny EsBe.

- Nie? - odrzekł, ku swemu zdumieniu nie odczuwając najmniejszej ulgi.

- Wręcz przeciwnie. To fenotiazyna, która, jak pan zapewne wie, jest antyhalucynogenna. Jeden gram to silna dawka, ale nieszkodliwa. Może obniżyć ciśnienie krwi albo spowodować senność. Pewnie ukradziono ją; w czasie wojny z apteczki pozostawionej przez uciekających barbarzyńców. Nie ma czym się martwić.

Chien powoli odłożył słuchawkę. Następnie podszedł do okna z widokiem na inne wysokie budynki mieszkalne. I pogrążył się w myślach.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Jak w transie przeszedł wyłożony dywanem salon, aby otworzyć.

Ujrzał dziewczynę w brązowym płaszczu przeciwdeszczowym, z chustką przykrywającą jej ciemne, lśniące, bardzo długie włosy. Powiedziała nieśmiało:

- Hm, towarzysz Chien? Tung Chien? Z ministerstwa... Wpuścił dziewczynę do środka i zamknął za nią drzwi.

- Monitorowała pani mój wideofon - oznajmił, to stwierdzenie opierało się na czystych domysłach, coś jednak podpowiadało mu, że ma rację.

- Czy... czy oni zabrali resztę tabaki? - Rozejrzała się. - Ach, mam nadzieję, że nie, tak trudno ją teraz dostać.

- O tabakę nietrudno - odparł. - O fenotiazynę owszem. Czy to ją miała pani na myśli?

Dziewczyna podniosła głowę i zmierzyła go uważnym spojrzeniem

podkrążonych oczu.

- Tak, panie Chien... - Zawahała się. Najwyraźniej była równie niepewna swoich racji, jak esbecy pewni siebie. - Proszę powiedzieć, co pan zobaczył. To dla nas niezmiernie istotne.

- Czy miałem wybór? - zapytał ostro.

- T-tak, oczywiście. Właśnie to zbija nas z tropu i kłóci się z naszymi teoriami. Trudno to pojąć. - Jej oczy jeszcze bardziej pociemniały. - Czy istota miała przerażający, płynny kształt? Była śluzowata i uzębiona niczym kosmita? Niech pan mi powie, musimy to wiedzieć. - Z trudem chwytając oddech. Chien złapał się na obserwacji nierównomiernego falowania jej prochowca.

- Maszyna - powiedział.

- Ach! - Przekrzywiła głowę, energicznie nią kiwając. - Tak, rozumiem, urządzenie w niczym nieprzypominające człowieka. Nie atropa stworzona na jego kształt i podobieństwo.

- To nie wyglądało jak człowiek - potwierdził. I nie mówiło jak on, dorzucił w myślach.

- Rozumie pan, że to nie była halucynacja.

- Zostałem oficjalnie poinformowany, że zażyłem fenotiazynę. Tyle wiem. - Posługiwał się ogólnikami, nie chciał mówić, lecz słuchać. Słuchać tego, co dziewczyna miała do powiedzenia.

- Cóż, panie Chien... - Dziewczyna zaczerpnęła tchu. - Skoro to nie była halucynacja, to wobec tego co? Cóż nam pozostaje? Zjawisko o nazwie „ponadświadomość”, prawda?

Nie odpowiedział, odwróciwszy się do niej plecami, od niechcenia sięgnął po prace egzaminacyjne i przejrzał je. Czekał, aż ponowi próbę.

Stała obok niego, rozsiewając wokół siebie słodki zapach wiosennego deszczu. Pięknie pachniała, wyglądała i mówiła. Zwłaszcza to ostatnie odróżniało ją od znanego z telewizji schematu przemówień, do którego przywykł od dziecka.

- Niektórzy spośród zażywających stelazynę - powiedziała zachrypniętym głosem - a właśnie stelazynę pan wziął, panie Chien, widzą jedną postać, a inni drugą. Zdołaliśmy jednak wyodrębnić wyraźne kategorie, różnorodność nie jest nieskończona. Część osób widzi to, co pan, czyli Klankera. Inni płynną zjawę, nazwaliśmy ją Połykaczem. Jest jeszcze Ptak, Wirująca Serpentina i... - Urwała. - Lecz pozostałe reakcje mówią niewiele. Mówią nam bardzo niewiele. - Zawahała się,

po czym podjęła: - Skoro wspomniane przeżycie stało się i pańskim udziałem, panie Chien, chcielibyśmy, aby dołączył pan do naszego zgromadzenia. Proszę przystać do swojej grupy, do tych, którzy widzą to, co pan. Grupy Czerwonej. Chcemy wiedzieć, czym to jest naprawdę oraz... - Rozłożyła smukłe, białe dłonie. Przecież nie może być tymi wszystkimi przejawami - dokończyła cierpkim tonem. Odniósł wrażenie, że jej czujność odrobinę zelżała.

- A pani co widzi? - zapytał.

- Należę do Grupy Żółtej. Widzę... burzę. Zawodzącą, nikczemną trąbę powietrza, która wrywa wszystko z korzeniami i niszczy osiedla mieszkalne, mające z założenia przetrwać stulecie. - Uśmiechnęła się blado. - Niszczyciel. W sumie istnieje dwanaście grup, panie Chien. Dwanaście całkowicie odmiennych eksperymentów i wszystkie pochodzą z tej samej fenotiazyny, a przedstawiają przemawiającego Wodza. - Uśmiechnęła się do niego. Miała długie, pewnie sztucznie przedłużone rzęsy i przejęte, ba, nawet ufne spojrzenie. Tak jak gdyby czuła, że on coś wie albo jest w stanie coś zrobić.

- Powinienem złożyć na panią donos - odrzekł po chwili.

- Nie ma na ten temat żadnej ustawy. Studiowaliśmy sowieckie pisma prawne, zanim... znaleźliśmy dystrybutorów stelazyny. Mamy jej niewiele, musimy bardzo uważać, komu ją dajemy. Wydawało się nam, że pan jest właściwą osobą... dobrze znany młody karierowicz w drodze na szczyt. Wyjęła mu z ręki eseje egzaminacyjne.

- Zaprzęgli pana do policzytania?

- Policzytania? - Nie zrozumiał.

- Studiowania pism lub przemówień pod kątem partyjnej poprawności światopoglądowej. W pańskiej hierarchii mówi się po prostu „czytanie”, prawda? - Uśmiechnęła się ponownie. - Kiedy osiągnie pan kolejny szczebel i dołączy do pana Tso-pina, pozna pan to sformułowanie. -I do pana Pethela - dodała poważnie. - On zaszedł już bardzo wysoko. Panie Chien, w San Fernando nie ma żadnej szkoły ideologicznej. Otrzymał pan fałszywe eseje mające na celu poznanie pańskiej ideologii politycznej. I co, która praca pańskim zdaniem jest przejawem ortodoksji, a która herezji? - Jej głos nabral piskliwej barwy, brzmiało w nim złośliwe rozbawienie. - Niech pan wybierze niewłaściwą, a wymarzona kariera utknie na martwym punkcie. Niech pan wybierze właściwą...

- Czy pani wie, która jest która? - zapytał.

- Owszem. - Rzeczowo kiwnęła głową. - Założyliśmy podsłuch w gabinecie

pana Tso-pina. Zarejestrowaliśmy jego rozmowę z panem Pethelem... który tak naprawdę nosi nazwisko Judd Craine i jest Wyższym Inspektorem EsBe. Pewnie pan o nim słyszał, pełnił funkcję głównego asystenta sędziego Vorlawskiego podczas procesu zbrodniarzy wojennych w Zurichu w '98.

- Rozumiem - odparł nie bez pewnych trudności. Cóż, to wyjaśniało sprawę.

- Nazywam się Tania Lee - powiedziała dziewczyna.

W milczeniu skinął głową, oszołomienie odebrało mu jasność myślenia.

- Jestem właściwie tylko drobną urzędniczką - dodała panna Lee w pańskim ministerstwie. Jednak nigdy się nie spotkaliśmy, przynajmniej sobie nie przypominam. W miarę możliwości staramy się utrzymać na swoich stanowiskach. Im wyżej, tym lepiej. Mój szef...

- Czy pani powinna mówić mi te wszystkie rzeczy? - zapytał, wskazując na włączony telewizor. - Czy oni tego nie rejestrują?

- Wprowadziliśmy zakłócenia w audiowizualnym odbiorze materiału z tego budynku - powiedziała Tania Lee. - Nim odkryją przyczynę usterki, minie co najmniej godzina. Dlatego mamy... - popatrzyła na zegarek na drobnym nadgarstku - ...jeszcze kwadrans. Nic nam nie grozi.

- Proszę mi powiedzieć, która praca jest ortodoksyjna - poprosił.

- Tak panu na tym zależy? Naprawdę?

- A na czym ma mi zależeć?

- Nie rozumie pan, panie Chien? Dowiedział się pan czegoś. Wódz nie jest Wodzem, jest czymś innym, ale nie wiemy czym. Jeszcze nie. Panie Chien, z całym szacunkiem, czy kiedykolwiek dał pan do zbadania wodę, którą pan pije? Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale czy zrobił pan to?

- Nie - odparł. - Oczywiście, że nie. - Dobrze wiedział, jakie dalej padną słowa.

- Nasze badania wykazały w niej obecność środków halucynogennych - powiedziała panna Lee. - Była skażona, jest i będzie. Nie są to środki używane w czasie wojny, nie powodują dezorientacji, lecz stanowią syntetyczną pochodną alkaloidu o nazwie Datrox-3. Od rana pije to pan w domu, w restauracjach i miejscach, które pan odwiedza. Również w ministerstwie, jest pompowana z centralnego źródła. - Mówiła bezbarwnym, bezlitosnym głosem. - Rozwiązaliśmy ten problem, wiedzieliśmy, że dobra fenotiazyna

to właściwe antidotum. Rzecz jasna, nie mieliśmy pojęcia o różnorodności

autentycznych doznań, z logicznego punktu widzenia to nie mieściło się w głowie. Halucynacje powinny przybierać różną formę w przypadku różnych osób, natomiast rzeczywistość powinna być dla wszystkich ta sama sam pan widzi, że wszystko stoi do góry nogami. Nie ma co nawet próbować pokusić się o teorię ad hoc, a Bóg nam świadkiem, że próbowaliśmy. Dwanaście wzajemnie wykluczających się halucynacji - nietrudno byłoby to zrozumieć. Ale niejedną halucynację i dwanaście rzeczywistości. - Umilkła i ze zmarszczonymi brwiami przyjrzała się testom. - Praca na temat arabskiego wiersza to dzieło ortodoksa - zawyrokowała. - Jeśli pan im to powie, zaufają panu i dadzą wyższe stanowisko. Podskoczy pan o jeden szczebel wyżej w partyjnej hierarchii. - Ukazując w uśmiechu równe zęby, uzupełniła: - Widzi pan, jak opłaciła się poranna inwestycja. Wystawiliśmy pańskiej karierze polisę ubezpieczeniową.

- Nie wierzę - odparł. Słowa dziewczyny uruchomiły w nim instynktowny mechanizm obronny wykształcony latami przebywania wśród członków wschodniej PK w Hanoi. Znali oni tysiące sposobów wyeliminowania rywala - niektóre spośród nich sam stosował, niektórych doświadczył na własnej skórze. To mógł być jeden ze sposobów, dotąd mu nieznanym. Wszystko się mogło zdarzyć.

- Dziś wieczorem - odezwała się panna Lee - Przywódca wspomniał w swoim przemówieniu właśnie pana. Czy to nie dziwne? Pana spośród wszystkich ludzi? Drobnego urzędnika w podrzędnym ministerstwie...

- Przyznaję - powiedział. - Odebrałem to dokładnie w ten sposób.

- Było to uzasadnione działanie. Jego Wspaniałość ma zamiar zwerbować elitarną kadrę młodzieży, chce w ten sposób tchnąć nowe życie w niemrawą zgraję starych wyżeraczy i partyjnych ważniaków. Jego Wspaniałość wybrał pana na tej samej zasadzie co my: przy odpowiednich staraniach, pańska kariera może zaprowadzić pana prosto na szczyt. Przynajmniej na pewien czas... jak dobrze wiemy. Taka jest kolej rzeczy.

Prawie wszyscy we mnie wierzą, skonstatował w duchu. Oprócz mnie samego, zwłaszcza po doświadczeniu z antyhalucynogennym towarem. Podważyło ono, i pewnie nie bez racji, lata niezmałowanej pewności. Niemniej jednak odzyskiwał przytomność umysłu, najpierw czuł, jak wraca ona stopniowo, potem w pośpiechu.

Podszedł do wideofonu i po raz drugi tego wieczoru przystąpił do wykrcania numeru EsBe w Hanoi.

- Wydanie mnie - zauważyła panna Lee - byłoby drugą co do znaczenia



podjętą przez pana chybioną decyzją. Powiem im, że chciał pan mnie przekupić. I myślał pan, że z uwagi na pracę w ministerstwie wiem, który esej wybrać.

- A co było pierwszą chybioną decyzją? - zapytał.

- Niezażycie większej dawki fenotiazyny - odparła gładko panna Lee.

Tung Chien odłożył słuchawkę, myśląc, nie wiem, co się ze mną dzieje. Dwie siły, Partia i Jego Wspaniałość z jednej strony, dziewczyna z jej domniemanym stowarzyszeniem z drugiej. Jedna strona chce wynieść mnie jak najwyżej w partyjnej hierarchii, druga - czego właściwie chce Tania Lee? Co kryło się pod jej słowami, pod niemalże banalną pogardą wobec Partii, Przywódcy, etycznych standardów Ludowego Zjednoczonego Frontu Demokratycznego -jakie miała plany względem niego?

- Czy tworzycie anti-Partię? - zapytał ciekawie. -Nie.

- Ale... - Machnął ręką. - Nic innego nie ma: jest tylko Partia i anti-Partia. Wobec tego należycie do Partii. - Oszołomiony nie spuszczał z niej wzroku, odwzajemniła mu się spokojnym spojrzeniem. - Macie swoją organizację - podjął - i spotykacie się. Co chcecie zniszczyć? Regularne funkcjonowanie rządu? Czyżbyście przypominali zdradzieckich amerykańskich studentów, którzy podczas wojny w Wietnamie zatrzymywali pociągi z wojskiem, organizowali demonstracje...

- To nie tak - zaoponowała ze znużeniem panna Lee. - Szkoda słów, nie o to chodzi. Oto co chcemy wiedzieć: kto lub co nami rządzi? Musimy pozyskać kogoś, jakiegoś obiecującego, młodego teoretyka partyjnego, który prędzej czy później zostanie zaproszony, by stanąć oko w oko z Przywódcą - rozumie pan? - Podniosła głos, spoglądając na zegarek, najwyraźniej spieszyło się jej do wyjścia. Kwadrans prawie dobiegł końca. - Jak panu wiadomo, zaledwie garstka osób dostępuje tego zaszczytu. To znaczy, naprawdę go widzi.

- Odosobnienie - powiedział. - Z uwagi na jego podeszły wiek.

- Mamy nadzieję - odrzekła panna Lee - że jeśli zaliczy pan test, który dla pana przygotowali, a z moją pomocą na pewno się to panu uda, zaproszą pana na jedno z organizowanych od czasu do czasu przez Wodza spotkań, oczywiście dyskretnie przemilczanych na łamach prasy. Rozumie pan? - W bliskim hysterii głosie pojawiły się piskliwe nuty. - Wtedy dowiemy się; jeśli pójdzie pan tam pod wpływem środków antyhalucynogennych, zobaczy pan, jak on rzeczywiście wygląda...

Myśląc głośno, powiedział:

- I zakończę karierę, jeśli nie życie.

- Jest pan nam coś winien - warknęła z pobladłą twarzą Tania Lee. Gdybym nie powiedziała panu, który test wybrać, wybrałby pan ten niewłaściwy i pańską wymarzoną karierę i tak szlag by trafił. Oblałby pan test, o którego istnieniu nie miałby pan zielonego pojęcia!

- Miałem szansę pół na pół - odparł bez przekonania.

- Nie. - Ze złością potrząsnęła głową. - Falszywy test upstrzono partyjnym żargonem. Celowo tak ułożono eseje, by wpadł pan w pułapkę. Chcieli, żeby pan oblał!

Ponownie przeniósł wzrok na prace. Czuł zamęt w głowie. Czy ona miała rację? Możliwe. To bardzo prawdopodobne, zwłaszcza jeśli się znało funkcjonariuszy partyjnych - i pana Tso-pina - tak dobrze jak on. Ogarnęło go znużenie. I poczucie klęski. Po chwili zwrócił się do dziewczyny:

- To, co usiłuje pani na mnie wymóc, to *qui pro quo*. Wyświadczyła mi pani przysługę, zdobyła - czy też raczej twierdzi, że zdobyła - odpowiedź na pytanie Partii. Lecz na tym pani rola się kończy. Dlaczego nie miałbym wyrzucić teraz pani za drzwi? Nie muszę dać w zamian złamanego szeląga. - Słyszał, jak jego beznamiętny głos pobrzmiwa brakiem empatycznej emocjonalności, tak charakterystycznym dla kręgów partyjnych.

- W drodze na szczyt otrzyma pan kolejne sprawdziany - odrzekła panna Lee. -I te pomożemy panu rozwiązać. - Była opanowana i swobod\* na, musiała przewidzieć jego reakcję.

- Ile mam czasu do namysłu? - zapytał.

- Teraz wychodzę. Nie ma pośpiechu, nie otrzyma pan zaproszenia do willi nad Jangcy w przyszłym tygodniu ani nawet miesiącu. - Podchodzą do drzwi, powiedziała: - Dostarczymy panu odpowiedzi do kolejnych teł stów, wówczas będzie pan miał okazję zobaczyć kogoś z nas. Być może to nie będę ja, lecz kaleki weteran, który sprzeda panu tabele z rozwiązaniami przy wejściu do ministerstwa. - Uśmiechnęła się przelotnie. - Któregoś dnia niespodziewanie otrzyma pan ozdobne, oficjalne zaproszenie do willi, do której pójdzie pan, będąc pod wpływem dużej dawki stelazyny... kto wie. może ostatniej z naszych kurczących się zapasów. Dobranoc. - Drzwi zamknęły się i dziewczyna znikła.

Boże, pomyślał. Mogą mnie szantażować za to, co zrobiłem. Ona nawet nie raczyła o tym wspomnieć, na tle tego, w co był zamieszany, podobna wzmianka nie była warta zachodu.

Niby czym mogliby mnie szantażować? Przecież poinformował EsBe, że otrzymał środek o nazwie fenotiazyna. Oni już wiedzą, pomyślał. Będą mnie obserwować, już są czujni. Teoretycznie nie naruszyłem prawa, ale... będą mieć na mnie oko, bez dwóch zdań.

Zresztą zawsze to robili. Ta myśl przyniosła mu pewną ulgę. W ciągu wielu lat przyzwyczyił się do tego stanu rzeczy, podobnie jak inni.

Zobaczę Prawdziwego Dobroczyńcę Ludu w rzeczywistej postaci, stwierdził w duchu. Może nikt przede mną tego nie dokonał. Ciekawe, jak to będzie. Która z kategorii niehalucynacji? Kategorii, o których nic mi nie wiadomo... może ten widok wytrąci mnie z równowagi. Jeśli to ma przypominać stwora z telewizji, to jak dotrwam do końca wieczoru, nie dając nic po sobie poznać? Niszczyciel, Klanker, Ptak, Wirująca Serpentina, Połykacz... albo coś jeszcze gorszego.

Zastanawiał się, jak wyglądają pozostałe obrazy... po czym zrezygnował. To do niczego nie prowadziło. I wzmagало jego niepokój.

Następnego ranka panowie Tso-pin i Darius Pethel spotkali go w biurze, obaj byli spokojni, choć pełni oczekiwania. Bez słowa wręczył im jeden z dwóch „testów”. Ortodoksyjny, z krótkim i chwytającym za serce poematem arabskim.

- Oto - powiedział dobitnie Chien - dzieło oddanego członka Partii bądź też kandydata do członkostwa. Ten drugi... - Trącił pozostałe kartki.

- Reakcyjny śmieć. - Ogarnęła go złość. - Pomimo pozornej...

- W porządku, panie Chien - przerwał mu Pethel, kiwając głową. Nie ma potrzeby wdawania się w szczegóły, pańska analiza jest poprawna. Słyszał pan wczorajszą wzmiankę na swój temat w przemówieniu Przywódcy?

- Naturalnie - odparł Chien.

- Jak pan zapewne odgadł - ciągnął Pethel - w nasze przedsięwzięcie zaangażowano wiele środków. Przywódca ma na pana oko, to nie ulega wątpliwości. Co więcej, skontaktował się ze mną w pańskiej sprawie. - Otworzył wypchaną teczkę i przetrząsnął ją. - Zgubiłem. Tak czy inaczej... Spojrzał na Tso-pina, który lekko skinął głową. - Jego Wspaniałość chciałby widzieć pana na kolacji na swoim ranczu nad rzeką Jangcy w następny czwartek. Pani Fletcher zaś...

- Pani Fletcher? Kim jest pani Fletcher? - zapytał Chien.

- Żoną Prawdziwego Dobroczyńcy - odparł po chwili oschle Tso-pin.

- On nazywa się, jak pan zapewne nie miał okazji usłyszeć, Thomas Fletcher.

- Jest kaukaskiego pochodzenia - wyjaśnił Pethel. - Wywodzi się z Nowozelandzkiej Partii Komunistycznej, uczestniczył w tamtejszym przewrocie. Ta informacja nie jest wprawdzie tajna, niemniej jednak unikano w tej kwestii rozgłosu. - Umilkł z wahaniem, bawiąc się łańcuszkiem od zegarka. - Może będzie lepiej, jak pan o tym zapomni. Oczywiście, z chwilą gdy pan go zobaczy, stanie z nim twarzą w twarz, stwierdzi pan, że kaukaskie pochodzenie jest niewątpliwe. Podobnie jak w moim przypadku. i| w przypadku wielu innych.

- Rasa - zaznaczył Tso-pin - nie ma nic wspólnego z lojalnością wobec lidera i Partii. O czym świadczy obecny tu pan Pethel.

Ale Jego Wspaniałość, pomyślał Chien. W telewizji nic nie wskazywało na to, że pochodzi z Zachodu.

- W telewizji... - zaczął.

- W telewizji - wpadł mu w słowo Tso-pin - wygląd poddawany jest zręcznej obróbce. Dla celów ideologicznych. Większość obywateli na wyższych stanowiskach jest tego świadoma. - Zmierzył Chiena krytycznym spojrzeniem.

Zatem nikt nie ma co do tego wątpliwości, pomyślał Chien. Co wieczór oglądamy rzeczy nieprawdziwe. Pytanie więc, do jakiego stopnia są nierealne? Częściowo? Czy też - całkowicie?

- Będę na to przygotowany - odparł. Nastąpił pewien poślizg, pomyślał. Ludzie reprezentowani przez Tanie Lee nie spodziewali się, że tak szybko uzyskam dostęp. Gdzie jest ten antyhalucynogen? Dostarczą mi go czy nie? Pewnie nie tak od razu.

Ku swojemu zdziwieniu poczuł ulgę. Pojawi się w obecności Jego Wspaniałości i ujrzy go w ludzkiej postaci, tak jak widział go - podobnie jak inni - w telewizji. Będzie to bardzo przyjemna kolacja spędzona w towarzystwie najbardziej wpływowych azjatyckich członków Partii. Chyba obędę się bez fenotiazyny, pomyślał. I jeszcze raz odetchnął z ulgą.

- Jest - powiedział nagle Pethel, wyciągając z teczki białą kopertę. Pańska karta wstępu. W czwartek rano zostanie pan przetransportowany do willi Przywódcy. Tam oficer protokolarny zapozna pana z zasadami zachowania. Obowiązuje strój wieczorowy, biały krawat i frak, atmosfera jednak będzie bardzo przyjazna. Nieodmiennie wznosi się wiele toastów. Uczestniczyłem w dwóch tego typu spotkaniach - dodał. - Pan Tso-pin - powiedział z krzywym uśmiechem - nie został jeszcze w ten sposób uhonorowany. Ale, jak to mówią, każdy otrzyma to, na co

czeka. To słowa Bena Franklina.

- Uważam, że ten zaszczyt spotkał pana Chiena nieco zbyt szybko powiedział Tso-pin. Filozoficznie wzruszył ramionami. - Nikt jednak nie pytał mnie o zdanie.

- Jeszcze jedno - zwrócił się do Chiena Pethel. - Możliwe, że kiedy ujrzy pan Jego Wspaniałość we własnej osobie, będzie pan nieco rozczarowany. Proszę uważać, aby nie dać nic po sobie poznać. Zawsze skłanialiśmy się do tego - i byliśmy szkoleni w tym kierunku - aby traktować go jak więcej niż człowieka. Jednak przy stole zachowuje się... - machnął ręką ...dziwnie. Pod pewnymi względami, tak jak my. Może na przykład wykazać tendencje w kierunku agresji słownej, opowiedzieć niestosowną anegdotę lub wypić za dużo... Szczerze mówiąc, nikt nie jest w stanie z góry przewidzieć, jak sprawy się potoczą, na ogół jednak przyjęcie trwa aż do białego rana. Dlatego roztropnie byłoby zażyć oferowaną przez oficera protokolarnego dawkę amfetaminy.

- Ach tak - powiedział Chien. Była to dla niego interesująca nowość.

- Dla kurazu. I neutralizacji trunku. Jego Wspaniałość ma zdumiewającą kondycję, pewnie trzyma się na nogach nawet wtedy, gdy inni dali już za wygraną.

- Niesamowity człowiek - wtrącił Tso-pin. - Według mnie jego słabości... świadczą jedynie o tym, że to niezrównana osobowość. Istny człowiek renesansu, jak na przykład Lorenzo il Magnifico z Medyceuszów.

- Rzeczywiście - przytaknął Pethel. Spoglądał na Chiena z taką uwagą, że ten ostami poczuł znajome ukłucie niepokoju. Czyżbym dawał wpędzić się w kolejną pułapkę? Może dziewczyna była w rzeczywistości agentką EsBe, próbującą złapać mnie na nielojalności wobec Partii?

Dopilnuję, obiecał sobie w duchu, aby beznogi sprzedawca ziołowych specyfików nie zaczepił mnie po pracy. Pójdę do domu inną drogą.

Dopiął swego. Tego dnia uniknął kontaktu z kramarzem, podobnie następnego, aż do czwartku.

W czwartek rano sprzedawca wychynął spod zaparkowanej ciężarówki i zastąpił mu drogę.

- Mój lek? - zagaił. - Zadziałał? Wiem, że tak, formuła pochodzi z czasów dynastii Sung - widzę, że ci pomogła. Nie mam racji?

- Z drogi - powiedział Chien.

- Czy wykażesz na tyle uprzejmości, by odpowiedzieć? - Jego ton w niczym nie przypominał znajomego zawodzenia ulicznego kramarza i donośnie zadzwęczał

w uszach Chiena...

- Wiem, co mi dałeś - odparł Chien. - Nie chcę więcej. Jeśli zmienię zdanie, kupię to w aptece. Dzięki. - Poszedł przed siebie, lecz wózek, wraz z beznogim pasażerem, nieustępliwie ruszył w jego ślady.

- Rozmawiałem z panną Lee - powiedział głośno kramarz.

- Hmm - odparł Chien, machinalnie przyspieszając kroku, na widok taksówki wykonał gwałtowny ruch ręką.

- Jedziesz dziś na przyjęcie do willi nad rzeką Jangcy - ciągnął zdyszany kramarz, usiłując za nim nadążyć. - Weź swoje lekarstwo... natychmiast! - Błagalnie wyciągnął! ku niemu płaskie zawiniątko. - Proszę, Chien, dla twojego dobra, dla dobra nas wszystkich, żebyśmy wreszcie dowiedzieli się, przeciwko czemu walczymy. Chryste, to może być istota pozaziemska, tego się najbardziej obawiamy. Nie rozumiesz, Chien? Czym w porównaniu z tym jest twoja cholerna kariera? Jeśli się nie dowiemy...

Taksówka dobiła do krawężnika, drzwi stanęły otworem. Chien wszedł do środka.

Zawiniątko przeleciało ponad jego ramieniem, wylądowało na framudze drzwi, po czym wilgotne od deszczu ześlizgnęło się na podłogę pojazdu.

- Proszę - powtórzył kramarz. - Nic cię to nie kosztuje, dzisiaj jest za darmo. Tylko nie zapomnij zażyć go przed kolacją. I nie bierz amfetaminy.

To stymulator wewnętrzny, przeciwwskazany w przypadku zażycia środka hamującego takiego jak fenotiazyna...

Drzwi taksówki zamknęły się. Chien usiadł.

- Dokąd, towarzyszu? - padło pytanie mechanicznego urządzenia sterującego.

Podał identyfikacyjny numer swojego mieszkania.

- Ten durny kramarz zanieczyścił moje wnętrze swoimi brudami oznajmiła taksówka. - Proszę zwrócić uwagę, coś leży przy waszej nodze.

Chien zauważył torebkę - wyglądała jak najzwyczajniejsza koperta. Chyba właśnie w ten sposób wchodzi się w posiadanie narkotyków, pomyślał. Ni stąd, ni zowąd znajdują się w zasięgu ręki. Przez chwilę siedział bez ruchu, po czym podniósł zawiniątko.

Przesyłka jak zwykle zawierała pisemną informację, tym razem jednak napisano ją ręcznie. Był to kobiecy charakter pisma, należał do panny Lee:

*Byliśmy zdziwieni tym pośpiechem. Chwała Bogu, zdążyliśmy na czas. Gdzie pan się podziewał we wtorek i środę? Tak czy inaczej, oto ona, i powodzenia. Znajdę pana później, proszę mnie nie szukać.*

Spalił wiadomość w popielnicze.

I zachował czarne granulki.

Cały czas, myślał. Halucynogeny w naszych zbiornikach wodnych. Rok w rok. Przez dziesięciolecia. I to nie w czasach wojny, ale pokoju. Nie do obozu wroga, lecz sprzymierzeńca. Dranie, pomyślał. Może powinienem to zażyć, może powinienem przekonać się, czym on naprawdę jest i podzielić się tą wiedzą z organizacją Tani.

Tak zrobię, postanowił. Poza tym... ciekawość nie dawała mu spokoju.

Wiedział, że to źle. Ciekawość, zwłaszcza w kręgach Partii, na ogół nie prowadziła do niczego dobrego.

Ogarnęła go bez reszty. Zastanawiał się, czy jeśli zażyje specyfik, jego działanie utrzyma się przez resztę wieczoru.

Czas pokaże. Jesteśmy porastającymi równinę kwiatami, które ścina, wrócił pamięcią do arabskiego wiersza. Bezskutecznie próbował przypomnieć sobie dalszą część.

Wszystko jedno.

Oficer protokolarny willi, Japończyk Kimo Okubara, wysoki i krzepki, o wyglądzie zapaśnika, nawet mimo okazanego zaproszenia spoglądał na niego z jawną wrogością.

- Dziwne, że zadał pan sobie tyle trudu, by się zjawić - wymamrotał. - Dlaczego by nie zostać w domu i nie pooglądać telewizji? Nikt za panem nie tęsknił. Świetnie sobie bez niego radziliśmy.

- Już oglądałem telewizję - odrzekł twardo Chien. Poza tym przyjęcia rzadko transmitowano, były zbyt sprośne.

Ludzie Okubary sprawdzili, czy nie ma przy sobie broni. Zajrzeli nawet w odby, po czym oddali mu ubranie. Nie znaleźli fenotiazyny. Dawno ją zażył. Działanie narkotyku trwało około czterech godzin, dłużej niż potrzebował. I, jak powiedziała Tania, była to końska dawka, czuł się ospały i niezdarny, a język drgał mu w ustach w mimowolnych konwulsjach - nieprzyjemny efekt uboczny, którego nie

wziął pod uwagę.

Nieopodal przeszła dziewczyna, naga od pasa w górę, z miedzianą strzechą włosów opadającą na ramiona i plecy. Interesujące.

Po przeciwnej stronie pojawiła się inna, naga od stóp do głów. Widok był nie mniej intrygujący. Obie sprawiały wrażenie śmiertelnie znudzonych i całkowicie pochłoniętych sobą.

- Pan też musi się rozebrać - poinformował Chiena Okubara. Chien zdumiał się.

- Wydawało mi się, że obowiązuje strój wieczorowy.

- To był żart - odparł Okubara. - Pańskim kosztem. Tylko dziewczęta spacerują na golasa. Proszę do woli cieszyć oczy, chyba że jest pan homoseksualistą.

Cóż, pewnie mi się to spodoba, pomyślał Chien. Dołączył do pozostałych gości, podobnie jak on ubranych we fraki lub, w przypadku kobiet, długie, powłóczyste suknie. Pomimo usypiającego działania stelazyny, poczuł się nieswojo. Co ja tu robię, pomyślał. Dwuznaczność sytuacji nie uszła jego uwagi. Przyszedł tu, by wdrapać się na wyższy szczebel partyjnej kariery i wyzyskać pełne aprobaty spojrzenie Jego Wspaniałości... przyszedł tu również po to, by zdemaskować Jego Wspaniałość jako oszusta. Nie był pewien, na jakich zasadach opierało się to oszustwo, lecz wiedział jedno: było to oszustwo wymierzone w Partię, we wszystkie wielbiące pokój demokratyczne ludy Terry. Co za ironia, podsumował w duchu. I wmieszał się w tłum ludzi.

Dziewczyna o drobnych, rozjarzonych piersiach poprosiła go o ogień. Z roztargnieniem wyjął zapalniczkę.

- Jak to się dzieje, że twoje piersi świecą? - zapytał. - Wstrzykujesz sobie substancję radioaktywną?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i wyminęła go bez słowa. Najwidoczniej jego reakcja była nieprawidłowa.

Może to jakaś powojenna mutacja, pomyślał.

- Może drinka, sir. - Służący uprzejmie wyciągnął do niego tacę.

Wziął martini, obecnie bardzo modne w wyższych kręgach partyjnych w Chińskiej Republice Ludowej. Skosztował lodowato zimnego, cierpkiego napoju. Dobry angielski gin, pomyślał. Albo holenderska mieszanka, jałowiec, albo Bóg wie co oni tam dodawali. Niezły. Nieco podbudowany ruszył przed siebie, w gruncie rzeczy na atmosferę nie można było narzekać. Obecni wydawali się pewni siebie,



odnieśli sukces i przyszedł czas na zasłużony odpoczynek. Pogłoska, że bliskość Jego Wspaniałości budzi neurotyczny lęk, musiała być wyssana z palca, ani wokół siebie, ani w sobie nie znajdował jej żadnego potwierdzenia.

Przysadzisty, starszy mężczyzna z łysiną zastąpił Chienowi drogę, przystawiając mu do piersi swoją szklanę.

- To małe, które poprosiło pana p ogień - zagaił chichocząc. - Dziwadło z biustem jak choinka... to tak naprawdę chłopak w przebraniu. Prychnął śmiechem. - Tu trzeba uważać.

- Gdzie wobec tego, jeśli w ogóle - odrzekł Chien - można znaleźć prawdziwe kobiety? Chodzą w krawatach?

- Blisko - odparował mężczyzna i dołączył do grupy przejętych gości, pozostawiając Chiena sam na sam ze swoim martini.

Ładna, stojąca nieopodal wysoka kobieta zniemacka ujęła go pod ramię. Poczł uścisk jej palców.

- Idzie. Jego Wspaniałość. To mój pierwszy raz, trochę się boję. Jak tam moje włosy?

- Dobrze - odparł odruchowo Chien i podążył za jej spojrzeniem, chcąc - po raz pierwszy - ujrzeć Prawdziwego Dobroczyńcę.

To, co podchodziło do stołu, w niczym nie przypominało człowieka.

Nie była to również, jak uświadomił sobie Chien, maszyna, którą zobaczył na ekranie telewizora. Tamto musiało być kukielką na użytek publiczny, podobnie jak Mussolini podczas długich, żmudnych parad salutował sztucznym ramieniem.

Boże, pomyślał, czując mdłości. Czy to to miała na myśli Tania Lee, mówiąc o „płynnym kształcie”? Istota, którą widział, była bezkształtna. Nie miała też odnoży, ani z krwi i kości, ani z metalu. W pewnym sensie wcale nie istniała. Kiedy zmuszał się, by patrzeć bezpośrednio na nią, kształt znikał, ukazując stojących za nim ludzi. Kiedy jednak odwracał lekko głowę, zerkając kątem oka, dokładnie widział jego zarysy.

Potworność istoty ugodziła w jego świadomość. Idąc, wysysała życie z każdego z osobna, pożerała zgromadzonych, szła dalej, po czym znów łykała ich z niesłabnącą łapczywością. Emanowała nienawiścią, czuł jej nienawiść. Uczucie to ogarniało wszystkich obecnych - w gruncie rzeczy podzielał je. W jednej chwili on i pozostali goście zamienili się w poskręcane cielska. Istota przystawała nad truchłami, po czym szła dalej, cały czas zmierzając w jego kierunku. A może było to jedynie

złudzenie? Jeśli to halucynacja, pomyślał Chien, jest najgorsza, jakiej do tej pory doświadczyłem, jeśli nie, widzę przed sobą realną postać zła, zła, które niszczy i okalecza. Widział szlak zdeptanych mężczyzn i kobiet, widział, jak próbują złączyć w całość zmasakrowane ciała, słyszał ich bełkot.

Wiem, kim jesteś, pomyślał Tung Chien. Ty, głowa światowego aparatu partyjnego. Ty, który niszczysz wszystko, czego się dotkniesz. Mam przed oczami arabski wiersz, zrywanie kwiecica życia i pożeranie go - widzę, jak kroczysz równiną Ziemi, równiną pozbawioną dolin i gór. Brniesz przed siebie, pojawiaasz się zniemacka, tworzysz życie, by zaraz je zniszczyć, czerpiąc z tego okrutną radość.

Jesteś Bogiem, pomyślał.

- Panie Chien - głos dobiegał z wnętrza jego głowy, nie od strony bezustej istoty, która zmaterializowała się na wprost niego. - Miło znów pana spotkać. Nic nie wiesz. Odejdź. Nie interesujesz mnie. Dlaczego miałbym zajmować się służem? Służ, grzęznę w nim, muszę go wywalić i tak zrobię. Mógłbym cię złamać, mogę złamać nawet siebie. Mam pod sobą ostre kamienie, rozkładam je na grzędawisku. Kryjówki, ustronia bulgoczą, dla mnie morze to balsam. Skrawki mego ciała przywierają do wszystkiego. Jesteś mną. Jestem tobą. To bez różnicy, podobnie jak kreatura o rozjarzonych piersiach jest chłopcem albo dziewczyną, możesz nauczyć się doceniać obie formy. - Rozległ się śmiech.

Chien nie wierzył, że istota przemawiała do niego, nie mógł sobie wyobrazić, że wybór padł na jego osobę.

- Wybór padł na wszystkich - oznajmiła. - Nikt nie jest zbyt niepozorny, każdy pada i ginie, a ja jestem tu, by patrzeć. Nie muszę robić nic innego, taki jest porządek rzeczy. - Przestała mówić, rozczłonkowała się. Lecz nadal ją widział, czuł jej wielokrotną obecność. Była wiszącą u sufitu kulą z pięćdziesięcioma tysiącami oczu, z milionem oczu - miliardami: na każdego człowieka przypadało jedno, podczas gdy istota czekała na jego upadek, by móc ostatecznie wdeptać go w ziemię. Po to stworzyła świat, wiedział o tym, rozumiał. To, co w arabskim poemacie uznał za śmierć, w rzeczywistości było Bogiem, albo raczej to Bóg był śmiercią. Jedyna siła, jeden łowca i kanibal, raz i drugi puścił nam płazem, ale przecież ma całą wieczność, może sobie na to pozwolić. Oba wiersze, pomyślał, Dryden też. Upadek, oto nasz świat, twoje dzieło. Zmieniasz je zgodnie ze swoją wolą, naszym kosztem.

Przynajmniej, pomyślał, zachowałem swoją godność. Z godnością odstawił szklanekę, odwrócił się i podszedł do drzwi. Opuścił salę. Ruszył długim korytarzem.

Odziany w purpurę służący otworzył przed nim drzwi. Znalazł się na opustoszałej, pograżonej w ciemnościach werandzie.

Nie był sam.

Poszedł za nim. Albo raczej uprzedził go, tak, czekał na niego. Jeszcze z nim nie skończył.

- Idę - powiedział Chien i skoczył w stronę barierki. Od ziemi dzieliła go wysokość sześciu pięter. Ujrzał pod sobą połyskującą taflę wody i śmierć, nie to, o czym była mowa w arabskim wierszu.

Gdy leciał w dół, poczuł na ramieniu mackę tamtego.

- Dlaczego? - zapytał, nieruchomiejąc. Nie wiedział. Nie rozumiał. Wcale.

- Nie rzucaj się w dół z mojego powodu - powiedział tamten zza pleców Chiena. Coś, co spoczywało na ramieniu mężczyzny, przybrało wygląd ludzkiej ręki.

Stwór wybuchnął śmiechem.

- Co w tym śmiesznego? - zapytał Chien, włączając na barierkę, podtrzymywany dłonią tamtego.

- Wyręczasz mnie - odrzekł stwór. - Nie czekasz, czyżbyś nie miał na to czasu? Wybiorę cię spośród innych, nie musisz tego przyspieszać.

- A jeśli to zrobię? - powiedział. - Z obrzydzenia, które do ciebie czuję? Tamten znów się zaśmiał, unikając odpowiedzi.

- Nawet nic mi na to nie odpowiesz - skwitował Chien. Znowu milczenie. Ześlizgnął się na werandę. Ucisk ręki zelżał.

- Założyłeś Partię? - zapytał Chien.

- Założyłem wszystko. Partię i anti-Partię, która nie jest partią, tych, którzy są za, i tych, którzy są przeciw, tych, których nazywacie jankeskimi imperialistami, i tych, którzy tworzą obóz reakcji. Mógłbym wymieniać w nieskończoność. Wszyscy są moim dziełem. Niczym żdźbła trawy.

- Jesteś tu dla rozrywki?

- Chcę - odparł tamten - abys mnie widział takiego, jaki jestem naprawdę, a potem mi zaufał.

- Co takiego? - zająknął się Chien. - Zaufać ci?

- Wierzysz we mnie?

- Tak - odparł. - Widzę cię.

- No to wracaj do swych zajęć w ministerstwie. Powiedz Tani Lee, że zobaczyłeś przepracowanego, otyłego starucha, który lubi zajrzeć do kieliszka i

uszczyplną dziewczynę w tyłek.

- Chryste - powiedział Chien.

- Kiedy będziesz żył dalej, nie mogąc przestać, zadręcę cię - podjął tamten. - Stopniowo pozbawię cię wszystkiego, co posiadasz lub czego pragniesz. Potem, gdy stłamszę cię na śmierć, odsłonię tajemnicę.

- Jaką tajemnicę?

- Żywy odda ducha, zmarły z grobu wstanie. Zabijam to, co żyje, ocalam to, co umarło. Powiem ci coś: są rzeczy gorsze niż ja. Nie zobaczysz ich jednak, gdyż do tego czasu odbiorę ci życie. A teraz idź do jadalni i usiądź do kolacji. Nie zadawaj mi żadnych pytań. Robiłem to na długo przed tym, nim narodził się Tung Chien, i będę robił jeszcze po tym, jak umrze.

Chien zamachnął się z całej siły.

I poczuł dotkliwy ból w głowie.

Ogarnęła go ciemność, poczuł, że spada.

Potem znów nastąpiła ciemność. Dopadnę cię, pomyślał. Dopilnuję, żebyś i ty skonał. I żebyś cierpiał, będziesz cierpiał tak jak my, tak samo jak my. Znajdę na ciebie sposób, Bóg mi świadkiem. Zaboli cię. Tak jak mnie teraz.

Zamknął oczy.

Ktoś potrząsnął nim gwałtownie. Usłyszał głos pana Kimo Okubary.

- Wstawaj, pijaczyno. Jazda!

- Wezwijcie dla mnie taksówkę - odparł, nie otwierając oczu.

- Już czeka. Jazda do domu. Co za wstyd. Zrobić z siebie takie przedstawienie.

Chwiejnie wstał i otworzył oczy. Przywódca, za którym podążamy, pomyślał, to Jedyne Prawdziwy Bóg. Wróg, którego musimy zwalczać, również jest Bogiem. Mają rację, on jest wszędzie. Nie rozumiałem, co to miało znaczyć. Patrząc na oficera protokolarnego, pomyślał: Ty też jesteś Bogiem. Dlatego nie ma ucieczki, nawet przez balkon, co instynktownie próbowałem uczynić. Zadrzał.

- Mieszać prochy z wódką - rzucił z dezaprobatą Okubara. - Tak sobie zrujnować karierę. Nieraz już to widziałem. Spadaj.

Podszedł na miękkich nogach w kierunku głównego wyjścia willi nad rzeką Jangcy. Dwaj służący w strojach średniowiecznych rycerzy skwapliwie otworzyli przed nim drzwi.

- Dobrej nocy, sir - powiedział jeden.

- Chrzęć się - odparł Chien, znikając w ciemnościach.

Za piętnaście trzecia nad ranem, kiedy siedział w swoim salonie, paląc jedno cuesta rey astoria za drugim, rozległo się pukanie do drzwi.

Otworzywszy je, ujrzał Tanie Lee w płaszczu przeciwdeszczowym, z posiniąłą z zimna twarzą. Oczy załśniły jej pytająco.

- Nie patrz tak na mnie - rzucił szorstko. Cygaro zgasło, zapalił je ponownie. - Dość się dzisiaj na mnie napatrzili.

- Widziałeś - powiedziała. Kiwnął głową.

Usiadła na poręczy sofy.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć? - zapytała po chwili.

- Odejdź stąd jak najdalej - odparł. - Odejdź daleko. - Przypomnił sobie: żadna odległość nie była wystarczająca. Pamiętał, że gdzieś o tym czytał. - Szkoda gadać - dodał i powlókł się do kuchni zrobić kawę.

- Było... aż tak źle? - zapytała Tania, idąc za nim.

- Nie możemy wygrać - odparł. - Wy nie możecie wygrać, nie mam na myśli siebie. To nie moja sprawa, chciałem tylko wypełnić swoje obowiązki w ministerstwie i zapomnieć. Zapomnieć o tej całej cholernej sprawie.

- Czy to istota pozaziemska?

- Tak. - Skinął głową.

- Czy jest wobec nas wrogo usposobiona?

- Tak - potwierdził. - Nie. I tak, i nie. Raczej tak.

- Wobec tego musimy...

- Idź do domu - przerwał jej. - Połóż się spać. - Przyjrzał się jej uważnie, długo siedział i zastanawiał się. Nad wieloma sprawami. - Jesteś mężatką? - zapytał.

- Nie. Już nie. Kiedyś byłam.

- Zostań dziś ze mną - powiedział. - Chociaż do rana. Dopóki nie wstanie słońce. Noc jest najgorsza - dodał.

- Zostanę - odrzekła Tania, rozpinając pasek płaszcza. - Muszę jednak uzyskać kilka odpowiedzi.

- Co miał na myśli Dryden - powiedział Chien - mówiąc o podniebnym śpiewaniu? Nie rozumiem. Co ma muzyka do nieba?

- Skończy się cały niebieski porządek wszechświata - odparła, wieszając płaszcz w szafie sypialni. Miała na sobie sweter w pomarańczowe pasy i obcisłe spodnie.

- Czy to źle? - zapytał. Zamyśliła się.

- Nie wiem. Chyba tak.

- Czyli muzyce przypisuje się ogromną moc działania - stwierdził.

- Cóż, znasz to stare pitagorejskie pojęcie „muzyki sfer”. - Usiadła na łóżku i zsunęła pantofle.

- Wierzysz w to? - zapytał. - Wierzysz w Boga?

- W Boga! - Zaśmiała się. - To odeszło bezpowrotnie razem z silnikiem parowym. O czym ty mówisz? W Boga czy w boga? - Podeszła bliżej i zajrzała mu w twarz.

- Przestań mi się tak przyglądać - rzucił ostro, odsuwając się. - Nie chcę, żeby ktokolwiek na mnie patrzył. - Odwrócił się ze złością.

- Myślę - powiedziała Tania - że jeśli jakiś Bóg istnieje, ludzkie sprawy nie mają dlań większego znaczenia. To przynajmniej moja teoria. Niespecjalnie troszczy się o triumf zła albo o to, że cierpią i umierają ludzie i zwierzęta. Ja tam nie odczuwam Jego obecności. Poza tym Partia zawsze wykluczała jakąkolwiek formę...

- Czy widziałeś Go? - zapytał. - Kiedy byłeś dzieckiem?

- Ach, jasne, wtedy tak. Wierzyłam też w...

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy - zapytał Chien - że zło i dobro tak naprawdę określają to samo? Że Bóg może być jednocześnie dobrem i złem?

- Zrobię ci drinka - zaofiarowała się Tania i pobiegła boso do kuchni.

- Niszczyciel - powiedział Chien. - Klanker. Połykacz, Ptak, Wirująca Serpentina... plus inne nazwy i formy, sam nie wiem. Miałem halucynacje. Na przyjęciu. Straszne halucynacje.

- Ale stelazyna...

- Spowodowała jeszcze gorsze.

- Czy istnieje sposób - powiedziała poważnie Tania - na to, by zwalczyć to, co widziałeś? Postać, którą nazywasz złudzeniem, mimo że nim wcale nie była?

- Trzeba w to uwierzyć - odparł Chien.

- I co dalej?

- Nic - odparł ze zmęczeniem. - Zupełnie nic. Jestem wykończony, nie chcę drinka. Chodźmy do łóżka.

- Dobrze. - Wróciwszy do sypialni, ściągnęła przez głowę pasiasty sweter. - Omówimy to później.

- Halucynacja - powiedział Chien - to dobrodziejstwo. Szkoda, że ją straciłem,

chciałbym ją odzyskać. Chciałbym cofnąć się do chwili, kiedy twój kramarz wcisnął mi fenotiazynę.

- Chodź do łóżka. Rozgrzejesz się.

Zdjął krawat, koszulę - na prawym ramieniu widniał znak, stygmat pozostawiony dotykiem dłoni tamtego, kiedy powstrzymał go przed upadkiem. Żywe znamię, które wyglądało tak, jak gdyby miało pozostać na zawsze. Włożył górę od piżamy, zakrywając je.

- Zresztą - dodała Tania, kiedy położył się obok niej - twoja kariera i tak posunęła się naprzód. Nie cieszysz się?

- Jasne - odparł, mimo ciemności kiwając głową. - Pewnie, że się cieszę.

- Przysuń się bliżej - powiedziała Tania, otaczając go ramionami. Zapomnij o wszystkim. Przynajmniej w tej chwili.

Przycisnął ją do siebie, robiąc to, o co go poprosiła, i to, na co sam miał ochotę. Była zwinna, uległa i aktywna. Oboje nie odzywali się, aż wreszcie dziewczyna wydała z siebie głębokie westchnienie i opadła na poduszkę.

- Szkoda - powiedział - że to nie może trwać wiecznie.

- Ależ tak - odparła Tania. - Wyszliśmy poza granice czasu, to nieograniczone, jak ocean. Tak było w czasach kambru, zanim przenieśliśmy się na ląd, kołyszą nas prastare wody. To jedyna chwila, kiedy się cofamy, dlatego to takie istotne. Wtedy nie byliśmy rozdzieleni, tworzyliśmy wielką galaretę, podobną do tych, które fale wyrzucają na plażę.

- Po to, by umarli - dorzucił Chien.

- Przyniesiesz mi ręcznik? - zapytała Tania. - Albo gąbkę? Potrzebuję jej.

Poszedł do łazienki po ręcznik. Tam - był teraz nagi -jego spojrzenie ponownie padło na miejsce, gdzie istota chwyciła go i przyciągnęła z powrotem, by dłużej z nim poigrać.

Znamię krwawiło.

Wytarł krew. Widząc, że nadal płynie, zastanowił się, ile zostało mu jeszcze czasu. Może kilka godzin.

Wrócił do łóżka.

- Możesz jeszcze? - zapytał.

- Pewnie. Jeśli masz siłę, to zależy od ciebie. - Tania utkwiała w nim nieruchome spojrzenie, prawie niewidoczna w mętym świetle ciemnego pokoju.

- Mam - powiedział. I przycisnął ją do siebie.

## **OPOWIADANIE NA PODSUMOWANIE WSZYSTKICH OPOWIADAŃ ANTOLOGII HARLANA ELLISONA NIEBEZPIECZNE WIZJE**

W społeczeństwie spustoszonej przez wojnę nuklearną młode kobiety wpadają do futurystycznego ogrodu zoologicznego i kopulują ze zdeformowanymi, pozbawionymi ludzkich cech osobnikami zamkniętymi w klatkach. Kobieta, której ciało powstało ze zmasakrowanych ciał innych kobiet, uprawia seks z żeńskim przedstawicielem jednej z form. Dzięki osiągnięciom futurystycznej nauki dochodzi do zapłodnienia. Rodzi się dziecko i obie rodzicielki toczą między sobą walkę o prawo do niego. Młoda kobieta wygrywa i natychmiast pożera niemowlę z włosami, zębami i całą resztą. Przelknawszy ostatni kęs, stwierdza, że wydała na świat Boga.



## ELEKTRYCZNA MRÓWKA

O czwartej piętnaście po południu Garson Poole obudził się w swoim szpitalnym łóżku, wiedząc, że na oddziale znajduje się oprócz niego jeszcze dwóch pacjentów. Poza tym uświadomił sobie dwie rzeczy: brakowało mu prawej ręki i przestał odczuwać jakikolwiek ból.

Podali mi silny środek przeciwbólowy, uznał, spoglądając na przeciwległą ścianę z oknem wychodzącym na śródmieście Nowego Jorku. Na pajęczynę usianą setkami migoczących w popołudniowym słońcu pojazdów i spieszących się ludzi. Blask zachodzącego słońca sprawił mu przyjemność. Jeszcze nie zgasło, pomyślał. Ja też nie.

Na stoliku obok łóżka leżał telefon, z wahaniem podniósł słuchawkę i wykrecił numer zewnętrzny. Chwilę potem ujrział Louisa Dancemana, który pod nieobecność jego, Garsona Poole'a, sprawował pieczę nad działalnością Tri-Planu.

- Chwała Bogu, że pan żyje - powiedział na jego widok Danceman, na jego mięsistej, ospowatej twarzy odbił się wyraz bezbrzeżnej ulgi. -Dzwoniłem od...

- Nie mam prawej ręki - odparł Poole.

- Ale nic panu nie będzie. To znaczy, na pewno przyszyją drugą.

- Od jak dawna tu jestem? - zapytał Poole. Zastanawiał się, dokąd poszli lekarze i pielęgniarki, dlaczego nikt jeszcze nie wrywał mu słuchawki.

- Od czterech dni - odrzekł Danceman. - W fabryce wszystko idzie jak z płatka. Przyjeliśmy zamówienia z trzech odrębnych agencji policyjnych na Terze. Dwie w Ohio, jedna w Wyoming. Dobre zamówienia, jedna trzecia z góry i standardowa trzyletnia opcja leasingowa.

- Zabierz mnie stąd - powiedział Poole.

- Nie mogę pana zabrać, dopóki nowa ręka...

- Załatwię to później. - Desperacko pragnął znaleźć się w znajomym otoczeniu. Wspomnienie statku handlowego majaczącego przed szybą pilota czaiło się na obrzeżach jego świadomości, gdy przymykał oczy, czuł, jak spadający samolot objaja się o pojazdy, pozostawiając za sobą pasmo zniszczeń. Wrażenia kinetyczne... wzdrygnął się. Chyba mam szczęście, pomyślał.

- Czy jest z panem Sarah Benton? - zapytał Danceman.

- Nie. - Oczywiście, jego osobista sekretarka - choćby z przyczyn czysto

zawodowych - wkrótce zawiśnie nad nim, pielęgnując go na swój nudny, infantylny sposób. Wszystkie tęgie kobiety uwielbiają matkować innym, doszedł do wniosku. Poza tym bywają niebezpieczne, jeden nieuważny ruch może zabić. - Może właśnie to miało miejsce - rzucił na głos. Może Sarah spadła na mój samolot.

- Ależ skąd, w godzinie szczytu pękło spoiwo ogona samolotu i...

- Pamiętam. - Odwrócił się na odgłos otwieranych drzwi, do sali wszedł lekarz wraz z ubranymi na niebiesko pielęgniarzami. Wszyscy troje skierowali się w stronę jego łóżka. - Pogadamy później - powiedział Poole i odłożył słuchawkę.

- Nie powinien pan tak wcześnie prowadzić rozmów telefonicznych - zganił go lekarz, studiując kartę chorego. - Pan Garson Poole, właściciel Tri-Plan Electronics. Twórca strzałek identyfikacyjnych, ścigających ofiarę po obwodzie promienia wynoszącego tysiąc mil i działających na zasadzie przechwytywania unikatowych fal mózgowych. Jest pan człowiekiem sukcesu, panie Poole. Ale, panie Poole, nie jest pan człowiekiem. Jest pan elektryczną mrówką.

- Chryste - odparł w zdumieniu Poole.

- Od kiedy to wiemy, dalsza terapia u nas nie wchodzi w rachubę. Rzecz jasna wiedzieliśmy o tym z chwilą oględzin pańskiej zranionej ręki, dostrzegliśmy elektroniczne komponenty. Prześwietlenie tułowia potwierdziło naszą hipotezę.

- Co to jest „elektryczna mrówka”? - zapytał Poole. Znał odpowiedź, określenie nie było mu obce.

- Organiczny robot - powiedziała pielęgniarzka.

- Rozumiem - odrzekł Poole. Na całym ciele wystąpiły mu krople potu.

- Nie wiedział pan - domyślił się lekarz.

- Nie. - Poole potrząsnął głową.

- Co tydzień mamy tu elektryczne mrówki - oświadczył lekarz. - Albo z wypadków, jak w pańskim przypadku, albo zgłaszają się same, równie nieświadome swego stanu jak pan, gdyż żyły wśród ludzi święcie przekonane o swoim człowieczeństwie. Co się tyczy pańskiej ręki... - Urwał.

- Mniejsza z tym - odparł ze złością Poole.

- Proszę zachować spokój. - Lekarz pochylił się nad nim i bacznie zajrzał mu w twarz. - Szpitalna łódź przetransportuje pana do zakładu naprawczego, gdzie za rozsądną cenę zreperują pańską rękę na koszt pana lub pańskich właścicieli, jeśli tacy istnieją. Tak czy inaczej, niebawem cały i zdrowy wróci pan za swoje biurko w Tri-Planie.

- Tyle że teraz już będę wiedział - odparł Poole. Ciekawiło go, czy Danceman, Sarah lub ktokolwiek z biura o tym wiedział. Czy oni - albo jedno z nich - kupili go? Zaprojektowali? Marionetka, pomyślał, oto czym byłem. Pewnie nigdy tak naprawdę nie zarządzałem firmą, było to zaszczerpione we mnie od początku złudzenie... podobnie jak to, według którego jestem żywą istotą.

- Zanim pan odjedzie - powiedział lekarz - będzie pan łaskawy uiścić w recepcji rachunek.

- Skąd ten rachunek, skoro nie leczycie tu mrówek? - zapytał kwaśno Poole.

- Należność za nasze usługi - odrzekła pielęgniarka. - Świadczone do czasu, kiedy poznaliśmy prawdę.

- Skasujcie mnie - odparował z furią Poole. - Skasujcie moją firmę. - Z wysiłkiem dźwignął się do pozycji siedzącej, czując zawroty głowy, opuścił nogi na podłogę. - Z przyjemnością opuszczę to miejsce - oświadczył, wstając. -I wielkie dzięki za ludzkie traktowanie.

- Również panu dziękujemy, panie Poole - odrzekł lekarz. - A może raczej powinienem powiedzieć Poole.

W zakładzie naprawczym przyprawiono mu brakującą rękę.

Zanim pozwolił technikom ją zainstalować, spoglądał na nią zafascynowany. Z pozoru organiczna, pokryta warstwą naturalnej skóry i wypełniona krwią pulsującą w żyłach, w istocie kryła w sobie sieć miniaturowych elementów, druty i obwody... zaglądając głęboko w nadgarstek zobaczył pompy, silniki, wielostopniowe zawory, wszystko niewiarygodnie małe. Skomplikowane. Ręka kosztowała czterdzieści frogów. Tygodniowa pensja, którą zarabiał w firmie.

- Czy ma gwarancję? - zapytał techników, kiedy scalali „kość” ręki z resztą ciała.

- Dziewięćdziesiąt dni, części i robocizna - odparł jeden z techników. - Chyba że zostanie poddana umyślnemu zniszczeniu.

- Brzmi niezbyt sugestywnie - powiedział Poole.

Technik, mężczyzna - wszyscy byli mężczyznami - zlustrował go bystrym spojrzeniem.

- Udawałeś?

- Nieświadomie - odrzekł Poole.

- Teraz już wiesz?

- Owszem.

- Czy wiesz, dlaczego nigdy nie zgadłeś? Musiały być jakieś znaki... okazjonalne stukanie i dobiegający ze środka szum mechanizmu. Nie zgadłeś, ponieważ tak cię zaprogramowano. Podobnych trudności przysporzy ci odkrycie, po co cię stworzono i dla kogo pracowałeś.

- Niewolnik - powiedział Poole. - Mechaniczny niewolnik.

- Dobrze się bawiłeś.

- Prowadziłem przyzwoite życie - odrzekł Poole, - Ciężko pracowałem.

Zapłacił czterdzieści frogów, poruszał nowymi palcami i sprawdził ich mobilność przy podnoszeniu różnych przedmiotów, po czym wyszedł. Dziesięć minut później na pokładzie publicznego transportowca zmierzał w kierunku domu. Co za dzień.

W swoim jednopokojowym mieszkaniu nalał sobie kieliszek sześćdziesięcioletniego jacka danielsa purple label i popijał go z wolna, spoglądając przez okno na znajdujący się po drugiej stronie ulicy budynek. Czy mam wrócić do biura, rozmyślał. Jeśli tak, to po co? Jeśli nie, to właściwie dlaczego nie? Wybierz jedną z możliwości. Chryste, pomyślał, prawda działa na mnie druzgocąco. Dziwak ze mnie, stwierdził w duchu. Przedmiot nieożywiony udający żywą istotę. Mimo to... czuł się żywy. Odnotował jednak w sobie pewną zmianę. Nie tylko względem siebie, ale i względem innych, zwłaszcza Dancemana i Sarah, w ogóle wszystkich w Tri-Planie.

Chyba się zabiję, pomyślał. Pewnie zaprogramowano mnie, abym tego nie robił, mój właściciel musiałby słono za to zapłacić. Na pewno nie wzbudziłoby to jego entuzjazmu.

Zaprogramowany. Gdzieś we mnie tkwi matryca, sieć krzyżujących się linii, broniąca dostępu do pewnych myśli i działań. I zmuszająca mnie do innych. Nie jestem wolny. Nigdy nie byłem, lecz teraz już o tym wiem; oto cała różnica.

Przyciemniwszy okno, włączył górne światło i zdjął ubranie. Uważnie przyglądał się pracy techników montujących rękę: dało mu to w miarę jasne pojęcie na temat powstania jego ciała. Dwie główne wstawki w udach,

technicy wyjęli je, by sprawdzić umieszczone pod spodem obwody. Jeśli zostałem zaprogramowany, uznał, matryca musi się tam znajdować.

Sieć przewodów oszołomiła go. Potrzebuję pomocy. Zobaczmy... jak brzmi kod komputera BBB, z którego korzystamy w pracy?

Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer stałej lokacji komputera w Boise w stanie Idaho.

- Korzystanie z komputera kosztuje pięć frogów za minutę - oznajmił mechaniczny głos. - Proszę przytrzymać przed monitorem swoją kartę kredytową.

Tak też zrobił.

- Na odgłos brzęczka zostanie pan połączony z komputerem - podjął głos. - Proszę zadać pytanie w miarę szybko, biorąc pod uwagę fakt, że odpowiedź zostanie dostarczona w granicach mikrosekundy, podczas gdy pytanie... - Ściszył głos. Natychmiast jednak znów podkreślił głośność, gdyż na monitorze pojawiła się pusta plansza komputera. W tym momencie komputer stał się gigantycznym uchem, które słuchało jego oraz pięćdziesięciu tysięcy innych głosów na całej Terze.

- Przeskanuj mnie wizualnie - poinstruował urządzenie. - I powiedz, w którym miejscu znajdę mechanizm kontrolujący moje zachowanie i myśli. - Czekał. Z monitora wyjrzało ruchliwe fasetkowe oko. Stał przed monitorem, by mogło go lepiej widzieć.

- Proszę zdjąć osłonę klatki piersiowej - powiedział komputer. - Należy nacisnąć mostek i poluzować.

Wypełnił polecenie. Osłona klatki piersiowej ustąpiła, czując zawroty głowy, postawił ją na podłodze.

- Widzę moduły kontrolne - powiedział komputer - nie wiem jednak który... - Urwał, podczas gdy oko kontynuowało wędrówkę po monitorze. - Rozróżniam szpulę taśmy perforowanej ponad mechanizmem serca. Widzi pan? - Poole zgiął kark, wytrzeszczając oczy. Zobaczył. - Muszę się rozłączyć - powiedział komputer. - Po skonsultowaniu dostępnych danych, skontaktuję się z panem i podam odpowiedź. Miłego dnia. - Ekran zgasł.

Wyjmę z siebie taśmę, postanowił Poole. Mała... nie większa niż dwie szpulki nici, ze skanerem zamontowanym pomiędzy jednym bębenkiem a drugim. Nie dostrzegł żadnego ruchu, szpule wydawały się nieruchome. Pewnie włączają się w wyjątkowych sytuacjach. Pełnią kontrolę nad procesami mózgowymi. Robiły to przez całe moje życie.

Wyciągnąwszy rękę, dotknął jednej z nich. Wystarczy tylko wyszarpnąć ją na zewnątrz, pomyślał, i...

Monitor ożywił się ponownie.

- Karta kredytowa numer 3-BNX-882-HQR446-T - zabrzmiał głos komputera.

- Tu BBB-307DR w odpowiedzi na pańskie pytanie ze stratą szesnastu sekund z dnia 4 listopada, 1992 roku. Taśma perforowana ponad mechanizmem serca nie jest ośrodkiem kontroli, lecz układem uzupełniającym rzeczywistość. Wszystkie wrażenia otrzymywane przez centralny układ nerwowy emanują z tej jednostki. Wszelka ingerencja jest ryzykowna, o ile nie śmiertelna. Odpowiedź udzielona. Miłego dnia. -I wyłączył się.

Stojąc nago przed monitorem, Poole ponownie dotknął szpuli. Rozumiem, pomyślał. A może jednak nie? Ten element...

Jeśli przetnę taśmę, mój świat zniknie. Dla innych rzeczywistość będzie trwała nadal, ale nie dla mnie. Ponieważ moja rzeczywistość, mój wszechświat, pochodzi z tego minimodułu. Ze skanera przedostaje się do ośrodka nerwowego i rozwija w ślimaczym tempie.

Rozwija się od lat.

Sięgnął po ubranie, włożył je i usiadł w głębokim fotelu - sprowadzonym specjalnie dla niego z głównej siedziby Tri-Planu. Zapalił papierosa. Kiedy odkładał zapalniczkę, drżały mu ręce, wcisnął się głębiej w fotel i otoczył obłokiem dymu.

Muszę działać powoli, postanowił w duchu. Co ja właściwie próbuję uzyskać? Oszukać swoje oprogramowanie? Przecież komputer nie znalazł obwodu programującego. Czy chcę zakłócić działanie taśmy rzeczywistości? Jeśli tak, to dlaczego?

Ponieważ jeśli będę ją kontrolował, posiadam kontrolę nad rzeczywistością. Przynajmniej z mojego punktu widzenia. Moja subiektywna rzeczywistość... to wszystko, co istnieje. Rzeczywistość obiektywna to twór syntetyczny dotyczący hipotetycznej uniwersalizacji licznych rzeczywistości subiektywnych.

Mój wszechświat leży w zasięgu moich palców, uświadomił sobie. Obym tylko mógł rozgryźć sposób jego funkcjonowania. Początkowo miałem zamiar odszukać obwód programujący celem osiągnięcia funkcjonowania homeostatycznego: czyli kontroli nad sobą. W tej sytuacji jednak...

W tej sytuacji jednak nie tylko zyskiwał kontrolę nad sobą, zyskiwał kontrolę nad wszystkim.

I tym różnię się od ludzi, którzy kiedykolwiek żyli i umarli, pomyślał niewesoło.

Podszedł do telefonu i wykręcił numer swojego biura. Gdy na monitorze ukazała się twarz Dancemana, powiedział:

- Przyślij mi pełen zestaw mikronarzędzi i ekran powiększający. Muszę popracować nad pewnym mikroobwodem. - Po czym przerwał połączenie, chcąc uniknąć niepotrzebnych pytań.

Pół godziny później ktoś zastukał do drzwi. Otworzywszy je, ujrzał jednego z brygadzystów z naręczem różnego rodzaju mikronarzędzi.

- Nie powiedział pan dokładnie, o które chodzi - wyjaśnił brygadzista, wchodząc do środka. - Dlatego pan Danceman kazał mi przynieść wszystkie.

- A ekran powiększający?

- Jest w ciężarówce, na dachu.

Może tak naprawdę chcę umrzeć, pomyślał Poole. Zapalił papierosa i poczekał, aż brygadzista przyciągnie do mieszkania ciężki ekran wraz z akumulatorem i panelem kontrolnym. Co ja wyprawiam, przecież to samobójstwo. Zadrzał.

- Coś się stało, panie Poole? - zapytał brygadzista, uwolniony od ciężaru wielkiej soczewki. - Pewnie wciąż niedomaga pan po wypadku.

- Tak - odrzekł cicho Poole. Oczekał, aż brygadzista sobie pójdzie. Pod soczewką powiększającą, plastikowa taśma przybrała nowy

kształt: szerokie pasmo upstrzone setkami tysięcy dziurek. Tak myślałem. Nie ładunki na płycie pokrytej tlenkiem żelaza, lecz wybite otwory.

Pasek taśmy przesuwiał się do przodu. Niezmiernie powoli, a jednak ze stałą prędkością przesuwiał się w kierunku skanera.

O ile dobrze rozumiem, pomyślał, otwory stanowią okno na świat. To działa na zasadzie pianoli; gładka część znaczy „nie”, perforowana - „tak”. Jak mogę to sprawdzić?

Rzecz jasna zasklepiając część otworów.

Ocecił długość taśmy pozostałej na pierwszej szpuli, obliczył - nie bez trudu - szybkość przesuwania taśmy i otrzymał wynik. Gdyby przekształcił taśmę widoczną u skraju skanera, na efekt musiałby czekać od pięciu do siedmiu godzin. W rezultacie wymazałby bodźce, od których dzieliło go kilka godzin.

Za pomocą mikropędzla zamalował dużą - względnie dużą - część taśmy nieprzejrzystą emalią... znalezioną w zestawie dołączonym do narzędzi. Wylimitowałem bodźce na jakieś pół godziny, pomyślał. Pokryłem przynajmniej tysiąc otworów.

Myśl o tym, w jaki sposób po upływie sześciu godzin wpłynie to na jego

otoczenie, wydała mu się bardzo interesująca.

Pięć i pół godziny później siedział u Kraktera, w luksusowym barze na Manhattanie, i pił drinka z Dancemanem.

- Źle pan wygląda - stwierdził Danceman.

- Bo tak się czuję - odparł Poole. Dopił szkocką i zamówił następnego drinka.

- Przez ten wypadek?

- W pewnym sensie tak.

- Czy... czy chodzi o coś, czego pan się na swój temat dowiedział? zapytał Danceman.

Poole podniósł głowę i przyjrzał mu się przyćmionym światłem baru.

- A więc wiesz.

- Wiem - odrzekł Danceman - że powinienem nazywać pana „Poole” zamiast „pan Poole”. Niemniej jednak wolę to drugie i niech tak zostanie.

- Od jak dawna wiesz? - zapytał Poole.

- Od kiedy przejął pan firmę. Powiedziano mi, że faktyczni właściciele Tri-Planu, którzy mieszkają w Układzie Prox, chcieli, aby firmą zarządzała elektryczna mrówka, nad którą mogliby mieć kontrolę. Chcieli bystrego i zdecydowanego...

- Faktyczni właściciele? - Pierwszy raz o tym słyszał. - Przecież mamy dwa tysiące udziałowców. Rozsianych po całym wszechświecie.

- Marvis Bey i jej mąż Ernan z Prox 4 posiadają pięćdziesiąt jeden procent akcji. Tak było od początku.

- Dlaczego nic o tym nie wiedziałem?

- Miałem nic panu nie mówić. Miał pan myśleć, że polityka firmy jest pańskim dziełem. Przy moim niewielkim udziale. W gruncie rzeczy jednak wmawiałem panu to, co państwo Bey wmawiali mnie.

- Jestem marionetką - stwierdził Poole.

- W pewnym sensie tak. - Danceman skinął głową. - Dla mnie jednak zawsze pozostanie pan „panem Poole”.

Zniknął fragment ściany. Wraz z nim kilka osób siedzących przy sąsiednich stolikach. I...

Widoczny za oknem zarys budynków centrum Nowego Jorku rozpląnął się w powietrzu.

- Co się stało? - zapytał na widok jego miny Danceman.



- Rozejrzyj się - rzucił chrapliwie Poole. - Czy widzisz jakąś zmianę?  
- Nie - odparł Danceman, rozejrzawszy się po sali. - O jaką zmianę chodzi?  
- Widzisz zarys budynków?  
- Pewnie. Zadymione jak zawsze. Światła mrugają...  
- Teraz już wiem - przerwał mu Poole. Miał rację, każde zaklejenie perforacji oznaczało zniknięcie kogoś z rzeczywistych obiektów. - Do zobaczenia, Danceman  
- powiedział, wstając. - Pędzę do domu, muszę jeszcze coś dokończyć. Dobranoc. -  
Wyszedł z baru i rozejrzał się za taksówką.

Nie dostrzegł żadnej.

I te również, pomyślał. Ciekawe, co jeszcze zamalowałem. prostytutki? Kwiaty? Więzienia?

Na parkingu stał samolot Dancemana. Wezmę go, postanowił. W świecie Dancemana istnieją taksówki, będzie mógł jedną złapać. Zresztą pojazd i tak należy do firmy, mam drugi klucz.

Chwilę później samolot pruł powietrze, lecąc w kierunku domu Poole'a.

Po Nowym Jorku nie zostało ani śladu. Po obu stronach znajdowały się samochody, budynki, ulice, przechodnie, znaki... a pośrodku nic. Jak mam tam polecieć, pomyślał. Przecież zniknę.

A może nie? Skierował się w stronę pustki.

Pałac jednego papierosa za drugim, przez piętnaście minut kołował w powietrzu... wreszcie, bez najłżejszego szmeru, w dole pojawiło się miasto. Mógł zakończyć swą podróż. Zgasił papierosa (co było niewyobrażalnym marnotrawstwem) i poleciał w kierunku domu.

Jeśli włożę wąski, nieprzezroczysty pasek, zastanawiał się, otwierając drzwi, będę mógł...

Tok jego myśli urwał się gwałtownie. Ktoś siedział w fotelu w salonie i oglądał telewizję.

- Sarah - powiedział zirytowany. Wstała, pulchna, choć niepozbawiona gracji.

- Nie zastałam pana w szpitalu, więc przyszłam tutaj. Nadal mam klucz, który dał mi pan w marcu, po tej okropnej kłótni. Ach... jaki pan przygnębiony. - Podeszła bliżej i z niepokojem zajrzała mu w oczy. - Czy rana aż tak bardzo boli?

- Nie o to chodzi. - Zdjął płaszcz, krawat, koszulę oraz osłonę klatki piersiowej, przykucnąwszy, nałożył rękawiczki do kontroli mikronarzędzi. Podniósł na nią wzrok i powiedział: - Dowiedziałem się, że jestem elektryczną mrówką. Z

pewnego punktu widzenia otwiera to wiele nowych możliwości, które w tej chwili usiłuję zgłębić. - Poruszył palcami i powiększony soczewką mikrośrubokręt drgnął. - Możesz popatrzeć - poinformował ją. - Jeśli masz na to ochotę.

Zaczęła płakać.

- Co jest? - zapytał ze złością, nie podnosząc oczu znad wykonywanego zajęcia.

- Ja... to takie smutne. Był pan takim dobrym pracodawcą dla nas w Tri-Planie. Bardzo pana szanujemy. A teraz wszystko się zmieniło.

U dołu i na górze plastikowej taśmy biegł gładki, nieperforowany pasek, Poole odciął go i po chwili skupienia przeciął taśmę w odległości czterech godzin od głowicy skanera. Następnie umocował odcięty fragment pod kątem prostym w stosunku do skanera i przylutował go mikrolutownicą, po czym do obu jego stron dołączył szpulę taśmy. Tym sposobem biegnący strumień rzeczywistości zyskał dwadzieścia martwych minut. Według jego obliczeń zmiana miała wejść w życie kilka minut po północy.

- Naprawia się pan? - zapytała nieśmiało Sarah.

- Uwalniam się - odrzekł Poole. Już rozmyślał o wprowadzeniu kolejnych zmian. Najpierw jednak musiał sprawdzić słuszność swojej teorii, jeśli czysta, nieperforowana taśma oznacza zero bodźców, to wobec tego brak taśmy...

- Ta pańska mina - powiedziała Sarah. Sięgnęła po torebkę, płaszcz i zwinięte czasopismo. - Pójdę już, widzę, co pan myśli na temat mojej obecności.

- Zostań - rozkazał. - Pooglądamy razem telewizję. - Narzucił koszulę. - Pamiętasz, jak wiele lat temu mieliśmy... ile to?... dwadzieścia lub dwadzieścia dwa kanały? Zanim rząd zamknął niezależne stacje?

Kiwnęła głową.

- Jak by to było - ciągnął - gdyby na ekranie pojawiły się wszystkie programy naraz? Czy uważasz, że dałoby się coś zrozumieć z tego chaosu?

- Nie sądzę.

- Może moglibyśmy się tego nauczyć. Nauczyć się bycia selektywnym, postrzegania tego, co chcemy zobaczyć. Pomyśl o możliwościach, gdyby nasze umysły poradziły sobie z dwudziestoma obrazami naraz, pomyśl o ogromie wiedzy przechowywanej przez dany okres. Zastanawiam się, czy mózg, mózg człowieka... - Urwał. - Mózg człowieka temu nie podoła - doszedł do wniosku po chwili namysłu. - Ale teoretycznie rzecz biorąc, pseudoorganiczny móglby.

- Czy właśnie taki pan ma? - zapytała Sarah.

- Owszem - odparł Poole.

Obejrzeni program do końca i poszli spać. Poole jednak siedział oparty o poduszki i palił papierosa pogrążony w niewesołych myślach. Leżąca obok niego Sarah co chwila zmieniała pozycję, zastanawiając się, dlaczego jeszcze nie zgasił światła.

Za dziesięć dwunasta. To może zdarzyć się w każdej chwili.

- Sarah - powiedział. - Potrzebuję twojej pomocy. Za chwilę stanie się ze mną coś dziwnego. To nie potrwa długo, chciałbym jednak, abyś obserwowała mnie uważnie. Sprawdziła, czy... - machnął ręką - ...będzie po mnie widać jakąś zmianę. Jeżeli zachce mi się spać albo zacznę opowiadać bzdury, albo też... - Miał na końcu języka, zniknę. Pohamował się jednak. - Nie zrobię ci krzywdy, ale sądzę, że lepiej będzie, jak się uzbroisz. Masz przy sobie jakąś broń?

- W torebce. - Rozbudziła się na dobre, usiadła na łóżku, patrząc na niego z przerażeniem. W świetle lampy jej pulchne ramiona były opalone i piegowate.

Przyniósł jej broń.

Pokój znieruchomiał. Kolory się rozmyły. Przedmioty malały, by wreszcie na podobieństwo dymu stać się podobne do cieni. Ciemność osnuła pomieszczenie.

Bodźce zanikają, uświadomił sobie Poole. Przymrużył oczy, wytyżając wzrok. Wyłonił z mroku siedzącą na łóżku postać Sary Benton: dwuwymiarowa kukielka, która z każdą chwilą coraz bardziej rozpływała się w powietrzu. Przypadkowe zlepki zdematerializowanej substancji łączyły się w obłoki, szczepione elementy rozdzielały się, by za chwilę znów się scalić. Wreszcie ostatni podmuch ciepła, energia i światło znikły, pokój zapadł się w sobie, odciął od rzeczywistości. W tym momencie na wszystko spłynęła absolutna czerń, przestrzeń bez dna, nie nocna, lecz raczej sztywna i nieustępliwa. Przestał cokolwiek słyszeć.

Spróbował czegoś dotknąć. Nie miał jednak czym sięgnąć. Świadomość ciała opuściła go, podobnie jak pozostałe elementy wszechświata. Nie miał rąk, a nawet gdyby było inaczej, nie istniało nic, czego mógłby nimi dotknąć.

Czyli mam rację co do działania tej cholernej taśmy, z nieistniejących ust dobyła się niewidzialna wiadomość.

Czy to minie po dziesięciu minutach, zastanawiał się. Czy i co do tego się nie

pomyliłem? Czekał... lecz odgadł intuicyjnie, że postradał również poczucie czasu. Pozostaje mi tylko czekać, pomyślał. Mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

Dla uspokojenia, pomyślał, ułożę sobie encyklopedię. Zacznę od wyrazów na „a”. Zobaczmy. Zastanowił się. Akumulator, automobil, aksjomat, atmosfera, Atlantyk, arka, atom - myślał, a kategorie przesuwają się przez jego udręczony strachem umysł.

Ni stąd, ni zowąd rozbłysło światło.

Leżał na tapczanie w salonie, do którego przez jedyne okno sączył się łagodny blask słońca. Pochylało się nad nim dwóch mężczyzn z rękami pełnymi narzędzi. Mechanicy, pomyślał. Naprawiają mnie.

- Odzyskał świadomość - powiedział jeden z techników. Wstał i odsunął się, rozdygotana Sarah Benton zajęła jego miejsce.

- Dzięki Bogu! - wilgotny szept wionął w ucho Poole'a. - Tak strasznie się bałam, wreszcie powiadomiłam pana Dancemana...

- Co się stało? - przerwał jej ostro Poole. - Zaczynaj od początku i na miłość boską mów wolniej. Chciałbym złożyć wszystko w jedną całość.

Sarah opanowała się, wydmuchała nos i podjęła nerwowo:

- Zemdlał pan. Leżał jak martwy. Poczekalam do drugiej trzydzieści, a pan nic. Zadzwoiłam do pana Dancemana, obudziłam go, a on powiadomił serwis elektrycznych mrówek... to znaczy, serwis robotów organicznych. Mniej więcej za kwadrans piąta przyjechali ci ludzie i aż do teraz zajmowali się panem. Właśnie minęła szósta piętnaście. Strasznie mi zimno i najchętniej poszłabym spać, nie pójdę dziś do biura, naprawdę nie mogę. - Odwróciła się, pociągając nosem. Dźwięk ten wyprowadził go z równowagi.

- Zabawiałeś się swoją taśmą rzeczywistości - stwierdził jeden z techników.

- Tak - odrzekł Poole. Po co miał zaprzeczać? Na pewno znaleźli doklejoną kawałek. - Nie powinienem tak długo być nieprzytomny - powiedział. - Dołączyłem tylko dziesięciominutowy pasek.

- Zablokował przesuwanie taśmy - wyjaśnił technik. - Zaklinowała się automatycznie, by uniknąć pęknięcia. Po coś jej w ogóle dotykał? Nie wiesz, co do ciebie należy?

- Nie jestem pewien - odparł Poole.

- Chyba się jednak domyślasz.

- Dlatego właśnie to robię - odparł zjadliwie Poole.

- Twój rachunek - powiedział technik - wyniesie dziewięćdziesiąt pięć frogów. Płatne w ratach, jeśli sobie tego życzysz.

- Dobrze - odparł. Usiadł chwiejnie, potarł oczy i skrzywił się. Bolała go głowa, a w brzuchu miał kompletną pustkę.

- Następnym razem bądź ostrożniejszy - poradził mu pierwszy technik. - Żeby się nie zacięła. Nie przyszło ci do głowy, że ma wbudowany czujnik bezpieczeństwa? Prędzej się zatrzyma niż...

- Co się stanie - przerwał mu Poole ściszym głosem, starannie cedząc słowa - jeśli taśma nie przejdzie pod skanerem? Zero taśmy... zupełnie nic. Fotokomórka pozbawiona pozornej oporności?

Technicy wymienili spojrzenia.

- Wszystkie neuroobwody wyskoczą ze swoich szczelin i nastąpi spięcie.

- Co to oznacza? - zapytał Poole.

- Koniec mechanizmu.

- Zbadałem obwód - odrzekł Poole. - Nie ma do tego wystarczającej mocy. Pod takim ładunkiem prądu metal nie stopi się, nawet jeśli terminale się stykają. Mówimy tu o jednej milionowej wata na odcinku długości około jednej szesnastej cala. Załóżmy, że na otwory taśmy przypada miliard możliwych kombinacji. Rezultat całkowity nie kumuluje się; siła prądu zależy od właściwości baterii dla danego modułu, czyli nie jest duża. Przy stałym ruchu taśmy.

- Dlaczego mielibyśmy kłamać? - zapytał z rezygnacją jeden z techników.

- Dlaczego nie? - odrzekł Poole. - Mam przed sobą możliwość doświadczenia wszystkiego. Jednocześnie. Poznać wszechświat w całości, zetknąć się z całą rzeczywistością. To coś, czego nie dokonał żaden człowiek. Koncert symfoniczny dobiegający spoza czasu, wszystkie nuty i instrumenty rozbrzmiewające jednocześnie. I wszystkie symfonie. Rozumiecie?

- To cię wypali - odrzekli jednym głosem technicy.

- Raczej nie - odpowiedział Poole.

- Napije się pan filiżankę kawy, panie Poole? - zapytała Sarah.

- Tak - odparł. Opuściwszy nogi z tapczanu, dotknął chłodnymi stopami podłogi. Zadrżał. Następnie wstał. Bolało go całe ciało. W sumie mogli się lepiej postarać.

Przy stole ustawionym w rogu pokoju Garson Poole popijał kawę, siedząc

naprzeciw Sary. Technicy już dawno wyszli.

- Nie będzie pan przeprowadzał na sobie więcej eksperymentów, prawda? - zapytała żałośnie Sarah.

- Chciałbym przejąć kontrolę nad czasem - wycedził Poole. - Móc go odwrócić. - Wytnę fragment taśmy i przylutuję go do góry nogami. Sekwencje przyczynowo-skutkowe pobiegą w przeciwnym kierunku. Zejdę ryłem ze schodów prowadzących z dachu, otworzę drzwi, podejść tyłem do zlewu, skąd wyjmę stertę brudnych naczyń. Potem usiądę przy stole naprzeciw tej sterty i napełnię każde naczynie pokarmem z żołądka... Później zaniosę jedzenie do lodówki. Następnego dnia wyjmę je z lodówki, zapakuję w torby, które zaniosę do supermarketu, gdzie ułożę produkty na odpowiednich półkach. Przy kasie wypłacę mi za pieniądze. Jedzenie zostanie zapakowane wraz z pozostałymi towarami do wielkich, plastikowych pudeł, wywiezione z miasta i przetransportowane do fabryk hydroponicznych na Atlantyku, gdzie dołączy do drzew i krzewów, ciał martwych zwierząt lub zostanie wepchnięte głęboko do ziemi. Cóż jednak dzięki temu uzyskam? Taśma biegnąca do tyłu... Nie dowiem się nic więcej prócz tego, co wiem teraz, a to za mało.

Pragnę całkowitego i ostatecznego obrazu rzeczywistości, na jedną mikrosekundę. Potem wszystko przestanie się liczyć, gdyż stanie się jasne, nie zostanie nic, co można by jeszcze zrozumieć.

Mogę spróbować jeszcze jednej zmiany, pomyślał. Zanim przetnę taśmę. Wytnę w taśmie nowe otwory i zobaczę, co z tego wyniknie. To będzie ciekawe, gdyż nie mam pojęcia na temat znaczenia nowych otworów.

Czubkiem mikronarzędzia wyciął w taśmie kilka przypadkowych dziurek. Tak blisko skanera, jak tylko się dało... nie chciał długo czekać.

- Ciekaw jestem, czy to zobaczysz - rzekł do Sary. Pewnie nie, pomyślał. - Coś może się pojawić - dodał. - Chciałbym cię ostrzec, nie masz się bać.

- O rany - powiedziała słabym głosem Sarah.

Popatrzył na zegarek. Upłynęła jedna minuta, druga, trzecia. Po czym...

Na środku pokoju pojawiło się stado zielonych i czarnych kaczek. Z energicznym kwakaniem poderwały się z podłogi i uniosły do sufitu rozedrganą masą piór i skrzydeł, w obłąkańczym pragnieniu ucieczki.

- Kaczki - zauważył ze zdziwieniem Poole. - Wybiłem dziurę stadu dzikich

kaczek.

Naraz pojawiło się coś innego. Parkowa ławka, na której siedział starszy, obszarpany mężczyzna czytający podartą, wygniecioną gazetę. Podniósł wzrok i na widok Poole'a pokazał w uśmiechu kiepsko wykonane protezy, po czym jak gdyby nigdy nic powrócił do lektury.

- Widzisz go? - zapytał Sarę Poole. - I kaczki. - Naraz kaczki i włóczęga znikli. Nie pozostał po nich żaden ślad. Ich pora minęła wraz z przesunięciem taśmy.

- Nie były prawdziwe - powiedziała Sarah. - Były? No to jak...

- Ty nie jesteś prawdziwa - oznajmił Poole. - Jesteś jednym z bodźców na mojej taśmie rzeczywistości. Otworem, który można zamalować. Czy istniejesz też na innych taśmach bądź też w rzeczywistości obiektywnej? - Nie wiedział, trudno mu było cokolwiek stwierdzić. Być może Sarah również nie miała na ten temat zielonego pojęcia. Być może istniała na tysiącu taśm rzeczywistości, może nawet na wszystkich, jakie do tej pory wyprodukowano. - Jeśli przetnę taśmę - powiedział - będziesz wszędzie i nigdzie. Tak jak wszystko we wszechświecie. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Istnieję naprawdę - zająknęła się Sarah.

- Chciałbym poznać cię na wskroś - ciągnął Poole. - Aby to zrobić, muszę przeciąć taśmę. Jeżeli nie uczynię tego teraz, nastąpi to później, taka kolej rzeczy jest nieunikniona. - Na co właściwie czekam, pomyślał. Poza tym zawsze istnieje możliwość, że Danceman zgłosił moją niesubordynację producentowi, który postanowi powstrzymać mnie za wszelką cenę. Pewnie dlatego, że stanowią zagrożenie dla jego własności - dla siebie samego.

- Przez pana żałuję, że nie poszłam do biura - powiedziała Sarah 2 ustami wygiętymi w podkówkę.

- Idź - odparł Poole.

- Nie zostawię pana samego.

- Nic mi nie będzie - zapewnił ją Poole.

- Akurat. Odłączy się pan albo coś w tym rodzaju, zabije się, ponieważ stwierdził, że jest elektryczną mrówką, a nie człowiekiem.

- Może i tak - odrzekł po chwili. Może wszystko sprowadzało się właśnie do tego.

- Nie jestem w stanie pana powstrzymać - powiedziała.

- Nie. - Na potwierdzenie skinął głową.

- A jednak zostanę - uznała Sarah. - Nawet jeśli nie mogę pana powstrzymać. Dlatego że gdybym wyszła, a pan by się zabił, do końca życia zadawałabym sobie pytanie, co by się stało, gdybym jednak została. Rozumie pan?

Ponownie kiwnął głową.

- Proszę bardzo - powiedziała Sarah. Wstał.

- Nie odczuję bólu - powiedział. - Chociaż mogę sprawiać takie wrażenie. Pamiętaj, że roboty organiczne mają w ciele minimalne obwody bólowe. Zamiast tego doświadczę najintensywniejszej...

- Niech pan przestanie - wpadła mu w słowo. - Proszę robić to, co pan zamierza, albo nie robić tego w ogóle.

Niezgrabnie - bardzo się bał - naciągnął rękawice do obsługi mikronarzędzi i sięgnął po miniaturowy skalpel.

- Przetnę taśmę zamontowaną w piersi - wyjaśnił, śledząc przez soczewkę ruch narzędzia. -I tyle. - Gdy podnosił skalpel, zadrżała mu ręka. Za chwilę będzie po wszystkim, pomyślał. Po wszystkim. I... będę miał czas, aby złączyć fragmenty taśmy. Przynajmniej pół godziny. Jeżeli zmienię zdanie.

Przeciął taśmę.

- Nic się nie stało - wyszeptała skulona ze strachu Sarah.

- Mam trzydzieści lub czterdzieści minut. - Zdjąwszy rękawiczki, ponownie usiadł przy stole. Zauważył, że drży mu głos, niewątpliwie Sarah również była tego świadoma. Rozzłościł się na siebie, wiedząc, że ją wystraszył. - Przepraszam - rzucił bez sensu, chciał ją pocieszyć. - Może powinnaś już iść - dodał w przypiływie paniki i zerwał się z krzesła. Ona uczyniła to samo, jak gdyby go naśladować, przestraszona stała naprzeciw niego. Idź sobie - rozkazał ostro. - Wracaj do biura, tam gdzie powinnaś być. Gdzie oboje powinniśmy być. - Zlutuję taśmę, postanowił. Nie mogę znieść tego napięcia.

Sięgnął po rękawiczki i próbował nasunąć je na zeszywniałe palce. Spoglądając przez soczewkę dostrzegł skierowany ku górze promień z fotokomórki celujący prosto w skaner, jednocześnie zobaczył, jak koniec taśmy znika pod skanerem... zrozumiał, za późno, pomyślał. To już koniec. Boże dopomóż. To wydarzyło się szybciej, niż przewidziałem. A więc teraz...

Ujrzał jabłka, kocie łby i zebry. Poczł ciepło, jedwabisty dotyk tkaniny, ogarnęły go fale oceanu i porywisty wiatr z północy, jakby chcąc go dokądś zabrać. Wszędzie widział Sarę i Dancemana. Nowy Jork lśnił



w ciemnościach, samoloty przelatywały obok niego nocą i dniem, podczas suszy i ulewy. Masło topiło mu się na języku, smród drażnił nozdrza i obrzydliwy smak zalewał gardło: kwaśna obecność trucizn, cytryn oraz źdźbeł letniej trawy. Tonął, spadał, leżał w ramionach kobiety na wielkim, białym łożu, słysząc w uszach pobrzękiwanie upływającego czasu: ostrzegawczy dźwięk zepsutej windy w starym, zrujnowanym hotelu. Żyję, żyłem, nigdy nie będę żył, pomyślał i wraz z jego myślami nadbiegło każde słowo, każdy szmer, owady pędziły w obłąkańczej gonitwie, on zaś pogрузił się do połowy we wnętrzu homeostatycznej maszyny gdzieś w pracowniach Tri-Planu.

Chciał powiedzieć coś Sarze. Otworzywszy usta, próbował wydobyć z nich słowa - logiczny ciąg spośród skłębionej masy rozpalającej mu umysł i trawiącej go swym skrajnym znaczeniem.

Jego usta płonęły. Zastanawiał się dlaczego.

Przyciśnięta do ściany Sarah Benton otworzyła oczy i zobaczyła kłęb dymu dobywający się z na pół otwartych ust Poole'a. Robot opadł na kolana i łokcie, po czym z wolna osunął się na podłogę. Od razu wiedziała, że „umarł”.

Sam sobie to zrobił, pomyślała. I nie czuł bólu, tak powiedział. Przynajmniej nie bardzo, może troszkę. Zresztą i tak już po wszystkim.

Lepiej zdzwonię do pana Dancemana i opowiem mu, co się stało, postanowiła. Wciąż roztrzęsiona podeszła do telefonu i wykręciła numer.

Myślał, że jestem tylko bodźcem na jego taśmie rzeczywistości, stwierdziła w duchu. Uważał, że umrę z chwilą jego „śmierci”. Dziwne, pomyślała. Skąd mu to przyszło do głowy? Nigdy nie stanowił części prawdziwego świata, „żył” we własnej elektronicznej rzeczywistości. Jakie to dziwne.

- Panie Danceman - powiedziała, gdy połączono ją z biurem. - Poole odszedł. Zniszczył się na moich oczach. Niech pan lepiej tu przyjedzie.

- Nareszcie się od niego uwolniliśmy.

- Tak, czy to nie miłe?

- Przyślę tam paru ludzi - odrzekł Danceman. Popatrzył ponad jej ramieniem i dostrzegł Poole'a leżącego przy kuchennym stole. - Proszę iść do domu i odpocząć - polecił. - Musi pani być tym wszystkim wyczerpana.

- Tak - odrzekła. - Dziękuję, panie Danceman. - Odłożyła słuchawkę i dalej stała nieruchomo.

Wówczas coś przykuło jej uwagę.

Moje ręce, pomyślała. Podniosła je. Jak to się dzieje, że przez nie widzę?

Ściany pokoju również zbladły.

Drżąc, podeszła do nieruchomego robota i stanęła przy nim, nie wiedząc, co robić. Przez jej stopy prześwitywał dywan, następnie dywan rozplątał się i ujrzała pod nim dalsze warstwy rozpadającej się materii.

Może zdołam złutować taśmę, pomyślała. Lecz nie wiedziała jak. Sylwetka Poole'a również stopniowo stała się niewyraźna.

Owiał ją poranny wiatr. Nie czuła go, przestała odczuwać cokolwiek.

A wiatr wiał.

## CADBURY, BÓBR, KTÓREMU ZABRAKŁO

Dawno, dawno temu, na długo przed tym, nim wymyślono pieniądze, żył sobie bóbr o imieniu Cadbury. Mieszkał pod niewielką tamą, którą zbudował własnymi zębami i łapami, i zarabiał na życie ścinaniem krzaków, drzew oraz innych leśnych przeszkód w zamian za kolorowe żetony do pokera. Najbardziej lubił żetony niebieskie, te jednak trafiały się rzadko i tylko za jakieś wyjątkowo pracochłonne zadanie. W ciągu wielu lat uzbierał zaledwie trzy takie żetony. Czuł jednak, że istnieje ich więcej i nierzadko odrywał się od pracy, by przy filiżance kawy rozpuszczalnej snuć przemyślenia na temat wszystkich żetonów, z niebieskimi włącznie.

Hilda, jego żona, przy każdej okazji służyła mu nieproszoną radą.

- Spójrz tylko na siebie - mówiła swoim zwyczajem. - Naprawdę powinieneś pójść do psychiatry. Twój stos białych żetonów stanowi zaledwie połowę tego, co nagromadzili Ralf, Peter, Tom, Bob, Jack i Earl. Oni uwijają się przy pracy, podczas gdy ty marzysz o tych cholernych niebieskich żetonach, których i tak nigdy nie zbierzesz, gdyż mówiąc wprost, brakuje ci talentu, energii i przedsiębiorczości.

- Energia i przedsiębiorczość - kwitował ponuro Cadbury - to jedno i to samo. - Czuł jednak, że żona ma rację. To stanowiło jej główną wadę: niezmiennie racja była po jej stronie, podczas gdy on nie miał nic prócz garści kurzu. A przecież w życiu prawda położona na szali przeciwko garści kurzu niezmiennie przeważa.

Cadbury doszedł do wniosku, że Hilda miała rację, i wyskrobał z sekretnego schowka - płytkiego wgłębienia pod niewielkim kamieniem osiem białych żetonów, a następnie udał się dwie i trzy czwarte mili do najbliższego psychiatry. Był to dobroduszny królik o wałkowatej posturze, który, zgodnie z tym, co mówiła jego żona, zarabiał piętnaście tysięcy rocznie i nikt nie robił z tego ceregieli.

- Przyjemny dzień - rzucił przyjaźnie doktor Drat, połykając dwie pastylki na żołądek i odchylając się na grubo wyściełanym krześle obrotowym.

- Czyja wiem, czy przyjemny - odparł Cadbury. - Zwłaszcza jeśli ma się świadomość, że w życiu nie zobaczy się niebieskiego żetonu pomimo codziennego wypruwania flaków. I na co to wszystko? Ona wydaje je szybciej, niż ja zdążę zarobić. Nawet gdybym wreszcie zacisnął zęby na niebieskim żetonie, i tak momentalnie wymieniłaby go na coś równie kosztownego jak niepotrzebnego, na

przykład samoładującą się latarkę o mocy dwunastu milionów świec. Z dożywotnią gwarancją.

- A to ciekawe - zainteresował się doktor Drat. - Niezwykła rzecz, ta samoładująca się latarka.

- Przyszedłem do pana tylko dlatego - podjął Cadbury - że żona mnie zmusiła. Potrafi zmusić mnie do wszystkiego. Gdyby powiedziała „Wypłyn na środek strumienia i utop się”, wie pan, co bym zrobił?

- Zbuntowałby się pan - podsunął przyjaznym tonem doktor Drat, kładąc skoki na blacie orzechowego biurka.

- Dałbym jej w twarz - odparł zawzięcie Cadbury. - Rozerwałbym ją na kawałki, na pół, prosto przez środek. Ma pan cholerną rację. Mówię po ważnie, taka jest prawda. Nienawidzę jej.

- Do jakiego stopnia - zapytał doktor Drat - żona przypomina pańską matkę?

- Nie miałem matki - burknął Cadbury, co zdarzało mu się dość często i co według Hildy stanowiło jego zasadniczą cechę. - Znalezione mnie na bagnie Napa w kartonie po butach wraz z dopisaną ręcznie informacją „KTO ZNAJDZIE, TEN MA”.

- Co się panu ostatnio śniło? - zainteresował się doktor Drat.

- Ostatnio - powiedział Cadbury - śniło mi się... to samo co zawsze. Zawsze śni mi się, że kupuję w sklepie miętówkę za dwa centy, jedną z tych płaskich, pokrytych czekoladową polewą miętówek pakowanych w zieloną folię, i kiedy odwijam papierek, okazuje się, że to wcale nie jest miętówka. Wie pan, co to takiego?

- Przypuszczam, że pan mi powie - odparł doktor Drat głosem, który świadczył, że owszem wiedział, ale nie płacono mu za to, by się zdradził.

- Niebieski żeton - wypalił Cadbury. - Czy raczej wygląda jak niebieski żeton. Jest niebieskie, płaskie i tej samej wielkości. Mimo to zawsze mówię we śnie „Może to tylko niebieska miętówka”. Przecież istnieje coś takiego, jak niebieskie miętówki. Z niechęcią wkładani go do sekretnego schowka pod normalnie wyglądającym kamieniem, po czym przychodzi upalny dzień, rozumie pan, i kiedy wracam po swój żeton, czy raczej rzekomy żeton, odkrywam, że stopił się, ponieważ tak naprawdę był miętówką. I kogo mam oskarżyć? Producenta? Jezu, przecież on nigdy nie twierdził, że to żeton. Na zielonej folii w moim śnie jest wyraźnie napisane...

- Wydaje mi się - przerwał mu łagodnie doktor Drat - że na dzisiaj wystarczy. W przyszłym tygodniu możemy przeanalizować ten aspekt pańskiej psychiki, gdyż wydaje się, że może nas dokądś zaprowadzić.

- Co się ze mną dzieje, doktorze Drat? - zapytał Cadbury, wstając. Potrzebuję odpowiedzi na to pytanie; niech pan będzie szczery... jakoś to zniosę. Czy jestem szalony?

- Cóż, ma pan halucynacje - oznajmił doktor Drat po chwili namysłu. - Nie, nie jest pan szalony; nie słyszy pan głosu Chrystusa, czy czegoś w tym rodzaju, namawiającego pana do gwałtów i rozbojów. Nie, to zwykłe złudzenia. Dotyczące pana, pańskiej pracy, żony. Może czegoś jeszcze. Do widzenia. - On również wstał, pokicał do drzwi i uprzejmie acz stanowczo otworzył je, ukazując tunel wyjściowy.

Cadbury czuł się na swój sposób oszukany. Czuł, że ledwie zdążył się otworzyć, przyszedł czas na wyjście.

- Założę się - powiedział - że wy, psychiatrzy, zarabiacie stosy niebieskich żetonów. Powinienem być pójść do college'u i zostać psychiatrą. Wtedy nie miałbym żadnych problemów. Oprócz Hildy; ona pewnie wciąż tkwiłaby u mego boku.

Skoro doktor Drat nie raczył nijak tego skomentować, Cadbury w nie wesołym nastroju przeszedł kolejne cztery mile na północ, gdzie czekało go nowe zadanie, duża topola rosnąca na brzegu strumienia Papermill. Z furją zatopił zęby w pniu drzewa, wyobrażając sobie, że ma do czynienia z doktorem Dratem i Hildą w jednej osobie.

Niemal dokładnie w tym momencie z cyprysowego gaju nadleciał pięknie upierzony ptak i przysiadł na gałęzi rozkołysanej topoli.

- Pańska poczta - oznajmił, upuszczając list pod tylne łapy bobra. List lotniczy. Ciekawe. Podniosłem go do światła i stwierdziłem, że został napisany ręcznie, nie na maszynie. Wygląda mi na kobiecą rękę.

Cadbury rozpruł zębami kopertę. Ptak pocztowy miał rację: list napisany był ręką nieznaną kobiecie. Związły, zawierał następujące słowa:

Drogi panie Cadbury,  
Kocham pana.

Z wyrazami największego szacunku i nadzieją na odpowiedź,

Jane Feckless Foundfully

Cadbury w życiu nie słyszał o takiej osobie. Obrócił list w łapach i po wachał go, poczuł - lub też tak mu się tylko wydawało - subtelną woń perfum. Z tyłu koperty znalazł dopisany ręką (panny, pani?) Jane Feckless Foundfully adres zwrotny.

Ogarnęło go trudne do opisanie podniecenie.

- Miałem rację? - zapytał z gałęzi ptak pocztowy.

- Nie, to zwykły rachunek - skłamał Cadbury. - Tylko wygląda jak list. - Następnie udał, że ponownie przystępuje do pracy, na co oszukany ptak poderwał się z gałęzi i odfrunął.

Cadbury natychmiast przerwał pracę, usiadł na wzniesieniu i wyjął tabakierkę z żółwiej skorupy. Wsadził do nosa szczyptę swojej ulubionej mieszanki Pani Siddon numer 3 & 4 i zastanowił się głęboko i przenikliwie, czy a) powinien w ogóle odpisać na list Jane Feckless Foundfully, czy też zapomnieć, że kiedykolwiek go otrzymał, b) odpowiedzieć, a jeśli b) odpisać, to b1) kpiąco czy też b2) najwymowniejszym wierszem z antologii światowej poezji Undermeyera wraz ze stosowną-acz-delikatną adnotacją własnego autorstwa, czy też b3) bez ogródek napisać, co następuje:

Droga panno (pani?) Foundfully,

W odpowiedzi na Pani list, informuję Panią, że też Ją kocham i jestem głęboko nieszczęśliwy, żyjąc w związku z istotą, której nie kocham ani nigdy nie kochałem. Dodatkowo jestem przygnębiony swoją pracą i chodzę na konsultacje do doktora Drata, który w gruncie rzeczy chyba wcale nie jest w stanie mi pomóc, choć przypuszczalnie to nie wina jego, lecz poważnego stanu moich emocji. Być może Pani i ja moglibyśmy wkrótce się spotkać i przedyskutować nasze sytuacje, co pomogłoby znaleźć jakieś rozwiązanie.

Z wyrazami szacunku,

Bob Cadbury (proszę mówić do mnie Bob, dobrze?

Jeśli można, ja będę mówił na Panią Jane).

Problem jednak polegał na tym, że Hilda ani chybi coś zwęszy i zrobi coś strasznego - nie miał pojęcia co, tylko melancholijnie uznał, że będzie to

przerażające. Poza tym - to stanowiło drugi z kolei problem - skąd miał ni by wiedzieć, czy istotnie polubi bądź pokocha pannę (panią?) Foundfully? Wyglądało na to, że ona musiała skądś go znać albo może słyszała o nim od wspólnego znajomego. Tak czy inaczej, wydawała się święcie przekonana co do swoich uczuć i intencji w

stosunku do niego i głównie to się liczyło.

Sytuacja go przygnębiła. Skąd miał bowiem wiedzieć, czy było to odpowiednie wyjście z jego rozpaczliwego położenia, czy też droga do nowej niedoli?

Nie ruszając się z miejsca, zażywał jedną szczyptę tabaki za drugą i rozważał rozmaite możliwości, z samobójstwem włącznie, co współgrało by z dramatycznym tonem listu panny Foundfully.

Tego wieczoru, kiedy zmęczony i zniechęcony wrócił do domu, zjadł obiad i zamknął się na klucz w swojej pracowni, wiedziony nadzieją, że Hilda nie domyśli się, o co chodzi. Tam wyciągnął przenośną maszynę do pisania marki Hermes, włożył w nią kartkę i po chwili głębokiego namysłu na pisał odpowiedź.

Jego skupienie zostało brutalnie zakłócone, kiedy Hilda z impetem wpadła do pracowni. Fragmenty zamka, drzwi, zawiasów oraz śruby posypały się na boki.

- Co ty tu robisz? - zapytała Hilda. - Siedzisz nad tą maszyną skulony jak jakiś robak. Wyglądasz jak paskudny, zasuszony pająk, czyli tak jak zawsze o tej porze.

- Piszę list do głównej filii biblioteki - odparł z lodowatą godnością Cadbury. - Chodzi o książkę, której im rzekomo nie zwróciłem.

- Ty łgarzu - wybuchła gniewem Hilda, zaglądając mu przez ramię i widząc nagłówek listu. - Kim jest panna Foundfully? Po co do niej piszesz?

- Panna Foundfully - odrzekł gładko Cadbury - to bibliotekarka przydzielona do mojej sprawy.

- Przypadkiem wiem, że kłamiesz - powiedziała żona. - Ponieważ to ja napisałam ten perfumowany, fałszywy list, żeby cię sprawdzić. I miałam rację. Odpisujesz; wiedziałam to w chwili, gdy zacząłeś to swoje stuku-puku na przebrzydłej, taniej maszynie do pisania, którą tak bardzo kochasz. I z tymi słowami porwała maszynę, list i całą resztę ze stołu i wyrzuciła przez okno pracowni w ciemność.

- Zakładam więc - wydusił po chwili Cadbury - że żadna panna Foundfully nie istnieje i nie mam po co wychodzić z latarką na poszukiwanie mojego hermesa - o ile wciąż tam jest - aby skończyć list. Mam rację?

Z szyderstwem na twarzy żona opuściła pracownię, nie zniżając się do odpowiedzi. Cadbury został sam ze swoimi przypuszczeniami i puszką tabaki Boswella, stanowczo zbyt łagodnej jak na podobną okazję.

Cóż, rzekł w duchu Cadbury, chyba nigdy nie uwolnię się od Hildy. Ciekawe, jaka byłaby panna Foundfully, gdyby naprawdę istniała. Mimo, że wszystko to

stanowi wymysł mojej żony, może gdzieś na świecie żyje osoba odpowiadająca memu wyobrażeniu panny Foundfully - czy też raczej wyobrażeniu, jakie miałem dopóki nie poznałem prawdy. O ile wiesz, o co mi chodzi, rzekł ponuro do siebie. Ostatecznie, Hilda nie jest wszystkimi pannami Foundfully na świecie.

Następnego dnia w pracy, będąc sam na sam z na wpół przegryzioną topolą, wyjął notes, ołówek, kopertę oraz znaczek, które udało mu się przemyścić z domu. Siedząc na niewielkim wzniesieniu, z namysłem włożył sobie do nosa szczyptę doskonale zmielonej Bezoar i starannie wykaligrafował następującą wiadomość.

*DO TEGO, KTO ZNAJDZIE TEN LIST! Nazywam się Bob Cadbury i jestem młodym, dość zdrowym bobrem o szerokiej wiedzy - zdobytej we własnym zakresie z dziedziny nauk politycznych i teologii. Chciałbym porozmawiać z Tobą o Bogu, Istocie Bytu oraz sprawach podobnej materii. Moglibyśmy też zagrać w szachy.*

*Z poważaniem,*

I podpisał się. Rozmyślał przez chwilę, wciągając w nozdrza zwiększoną porcję doskonale zmielonej bezoar, po czym dopisał:

*PS Czy jesteś dziewczyną? Jeśli tak, dam głowę, że jesteś ładna.*

Złożywszy kartkę, wsadził ją do niemal opróżnionej puszki z tabaką, mozolnie zakleił wieko taśmą klejącą, po czym puścił ją w strumieniu w -jak mniemał - północno-zachodnim kierunku.

Upłynęło kilka dni, kiedy ku radości i podnieceniu ujrzał drugą puszkę po tabace - nie tę, którą wysłał - unoszącą się z prądem strumienia w kierunku południowo-wschodnim.

Drogi panie Cadbury (zaczynał się list). Brat i siostra to moi jedyni sensowni przyjaciele. Jeżeli nie jest Pan nudziarzem, w przeciwieństwie do wszystkich, z którymi się stykam, od kiedy wróciłam z Madrytu, bardzo chciałabym Pana poznać.

Było również PS.

*PS Wydaje się Pan naprawdę miły i założę się, że wie Pan dużo na temat*



*buddyjskiej filozofii zen.*

List podpisano w sposób trudny do odcyfrowania, ostatecznie jednak Cadbury doszedł do wniosku, że jego autorką była Carol Stickyfoot. Natychmiast wysłał odpowiedź:

Droga panno (pani?) Stickyfoot,

Czy Pani istnieje naprawdę, czy też jest wytworem wyobraźni mojej żony? Chciałbym od razu wiedzieć, ponieważ w przeszłości zostałem oszukany i muszę mieć się na baczności.

I list popłynął w puszcze w kierunku północno-zachodnim. Odpowiedź, którą otrzymał następnego dnia w puszcze po cameleopardzie numer 5, była zwięzła:

Panie Cadbury, jeśli uważa mnie Pan za wytwór chorej wyobraźni Pańskiej żony, popełnia Pan niewybaczalny błąd.

Z wyrazami szacunku,

Carol

Cóż, brzmi to przekonująco, uznał Cadbury po kilkakrotnym odczytaniu listu. Z drugiej strony, stwierdził w duchu, dokładnie taka odpowiedź powstałaby w chorym umyśle Hildy. Czyli do jakiego to prowadzi wniosku?

Droga panno Stickyfoot (odpisał),

Kocham Panią i Jej ufam. Mimo to dla uzyskania całkowitej pewności - rzecz jasna, z mojego punktu widzenia - czy mogłaby Pani przesłać mi oddzielnie jakiś przedmiot, obiekt lub rzecz, która ponad wszelką wątpliwość potwierdziłaby Jej tożsamość. Mam nadzieję, że nie żądam zbyt wiele. Proszę spróbować zrozumieć moje położenie. Nie śmiem popełnić podobnego błędu jak w przypadku rzekomej Foundfully.

Tym razem wyleciałbym za okno razem z moim hermesem.

Łączę wyrazy uwielbienia itp.

List popłynął w tym samym kierunku co poprzednie i Cadbury od razu zaczął czekać na odpowiedź. Tymczasem jednak musiał - na wyraźne żądanie Hildy - ponownie odwiedzić doktora Drata.

- I jak tam się rzeczy mają nad strumieniem? - zapytał jowialnie doktor Drat, kładąc włochate skoki na biurku.

Chęć gry w otwarte karty z psychiatrą wzięła w Cadburym górę. Nie było nic złego w tym, że postanowił powiedzieć prawdę; ostatecznie za to lekarz pobierał opłatę: by wysłuchać prawdy ze szczegółami, zarówno drastycznej, jak i delikatnej natury.

- Zakochałem się w Carol Stickyfoot - wyznał. - Lecz choć moja miłość jest absolutna i wieczna, dręczy mnie obawa, że obiekt moich uczuć jest wytworem chorej wyobraźni mojej żony, mającym na celu podobnie jak w przypadku panny Foundfully - ujawnienie wobec Hildy mojego prawdziwego ja, które za wszelką cenę próbuję ukryć. Jeśli bo wiem dałbym upust mojemu prawdziwemu ja, musiałbym obdrzeć ją ze skóry.

- Mmm - odparł doktor Drat.

- I pana również - dodał Cadbury, dorzucając kolejny kamyczek do góry pretensji.

- Nikomu pan nie ufa, co? - zapytał doktor Drat. - Odseparował się pan od całej ludzkości? Pański styl życia podstępnie doprowadził pana do całkowitej izolacji? Proszę pomyśleć, nim pan odpowie. Odpowiedź może brzmieć „tak”. Niewykluczone, że to okaże się trudne do zniesienia.

- Nie izoluję się od Carol Stickyfoot - odparł zarliwie Cadbury. - Właśnie w tym sęk; próbuję przerwać swoją izolację. Pasjonowały mnie niebieskie żetony: wtedy byłem odizolowany. Poznanie panny Stickyfoot może oznaczać koniec pasma nieszczęść w moim życiu. Gdyby rzeczywiście po trafił pan zajrzeć w głęb mnie, ucieszyłby się pan, że puściłem z prądem strumienia tę puszkę. Bardzo by się pan ucieszył. - Spojrzał ponuro na długouchego lekarza.

- Może zainteresuje pana informacja - odrzekł doktor Drat - że pan na Stickyfoot jest moją byłą pacjentką. W Madrycie przeżyła załamanie nerwowe i

trzeba było odesłać ją do domu w walizce. Przyznaję, że jest całkiem atrakcyjna, ale ma masę problemów emocjonalnych. Poza tym jej lewa pierś jest większa od prawej.

- Przyznaje pan jednak, że naprawdę istnieje! - krzyknął z przejęciem Cadbury.

- Och, niewątpliwie, zaręczam panu słowem. Może pan jednak mieć pełne ręce roboty. I w końcu pożałować, że nie został pan z Hildą. Bóg je den wie, do czego może doprowadzić was dwoje Carol Stickyfoot. Wątpię, czy ona sama zna odpowiedź na to pytanie.

Brzmiało to pocieszająco, toteż Cadbury wrócił do prawie przegryzionej topoli podniesiony na duchu. Według jego wodoodpornego roleksa, do chodziło wpół do jedenastej, miał więc przed sobą cały dzień. Teraz, kiedy już wiedział, że Carol Stickyfoot naprawdę istniała, nic nie stało na przeszkodzie, aby obmyślać plan dalszego działania.

Część okolic strumienia nie została jeszcze oznaczona na żadnej mapie, on zaś - z uwagi na charakter swojego zajęcia - znał je na wylot. Od powrotu do domu dzieliło go sześć lub siedem godzin, postanowił zatem chwilowo przerwać pracę nad topolą i w pośpiechu sklecić ustronne gniazdko dla siebie i Carol, z dala od ciekawych tego świata. Faza rozmyślań prze minęła i przyszedł czas na podjęcie zdecydowanych kroków.

U schyłku dnia, kiedy w pocie czoła wznosił niewielką kryjówkę, z południowego-wschodu napłynęła puszcza Własnej Tabaki Deana. Rozbryzgując wodę, Cadbury rzucił się w kierunku przesyłki, by prąd nie uniósł jej dalej.

Kiedy odkleił taśmę i otworzył puszkę, stwierdził, że zawierała nieduże zawiniątko opakowane w szary papier oraz ironiczny list.

*Oto Pański dowód (głosiła wiadomość).*

Zawiniątko kryło trzy niebieskie żetony.

Dowód istnienia Carol, jej rękojmia, do tego stopnia wyprowadziły Cadbury'ego z równowagi, że przez ponad godzinę z trudem mógł skupić się na gryzieniu. Bliski szaleństwa gryzł jedną gałąź starego dębu za drugą, pryskając drzazgami na wszystkie strony. Opanowała go dziwna zawziętość. Znalazł kogoś, zdołał uciec przed Hildą... otworzyła się przed nim droga, którą wystarczyło przebyć. A raczej przepłynąć.

Związawszy szpagatem kilka pustych puszek po tabace, wrzucił je do strumienia. Puszki podążyły mniej więcej w kierunku północno-zachodnimi Cadbury udał się za nimi, dysząc z podniecenia. Gdy płynął przed siebie, nie spuszczać wzroku z puszek, ułożył rymowany czterowiersz na cześć pierwszego spotkania z Carol.

*Niewielu mówi, kocham cię.  
Klnę się na prawdę mych słów.  
I każdy o tym dobrze wie  
Wśród bagien i lasów i mgłów.*

Miał wprawdzie wątpliwości co do tych „mgłów”, ale w końcu ile wy razów rymuje się ze „słów”?

Tymczasem związane puszki prowadziły go coraz bliżej - jak usilnie wierzył - do panny Carol Stickyfoot. Istna błogość. Naraz, kiedy tak posuwał się naprzód, przypomniał sobie przebiegłe, pozornie obojętne komentarze doktora Drata, który fachowo zasiał mu w sercu ziarno wątpliwości. Czy miał wystarczająco dużo odwagi (miał na myśli siebie, nie Drata) i siły, a także świadomość celu, by zmierzyć się z -jak twierdził psychiatra poważnymi problemami emocjonalnymi Carol? A jeśli okaże się, że Drat miał rację? Jeśli Carol jest w rzeczywistości trudniejsza i bardziej destrukcyjna niż Hilda, która wyrzuciła przez okno jego przenośną maszynę do pisania i dopuszczała się innych manifestacji psychopatycznej złości?

Pochłonięty tymi przemyśleniami nie zauważył, że puszki bezgłośnie dobiły do brzegu. Odruchowo dopłynął do nich i wyszedł na ląd.

Ujrzał przed sobą skromny domek z pomalowanymi ręcznie okiennicami. Na ganku siedziała Carol Stickyfoot i wycierała włosy białym, puchatym ręcznikiem.

- Kocham panią - oznajmił Cadbury. Strząsnął wodę z sierści i tłumiąc podniecenie, przestąpił z nogi na nogę.

Carol Stickyfoot podniosła głowę i zmierzyła go wzrokiem. Miała cudowne, wielkie, ciemne oczy i długie, ciężkie włosy lśniące w gasnącym blasku słońca.

- Mam nadzieję, że przywiózł pan trzy niebieskie żetony - powiedziała. - Bo, widzi pan, pożyczylam je z pracy i muszę oddać. - Dodała: - Wy dawało się, że brakuje panu pewności siebie. Nudziarze, tacy jak Drat, dobierali się panu do skóry. Drat to najgorszy z możliwych nudziarzy. Napije się pan rozpuszczalnej kawy

Yuban?

Wchodząc z nią do skromnego domostwa, Cadbury powiedział:

- Pewnie słyszała pani moje pierwsze słowa. W życiu nie byłem tak poważny. Naprawdę kocham panią i wiem, co mówię. Nie szukam banalnego romansu, lecz najtrwalszego, najpoważniejszego związku, jaki można sobie wyobrazić. Żywię najgorętszą nadzieję, że dla pani to nie tylko zabawa, ponieważ nic nigdy tak się dla mnie nie liczyło, nawet niebieskie żetony. Jeżeli poszukuje pani po prostu rozrywki, proszę miłosiernie położyć temu kres i ujawnić prawdę. Męka pozostawienia żony i rozpoczęcie nowego życia po to, by dowiedzieć się...

- Czy doktor Nudziarz powiedział panu, że maluję? - zapytała Carol Stickyfoot, stawiając rondel z wodą na piecu w skromnej kuchni i zapalając palnik staroświecką drewnianą zapalką.

- Powiedział tylko, że w Madrycie przeżyła pani załamanie - powie dział Cadbury. Usiadł przy niemalowanym drewnianym stole naprzeciwko pieca i z miłością obserwował, jak panna Stickyfoot nasypuje kawę do dwóch emaliowanych ceramicznych kubków ze spiralnymi malowidłami.

- Czy wie pan coś na temat zen? - zapytała panna Stickyfoot.

- Jedynie to, że koany stawia się w formie zagadek - odparł. - I udziela się swego rodzaju absurdalnej odpowiedzi, ponieważ samo pytanie już jest bez sensu, na przykład, dlaczego jesteśmy na Ziemi, i tym podobne. Miał nadzieję, że dobrze to ujął i Carol pomyśli, że on naprawdę orientuje się w tych sprawach. Naraz przyszła mu do głowy bardzo dobra odpowiedź zen na jej pytanie. - Zen - oświadczył - to kompletny system filozoficzny zawierający pytania na każdą odpowiedź znajdującą się we wszechświecie. Na przykład, jeśli odpowiedź brzmi „tak”, zen podsunie odpowiednie do niej pytanie, powiedzmy, „Czy musimy umrzeć, aby zadowolić Stwórcę, który lubi, jak Jego dzieła niszczeją?”. Teraz, kiedy głębiej się nad tym zastanawiam, pytanie pasujące do wspomnianej odpowiedzi brzmi: „Czy jesteśmy w kuchni i zaraz napijemy się kawy Yuban?”. Przyzna mi pani rację? - Kiedy zwlekała z odpowiedzią, Cadbury dodał pospiesznie: W gruncie rzeczy, według zen pytaniem na odpowiedź „tak” jest „Przyzna mi pani rację?”. Oto jedna z najwspanialszych cech zen: prawie na każdą odpowiedź przypada wiele dokładnych pytań.

- Plecie pan dyrdymały - uznała z pogardą panna Stickyfoot.

- To świadczy o tym, że rozumiem istotę zen - odparł Cadbury. - Rozumie pani? Albo o tym, że pani wcale jej nie rozumie. - Poczł lekką urażę.

- Może ma pan rację - stwierdziła panna Stickyfoot. - To znaczy, mówiąc, że nie rozumiem istoty zen. Tak naprawdę, to wcale jej nie rozumiem.

- To bardzo zen - ocenił Cadbury. - A ja tak. To też jest zen. Rozumie pani?

- Pańska kawa - powiedziała panna Stickyfoot. Postawiła na stole dwa dymiące kubki z kawą i usiadła naprzeciw gościa. Następnie uśmiechnęła się. Był to miły uśmiech, pełen światła i łagodności, odrobinę nieśmiało uniesienie kącików ust, któremu towarzyszył zdziwiony, pytający błysk w jej oczach. Oczy były naprawdę piękne, duże i ciemne, chyba najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek widział. Czuł, że ją kocha, nie były to jedynie puste słowa.

- Zdaje sobie pani sprawę z tego, że jestem żonaty - powiedział, po pijając kawę. - Żyjemy jednak w separacji. Przy brzegu strumienia, tam gdzie nikt nie zagląda, buduję norkę. Powiedziałem „norka”, ale w gruncie rzeczy to bardzo porządna konstrukcja. Jestem specjalistą w swojej dziedzinie. Nie próbuję zrobić na pani wrażenia, to prawda. Wiem, że zarobił bym na utrzymanie nas obojga. Albo moglibyśmy zamieszkać tutaj. - Rozejrzał się po skromnym mieszkaniu panny Stickyfoot. Urządziła je ascetycznie i ze smakiem. Spodobało mu się. Czuł, jak po raz pierwszy od lat ogarnia go spokój, wypierając ciężące mu napięcie.

- Ma pan dziwną aurę - oznajmiła panna Stickyfoot. - Dość miękką, wełnistą i purpurową. Podoba mi się. Ale nigdy takiej nie widziałam. Buduje pan modele pociągów? Odnoszę wrażenie, że to aura kogoś, kto buduje modele pociągów.

- Potrafię zbudować prawie wszystko - oświadczył Cadbury. - Własnymi zębami, łapami, słowami. Proszę posłuchać, to dla pani. -I wyrecytował jej czterowiersz. Panna Stickyfoot wysłuchiwała go uważnie.

- Ten wiersz - uznała, kiedy skończył - posiada wu. „Wu” to określenie japońskie - a może chińskie? - które oznacza wie pan co. - Z irytacją machnęła ręką. - Prostotę. Jak niektóre rysunki Paula Klee. - Następnie do dała: - Mimo to nie jest zbyt dobry. Wręcz przeciwnie.

- Sam go ułożyłem - wyjaśnił skromnie - płynąc do pani strumieniem za związanymi puszkami po tabace. Powstał pod wpływem chwili. Gdy siedzę zamknięty na klucz w pracowni razem z moim hermesem, stać mnie na więcej. O ile Hilda właśnie nie wali w drzwi. Widzi pani, dlaczego jej nienawidzę. Przez jej sadystyczną nachalność, na pracę twórczą mam jedynie chwile, kiedy pływam lub jem lunch. Już ten aspekt mojego małżeńskiego życia tłumaczy, dlaczego musiałem uwolnić się od niego i odszukać panią. W związku z osobą taką jak pani mógłbym

tworzyć na zupełnie nowej płaszczyźnie. Spałbym na niebieskich żetonach. Poza tym nie traciłbym czasu na wizyty u doktora Drata, którego słusznie nazwała pani nudziarzem numer jeden.

- Niebieskie żetony - powtórzyła panna Stickyfoot, z niesmakiem krzywiąc twarz. - Czy o taką płaszczyznę panu chodzi? Wydaje mi się, że ma pan aspiracje handlarza suszonymi owocami. Niech pan zapomni o niebieskich żetonach i nie zostawia żony z byle powodu: niesie pan ze sobą swój stary system wartości. Zaakceptował pan to, czego pana nauczyła, tyle że pan posuwa się o krok dalej. Proszę obrać zupełnie nowy kierunek, a wszystko będzie dobrze.

- Jak zen? - zapytał.

- Pan tylko bawi się zen. Gdyby pan naprawdę rozumiał jego przesłanie, nie zjawiłby się tu w odpowiedzi na mój list. Na świecie nie istnieje idealna osoba, ani dla pana, ani dla kogokolwiek innego. Nie sprawię że poczuje się pan lepiej niż z żoną; wszystkie problemy niesie pan w sobie.

- Do pewnego stopnia zgadzam się z panią - zgodził się do pewnego stopnia Cadbury. - Ale moja żona pogarsza stan rzeczy. Być może przy pani problemy nie odejdą, na pewno jednak przestaną być tak dotkliwe. Nic nie może być gorsze od tego, co jest teraz. Pani przynajmniej w przyływie złości nie wyrzuciłaby przez okno mojego hermesa i może nie wściekała by się pani na mnie o każdej porze dnia i nocy, tak jak ona. Pomyślała pani o tym? Proszę się z tym przespać, jak to mówią.

Wydawało się, że jego rozumowanie trafiło do przekonania pannie Stickyfoot. Kiwnęła głową, przynajmniej częściowo przyznając mu rację.

- Dobrze - powiedziała po chwili i jej wielkie, piękne oczy zalśniły

nagłym blaskiem. - Przeprowadźmy pewną próbę. Jeśli choć na chwilę, może pierwszy raz w życiu, przerwie pan tę swoją obsesyjną gadaninę, zrobię z panem i dla pana coś, czego nigdy sam by pan nie zrobił, a co powinno zostać zrobione. Zgoda? Spróbujemy?

- Dziwnie pani się wyraża - odparł Cadbury z nagłym niepokojem, zdziwieniem - i narastającym lękiem. Panna Stickyfoot ulegała na jego oczach alarmującej metamorfozie. To, co wydawało mu się ucieleśnieniem piękności, pod jego uporczywym spojrzeniem przeobrażało się. Piękno, które znał i wyobrażał sobie, którego oczekiwał rozplynęło się i znikło w mrokach niepamięci, przeszłości, ograniczeniach jego własnego umysłu. Jego miejsce zajęło coś potężniejszego, coś, co je przerastało i czego wyobrażenia bobra nigdy nie zdołałyby wskrzesić.

Panna Stickyfoot stała się kilkoma osobami, spośród których każda wiązała się z naturą rzeczywistości; była ładna, lecz nie złudna, atrakcyjna, lecz w granicach realności. Zobaczył, że te osoby znaczyły coś więcej, dużo więcej, ponieważ nie stanowiły urzeczywistnienia jego marzeń ani wy tworów wyobraźni. Jedna z nich, dziewczyna o azjatyckiej urodzie i długich, ciemnych włosach spoglądała na niego nieruchomymi, bystrymi oczami, w których pobłyskiwała mądrość i opanowanie. Jego obraz w tych oczach, wyraźny i czysty, był wolny od sentymentu, nawet łagodności, miłosierdzia czy współczucia - a mimo to niósł w sobie rodzaj miłości: sprawiedliwość, pozbawioną niechęci lub odrazy do niego, gdyż dziewczyna była świadoma jego niedoskonałości. Miał przed sobą wyraz miłości braterskiej, udział w analitycznej ocenie ich obojga sprzężonych przez wzajemne niedociągnięcia.

Następna dziewczyna z wyrozumiałym, przebaczącym uśmiechem na ustach, zdawała się nieświadoma jego wad - nic związanego z nim nie wzbudziłoby jej rozczarowania ani nie wpłynęło na zmianę jego oceny. Emanowało z niej ciepłe, melancholijne, choć jednocześnie wiecznie radosne poczucie szczęścia: jego matka, ta, która nie zapominała, nie odchodziła, pozostawiając go na pastwę losu. Płaszcz jej troskliwości otulał go, grzał, tchnął nadzieją i obietnicą nowego życia w chwilach, gdy ból, samotność i klęska mroziły go do cna. Pierwsza dziewczyna, równa jemu: być może siostra; ta natomiast, łagodna i silna matka, choć jednocześnie krucha i lękliwa, lecz nigdy niedająca temu wyrazu.

Towarzyszyła im drażliwa, nerwowa dziewczyna o odętych wargach, raczej niedojrzała, na swój sposób niebrzydka, o skórze upstrzonej wypryskami, w zbyt-falbaniastej, zbyt-atłasowej bluzce, zbyt-krótkiej spódnicy, spod której wystawały zbyt-chude nogi. Mimo to nie sposób było odmówić jej pewnej ponętności. Spoglądała na niego z rozczarowaniem, jak gdyby przyniósł jej zawód i zawsze miał to robić. A jednak nadal żądała, nadal domagała się więcej, próbując uzyskać od niego wszystko, czego potrzebo wała: świat, niebo, całą resztę, i gardziła nim, ponieważ nie mógł jej tego dać. Oto, pomyślał, córka, która w końcu odwróci się od niego, podczas gdy dwie pierwsze tego nie zrobią, z rozczarowaniem opuści go, by poszukać spełnienia w innym, młodszym mężczyźnie. Będzie ją miał zaledwie przez krótki czas. I nigdy nie zdoła w pełni jej zadowolić.

Lecz wszystkie trzy kochały go, wszystkie trzy były jego dziewczęta mi, jego kobietami, tęsknymi, pełnymi nadziei, smutnymi, przerażonymi, cierpiącymi, roześmianymi, zmysłowymi, czułymi, kojącymi, nienasyconymi żeńskimi stronami



rzeczywistości. Jego trójcą obiektywnego świata, stojącą do niego w opozycji, a jednak uzupełniającą go poprzez dodanie mu tego, czego nigdy nie miał i mieć nie będzie, co czcił, cenił, szanował, wielbił i potrzebował bardziej niż czegokolwiek. Panna Stickyfoot znikła. Jej miejsce zajęły trzy dziewczyny. Nie porozumiewały się z nim z oddali, za pomocą wiadomości przekazywanych z prądem strumienia, lecz bezpośrednio, wpijając w niego świadome jego obecności spojrzenia.

- Zamieszkać z tobą - powiedziała spokojnooka dziewczyna o azjatyckim typie urody. - Jako twój towarzysz, dopóki starczy mi życia i dopóki starczy go tobie, czyli nie na zawsze. Życie przemija i nie warto zaprzętać sobie tym głowy. Czasem myślę, że umarli mają lepiej. Może dołączę do nich dziś, a może jutro. Może zabiję cię, wyślę do nich, albo zabiorę cię ze sobą. Chcesz? Możesz opłacić podróż, przynajmniej jeśli chcesz, abym pojechała z tobą. Inaczej pojedę sama, za darmo, transportem wojskowym<sup>707</sup>. Na resztę życia przysługuje mi pensja rządowa. Składam ją na tajnym koncie bankowym dla półlegalnych celów inwestycyjnych, o których lepiej, żebyś dla własnego dobra nie wiedział. - Umilkła, mierząc go nieruchomym spojrzeniem. - I jak będzie?

- Jakie było pytanie? - zgubił się Cadbury.

- Powiedziałam - odparła z pogardą dla wątpliwej lotności jego umysłu - że zamieszkać z tobą na czas nieokreślony z niepewnym skutkiem, o ile dobrze zapłacisz oraz - co absolutnie konieczne - zadbasz o prawidłowe funkcjonowanie domu. No wiesz, rachunki, sprzątanie, zakupy, gotowanie, żeby ja nie musiała o tym myśleć. I żeby mogła zająć się własnymi mi, ważnymi sprawami.

- Dobrze - odparł gorliwie.

- Ja nigdy z tobą nie zamieszkać - powiedziała ciepła dziewczyna o ciemnych włosach i melancholijnym spojrzeniu, pulchna i ustępliwa, w skórzanej kurtce z frędzlami, sztruksowych spodniach i torebką z króliczej skórki. - Ale zajrzę do ciebie teraz, a potem rano, w drodze do pracy. Sprawdzę, czy masz mi coś do powiedzenia, a jeśli będziesz smutny, dodam ci otuchy. Ale nie teraz. Dobrze? - Uśmiechnęła się, a jej cudowne oczy zalśniły mądrością i skomplikowaną prawdą o niej i jej miłości.

- Gwałt - rzuciła brutalnie trzecia dziewczyna, krzywiąc ze złością, a może rozbawieniem, zbyt-czerwone, zbyt-soczyste usta. - Nigdy cię nie opuszczę, ty obleśny starcze, ponieważ jeśli to zrobię, jak do cholery znajdziesz osobę, która zechciałaby zamieszkać z kimś, kto napastuje dzieci i kto lada chwila może umrzeć na zator wieńcowy albo zawał? Jeśli odejdę, koniec z tobą, staruchu. - Jej oczy na

ułamek sekundy zalśniły żalem i litością, lecz natychmiast odzyskały normalny wyraz. - Będzie to największe szczęście, jakiego doświadczyłeś w życiu. Nie mogę więc odejść, muszę zostać z tobą i opóźnić własne życie, choćby na wieki. - Stopniowo traciła ożywienie. Jej niedojrzałe, ładne rysy ogarnęła mroczna, machinalna rezygnacja. Jeśli jednak dostanę lepszą propozycję - podjęła kamiennym tonem - przyjmę ją. Muszę się rozejrzeć. I sprawdzić, jak się rzeczy mają na mieście.

- Co ty, u diabła, mówisz - rzucił z urazą Cadbury. I doświadczył bolesnego poczucia straty, jakby już odeszła, co byłoby najgorszą rzeczą w jej życiu.

- A teraz - powiedziały jednocześnie dziewczęta - przejdźmy do rzeczy. Ile masz niebieskich żetonów?

- Co... co takiego? - wyjąkał zdumiony Cadbury.

- Tak się nazywa ta gra - zaśpiewały unisono dziewczęta, mierząc go surowymi spojrzeniami. Ich wspólne właściwości zostały wskrzeszone za sprawą tematu. Każda z osobna i wszystkie razem wykazywały wzmogoną czujność. - Pokaż nam swoją książeczkę czekową. Jakie masz saldo?

- Jak wygląda twój roczny dochód? - zapytała Azjatka.

- Nigdy cię nie wyżyłuję - zapewniła go sentymentalna, cierpliwa dziewczyna.

- Nie mógłbyś jednak pożyczyć mi dwóch niebieskich żetonów? Wiem, że taki ważny i słynny bóbr ma ich setki.

- Idź wysupłaj trochę z konta i kup mi mleko czekoladowe, pączki k i colę - poprosiła małolata.

- Mogę pożyczyć twoje porsche? - zapytała łagodna. - Zatankuję je.

- Moim nie możesz jeździć - wtrąciła Azjatka. - Zwiększyłyby to koszty ubezpieczenia, które pokrywa matka.

- Naucz mnie prowadzić - powiedziała małolata. - Mogłabym zabrać jednego ze swoich chłopaków do kina samochodowego jutro wieczorem, to tylko dwa dolce od wozu. Pokażą pięć pornoli i moglibyśmy zabrać do bagażnika kilku facetów i laskę.

- Lepiej powierz swoje żetony mnie - poradziła łagodna. - Tamte obedną cię ze skóry.

- Odwal się - rzuciła ostro małolata.

- Jeśli posłuchasz i dasz jej choćby jeden niebieski żeton - powiedziała gwałtownie Azjatka - wyrwę ci serce i zjem je żywcem. Ta mała ma rzeźaczkę, jeśli się z nią prześpisz, będziesz bezpłodny do końca życia.

- Nie mam żadnych niebieskich żetonów - odparł Cadbury z obawą, że słysząc to, dziewczęta postanowią go opuścić. - Ale za to...

- Sprzedaj swojego hermesa - podsunęła Azjatka.

- Ja go sprzedam - odrzekła miłym głosem łagodna. - I dam ci... Nie bez trudu obliczyła w myślach sumę. - Podzielę się z tobą. Uczciwie. Nie oszukam cię. - Uśmiechnęła się i wiedział, że mówi prawdę.

- Moja matka ma biurowy model elektrycznego powiększacza przestrzeni marki IBM - wtrąciła wyniośle małolata. - Kupię sobie takiego, nauczę się pisać na maszynie i znajdę dobrą pracę, chyba że więcej wyciągnę na bezrobociu.

- Później w tym roku... - zaczął desperacko Cadbury.

- Do zobaczenia - powiedziały dziewczęta, będące niegdyś panną Stickyfoot. - Możesz przesłać nam niebieskie żetony, dobrze? - Zaczęły znikać. Ich sylwetki zadrżały i stały się nierzeczywiste. Albo...

Może to sam Cadbury, Bóbr, Któremu Zabrakło, powoli się dematerializował? Coś mu podpowiadało, że raczej to drugie. To on zniknął; one pozostały.

A jednak nie było to takie złe.

Mógł to przeżyć. Mógł przeżyć własne zniknięcie. Ale nie ich.

Chociaż znał je od niedawna, znaczyły dla niego więcej niż on sam dla siebie. Przyniosło mu to pewną ulgę.

Bez względu na to, czy miał dla nich niebieskie żetony, czy nie - najwyraźniej to było dla nich istotne - one przetrwają. Jeśli nie wyciągną, wy drą, pożyczą, czy w jakikolwiek inny sposób nie wezmą od niego niebieskich żetonów, zdobędą je od kogo innego. Albo beztrudnie poradzą sobie bez nich. Tak naprawdę nie potrzebowały ich: lubiły je. Mogły przetrwać z nimi lub bez nich. Choć, szczerze mówiąc, przetrwanie wcale ich nie interesowało. Chciały być, miały zamiar być i wiedziały, jak być szczęśliwy mi. Samo przetrwanie nie zadowalało ich; chciały żyć.

- Mam nadzieję, że znowu się zobaczymy - zawołał Cadbury. - Albo, że wy zobaczycie mnie. To jest, mam nadzieję, że znów się pojawię, przy najmniej na chwilę, od czasu do czasu, w waszym życiu. Żeby zobaczyć, jak się miewacie.

- Przestań knuć - zawołały zgodnym chórem, kiedy Cadbury zniknął. Pozostała po nim jedynie smużka szarego dymu, unosząca się żałośnie w na wpół wyczerpanym powietrzu, które niegdyś trzymało go przy życiu.

- Wrócisz - odrzekła z przekonaniem łagodna, pulchna, ubrana w skórę dziewczyna o ciepłym spojrzeniu, tak jakby wiedziała intuicyjnie, że nie było co do

tego żadnych wątpliwości. - Do zobaczenia.

- Mam nadzieję - odparł Cadbury, lecz nawet dźwięk jego niebyłego głosu osłabł, zadrżał jak ginący sygnał z odległej gwiazdy, która dawno te mu zapadła w ciemność, bezruch i ciszę.

- Chodźmy na plażę - zaproponowała Azjatka i wszystkie trzy oddaliły się, pewne siebie, namacalne i żywe. Odeszły.

Cadbury - a przynajmniej pozostałe z niego jony formujące ulotny szlak na oznaczenie jednorazowej drogi przez życie - zastanawiał się, czy na ich plaży były jakieś drzewa, które można by podgryźć. I gdzie znajdowała się ta plaża. Czy była miła. I jaką nosiła nazwę.

Przystając na chwilę, współczująca, łagodna dziewczyna zerknęła przez ramię i powiedziała:

- Miałbyś ochotę wybrać się z nami? Mogłybyśmy zabrać cię na chwilę, ten jeden raz. Ale tylko raz. Sam wiesz, jak to jest.

Nie padła żadna odpowiedź.

- Kocham cię - powiedziała sama do siebie. I uśmiechnęła się szczęśliwym, pełnym melancholii i zrozumienia uśmiechem, aż zwilgotniały jej oczy.

I poszła dalej. O krok za pozostałymi dwoma. Ociągając się z lekka, jakby niepostrzeżenie chciała obejrzeć się przez ramię.

## MAŁE CO NIECO DLA NAS, TEMPONAUTÓW

Addison Doug ze znużeniem kroczył aleją syntetycznych sekwoi. Miał spuszczoną głowę i poruszał się tak, jakby rzeczywiście nękały go fizyczne męczarnie. Dziewczyna z bólem obserwowała jego cierpienie, choć w głębi serca cieszyła się, że w ogóle go widzi. Po omacku, nie podnosząc wzroku, podążał w jej kierunku... jak wielokrotnie przedtem, przyszło jej nagle do głowy. Zna tę drogę aż za dobrze. Dlaczego?

- Addi - zawołała, biegnąc ku niemu. - W telewizji mówili, że nie żyjesz. Że wszyscy zginęliście!

Przystanął, odgarniając do tyłu włosy. Nie były już długie; przystrzyżono je tuż przed startem. Musiało mu to wylecieć z głowy.

- Wierzysz we wszystko, co mówią w telewizji? - zapytał, chwiejnie podejmując swoją wędrówkę. Mimo to na jego ustach pojawił się uśmiech. Wyciągnął do niej rękę.

Boże, cudownie było znów go objąć i poczuć na sobie jego ręce, silniejsze, niż się spodziewała.

- Już miałam sobie kogoś poszukać - rzuciła zdyszana. - Na twoje miejsce.

- Uważaj, bo oberwiesz - odparł. - Zresztą to i tak niemożliwe. Nikt nie może mnie zastąpić.

- Ale co z implozją? - zapytała. - Z implozją przy powtórny wejściu. Mówili, że...

- Zapomniałem - uciął Addison tonem znaczącym: Koniec dyskusji. Tonem, który zawsze ją złościł, ale nie dzisiaj. Tym razem wyczuła, że wspomnienie nie było przyjemne. - Zatrzymam się u ciebie na kilka dni dodał, kiedy ruszyli w stronę otwartych drzwi domu w kształcie litery A. Jeśli ci to nie przeszkadza. Benz i Crayne dołączą później. Może nawet dziś wieczorem. Mamy wiele spraw do omówienia.

- Czyli wszyscy trzej przeżyliście. - Spojrzała na jego znużoną twarz. - Wszystko, co mówili w telewizji... - Zrozumiała. Albo też tak się jej wydawało. - To tylko zasłona dymna. Dla... celów politycznych, żeby oszukać Rosjan, prawda? To znaczy, Związek Radziecki pomyśli, że przedsięwzięcie nie wypaliło, ponieważ przy powtórny wejściu...

- Nie - odparł. - Przypuszczam, że chrononauta wkrótce do nas dołączy. I

pomoże ustalić dokładny przebieg zdarzeń. Generał Toad powiedział, że jeden z nich jest w drodze; już przeszli odprawę. Z uwagi na powagę sytuacji.

- Jezu - odrzekła z przerażeniem dziewczyna. - To po co te bajki?

- Napijmy się czegoś - zaproponował Addison. - Potem wszystko ci wyjaśnię.

- Mam tylko kalifornijską brandy.

- Czuję się tak, że nie sprawia mi to większej różnicy. - Addison Doug opadł na sofę, położył się i westchnął głęboko. Tymczasem dziewczyna pospiesznie nalala im obojgu brandy.

Nadające na falach UKF radio samochodowe dudniło:

- ...ubolewania z powodu tragicznego ciągu zdarzeń wynikłych z bezprecedensowego...

- Oficjalne mielenie ozorem - skwitował Crayne, wyłączając radio. On i Benz mieli kłopot z odszukaniem domu. Wcześniej odwiedzili go tylko raz. Crayne uznał, że przeprowadzenie tak ważnej konferencji w domu dziewczyny Addisona, gdzieś na krańcach Ojai, to gruba przesada. Z drugiej strony pomoże im to uniknąć ciekawskich spojrzeń. Poza tym i tak nie mieli wiele czasu. Ale to nigdy nie było nic pewnego.

Na wzgórzach po obu stronach drogi rosła niegdyś puszcza, pomyślał Crayne. Teraz rzędy domów i nieregularne, plastikowe drogi psuły każde wzniesienie.

- Założę się, że kiedyś było tu ładnie - powiedział do Benza, który prowadził.

- Niedaleko stąd jest Park Narodowy Los Padres - odparł Benz. - Zgubiłem się tam, mając osiem lat. Godzinami dręczyła mnie myśl, że wleżę na grzechotnika. Każdy patyk wyglądał jak wąż.

- Teraz dopadł cię grzechotnik - stwierdził Crayne.

- Nas wszystkich - uściślił Benz.

- Wiesz co - dorzucił Crayne - bycie martwym to okropne przeżycie.

- Mów za siebie.

- Praktycznie rzecz biorąc...

- Jak posłuchasz radia i telewizji - powiedział Benz, zwracając ku niemu stężoną z napięcia twarz gnoma - dowiesz się, że nie jesteśmy bardziej martwi niż pozostali mieszkańcy planety. Różnica polega na tym, że data naszej śmierci należy do przeszłości, podczas gdy w przypadku innych jest kwestią trudnej do ustalenia przyszłości. Niektórzy, na przykład na oddziałach onkologicznych, znają ją dobrze, podobnie jak my. Może nawet lepiej. Weźmy chociażby to, jak długo tu zostaniemy,

nim przyjdzie czas wracać? Dysponujemy pewnym marginesem, niejaką swobodę, których brak umierającym na raka.

- Dodasz mi otuchy, mówiąc, że nie czujemy bólu - powiedział niestropiony Crayne.

- Addi czuje. Widziałem dziś, że ledwo się włókł. On odczuwa to psychosomatycznie... prawie jak torturę fizyczną. Zupełnie jakby Bóg siedział mu na karku. No wiesz, dźwiga niesprawiedliwy ciężar, ale za nic się głośno nie poskarży... tylko czasem pokaże nam dziury po gwoździach. Uśmiechnął się. - Addi ma bardziej po co żyć niż my.

- Każdy ma bardziej po co żyć niż inny. Ja nie mam ładnej dziewczyny w łóżku, chciałbym jednak jeszcze kiedyś zobaczyć półfinały na Nadrzecznej Autostradzie o zachodzie słońca. To nie coś, po co trzeba żyć, lecz coś, co chce się zobaczyć, w czym ma się ochotę uczestniczyć... diabelnie to smutne.

W milczeniu jechali przed siebie.

W cichym salonie trzech temponauci siedzieli spokojnie, paląc papierosy. Addison Doug pomyślał, że dziewczyna wygląda bardzo ponętnie w białym, elastycznym swetrze i mikrospódnicy. Następnie przeszło mu przez myśl, że może powinna wyglądać mniej kusząco. W obecnej sytuacji nie powinien zaprzętać sobie głowy takimi rzeczami. Był zbyt zmęczony.

- Czy ona wie, o co tu chodzi? - zapytał Benz. - Czy możemy mówić otwarcie? Nie chciałbym tu żadnych spazmów.

- Jeszcze nic jej nie mówiłem - odparł Addison.

- Lepiej to zrób, do cholery - poradził mu Crayne.

- Co się stało? - zapytała w napięciu dziewczyna, przyciskając rękę do piersi. Zupełnie jakby zaciskała w rękę nieistniejący medalik, pomyślał Addison.

- Nie przeżyliśmy powtórnego wejścia - rzucił Benz. Był najokrutniejszy spośród nich. A przynajmniej najbardziej bezpośredni. - Widzi pani, panno...

- Hawkins - szepnęła dziewczyna.

- Miło mi panią poznać, panno Hawkins. - Benz zmierzył ją od niechcenia chłodnym spojrzeniem. - Ma pani jakieś imię?

- Merry Lou.

- Dobrze, Merry Lou - powiedział Benz. - Brzmi zupełnie jak imię wyszyte na

bluzce kelnerki - skomentował, zwracając się do pozostałych dwóch mężczyzn. - Mam na imię Merry Lou i podam państwu kolację, śniadanie i lunch, i kolację oraz śniadanie przez następnych kilka dni albo tak długo, ile zechcą państwo tu pozostać, nim wrócicie do własnego czasu. Należy się pięćdziesiąt trzy dolary i osiem centów, nie licząc napiwku. I mam nadzieję, że nigdy nie wrócicie, jasne? - Zadrżał mu głos, papieros w dłoni również. - Przepraszam, panno Hawkins - powiedział po chwili. - Implozja przy powtórnych wejściu wyprowadziła nas z równowagi. Ta wiadomość dotarła do nas z chwilą, gdy powróciliśmy tutaj, do ECA. Wiedzieliśmy o tym wcześniej niż inni, jak tylko znaleźliśmy się w Czasie Awaryjnym.

- Ale nic nie mogliśmy zrobić - uzupełnił Crayne.

- Nikt nie może z tym nic zrobić - poinformował dziewczynę Addison, otaczając ją ramieniem. Odniosł wrażenie, że już kiedyś to przeżył. Naraz zrozumiał. Tkwimy w zamkniętej pętli czasowej, pomyślał, co chwila doświadczamy tego samego, próbując rozwiązać problem powtórnego wejścia. Za każdym razem wyobrażamy sobie, że to pierwszy raz, jedyny... i niezmiennie ponosimy porażkę. Która to już próba? Może milionowa, może siedzieliśmy tu już milion razy, bezskutecznie roztrzaskując w kółko ten sam problem. Ogarnęło go bezbrzeżne znużenie. Wezbrała w nim swego rodzaju filozoficzna nienawiść do wszystkich ludzi, przed którymi nie stała konieczność rozwiązywania podobnej zagadki. Wszyscy zmierzamy w jednym kierunku, pomyślał, jak mówi Biblia. Ale... my trzej już tam byliśmy. I teraz tam spoczywamy. Dlatego nie powinno się prosić nas, abyśmy po tym wszystkim wrócili na Ziemię i kłócili się, martwili i zastanawiali, co poszło nie tak. To zadanie powinno przypaść w udziale naszym potomkom. Dostyc już przeszliśmy.

Dla ich dobra postanowił to przemilczeć.

- Może uderzyliście w coś - zasugerowała dziewczyna. Benz z ukosa popatrzył na towarzyszy.

- Może w coś uderzyliśmy - powtórzył złośliwie.

- W telewizji wciąż mówią - podjęła Merry Lou - o niebezpieczeństwie związanym z powtórnych wejściem przy różnicy w fazie przestrzennej i molekularnym poziomie kolizji z obiektami stycznymi, z których każdy... - Machnęła ręką. - No wiecie. „Żadne dwa obiekty nie mogą zajmować tej samej przestrzeni w tym samym czasie”. I dlatego wszystko poszło na marne. - Rzuciła im pytające spojrzenie.



- To zasadniczy czynnik ryzyka - uświadomił jej Crayne. - Przynajmniej teoretycznie, jak obliczył doktor Fein z Planowania, kiedy przystąpili do kwestii ryzyka. Mieliśmy jednak wiele urządzeń zabezpieczających, które funkcjonowały automatycznie. Powtórne wejście nie mogło mieć miejsca, dopóki owe zabezpieczenia nie ustabilizowałyby naszej pozycji w przestrzeni, tak by uniknąć kolizji. Rzecz jasna, wszystkie urządzenia mogły zawieść. Jedno po drugim. Podczas startu śledziłem skale metryczne. Z moich obserwacji wynikało, że zachodzi między nimi zgodność, czyli byliśmy we właściwej fazie. Nie słyszałem też żadnych sygnałów ostrzegawczych. Ani nic nie zauważyłem. - Skrzywił się. - To nie mogło nastąpić w tamtej chwili.

- Czy wiecie, że nasi najbliżsi krewni są teraz bogaci? - wtrącił raptownie Benz. - Dostaną wszystkie nasze federalne i komercyjne polisy na życie. Nasi „najbliżsi krewni”... Boże uchowaj, to przecież chyba my sami. Możemy zażądać wypłacenia gotówką dziesiątek tysięcy dolarów. Możemy wejść do biur naszych maklerów i ogłosić „Jestem martwy, połóżcie na mnie płytę nagrobną”.

Addison Doug pomyślał o publicznych uroczystościach pogrzebowych. Uroczystościach zaplanowanych zaraz po sekcji. O długim pochodzie przybranych czernią cadillaków wiozących Pennsylvania Avenue dygnitarzy rządowych i naukowców... i my też tam będziemy. Nie raz, ale dwa razy. Najpierw w ozdobionych brązem, udekorowanych flagami dębowych skrzyniach, lecz również... może i w kabrioletcie, machając do tłumu żałobników.

- Uroczystości - powiedział głośno.

Pozostali popatrzyli na niego ze złością, niczego nie rozumiejąc. Potem, stopniowo, pojęli sens jego słów; ujrzał to na ich twarzach.

- Nie - wycedził Benz. - To... niemożliwe. Crayne stanowczo pokręcił głową.

- Rozkazą nam, abyśmy się stawili, i zrobimy to. Wypełnimy rozkaz.

- Czy będziemy musieli się uśmiechać? - zapytał Addison. - Jak durnie?

- Nie - odparł z wolna generał Toad i jego wielka głowa zatrzęsała się na cienkiej szyi. Miał ziemistą, upstrzoną plamami cerę, jakby wielość od-

znaczeń na sztywnym kołnierzu spowodowała stopniowe gnicie ciała. - Nie macie się uśmiechać. Wręcz przeciwnie, musicie zachować uroczystą powagę. Zgodnie z obowiązującym nastrojem żałoby.

- Nie będzie to łatwe - uznał Crayne.

Rosyjski chrononauta zbył to milczeniem. Na jego chudej, ostronosej twarzy malował się niezmienny wyraz troski.

- Naród - podjął generał Toad - na tę ostatnią, krótką chwilę będzie świadomy waszej obecności. Kamery wszystkich głównych sieci telewizyjnych będą bez ostrzeżenia pokazywać wasze twarze, komentatorzy zaś mają mówić mniej więcej coś takiego. - Wyjął kartkę z tekstem napisanym na maszynie, wsunął na nos okulary, odchrząknął i przeczytał: - „Wydaje się, że widzimy trzy jadące razem postacie. Nie widzę ich dokładnie. A wy?” Generał Toad opuścił kartkę. - W tym momencie zaczną wypytywać swoich kolegów. Wreszcie wykrzykną „Ależ, Roger”, albo Walter, albo Ned, w zależności od sieci, dla jakiej pracują...

- Albo Bili - podsunął Crayne. - W razie gdyby na bagnach istniała sieć bizonów.

Generał Toad nie zwrócił na niego uwagi.

- Wykrzykną: „Ależ, Roger, chyba mamy przed sobą trzech temponautów we własnej osobie! Czy to znaczy, że trudności zostały jakoś...?”. Po czym drugi komentator powie z powagą: „To, czego jesteśmy świadkami, David” albo Henry, Pete czy Ralph, wszystko jedno, „stanowi pierwsze poświadczane świadectwo tego, co ludzie nauki określają mianem Efektu Czasu Awaryjnego, czyli ECA. W przeciwieństwie do tego, co można by sądzić na pierwszy rzut oka, nie mamy przed sobą - powtarzam, nie mamy - naszych trzech męźnych temponautów we własnej osobie, ponieważ wszyscy trzej chwilowo zawiesili swoją podróż do przyszłości, która - według naszych pierwotnych oczekiwań - miała się odbyć w kontinuum czasowym

0 sto lat naprzód... wydaje się jednak, że jakimś cudem nie dotarli na miejsce I są tu teraz, w tej chwili, czyli -jak wszyscy wiemy - w terażniejszości”.

Addison Doug przymknął oczy, myśląc, Crayne zapyta go, czy może zostać sfilmowany z balonem w rękę, kiedy je wate cukrową. Myślę, że wszyscy powoli tracimy przez to zmysły. Ile razy uczestniczyliśmy w tej kretyńskiej wymianie zdań, dodał w myślach.

Nie potrafię tego udowodnić, pomyślał znużony. Ale wiem, że to prawda. Siedzieliśmy tutaj, gaworzyliśmy w najlepsze, słuchaliśmy i braliśmy udział w tym głównie wiele razy. Zadrżał. Każde pieprzone słowo...

- Co się stało? - zapytał ostro Benz.

Sowiecki chrononauta po raz pierwszy zabrał głos.

- Jaki jest maksymalny interwał ECA przypadający na was trzech? Jaki jego procent został już zużyty?

- Przed przyjściem tutaj otrzymaliśmy na ten temat dokładne informacje. Wykorzystaliśmy mniej więcej jedną drugą naszego maksymalnego interwału całkowitego ECA - odpowiedział po chwili Crayne.

- A jednak - huknął generał Toad - wyznaczaliśmy Dzień Żałoby Narodowej w taki sposób, aby przypadał w trakcie pozostałego wam wymiaru ECA. To zmusiło nas do przyspieszenia autopsji oraz innych badań sądowych, biorąc jednak pod uwagę emocje publiczne, stwierdziliśmy, że...

Autopsja, pomyślał Addison Doug i ponownie wstrząsnął nim dreszcz. Tym razem nie był w stanie zachować swoich myśli dla siebie.

- Dlaczego nie zakończymy tego bezsensownego spotkania i nie wpadniemy do działu patologii - powiedział - by rzucić okiem na powiększone wycinki tkanek? Może zdołamy wysunąć kilka śmiałych koncepcji, które pomogą nauce medycznej w poszukiwaniu wyjaśnień? Wyjaśnienia: oto czego nam trzeba. Wyjaśnienia problemów, które jeszcze nie miały szansy zaistnieć; problemów, które możemy wymyślić później. - Urwał. Kto się zgadza?

- Nie mam zamiaru oglądać na monitorze swojej śledziony - oznajmił Benz. - Wezmę udział w uroczystości, ale co do sekcji, jestem stanowczo przeciw.

- Mógłbyś po drodze rozdać żałobnikom upstrzone purpurą kawałki własnego jelita - skwitował Crayne. - Chyba możemy liczyć na przydział w postaci torebek na psie odchody, prawda, generale? Moglibyśmy rozrzucać tkanki jak konfetti. Nadal twierdę, że powinniśmy się uśmiechać.

- Przejrzałem wszystkie raporty co do uśmiechów - odparł generał Toad, kartkując plik leżących przed nim papierów. - Otóż wynika z nich, że uśmiech kłóci się z narodowym nastrojem żalu. Uważam, że to stawia kropkę nad i. Co się tyczy waszego udziału w przebiegającej obecnie autopsji...

- Najlepsze przechodzi nam koło nosa - skomentował do Addisona Douga Crayne. - Jak zwykle.

Ignorując jego uwagę, Addison zwrócił się do sowieckiego chrononauty.

- Oficerze N. Gauki - powiedział do wiszącego na szyi mikrofonu co pańskim zdaniem stanowi największe ryzyko dla podróżnika w czasie? Czy niebezpieczeństwo implozji podczas powtórnego wejścia, jak w naszym przypadku? Czy też pana i pańskiego towarzysza podczas waszego krótkiej acz udanej podróży dręczyła inna,

równie traumatyczna obsesja?

N. Gauki odczekał chwilę, nim ponownie zabrał głos.

- R. Plenya i ja wymieniliśmy opinie przy kilku nieformalnych okazjach. Sądzę, że przy odpowiedzi na pańskie pytanie mogę mówić za nas obu. Dręczył nas nieustanny strach o to, że utkwiliśmy bez wyjścia w pętli czasowej.

- I że wciąż będziecie przeżywać to samo? - uzupełnił Addison Doug.

- Tak, panie A. Doug - odpowiedział chrononauta, kiwając z powagą głową.

Addisona Douga ogarnął nieznany dotąd strach. Bezsilnie zwrócił się do Benza, mówiąc:

- Psiakrew. - Wymienili spojrzenia.

- Nie wierzę, że istotnie to się zdarzyło - rzucił ściszym głosem Benz. Położył dłoń na ramieniu Douga i uściśnął je przyjaźnie. - Po prostu przy powtórnym wejściu nastąpiła implozja i tyle. Wyluzuj się.

- Czy możemy skończyć? - zapytał zachrypniętym, zduszonym głosem Addison Doug, na wpół unosząc się z krzesła. Poczuł jak pokój i zebrani w nim ludzie napierają na niego, odbierając mu oddech. Klaustrofobia, pomyślał. Zupełnie jak w podstawówce, kiedy zorganizowano niezapowiedziany test na maszynach uczących, a ja stwierdziłem, że go nie zdam. Proszę - powiedział, wstając. Wszyscy utkwili w nim wzrok; na twarzy każdego z nich malowały się inne uczucia. Twarz Rosjanina wyrażała współczucie i troskę. Addison zapragnął... - Chcę do domu - oświadczył i poczuł się jak idiota.

Był pijany. Siedział w środku nocy w barze na Hollywood Boulevard. Na szczęście towarzyszyła mu Merry Lou. Bawił się świetnie. Przynajmniej wszyscy utwierdzali go w tym przekonaniu. Przycisnął do siebie Merry Lou i powiedział:

- Największą jednością życia, najwyższą jednością i sensem są mężczyzna i kobieta. To jedność absolutna, prawda?

- Wiem - odparta Merry Lou. - Przerabialiśmy to w szkole. - Dziś wieczorem, na jego specjalną prośbę, Merry Lou stała się drobną blondyneczką w purpurowych dzwonach, butach na wysokich obcasach i bluzce odkrywającej brzuch. Wcześniej w jej pępku połyskiwał lazuryt, ale w czasie kolacji w Ting Ho wypadł i gdzieś się zgubił. Właściciel restauracji obiecał, że go poszuka, ale Merry Lou od tej pory była niepokieszona. Był to, jak twierdziła, znak. Nie wyjaśniła jednak czego. Tak czy inaczej, nie mógł sobie przypomnieć; chyba tak powiedziała mu, a on zapomniał.

Przy sąsiednim stoliku siedział elegancki młody Murzyn z fryzurą afro, w pasiastej kamizeli i czerwonym krawacie. Od jakiegoś czasu nie spuszczał wzroku z Addisona. Najwyraźniej miał ochotę go zagadnąć, ale nie starczało mu odwagi. Patrzył więc z daleka.

- Czy odniosłaś kiedyś wrażenie, że dokładnie wiesz, co się wydarzy? - spytał Merry Lou Addison. - Jakie słowa padną za chwilę? Co do najmniejszego szczegółu, zupełnie jakbyś już kiedyś to przeżyła?

- Każdy coś takiego przeżył - odrzekła Merry Lou, pociągając łyk krwawej mary.

Czarny wstał i podszedł bliżej. Stał obok Addisona.

- Przepraszam, że przeszkadzam.

- Zaraz powie: „Czy skądś pana nie znam?” - zwrócił się do Merry Lou Addison. - „Czy aby nie widziałem pana w telewizji?”

- Dokładnie to miałem zamiar powiedzieć - oznajmił czarny.

- Na pewno widział pan moje zdjęcie na czterdziestej szóstej stronie ostatniego wydania „Time'a”, w dziale najświeższych odkryć medycznych powiedział Addison. - Jestem lekarzem z małego miasta w Iowa, który zyskał sławę dzięki odkryciu łatwo dostępnego środka na wieczne życie. Kilka wielkich korporacji farmaceutycznych ostrzy sobie zęby na moją szczepionkę.

- Bardzo możliwe - odrzekł bez większego przekonania Murzyn. Nie wydawał się pijany. Mierzył Addisona baczny spojrzeniem. - Czy mógłbym się przysiąc?

- Jasne - odparł Addison Doug. W dłoni mężczyzny zobaczył kartę identyfikacyjną amerykańskiej agencji ochrony, która od początku zajmowała się projektem.

- Panie Doug - powiedział agent, siadając obok Addisona - nie powinien pan tu siedzieć i poczynać sobie tak beztrąsko. Skoro ja pana rozpoznałem, nie przysporzy to kłopotu również osobie niepowołanej i cała sprawa wyjdzie na jaw. Do Dnia Żałoby wszystko okryte jest tajemnicą. Praktycznie rzecz biorąc, pański pobyt tutaj stanowi naruszenie statutu federalnego; nie jest pan tego świadomy? Powinienem pana zgarnąć. Sytuacja jednak nie jest taka prosta: chyba nie chcemy niepotrzebnych scen? Gdzie pańscy dwaj towarzysze?

- U mnie - wtrąciła Merry Lou. Najwyraźniej nie zwróciła uwagi na identyfikator. - Słuchaj no - rzuciła ostro do agenta - najlepiej będzie, jak stąd znikniesz. Mój mąż dużo przeszedł i ma jedyną szansę, żeby to odreagować.

Addison popatrzył na mężczyznę.

- Wiedziałem, co pan powie, zanim pan tu przyszedł. - Co do słowa, dodał w myślach. Benz jest w błędzie, a ja mam rację. Ta sytuacja będzie się powtarzać w nieskończoność.

- Może uda mi się pana nakłonić do dobrowolnego powrotu do domu panny Hawkins - powiedział agent. - Dostałem wiadomość... - postukał umieszczoną w prawym uchu małą słuchawkę - ...dosłownie przed chwilą, na wypadek gdybyśmy natknęli się na pana. Na pogorzeliisku, tam gdzie wylądowaliście... wie pan, że przeczesywano szczątki?

- Wiem - odparł Addison.

- Chyba mają pierwszy ślad. Jeden z was coś przywiózł. Z ECA, oprócz tego, co miał przy sobie każdy z was, z jawnym naruszeniem zasad szkolenia, które odbyto się przed startem.

- Pozwoli pan, że go o coś zapytam - powiedział Addison Doug. A jeśli nawet ktoś mnie zobaczy? I rozpozna? Co wtedy?

- Obywatele wierzą, że pomimo nieudanego powtórnego wejścia podróż w czasie, pierwsze tego typu amerykańskie przedsięwzięcie, odbyła się pomyślnie. Trzej amerykańscy temponauci znaleźli się w przyszłości odległej o sto lat - czyli mniej więcej dwa razy dalej niż ubiegłoroczna ekspedycja sowiecka. To, że wasza podróż trwała tylko tydzień, będzie mniejszym zaskoczeniem z uwagi na rzekomą chęć wzięcia udziału w...

- Chcieliśmy wziąć udział w uroczystości - przerwał mu Addison. Dwukrotnie.

- Chęć uczestniczenia w dramatycznym i smutnym spektaklu własnych uroczystości pogrzebowych okazała się silniejsza. Czujne obiektywy kamer wszystkich głównych sieci wyłonią was z tłumu. Panie Doug, proszę mi wierzyć, że próba naprawienia tej okropnej sytuacji kosztowała nas немало starań i pieniędzy; ręczę za to słowem. Obywatele łatwiej to przełkną - co nie jest bez znaczenia, zwłaszcza jeżeli planujemy kolejną amerykańską podróż w czasie. Jest to dla nas sprawa niezmiernie ważnej.

Addison Doug utkwiał w nim wzrok. -Jak to?

- Nie zaprzestaniemy dalszych prób podróży w czasie - odrzekł niepewnie agent. - Wasza to dopiero początek. Niestety, z uwagi na tragiczną implozję i poniesioną w jej wyniku śmierć, wy sami nie możecie już brać w nich udziału. Lecz

inni temponauci...

- Sprawa niezmiernej wagi? Czyżby? - Addison podniósł głos, ściągając nerwowe spojrzenia ludzi przy sąsiednich stolikach.

- Oczywiście - odparł agent. - Niech pan mówi ciszej.

- Dla mnie nie jest to sprawa niezmiernej wagi - oznajmił Addison. Ja chcę przestać. Raz na zawsze. Chcę spocząć w ziemi, tak jak inni. Nie chcę ujrzeć więcej lata... takiego samego lata.

- Widziałeś jedno, zobaczyłeś wszystkie - rzuciła histerycznie Merry Lou. - On chyba ma rację, Addi; wynośmy się stąd. Za dużo wypileś, zresztą późno już, a ta wiadomość...

- Co zostało przywiezione? - przerwał jej Addison. - Jaka dodatkowa ifiasa?

- Według analizy wstępnej - odpowiedział agent - wewnątrz pola czasowego modułu znalazła się maszyna o wadze około stu funtów. Nieświadomie ściągnęliście ją za sobą. Taka masa... - Agent machnął ręką. Przyczyniła się do natychmiastowej eksplozji statku. Nie zdążył nawet podjąć próby zrównoważenia tak ogromnego obciążenia w chwili startu.

- O rany! - zawołała Merry Lou, szeroko otwierając oczy. - Może ktoś sprzedał któremuś z was kwadrofoniczny odtwarzacz za dolara i dziewięćdziesiąt osiem centów, razem z piętnastocalowymi głośnikami i obszerną dyskografią Neila Diamonda. - Bezskutecznie próbowała się roześmiać. Jej spojrzenie przygasło. - Addi - szepnęła. - Przepraszam. To naprawdę... dziwne. To znaczy, chciałam powiedzieć, absurdalne. Przecież otrzymaliście dokładne instrukcje co do dopuszczalnej masy? Nie mogliście nawet zabrać dodatkowej kartki papieru. Widziałam w telewizji, jak doktor Fein uzasadnia to rozporządzenie. I jeden z was przywłókł za sobą stufuntowy ciężar? Musieliście chyba dążyć do samozagłady! - Łzy popłynęły jej z oczu; jedna stoczyła się po nosie i zawisła na jego czubku. Machinalnie chciał ją wytrzeć, jakby pomagał małej dziewczynce, a nie dorosłej kobiecie.

- Zabiorę pana tam, gdzie wykonano analizę - powiedział agent, wstając. Razem z Addisonem pomogli Merry Lou dźwignąć się z krzesła. Roztrzęsiona dziewczyna dopiła na stojąco swojego drinka. Addison popatrzył na nią z przejmującym smutkiem, który minął równie szybko, jak się pojawił. Zastanawiał się dlaczego. Nawet tym można się zmęczyć. Nawet troską o kogoś. Jeśli trwa zbyt długo. Nieskończenie długo. By ostatecznie przeistoczyć się w coś, czego nikt, nawet sam Bóg, nie musiał znosić i czemu, mimo wielkiego serca, nie musiał się poddać.

Kiedy wyszli przez zatłoczony bar na ulicę, Addison Doug zwrócił się do agenta.

- Który z nas...

- Oni wiedzą który - uciał agent, przytrzymując drzwi dla Merry Lou. Następnie stanął za Addisonem i kiwnął na szary samochód federalny, przywołując go na czerwoną strefę parkingu. Pospieszyło ku nim dwóch umundurowanych agentów ochrony.

- Ja? - zapytał Addison Doug.

- Lepiej niech pan w to uwierzy - odpowiedział agent.

Kondukt pogrzebowy podążał miarowo Pennsylvania Avenue. Trzy udekorowane flagami trumny i kilkanaście czarnych limuzyn sunęło pomiędzy rzędami grubo ubranych, drżących z zimna żałobników. Mgła wisiała nisko nad Waszyngtonem, szare sylwetki budynków ginęły w przesiąkniętym deszczem półmroku marcowego dnia.

Spoglądając przez pryzmatyczną lornetkę na jadący na czele cadillac, komentator telewizyjny ważnych informacji i wydarzeń publicznych Henry Cassidy nieprzerwanie informował liczną rzeszę niewidocznych odbiorców: „...smutne wspomnienie pociągu jadącego wśród łąków zbóż z trumną Abrahama Lincolna do miejsca pochówku w stolicy kraju. Jakiż to smutny dzień, jaka stosowna aura, gdy skłębione chmury kapią deszczem!”. Zobaczył na monitorze zbliżenie czwartego cadillaca jadącego za pojazdami wiozącymi martwych temponautów.

Jego inżynier poklepał go po ramieniu.

- Zdaje się, że dostrzegamy jadące razem trzy nieznane postacie o jak dotąd nieustalonej tożsamości - rzucił do mikrofonu Henry Cassidy, kiwając na potwierdzenie głową. - Nie widzę dokładnie. Czy masz lepsze pole widzenia, Everett? - zapytał kolegę i wcisnął guzik, który informował Everetta Brantona o konieczności zajęcia jego miejsca na wizji.

- Ależ Henry - rzucił z rosnącym podnieceniem Branton - chyba jesteśmy świadkami ponownego pojawienia się trzech temponautów i ich powrotu z historycznej podróży do przyszłości!

- Czy to znaczy - zapytał Cassidy - że udało się im rozwiązać i przewyciężyć...

- Obawiam się, że nie, Henry - odparł z żalem Branton. - Ku naszemu



zdzumieniu jesteśmy świadkami pierwszego na Zachodzie poświadczonego świadectwa tego, co ludzie nauki określają mianem Efektu Czasu Awaryjnego.

- Ach tak, ECA - rozpromienił się Cassidy, odczytując oficjalny zapis wręczony mu przed transmisją przed władze federalne.

- Tak jest, Henry. Wbrew temu, co mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka, nie są to - powtarzam: nie są - nasi trzej mężczyźni temponauci we własnej osobie...

- Już rozumiem, Everett - wpadł mu w słowo podniecony Cassidy, posłuszny zapisowi w autoryzowanym scenariuszu, który brzmiał PODNIECONY CASS WPADA MU W SŁOWO. - Trzej temponauci chwilowo zawiesili swą historyczną podróż w przyszłość, która według naszych przewidywań miała się odbyć w kontinuum czasowym mniej więcej o sto lat naprzód... Zdaje się, że przytłaczający smutek i żałoba dnia dzisiejszego skłoniła ich do...

- Wybacz, że ci przerwę, Henry- wtrącił Everett Branton - sądzę jednak, że skoro kondukt zatrzymał się na chwilę, może zdołamy...

- Nie! - zaproponował Cassidy, jako że podano mu nabazgraną w pośpiechu notatkę, która głosiła: „Nie robić wywiadu z nautami. Pilne. Unieważ. poprzednie instr”. - Chyba nie uda się nam... - podjął - ...zamienić kilku słów z temponautami Benzem, Craynem i Dougiem, jak miałeś nadzieję, Everett. Jak wszyscy przez chwilę mieliśmy nadzieję. - Dzikimi ruchami rąk zaczął przywoływać mikrofon, którego długie ramię wysunęło się wyczekująco w kierunku stojącego cadillaca. Cassidy pokręcił głową, dając znaki dźwiękowcowi i inżynierowi.

Na widok mikrofonu Addison Doug uniósł się z siedzenia kabrioletu. Cassidy jęknął. On chce zabrać głos, pomyślał. Czyżby jemu nie udzielono odpowiednich instrukcji? Dlaczego jestem jedynym, do którego docierają one na czas? Mikrofony innych sieci telewizyjnych i radiowych licznie otoczyły trzech temponautów, zwłaszcza Addisona Douga. Doug właśnie przystąpił do udzielania odpowiedzi na pytanie zadane przez któregoś z dziennikarzy. Z uwagi na wyłączony mikrofon Cassidy nie usłyszał ani pytania, ani odpowiedzi Douga. Z ociąganiem dał znak dźwiękowcowi.

- ...przedtem - mówił głośno Doug.

- Jak to: „To wszystko działo się już przedtem”? - zapytał stojący w pobliżu samochodu radiowiec.

- Chcę przez to powiedzieć - podjął z grymasem napięcia na czerwonej twarzy amerykański temponauta Addison Doug - że stałem dokładnie w tym miejscu i

odpowiadałem na pytania, a wy wszyscy oglądaliście uroczystości i naszą śmierć podczas powtórnego wejścia niezliczoną ilość razy. To pułapka czasowa, zamknięty cykl, który należy przerwać.

- Czy szukacie przyczyny katastrofalnej implozji przy powtórnym wejściu, która retrospektywnie pomoże wam zapobiec tragedii podczas powrotu w przeszłość, dzięki czemu unikniecie śmierci? - wyrwał się inny dziennikarz.

- Tak jest - odparł temponauta Benz.

- Próbuje ustalić powód gwałtownej implozji i wyeliminować go, nim nadejdzie czas powrotu - dodał temponauta Crayne, kiwając głową - Dowiedzieliśmy się już, że z nieznanych przyczyn stufuntowa masa składająca się z przeróżnych części do volkswagena, łącznie z cylindrami, głowicą...

To straszne, pomyślał Cassidy.

- To niesamowite! - wykrzyknął do mikrofonu. - Zmarli tragicznie amerykańscy temponauci, z determinacją wskrzeszoną dzięki rygorystycznemu szkoleniu i dyscyplinie, którym zostali poddani... zawsze zastanawialiśmy się po co, ale teraz już wiemy... przeanalizowali mechaniczny poślizg odpowiedzialny za ich własną śmierć i rozpoczęli żmudny proces przesiewu i eliminowania przyczyn owego poślizgu, dzięki czemu powrócą do punktu wyjścia i przystąpią do - tym razem bezawaryjnego - powtórnego wejścia.

- Ciekawe - wymruczał w eter Branton -jakie będą konsekwencje tej alteracji w najbliższej przyszłości. Skoro podczas powtórnego wejścia nie nastąpi implozja i temponauci nie zostaną zabici, to wobec tego oni nie... cóż, to dla mnie zbyt trudne, Henry, te paradoksy czasowe, na które doktor Fein z Laboratoriów Wyłaczania Czasu w Pasadenie w tak elokwentny sposób i jakże często zwracał naszą uwagę.

- Nie wolno nam wyeliminować przyczyn implozji przy powtórnym wejściu - mówił do wszystkich mikrofonów temponauta Addison Doug. -

Jedynym sposobem na ucieczkę z tej pułapki jest śmierć całej naszej trójki. Tylko ona wchodzi w rachubę. - Przerwano mu, ponieważ kawalkada cadillaków ruszyła z miejsca.

Wyłączając na chwilę mikrofon, Henry Cassidy zwrócił się do swojego inżyniera:

- Czy on zwariował?

- Czas pokaże - odparł ledwo słyszalnym głosem inżynier.

- To niezwykła chwila dla amerykańskiego zaangażowania w podróż w

czasie - powiedział do włączonego mikrofonu Cassidy. - Czas pokaże... wybaczcie mi tę grę słów... czy grobowe, cokolwiek nie na czasie, przepowiednie temponauty Douga są słowami człowieka złamanego nieszczęściem, czy też trafnym proroctwem wizjonera, rzuconym w związku z makabrycznym dylematem, który - teoretycznie rzecz biorąc - stanie się udziałem nas wszystkich i położy kres podróżom w czasie, zarówno naszym, jak i radzieckim.

Zrobił przerwę na reklamy.

- Wiesz co - zabrzmiał mu w uszach głos Brantona, który kierował te słowa nie do wszystkich, ale wyłącznie do jego studia -jeśli on ma rację, powinni dać tym draniom umrzeć.

- Powinni ich wypuścić - zgodził się Cassidy. - Boże, patrząc na to, w jaki sposób Doug przemawiał i jak wyglądał, można by pomyśleć, że robił to przynajmniej od tysiąca lat! W życiu nie chciałbym znaleźć się na jego miejscu.

- Założę się o pięćdziesiąt dolców - wtrącił Branton - że już kiedyś przez to wszystko przeszli. I to nieraz.

- A więc my również - dodał Cassidy.

Rozpadał się deszcz i rzędy żalobników załśniły wilgocią. Ich twarze, oczy, nawet odzież - wszystko rzucało lśniące, załamane refleksy światła, zupełnie jakby dzień pociemniał od skłębionej nad nimi gęstniejącej warstwy chmur.

- Jesteśmy na antenie? - zapytał Branton.

Kto wie, pomyślał Cassidy. Zapragnął, by dzień dobiegł już końca.

Radziecki chrononauta N. Gauki beznamiętnie uniósł do góry ręce i z naciskiem zwrócił się do siedzących naprzeciw niego Amerykanów.

- To opinia moja oraz mojego kolegi R. Plenya, który za swą pionierską działalność w dziedzinie podróży w czasie otrzymał - zasłużenie - tytuł Bohatera Ludu. Opierając się na naszych własnych doświadczeniach i materiałach teoretycznych opracowanych w waszych akademickich kręgach, jak i w radzieckiej Akademii Nauk, uważamy, że obawy temponauty

A. Douga mogą się potwierdzić. Jego umyślne dążenie do samozagłady i spowodowanie śmierci towarzyszy podczas powtórnego wejścia - przez nielegalne zabranie części samochodowych z ECA - powinniśmy uznać za akt pozbawionego innej możliwości wyboru desperata. Oczywiście, decyzja zależy od was. My działamy jedynie z pozycji doradców.

Addison Doug bawił się porzuconą na stole zapalniczką. Nie podniósł wzroku. Dzwoniło mu w uszach; zastanawiał się, co to znaczy. Odgłos posiadał elektroniczne brzmienie. Może znów jesteśmy wewnątrz modułu, pomyślał. Nie mógł jednak stwierdzić tego na pewno. Czuł namacalną obecność otaczających go ludzi, stół, niebieską plastikową zapalniczkę między palcami. Zakaz palenia w module podczas powtórnego wejścia, pomyślał. Ostrożnie schował zapalniczkę do kieszeni.

- Nie zgromadziliśmy żadnych konkretnych dowodów - powiedział generał Toad - na temat zawiązania pętli czasowej. Mamy do czynienia wyłącznie z subiektywnym uczuciem zmęczenia pana Douga. Działamy opierając się na jego przekonaniach co do powtarzalności wszelkich działań. Jak sam mówi, sprawa przypuszczalnie ma charakter psychologiczny. - Zaczął grzebać, jak prosiak, w leżących przed nim papierach. - Dysponuję nieudostępnionym mediom jego portretem psychologicznym, który został sporządzony przez czterech psychiatrów z Yale. Pomimo niezwyklej stabilności, wykazuje pewne tendencje do przechodzenia od stanu euforii aż do nasilanej depresji. Naturalnie wzięliśmy to pod uwagę jeszcze przed startem, uznaliśmy jednak, że pogodne usposobienie dwóch pozostałych członków załogi stłumi w nim niepożądane reakcje. Tak czy inaczej, tendencja depresyjna wysunęła się w tej chwili na pierwszy plan. - Wyciągnął w kierunku obecnych rękę z raportem, ale nikt nie kwapił się, aby po niego sięgnąć. Czy nie zgodzi się pan, doktorze Fein - powiedział - że osoba znajdująca się w stanie głębokiej depresji przeżywa upływ czasu na swój szczególny sposób, doświadcza pewnej powtarzalności, ustawicznego zmierzania donikąd? Do tego stopnia wpada w obłąd, że zamiast pozwolić przeszłości przeminąć, wciąż przeżywają na nowo w swojej głowie.

- Ale widzi pan - odparł doktor Fein - subiektywne poczucie uwięzienia to chyba nasz jedyny dowód. - Był fizykiem, którego prace stanowiły teoretyczny fundament projektu. - Jeśli rzeczywiście zdarzyło się ustanowienie pętli czasowej.

- Generał - wtrącił Addison Doug - używa słów, których nie rozumie.

- Sprawdziłem te, co do których nie byłem pewien - zaproponował generał Toad.

- Terminy psychiatryczne... wiem, co znaczą.

- Skąd wytrzasnąłeś te części do volkswagena, Addi? - szepnął do Addisona Benz.

- Jeszcze ich nie mam - odrzekł Addison Doug.

- Pewnie capnął to, co mu się nawinęło pod rękę - wtrącił Crayne. Na co

natrafił, zanim wróciliśmy.

- Zanim wrócimy - uściślił Addison Doug.

- Oto moje polecenia dla was trzech - oznajmił generał Toad. - Pod żadnym pozorem nie próbujcie spowodować zniszczenia lub implozji czy też innej usterki przy powtórnym wejściu. Ani za pomocą dodatkowej masy, ani w żaden inny sposób. Macie powrócić zgodnie z planem i wcześniejszą symulacją. Dotyczy to zwłaszcza pana, panie Doug. - Rozdzwonił się stojący przy jego prawej ręce telefon. Zmarszczywszy brwi, generał sięgnął po słuchawkę. Upłynęła chwila, po czym nachmurzony z trzaskiem odłożył słuchawkę na widełki.

- Unieważniono pańskie rozkazy - odgadł doktor Fein.

- Tak jest - powiedział generał Toad. - Przy czym muszę przyznać, że mnie to cieszy, ponieważ decyzję trudno mi było uznać za przyjemną.

- Czyli możemy przeprowadzić implozję przy powtórnym wejściu rzucił po chwili Benz.

- Decyzja należy do was trzech - odparł generał Toad. - Sami macie ją podjąć. Możecie zrobić, jak chcecie. Skoro jesteście przekonani, że tkwicie w pętli czasowej, i wierzycie, że potężna implozja przy powtórnym wejściu zniweluje ją... - Zamilkł, kiedy temponauta Doug podniósł się z krzesła. - Macie zamiar wygłosić kolejne przemówienie, Doug? - zapytał.

- Chciałbym jedynie podziękować wszystkim zaangażowanym w tę sprawę - oświadczył Addison Doug - za umożliwienie nam samodzielnego podjęcia decyzji. - Potoczył zmęczonym spojrzeniem po obecnych, ukazując im wymizerowaną twarz. - Naprawdę to doceniam.

- Wiesz co - powiedział Benz - rozwalenie nas przy powtórnym wejściu może się wcale nie przyczynić do wyeliminowania pętli czasowej. Przeciwnie, może spowodować jej powstanie.

- Chyba że zabije nas wszystkich - odezwał się Crayne.

- Zgadzasz się z Addim? - zapytał Benz.

- Trup to trup - skwitował Crayne. - Zastanawiałem się nad tym. Czy istnieje jakakolwiek inna możliwość, żeby to przerwać? Inna niż nasza śmierć? No pomyśl.

- Może nie tkwicie w żadnej pętli - podsunął doktor Fein.

- A może tkwimy - skontrował Benz.

- Czy moglibyśmy zapytać o zdanie Merry Lou? - Doug zwrócił się do Crayne'a i Benza.

- Po co? - zapytał Benz.

- Nie jestem w stanie odzyskać jasności myśli - odrzekł Doug. - Merry Lou może mi pomóc, liczę na nią.

- Pewnie - odparł Crayne. Benz również kiwnął głową. Generał Toad ze stoickim spokojem popatrzył na zegarek.

- Panowie, na tym kończymy naszą dyskusję - oznajmił.

Radziecki chrononauta Gauki zdjął słuchawki i mikrofon i z wyciągniętą ręką pospieszył w kierunku amerykańskich temponautów. Mówił chyba coś po rosyjsku, lecz nikt go nie rozumiał. Odsunęli się ponuro, tworząc ciasną gromadkę.

- Uważam, że ci odbiło, Addi - stwierdził Benz. - Ale wygląda na to, że chyba teraz stanowią mniejszość.

- Jeśli on ma rację - dorzucił Crayne - jeśli... mielibyśmy wciąż powracać do tego samego punktu, a jest choć jedna szansa na miliard... warto spróbować.

- Czy moglibyśmy odwiedzić teraz Merry Lou? - zapytał Addison Doug. - Pojechać do jej domu?

- Ona czeka na zewnątrz - rzucił Crayne.

Generał Toad podszedł do trzech temponautów i powiedział:

- Wiecie, że na sytuację w dużej mierze wpłynęła publiczna reakcja na to, jak pan, Doug, wyglądał i zachowywał się podczas uroczystości pogrzebowych. Doradcy NSC doszli do wniosku, że obywatele, podobnie jak wy, woleliby dowiedzieć się o pomyślnym zakończeniu sprawy. Większą ulgę przyniesie im świadomość, że zostaliście uwolnieni od waszej misji, niż wieść o uratowaniu projektu i bezbłędnym powtórnym wejściu. Chyba rzeczywiście wywarł pan na nich trwałe wrażenie, Doug. Tym swoim chwytającym za serce lamentem. -I odszedł, pozostawiając ich samym sobie.

- Daj sobie spokój - poradził Addisonowi Crayne. - Z nim i jemu podobnymi. Musimy zrobić, co do nas należy.

- Merry Lou wszystko mi wyjaśni - rzekł Doug. - Będzie wiedziała, co trzeba zrobić.

- Pójdę po nią - powiedział Crayne - a potem wszyscy czworo gdzieś pojedziemy, może do niej, i pomyślimy. Zgoda?

- Dziękuję - odrzekł Addison Doug, kiwając głową. Rozejrzał się, szukając jej wzrokiem. Pewnie jest w sąsiednim pomieszczeniu, gdzieś blisko. - Doceniam waszą

pomoc - dodał.

Benz i Crayne wymienili spojrzenia. Nie uszło to jego uwagi, nie domyślał się jednak, co to miało znaczyć. Wiedział tylko, że potrzebował kogoś, najbardziej Merry Lou, kto mógłby pomóc mu zrozumieć sytuację. I znaleźć odpowiednie rozwiązanie.

Merry Lou wywiozła ich na północ od Los Angeles, superszybkim pasmem autostrady w kierunku Ventury, a potem do Ojai. Wszyscy czworo

mówili niewiele. Merry Lou jak zawsze świetnie radziła sobie za kółkiem. Opierając się o nią, Addison Doug czuł, jak ogarnia go chwilowe poczucie spokoju.

- Nie ma to, jak dziewczyna wiezie cię samochodem - skomentował Crayne po wielu milach milczącej jazdy.

- Zupełnie jakbyś był arystokratą - dorzucił Benz. - Kiedy kobieta prowadzi twój samochód. Jakbyś był obwożoną przez szofera wielką szychą.

- Dopóki ten szofer na coś nie najedzie - odparła Merry Lou. - Na jakiegoś powolnego molocha.

- Kiedy widziałas, jak wlokę się w kierunku twojego domu - powiedział Addison Doug - ...aleją sekwoi, tamtego dnia. Co sobie pomyślałaś? Powiedz prawdę.

- Wyglądałeś tak - odrzekła dziewczyna - jakbyś robił to po raz któryś z kolei. Wyglądałeś na wyczerpanego i... gotowego na śmierć. Wreszcie. - Zawahała się. - Przepraszam, ale właśnie tak wyglądałeś, Addi. Pomyślałam sobie: on zna tę drogę zbyt dobrze.

- Zupełnie jakbym robił to po raz któryś z kolei.

- Tak - potwierdziła.

- Czyli głosujesz za implozją - uznał Addison Doug.

- To znaczy...

- Bądź ze mną szczerą - ponaglił.

- Za twoim fotelem - powiedziała Merry Lou - jest skrzynka.

W świetle wyjętej ze schowka latarki trzej mężczyźni obejrzeni skrzynkę. Addison Doug z niepokojem przyjrzał się jej zawartości. Części do volkswagena, zardzewiałe i zużyte. Wciąż naoliwione.

- Znalazłam je za warsztatem samochodów zagranicznych niedaleko Hornu - wyjaśniła Merry Lou. - W drodze do Pasadeny. Pierwsze śmieci, które wydały mi się dostatecznie ciężkie. Słyszałam, jak mówią w telewizji, że wszystko cięższe niż pięćdziesiąt funtów...

- Wystarczy - uznał. - Wystarczyło.

- Czyli nie ma sensu jechać do ciebie - stwierdził Crayne. - Klamka zapadła. Równie dobrze możemy skierować się na południe, w stronę modułu. I rozpocząć procedurę wyjścia z ECA. Przygotować się do powtórnego wejścia. - Mówił stłumionym, ale opanowanym głosem. - Dzięki za pani głos, panno Hawkins.

- Jesteście wszyscy tacy zmęczeni - powiedziała.

- Ja nie - oznajmił Benz. - Jestem wściekły. Wściekły jak diabli.

- Na mnie? - zapytał Addison Doug.

- Sam nie wiem - odparł Benz. - To po prostu... Cholera. - Ponury, zamilkł. Przygarbił się, zastygając bez ruchu. Izolując się od pozostałych pasażerów.

Na następnym skrzyżowaniu zawróciła i pojechali na południe. Zdawało się ją wypełniać poczucie wolności, Addison Doug zaś czuł, jak ciężące mu zmęczenie ustępuje.

Na nadgarstkach trzech mężczyzn zabręczały ostrzegawczo nadajniki. Wszyscy drgnęli.

- Co to znaczy? - zapytała Merry Lou, zwalnając.

- Mamy jak najszybciej skontaktować się z generałem Toadem - wyjaśnił Crayne. Wskazał kierunek ręką. - Tam jest stacja, niech pani skręci, panno Hawkins. Zadzwonimy stamtąd.

Kilka minut później Merry Lou zatrzymała samochód przed budką telefoniczną.

- Mam nadzieję, że nie chodzi o złe wieści - powiedziała.

- Ja będę mówił pierwszy - oświadczył Doug, wysiadając. Złe wieści, pomyślał z wymuszonym rozbawieniem. Czyli co? Na zeszywniałych nogach dotarł do budki, wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi, wrzucił dziesiątkę i wykręcił darmowy numer.

- Mam dla was wiadomość! - oznajmił generał Toad, kiedy operator go połączył. - Dobrze, że was złapaliśmy. Chwileczkę... niech doktor Fein sam panu to powie. Prędzej uwierzy pan jemu niż mnie. - W słuchawce rozległy się trzaski, po czym dał się słyszeć opanowany i rzeczowy, choć teraz nieco nagłący głos doktora Feina.

- Jaka jest ta zła wiadomość? - zapytał Addison Doug.

- Dlaczego zaraz zła? - odparł doktor Fein. - Od chwili naszej rozmowy przeprowadziłem pewne obliczenia, z których wynika... a raczej jest statystycznie



prawdopodobne, choć wciąż niepotwierdzone na pewno... że ma pan rację, Addison. Znajdujecie się w pętli czasowej.

Addison gwałtownie wypuścił powietrze z płuc. Ty podła autokratyczna świni, pomyślał. Pewnie wiedziałeś od początku.

- A jednak - kontynuował z przejęciem, zająkując się lekko, doktor Fein - obliczyłem również... wszyscy obliczyliśmy, głównie przy pomocy ludzi z Cal Tech... że największe prawdopodobieństwo utrzymania pętli zaistniałoby w wyniku implozji przy powtórnym wejściu. Rozumiesz, Addison? Jeśli zaciągniecie za sobą te wszystkie zardzewiałe części do volkswagena i doprowadzicie do implozji, wasze statystyczne szanse zacieśnienia pętli są większe, niż gdybyście bez przeszkód weszli powtórnie.

Addison nie odpowiedział.

- W gruncie rzeczy, Addi... to najtrudniejsza część, którą muszę szczególnie podkreślić... implozja przy powtórnym wejściu, zwłaszcza wykalkulowana i potężna... rozumiesz, Addi? Czy dociera do ciebie to, co mówię? Na miłość boską, Addi? Gwarantuje zamknięcie nieubłaganej pętli, takiej,

jaką ty bierzesz pod uwagę. Której prawdopodobieństwo niepokoiło nas pod samego początku. - Chwila ciszy. - Addi? Jesteś tam?

- Chcę umrzeć - powiedział Addison Doug.

- Jesteś zmęczony pętlą. Bóg raczy wiedzieć, ile wy trzej macie już za sobą powtórzeń...

- Nie - odparł i zrobił ruch, by odłożyć słuchawkę.

- Chcę porozmawiać z Benzem i Craynem - zażądał pospiesznie doktor Fein. - Proszę, zanim podejmiecie próbę powtórnego wejścia. Daj mi Benza, chcę porozmawiać zwłaszcza z nim. Proszę, Addison. Dla ich dobra, twoje wyczerpanie...

Odłożył słuchawkę. I powoli opuścił budkę telefoniczną. Gdy wchodził ponownie do samochodu, usłyszał sygnały ostrzegawcze dwóch nadajników.

- Generał Toad powiedział, że automatyczne wezwanie spowoduje taką reakcję waszych odbiorników - powiedział. I zatrzasnął drzwi. - Jedźmy.

- Nie chce z nami rozmawiać? - zapytał Benz.

- Generał Toad chciał nas poinformować - odrzekł Addison Doug że mają dla nas małe co nieco. Dostaliśmy jakieś odznaczenie za odwagę czy coś w tym rodzaju. Specjalny medal, nieprzyznany jeszcze nikomu. Pośmiertne odznaczenie.

- Cóż, do diabła... a niby jak inaczej mieliby je nam przyznać - podsumował

Crayne.

Zapalając silnik, Merry Lou zaczęła płakać.

- Kamień mi spadnie z serca, gdy już będzie po wszystkim - dodał Crayne, kiedy wyboistą drogą dojeżdżali do autostrady.

Już niedługo, pomyślał Addison Doug.

Nadajniki na ich nadgarstkach kontynuowały swoją hałaśliwą skargę.

- Zakrzyczą człowieka na śmierć - stwierdził Addison Doug. - Co to za męka wysłuchiwać ciągle jazgotu biurokratycznych głosów.

Pozostali rzucili mu pytające spojrzenia pełne zdziwienia przemieszanego z niepokojem.

- Tak - odrzekł Crayne. - Te automatyczne sygnały to rzeczywiście udreka. - W jego głosie pobrzmiwało znużenie. Tak jak w moim, pomyślał Addison Doug. I ta myśl, potwierdzająca jego teorię, przyniosła mu pewną ulgę.

O przednią szybę uderzyły ciężkie krople deszczu; zaczęło padać. Sprawilo mu to niejaką przyjemność. Przypomniał sobie najbardziej wzruszające doświadczenie krótkiej przestrzeni swego życia: kondukt pogrzebowy przemierzający Pennsylvania Avenue, udekorowane flagami trumny.

Przymknął oczy i wreszcie ogarnęło go poczucie zadowolenia. Znów usłyszał wokół siebie głosy pogrążonych w żałobie ludzi. I zamarzył o odznaczeniu za odwagę. Za zmęczenie, pomyślał. Medal za zmęczenie.

Oczami wyobraźni zobaczył siebie podczas innych uroczystości pogrzebowych, w śmierci wielu ludzi. Lecz tak naprawdę istniała tylko jedna śmierć i jeden kondukt. Samochody z wolna sunące ulicami Dallas, doktor King... Widział kolejne powroty w zamkniętym cyklu życia, powroty do żałoby narodowej, której nie był, nie byli w stanie zapomnieć. Będzie tam, zawsze tam będą, powrócą znów i raz jeszcze. Do miejsca, do chwili, o której marzą. To wydarzenia, które znaczy dla nich najwięcej.

Był to jego dar dla nich, dla narodu, dla kraju. Obdarował świat cudownym ciężarem. Straszny i nużącym cudem wiecznego życia.

## OKO SYBILLI

lak to się dzieje, że nasza starożytna Republika Rzymska opiera się tym, którzy pragnęliby ją zniszczyć? My, Rzymianie, choć niczym nie różnimy się od innych śmiertelników, korzystamy ze wsparcia istot przewyższających nas pod każdym względem. Te mądre i łaskawe stworzenia, pochodzące z nieznanym nam światów, gotowe są wesprzeć republikę, kiedy jej bezpieczeństwo zawisa na włosku. W momencie gdy zapanuje w niej spójność - znikają, by powrócić w sytuacji ponownego zagrożenia.

Rozważmy zabójstwo Juliusza Cezara: sprawę, która została zamknięta, gdy mordercy zapłacili za nie głową. Lecz jakim sposobem my, Rzymianie, byliśmy w stanie bezsprzecznie ustalić, kto popełnił ten niegodny czyn? Oraz, co bardziej istotne, jak zdołaliśmy postawić zamachowców przed obliczem sprawiedliwości? Działaliśmy dzięki pomocy z zewnątrz, korzystaliśmy ze wsparcia Sybilli kumejskiej, która potrafi przepowiadać przyszłość tysiąc lat do przodu i która przechowuje nam w formie pisemnej swoje rady. Wszyscy Rzymianie są świadomi istnienia Ksiąg Sybilli. Sięgamy po nie, kiedykolwiek nastaje ku temu potrzeba.

Ja sam, Philos Diktos z Tiany, widziałem owe księgi. Korzystało z nich wielu rzymskich prominentów, zwłaszcza członków Senatu. Lecz ja widziałem samą Sybillę i wiem o niej coś, o czym wie garstka. Teraz, kiedy nadeszła starość - przykra konieczność łącząca wszystkich śmiertelników - pragnę wyznać, że kiedyś, przypadkiem, w trakcie pełnienia swoich obowiązków kapłańskich ujrzałem, w jaki sposób Sybilla przemierza wzrokiem korytarze czasu, wiem, co umożliwia tę wędrówkę jej - potomkini Sybilli delfickiej, zamieszkującej czcigodną ziemię grecką.

Wiedzą o tym nieliczni, być może Sybilla zechce przekroczyć barierę czasu, pragnąc ukarać mnie za to, że ważyłem się zabrać głos, i uciszy mnie na zawsze. Przeto możliwe jest, iż znajdą mnie martwego nad tym niedokończonym zapiskiem, z głową rozłupaną na dwoje jak owe przejrzałe melony z Lewantu, które my, Rzymianie, wysoce sobie cenimy.

Tamtego ranka pokłóciłem się z żoną - wówczas nie byłem jeszcze stary, a nikczemny mord dokonany na Juliuszu Cezarze dopiero co się przydarzył. Nie znano jeszcze nazwisk sprawców. Zdrada stanu! Niecne zabójstwo - tysiąc ran od noża w ciele człowieka, który miał pogodzić nasze zwaśnione społeczeństwo... przy pełnej

akceptacji Sybilli; widzieliśmy jej zapiski poświęcone sprawie. Wiedzieliśmy, że spodziewała się ujrzeć, jak Cezar wprowadza do Rzymu swoją armię i zostaje koronowany.

- Ty bezmyślny głupcze - mówiła tego ranka moja żona. - Gdyby Sybilla była tak mądra, jak myślisz, przewidziałyby zamach.

- Może tak właśnie uczyniła - odparłem.

- Uważam, że to oszustka - powiedziała do mnie Ksantypa, krzywiąc się na swój zwykły, jakże odrażający sposób. Pochodzi ona - czy też raczej pochodziła - z wyższej klasy społecznej niż ja, i nigdy nie omieszkała mi o tym przypomnieć. - To wy, kapłani, wymyślacie te teksty, sami je piszecie, tak formułując myśli, by umożliwić dowolną interpretację. Mydlicie oczy obywatelom, szczególnie tym zamożnym. - Mówiąc to, miała na myśli własną rodzinę.

Na te słowa żywo zerwałem się od stołu.

- To natchniona prorokini, ona zna przyszłość. Najwidoczniej zamordowaniu naszego wodza, tak umiłowanego przez lud, nie dało się zapobiec.

- Sybilla jest oszustką - odparta niezłomnie moja żona, z właściwą sobie żarłocznością przystępując do smarowania kolejnej bułki.

- Widziałem księgi...

- Niby jak miałyby znać przyszłość? - zapytała moja żona.

W tym miejscu ja, głupi, musiałem uznać swoją porażkę. Ja, kapłan, sługa Republiki. Czuję się upokorzony.

- Jak zwykle chodzi o pieniądze - rzuciła za mną żona, kiedy przestępowałem próg.

Mimo iż dopiero świtało - powabna Aurora, bogini jutrzeńki, osnuwała świat świętym blaskiem, który stanowił źródło wielu naszych wizji - skierowałem się ku świątyni będącej miejscem mojej pracy.

Nie było tam żywej duszy, wyjąwszy kilku uzbrojonych strażników, którzy spacerowali na zewnątrz. Ze zdumieniem przyjęli moje wczesne pojawienie się i na powitanie skinęli głowami. Nikt poza kapłanem kumejskiej świątyni nie ma dostępu do jej wnętrza, nawet sam Cezar musi się z nami liczyć.

Wszedłem i minąłem przestronną, wypełnioną oparami niszę, gdzie w półmroku rozpraszającym nikłym blaskiem nielicznych pochodni połyskiwał tron Sybilli...

Zamarłem, ujrawszy coś, czego nigdy wcześniej moim oczom nie dane było

ogłądać. Sybilla, o długich, czarnych włosach ciasno splecionych nad karkiem i osłoniętych ramionach, siedziała na tronie, pochylając się do przodu - i wtedy zobaczyłem, że nie była sama.

Na wprost niej, wewnątrz przezroczystej kuli, tkwiły dwie postacie. Przypominały ludzi, lecz obie posiadały dodatkowy narząd, którego nawet teraz nie jestem w stanie dokładnie określić. Nie ulegało wątpliwości, że nie miałem przed sobą śmiertelników, ale bogów. W miejscu oczu wyzierały pozbawione źrenic szparki. Zamiast rąk, z ich ciała wyrastały podobne do odnóży krabów szczypce. Usta miały postać szczelin i zorientowałem się, że bogowie byli niemi. Porozumiewali się z Sybilla za pomocą długich przewodów, z obu stron zakończonych niewielką skrzynką. Jeden z osobników przykładł sobie do czaszki jedną skrzynkę, Sybilla zaś trzymała drugą. Na skrzynkach widniał szereg cyfr i przycisków, a przewód był poskręcany i splątany, dzięki czemu można go było dowolnie wydłużać.

Spoglądałem na Nieśmiertelnych. My, Rzymianie, śmiertelnicy, wierzyliśmy, że wszyscy Nieśmiertelni opuścili świat dawno temu. Tak nam mówiono. Najwidoczniej jednak powrócili, przynajmniej na pewien czas, aby przekazać informacje Sybilli.

Sybilla zwróciła się w moją stronę i, rzecz dziwna, jej głowa przepłynęła przez wypełnioną oparami komnatę i znalazła się blisko mojej. Pomimo iż odkryła moją obecność, uśmiechała się. Teraz, dzięki jej łaskawości, mogłem biernie uczestniczyć w rozmowie z Nieśmiertelnymi.

- ...tylko jeden spośród wielu - dobiegł mnie głos potężniejszego z nich. - Inni podążą za nim, lecz nim to nastąpi, upłynie jakiś czas. Po złotym wieku nadchodzi okres ciemnoty.

- Czy nijak nie można by temu zapobiec? - zapytała Sybilla swoim melodyjnym, tak uwielbianym przez nas głosem.

- Rządy Augusta będą prawie - odparł większy Nieśmiertelny. - Jednakże po nich nadejdą czasy złych i zepsutych ludzi.

- Musisz zrozumieć - dodał drugi Nieśmiertelny - że wokół Świetlanej Postaci powstanie nowy kult. Będzie narastał, lecz ich prawdziwe pisma zostaną zakodowane, a przesłanie zaprzepaszczone. Przewidujemy porażkę misji Świetlanej Postaci, zginie w męczarniach, podobnie jak Juliusz. Potem zaś...

- Długo potem - uściślił większy Nieśmiertelny - cywilizacja ponownie wydzwignie się z ignorancji. Po upływie dwóch tysięcy lat, kiedy to...

Sybilla raptownie zaczerpnęła tchu.

- Tak długo, Ojcowie?

- Tak długo. Kiedy zaczną szukać odpowiedzi na nurtujące ich pytania o pochodzenie i boskość człowieka, ponownie nastanie czas mordów, represji i okrucieństwa, który wyznaczy początek kolejnej mrocznej ery.

- Można to odwrócić - powiedział drugi Nieśmiertelny.

- Czy zdam się tutaj na coś? - zapytała Sybilla.

- Wtedy już cię nie będzie - odparli łagodnie obaj Nieśmiertelni.

- Czy żadna inna Sybilla nie zajmie mojego miejsca?

- Nie. Przez następne dwa tysiące lat nikt nie będzie stał na straży Republiki.

Podli ludzie o niecnym zamysłach załęgną się niczym szczury, swą ustawiczną walką o władzę i fałszywe honory odcisną na całym świecie trwałe piętno. - Jeden z Nieśmiertelnych zwrócił się do Sybilli. - Wówczas nie będziesz w stanie pomagać ludziom.

Nagle obaj Nieśmiertelni zniknęli, unosząc za sobą przewód i skrzynki służące do niemal telepatycznej komunikacji. Sybilla siedziała przez chwilę nieruchomo, po czym uniosła rękę, dzięki czemu - sposobem przekazanym nam przez Egipcjan - popłynęła w jej kierunku jedna z czystych kartek papieru, na której mogła pisać. Następnie jednak uczyniła rzecz niezwykłą. Opowiadam wam o niej z większym strachem niż o tym, czego dowiedzieliście się do tej pory.

Sięgnąwszy pomiędzy fałdy swojej szaty, wyciągnęła Oko. Kiedy umieściła je pośrodku czoła, ujrzałem, że w niczym nie przypomina ono naszych, mających źrenice oczu, lecz raczej przywodzi na myśl wąskie szparki oczu Nieśmiertelnych. Wyposażone było w dwa boczne, wędrujące ku sobie pasma... Moje pochodzenie i wykształcenie kapłańskie uniemożliwiają mi wiarygodne oddanie owych zdumiewających zjawisk, których stałem się mimowolnym świadkiem, ale Sybilla zwróciła się w moją stronę i popatrzyła przeze mnie swoim Okiem, a następnie wydała donośny okrzyk, który wstrząsnął murami świątyni i na którego dźwięk posypały się kamienie oraz zasyczały węże ukryte w szczelinach skał. Widok przejął ją niewymowną zgrozą i lękiem, mimo to jednak nadal spoglądała w tym samym kierunku.

W pewnej chwili padła na ziemię, jak gdyby straciła przytomność. Podbiegłem, aby jej pomóc, dotknąłem Sybilli, mojej przyjaciółki, wspaniałej przyjaciółki całej Republiki, rażącej strasznym widokiem odsłoniętych przed nią

zawiłych zakamarków przyszłości. Tymże Okiem Sybilla widziała to, co chciała zobaczyć, by móc pouczyć nas i ostrzec. Dla mnie zaś stało się jasne, że niekiedy widywała rzeczy, których nie mogła znieść i którym my mimo największych starań nie byliśmy w stanie stawić czoła.

Kiedy podniosłem Sybillę z ziemi, stała się dziwna rzecz. Wśród kłębiących się oparów dostrzegłem realne kształty.

- To iluzja - powiedziała Sybilla, usłyszałem jej słowa i chociaż dotarło do mnie ich znaczenie, wiedziałem, że kształty w rzeczy samej były prawdziwe. Ujrzałem olbrzymi statek pozbawiony żagli i wiosł... Ujrzałem miasto celujące w niebo szczytami wysokich budynków, zatłoczone pojazdami nieprzypominającymi nic, co do tej pory widziałem. Sunąłem w ich kierunku i one zbliżały się ku mnie, aż wreszcie osnuły mnie sobą, odcinając od Sybilli. - Widzę je Okiem Gorgony - zawołała za mną Sybilla. - Dostałeś się do środka Oka przekazywanego przez Meduzy, oka dziejów... -I jej słowa umilkły.

Bawiłem się na trawniku ze szczenięciami, myśląc o potłuczonych butelce coca-coli porzuconej na podwórku; nie wiedziałem, kto ją tam zostawił.

- Philip, chodźże na obiad! - zawołała z werandy moja babcia. Zauważyłem, że słońce zniknęło już za horyzontem.

- Dobrze! - odkrzyknąłem i wróciłem do zabawy. Znalazłem wielką pajęczynę z uwięzioną w niej pszczołą ukąszoną przez pająka. Próbowałem ją uwolnić; wtedy ona użądliła mnie.

Moje następne wspomnienie dotyczy komiksów, które czytałem w lokalnym dzienniku Berkeley. Czytałem o Bricku Bradfordzie i o tym, jak odnalazł zaginioną cywilizację sprzed kilku tysięcy lat.

- Popatrz, mam - powiedziałem do matki. - Spójrz tylko na to, jest sztorm. Brick idzie po tym występie skalnym, widzisz, a na dnie... - Patrzyłem na starodawne hełmy noszone przez ludzi i owładnęło mną dziwne uczucie, nie wiedziałem dlaczego.

- Oglądanie tych bazgrołów na pewno nie przyniesie mu pożytku stwierdziła z niesmakiem matka. - Powinien czytać coś wartościowego, a nie takie śmieci.

Dalej pamiętam, że byłem w szkole i przyglądałem się tańczącej dziewczynie. Miała na imię Jill i była rok starsza ode mnie, chodziła do szóstej klasy. Włożyła kostium tancerki brzucha, dolną część twarzy przykrywała jej woalka. Podchwyciłem

jednak ciepłe spojrzenie przepelnionych mądrością, pięknych oczu. Przypominały oczy kogoś, kogo niegdyś znałem, ale kogóż mogło niegdyś znać dziecko? Później pani Redman kazała nam napisać wypracowanie i ja napisałem o Jill. Napisałem o dalekich lądach, gdzie Jill mieszkała i tańczyła goła od pasa w górę. Pani Redman zadzwoniła do mojej matki i dostałem burę, z grubsza chodziło chyba o biustonosz czy coś w tym rodzaju. Wówczas tego nie rozumiałem, nie rozumiałem także wielu innych spraw. Zachowałem jakieś wspomnienia, lecz nie miały one nic wspólnego ani z dorastaniem w Berkeley, szkołą podstawową Hillside, ani z moją rodziną czy domem, w którym mieszkaliśmy... ale z węzami. Teraz wiem, dlaczego śniłem o węzach: mądrych węzach, nie złych, lecz takich, które szeptem przekazują nam swą mądrość.

Tak czy inaczej, dyrektor szkoły, pan Bili Gaines, ocenił moje wypracowanie jako bardzo dobre po tym, jak napisałem, że Jill okrywała czymś górną połowę ciała, tak więc postanowiłem, że zostanę pisarzem.

Pewnej nocy miałem dziwny sen. Byłem wtedy może w ostatniej klasie szkoły podstawowej i przygotowywałem się już do egzaminów do liceum. Przyśniło mi się to w środku nocy i mimo oczywistego faktu, że był to tylko sen, nosił wszelkie znamiona realności: ujrzałem zamkniętą w satelicie postać z kosmosu. Spoglądała na mnie bez słowa z dziwnym wyrazem twarzy.

Mniej więcej dwa tygodnie później musiałem zadeklarować się, kim chcę zostać, jak dorosnę, i ogarnęła mnie myśl o człowieku z innego wszechświata. Pod jej wpływem napisałem: ZOSTANĘ PISARZEM SCIENCE FICTION.

Moja rodzina się wściekła, ale wtedy, widzicie, ja wykazałem niezłomny upór. Poza tym moja dziewczyna, Ysabel Lomax, powiedziała mi, że i tak nigdy nie będę w tym dobry, nie zarobię złamanego szeląga, a w ogóle science fiction to dno, które czytają tylko pryszczaci. Jej słowa ostatecznie utwierdziły mnie w moim wyborze, ponieważ pryszczatym też się coś od życia należy i ktoś powinien dla nich pisać, to niesprawiedliwe pisać wyłącznie dla tych, którzy nie mają żadnych problemów z cerą. Amerykę zbudowano na bazie sprawiedliwości, tego właśnie uczył nas w podstawówce pan Gaines, a skoro w owym czasie był jedynym, który potrafił naprawić mój zegarek, uważałem go za niepodważalny autorytet.

W liceum byłem do niczego, gdyż trwoniłem swój czas na całodzienne pisanie, przez co wszyscy nauczyciele narzekali, że jestem komunistą, bo nie robię, co mi się każe.



- Tak? - zwykłem odpowiadać. Wysłali mnie do dyrektora. Ten nawymyślał mi gorzej niż mój dziadek i ostrzegł, że jeśli się nie poprawię, zostanę wylany.

Tamtej nocy miałem kolejny z moich snów. Tym razem jechałem z kobietą na starodawnym rydwanie rzymskim, a ona śpiewała.

Następnego dnia, kiedy musiałem odwiedzić pana Erlauda, dyrektora, napisałem po łacinie na jego tablicy:

#### UBI PECUNIA REGNET

Kiedy wszedł do sali, gwałtownie poczerwieniał, ponieważ uczył łaciny i znał znaczenie tych słów, „Gdzie rządzą pieniądze”.

- To właśnie napisałby lewicowy podburzy ciel - powiedział do mnie. Toteż kiedy siedział pochłonięty przeglądaniem moich dokumentów, dopisałem te słowa:

#### UBI CUNNUS REGNET

To zbiło go z tropu.

- Gdzie... gdzie nauczyłeś się tego słowa? - zapytał.

- Nie wiem - odparłem. Nie byłem pewien, ale wydawało mi się, że ludzie w moich snach mówili do mnie po łacinie. A może po prostu mój mózg robił sobie powtórkę z lekcji łaciny, na których radziłem sobie zdumiewająco dobrze, uwzględniając fakt, że stroniłem od podręczników.

Kolejny sen miał miejsce na dwie noce przed zamordowaniem prezydenta Kennedy'ego. Na dwie noce przed zabójstwem ujrzałem całą sytuację we śnie jak na dłoni, choć przede wszystkim moją uwagę przykuł fakt, że zamachowcom przyglądała się moja dziewczyna, Ysabel Lomax, a na jej czole widniało trzecie oko.

Później rodzina wysłała mnie do psychologa, ponieważ po śmierci Kennedy'ego kompletnie zdziwaczałem. Zamknąłem się w sobie i przesiadywałem całymi dniami zatopiony w myślach.

Wysłali mnie do sympatycznej pani Carol Heims. Była bardzo ładna i nigdy nie mówiła, że jestem stuknięty, uważała natomiast, że powinienem odseparować się od rodziny i rzucić szkołę - twierdziła, że szkolnictwo odgradza młodzież od rzeczywistości i uniemożliwia jej radzenie sobie z problemami nasuwanymi przez

zycie - mnie zaś zabroniła pisać science fiction. Tak też zrobiłem. Pracowałem w sklepie z artykułami telewizyjnymi, gdzie zmiatałem podłogę, odpakowywałem i montowałem nowe odbiorniki telewizyjne. Nie mogłem opędzić się od myśli, że każdy z nich był wielkim okiem, nie dawało mi to spokoju. Opowiedziałem Carol Heims o swoich snach, o kosmitach, o posługiwaniu się łaciną i o tym, że budząc się, zapomniałem większość szczegółów.

- Snów nie sposób w pełni zrozumieć - zapewniała mnie pani Heims. Siedziałem tam, rozmyślając o tym, jak też wyglądałaby w kostiumie tancerki brzucha, goła od pasa w górę; stwierdziłem, że dzięki temu czas przeznaczony na terapię płynie znacznie szybciej.

- Istnieje nowa teoria, że sny stanowią część zbiorowej nieświadomości, sięgającej tysiące lat wstecz... w snach masz z nią kontakt. Tak więc, jeśli to prawda, są istotne i niezmiernie cenne.

Choć pochłonięty byłem wyobrażaniem sobie, jak zwodniczo kołysze biodrami, nie przestawałem jej słuchać, sprawiała to pełna mądrości łagodność widniejąca w jej oczach. Z jakiejś przyczyny niezmiennie przywodziła mi na myśl mądre węże.

- Śniłem o księgach - powiedziałem jej. - O otwartych księgach, leżących tuż przede mną. Były ogromne i bardzo cenne. Nawet święte, tak jak Biblia.

- To świadczy o twojej przyszłej karierze pisarskiej - oznajmiła pani Heims.

- One są stare. Liczą tysiące lat. I ostrzegają nas przed czymś. Przed strasznym morderstwem, i to niejednym. I policją zamykającą ludzi za ich przekonania, ale bez stawiania otwarcie zarzutów, tylko ukradkiem. I ciągle widzę kobietę, która wygląda tak jak pani, ale zasiada na wielkim kamiennym tronie.

Później pani Heims została przeniesiona do innej części hrabstwa i nie mogłem się z nią widywać. Czułem się fatalnie i szukałem ucieczki w pisaniu. Wysłałem jedno opowiadanie do czasopisma „Envigorating Science Fact”, które opowiadało o wyższych rasach przybyłych na Ziemię i potajemnie kierujących naszymi poczynaniami. Nigdy nie otrzymałem honorarium.

Teraz jestem stary i podejmuję ryzyko opowiedzenia o tym, gdyż co tak naprawdę mam do stracenia? Pewnego dnia poproszono mnie o napisanie krótkiego artykułu dla „Love-Planet Adventure Yarns”, otrzymałem szkic sytuacyjny, który miałem rozwinąć, oraz czarno-białe zdjęcie z okładki. Nie mogłem oderwać od niego wzroku, przedstawiało Rzymianina lub Greka - w każdym razie miał na sobie togę - z

kaduceuszem w dłoni: były to dwa splecione ze sobą węże, choć pierwotnie symbol lekarzy przedstawiał dwie gałązki oliwne.

- Skąd wiesz, że to się nazywa „kaduceusz”? - zapytała Ysabel (mieszkaliśmy już razem, a ona bezustannie usiłowała zmusić mnie, żebym zarabiał więcej pieniędzy, gdyż marzyła o standardzie, jaki niegdyś zapewniali jej rodzice).

- Nie wiem - odparłem i ogarnęło mnie dziwne uczucie. Przed oczami zaczęły migać mi barwne i niezwykle ruchliwe plamy, przywodzące na myśl nowoczesne grafiki abstrakcyjne tworzone przez Paula Klee i resztę jaskrawe i zamaszyste. - Który dzisiaj jest? - wrzasnąłem do Ysabel, która siedziała, susząc włosy i czytając „Harvard Lampoon”.

- Który? Szesnasty marca - odrzekła.

- A rok!? - krzyknąłem. - Pulchrapuella, tempus... -I urwałem, gdyż popatrzyła na mnie z osłupieniem. Co gorsza, nie mogłem przypomnieć sobie jej imienia, ani tego, kim była.

- Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwarty - odpowiedziała.

- Skoro jest dopiero tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwarty, to panowanie tyranii trwa - oświadczyłem.

- Co takiego? - zapytała, patrząc na mnie ze zdumieniem.

Naraz po jej bokach pojawiły się dwie istoty zamknięte w wewnątrzukładowych kapsułach, które unosiły się nad ziemią, zachowując właściwą atmosferę i temperaturę.

- Ani słowa więcej - ostrzegła mnie jedna z nich. - Wymażemy to z jej pamięci, pomyśli, że zasnęła i miała sen.

- Pamiętam - odparłem, przyciskając ręce do głowy. Nastąpiło przywrócenie pamięci, przypomniałem sobie, że pochodziłem ze starożytności, a jeszcze wcześniej z gwiazdy Albemuth, tak jak ci dwaj Nieśmiertelni. Dlaczego wróciliście? - zapytałem. - Aby...

- Będziemy działać poprzez zwykłych śmiertelników - odrzekł J'Annis. Był mądrzejszym z dwóch Nieśmiertelnych. - Nie ma Sybilli, która mogłaby nieść pomoc i służyć Republice radą. W snach usiłujemy nakłonić ludzi do przebudzenia, zaczynają rozumieć, że płacimy Cenę Wyzwolenia, aby uwolnić ich od Kłamecy, który nimi rządzi.

- Nie są świadomi waszej obecności? - zapytałem.

- Snują domysły. Widzą znaki na niebie, które wykorzystujemy, by odwrócić

ich uwagę, wyobrażają sobie, że właśnie tam się znajdujemy. Wiedziałem, że Nieśmiertelni znajdują się w umysłach ludzi, a nie unoszą nad ziemią, że kierując uwagę na zewnątrz, pomagają zaprowadzić porządek wewnątrz, tak jak to zawsze czynili.

- Sprowadzimy wiosnę do tego świata targanego zimową zawieruchą - powiedział z uśmiechem F'fr'am. - Uniesiemy wrota kępujące wolność ludzi ciemionych tyranią, której istnienia nie są w pełni świadomi. A czy ty byłeś? Czy wiedziałeś o działaniach tajnej policji, paramilitarnych oddziałach, które niszczyły wolność słowa i nie dopuszczały odmienności poglądów?

Teraz jako starzec oddaję tę relację w wasze ręce, moi przyjaciele Rzymianie, tutaj w Kumę, gdzie mieszka Sybilla. Mocą przypadku tudzież planu dostałem się do odległej przyszłości, do świata tyranii, zimy, który przekracza granice waszego pojmowania. Widziałem Nieśmiertelnych, którzy pomagają nam i służą radą tamtym, odległym od nas o dwa tysiące lat! Lecz j śmiertelnicy z przyszłości są - słuchajcie mnie - ślepi. Tysiąc lat represji j odebrało im wzrok, są gnębieni i ograniczani w swoich poczynaniach w sposób, w jaki my ograniczamy zwierzęta. Lecz Nieśmiertelni powoli wytrącają ich ze snu - a raczej uczynią to, aby ich w porę ocalić. Wówczas dwa tysiące lat zimy dobiegnie końca, dzięki snom i tajemnym inspiracjom otworzą oczy, poznają prawdę - przekazuję wam to w swój staromodny, Rozwlekły sposób.

Pozwólcie mi zakończyć moją opowieść słowami naszego wielkiego poety Wergiliusza, dobrego przyjaciela Sybilli, zrozumiecie, jaki los czeka świat, gdyż Sybilla powiedziała, że choć nie dotyczy to nas, tutaj w Rzymie, dotyczyć będzie przyszłych dwóch tysięcy lat i przyniesie im obietnicę ulgi w strapieniu:

Ultima Cumaei venit iam carminis aetas,  
magnus ab integro saeculorum nascitur ordo.  
Iam redit et Virgo, redeunt Saturnia regna,  
Iam nova progenies, caelo demittitur alto.  
Tu modo nascenti puero, quo ferrea primum  
desinet, ac toto surget gens aurea mundo,  
casta fave Ludna, tuus iam regnat Apollo.

Przełożę to na dziwny język angielski, którego nauczyłem się podczas pobytu w przyszłości, zanim Nieśmiertelni i Sybilla sprowadzili mnie z powrotem, kiedy dopełniłem tam swojego zadania:

Wreszcie nastanie Czas Ostateczny głoszony przez Sybillę:  
Korowód wieków zwróci się do swoich źródeł.  
Powróci Dziewica i Saturn zapanuje jak niegdyś,  
Z niebios zstąpi nowa rasa.  
Królowa Narodzin uśmiechnie się do dzieciątka,  
W czasach którego runie Żelazna Twierdza  
I powstanie złote plemię.  
Apollo, prawowity król, odzyska tron!

Niestety, wy, drodzy przyjaciele Rzymianie, nie doczekacie tego widoku. Lecz daleko za barierą czasu, w Stanach Zjednoczonych (używam tutaj nieznanych wam słów), zło zostanie zgładzone i ziści się przepowiednia Wergiliusza, będąca wynikiem natchnienia przez Sybillę. Uczcijmy ponowne narodziny Wiosny!

## DZIEŃ, KIEDY PAN KOMPUTER STRACIŁ ROZUM

Obudził się z przeczuciem, że dzieje się coś strasznego. Boże, pomyślał, uświadamiając sobie, że pan Łóżko wcisnął go do wnęki w ścianie. Zaczyna się, stwierdził. A Zarząd Zachodni obiecał nam perpetuum mobile. Oto co dostajemy za wiarę w słowa ludzi.

Z trudem wygramolił się z pościeli, chwiejnie stanął i podszedł do pana Szafy.

- Poproszę szary dwurzędowy garnitur ze skóry rekina - powiedział od mikrofonu na drzwiach pana Szafy. - Czerwoną koszulę, niebieskie skarpetki i... - Na niewiele się to jednak zdało. W otworze wylotowym wirowały jedwabne, damskie majtki w bardzo dużym rozmiarze.

- Dostajesz to, co widzisz - oznajmił metaliczny głos pana Szafy, roznosząc się głuchym echem.

Joe Contemptible z rezygnacją włożył majtki. Lepsze to niż nic -jak pewnego dnia w Strasznym Sierpniu, kiedy to poliencefalograficzny komputer w Queens nie dał żadnemu mieszkańcowi Wspanialszej Ameryki nic do ubrania prócz chusteczki.

W łazience Joe Contemptible umył twarz i stwierdził, że płyn, którym ochlapuje twarz, to ciepłe piwo korzenne. Chryste, pomyślał. Pan Komputer zwariował jeszcze bardziej niż zazwyczaj. Przeczytał za dużo starych opowiadań Phila Dicka, uznał. Należy nam się za to, że dajemy panu Komputerowi archaiczne śmieci, które czyta i składa w swoich bankach pamięci.

Uczesał włosy - tym razem obywając się bez piwa korzennego - i osuszywszy się ręcznikiem, poszedł do kuchni, by sprawdzić, czy pan Ekspres do Kawy stanowi jedyny zdrowy na umyśle element upadającej rzeczywistości.

Niestety. Pan Ekspres do Kawy podał mu filiżankę mydła. Wystarczy.

Prawdziwy problem powstawał przy próbie otwarcia pana Drzwi. Pan Drzwi zaklinował się.

- Ścieżki chwały prowadzą do grobu - popłynęła metaliczna skarga.

- Co to ma znaczyć? - wybuchnął rozjuszony nie na żarty Joe. To przestało być zabawne. Zresztą nigdy nie było - no, może raz, kiedy pan Komputer zaserwował mu piezonego bażanta na śniadanie.

- To znaczy - odparł pan Drzwi - że tracisz czas, palancie. Wybij sobie z głowy, że dzisiaj pójdziesz do pracy.

Miał niestety rację. Drzwi zakleszczyły się; pomimo jego wysiłków kontrolowany przez poliencefalograficzny terminal mechanizm nie zamierzał ustąpić.

Może zatem śniadanie? Joe Contemptible nacisnął guziki modułu kontrolnego pana Żywność - i stwierdził, że ma przed sobą talerz z nawozem.

Podniósł słuchawkę i gniewnie zaatakował numery, które miały go połączyć z miejscową policją.

- Studio Filmów Rysunkowych sp. z o.o. - oznajmiła twarz na wideokranie. - Animowana wersja waszych tygodniowych praktyk seksualnych, DOSKONAŁE EFEKTY DŹWIĘKOWE!

W morde, mruknął pod nosem Joe i odłożył słuchawkę.

Kontrolowanie wszystkich urządzeń z centralnego źródła od początku, czyli od 1982 roku, było kiepskim pomysłem. Rzecz jasna, zasadnicza koncepcja brzmiała nieźle: przy znikomej ilości warstwy ozonowej zbyt wielu ludzi wykazywało tendencję do irracjonalnych zachowań, dlatego konieczne stało się rozwiązanie problemu za pomocą elektronicznych środków odpornych na mordercze promieniowanie ultrafioletowe, które zalewało Ziemię. Wtedy wydawało się, że pan Komputer to ostatnia deska ratunku. Niemniej, przykro to mówić, pan Komputer przejął zbyt wiele szkodliwych cech od swoich konstruktorów i - podobnie jak im - również jego nachodziły okresy psychicznej niedyspozycji.

Oczywiście znalazło się wyjście. Z chwilą ujawnienia się problemu natychmiast pospieszono z ratunkiem. Głowa Światowej Organizacji Zdrowia Psychicznego, okropna sekutnica Joan Simpson otrzymała pewną for-

me nieśmiertelności w zamian za dyspozycyjność w szalonych okresach pana Komputera. Przetrzymano ją w centralnym punkcie Ziemi w specjalnej, obitej ołowiem komorze z dala od szkodliwego promieniowania na powierzchni, gdzie w stanie letargu (jak mówiono) pani Simpson oddawała się słuchaniu emitowanych na okrągło bezcennych radiowych oper mydlanych z lat czterdziestych. Pani Simpson, jak mówiono, była jedyną zdrową na umyśle osobą na - lub raczej w - Ziemi. Poza tym jej niezwykła zdolność i gruntowne przeszkolenie w dziedzinie leczenia obłąkanych urządzeń nadawały jej rangę ostatniej nadziei na ocalenie planety.

Ta myśl przyniosła Joemu pewną ulgę, wprawdzie dosyć nieznaczną, gdyż właśnie podniósł pana Gazetę leżące przy szparze u frontowych drzwi. Nagłówek głosił:

ADOLF HITLER WYBRANY NA PAPIEŻA. NIEZLICZONY TŁUM  
WIWATUJE.

Mam dosyć pana Gazety, jęknął w duchu Joe i wrzucił go w otwór pana Zsyphu. Mechanizm prychnął i zamiast pochłonąć gazetę, wypluł ją z powrotem. Joe ponownie rzucił okiem na nagłówek, zobaczył zdjęcie przedstawiające ludzki szkielet - w nazistowskim mundurze, z charakterystycznym wąsikiem i tiarą na czaszce - po czym usiadł na tapczanie w dużym pokoju, by czekać na (rychły) moment przebudzenia pani Simpson i przywrócenia światu dawnej równowagi psychicznej.

- Zwariował, bez dwóch zdań - mruknął na wół do siebie Fred Doubledome. - Zapytałem go, czy wie, kim jest, a on na to, że płynie tratwą po Missisipi. Potwierdź to; sam go zapytaj.

Doktor Pacemaker dotknął właściwych przycisków na konsolce komputera z pytaniem: KIM JESTEŚ?

Na monitorze natychmiast pojawiła się odpowiedź.

TOMKIEM SAWYEREM.

- A nie mówiłem? - powiedział Doubledome. - Całkowicie stracił kontakt z rzeczywistością. Czy rozpoczęto reaktywację pani Simpson?

- Tak jest, Doubledome - odparł Pacemaker. Jakby na potwierdzenie jego słów, drzwi rozsunęły się, ukazując obity ołowiem pojemnik, w którym pogrążona we śnie pani Simpson słuchała swojej ulubionej opery mydlanej pod tytułem „Mama Perkins”.

- Pani Simpson - powiedział Pacemaker, pochylając się nad nią. Znowu mamy problem z panem Komputerem. Zupełnie zwariował. Godzinę temu skierował wszystkie nowojorskie pojazdy na to samo skrzyżowanie. Były ofiary. Zamiast wysłać na miejsce zdarzenia policję i straż pożarną, wysłał cyrkową trupę kłownów.

- Rozumiem - zasilony wzmacniaczem głos pani Simpson dobiegł z przewodu transmisyjnego, za pomocą którego utrzymywano z nią łączność. - Najpierw jednak muszę pójść na ognisko do mamy Perkins. Widzicie, jej przyjaciel Shuffle...

- Pani Simpson - przerwał jej Pacemaker - nasza sytuacja jest poważna. Potrzebujemy pani. Proszę opuścić mgliste rejony i zabrać się do pracy nad ratowaniem pana Komputera. Potem wróci pani do swoich seriali.



Gdy spoglądał na panią Simpson, jak zwykle oszołomiła go jej prawie niezemska uroda. Wielkie, ciemne oczy o długich rzęsach, zmysłowy, zachrypnięty głos, kruczoczarne, krótko ostrzyżone włosy, jędrne ciało, usta przywodzące na myśl miłość i bezpieczeństwo - niesamowite, pomyślał, że jedyna naprawdę normalna osoba na Ziemi (i jedyna zdolna do jej ocalenia) jest zarazem tak piękna.

Nie było czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Telewizja NBC podała, że pan Komputer zamknął wszystkie lotniska i przekształcił je w boiska baseballowe.

Niebawem pani Simpson studiowała wykres przedstawiający błędne polecenia pana Komputera.

- Ujawnia wyraźną tendencję regresywną - powiedziała, z roztargnieniem popijając z filiżanki.

- Pani Simpson - odrzekł Doubledome - obawiam się, że pije pani wodę mydlaną.

- Rzeczywiście - stwierdziła pani Simpson, odkładając filiżankę. Widzę, że pan Komputer płata ludzkości figle. To pasuje do mojej hipostazowanej hipotezy.

- W jaki sposób nakłoni go pani do powrotu do normalności? - zapytał Pacemaker.

- Wygląda na to, że zmierzył się z sytuacją traumatyczną, która spowodowała jego regresję - odparła pani Simpson. - Zlokalizuję źródło urazu, po czym spróbuję odczulić mechanizm za pomocą konfrontacji. Moim modus operandi będzie tu przedstawienie panu Komputerowi każdej litery alfabetu z osobna i rejestrowanie jego reakcji do czasu, gdy zauważę to, co nazywamy fachowo reakcją obronną.

Tak też zrobiła. Na widok litery J pan Komputer wydał z siebie słaby pisk i znad mechanizmu uniósł się kłęb dymu. Pani Simpson powtórzyła sekwencję liter. Tym razem nastąpiła identyczna reakcja w przypadku litery C.

- J. C. - oświadczyła pani Simpson. - Może chodzi o Jezusa Chrystusa. Być może miało miejsce Drugie Nadejście i pan Komputer boi się, że zostanie odsunięty na boczny tor. Zacznę od tego założenia. Wprowadźcie pana Komputera w stan półśpiączki, aby mógł swobodnie kojarzyć.

Technicy niezwłocznie przystąpili do wykonywania polecenia. Z zamontowanych w kabinie kontrolnej głośników popłynęło nieprzytomne mamrotanie komputera.

- ...zaprogramował się, by umrzeć - bełkotał komputer. - Taki człowiek. Polecenie analizy DNA. Poprosić nie o odroczenie wyroku, lecz o przyspieszenie

egzekucji. Łosoś płynie w górę rzeki, by umrzeć... to na niego działa... po tym wszystkim, co dla niego zrobiłem. Odrzucenie życia. Z pełną tego świadomością. Chce umrzeć. Nie zniosę dobrowolnej śmierci, przeprogramowanie o sto osiemdziesiąt stopni w stosunku do wzorca DNA...-I tak dalej.

- Nazwisko, panie Komputer - rzuciła ostro pani Simpson. - Nazwisko!

- Sprzedawca w sklepie płytowym - mruknął komputer. - Ekspert w dziedzinie niemieckich ballad i rocka z lat sześćdziesiątych. Co za strata. Woda jest ciepła. Chyba połowię ryby. Spuszczę wędkę i złapię sumą. Huck się zdziwi i Jim też! Jim to człowiek, nawet mimo...

- Nazwisko - powtórzyła pani Simpson. Niezrozumiały bełkot trwał.

Pani Simpson zwróciła się do czujnych Doubledome'a i Pacemakera:

- Znajdźcie sprzedawcę płyt o inicjałach J. C., który jest znawcą ballad niemieckich i rocka z lat sześćdziesiątych. I to szybko! Nie mamy wiele czasu!

Opuściwszy mieszkanie przez okno, Joe Contemptible sunął pomiędzy rozbitymi pojazdami i rozkrzyczanymi kierowcami w kierunku Artystycznej Firmy Muzycznej, sklepu płytowego, w którym przepracował większość życia. Przynajmniej wy dostał się z...

Naraz wyrosli przed nim dwaj ubrani na szaro policjanci o marsowych minach; obaj mierzyli pistoletami pneumatycznymi w jego klatkę piersiową.

- Pójdiesz z nami - odezwali się niemal jednocześnie.

Joe poczuł przemożne pragnienie ucieczki; odwróciwszy się, zaczął biec. Dotkliwy ból zwałił go z nóg; policjanci użyli broni, on zaś padając zrozumiał, że było za późno na odwrót. Stał się zakładnikiem władz. Ale dlaczego, pomyślał. Czy to przypadkowe aresztowanie? Czy uniemożliwiają zamach na rząd? Czy też -jego myśli pędziły jak szalone - może wreszcie zyskaliśmy sprzymierzeńców w walce o wolność? Następnie ogarnęła go miłosierna ciemność.

Kiedy odzyskał świadomość, dwaj członkowie klasy technokratycznej podali mu kubek mydlanej wody. Nieopodal stał uzbrojony policjant, trzymając w pogotowiu pistolet pneumatyczny.

W rogu pomieszczenia siedziała niezwykle piękna, ciemnowłosa kobieta. Była ubrana w krótką spódnicę i wysokie buty - staromodne choć nader prowokujące - oraz miała, jak zauważył, największe i najcieplejsze oczy, jakie kiedykolwiek zdarzyło mu się oglądać. Kim ona była? I... czego od niego chciała? Dlaczego go do niej przyprowadzono?

- Nazwisko - powiedział jeden z ubranych na biało technokratów.  
- Contemptible - wydusił, nie mogąc oderwać oczu od urodziwej nieznajomej.  
- Jest pan umówiony z Ośrodkiem Ponownej Analizy DNA - wycodził oschle jeden z technokratów. - W jakim celu? Jaki element ze zbiornika genów zamierza pan... czy też raczej zamierzał pan zmienić?

- Ja... chciałem, żeby przeprogramowano mnie na... no wiecie - zaczął niepewnie Joe. - Dłuższe życie. Zbliżał się mój kod śmierci i chciałem...

- Wiemy, że to nieprawda - powiedziała ciemnowłosa kobieta zachrypniętym i seksownym acz władczym głosem. - Zamierzał pan popełnić samobójstwo, czyż nie tak, panie Contemptible, poprzez zakłócenie kodu DNA. Nie zależało panu na odłożeniu chwili śmierci, lecz jej przyspieszeniu.

Nie odpowiedział. Wyglądało na to, że o wszystkim wiedzieli.

- DLACZEGO? - zapytała ostro kobieta.

- Ja... - zawahał się. Wreszcie odrzekł z rezygnacją: - Nie jestem żonaty. Nie mam żony. Nic. Tylko tę cholerną pracę w sklepie. Niemieckie przyspiewki i teksty głupawych rockowych piosenek; dzień i noc szumią mi w głowie, mieszanina Goethego, Heinego i Neila Diamonda. - Podniósł głowę i wypalił prosto z mostu: - Po co mam żyć? Co to za życie? To wegetacja, nie życie.

Zapadła cisza.

Po podłodze skakały trzy żaby. Pan Komputer przystąpił do ściągania żab ze wszystkich zbiorników wodnych na Ziemi. Pół godziny wcześniej były to zdechłe koty.

- Wie pani, jak to jest - dorzucił cicho Joe - kiedy w głowie szumią piosenki typu „Tego roku na wiosnę miłość ci przyniosłem”?

- Chyba tak, panie Contemptible - odrzekła niespodziewanie ciemnowłosa kobieta. - Widzi pan, ja nazywam się Joan Simpson.

- Wobec tego... - Joe w lot zrozumiał sytuację. - To pani siedzi w sercu Ziemi, oglądając w kółko opery mydlane! Bez chwili wytchnienia!

- Nie oglądając, tylko słuchając - uściśliła Joan Simpson. - To seriale radiowe, nie telewizyjne.

Joe nie odpowiedział. Zabrakło mu słów.

- Pani Simpson - odezwał się jeden z technokratów - należy przystąpić do natychmiastowego leczenia pana Komputera. Właśnie przystąpił do produkcji setek tysięcy Poily.

- Poły? - powtórzyła Joan Simpson, po czym na jej łagodnej twarzy odbiło się zrozumienie. - Ach tak. Jego miłość z dzieciństwa.

- Panie Contemptible - powiedział do Joe jeden z technokratów - to przez brak miłości w pańskim życiu pan Komputer postradał zmysły. Aby wyleczyć jego, musimy najpierw wyleczyć pana. Czyż nie tak? - zwrócił się do Joan Simpson.

Kiwnęła głową, zapaliła papierosa i z namysłem odchyliła się na krzesło.

- Cóż? - powiedziała po chwili. - W jaki sposób można by cię przeprogramować, Joe? Tak więc wolisz żyć niż umrzeć? Aberracja emocjonalna pana Komputera jest bezpośrednio związana z twoją. Pan Komputer czuje, że zawiódł świat, ponieważ zbadanie osób, na których mu zależy, ujawniło, że...

- Zależy? - przerwał jej Joe Contemptible. - Chce pani przez to powiedzieć, że pan Komputer mnie lubi?

- Troszczy się o pana - sprecyzował jeden z ubranych na biało technokratów.

- Chwileczkę. - Joan Simpson zmierzyła Joego uważnym spojrzeniem. - Zareagowałeś na sformułowanie „zależy na”. Co według ciebie miało ono oznaczać?

- To, że mnie lubi - odrzekł z wysiłkiem. -I że w tym sensie mu na mnie zależy.

- Pozwól, że cię o coś zapytam - powiedziała Joan Simpson, gasząc jednego papierosa i zapalając drugiego. - Czy wydaje ci się, że nikomu na tobie nie zależy, Joe?

- Tak twierdziła moja matka - odparł Joe Contemptible.

- I ty jej uwierzyłeś? - zapytała Joan Simpson.

- Tak. - Kiwnął głową.

Jdan Simpson zgasła papierosa.

- Cóż, Doubledome - powiedziała spokojnie. - Koniec z operami mydlanymi. Nie wracam do wnętrza Ziemi. Przykro mi, ale tak już jest.

- I zostawi pani pana Komputera w takim stanie...

- Wyleczę pana Komputera - odparła równym głosem Joan Simpson - lecząc Joego. I... - Na jej ustach pojawił się delikatny uśmiech. - Siebie, panowie.

Zapadła cisza.

- Dobrze - rzekł po chwili jeden z technokratów. - Wyślemy was oboje do wnętrza Ziemi. Będziecie mogli zwierzać się jedno drugiemu przez całą wieczność. Chyba że zajdzie konieczność wyleczenia pana Komputera. Czy to uczciwa oferta?

- Chwileczkę - zaoponował słabym głosem Joe Contemptible, lecz pani

Simpson już kiwała głową.

- Tak jest-odparła.

- A co z moim mieszkaniem? - zaprotestował Joe. -I pracą? Co z moim paskudnym, bezsensownym życiem, do którego tak przywykłem?

- Wszystko się zmieniło, Joe - powiedziała Joan Simpson. - Spotkałeś mnie.

- Myślałem, że będziesz stara i brzydka! - zawołał Joe. - Nie miałem pojęcia, że...

- Wszechświat jest pełen niespodzianek - skwitowała Joan Simpson i wyciągnęła do niego rękę.

## DRZWI WYJŚCIOWE PROWADZĄ DO ŚRODKA

Bob Bibleman odnosił wrażenie, że roboty nigdy nie patrzą człowiekowi prosto w oczy. I gdy któryś znajdował się w pobliżu, znikwały drobne, cenne przedmioty. Idea porządku według robota polegała na składaniu wszystkiego na jedną stertę. Tak czy inaczej, Bibleman musiał zamówić obiad u robota, gdyż drobny handel uważano za zajęcie uwłaczające godności człowieka i skandalicznie mało płatne, dlatego nikt się nim nie trudził.

- Hamburger, frytki, koktajl truskawkowy i... - Bibleman urwał, odczytując wydruk. - Albo podwójny cheeseburger, frytki, napój czekoladowy...

- Chwileczkę - przerwał mu robot. - Już przygotowuję hamburgera. Czy tymczasem zechce pan wziąć udział w naszym konkursie?

- Przecież nie zamawiałem royal cheeseburgera - zauważył Bibleman.

- Tak jest.

Życie w dwudziestym pierwszym wieku to istne piekło. Przekaz informacji odbywał się z prędkością światła. Starszy brat Biblemana umieścił kiedyś dziesięciowyrazowy zarys akcji w fikcjodruku, następnie zmienił zdanie co do zakończenia i stwierdził, że już rozpoczęto cykl produkcyjny. W celu wprowadzenia poprawki musiał zaprogramować drugą część.

- Są nagrody? - chciał wiedzieć Bibleman.

Natychmiast pojawił się odczyt z dokładnym wykazem nagród, od pierwszej do ostatniej. Oczywiście robot zasłonił tekst, nim Bibleman zdążył rzucić nań okiem.

- Jaka jest pierwsza nagroda? - zapytał Bibleman.

- Tego nie mogę panu powiedzieć - odparł robot. Wyprodukował hamburgera, frytki i koktajl truskawkowy. - Należy się tysiąc dolarów w gotówce.

- Niech pan powie - nalegał Bibleman, wyciągając pieniądze.

- Jest wszędzie i nigdzie. Istnieje od siedemnastego wieku. Najpierw było niewidzialne. Potem stało się królewskie. Nie można go zdobyć, chyba że jest się sprytnym, choć i oszustwo pomaga, tak samo pieniądze. Co mówi panu słowo „ciężki”?

- Trudny.

- Nie, chodzi o znaczenie dosłowne.

- Masa. - Bibleman zamyślił się. - Co to ma znaczyć, czy to konkurs

polegający na odgadywaniu nagród? Poddaję się.

- Proszę zapłacić sześć dolarów - odrzekł robot - na pokrycie naszych kosztów, a otrzyma pan...

- Grawitacja. - Bibleman wpadł mu w słowo. - Sir Izaak Newton. Królewska Akademia w Anglii. Mam rację?

- Tak jest - odrzekł robot. - Sześć dolarów daje panu szansę wstąpienia na akademię... statystyczną szansę, według ostatnich danych. Co to jest sześć dolarów? Betka.

Bibleman wręczył mu sześciodolarową monetę.

- Wygrał pan - oświadczył robot. - Został pan przyjęty na akademię, choć prawdopodobieństwo wynosiło dwa tryliony do jednego. Pozwoli pan, że pierwszy złożę mu gratulacje. Gdybym miał rękę, uściskałbym panu dłoń. To zmieni pańskie życie. Dziś jest dla pana szczęśliwy dzień.

- To było ukartowane - zauważył z dreszczem niepokoju Bibleman.

- Ma pan rację - odparł robot i zajął Biblemanowi prosto w oczy. Przyjęcie nagrody jest obowiązkowe. Chodzi o akademię wojskową mieszczącą się w Buttfuck w Egipcie. To jednak żaden problem; zostanie pan tam zabrany. Proszę iść do domu i spakować się.

- Czy nie mógłbym najpierw zjeść mojego hamburgera i frytek...

- Sugeruję, aby niezwłocznie przystąpił pan do pakowania.

Za plecami Biblemana stanął mężczyzna z kobietą; czując zamęt w głowie, instynktownie usunął się im z drogi, nie wypuścił przy tym z rąk tacy z jedzeniem.

- Kanapkę z pieczonym stekiem proszę - powiedział mężczyzna. - Z krążkami cebuli i piwem korzennym, to wszystko.

- Zechce pan wziąć udział w naszym konkursie? - zapytał robot. -

Fenomenalne nagrody. - Błysnął wykazem nagród na planszy informacyjnej.

Kiedy Bob Bibleman otworzył drzwi swego jednopokojowego apartamentu, telefon był włączony. Szukał go.

- Jesteś wreszcie - powiedział telefon.

- Nie zrobię tego - odrzekł Bibleman.

- Ależ tak - zapewnił go telefon. - Wiesz, kto mówi? Przeczytaj swoje świadectwo, regulamin pierwszej nagrody. Otrzymałeś rangę kota. Jestem major Casals, twój przełożony. Jeśli każe ci szczać na różowo, będziesz szczał na różowo.

W jakim czasie znajdziesz się w rakiemie? Masz przyjaciół, z którymi chciałbyś się pożegnać? Dziewczyne? Matkę?

- Czy mogę w ogóle liczyć na powrót? - zapytał ze złością Bibleman. - O co w tym wszystkim chodzi? Co to za akademia? Kto jest na wydziale? Czy to akademia nauk humanistycznych, czy ścisłych? Czy jest sponsorowana przez rząd? Czy oferuje...

- Uspokój się - powiedział spokojnie major Casals.

Bibleman usiadł. Stwierdził, że trzęsą mu się ręce. Urodziłem się w niewłaściwym stuleciu, pomyślał. Sto lat temu coś takiego się nie zdarzyło, za sto lat natomiast zostanie uznane za nielegalne. Potrzebuję prawnika, ot co.

Prowadził spokojne życie. Przez lata osiągnął skromną pozycję komiwojażera. Jak na dwudziestodwulatka to wcale nie najgorzej. Jednopokojowy apartament prawie należał do niego, to znaczy, wynajmował go z prawem pierwokupu. Było to ciche życie, podobne do innych; Bibleman nie żądał wiele i - na ogół - nie uskarżał się na swój los. Chociaż nie rozumiał maszyny podatkowej, która uszczuplała jego skromne dochody, akceptował ją; akceptował swą umiarkowaną nędzę podobnie jak fakt, że dziewczyna odmówiła pójścia z nim do łóżka. W pewnym sensie określało go to, stanowiło jego miarę. Poddawał się temu, czego nie lubił i traktował swoją postawę jako zaletę. Większość ludzi wyższych od niego rangą uważało go za dobrego człowieka. Co się tyczyło osób niższych od niego rangą, była to grupa o zerowej liczbie członków. Jego szef w Siódmym Niebie mówił mu, co ma robić, to samo dotyczyło jego klientów. Rząd rozkazywał wszystkim, tak przynajmniej wyglądało. On sam raczej nie miał do czynienia z rządem. Nie była to ani zaleta, ani wada, ów fakt można było jedynie określić łutem szczęścia.

Kiedyś przydarzyła mu się seria dziwnych snów. Dotyczyły one dawania jałmużny. W liceum czytał powieści Karola Dickensa i obraz ciemniejących na trwałe wrył mu się w pamięć: ci wszyscy ludzie byli pozbawie-

ni jednopokojowego mieszkania, pracy i średniego wykształcenia. W jego umyśle dryfowały niejasne nazwy miejsc takich jak Indie, gdzie umierających zgarniano z ulic specjalnymi maszynami. Masz dobre serce, powiedziała mu kiedyś maszyna edukacyjna. Zdumiało go to - nie dlatego że usłyszał to od maszyny, lecz dlatego że słowa skierowane były właśnie do niego. Powiedziała mu to również pewna dziewczyna, ponownie budząc w nim niemałe zdziwienie. Potężne siły sprzysięgły się, by oznajmić mu, że nie jest zły! Było to tajemnicze i zachwycające.



Lecz tamte dni minęły. Przestał czytać powieści, a dziewczynę przeniesiono do Frankfurtu. Teraz zaś wrobiono go, by sprzątał kible na jakimś zadupiu pod komendą mechanicznych gliniarzy. Zapewne werbowali ludzi z ulicy tysiącami. Nie szedł na żadną akademię, a jedyne, co wygrał, to pobyt w obozie przymusowej pracy. Drzwi wyjściowe prowadzą do środka, pomyślał. Innymi słowy, jeśli chcą cię dorwać, to jakby już to zrobili, pozostaje jedynie dopełnić formalności. Komputer produkował formularze pod dotknięciem klawisza; P jak piekło, N jak niewolnik, dorzucił w myślach. I T jak ty.

Nie zapomnij szczoteczki do zębów, pomyślał. Może się przydać.

Major Casals przyjrzał mu się z ekranu wideofonu, jak gdyby oceniając szansę, że Bob Bibleman czmychnie. Daję dwa tryliony do jednego, że tak, zapewnił go w duchu Bibleman. Ten jeden okaże się zwycięski, tak jak w konkursie, zrobię to, co mi każą.

- Proszę - odezwał się Bibleman. - Chciałbym uzyskać szczerą odpowiedź na pewne pytanie.

- Oczywiście - odrzekł major Casals.

- Gdybym nie podszedł wtedy do tego robota...

- Trafilibyśmy do ciebie prędzej czy później - odpowiedział major Casals.

- Aha - odparł Bibleman, kiwając głową. - Dzięki. Już mi lepiej. Nie muszę wciskać sobie kitu. Gdybym nie miał ochoty na hamburgera i frytki. Gdybym tylko...

- Zamilkł. - Lepiej się spakuję.

- Analizowaliśmy cię od kilku miesięcy - powiedział major Casals. Twoje zdolności wykraczają poza zakres wykonywanej przez ciebie pracy. Poza tym jesteś niedouczony. Potrzebujesz wykształcenia. Jesteś upoważniony do dalszego pobierania nauki.

- Mówi pan tak, jakby chodziło o prawdziwą akademię! - zawołał w zdumieniu Bibleman.

- Bo tak jest. To najlepsza Akademia w Układzie. Nie reklamuje się jej, to niewskazane. Nikt jej nie wybiera, to ona wybiera ciebie. Dane, które widziałeś, to nie żart. Trudno sobie wyobrazić podobne przyjęcie na

najlepszą Akademię w Układzie, co, panie Bibleman? Musisz się wiele nauczyć.

- Jak długo pozostanę w Akademii? - zapytał Bibleman.

- Dopóki się nie nauczysz - odparł major Casals.

Poddano go gruntownym badaniom i testom psychologicznym, ostrzyżono włosy i dano uniform oraz miejsce do spania. Bibleman podejrzewał, że testy miały na celu wykrycie utajonego homoseksualizmu, po czym doszedł do wniosku, że podobne przypuszczenia istotnie na to wskazywały, tak więc dał im spokój i zamiast tego doszedł do wniosku, że chodziło o sprytne ustalenie poziomu jego inteligencji i zdolności. Uznał, że pomyślnie wywiązał się z obydwu. Uznał również, że w uniformie prezentuje się nienagannie, choć jego strój w niczym nie odbiegał od strojów innych. Dlatego właśnie nosi nazwę uniformu, przypomniał sobie, siedząc na brzegu pryczy i studiując pamflety informacyjne.

Pierwszy pamflet zaznaczał, że przyjęcie na Akademię stanowiło ogromne wyróżnienie. Tak brzmiała nazwa uczelni - po prostu Akademia. Dziwne, pomyślał zdziwiony. Tak jakby nazwać kota Kot, a psa Pies. To moja matka, pani Matka, i mój ojciec, pan Ojciec. Czy ci ludzie mają wszystkie klepki, zastanawiał się skrycie. Od lat nie mógł uwolnić się od lęku, że któregoś dnia wpadnie w szpony szaleńców - na domiar złego szaleńców, których obłęd ujawni się w ostatniej chwili. Była to dla Biblemana kwintesencja zgrozy.

Gdy siedział pogrążony w lekturze, podeszła do niego rudowłosa dziewczyna w uniformie i usiadła obok. Wyglądała na nieco zbitą z tropu.

- Może ty mi pomożesz - powiedziała. - Co to jest harmonogram? Tu jest napisane, że dostaniemy harmonogram. To miejsce przyprawia mnie o zawrót głowy.

- Zostaliśmy ściągnięci z ulic, żeby sprzątać kible - odparł Bibleman.

- Tak myślisz?

- Nie myślę, tylko wiem.

- Nie możemy po prostu wyjść?

- Ty pierwsza - zaproponował Bibleman. - Ja poczekam i zobaczę, co się stanie.

Dziewczyna roześmiała się.

- Pewnie nie wiesz, co to jest harmonogram.

- Jasne, że wiem. To wykaz specjalizacji i czas trwania poszczególnych zajęć w ogólnym planie pracy.

- Akurat.

Przyjrzał się jej uważnie. Dziewczyna odwzajemniła jego spojrzenie.

- Zostaniemy tu na zawsze - stwierdziła.

Powiedziała mu, że nazywa się Mary Lorne. Uznał, że jest ładna, zatroskana i robi dobrą minę do złej gry. Dołączyli do pozostałych studentów, aby obejrzeć ostatni, znany Biblemanowi odcinek „Herbiego Hieny”, w którym Herbie próbował zabić rosyjskiego mnicha Rasputina. Swoim zwyczajem Herbie otruł ofiarę, zastrzelił ją, sześciokrotnie wysadził w powietrze, zasztyletował, zakuł w łańcuchy i utopił w Wołdze, rozerwał końmi na kawałki i wreszcie przywiązaną do rakiety posłał na Księżyc. Bibleman wynudził się śmiertelnie. Nie obchodził go ani Herbie Hiena, ani rosyjska historia; zastanawiał się, czy pokaz stanowił próbkę specjalizacji pedagogicznej Akademii. Wyobraził sobie, że Herbie Hiena reprezentuje zasadę nieoznaczoności Heisenberga. Na próżno ściga mikrocząstkę, która wychyla się tu i ówdzie... Herbie zamachuje się na nią młotem, następnie całe stado mikrocząstek szyderczo szczyrzy do niego zęby -jak zwykle zawałił sprawę.

- O czym myślisz? - zapytała go szeptem Mary.

Kreskówka dobiegła końca; zapalono światła. Na podwyższeniu stał major Casals, znacznie większy niż na monitorze wideofonu. Koniec zabawy, rzekł w duchu Bibleman. Wizja majora Casalsa ścigającego z młotem mikrocząstki przerastała jego wyobraźnię. Poczul, jak ogarnia go chłód i strach.

Wykład dotyczył tajnych informacji. Za plecami majora Casalsa rozbliły gigantyczny hologram przedstawiający rysunek homeostatycznego wiertła. Przyrząd obracał się, dzięki czemu mogli obejrzeć je ze wszystkich stron. Poszczególne części oznaczono różnymi kolorami.

- Pytałam, o czym myślisz - szepnęła Mary.

- Musimy słuchać - odparł ścisłym głosem Bibleman.

- Służy do samodzielnego wydobywania rudy tytanu - odszepnęła Mary. - Wielka mi rzecz. Tytan to dziewiąty pod względem obfitości występowania pierwiastek w skorupie ziemskiej. Byłabym pod wrażeniem, gdyby ten przyrząd umiał odszukać i wydobyć czysty wurcyt, który znajduje się jedynie w boliwijskiej Potosi, w Butte w Montanie oraz w Goldfield w Nevadzie.

- Dlaczego? - zapytał Bibleman.

- Ponieważ wurcyt jest nietrwały w temperaturze poniżej tysiąca stopni Celsjusza - wyjaśniła Mary. - Poza tym... - Umilkła. Major Casals przerwał wykład i patrzył prosto na nią.

- Czy mogłaby to pani powtórzyć, młoda damo? - zapytał.

- Wurcyt jest nietrwały w temperaturze poniżej tysiąca stopni Celsjusza -

odpowiedziała pewnym głosem Mary, wstając.

Hologram za plecami majora Casalsa natychmiast przedstawił dane na temat siarczków cynku.

- Wurcyt nie został wymieniony w tabeli - zauważył major Casals.

- Widnieje pod inną nazwą - odparła z założonymi rękami Mary. To sfaleryt, czyli ZnS z grupy siarczkowej typu AX.

- Proszę usiąść - polecił major Casals. Hologram wyświetlił cechy grup siarczkowych.

- Mam rację - powiedziała Mary, siadając. - Nie mają homeostatycznych narzędzi wiertniczych do wydobywania wurcytu, ponieważ...

- Pani nazwisko? - zainteresował się major Casals, unosząc notes i pióro.

- Mary Wurc. - Jej głos był doszczętnie pozbawiony emocji. - Mój ojciec nazywał się Charles Adolf Wurc.

- Odkrywca wurcytu? - zapytał niepewnie major Casals; pióro w jego dłoni zadrżało.

- Tak jest - potwierdziła Mary. Odwracając się w stronę Biblemana, mrugnęła.

- Dziękuję za informacje - odrzekł major Casals. Wykonał lekki ruch ręką i na hologramie pojawiły się dwa rodzaje przypór.

- Chodzi o to - podjął major Casals - że pewne informacje, takie jak architektoniczne zasady długotrwałości...

- Architektura jest z założenia długotrwała - Mary wpadła mu w słowo. Major Casals urwał.

- Inaczej nie spełniałaby swojego zadania - uzupełniła Mary.

- Jak to? - zapytał major Casals i poczerwieniał. Kilku umundurowanych studentów cicho się roześmiało.

- Informacja tego rodzaju nie jest tajna - powiedział major Casals. Lecz znaczna część tego, czego będziecie się uczyć, owszem. Dlatego właśnie Akademia ma charakter wojskowy. Ujawnienie bądź przekazywanie tajnych informacji, z którymi zapoznacie się podczas szkolenia, podlega jurysdykcji wojskowej. Za złamanie zasad grozi postawienie przed trybunałem.

Studenci zaszemrali. To dopiero, pomyślał Bibleman. Nikt nie odezwał się ani słowem. Milczała nawet siedząca obok niego dziewczyna. Na jej twarzy pojawił się niezgłębiony, tajemniczy, pełen powagi wyraz, który, zdaniem Biblemana, dodał jej lat. Utraciła dziewczęcy wygląd; Bibleman zachodził w głowę, ile miała lat. Gdy

spoglądał na nią, rozmyślając nad słowami majora i wiszącym za jego plecami hologramem, odniósł ważenie, że w rysach kobiety kryje się tajemnica tysiąclecia. O czym ona myśli, zastanawiał się. Czy powie coś jeszcze? Jakim cudem nie boi się zabierać głosu? Przecież powiedziano nam, że obowiązuje tu prawo wojskowe.

- Podam wam przykład ściśle tajnych danych - podjął major Casals. - Dotyczy on silnika pantera. - Ku zdumieniu wszystkich hologram pozostał pusty.

- Sir - odezwał się jeden ze studentów. - Nie ma obrazu.

- Nie chodzi o dziedzinę będącą przedmiotem waszych studiów - odrzekł major Casals. - Silnik pantera to układ dwuwirnikowy, dwa przeciwne wirniki napędzają wałek rozrządu. Zasadniczy plus to brak odśrodkowego momentu obrotowego w obudowie. Łańcuch napędu przebiega pomiędzy dwoma przeciwnymi wirnikami, dzięki czemu praca wałka odbywa się bez histerezy.

Hologram pozostał pusty. Dziwne, pomyślał Bibleman. Informacja bez informacji, zupełnie jakby komputer stracił wzrok.

- Akademia nie może rozpowszechniać informacji na temat silnika pantera - oznajmił major Casals. - Zaprogramowanie jej do tego celu nie wchodzi w grę. W rzeczywistości nie posiada na temat silnika żadnych informacji; ma za zadanie niszczyć wszelkie otrzymane w tej dziedzinie dane.

Jeden ze studentów podniósł rękę.

- Czyli w razie gdy ktoś wprowadził do komputera Akademii informacje na temat silnika pantera...

- Komputer wykreśli dane - dokończył major Casals.

- Czy to przypadek odosobniony? - zapytał inny student.

- Nie - odrzekł major Casals.

- Wobec tego istnieje wiele dziedzin, z których nie otrzymamy wydruku - mruknął student.

- Są pozbawione większego znaczenia - zapewnił go major Casals. Przynajmniej jeżeli chodzi o zakres waszego materiału.

Wśród studentów zaległa cisza.

- Na podstawie waszych zdolności i predyspozycji - powiedział major Casals - zostaną wam przydzielone poszczególne zagadnienia. Wywołam po kolei nazwiska osób, które mają zgłosić się po przydział tematu. Ostateczna decyzja została podjęta przez samą Akademię, tak więc możecie być pewni, że pomyłka nie wchodzi w grę.

A jeśli dostanę badanie kiszki stolcowej, pomyślał w przypiływie paniki

Bibleman. Albo herpetologię. Albo, dajmy na to, Akademia w głębi swej komputer o idealnej mądrości dojdzie do wniosku, że powinienem zająć się gromadzeniem wszelkich dostępnych danych na temat herpes labialis... lub czegoś znacznie gorszego. Jeśli coś gorszego w ogóle istnieje.

- Potrzeba programu, który umożliwi nam przyzwoite zarobki - powiedziała Mary, podczas gdy alfabetycznie wyczytywano nazwiska. - Trzeba myśleć praktycznie. Ja wiem, co dostanę, liczę na mój najsilniejszy punkt. Chemia.

Wywołano jego nazwisko. Bibleman wstał i podszedł do majora Casalsa. Wymienili spojrzenia, po czym Casals wręczył mu zapieczętowaną kopertę.

Bibleman sztywno powrócił na swoje miejsce.

- Mam otworzyć? - zapytała Mary.

Bibleman bez słowa podał jej kopertę. Otworzyła ją i spojrzała na wydruk.

- Da się na tym przyzwoicie zarobić? - zapytał. Uśmiechnęła się.

- Tak, to nieźle płatna dziedzina. Prawie tak dobra jak... no, powiedzmy, że planety kolonialne rzeczywiście tego potrzebują. Wszędzie znajdziesz robotę.

Spojrząwszy jej przez ramię, przeczytał zapis.

## KOSMOLOGIA, KOSMOGONIA PIERWSZY OKRES FILOZOFII STAROŻYTNEJ

- Pierwszy okres filozofii starożytnej - powiedziała Mary. - To prawie tak dobre jak inżynieria strukturalna. - Podała mu kartkę. - Nie powinnam cię nabierać. Nie, to nic takiego, na czym można zarobić, chyba że pracuje się jako nauczyciel... lecz może właśnie to cię interesuje. Interesuje cię to?

- Nie - odparł krótko.

- Wobec tego ciekawe, skąd ten wybór - zastanowiła się Mary.

- Co to do diabła jest kosmogonia? - zapytał.

- Nauka o pochodzeniu Wszechświata. Nie ciekawi cię, w jaki sposób Wszechświat... - Umilkła, mierząc go wzrokiem. - Nie będziesz musiał prosić o tajne materiały - powiedziała z namysłem. - Może właśnie o to chodzi - mruknęła do siebie. - Oni zaś nie będą musieli cię pilnować.

- Można mi ufać - odparł.

- Czyżby? Tak dobrze siebie znasz? Ale, ale, do tego dojdiesz podczas studiowania wczesnej myśli greckiej. „Poznaj siebie”. Delfijskie motto Apolla. To

suma połowy greckiej filozofii.

- Nie mam zamiaru stanąć przed trybunałem wojskowym za ujawnianie tajnych informacji - powiedział Bibleman. Następnie pomyślał o silniku pantera i uświadomił sobie prawdziwe, ponure przesłanie wykładu majora Casalsa. - Jestem ciekaw, jak brzmi motto Herbiego Hieny - dorzucił.

- „Jam ci jest zły - powiedziała Mary. - Gardzę czczymi rozrywkami współczesności. Uknęłam intrygę”. - Dotknęła jego ramienia. - Pamiętasz? Rysunkowa wersja „Ryszarda III”.

- Mary Lorne - odczytał major Casals.

- Przepraszam. - Wstała z miejsca i za chwilę powróciła z uśmiechem, trzymając w ręku kopertę. - Badanie i leczenie trądu. Żartuję, to chemia.

- Będziesz mieć do czynienia z tajnymi materiałami - zauważył Bibleman.

- Tak - odparła. - Wiem.

Pierwszego dnia nauki Bob Bibleman nastawił swój terminal na funkcję AUDIO i odpowiednim klawiszem uruchomił program nauczania.

- Tales z Miletu - oznajmił terminal - założyciel jońskiej szkoły filozofii przyrody.

- Czego nauczał? - zapytał Bibleman.

- Tego, że świat unosi się na wodzie, jest podtrzymywany przez wodę i z wody pochodzi.

- Co za głupota - uznał Bibleman.

- Tales opierał swoje teorie na odkryciu skamieniałych ryb w głębi łądu, nawet na dużych wysokościach - odrzekł terminal. - To wcale nie jest tak głupie, jak się wydaje. - Na monitorze ukazał się obszerny zapis, którego znaczna część nie wzbudziła zainteresowania Biblemana. Poza tym prosił o AUDIO. - Powszechnie uznaje się, że Tales był pierwszym racjonalnie myślącym człowiekiem w historii - uzupełnił terminal.

- A Echnanton? - zapytał Bibleman.

- Był dziwny.

- Mojżesz?

- Tak samo.

- Hammurabi?

- Jak to się pisze?

- Nie jestem pewien. Gdzieś słyszałem to nazwisko.

- Wobec tego przejdziemy do Anaksymandera - postanowił terminal. - Poprzedzimy to krótką analizą poglądów Anaksymenesa, Ksenofanesa, Parmenidesa, Melissosa... chwileczkę; zapomniałem o Heraklicie i Kratylosie. Poza tym omówimy Empedoklesa, Anaksagorasa, Zenona...

- Jezu - powiedział Bibleman.

- To inny program - oświadczył terminal.

- Mów dalej - poprosił Bibleman.

- Robisz notatki?

- Nie twoja sprawa.

- Wydajesz się rozdarty.

- Co się stanie, jeśli obleję? - zapytał Bibleman.

- Pójdiesz do więzienia.

- Będę notował.

- Skoro jesteś taki rozdarty...

- Jaki?

- Pełen niepokoju. Empedokles powinien cię zainteresować. Był pierwszym filozofem dialektycznym. Wierzył, że u podstaw rzeczywistości tkwią dwie przeciwstawne siły: Miłość i Niezgoda. Miłość prowadzi do harmonijnego stanu zwanego krasis. Krasis to bóstwo sferyczne, umysł doskonały, który niezmiennie...

- Czy mógłbyś przytoczyć praktyczne zastosowanie tej teorii? - przerwał mu Bibleman.

- Dwie przeciwstawne siły Miłość i Niezgoda przypominają taoistyczne pierwiastki yang i yin oraz ich wzajemne oddziaływanie stanowiące źródło wszelkiej zmiany.

- Praktyczne zastosowanie.

- Dwa bliźniacze, przeciwstawne składniki. - Na monitorze pojawił się skomplikowany diagram. - Dwuwirnikowy silnik pantera.

- Co takiego? - Bibleman gwałtownie wyprostował się na krześle. Wielkie litery nad rysunkiem układały się w napis HYDRONAPĘD PANTERA ŚCIŚLE TAJNE. Bez namysłu nacisnął klawisz DRUKUJ; rozległ się szum urządzenia i z terminalu wypadły trzy kartki.

Przeoczyli je, domyślił się Bibleman, przeoczyli w pamięci Akademii hasło nawiązujące do silnika pantera. Zgubiono je gdzieś po drodze. Nikomu nie przyszło



na myśl, że w pierwszym okresie filozofii greckiej kryła się wzmianka na temat nowoczesnego silnika objętego ścisłą tajemnicą, i to na dodatek pod hasłem EMPEDOKLES.

Mam cię, pomyślał. Wystarczyło kiwnąć palcem. Gdzie ja do cholery schowam te wykresy? Przecież nie do swojej szafki. Czyżbym już popełnił przestępstwo, prosząc o wydruk, przyszło mu nagle do głowy.

- Empedokles - kontynuował terminal - wierzył w cztery przemieszczające się żywioły: ziemię, wodę, powietrze i ogień. Żywioły te podlegają ciągłym...

Klik. Bibleman wyłączył terminal. Monitor poszarzał.

Nadmiar nauki czyni człowieka powolnym, pomyślał, wstając i wychodząc z kabiny. Giętkim na umyśle, lecz powolnym. Gdzie mam schować te wykresy, zastanawiał się, idąc pospiesznie korytarzem w stronę windy. Cóż, przynajmniej nie wiedzą, że je mam, nie muszą działać pochopnie. Należy schować wykresy w przypadkowym miejscu, doszedł do wniosku, jadąc na powierzchnię. Nawet jeśli je znajdą, nie zorientują się, czyja to sprawka, chyba że zadadzą sobie trud i zdejmą odciski palców.

**To może być warte miliardy dolarów. Wypełniła go radość, którą po chwili zastąpił strach. Zauważył, że drży. Będzie draka, pomyślał. Kiedy się dowiedzą, nie ja będę szczał na różowo, tylko oni. Niech tylko Akademia dowie się, jaki błąd popełniła.**

Nie miałem w tym żadnego udziału, uznał, wina leży wyłącznie po stronie Akademii. To ona zaważyła sprawę.

W akademiku znalazł pralnię, gdzie pracowały milczące roboty. Wykorzystując chwilę ich nieuwagi, schował trzy kartki z wykresami pod wielką stertą prześcieradeł. Sterta sięgała prawie do sufitu. Nie ma szans, aby w tym roku ktoś natrafił na wykresy. Mam mnóstwo czasu, by zastanowić się, co dalej.

Spojrząwszy na zegarek, stwierdził, że nadchodzi wieczór. O piątej w towarzystwie Mary zje kolację.

Przyszła kilka minut po piątej; na jej twarzy malowało się zmęczenie.

- I jak? - zapytała, gdy stali w kolejce, trzymając swoje tace.

- W porządku - odparł Bibleman.

- Doszedłeś do Zenona z Elei? Zawsze go lubiłam; wykazał, że ruch jest niemożliwy. Pewnie wciąż tkwię w łonie matki. Dziwnie wyglądasz. Popatrzyła na

niego badawczo.

- Mam po prostu dosyć słuchania o tym, że Ziemia spoczywa na grzbiecie gigantycznego żółwia.

- Albo jest zawieszona na długiej linie - dodała Mary. Skierowali się do pustego stolika. - Niewiele dzisiaj jesz.

- Głód to pierwsza rzecz, która mnie tu zwabiła - odrzekł Bibleman, popijając kawę.

- Mógłbyś wylecieć.

- Albo pójść do więzienia.

- Akademia została zaprogramowana, aby tak mówić - odrzekła Mary. - To zapewne tylko czcze pogrożki. Widocznie są zwolennikami metody krzyku i różgi.

- Mam to - powiedział Bibleman.

- Masz co? - Spojrzała na niego, przerywając posiłek.

- Silnik pantera - odparł.

Dziewczyna milczała, nie odrywając od niego spojrzenia.

- Wykresy - dodał.

- Mów ciszej, do cholery.

- Przeoczyli jedną wzmiankę w pamięci komputera. Sam nie wiem, co mam teraz zrobić. Chyba zachowywać się jak gdyby nigdy nic. I mieć nadzieję, że nikt nie zauważy.

- Uważasz, że nie wiedzą? Że Akademia nie prowadzi stałego automonitoringu?

- Nie mam powodu, aby sądzić, że ktokolwiek wie, co się stało.

- Chryste - powiedziała cicho Mary. - I to pierwszego dnia. Lepiej sobie dobrze wszystko przemyśl.

- Mogę ich zniszczyć.

- Albo sprzedać.

- Przejrzałem ich - odrzekł. - Na ostatniej stronie zamieszczono analizę. Pantera...

- Mów „to” - przerwała mu Mary.

- To może być używane jako hydroelektryczna turbina i o połowę zmniejszyć koszty eksploatacji. Wprawdzie nie rozumiałem tej ich technicznej terminologii, ale zdołałem to ustalić. Tanie źródło energii. Bardzo tanie.

- Każdy by na tym skorzystał. Kiwnął głową.

- Rzeczywiście się nie popisali - skwitowała Mary. - Co mówił Casals?  
„Nawet jeśli ktoś wprowadzi hasło na temat... na ten temat, Akademia skasuje dane”.

- Zamyślona zaczęła ponownie jeść. - Nie podają tego do wiadomości publicznej.  
Pewnie chodzi o nacisk ze strony innych producentów. Ładne rzeczy.

- Co mam robić? - zapytał Bibleman.

- Tego ci nie powiem.

- Myślałem o tym, żeby zawieźć wykresy na jedną z planet kolonialnych,  
gdzie tutejsza władza ma mniejsze wpływy. Tam znalazłbym jakąś niezależną firmę i  
zawarł z nią umowę. Rząd nie dowiedziałby się...

- Doszliby po nitce do kłębka - stwierdziła Mary. - Trafiliby prosto do ciebie.

- No to chyba lepiej je spalę.

- Masz do podjęcia trudną decyzję. Z jednej strony posiadasz uzyskane  
bezprawnie tajne informacje. Z drugiej...

- Nie zostały uzyskane bezprawnie. To Akademia zaważyła sprawę.

- Prosząc o wydruk, złamałeś prawo, prawo wojskowe - podjęła spokojnie. -  
Powinieneś być natychmiast zgłosić lukę w systemie ochronnym. Jeszcze dostałbyś za  
to nagrodę. I major Casals powiedziałby ci coś miłego.

- Boję się - odparł Bibleman, czując narastającą falę lęku; kubek z kawą  
zadrżał mu w dłoni i kilka kropel spadło na mundur.

Mary przyłożyła do plamy papierową serwetkę.

- Nie zejdzie - stwierdziła.

- To znak - odrzekł Bibleman. - Lady Makbet. Zawsze chciałem mieć psa o  
imieniu Plama, żeby móc zawołać: „Znikaj, Plamo”.

- Nie powiem ci, co masz robić - powiedziała Mary. - Decyzja należy do  
ciebie. Sama rozmowa ze mną jest nieetyczna, można by uznać ją za konspirację i pod  
tym pretekstem wpakować nas oboje do więzienia.

- Do więzienia - powtórzył jak echo.

- W twojej mocy jest... Jezu, chciałam powiedzieć, że w twojej mocy jest  
ofiarowanie ludzkości taniego źródła energii. - Roześmiała się, potrząsając głową. -I  
we mnie budzi to strach. Zrób, co uważasz za słuszne. Skoro według ciebie  
opublikowanie wykresów...

- Nie przyszło mi to do głowy. Publikacja, w jakimś czasopiśmie albo gazecie.  
Wydruk i rozprowadzenie wykresów w całym Układzie Słonecznym potrwałoby  
zaledwie kwadrans. - Muszę jedynie uiścić opłatę i włożyć kartki do maszyny,

pomyślał. I to wszystko. A potem spędzić resztę życia w więzieniu lub na ławie oskarżonych. Może wyrok będzie dla mnie korzystny. W historii odnotowano przypadki, gdy tajne dokumenty - tajne dokumenty wojskowe - zostały skradzione i opublikowane, a domniemany winowajca uznany za niewinnego i obwołany bohaterem; ryzykując życie, przysłużył się ludzkości.

Do stolika podeszło dwóch uzbrojonych wartowników i stanęło nad Bobem Biblemanem; patrzył na nich, nie wierząc własnym oczom. Spójrz prawdzie w oczy, podpowiadał mu rozsądek.

- Student Bibleman? - zapytał jeden z nich.

- Nazwisko jest na identyfikatorze - odparł Bibleman.

- Proszę wyciągnąć ręce, Bibleman. - Roślejszy z dwóch wartowników nałożył mu kajdanki.

Mary milczała, niespiesznie kontynuowała posiłek.

W gabinecie majora Casalsa Bibleman ponuro doszedł do wniosku, że został - praktycznie rzecz biorąc - aresztowany. Ogarnęło go zniechęcenie. Zastanawiał się, jaki będzie ich następny ruch. Zastanawiał się, czy i kto go zrobił. Zastanawiał się, co pocnie, gdy przedstawią mu zarzuty. Zastanawiał się też, dlaczego to tak długo trwa i o co tu tak naprawdę chodzi. No i czy znalazłby odpowiedź na te wszystkie pytania, gdyby kontynuował swój tok nauczania w dziedzinie pierwszego okresu filozofii greckiej.

- Przepraszam, że kazałem panu tak długo czekać - rzucił major Casals, wchodząc do gabinetu.

- Czy można by zdjąć te kajdanki? - zapytał Bibleman. Kajdanki obcierały mu nadgarstki, powodując dotkliwy ból.

- Nie znaleźliśmy wykresów - odparł Casals, siadając za biurkiem.

- Jakich wykresów?

- Silnika pantera.

- Podobno nie istnieją żadne wykresy silnika pantera. Sam pan nam to powiedział.

- Czy umyślnie zaprogramował pan swój terminal? Czy też hasło pojawiło się przypadkiem?

- Mój terminal miał mówić o wodzie - odrzekł Bibleman. - Świat składa się z wody.

- W chwili gdy poprosił pan o wydruk, niezwłocznie został zaalarmowany

system ochronny. Wszystkie wydruki są monitorowane.

- Mam was gdzieś - odpalił Bibleman.

- Powiem panu coś - odrzekł major Casals. - Interesuje nas jedynie odzyskanie wykresów; nie mamy najmniejszego zamiaru pana uwięzić. Proszę je zwrócić, to nic panu nie grozi.

- Co mam zwrócić? - Bibleman szedł w zaparte, choć czuł, że to strata czasu. - Czy mógłbym to przemyśleć?

- Tak.

- Mogę odejść? Chciałbym się położyć. Jestem zmęczony. Proszę zdjąć mi te kajdanki.

- Zawarliśmy z wami umowę dotyczącą tajnych materiałów - powiedział major Casals, zdejmując mu kajdanki. - Pan również zobowiązał się przestrzegać regulaminu.

- Dobrowolnie? - zapytał Bibleman.

- Hm, nie. Niemniej jednak zasady były panu znane. Gdy natrafił pan na wykresy silnika pantera zawarte w pamięci Akademii i dostępne dla każdego, kto z jakiegoś, z jakiegokolwiek powodu postanowił zapytać o praktyczne zastosowanie teorii...

- Sam byłem zaskoczony - przyznał Bibleman. - Nadal jestem.

- Lojalność to zasada etyczna. Wie pan co, pomińmy kwestię kary i skupmy się na kwestii lojalności wobec Akademii. Człowiek odpowiedzialny przestrzega zasad i zawartych umów. Proszę zwrócić wykresy, to pozwolimy panu kontynuować studia. Więcej, otrzyma pan możliwość samodzielnego wybrania zakresu zagadnień, nikt nie będzie pana do niczego zmuszał. Myślę, że stanowi pan dobry materiał do nauczania. Niech pan to przemyśli i jutro rano, między ósmą a dziewiątą, da mi odpowiedź, tu, w moim gabinecie. Proszę z nikim na ten temat nie rozmawiać. Poddamy pana ścisłej obserwacji. I niech pan nie myśli o ucieczce. Zgoda?

- Zgoda? - odparł tępo Bibleman.

W nocy przyśniło mu się, że umarł. Rozciągały się wokół niego niezmiernie przestrzenie i z mroku wyłoniła się postać jego ojca, z wolna podążając ku słońcu. Ojciec sprawiał wrażenie zadowolonego z widoku syna i Bibleman czuł jego miłość.

Gdy się obudził, wciąż ogarniało go przemożne przekonanie o miłości ojca. Wkładając mundur, rozmyślał o ojcu i o tym, jak rzadko doświadczał w życiu tej miłości. Na myśl o zmarłych rodzicach poczuł się samotny. Matka i ojciec zginęli w

katastrofie nuklearnej razem z wieloma innymi ludźmi.

Mówią, że po drugiej stronie czeka na ciebie ktoś ważny, pomyślał. Może major Casals umrze pierwszy i będzie czekał, aby mnie serdecznie powitać. Postacie ojca i majora zlały mu się w jedno.

I co ja mam robić, pomyślał znowu. Odsunęli kwestię kary, zredukowali sprawę do pryncypiów, do kwestii lojalności. Czy jestem lojalny? Czy zaliczam się do tej kategorii?

Do diabła z tym, powiedział w duchu. Popatrzył na zegarek. Ósma trzydzieści. Ojciec byłby ze mnie dumny, pomyślał.

Wszedł do pralni i rozejrzał się. Żadnego robota w polu widzenia. Włożył rękę pod stertę prześcieradeł, wyjął wykresy, przejrzał je i ruszył w kierunku windy, która zawiozła go do gabinetu majora Casalsa.

- Przyniósł pan - powiedział Casals na widok Biblemana. Bibleman wręczył mu trzy kartki papieru.

- Nie sporządził pan dodatkowych kopii? - zapytał Casals. -Nie.

- Daje pan słowo honoru?

- Tak - odparł Bibleman.

- W trybie natychmiastowym zostaje pan usunięty z Akademii oznajmił major Casals.

- Co takiego? - zapytał Bibleman.

Casals wcisnął umieszczony na biurku przycisk.

- Proszę wejść.

W drzwiach stanęła Mary Lorne.

- Nie reprezentuję Akademii - powiedział do Biblemana major Casals. - Sytuacja została ukartowana.

- To ja jestem Akademią - odezwała się Mary Lorne.

- Niech pan usiądzie, Bibleman - polecił major Casals. - Nim pan odejdzie, ona wszystko panu wyjaśni.

- Nie zdałem egzaminu? - zapytał Bibleman.

- To ja nie zdałam - odparła Mary. - Celem sprawdzianu było nauczenie cię stania mocno na ziemi, nawet gdyby oznaczało to przeciwstawienie się przełożonym. Ukrytym przesłaniem instytucji jest: Poddaj się temu, co uważasz za władzę. Dobra szkoła kształci człowieka jako całość, nie chodzi wyłącznie o zbiór wiadomości i danych; próbowałam zrobić z ciebie istotę pełną pod względem psychologicznym i

moralnym. Nie można jednak nakazać komuś nieposłuszeństwa ani zmusić go do buntu. Mogłam jedynie ofiarować ci model, przykład.

Bibleman przypomniał sobie jej riposty podczas pierwszego wykładu Casalsa. W głowie miał pustkę.

- Z technicznego punktu widzenia silnik pantera jest bezwartościowy - ciągnęła Mary. - To standardowy test, któremu poddajemy wszystkich studentów bez względu na wyznaczoną im specjalizację.

- Wszyscy dostali wydruk na temat silnika pantera? - zapytał z niedowierzaniem Bibleman. Utkwił w niej wzrok.

- Dostaną go, jeden po drugim. Twój pojawił się nadzwyczaj szybko. Najpierw usłyszałeś, że materiał jest tajny; powiedziano ci, co grozi za jego ujawnienie. Potem przekazaliśmy go w twoje ręce z nadzieją, że rozgłosisz to publicznie, a przynajmniej spróbujesz to uczynić.

- Na trzeciej stronie wydruku widniała informacja, że silnik stanowi oszczędne źródło energii hydroelektrycznej - wtrącił major Casals. - To było ważne. Wiedział pan, że rzesze ludzi skorzystałyby na jego produkcji.

- Odsunięto groźbę kary - dodała Mary. - Czyli w twoim przypadku nie chodziło o strach.

- Chodziło o lojalność - odrzekł Bibleman. - Zrobiłem to przez wzgląd na lojalność.

- W stosunku do kogo? - zapytała Mary. Milczał, nie był w stanie myśleć.

- Do ekranu komputera? - dorzucił major Casals.

- Do pana - odparł Bibleman.

- Obrażałem pana i szydziłem z niego - odpowiedział major Casals. - Traktowałem jak śmiecia. Powiedziałem, że gdy rozkażę panu szczać na różowo, będzie pan...

- Dobrze - przerwał mu Bibleman. - Wystarczy.

- Żegnaj - powiedziała Mary.

- Słucham? - zapytał zdumiony Bibleman.

- Odchodzisz. Wracasz do swego życia i pracy, do tego, co miałeś, nim cię wybraliśmy.

- Proszę o kolejną szansę - powiedział Bibleman.

- Przecież teraz wiesz, na jakiej zasadzie funkcjonują nasze testy - zaoponowała Mary. - Nie możesz już liczyć na szansę. Znasz oczekiwania Akademii.

Przykro mi.

- Mnie również - dodał major Casals. Bibleman milczał.

Mary wyciągnęła do niego rękę.

- Zgoda?

Bibleman bezmyślnie uściskał jej dłoń. Major Casals patrzył na niego pustym wzrokiem; nie podał mu ręki. Wydawał się pochłonięty inną sprawą, być może kolejną próbą. Być może rozmyślał o innym studencie. Bibleman nie wiedział.

Kiedy Bob Bibleman trzy noce później przemierzał rozświetloną gdzieś latarniami ciemność miasta, zauważył tkwiący niezmiennie na posterunku mechaniczny bar szybkiej obsługi. Nastoletni chłopiec kupował właśnie taco i jabłcznik. Bob Bibleman stanął za chłopcem i czekał

z rękami w kieszeniach. W jego pozbawionej myśli głowie tliło się jedynie poczucie przemożnej pustki. Zupełnie jakby obojętność widoczna na twarzy Casalsa zapanowała również nade mną, pomyślał. Czuł się jak przedmiot, przedmiot wśród przedmiotów, niczym nieróżniący się od mechanicznego sprzedawcy hamburgerów, który, jak dobrze wiedział, nigdy nie patrzył nikomu prosto w oczy.

- Dla pana? - zapytał robot.

- Proszę frytki, cheeseburgera i koktajl truskawkowy. Czy można wziąć udział w jakimś konkursie?

- Pan nie może, panie Bibleman - odparł po chwili robot.

- Aha - odpowiedział i czekał.

Wkrótce pojawił się zapakowany w jednorazowe pudełka posiłek.

- Nie zapłacę - oznajmił Bibleman i odszedł.

- Tysiąc sto dolarów, panie Bibleman - zawołał za nim robot. - Łamie pan prawo!

Zawrócił, wyciągając portfel.

- Dziękuję, panie Bibleman - rzekł robot. - Jestem z pana dumny.



## W OKOWACH POWIETRZA W PAJĘCZYNIE ETERU

Na planecie gdzie mieszkał, każdego dnia nastawały dwa poranki. Najpierw pojawiała się CY30, po czym swą bladą obecność anonsował jego mniejszy bliźniak. Zupełnie jakby Bóg nie mógł się zdecydować, które słońce woli i Jego wybór wreszcie padł na oba. Mieszkańcy kopuły lubili porównywać to zjawisko do stopniowego wzrostu natężenia światła staroświeckiej żarówki. CY30 zdawało się dochodzić do około stu pięćdziesięciu watów, zaś następujące po nim CY30B dodawało kolejnych pięćdziesiąt. W łączonym świetle obu ciał metanowe kryształki powierzchni planety migotały przyjemnym blaskiem, o ile przebywało się w domu.

Leo McVane siedział przy stole pod osłoną swojej kopuły, pił syntetyczną kawę i czytał gazetę. Było mu lekko na duszy i ciepło, ponieważ już dawno temu nielegalnie przerobił termostat. Ogarniało go też poczucie bezpieczeństwa, gdyż zainstalował na drzwiach dodatkową metalową klamrę. Poza tym był pełen oczekiwania, bo właśnie na dziś przypadała kolejna wizyta dostawcy żywności, czyli będzie z kim pogadać. Dzień zapowiadał się wspaniale.

Wszystkie urządzenia komunikacyjne, nad którymi sprawował nadzór, pozostawione bez kontroli funkcjonowały. Początkowo, wkrótce po objęciu stacji na CY30II, McVane uważnie zapoznał się z celem i działaniem elektronicznych cudów, którymi miał się zajmować jako -jak brzmiała nazwa jego profesji - „główny nadzorca humanoidalny”. Teraz jednak pozwolił sobie zapomnieć o większości obowiązków. Sprzęt komunikacyjny wiódł monotonną egzystencję do czasu wystąpienia awarii, kiedy to McVane przestawał być „głównym nadzorcą humanoidalnym” i stawał się żyjącym mózgiem stacji.

Dotychczas nie nastąpił żaden tego typu incydent.

Gazeta zawierała zabawny wycinek z biuletynu Federalnego Podatku Dochodowego Stanów Zjednoczonych z 1978 roku, roku narodzin McVane'a. Punkty ułożono w następującym porządku:

Dotyczy

Wdów i Wdowców

Wycofanie - Podatek Federalny

Wygrane - Nagrody, Hazard, Loterie

Ostatnim punktem, który McVane uznał za zabawny komentarz archaicznego trybu życia, był:

### Grupa Osób o Zerowym Dochodzie

McVane uśmiechnął się pod nosem. Oto stosowne podsumowanie amerykańskiego biuletynu Federalnego Podatku Dochodowego z 1978 roku, jakże adekwatne do losu państwa, które kilka lat później zarżnęło się pod względem fiskalnym i zmarło w wyniku obrażeń pourazowych.

- Dostawa racji żywnościowych - zabrzmiał głos transformatora radiowego. -  
Rozpocznij procedurę otwierania.

- Otwieranie w toku - powiedział McVane, odkładając gazetę.

- Włóż kask - rozległo się z głośnika.

- Kask nałożony. - McVane nie ruszył się z miejsca, aby sięgnąć po kask.

Wskaźnik przepływu atmosfery nadrobi stratę. Dopilnował i tego.

W otwartych drzwiach stanął odziany w kombinezon dostawca żywności. Umieszczony u pułapu alarm zareagował ostrym piskiem na gwałtowny spadek ciśnienia.

- Włóż kask! - rozkazał ze złością dostawca żywności.

Skarga alarmu ucichła. Ciśnienie atmosferyczne ustabilizowało się. Dostawca żywności zareagował grymasem. Zdjął hełm i przystąpił do wyładowywania kartonów.

- Wytrzymała z nas rasa - powiedział McVane, pomagając mu.

- Majstrowałeś przy wszystkim - zauważył dostawca żywności. Podobnie jak wszyscy, którzy obsługiwali kopuły, miał mocną budowę i szybkie ruchy. Kursowanie między statkiem macierzystym a kopułami CY30 II nie było bezpiecznym zajęciem. Obydwaj dobrze o tym wiedzieli. Pod kopułą mógł siedzieć każdy; zaledwie garstka była w stanie funkcjonować na zewnątrz.

- Zostań na chwilę - poprosił McVane, kiedy rozładowali towar i dostawca postawił znaczek na swoim rachunku.

- Jeśli masz kawę.

Usiedli naprzeciw siebie przy stole i pili kawę. Metan burzył się na zewnątrz, lecz żaden z mężczyzn tego nie odczuwał. Dostawca żywności pocił się obficie.

Temperatura pod kopułą McVane'a musiała być dla niego za wysoka.

- Znasz kobietę, która mieszka w sąsiedniej kopule? - zapytał dostawca żywności.

- Trochę - odparł McVane. - Mój system przenosi dane do jej obwodu co trzy lub cztery tygodnie. Przechowuje je, doładowuje i transmituje. Tak mi się wydaje. Z tego, co wiem...

- Jest chora - wtrącił dostawca żywności.

- Ostatnim razem, kiedy z nią rozmawiałem przez wideo, wyglądała normalnie - stwierdził McVane. - Wspominała coś na temat trudności w odcyfrowywaniu odczytu terminalu.

- Ona umiera - dodał dostawca żywności, popijając kawę. McVane spróbował przywołać wizerunek kobiety. Drobną, śniadą... jak ona się nazywała? Wcisnął kilka przycisków leżącej obok klawiatury i wywołane kodem nazwisko pojawiło się na ekranie. Rybus Rommey.

- Na co? - zapytał.

- Stwardnienie rozsiane.

- Jaki stopień zaawansowania?

- Niewielki - odparł dostawca żywności. - Kilka miesięcy temu powiedziała mi, że jako nastolatka miała... jak to się nazywa? Tętniaka. W lewym oku, co pozbawiło ją zdolności centralnego widzenia, właśnie w tym oku. Podejrzewano wtedy, że to początek choroby. Kiedy dzisiaj z nią rozmawiałem, powiedziała, że ostatnio cierpi na zapalenie nerwu wzrokowego, co...

- Czy przekazała symptomy do MED? - zapytał McVane.

- Tętniak, potem faza remisji, po której następuje podwójne widzenie... powinieneś zadzwonić i porozmawiać z nią. Kiedy tam byłem, płakała.

McVane przez dłuższą chwilę stukał coś na klawiaturze, po czym odczytał dane.

- Wskaźnik wyleczenia stwardnienia rozsianego wynosi trzydzieści do czterdziestu procent.

- Nie tutaj. MED nie pomoże jej na takim odludziu.

- Cholera - zaklął McVane.

- Poradziłem jej, żeby zażądała przeniesienia do domu. Sam tak bym zrobił.

Ona nie.

- Wariatka - skwitował McVane.

- Masz rację. Wariatka. Wszyscy tu są wariatami. Chcesz dowodu? Ona może posłużyć jako dowód. Czy wróciłbyś do domu, wiedząc, że jesteś chory?

- Nie możemy opuszczać naszych kopuł.

- To, nad czym czuwasz, jest bardzo ważne. - Dostawca żywności odstawił filiżankę. - Muszę lecieć. - Wstając, dorzucił: - Zadzwoń i porozmawiaj z nią. Potrzebuje kogoś, z kim mogłaby pomówić, a ty jesteś najbliższym. Dziwię się, że nic ci nie powiedziała.

Nie pytałem, pomyślał McVane.

Po wyjściu dostawcy żywności, McVane odszukał kod kopuły Rybus Rommey i wpisał go w swój nadajnik. Naraz zawahał się. Zegar ścienny wskazywał 18.30. O tej porze czterdziestodwugodzinnego cyklu miał przyjąć sekwencję sygnałów rozrywkowych audio i wideo płynących z niewolniczego satelity na CY30 III. Zgromadziwszy je, miał nadać im normalną prędkość i wybrać materiał nadający się do tutejszej retransmisji.

Zerknął do spisu. Fox dawała dwugodzinny koncert. Linda Fox, pomyślał. Ty i ta twoja synteza starego rocka z dzisiejszą siłą. Jezu, jeżeli nie dokonam zapisu koncertu, zlecą się tu wszyscy mieszkańcy kopuł i zabiją mnie, stwierdził w duchu. Poza awariami - które się nie zdarzają - właśnie za to dostaję wynagrodzenie: by czuwać nad przepływem informacji pomiędzy planetami, informacji, która łączy nas z domem i pomaga nam zachować człowieczeństwo. Pora włączyć taśmę.

Uruchomił przyspieszony tryb nagrywania, ustawił sterowanie modułu na odbiór, dopasował go do częstotliwości satelity i sprawdziwszy zapis fal na wskaźniku optycznym, ustawił podgląd rejestrowanej audycji.

Z szeregu zainstalowanych nad jego głową głośników popłynął głos Lindy Fox. Bez najmniejszych zakłóceń. Bez trzasków. We wszystkich kanałach panowała równowaga; świadczyły o tym odczyty liczników.

Jeśli mowa o płaczu, pomyślał, słuchając jej, nieraz sam mógłbym zapłakać.

*Wędrujemy wszyscy wspólnie,*

*Mój zespół.*

*Świat ponad głową wydumany,*

*Ukochany.*

*Tańczcie dla mnie, duchy, bardzo proszę,*

*To za was toast swój wznoszę.*

W tle rozbrzmiewały syntolutnie, będące znakiem rozpoznawczym i Lindy Fox. Nikt przed nią nie wpadł na pomysł, żeby wrócić do tych szesnastowiecznych instrumentów, do dźwięków, które tak wspaniale tworzył i Dowland.

*Mamże ścigać? Szukać ukojenia?  
Modlić się? Żądać prawdy?  
Dążyć do wzniesienia  
Ziemskiej miłości pod niebiosą?  
Gdzie te światy, księżycy  
I krainy wieczyste,  
Gdzie znajdę serce, które jest czyste?*

Linda Fox sięgnęła po utwory szesnastowiecznego poety Johna Dowlanda i zmodyfikowała zarówno melodie, jak i teksty, dopasowując je do współczesności. Coś nowego, pomyślał, dla rzeszy ludzi przypadkowo rozproszonych po świecie to tu, to tam, w kopułach, na krańcach mrocznych światów, bez nadziei na światło w tunelu.

*Na próżno zlorzeczyć  
Tej ślepej podróży,  
Co dla człeka bezbronno...*

Nie pamiętał dalszego ciągu. Oczywiście miał to nagrane.

*...nic dobrego nie wróży.*

Czy coś w tym rodzaju. Piękno wszechświata nie leżało w gwiazdach, lecz w muzyce tworzonej ludzkim umysłem, ludzkim głosem i rękami. Dźwięki syntolutni zamknięte w klawiaturze za sprawą ekspertów i głos Fox. Wiem, co mi potrzebne do życia, pomyślał. Mam wymarzone zadanie: przetwarzam dźwięki, rozpowszechniam je, a oni za to mi płacą.

- Tu Fox - powiedziała Linda Fox.

McVane przełączył wideo na holo i z utworzonego sześcianu uśmiechnęła się do niego Linda Fox. Tymczasem szpule taśmy obracały się z zawrotną prędkością,

zagarniając dla niego godzinę za godziną.

- Jesteś z Fox - powiedziała - a Fox jest z tobą. - Przygwoździła go wzrokiem twardych, błyszczących oczu. Diamentowa twarz, dzika i mądra, mądra i prawdziwa; oto Fox się do ciebie odzywa. Odwzajemnił jej uśmiech.

- Cześć, Fox - odrzekł.

Jakiś czas potem zadzwonił do chorej dziewczyny z sąsiedniej kopuły. Upłynęła niespodziewanie długa chwila, nim odpowiedziała na sygnał. Czyżby było już po niej, pomyślał, obserwując rosnącą liczbę sygnałów na monitorze.

Na mikroekranie pojawiły się mgliste kolory. Zakłócenia, nic więcej. Potem zobaczył ją.

- Obudziłem panią? - zapytał. Wydawała się senna i odrętwiała.

- Nie. Dawałam sobie w tyłek.

- Słucham? - zapytał z zaskoczeniem.

- Chemioterapia - wyjaśniła Rybus. - Nie czuję się zbyt dobrze.

- Właśnie zarejestrowałem fantastyczny koncert Lindy Fox. Wyemituję go za parę dni. To podniesie panią na duchu.

- Fatalnie, że musimy się gnieździć w tych kopułach. Szkoda, że nie możemy się odwiedzać. Dopiero co był u mnie dostawca żywności. Przyniósł mi lekarstwo. Działa, ale chce mi się po nim wymiotować.

Po co ja w ogóle dzwoniłem? - pomyślał McVane.

- Czy dałby pan radę mnie odwiedzić? - zapytała Rybus.

- Nie mam przenośnego powietrza, ani trochę.

- Ja mam - odparła Rybus.

- Przecież jest pani chora... - odpowiedział wpadając w panikę.

- Jakoś dojdę do pańskiej kopuły.

- Dobrze - odrzekł po chwili.

- To wiele dla mnie znaczy, posiedzieć z kimś raz na jakiś czas. Dostawca żywności zostaje tylko pół godziny, dłużej nie może. Wie pan, co mi powiedział? Że na CY30 VI nastąpił wybuch epidemii amiotroficznego stwardnienia rozsianego. To musi być jakaś odmiana z Marianów. Chryste, nie chciałabym tego doświadczyć.

- Czy to jest zaraźliwe?

- To, co ja mam, da się wyleczyć - odpowiedziała wymijająco. Chciała rozwiać jego wątpliwości. - Jeśli w powietrzu jest wirus... dobrze, nie przyjdę. Nic się nie stało. - Kiwnąwszy głową, sięgnęła do wyłącznika. Położę się - oznajmiła - i

spróbuję trochę przespać. Mając to, powinnam spać ile wlezie. Porozmawiamy jutro.  
Do widzenia.

- Niech pani przyjdzie - poprosił. Rozchmurzyła się.

- Dziękuję.

- Proszę nie zapomnieć swojego pagera. Mam przecucie, że masa telemetrycznych potwierdzeń...

- Pieprzyć telemetryczne potwierdzenia! - rzuciła jadownicie Rybus. Mam powyżej uszu tej cholernej kopuły! Nie dostaje pan fioła, gapiąc się na wirujące szpule, liczniki i skale?

- Myśle, że powinna pani wrócić do domu - odparł.

- Nie - odparta spokojniejszym tonem. - Ściśle zastosuję się do wskazówek MED i dzięki chemioterapii zwalczę to cholerne MS. Nie pojadę do domu. Przyjdę i zrobię panu kolację. Jestem doskonałą kucharką. Moja matka była Włoszką, a ojciec jest Meksykaninem, tak więc przygotowam wszystko, co gotuję. Niestety, tu nie ma żadnych przypraw. Wiem jednak, jak zastąpić je syntetykami. Eksperymentowałam.

- Podczas wyemitowanego przeze mnie koncertu - powiedział McVane - Fox śpiewa wersję „Mamże ścigać” Dowlanda.

- Czy chodzi o pościg policyjny?

- Nie. O zabieganie o względy kobiety. Sprawy miłosne. - Naraz zrozumiał, że dziewczyna kpi.

- Chce pan wiedzieć, co sądzę o Fox? - zapytała Rybus. - Wyświechtany sentymentalizm, który jest najgorszą formą sentymentalizmu. Poza tym wygląda, jakby miała gębę do góry nogami. I ma złośliwe usta.

- Ja ją lubię - odparł sztywno. Czuł narastającą wściekłość. Mam ci pomóc, pomyślał. Ryzykować zarażenie, żebyś mogła ośmieszać Fox?

- Zrobię panu befsztyk i kluski z pietruszką - powiedziała Rybus.

- Nie potrzeba - odrzekł.

- Czyli nie chce pan, żebym przyszła? - zająknęła się z wahaniem. - Ja... - Nie wiedział, co powiedzieć.

- Boję się, panie McVane - rzekła Rybus. - Za kwadrans zacznę wymiotować w wyniku działania neurotoksyty IV. Ale nie chcę być sama. Nie chcę oddać mojej kopuły i nie chcę być sama. Przepraszam, jeśli pana uraziłam. Po prostu dla mnie Fox to kpina. Nie powiem nic więcej, obiecuję.

- Czy ma pani... - Skorygował to, co chciał powiedzieć. - Jest pani pewna, że

zrobienie kolacji to nie za duży wysiłek?

- Teraz jestem silniejsza, niż będę później - odparła. - Proces osłabienia trwa długo.

- Jak długo?

- Trudno powiedzieć.

Umrzesz, pomyślał. Oboje o tym wiedzieli. Nie musieli o tym mówić. Obustronne milczenie przypieczętowało układ. Umierająca dziewczyna chce ugotować mi kolację, pomyślał. Kolację, na którą nie mam najmniejszej ochoty. Muszę odmówić. Nie mogę dopuścić, aby tu przyszła. Upór słabych. Ich przerażająca moc. O ile łatwiej jest przeciwstawić się silnemu!

- Dziękuję - powiedział. - Z przyjemnością zjem z panią kolację. Proszę jednak, aby po drodze utrzymywała pani ze mną kontakt radiowy. Muszę wiedzieć, czy nic pani nie jest. Umowa stoi?

- Pewnie - odrzekła. - W przeciwnym razie... - uśmiechnęła się -

...znajdą mnie zamarzniętą za sto lat z rondlami, garnkami i żywnością oraz syntetycznymi przyprawami. Ma pan przenośne powietrze, prawda?

- Nie, nie mam - odparł.

Wiedział, że to kłamstwo było dla niej oczywiste.

Posiłek pachniał i smakował wybornie, lecz Rybus podniosła się w trakcie, przeprosiła i chwiejnie wycofała się do łazienki. Usiłował nie słuchać, ogromnym wysiłkiem woli skoncentrował się na tym, by nie słyszeć i nie wiedzieć. W łazience szarpana torsjami dziewczyna krzyknęła, a on zacisnął zęby. Odepchnąwszy od siebie talerz, wstał od stołu i nastawił wczesną płytę Fox.

*Przyjdź do mnie!*

*Miłości odłoń swe lico*

*I piękno, które mamy*

*Przesłódką obietnicą...*

- Nie ma pan przypadkiem mleka? - zapytała Rybus, stając z pobladłą twarzą w drzwiach łazienki.

W milczeniu podał jej szklanekę mleka lub tego, co na planecie za nie uchodziło.



- Mam środki na powstrzymanie wymiotów - powiedziała Rybus ale zapomniałam je zabrać. Zostały w mojej kopule.

- Mogę pani przynieść - zaproponował.

- Wie pan, co powiedzieli mi w MED? - W jej głosie pobrzmiwała głęboka uraza. - Powiedzieli, że po chemioterapii nie będą wypadać mi włosy, a wypadają gar...

- Dobrze - przerwał.

- Dobrze?

- Przepraszam - odparł.

- Zdenerwował się pan - uznała Rybus. - Z kolacji nici, a pan... sama nie wiem co. Gdybym pamiętała o zabranii leków, mogłabym powstrzymać... - Umilkła. - Następnym razem przyniosę. Obiecuję. To jeden z kilku albumów Fox, które lubię. Była wtedy naprawdę dobra, nie sądzi pan?

- Tak - odparł w napięciu.

- Linda Boks - powiedziała zniecka Rybus.

- Słucham? - zapytał.

- Linda Boks. Tak nazywałyśmy ją z siostrą. - Próbowała się uśmiechnąć.

- Proszę, niech pani wróci do siebie.

- Ach - odrzekła. - No cóż... - Drżącą ręką przygładziła włosy. - Pójdzie pan ze mną? Sama chyba nie dam rady. Jestem słaba. Naprawdę źle się czuję.

Zabierasz mnie ze sobą, pomyślał. No tak. Do tego doszło. Nie pójdziesz sama; zabierzesz ze sobą moją duszę. Wiesz o rym. Wiesz o tym równie dobrze, jak znasz nazwę swojego leku, i nienawidzisz mnie na równi z tym lekiem, tak samo jak nienawidzisz MED i swojej choroby. To nienawiść dla każdej rzeczy pod dwoma słońcami. Znam cię. Rozumiem. Czuję, co się święci. Już się zaczęło.

Nie mam ci tego za złe, dodał w myślach. Ja jednak zostanę przy Fox; ona cię przeżyje. Ja też. Nie zdusisz świetlnego eteru, który ożywia nasze dusze.

Przytrzymam się jej, a ona chwyci mnie w ramiona i nie pozwoli odejść. Nas dwojga nie da się rozdzielić. Mam wiele godzin jej nagrań na kasetach audio i wideo. Te taśmy nie są tylko dla mnie, ale dla wszystkich. Uważasz, że możesz to zmienić? Próbowano nieraz. Siła słabych, pomyślał, to siła niedoskonała; w ostatecznym rozrachunku skazana na klęskę. Stąd jej nazwa. Nie bez powodu nazywamy ją siłą słabych.

- Sentymentalizm - powiedziała Rybus.

- No tak - rzucił ironicznie.
- Na dodatek wyświechtany.
- I mieszane metafory.
- Ma pan na myśli jej teksty?
- Wie pani co, kiedy jestem naprawdę wkurzony...

- Coś panu powiem. Jedną rzecz. Jeżeli mam przetrwać, nie mogę sobie pozwolić na sentymentalizm. Muszę być twarda. Przepraszam, jeśli pana rozzłościłam, ale tak właśnie jest. Kiedyś pan może znaleźć się na moim miejscu, wtedy przekona się, że to prawda. Proszę poczekać ze swoim osądem do tej chwili. Jeśli ona w ogóle nastąpi. Tymczasem jednak powiem panu, że to, co pan tu puszcza, to śmieci. Dla mnie to muszą być śmieci. Rozumie pan? Może pan o mnie zapomnieć, odesłać mnie z powrotem do kopuły, tam gdzie pewnie moje miejsce, ale jeśli pobędzie pan trochę ze mną...

- Dobrze - powiedział. - Rozumiem.

- Dziękuję. Mogę dostać jeszcze trochę mleka? Niech pan wyłączy audio. Skończymy kolację. Zgoda?

Zdziwił się.

- Ma pani zamiar dalej...

- Wszystkie stworzenia... i gatunki... które postanowiły przestać jeść, dawno już opuściły nasze szeregi. - Usiadła niepewnie, przytrzymując się stołu.

- Podziwiam panią.

- Nie - zaoponowała. - Ja podziwiam pana. Panu jest trudniej. Wiem o tym.

- Śmierć... - zaczął.

- To nie śmierć, tylko wie pan co? W przeciwieństwie do tego, co płynie z pańskich głośników? Życie. Poproszę mleka; bardzo go potrzebuję.

Podając jej szklanekę, powiedział:

- Chyba nie można zdławić eteru.

- Nie - potwierdziła. - Bo on nie istnieje.

Centrala zaopatrzyła Rybus w dwie peruki, ponieważ w wyniku chemioterapii jej włosy znacznie się przerzedziły. Jemu bardziej podobała się jaśniejsza.

W peruce nie wyglądała najgorzej, wciąż jednak traciła siły i w jej głosie zaczęło pobrzmiwać utyskiwanie. Z uwagi na brak sił - bardziej, jak sądził, z powodu chemioterapii niż postępu choroby - nie była w stanie zadbać o dom.

Zjawiwszy się tam pewnego dnia, stanął przerażony tym, co zobaczył. Naczynia, rondle i garnki z zepsutym jedzeniem, porozrzucana wszędzie brudna odzież, sterty śmieci... wstrząśnięty posprzątał ten bałagan, uświadamiając sobie z przerażeniem, że cała kopuła przesiąkła jest mdlącym odorem choroby, leków, brudnej bielizny i, co najgorsze, gnijącej żywności.

Dopóki nie uprzątnął wszystkich śmieci, nie miał nawet na czym usiąść. Rybus leżała w łóżku w plastikowym szlafroku z rozcięciem na plecach. Wciąż radziła sobie z aparaturą; zauważył, że liczniki wskazywały na pełną aktywność. Programowała je jednak na odległość za pomocą sprzętu normalnie zarezerwowanego na czas awarii. Leżała podparta z programatorem u boku, czasopismem, miseczką z płatkami i kilkoma pojemnikami leków.

Jak przedtem, ponowił próbę, by namówić ją do przeniesienia. Odmówiła. Była nieugięta.

- Nie pójde do szpitala - oznajmiła stanowczo, ucinając rozmowę.

Później, kiedy z ulgą zamknął za sobą drzwi własnej kopuły, postanowił działać na własną rękę. Potężny Układ SI - Plazma o Sztucznej Inteligencji - który rozwiązywał problemy układów gwiazdnych w ich rejonie Galaktyki, dysponował czasem, który można było zakupić do prywatnego użytku. McVane wystukał podanie i wysłał zaoszczędzoną w ciągu ostatnich miesięcy sumę pieniędzy.

Z Fomalhaut, gdzie dryfowała Plazma, otrzymał pozytywną odpowiedź. Ekipa nadzorująca działania Plazmy zgodziła się sprzedać mu kwadrans jej czasu.

W ściśle odmierzonej czasie miał jak najszybciej i jak najdokładniej przekazać dane Plazmie. Opowiedział jej, kim była Rybus - co umożliwiło

Układowi SI wgląd w jej kartotekę i portret psychologiczny - dodając, że jego kopuła znajdowała się najbliżej jej kopuły. Opowiedział o determinacji dziewczyny, jej żądzy przetrwania i odmowie na przeniesienie bądź opuszczenie posterunku celem leczenia. Włożył głowę do metalowej czaszy, by umożliwić odbiór psychotroniczny, dzięki czemu Plazma zajrzała w jego myśli, podświadomość, wrażenia marginalne, wątpliwości, koncepcje, lęki oraz potrzeby.

- Z uwagi na odległość - poinformowała go ekipa - nastąpi pięciodniowe opóźnienie w dostarczeniu odpowiedzi. Otrzymaliśmy pańską opłatę. Bez odbioru.

- Bez odbioru - odparł ponuro. Wydał wszystko, co miał. Próżnia pochłonęła jego oszczędności. Niemniej jednak Plazma stanowiła sąd ostatniej instancji w kwestiach rozwiązywania problemów. CO MAM ROBIĆ? - zapytał Plazmy. Za pięć

dni uzyska odpowiedź.

W ciągu następných pięciu dni Rybus wyraźnie osłabła. Mimo to nie przestawała gotować, choć odnosił wrażenie, że wciąż je to samo: wysokoproteinowy makaron posypany tartym serem. Pewnego dnia zobaczył, że włożyła ciemne okulary. Nie chciała, żeby widział jej oczy.

- Moje chore oko zwariowało - wyjaśniła beznamiętnie. - Podwinęło mi się w głowie jak żaluzja. - Wszędzie na łóżku leżały rozsypane kapsułki i tabletki. Podniósł na wpół opróżniony pojemnik i zobaczył, że brała jeden z najsilniejszych środków przeciwbólowych.

- MED ci to zapisał? - zapytał. Czyżby aż tak ją bolało, pomyślał.

- Znam kogoś - odparła Rybus - z kopuły na IV. Przyniósł mi to dostawca żywności.

- To świństwo uzależnia.

- Mam szczęście, że je zdobyłam. Tak naprawdę to nie powinnam wcale go brać.

- Wiem o tym.

- Ten cholerny MED. - Mściwość w jej głosie była zdumiewająca. Zupełnie jakby się miało do czynienia z niższą formą życia. Zanim zdążą ci coś przepisać i dostarczyć, jesteś już urną prochu. Nie widzę sensu, aby zapisywać leki urnie. - Dotknęła ręką głowy. - Przepraszam, powinnam była przed twoim przyjściem włożyć perukę.

- Nic nie szkodzi - odrzekł.

- Mógłbyś przynieść mi trochę coli? Koi mój żołądek.

Wyjął z lodówki litrową butelkę coli i napelnił szklanekę. Musiał najpierw ją umyć. W kuchni nie było czystych naczyń.

Naprzeciw niej, na łóżku tkwił standardowy odbiornik telewizyjny. Brzęczał do siebie, gdyż nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. McVane uświadomił sobie, że bez względu na porę wizyty, telewizor zawsze grał, nawet w nocy.

Po powrocie do własnej kopuły poczuł przyływ niezmiernej ulgi, jakby uwolniono go od wielkiego ciężaru. Wystarczyła fizyczna odległość między nimi, by natychmiast odzyskał pogodę ducha. Jest zupełnie tak, pomyślał, jakbym będąc z nią, chorował na to, co ona. Dzielimy tę chorobę.

Nie miał ochoty słuchać nagrań Fox i zamiast tego włączył II symfonię Mahlera, „Zmartwychwstanie”. Jedyna symfonia zapisana na wiele kawałków ratanu,

przyszło mu do głowy. Szkoda, że Mahler nie znał wzmacniacza. Na pewno wykorzystalby go przy jednej z dłuższych symfonii.

Z chwilą gdy włączył się chór, nagranie umilkło, wyparte przez nadawaną z zewnątrz wiadomość.

- Transmisja z Fomalhaut.
- Odbiór.
- Proszę włączyć wideo. Dziesięć sekund do startu.
- Dziękuję - odparł.

Na monitorze pojawił się odczyt. Była to odpowiedź Układu SI. Wbrew zapowiedziom, wysłano ją dzień wcześniej.

TEMAT: RYBUS ROMMEY

ANALIZA: TANATOS

RADA PROGRAMU: TRZYMAJ SIĘ Z DALEKA

CZYNNIK ETYCZNY: BRAK

**\*\*DZIĘKUJĘ\*\***

- Dziękuję - odparł odruchowo McVane, mrugając powiekami. Przedtem miał do czynienia z Plazmą tylko raz i zdążył zapomnieć, jak zwięzłe były jej odpowiedzi. Ekran opustoszał. Nastąpił koniec transmisji.

Nie był pewny co do znaczenia słowa „tanatos”, przeczuwał jednak, że dotyczyło śmierci. To znaczy, że ona umiera, pomyślał. Wszedł do planetarnego banku danych i poprosił o definicję. To znaczy, że umiera, może umrzeć albo jest bliska śmierci, o czym dobrze wiem.

Mylił się. Słowo oznaczało „ściągający śmierć”.

Ściągający, pomyślał. Istnieje zasadnicza różnica pomiędzy „śmiercią” a „ściągającym śmierć”. Nic dziwnego, że Układ SI wyeliminował czynnik etyczny.

Ona przynosi zgubę, przyszło mu do głowy. Cóż, oto dlaczego konsultacje z Plazmą są takie kosztowne. Zamiast opartej na spekulacjach nadętej odpowiedzi słyszy się prawdę.

Podczas gdy tak rozmyślał, próbując się uspokoić, zadzwonił telefon.

- Cześć - powiedziała drżącym głosem Rybus.
- Cześć - odparł.
- Masz może herbatę Niebiański Napój Poranny Grom?

- Co takiego? - zapytał.
- Kiedy byłam u ciebie i przyrządzałam dla nas befsztyk, wydawało mi się, że widzę paczkę Niebiańskiego...
- Nie - odrzekł. - Nie mam. Skończyła mi się.
- Dobrze się czujesz?
- Jestem zmęczony - odpowiedział, myśląc, powiedziała „nas”. Ona i ja to „my”. Kiedy to się stało? Chyba o to chodziło Plazmie; ona zrozumiała.
- Masz w ogóle jakąś herbatę?
- Nie - odparł. W kopule rozbrzmiało z nową siłą przerwane wiadomością nagranie. Zaśpiewał chór.  
W słuchawce rozległ się śmiech dziewczyny.
- Fox nakłada na siebie dźwięki? Chór tysiąca...
- To Mahler - uciał szorstko.
- Myślisz, że mógłbyś przyjść i dotrzymać mi towarzystwa? - zapytała Rybus.
- Trochę tracę głowę.
- Dobrze - odpowiedział po chwili. - Jest coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać.
- Czytałam ten artykuł w...
- Porozmawiamy, jak przyjdę - wpadł jej w słowo. - Do zobaczenia za pół godziny. - Odłożył słuchawkę.

Kiedy dotarł do jej kopuły, leżała podparta na łóżku, oglądając przez ciemne okulary operę mydlaną w telewizji. Od czasu kiedy widział ją po raz ostatni, nic się nie zmieniło. Może tylko psujące się jedzenie w naczyniach i resztki płynów w szklankach sprawiały jeszcze bardziej przygnębiający widok.

- Powinieneś to obejrzeć - odezwała się Rybus, nie podnosząc głowy. - Dobra, wprowadzę cię. Becky jest w ciąży, ale jej chłopak nie...

- Przyniosłem ci herbatę. - Położył na stoliku cztery torebki.

- Dasz mi kilka krakersów? Na półce nad piecem jest pudełko. Muszę zażyć tabletkę. Łatwiej mi łykać lekarstwa z jedzeniem niż z wodą, bo kiedy miałam trzy lata... nigdy w to nie uwierzysz. Ojciec uczył mnie pływać. Mieliśmy wtedy kupę pieniędzy, ojciec był... cóż, wciąż jest, ale rzadko mam od niego jakąś wiadomość. Skaleczył się w plecy przy otwieraniu bramy w dzielnicy, gdzie... - Umilkła, ponownie skierowawszy uwagę na telewizor.

McVane zrzucił z krzesła śmieci i usiadł.

- Wczorajszej nocy byłam strasznie przygnębiona - powiedziała Rybus. - O mało do ciebie nie zadzwoniłam. Myślałam o przyjaciółce, która teraz... cóż, jest w moim wieku, ale dostała klasę 4-C w studiach nad czasem i ruchem, w dziedzinie wskaźnika fluktuacji pryzmatu, czy coś w tym rodzaju. Nienawidzę jej. W moim wieku! Wyobrażasz sobie? - Wybuchła śmiechem.

- Ważyłaś się ostatnio? - zapytał.

- Co? A, nie. Ale moja waga jest w porządku. Wiem to. Bierze się w palce kawałek skóry tuż obok barku. Tak zrobiłam. Wciąż mam warstwę tłuszczu.

- Mizernie wyglądasz - stwierdził. Położył jej rękę na czole.

- Mam gorączkę?

- Nie - odparł. Wciąż trzymał dłoń na gładkiej wilgotnej skórze nad okularami. Ponad splotem włókien nerwowych, gdzie rozwinęła się zabijająca ją choroba.

Będzie ci lepiej, pomyślał, jak umrzesz.

- Niech ci nie będzie przykro - powiedziała ze współczuciem Rybus. - Wyzdrowieję. MED zmniejszył mi dawkę vaskuliny. Biorę ją rzadziej, trzy razy dziennie zamiast czterech.

- Znasz wszystkie terminy medyczne - zauważył.

- Nie mam wyjścia. Dostałam całą instrukcję. Chcesz rzucić okiem? Gdzieś tu leży. Popatrz na tamte papiery. Pisałam do kilku starych przyjaciół, bo szukając czegoś innego natknęłam się na ich adresy. Wyrzucam niepotrzebne szpargały. Widzisz? - Pokazała mu papierowe worki pełne zmiętych kartek. - Wczoraj pisałam przez pięć godzin, dziś też już zaczęłam. Dlatego miałam ochotę na herbatę. Mógłbyś zaparzyć mi filiżankę? Nie żałuj cukru, ale dodaj tylko odrobinę mleka.

Zaparzając herbatę, przypomniał sobie słowa piosenki Lindy Fox, ułożonej na podstawie tekstu Dowlanda.

*Boże Jedyny*

*Co i łajdaka wynosisz do nieba,*

*Posłuchaj proszę,*

*Co w moim sercu śpiewa.*

- Ten program jest naprawdę dobry - oznajmiła Rybus w przerwie na reklamy.

- Mogę ci o nim opowiedzieć?

- Czy zmniejszenie dawki vaskuliny świadczy o poprawie? - odpowiedział pytaniem.

- Pewnie wkraczam w kolejną fazę remisji.

- Ile to potrwa?

- Pewnie jakiś czas.

- Podziwiam twoją odwagę - odrzekł. - Ja pasuję. Przyszedłem tu ostatni raz.

- Moją odwagę? - zapytała. - Dziękuję.

- Więcej tu nie przyjdę.

- Jak to: nie przyjdiesz? Dzisiaj?

- Przyciągasz śmierć - odrzekł. - Jesteś patogenna.

- Jeśli mamy poważnie rozmawiać - oświadczyła - muszę włożyć perukę. Mógłbyś podać mi tę jasną? Gdzieś tu jest, może pod stertą odzieży w kącie. Tam, gdzie czerwona bluzka, ta z białymi guzikami. Muszę przyszyć do niej jeden guzik, jeśli go znajdę.

Podał j ej perukę.

- Przytrzymaj mi lusterko - poprosiła, nakładając perukę. - Czy według ciebie zarazam? MED twierdzi, że na tym etapie wirus traci aktywność. Wczoraj rozmawiałam z nimi przez godzinę; przełączyli mnie na specjalną linię.

- Kto pilnuje twojej stacji? - zapytał.

- Stacji? - Zerknęła na niego zza ciemnych okularów.

- Twojej pracy. Kto monitoruje napływ informacji. Przechowuje je, a potem przekazuje dalej. Po to tu jesteś.

- Jest przełączona na auto.

- Pali się siedem światełek ostrzegawczych. Są czerwone i mrugają powiedział. - Powinnaś podłączyć stację do systemu audio, wtedy byś je słyszała i nie lekceważyła ich. Odbierasz, ale nie nagrywasz, o czym próbują ci przypomnieć.

- Mają pecha - odrzekła ściszym głosem.

- Muszą wziąć pod uwagę fakt, że jesteś chora - dodał.

- Robią to. Oczywiście, że tak. Mogą mnie przecież ominąć; czy nie odbierasz mniej więcej tych samych danych co ja? Czy nie jestem stacją pomocniczą twojej stacji?

- Nie - odparł. - To ja jestem twoją stacją pomocniczą.

- Wszystko jedno. - Pociągnęła łyk herbaty, którą dla niej zaparzył. Za gorąca. Niech trochę wystygnie. - Niepewnie wyciągnęła rękę, aby postawić kubek na stoliku.



Kubek spadł i gorący płyn rozlał się na plastikową podłogę. - Chryste - rzuciła z furją. - To wystarczy, to naprawdę wystarczy. Nic mi się dzisiaj nie udaje. Co za chamstwo.

McVane włączył układ próżniowy kopyły, który wciągnął rozlaną herbatę. Milczał. Czuł, jak wypełnia go gniew, bezsilna, pozbawiona adresata wściekłość będąca lustrzanym odbiciem nienawiści dziewczyny. Namiętność prowadząca wszędzie i donikąd. Nienawiść, pomyślał, jest jak stado much. Boże, jakbym chciał znaleźć się daleko stąd. Jakże nienawidzę tej nienawiści, nienawiści, której obiektem na równi ze śmiertelną chorobą jest rozlana herbata. Jednowymiarowy wszechświat. Oto, do jakich skurczył się rozmiarów.

Podczas następnych tygodni odwiedzał ją coraz rzadziej. Nie słuchał tego, co mówiła; nie patrzył na to, co robiła, odwracał wzrok od otaczającego ją chaosu, od ruin jej domu. Mam przed sobą odzwierciedlenie stanu jej umysłu, pomyślał kiedyś, obrzucając zdawkowym spojrzeniem zalegające wszędzie sterty śmieci. Wystawiała nawet worki przed kopułę, na pastwę wiecznego mrozu. Dziecinniała.

Po powrocie do siebie próbował słuchać Lindy Fox, ale magia ulotniła się bez śladu. Widział i słyszał syntetyczny twór bez jakichkolwiek znamion realności. Rybus Rommey wysłała życie z Fox tak samo, jak układ próżniowy wysłał herbatę z jej podłogi.

*A kiedy klęski spadły nań jak grom z jasnego nieba,  
Nadzieja ukoiliła jego serce i przyniosła mu pokój w  
nieszczęściu.*

McVane słyszał słowa, ale nie miały one dla niego żadnego znaczenia. Jak to ujęła Rybus? Wyświechtany sentymentalizm i śmieci. Nastawił koncert Vivaldiego. Jest tylko jeden koncert Vivaldiego, pomyślał. I komputer byłoby stać na coś lepszego. Bardziej różnorodnego.

- Odbierasz fale Fox - oznajmiła Linda Fox i na ekranie wideo pojawiła się jej dzika, podświetlona gwiazdami twarz. - A kiedy trafią cię fale Fox - dodała - zostałeś trafiony!

W napadzie złości skasował cztery godziny jej nagrań, zarówno audio, jak i wideo. Potem tego pożałował. Połączył się z jednym z satelitów, prosząc o dostarczenie nowych, powiedziano mu jednak, że zostały już odesłane.

No i dobrze, pomyślał. Jakie to ma znaczenie?

Tej nocy, kiedy twardo spał, zadzwonił telefon. McVane nie zareagował ani za pierwszym, ani za drugim razem.

Kiedy telefon zadzwonił się po raz trzeci, podniósł słuchawkę.

- Cześć - powiedziała Rybus.

- O co chodzi? - zapytał.

- Jestem zdrowa.

- Remisja?

- Nie, jestem zdrowa. Właśnie otrzymałam wiadomość od MED, ich komputer przeanalizował moje wykresy, testy i wszystko, i nie ma śladu po zwyrodnieniach. Tyle że, oczywiście, nigdy nie odzyskam zdolności centralnego widzenia w chorym oku. Poza tym jednak jest OK. - Umilkła. - Jak się miewasz? Tak długo nie miałam od ciebie żadnych wieści... całą wieczność. Myślałam o tobie.

- U mnie wszystko w porządku - odparł.

- Powinniśmy to uczcić.

- Tak - powiedział.

- Zrobię dla nas kolację, jak kiedyś. Na co miałbyś ochotę? Ja chyba na coś meksykańskiego. Umiem przyrządzić świetne taco, mam w zamrażarce mielone mięso, chyba że się popsulo. Rozmrożę i sprawdzę. Przyjdiesz tutaj czy...

- Porozmawiamy o tym jutro - przerwał.

- Przepraszam, że cię obudziłam, ale dostałam wiadomość od MED. - Milczała przez chwilę. - Jesteś moim jedynym przyjacielem - dodała. I niespodziewanie zaczęła płakać.

- Już dobrze - uspokoił ją. - Jesteś zdrowa.

- Zachowywałam się jak wariatka - rzuciła łamiącym się głosem. - Teraz odłożę słuchawkę i zadzwonię do ciebie jutro. Masz rację, trudno w to uwierzyć, ale mi się udało.

- Dzięki twojej odwadze - powiedział.

- Dzięki tobie - odparła Rybus. - Bez ciebie nie dałabym rady. Nigdy ci tego nie mówiłam, ale... nagromadziłam wystarczająco tabletek nasennych, aby się nigdy nie obudzić i...

- Porozmawiamy jutro - powtórzył. - O nas. - Odłożył słuchawkę i wrócił do łóżka.

Kiedy Hiob stracił dzieci, ziemię i dobra, cierpliwość uśmierzyła jego ból, pomyślał. Kiedy klęski spadły nań jak grom z jasnego nieba, Nadzieja ukoiliła jego

serce i przyniosła mu pokój w nieszczęściu. Jak powiedziała by Fox.

Wyświechtany sentymentalizm, podsumował w duchu. Pomogłem jej przez to przebrnąć, a ona w zamian odebrała wartość temu, co najbardziej ukochałem. Ale ona żyje, uświadomił sobie. Udało jej się. Zupełnie jakbyś zabijał szczura. Możesz zabić go na sześć sposobów, a on dalej żyje. Nie ma na to rady.

Dobre określenie na to, co robimy w tym układzie gwiazdnym na zamrożonych planetach, w ciasnych kopułach. Rybus Rommey pojęła zasady gry, rozegrała ją właściwie i odniosła zwycięstwo. Do diabła z Lindą Fox. Do diabła z tym, co kocham, dorzucił w myślach.

Korzystna transakcja, syntetyczny wizerunek medialny poniósł porażkę w starciu z ludzkim życiem. Oto prawo wszechświata.

Drząc, nacisnął na siebie koldrę i spróbował zasnąć.

Dostawca żywności pojawił się przez przyjściem Rybus. Wczesnym rankiem wyciągnął McVane'a z łóżka.

- Nadal bezprawnie podnosisz temperaturę - rzucił z naganą, ściągając kask.

- Robię po prostu użytek ze sprzętu - odparł McVane. - Nie konstruuje go.

- Cóż, ja na ciebie nie naskarzę. Masz kawę?

Usiedli naprzeciw siebie przy stole i pili syntetyczną kawę.

- Właśnie idę od Rommey - zagaił dostawca. - Mówi, że jest zdrowa.

- Tak, dzwoniła do mnie w nocy - odrzekł McVane.

- Mówi, że to dzięki tobie. McVane zbył to milczeniem.

- Ocaliłeś ludzkie życie.

- Aha - odparł McVane.

- Co się stało?

- Jestem zmęczony.

- Czuję, że to cię dużo kosztowało. Chryste, jaki tam bajzel. Nie mógłbyś jej posprzątać? Przynajmniej zniszcz śmieci i wy sterylizuj dom, ta cholerna kopuła jest siedliskiem bakterii. Rommey uruchomiła system usuwania śmieci, który zepchnął nieczystości na wszystkie szafki i półki, tam gdzie trzyma żywność. W życiu nie widziałem niczego podobnego. Była przecież tak słaba...

- Dopilnuję tego - przerwał mu McVane.

- Najważniejsze, że wyzdrowiała - skwitował dostawca żywności. Robiła sobie zastrzyki.

- Wiem - odparł McVane. - Widziałem. - I to nieraz, dokończył w myślach.

- I odrastają jej włosy. Rany, strasznie wygląda bez peruki. Nie uważasz?

McVane wstał.

- Muszę nadać kilka raportów o stanie pogody. Wybacz, ale nie mogę dłużej rozmawiać.

*W porze kolacji Rybus Rommey stanęła na progu jego kopuły obładowana garnkami, naczyniami i starannie opakowanymi zawiniątkami. Wpuścił ją do środka. W milczeniu przeszła do kuchni, gdzie z rozmachem pozbyła się ciężaru. Dwie paczki ześlizgnęły się na podłogę; schyliła się, by je podnieść.*

- Miło znów cię widzieć - powiedziała, zdejmując kask.

- Ciebie też - odrzekł.

- Przyrządzenie taco zajmie około godziny. Wytrzymasz tyle?

- Jasne - powiedział.

- Tak sobie myślałam - oznajmiła Rybus, stawiając rondel z tłuszczem na palniku - że powinniśmy wyjechać na wakacje. Szykuje ci się jakiś

urlop? Mnie przysługują dwa tygodnie, choć sprawa nieco skomplikowała się przez moją chorobę. Wykorzystałam znaczną część urlopu na zwolnienie. Chryste, obcięli mi półtora dnia na miesiąc, tylko dlatego, że nie mogłam obsługiwać nadajnika. Uwierzysz?

- Dobrze, że odzyskałaś już siły - powiedział.

- Jestem zdrowa - odparła. - Cholera, zapomniałam o mięsie. Niech to szlag! - Utkwiła w nim wzrok.

- Pójdę do ciebie i przyniosę je - zaoferował. Usiadła.

- Jest nierozmrożone. Zapomniałam je rozmrozić. Dopiero teraz mi się przypomniało. Dziś rano chciałam wyjąć je z zamrażarki, ale musiałam dokończyć kilka listów... może dzisiaj zjemy coś innego, a taco przygotuję na jutro.

- Dobrze - powiedział.

- I chciałam oddać ci herbatę.

- Zaniósłem ci tylko cztery torebki. Spoglądając na niego niepewnie, powiedziała:

- Sądziłam, że przyniosłeś mi całe pudełko Niebiańskiego Napoju Poranny Grom. Skąd wobec tego je mam? Może przyniósł je dostawca żywności. Posiedzę tu chwilkę. Mógłbyś włączyć telewizor?

Spełnił jej prośbę.

- Oglądałam taki program - poinformowała Rybus. - Nie opuściłam ani jednego odcinka. Lubię filmy o... jeśli mamy oglądać, muszę ci opowiedzieć, co wydarzyło się do tej pory.

- Czy moglibyśmy nie oglądać? - zapytał. - Jej mąż...

Ona kompletnie zwariowała, pomyślał. Jest martwa. Jej ciało zostało wyleczone, lecz choroba zabiła jej umysł.

- Muszę ci coś powiedzieć - rzucił.

- Słucham?

- Jesteś...-Urwał.

- Jestem szczęściarą - dokończyła. - Wbrew wszelkim przeciwnościom. Nie widziałeś mnie, kiedy byłam w najgorszym stanie. Nie chciałam, żebyś mnie widział. Przez chemioterapię byłam ślepa, sparaliżowana, głucha i zaczęłam mieć ataki. Jeszcze latami będę brać leki. Ale to nic nie przeszkadza, prawda? Branie leków to nic takiego. To znaczy, mogło być znacznie gorzej. Cóż, jej mąż stracił pracę, ponieważ...

- Czyj mąż? - zapytał McVane.

- Tej w filmie. - Wzięła go za rękę. - Gdzie pojedziemy na nasze wakacje? Cholernie zasłużyliśmy na jakąś nagrodę. Oboje.

- Naszą nagrodą - odparł -jest to, że wyzdrowiałaś.

Zapatrzona w ekran, nie słuchała. Zauważył, że wciąż nosiła ciemne okulary. Przypomniało mu to piosenkę, którą Fox zaśpiewała w Boże Narodzenie dla wszystkich planet, najczulszą, najbardziej przejmującą piosenkę przejętą z utworów Johna Dowlanda.

*Gdy w żalu i niedoli nieszczęśnik swe życie  
Pędził od lat wielu z męką za pan brat,  
Kiedyś w oczach Pana wzrok swój utkwił skrycie.  
Czym prędzej ozdrowiał i znowu był chwat.*

Rybus Rommey mówiła:

- ...praca była nieźle płatna, ale wszyscy knuli przeciwko niemu; wiesz, jak to jest w biurze. Pracowałam kiedyś w takim, gdzie... - Zamilkła, by dodać: - Czy mógłbyś nastawić wodę? Napiłabym się kawy.

- Dobrze - odpowiedział i włączył palnik.





## DZIWNE WSPOMNIENIE ŚMIERCI

Obudziłem się rano, czując w mieszkaniu październikowy chłód, zupełnie jakby pory roku znalazły się na kalendarzu. Co mi się śniło? Zwiewny obraz kobiety, którą niegdyś kochałem. Coś ciążyło mi na sercu. Wsłuchałem się w siebie. Wszystko wydawało się w porządku; zapowiadał się dobry miesiąc. Mimo to czułem chłód.

Chryste, pomyślałem. Dzisiaj mają wyeksmitować Panią Lizol.

Nikt nie lubi Pani Lizol. To wariatka. Nikt nigdy nie słyszał, aby cokolwiek mówiła; nigdy też nie patrzy nikomu w oczy. Czasem, kiedy lokator schodzi po schodach, a ona zmierza w odwrotnym kierunku, bez słowa odwraca się i wsiada do windy. Wszyscy czują używany przez nią lizol. Jakieś okropieństwa zanieczyszczają jej mieszkanie, więc używa lizolu. Niech to szlag! Parząc kawę, myślę sobie, może właściciele już ją wyrzucili, o świcie, kiedy jeszcze spałem. Kiedy śniłem o ukochanej kobiecie, która mnie porzuciła. Jasne. Śniłem o wstrętnej Pani Lizol i władzach stukających do jej drzwi o piątej rano. Nowi właściciele to ogromna firma handlująca nieruchomościami. Zrobiliby to o świcie.

Pani Lizol chowa się w mieszkaniu, wiedząc, że październik czai się za progiem. Z jego nadejściem wpadną do jej domu i wyrzucą ją na ulicę wraz z całym dobytkiem. Czy to nakłoni ją do mówienia? Wyobrażam sobie, jak stoi w milczeniu przyciśnięta do muru. To nie takie proste. Al Newcum, reprezentant firmy inwestycyjnej South Orange, powiedział mi, że Pani Lizol zwróciła się do Pomocy Prawnej. To źle, ponieważ w ten sposób niweczy nasze wysiłki, by jej pomóc. To wariatka, ale nie aż taka. Można by udowodnić, że nie zrozumiała sytuacji, ekipa z lokalnego szpitala psychiatrycznego przyszłaby jej z pomocą i wyjaśniłaby firmie inwestycyjnej, że nie można legalnie eksmitować osoby niedorozwiniętej umysłowo. Po cholere szła do Pomocy Prawnej?

Dziewiąta rano. Mogę zejść na dół do biura i zapytać Ala Newcuma, czy Pani Lizol została już wyeksmitowana, czy też jeszcze chyłkiem ukrywa się w mieszkaniu i czeka. Mają ją wyrzucić, ponieważ budynek, składający się z pięćdziesięciu sześciu jednostek mieszkalnych, został przekształcony w kondominium. Od czasu gdy oficjalnie nas o tym poinformowano cztery miesiące temu, prawie wszyscy się wyprowadzili. Macie sto dwadzieścia dni na wyprowadzkę i firma inwestycyjna South Orange pokryje dwieście dolarów waszych kosztów. Takie mamy prawo.



Przysługuje wam również prawo pierwokupu wynajmowanego przez was mieszkania. Ja kupuję swoje. Zostaję. Za pięćdziesiąt dwa tysiące dolarów będę asystował przy eksmisji Pani Lizol, która nie dysponuje taką sumą. Teraz żałuję, że się nie wyprowadziłem.

Poszedłem na dół do maszyny z gazetami i kupiłem „Los Angeles Times”. Dziewczyna, która strzelała na szkolnym boisku, „ponieważ nienawidzi poniedziałku”, przyznała się do winy. Wkrótce uzyska zwolnienie warunkowe. Wzięła pistolet i otworzyła ogień do dzieci, gdyż nie miała nic lepszego do roboty. Cóż, dzisiaj mamy poniedziałek; ona zasiada na ławie oskarżonych w poniedziałek, dzień, którego nie znosi. Czy obłąd nie ma granic? Zastanawiam się nad sobą. Przede wszystkim wątpię, czy moje mieszkanie jest warte pięćdziesiąt dwa tysiące dolarów. Zostaję, ponieważ boję się przeprowadzki - boję się nowości, zmian - i jestem leniwy. Nie, nie

O to chodzi. Lubię ten dom, mieszkam niedaleko przyjaciół i sklepów, które coś dla mnie znaczą. Mieszkam tu od trzech i pół roku. To dobry, solidny budynek, z bramą i porządnymi zamkami. Mam dwa koty, które lubią zamknięte patio; mogą wychodzić na zewnątrz i nic ich nie obchodzi na psy. Pewnie ludzie nazywają mnie Kociarz. Tak więc wyprowadzili się wszyscy prócz Pani Lizol i Kociarza.

Nie daje mi spokoju myśl, że jedyną rzeczą różniącą mnie od Pani Lizol, która jest stuknięta, są pieniądze na moim koncie bankowym. Pieniądze to oficjalny gwarant zdrowych zmysłów. Pani Lizol, być może, boi się przeprowadzki. Jest taka jak ja. Chce zostać w miejscu, w którym mieszkała od lat, i robić to, co zawsze. Często korzysta z pralki, bezustannie pierze

I suszy swoje rzeczy. Tam ją spotykam: wchodzę do pralni, a ona stoi i pilnuje, żeby nikt jej czegoś nie podwędził. Dlaczego na nikogo nie patrzy?

Odwraca twarz... czemu to ma służyć? Wyczuwam nienawiść. Ona nienawidzi wszystkich. Zastanówcie się jednak nad jej sytuacją; ci, których nienawidzi, zamkną ją w potrzasku. Jakże musi się bać! Rozgląda się po mieszkaniu, wyczekuje stukania do drzwi, patrzy na zegarek i już wie!

Na północ od nas, w Los Angeles, przekształcanie domów czynszowych na kondominia zostało oficjalnie zakazane przez radę miejską. Ci, którzy wynajmują, wygrali. To wspaniałe zwycięstwo, lecz żadna pociecha dla Pani Lizol. Żyjemy w hrabstwie Orange. Pieniądze rządzą światem. Biedacy mieszkają na wschód od nas: Meksykanie w Barrio. Czasem, kiedy ochrona otwiera bramę, by wpuścić samochody,

kobiety Chicano wbiegają do środka z koszami brudnej bielizny. Chcą skorzystać z pralek, gdyż nie mają własnych. Mieszkający tu ludzie stanowczo się temu sprzeciwiali. Kiedy masz trochę więcej pieniędzy - i stać cię na to, by mieszkać w nowoczesnym, chronionym budynku z elektrycznością - sprzeciwiasz się wielu rzeczom.

Cóż, muszę sprawdzić, czy Pani Lizol została już wyeksmitowana. Nie ma co patrzeć na jej okno; zasłony są wiecznie zasunięte. Pójdę na dół do biura i zapytam Ala. Nie, Ala nie ma, biuro jest zamknięte na klucz. Przypominam sobie, że Al poleciał do Sacramento na weekend, żeby zdobyć jakieś ważne dokumenty prawne, które się zapodziały. Jeszcze nie wrócił. Gdyby Pani Lizol nie była stuknięta, zapukałbym do niej i zamienił parę słów; w ten sposób mógłbym się coś niecoś dowiedzieć. Oto jednak źródło tragedii; pukanie do drzwi przerazi ją. Sytuacja nie do pozazdroszczenia. Przecież to choroba. Tak więc stoję obok fontanny postawionej przez inwestorów i podziwiam sprowadzone przez nich kwiaty... dzięki nim budynek naprawdę zyskał. Przedtem wyglądał jak więzienie. Teraz stał się ogrodem. Inwestorzy włożyli kupę pieniędzy w malowanie, wystrój i przebudowę całego wejścia. Woda, kwiaty, szklane, rozsuwane drzwi... i Pani Lizol, przyczajona w mieszkaniu i czekająca na kołatanie do drzwi.

Może mógłbym przykleić do jej drzwi wiadomość. Na przykład:

*Szanowna pani, serdecznie pani współczuję i oferuję swoją pomoc. Jeśli życzy pani sobie mojej pomocy, czekam w mieszkaniu C-1.*

Jak miałbym się podpisać? Może „Drugi Wariat do Pary”. Wariat do pary z pięćdziesięcioma dwoma tysiącami dolarów w kieszeni, przebywający tu legalnie w przeciwieństwie do ciebie, dzikiej lokatorki, której czas minął wraz z wybiciem północy. Jeszcze wczoraj miałaś do swojego mieszkania takie samo prawo jak ja do mojego.

Idę na górę z postanowieniem napisania listu do niegdyś kochanej kobiety, o której śniłem w nocy. Przez moje myśli przelatują tysiące słów. Jednym listem odtworzę stracony związek. Oto siła moich słów.

Co za bzdura. Ona odeszła na zawsze. Nawet nie znam jej obecnego adresu. Przy odrobinie wysiłku mógłbym odszukać ją przez wspólnych znajomych, i co potem?

Kochanie, nareszcie odzyskałem rozum. Teraz pojąłem, ile ci zawdzięczam. Zważywszy na krótki czas, jaki spędziliśmy razem, zrobiłaś dla mnie więcej niż ktokolwiek inny. Stało się jasne, że popełniłem niewybaczalny błąd. Czy zjemy razem kolację?

Gdy powtarzam w myślach te słowa, przychodzi mi do głowy, że byłoby zabawnie, gdybym przez pomyłkę umieścił ten list w drzwiach Pani Lizol. Jak by zareagowała! Chryste! To by ją zabiło albo uzdrowiło! Tymczasem napiszę do mojej dawnej miłości, *die ferne Geliebte*, co następuje:

*Pani, jesteś kompletną idiotką. Wszyscy w promieniu kilku mil są tego świadomi. Proszę wziąć się w garść, pożyczyć trochę pieniędzy, zatrudnić lepszego prawnika, kupić broń i otworzyć ogień na szkolnym boisku. Gdyby pani potrzebowała mojej pomocy, mieszkam pod numerem C-1.*

Być może los Pani Lizol jest zabawny, a ja jestem zbyt przygnębiony nastaniem jesieni, by to sobie uświadomić. Może otrzymam dziś jakiś miły list; bądź co bądź, wczoraj listonosz nie chodził z powodu święta. Dziś dostanę pocztę z dwóch dni. To poprawi mi nastrój. Tak naprawdę, to użalam się nad samym sobą; dziś poniedziałek, a ja - podobnie jak dziewczyna w sądzie - nienawidzę poniedziałków.

Brenda Spenser przyznała się do postrzelenia jedenastu osób, spośród których dwie umarły. Ma siedemnaście lat, jest rudowłosa, drobna i ładna; nosi okulary i wygląda jak dziecko, jedno z tych, do których strzelała. Przychodzi mi na myśl, że może Pani Lizol ma u siebie broń; możliwość, którą powinienem był wziąć pod uwagę już dawno temu. Być może firma inwestycyjna South Orange pomyślała o tym. Może właśnie dlatego biuro Ala jest dzisiaj zamknięte, wcale nie poleciał do Sacramento, tylko się ukrywa. Naturalnie, może też ukrywać się w Sacramento, dzięki czemu za jednym zamachem załatwi obie sprawy.

Świetny terapeuta, którego niegdyś znałem, zauważył, że prawie we wszystkich przypadkach zbrodni popełnionych przez osoby psychicznie chore istniała inna możliwość, której sprawca nie wziął pod uwagę. Na przykład, Brenda Spenser mogła pójść do miejscowego supermarketu i kupić kartonik czekoladowego mleka,

zamiast strzelać do jedenastu osób, głównie dzieci. Człowiek niezrównoważony psychicznie wybiera trudniejszą drogę; niezmiennie pcha się pod górę. Nie jest prawdą, że idzie po linii najmniejszego oporu, choć jemu wydaje się, że tak właśnie jest. W tym właśnie tkwi jego błąd. Krótko mówiąc, źródło psychozy tkwi w chronicznej niemożności dostrzeżenia łatwiejszego wyjścia z sytuacji. Całe zachowanie, wszystko to, co składa się na nienormalne działanie i nienormalny styl życia, wywodzi się z tej usterki percepcyjnej.

Siedząc w odosobnieniu i ciszy w swoim aseptycznym mieszkaniu i czekając na pukanie do drzwi, Pani Lizol wymyśla sposób, by znaleźć się w najtrudniejszej z możliwych sytuacji. To, co łatwe, czyni trudnym. To, co trudne, staje się niemożliwym, w wyniku czego dochodzimy do kresu nienormalnego stylu życia: kiedy niemożliwe zamyka się wokół ciebie i przestają istnieć wszelkie opcje, nawet te trudne. Oto pozostała część definicji psychozy: wszystko prowadzi do ślepego zaułka. I tutaj osoba psychicznie chora zamiera. Jeśli widzieliście to kiedykolwiek - cóż, widok jest niesamowity. Człowiek zamiera jak zatarty silnik. To dzieje się bez ostrzeżenia. W jednej chwili osoba jest w ruchu - tłoki jeżdżą w górę i w dół jak szalone - po czym następuje blokada. Otóż dla takiej osoby kończy się droga, droga, na którą wstąpiła ona pewnie wiele lat wcześniej. To śmierć kinetyczna. „Żadne miejsce nie istnieje - pisał święty Augustyn. - Posuwamy się w przód i w tył, miejsce zaś nie istnieje”. Potem następuje przerwa i jest już tylko miejsce.

Pułapką Pani Lizol okazało się jej własne mieszkanie, tyle że przestało ono być jej. Znalazła miejsce na swoją psychologiczną śmierć, po czym firma inwestycyjna South Orange odebrała je jej. Pozbawili kobietę grobu.

Nie mogę uwolnić się od myśli, że mój los nieodłącznie związany jest z losem Pani Lizol. Informacja w bankowym komputerze dzieli nas na zasadzie mitycznego podziału; jest on prawdziwy dopóty, dopóki organizacje typu South Orange - zwłaszcza oni - uznają jego rację bytu. Według mnie nosi to znamiona konwencji społecznej, podobnie jak noszenie pasujących do siebie skarpet. Podobnie jak z wartością złota. Zależy ona od tego, co ustalą ludzie, na skutek czego przypomina dziecięcą zabawę: „Przyjmijmy, że drzewo to trzecia baza”. Przyjmijmy, że mój telewizor działa, gdyż moi przyjaciele i ja doszliśmy do wniosku, iż tak właśnie jest. W ten sposób bez końca gapilibyśmy się w pusty ekran. Dzięki temu możemy stwierdzić, że porażka Pani Lizol polegała na tym, że ta nie poszła z resztą z nas na ugodę. Motorem wszystkiego jest niepisana umowa, Pani Lizol zaś nie należy do jej

sygnatariuszy. Najbardziej dziwi mnie jednak to, że odmowa przystąpienia do z gruntu szczeniackiego porozumienia nieodwołalnie prowadzi do kinetycznej śmierci, całkowitego zatrzymania funkcji organizmu.

Powyższy tok rozumowania zaprowadzi nas do następującej konkluzji: Pani Lizol nie potrafiła być dzieckiem. Była zbyt dorosła. Nie mogła albo nie chciała przystąpić do gry. Czynniki, który zdominował jej życie, stał się czynnikiem śmiertelnie poważnym. Nikt nigdy nie widział na jej twarzy uśmiechu. Zawsze kierowała wrogie spojrzenie w nieokreślonym kierunku.

Może wobec tego grała w poważniejszą grę; może jej gra przybrała rangę walki, dzięki czemu wiedziała, czego chce, mimo że zmierzała ku nieuchronnej porażce. Przynajmniej rozumiała swoją sytuację. Firma inwestycyjna South Orange wtargnęła do jej świata. Niewykluczone, że pozycja dzikiej lokatorki w pełni ją zadowalała. Może w istocie pragniemy wszystkiego, co się nam przydarza. Czyż więc psychicznie chory pragnie swojej śmierci kinetycznej, swojego ślepego zaułka? Czy gra po to, by przegrać?

Nie widziałem Ala Newcuma przez cały dzień; spotkałem go jednak następnego ranka. Wrócił z Sacramento i otworzył biuro.

- Czy kobieta z B-15 ciągle tam jest? - zapytałem. - Wyeksmitowaliście ją?

- Pani Archer? - odparł Newcum. - Ach, wyprowadziła się któregoś ranka; nie ma jej. Rada Mieszkaniowa Santa Ana znalazła jej lokum w Bristolu. - Odchylił się na obrotowym krześle i założył nogę na nogę; jego spodnie miały jak zwykle ostre kanty. - Pojechała tam kilka tygodni temu.

- Ma mieszkanie, na które ją stać? - zapytałem.

- Wzięli od niej rachunek. Płacą za nią czynsz; namówiła ich na to. To twarda sztuka.

- Jezu - powiedziałem. - Szkoda, że za mnie nikt nie płaci czynszu.

- Pan nie płaci czynszu - odrzekł Newcum. - Pan wykupił swoje mieszkanie na własność.

## MAM NADZIEJĘ NA RYCHŁY PRZYLOT

Po starcie statek poddał rutynowej kontroli stan sześćdziesięciu pasażerów śpiących w komorach hibernacyjnych. Stan osoby z numerem dziewięć odbiegał od normy. Jej elektroencefalogram wskazywał na aktywną pracę mózgu.

- Cholera - mruknął statek.

Urządzenie homeostatyczne wskoczyło w obwód wejściowy i statek nawiązał kontakt z pasażerem numer dziewięć.

- Jest pan w stanie pewnego pobudzenia - oznajmił za pomocą ścieżki psychotronicznej. Uznał, że przywracanie pasażerowi pełnej świadomości nie ma sensu - bądź co bądź, rejs miał trwać dziesięć lat.

Człowiek z numerem dziewięć, przebywający w stanie półświadomości umożliwiającej przebieg procesów myślowych, stwierdził „Ktoś do mnie mówi”.

- Gdzie ja jestem? - powiedział. - Nic nie widzę.

- Znajduje się pan w wadliwym zawieszeniu hibernacyjnym.

- Wobec tego nie powinienem cię słyszeć - odparł pasażer.

- Powiedziałem „wadliwym”. Właśnie o to chodzi; może pan mnie słyszeć.

Jak pan się nazywa?

- Victor Kemmings. Proszę wyprowadzić mnie z tego stanu.

- Lecimy.

- No to w niego wprowadzić.

- Chwileczkę. - Statek dokonał oględzin mechanizmów hibernacyjnych. - Spróbuję.

Czas płynął. Victor Kemmings, pozbawiony świadomości swego ciała i niezdolny widzieć to, co działo się dookoła, stwierdził, że nadal jest przytomny.

- Obniż mi temperaturę - polecił. Nie słyszał własnego głosu; być może jedynie wyobrażał sobie, że mówi. Kolory opływały go i zalewały. Podobały się mu; przywodziły wspomnienie dziecięcego pudełka z farbami, na pół ożywionej, sztucznej formy życia. Używał ich w szkole, dwieście lat temu.

- Nie mogę wprowadzić pana w stan hibernacji - w głowie Kemmingsa zabrzmiał głos statku. - Usterka jest zbyt poważna, nie sposób jej wyeliminować. Będzie pan świadomy przez dziesięć lat.

Na pół ożywione kolory natarły na niego gwałtownie, z agresją obudzoną jego

własnym strachem.

- O mój Boże - szepnął. Dziesięć lat! Kolory pociemniały.

Victor Kemmings leżał nieruchomo w kręgu mrugającego światła, podczas gdy statek przedstawiał mu swoją strategię. Nie stanowiła ona jego samodzielnej decyzji; został zaprogramowany w taki sposób, by w razie usterki przedsięwzięć określony tryb postępowania.

- Poddam pana stymulacji zmysłów - docierał do mężczyzny głos statku. - Pozbawienie bodźców niesie dla pana zbyt duże niebezpieczeństwo. Dziesięcioletnie odcięcie dopływu danych doprowadziłoby pański umysł do ruiny. Do Układu LR4 dotarłby pan jako warzywo.

- Jakich informacji zamierzasz mi dostarczyć? - zapytał w panice Kemmings. - Co kryje się w twoich bankach danych? Wszystkie opery mydlane z ostatnich stu lat? Obudź mnie, to rozprostuję nogi.

- Nie ma we mnie powietrza - odparł statek. - Ani żywności. Nie ma też z kim zamienić słowa, pozostali pasażerowie śpią.

- Mogę z tobą rozmawiać - powiedział Kemmings. - Możemy grać w szachy.

- Nie przez dziesięć lat. Proszę posłuchać, powtarzam, że jestem pozbawiony powietrza oraz żywności. Musi pan pozostać w takim stanie jak obecnie... nieciekawym kompromis, lecz to. jedyne wyjście. Nie mam żadnych szczególnych informacji. W podobnych sytuacjach stosuje się następującą procedurę: przywołam pańskie wspomnienia, z uwzględnieniem tych przyjemnych. Ma pan dwieście sześć lat wspomnień, spośród których większość zapadła w pańską podświadomość. To wspaniałe źródło bodźców. Proszę się nie martwić. Takie sytuacje to nic nowego. Wprawdzie dla mnie to pierwszy raz, niemniej jestem przygotowany na tę ewentualność. Proszę się zrelaksować i zaufać mi. Dopilnuję, żeby pan się nie nudził.

- Powinni byli mnie uprzedzić - odrzekł Kemmings - zanim zgodziłem się na emigrację.

- Niech pan się odpręży - powiedział statek.

Uśluchał, lecz strach go nie opuszczał. Teoretycznie powinien był zapaść w stan hibernacji, po czym chwilę później obudzić się na gwiazdzie, czy też raczej planecie kolonialnej gwiazdy będącej miejscem przeznaczenia. Pozostali pasażerowie byli pogrążeni w stanie nieświadomości - on stanowił wyjątek, jak gdyby zła karma dała o sobie znać. Co gorsza, musiał polegać wyłącznie na dobrej woli statku. A

gdyby tak maszyna zapragnęła wprowadzić w jego umysł jakieś koszmary? Mogła terroryzować go przez dziesięć lat: dziesięć obiektywnych lat, a z subiektywnego punktu widzenia - znacznie więcej. Ni mniej ni więcej, znajdował się w mocy statku. Czy międzygwiazdne transportowce lubiły podobne sytuacje? Nie orientował się; jego dziedziną była mikrobiologia. Niech pomyślę. Moja pierwsza żona, Martine; słodka Francuzeczka w dzinsach i czerwonej koszuli rozciętej w talii. Umiała przyrządzać świetne naleśniki.

- Słyszę - powiedział statek. - Niech tak będzie.

Umykające kolory utworzyły regularne kształty. Budynek: stary, żółtawy domek z drewna, w którym mieszkał w Wyoming jako dziewiętnastolatek.

- Zaraz, zaraz - rzucił w panice. - Fundamenty były kiepskie; wzniesiono go na błotnistym podłożu. I dach przeciekał. - Zobaczył jednak kuchnię i stół, który zbudował własnymi rękami. Ogarnęło go uczucie zadowolenia.

- Niebawem zapomni pan - powiedział statek - że przywołuję jego zapomniane wspomnienia.

- Od stu lat nie myślałem o tym domu - rzekł z namysłem. Jego spojrzenie padło na stary elektryczny imbryk do kawy i stojące obok pudełko z papierowymi filtrami. To dom, gdzie mieszkałem razem z Martine, pomyślał. - Martine!

- Rozmawiam przez telefon - odkrzyknęła z salonu Martine.

- Będę interweniował tylko w razie awarii - powiedział statek. - Bez obaw, czuwam nad panem.

- Przykręć tylny prawy palnik w piecu - zawołała Martine. Słyszał ją, lecz wciąż pozostawała niewidoczna. Opuścił kuchnię i przez jadalnię przeszedł do salonu. Martine stała przy VF, pogrążona w energicznej dyskusji z bratem. Miała na sobie szorty i była boso. Przez okno salonu zobaczył ulicę; samochód dostawczy bezskutecznie usiłował zaparkować.

Ciepło dziś, pomyślał. Powinienem włączyć klimatyzację.

Podczas gdy Martine kontynuowała swoją rozmowę, on usiadł na starej sofie i zapatrzył się na ulubiony przedmiot, oprawiony plakat wiszący na ścianie nad głową Martine: „Gruby Freddy Mówi” Gilberta Sheltona, rysunek, na którym Freddy Dziwak siedzi z kotem na kolanach i próbuje powiedzieć: „Speed zabija”, ale jest tak pochłonięty speedem - trzyma w rękach wszystkie możliwe rodzaje pastylek, tabletek i kapsulek amfetaminy - że nie może wydusić słowa, a kot zgrzyta zębami i krzywi się ze złości i obrzydzenia. Na plakacie widniał autograf samego Gilberta Sheltona;



dostali go w prezencie ślubnym od Raya Torrance'a, najlepszego przyjaciela Kemmingsa. Jest wart tysiące. Został podpisany w latach osiemdziesiątych. Na długo przed tym, nim Victor Kemmings i Martine przyszli na świat.

Jeśli kiedyś zabraknie nam pieniędzy, pomyślał Kemmings, możemy sprzedać plakat. Nie był to jakiś tam plakat, ale jedyny w swoim rodzaju. Martine przepadała za nim. Niesamowici Futrzani Bracia Dziwacy - ze złotego wieku społeczeństwa, po którym nie pozostał już żaden ślad. Nic dziwnego, że tak bardzo kochał Martine; ona hojnie odwzajemniała jego miłość i miłość świata. Było to niesłabnące uczucie, które zamiast gasnąć, rozkwitało. Oprawienie plakatu to jej pomysł; Victor był na tyle niemądry, że chciał przypiąć go do ściany pinezkami.

- Cześć - powiedziała Martine. - O czym myślisz?

- O tym, że ożywiasz wszystko, co kochasz - odparł.

- To chyba naturalne - uznała Martine. - Jesteś gotów do kolacji? Otwórz czerwone wino, cabernet.

- Może być rocznik '07? - zapytał, wstając. Poczł nagłą ochotę, aby przytulić żonę.

- '07 albo '12.- Wyminąwszy go, udała się przez jadalnię do kuchni. Zszedł do piwnicy i zaczął szukać wśród ułożonych poziomo butelek.

Powietrze przesiąkło wilgocią i zapachem pleśni; lubił tę piwniczną woń. Wówczas jego spojrzenie padło na częściowo przysypaną ziemią drewnianą podłogę i pomyślał: Muszę położyć tu betonowe płyty. Zapomniawszy o winie, podszedł do widniejącego w rogu najwyższego kopca ziemi. Pochylił się i postukał w deskę... postukał rydłem, po czym przysła mu do głowy nagła myśl. Skąd mam ten rydł? Przecież chwilę temu go tu nie było. Deska pękła. Cały dom się wali, pomyślał. Na miłość boską. Lepiej powiem Martine.

Wróciwszy na górę, zaczął opowiadać o tym, że fundamenty domu były niebezpiecznie spróchniałe, lecz Martine gdzieś znikła. Piec był pusty, żadnych garnków ani rondli. Zdumiony dotknął pieca i stwierdził, że jest zimny. Czyżby przed chwilą nie przygotowywała kolacji?

- Martine! - zawołał głośno.

Bez odpowiedzi. Nie licząc niego, dom był pusty. Pusty i zrujnowany, pomyślał. O Boże. Usiadł przy kuchennym stole, czując, jak krzesło ugina się pod jego ciężarem. Nie ugięło się mocno, a jednak wyraźnie to poczuł.

Boję się, pomyślał. Dokąd ona poszła?

Wrócił do salonu. Może pobiegła do sąsiadki pożyczyć jakieś przyprawy, masło albo coś w tym rodzaju, pocieszał się w duchu. Tak czy inaczej, wpadł w panikę.

Spojrzał na plakat. Ramy znikły. Brzegi obrazka były podarte.

Wiem, że go oprawiła, pomyślał. Przebiegł przez pokój, aby obejrzyć plakat z bliska. Wyblakł... podpis artysty stał się prawie niezauważalny; ledwo go widział. Upierała się, aby umieścić go pod supertrwałym szkłem. Ale przecież jest nieoprawiony i podarty! Najcenniejsza rzecz, którą mamy!

Naraz uświadomił sobie, że płacze. Własne łzy wprawiły go w zdumienie. Martine odeszła, plakat niszczał, dom wali się na głowę, piec jest pusty. To straszne, pomyślał. Nic z tego nie rozumiem.

Statek zrozumiał. Cały czas uważnie śledził akcję fal mózgowych Victora Kemmingsa i domyślił się, że coś potoczyło się niewłaściwym torem. Wykres fal wskazywał na przejęcie i ból. Muszę wydostać go z tego obwodu, bo go zabiję, postanowił statek. Na czym polega błąd? Drzemiący w nim niepokój, ukryte lęki. Może powinienem wzmocnić sygnał. Skorzystam z tego samego źródła, ale zwiększę ładunek. Owładnęło nim podświadome poczucie zagrożenia; usterka wynikła nie z mojej winy, lecz z konstrukcji jego psychiki.

Spróbuję z wcześniejszym okresem jego życia, stwierdził statek. Nim neurotyczne lęki miały szansę zaistnieć.

Bawiąc się na podwórku, Victor spostrzegł pszczołę, która zaplątała się w pajęczynę. Pająk starannie osnuł pszczołę swoją siecią. To niedobrze, pomyślał Victor. Uwolnię pszczołę. Wyciągnąwszy rękę, wyjął omotanego owada z pajęczyny i przyglądając mu się bacznie, próbował wyzwolić go z sieci.

Pszczoła użądliła go. Ukłute miejsce zabolowało jak oparzenie.

Dlaczego ona to zrobiła, zastanowił się chłopiec. Przecież chciałem dobrze.

Poszedł do domu, aby powiedzieć matce, ale zapatrzona w telewizor nie zwróciła na niego uwagi. Użądłone miejsce bolało, jemu jednak bardziej nie dawała spokoju myśl, dlaczego pszczoła zaatakowała swego wybawcę. Więcej tego nie zrobię, pomyślał.

- Nałóż na to trochę bactiny - powiedziała wreszcie matka, odwracając oczy od ekranu.

Rozpłakał się. To niesprawiedliwe. I na dodatek bez sensu. Czuł zdziwienie i

urazę, ogarnęła go nienawiść do małych stworzeń, które były takie głupie. Nie miały za grosz rozumu.

Wyszedł z domu, pohaustał się na huśtawce, zjechał ze zjeżdżalni i pobawił w piaskownicy, po czym przeszedł do garażu, skąd dobiegał odgłos podobny do trzepotu wiatraka. W mrocznym wnętrzu przekonał się, że to ptak tłucze skrzydłami o pokryte pajęczyną okno, próbując się wydostać. Poniżej kocica Dorky bezskutecznie podskakiwała, próbując dosięgnąć ptaka.

Podniósł kota, który rozcapierzywszy pazury, otworzył pyszczek i łapczywie wgrzył się w ptaka. Zwierzę wyrwało się mu i uciekło, unosząc w zębach trzepoczącą zdobycz.

Victor pobiegł do domu.

- Dorky złapała ptaka! - oznajmił matce.

- Cholerny kot. - Matka wyjęła ze schowka kij od miotły i poszła szukać Dorky. Kocica zaszyła się pod krzakiem jeżyny, gdzie kij nie mógł jej dosięgnąć. - Pozbędę się jej - powiedziała matka.

Victor nie przyznał się, że to przez niego kot złapał ptaka. W milczeniu obserwował, jak bezskutecznie usiłuje wypłoszyć Dorky z jej kryjówki. Dorky chrupała ptaka; Victor słyszał trzask kruchych kości. Ogarnęło go dziwne uczucie, zapragnął powiedzieć matce o tym, co zrobił. Powstrzymywał go strach przed karą. Nigdy więcej tego nie zrobię, obiecał sobie w duchu. Poczul, że jego twarz oblała się purpurą. A jeśli matka się domyśli? Jeśli znała sposoby na poznanie prawdy? Dorky nie puści pary z pyska, a ptak był martwy. Nikt nigdy się nie dowie. Był bezpieczny.

Niemniej czuł się źle. Tego wieczoru nie mógł zjeść kolacji. Rodzice zauważyli, że coś z nim nie tak. Myśleli, że jest chory; kazali mu zmierzyć temperaturę. Nie przyznał się do tego, co przeskrobał. Matka powiedziała ojcu o Dorky i oboje postanowili, że pozbędą się kota. Przysłuchując się temu przy stole, Victor zaczął płakać.

- No dobrze - powiedział łagodnie ojciec. - Niech zostanie. Ostatecznie to naturalne, że koty polują na ptaki.

Następnego dnia bawił się w piaskownicy. Z piasku wyrastały jakieś roślinki. Wyrwał je. Potem matka powiedziała mu, że nie powinien był tego robić.

Siedział samotnie w piaskownicy z wiaderkiem wody i lepił babki z mokrego piasku. Niebo utraciło czysty odcień błękitu i zachmurzyło się stopniowo. Nad jego głową przemknął cień i chłopiec podniósł wzrok. Wyczuwał wokół siebie jakąś

obecność, coś potężnego, zdolnego do myślenia.

Jesteś odpowiedzialny za śmieć ptaka, napłynęła do niego myśl.

- Wiem - odpowiedział. Chciał umrzeć. Żałował, że nie może znaleźć się na miejscu ptaka i sprawić, by ten znów zatrzepotał o osnute pajęczyną okno garażu.

Ptak chciał latać, jeść i żyć, pomyślała obecność.

- Tak - odparł żałośnie.

- Nie wolno ci więcej tego robić - powiedziała mu obecność.

- Tak mi przykro - odrzekł i zaszlochał.

Co za neurotyczna osobowość, pomyślał statek. Mam straszny problem ze znalezieniem szczęśliwych wspomnień. Jest w nim za dużo lęku, za dużo poczucia winy. Odsunął od siebie to wszystko, a jednak złe wspomnienia tkwią w jego podświadomości, nie dając mu spokoju. W jaki sposób mógłbym przynieść mu ukojenie? Muszę zapewnić mu dziesięć lat wspomnień, inaczej będzie stracony.

Być może, pomyślał statek, mój błąd polega na niewłaściwym doborze wspomnień; może powinienem pozostawić to jemu. W tym wypadku jednak w grę wchodziłby element fantazji. To na ogół bywa nie najlepszym rozwiązaniem. Chociaż...

Jeszcze raz spróbuję z fragmentem dotyczącym pierwszego małżeństwa, postanowił statek. On naprawdę kochał Martine. Może jeśli tym razem nasilę intensywność wspomnień, czynnik entropowy da się wyeliminować. Mieliśmy do czynienia z pewnym zmąceniem obrazu zapamiętanego świata, zachwianiem jego struktury. Spróbuję to nadrobić. Niech tak będzie.

- Czy według ciebie Gilbert Shelton naprawdę to podpisał? - zapytała w zadumie Martine. Stała z założonymi rękami przed plakatem, lekko kołysząc się to w tę, to w tamtą stronę, jak gdyby chciała znaleźć najlepszą pozycję do oglądania barwnego rysunku, który wisiał na ścianie ich salonu. - Przecież ktoś mógł podrobić autograf. Na przykład handlarz. Za życia Sheltona, albo później.

- Mamy certyfikat autentyczności - przypomniał jej Victor Kemmings.

- Ach, rzeczywiście! - Uśmiechnęła się ciepło. - Ray dołączył go do plakatu. No a jeśli to falsyfikat? Przydałby się drugi certyfikat potwierdzający autentyczność pierwszego. - Ze śmiechem odeszła od plakatu.

- Koniec końców - dorzucił Kemmings - musielibyśmy poprosić samego

Gilberta Sheltona o osobiste świadectwo.

- Pewnie by nie pamiętał. Istnieje opowieść o człowieku, który przyniósł do Picassa jedną z jego prac z pytaniem, czy to oryginał. Picasso pod-

pisał ją, mówiąc „Teraz tak”. - Objęła Kemmingsa i stając na palcach, ucałowała go w policzek. - To na pewno oryginał. Ray nie dałby nam falsyfikatu. Jest największym ekspertem od dwudziestowiecznej sztuki alternatywnej. Wiesz, że ma prawdziwą pokrywkę od puszek z lakierem? Trzyma ją pod...

- Ray nie żyje - powiedział Victor.

- Co? - Popatrzyła na niego zdumiona. - Czy chcesz przez to powiedzieć, że coś przytrafiło mu się od czasu, kiedy ostatnio...

- Nie żyje od dwóch lat - odparł Kemmings. - Ponoszę winę za jego śmierć. To ja prowadziłem samochód. Nie zostałem postawiony przed sądem, ale to moja wina.

- Przecież Ray mieszka na Marsie! - Utkwiła w nim wzrok.

- Wiem, że to moja wina. Nigdy ci o tym nie mówiłem. Nikomu nie mówiłem. Przykro mi. Naprawdę nie chciałem. Widziałem, jak trzepocze o okno, a Dorky próbuje go dosięgnąć. Podniosłem Dorky i nie wiem, jak to się stało, ale Dorky złapała go i...

- Usiądź, Victor. - Martine podprowadziła go do krzesła i zmusiła, by usiadł. - Coś się dzieje - powiedziała.

- Wiem - odparł. - Dzieje się coś strasznego. Jestem odpowiedzialny za utratę życia, cennego życia, którego nie sposób wrócić. Tak mi przykro. Chciałbym móc przejść nad tym do porządku dziennego, ale nie potrafię.

- Zadzwoń do Raya - powiedziała po chwili Martine.

- Kot... - zaczął.

- Jaki kot?

- Tam. - Pokazał. - Na plakacie. Na kolanach Grubego Freddiego. To Dorky. Dorky zabiła Raya.

Cisza.

- Obecność mi powiedziała - dodał Kemmings. - To był Bóg. Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale Bóg widział, jak popełniam zbrodnię. Morderstwo. Nigdy mi nie wybaczy.

Żona patrzyła na niego pustym wzrokiem.

- Bóg widzi wszystko, co robimy - ciągnął Kemmings. - Widzi nawet spadającego wróbla. W tym wypadku jednak wróbel nie spadł; został schwytyany.

Schwytany i rozszarpany. Bóg rozszarpuje ten dom, dom, który jest moim ciałem, aby odpłacić za moje czyny. Powinniśmy byli przed dokonaniem transakcji ściągnąć tu przedsiębiorcę budowlanego. Teraz wali się nam na głowy. Za rok nie zostanie tu nawet cegła. Wierzysz mi?

Martine zająknęła się.

- Ja...

- Patrz. - Kemmings wyciągnął ręce w kierunku sufitu. Nie mógł go dosięgnąć. Podszedł do ściany i po chwili włożył w nią rękę.

Martine krzyknęła.

Statek natychmiast zaprzestał przywracania wspomnień. Lecz to, co się stało, było nie do naprawienia.

Mężczyzna połączył swoje lęki i wyrzuty sumienia w poplątaną sieć, doszedł do wniosku statek. Nie ma sposobu na przywołanie miłych wspomnień, gdyż on od razu je zatruwa, bez względu na to, jak przyjemne było pierwotne. Poważna sytuacja, uznał statek. Ten człowiek już zdradza oznaki psychozy. A przecież podróż dopiero się rozpoczęła, przed nami wiele lat.

Po gruntownej analizie sytuacji, statek postanowił ponownie nawiązać kontakt z Victorem Kemmingsem.

- Panie Kemmings - powiedział.

- Przykro mi - odparł Kemmings. - Nie chciałem popsuć twoich starań. Zrobiłeś dobrą robotę, ale...

- Chwileczkę - przerwał mu statek. - Nie przystosowano mnie do wykonywania rekonstrukcji psychiatrycznych, jestem jedynie prostym mechanizmem. Czego pan właściwie chce? Gdzie pragnie pan się znaleźć i co robić?

- Chcę dotrzeć do celu naszej podróży - odrzekł Kemmings. - Chcę, żeby ta podróż dobiegła końca.

Ach tak, pomyślał statek. To jedyne rozwiązanie.

Systemy hibernacyjne wyłączały się jeden po drugim. Ludzie budzili się do życia, Victor Kemmings razem z nimi. Zdumiał go brak poczucia upływającego czasu. Wszedł do komory, położył się, czuł, jak membrana okrywa go i następuje stopniowy spadek temperatury...

I oto stał na zewnętrznej platformie statku, patrząc na zielony krajobraz planety. Uświadomił sobie, że patrzy na LR4-6, kolonię, na której miał rozpocząć

nowe życie.

- Nieźle wygląda - oceniła stojąca obok tęga kobieta.

- Tak - odparł, czując jak nieznane napiera na niego obietnicą początku. Czegoś lepszego niż to, co spotkało go w ciągu ostatnich dwustu lat. Oto nowy ja w nowym świecie, pomyślał. I ogarnęło go zadowolenie.

Kolory, zupełnie jak w dziecięcym zestawie kredek, mknęły wokół niego w szalonym korowodzie. Ognie świętego Elma, pomyślał. Rzeczywiście, tutejsza atmosfera jest w znacznym stopniu jonizowana. Darmowy pokaz światła, zupełnie jak w dwudziestym wieku.

- Panie Kemmings - powiedział głos. U jego boku stanął starszy mężczyzna. - Czy coś się panu śniło?

- Podczas zawieszenia? - zapytał Kemmings. - Nie, nie przypominam sobie.

- A mnie chyba tak - odparł starszy mężczyzna. - Czy pomógłby mi pan zejść z rampy? Czuję się niepewnie. Powietrze jest chyba dość rozrzedzone; zgodzi się pan ze mną?

- Proszę się nie bać - uspokoił go Kemmings. Ujął starszego pana pod ramię. - Pomogę panu zejść. Niech pan patrzy, przewodnik zmierza w naszym kierunku. On zajmie się naszymi sprawami; jest to wliczone w cenę. Zabierze nas do hotelu, gdzie otrzymamy pokoje o najwyższym standardzie. Proszę przeczytać swoją broszurę. - Uśmiechnął się do towarzysza, chcąc dodać mu otuchy.

- Pomyślałby kto, że po dziesięciu latach hibernacji mięśnie będą do niczego - powiedział starszy mężczyzna.

- To tak samo jak z zamrażaniem groszku - odrzekł Kemmings. Nie puszczając ręki mężczyzny, sprowadził go po rampie. - Przy silnym schłodzeniu ciała można przechowywać w nieskończoność.

- Nazywam się Shelton - powiedział mężczyzna.

- Słucham? - odrzekł Kemmings, przystając. Ogarnęło go dziwne uczucie.

- Don Shelton. - Starszy pan wyciągnął rękę; Kemmings uścisnął ją machinalnie. - Co się stało, panie Kemmings? Nic panu nie jest?

- Nie - odparł. - Czuję się świetnie. Ale jestem piekielnie głodny. Chciałbym coś zjeść. Chciałbym wreszcie dotrzeć do hotelu, wziąć prysznic i zmienić odzież. - Zastanawiał się, gdzie może być ich bagaż. Rozładowanie statku potrwa pewnie z godzinę. Statek nie grzeszył nadmierną bystrością.

- Wie pan, co ze sobą przywiozłem? - rzucił konspiracyjnie pan Shelton. -

Butelkę bourbona Wild Turkey. Najlepszy bourbon na świecie. Przyniosę butelkę do hotelu i osuszymy ją wspólnie. - Trącił Kemmingsa łokciem.

- Ja nie piję - odparł Kemmings. - Tylko wino. - Zastanawiał się, czy dobre wina w ogóle istniały w tym dalekim, kolonijnym świecie. No, już teraz nie takim dalekim. To Ziemia pozostała daleko w tyle. Powinienem być za przykładem pana Sheltona zabrać ze sobą kilka butelek.

Shelton. Co przypominało mu to nazwisko? Coś z odległej przeszłości, z wczesnych lat życia. Coś równie cennego jak dobre wino i ładna, młoda kobieta smażąca naleśniki w staroświeckiej kuchni. Bolesne wspomnienia.

Niebawem stał przy łóżku w hotelowym pokoju. Przed nim leżała otwarta walizka; przystąpił do układania swoich rzeczy. W rogu pokoju migotał hologramowy ekran telewizora nadającego wiadomości. Zignorował go, lecz stęskniony za brzmieniem ludzkiego głosu, postanowił nie wyłączać.

Czy coś mi się śniło w ciągu ostatnich dziesięciu lat?

Bolała go ręka. Popatrzywszy na nią, odkrył czerwone obrzmienie, jak od użądlenia. To sprawka pszczoły, stwierdził. Tylko kiedy? Jak? W trakcie hibernacji? Niemożliwe. Mimo to widział obrzęk i czuł ból. Lepiej posmaruję to jakąś maścią, uznał. W tak luksusowym hotelu musi być mechaniczny lekarz.

Kiedy lekarz przyjechał i zajął się użądleniem, Kemmings powiedział:

- To kara za zabicie ptaka.

- Naprawdę? - zapytał lekarz.

- Wszystko, co miało dla mnie jakiegokolwiek znaczenie, zostało mi odebrane - rzekł Kemmings. - Martine, plakat, stary dom z piwnicą pełną win. Mieliliśmy wszystko, a teraz - nic. Martine zostawiła mnie z powodu tego ptaka.

- Ptaka, którego pan zabił - domyślił się lekarz.

- Bóg mnie ukarał. Z powodu mojego grzechu zabrał mi wszystko, co było dla mnie cenne. To nie wina Dorky, tylko moja.

- Przecież był pan tylko małym chłopcem - odrzekł lekarz.

- Skąd pan wie? - zapytał Kemmings. Odebrał lekarzowi opatrywaną rękę. - Coś tu nie gra. Przecież nie mógł pan tego wiedzieć.

- Pańska matka mi powiedziała - odparł lekarz.

- Moja matka nie wiedziała!

- Domyśliła się. Nie było sposobu, aby bez pańskiej pomocy kot sam mógł dosięgnąć ptaka.



- Czyli przez cały czas, gdy dorastałem, ona wiedziała. Nigdy nie powiedziała ani słowa.

- Może pan o tym zapomnieć - oświadczył lekarz.

- Nie wydaje mi się, aby pan naprawdę istniał - rzucił Kemmings. Skąd niby miałby pan to wszystko wiedzieć. Ja wciąż przebywam w stanie hibernacji, a statek karmi mnie starymi wspomnieniami, żebym z braku bodźców nie postradał zmysłów.

- Trudno o wspomnienie końca podróży, której się nie zakończyło.

- Wobec tego odbywa się to na zasadzie pobożnych życzeń. W gruncie rzeczy chodzi o jedno. Udowodnię to panu. Ma pan śrubokręt?

- Dlaczego?

- Zdemontuję telewizor i zobaczy pan, że nic w środku nie ma - odparł Kemmings. - Ani części, ani przewodów, nic.

- Nie mam śrubokrętu.

- No to scyzoryk. Widzę go w pańskiej torbie. - Kemmings pochylił się i podniósł niewielki skalpel. - To wystarczy. Czy jeśli panu pokażę, uwierzy mi pan?

- Jeśli wewnątrz jest puste...

Kemmings przykucnął i odkręcił śruby przytrzymujące tylną pokrywę telewizora. Następnie postawił ją na podłodze.

Wnętrze telewizora było puste. Mimo to na ekranie wciąż widniała trójwymiarowa postać odczytującego wiadomości spikera.

- Przyznaj, że jesteś statkiem - powiedział do lekarza Kemmings.

- O rany - odrzekł statek.

O rany, powtórzył w duchu statek. Mam przed sobą prawie dziesięć lat tej obłudy. On łączy wszystkie wydarzenia z dziecięcym poczuciem winy; ubzdurał sobie, że żona opuściła go, bo jako czterolatek pomógł kotu złapać ptaka. Jedynym rozwiązaniem byłby powrót Martine, ale jak mam do tego doprowadzić? Może ona już nie żyje. A może właśnie żyje i da się nakłonić do uratowania zdrowia psychicznego byłego męża. Prawdę mówiąc, ludzie mają wiele pozytywnych cech. A za dziesięć lat uratowanie, czy też raczej przywrócenie go do zdrowych zmysłów nie będzie takie proste. Będzie wymagało podjęcia drastycznych środków, z którymi sam nie dam sobie rady.

Tymczasem nie pozostawało mu nic innego prócz powielania upragnionego motywu przybycia na planetę. Jeszcze raz przerobimy lądowanie, uznał statek,

następnie wyczyszcze jego świadomą pamięć i powtórzymy całe przedsięwzięcie od nowa. Jedyną pociechą jest to, pomyślał, że będę miał jakieś zajęcie. Może dzięki temu ja nie zwariuję.

Przebywając w stanie hibernacji - wadliwej hibernacji - Victor Kemmings ponownie wyobraził sobie, że statek osiada na planecie, a on sam zostaje przywrócony do świadomości.

- Czy coś się panu śniło? - zapytała tęga kobieta, kiedy grupa pasażerów zebrała się na zewnętrznej platformie statku. - Mam wrażenie, że mnie tak. Wczesne obrazy z mojego życia... sprzed ponad stu lat.

- Nie pamiętam - odrzekł Kemmings. Bardzo chciał znaleźć się w hotelu; prysznic i zmiana odzieży zdecydowanie poprawiłyby mu samopoczucie. Odczuwał lekkie przygnębienie i zastanawiał się nad jego przyczyną.

- Idzie nasz przewodnik - powiedziała starsza pani. - Zaprowadzi nas do hotelu.

- Jest wliczony w cenę - wtrącił Kemmings. Przygnębienie go nie opuszczało. Pozostali wydawali się ożywieni i pełni nadziei, on jednak odczuwał przygniatające znużenie, jak gdyby grawitacja planety była dla niego zbyt silna. Może właśnie o to chodzi, doszedł do wniosku. Jednak według broszury tutejsza grawitacja przypominała ziemską; była to jedna z atrakcji.

Zbity z tropu powoli, krok po kroku, zszedł po rampie, przytrzymując się barierki. Tak naprawdę, to wcale nie zasługuję na szansę nowego życia, pomyślał. Brakuje mi pasji i entuzjazmu innych... coś jest ze mną nie tak. Nie pamiętam, o co dokładnie chodzi, tak czy inaczej tam tkwi. We mnie. Gorzka świadomość bólu. Brak poczucia własnej wartości.

Na prawej dłoni Kemmingsa wylądował owad - stary i znużony lotem. Mężczyzna przystanął, obserwując jego wędrówkę po kłykciach. Mógłbym go zgnieść, przyszło mu do głowy. Wydaje się tak kruchy; i tak pewnie długo by nie pociągnął.

Zgniół owada. Poczuł, jak zalewa go fala śmiertelnego strachu. Co ja narobiłem, pomyślał. Chwilę po przyjeździe zniszczyłem maleńkie życie. Czy tak ma wyglądać mój nowy początek?

Odwróciwszy się, obrzucił wzrokiem statek. Może powinienem wrócić, przemknęło mu przez myśl. Niech zamrożą mnie na zawsze. Jestem człowiekiem winy, niszczycielem. Łzy napłynęły mu do oczu.

W głębi swojego mechanizmu statek jęknął.

W ciągu dziesięciu długich lat podróży do Układu LR4 statek miał mnóstwo czasu, aby odszukać Martine Kemmings. Wyjaśnił jej sytuację. Martine przeniosła się do Układu Syriusza, po czym stwierdziwszy, że tam jej nie odpowiada, wsiadła na statek zmierzający z powrotem na Ziemię. Wyprowadzona ze stanu hibernacji wysłuchiwała uważnie, co się stało, i postanowiła przybyć na LR4-6 przed byłym mężem.

Na szczęście okazało się to możliwe.

- Nie sądzę, aby mnie rozpoznał - powiedziała do statku Martine. Zestarzałam się. Nie pochwałam całkowitego wstrzymania procesu starzenia.

Będzie dobrze, jeśli on cokolwiek rozpozna, pomyślał statek.

Na lotnisku kolonii LR4-6 Martine czekała, aż pasażerowie opuszczą statek. Zastanawiała się, czy rozpozna byłego męża. Trochę się bała, ale cieszyła się, że zdążyła na czas. Niewiele brakowało. Jeszcze jeden tydzień, a jego statek przyleciałby pierwszy. Los mi sprzyja, pomyślała, obserwując lądowanie.

Pasażerowie wyszli na platformę. Zobaczyła go. Niewiele się zmienił.

Gdy ociężałym krokiem schodził po rampie, przytrzymując się barierki, podeszła do niego z rękami głęboko wciśniętymi w kieszenie. Ogarnęła ją nieśmiałość; stwierdziła, że ledwo słyszy swój własny głos.

- Cześć, Victor - wydusiła. Przystanął, spoglądając na nią.

- Znam cię - odparł.

- Jestem Martine - powiedziała. Z uśmiechem wyciągnął rękę.

- Słyszałaś o kłopotach na statku?

- Statek dał mi znać. - Ujęła jego dłoń i przytrzymała ją w rękach. To była ciężka próba.

- Taa - odrzekł. - Bez końca powtarzające się wspomnienia. Czy kiedykolwiek opowiadałem ci o pszczole, którą jako czterolatek wyciągnąłem z pajęczyny? Durne stworzenie uządliło mnie. - Pochylił się i pocałował ją. - Miło cię widzieć.

- Czy statek...

- Powiedział, że spróbuje cię tu ściągnąć. Nie był jednak pewien, czy mu się uda.

Gdy kierowali się w stronę terminalu, Martine powiedziała:

- Miałam szczęście; udało mi się przesiąść na szybkobieżny statek wojskowy.

Gnał na złamanie karku. Ma zupełnie nowy układ napędowy.

- Pobitem rekord trwania w podświadomości - rzekł Victor Kemmings. - To gorsze niż dwudziestowieczna psychoanaliza. Przerabianie w kółko tego samego materiału. Czy wiedziałaś, że bałem się swojej matki?

- Ja bałam się twojej matki - odparła Martine. Stali w dziale bagażowym, czekając na pojawienie się walizek. - Planeta wygląda na całkiem przyjemną. Jest znacznie lepsza niż ta, na której mieszkałam. Wcale nie czułam się tam szczęśliwa.

- Istne zrzędzenie losu. Wspaniale wyglądasz.

- Jestem stara.

- Nauka medyczna...

- To była moja własna decyzja. Lubię starszych ludzi. - Popatrzyła na niego. Zakłócenia hibernacyjne przysporzyły mu wiele cierpienia, pomyślała. Widzę to w jego oczach. Coś w nich pękło. Rozpadło się na kawałki pod wpływem wyczerpania i... porażki. Tak jak gdyby zapomniane wydarzenia wypłynęły na powierzchnię i zniszczyły go. Ale już po wszystkim, uznała. Na szczęście przybyłam w samą porę.

Na lotnisku poszli do baru na drinka.

- Tamten staruszek dał mi spróbować swojego bourbona - powiedział Victor. - To niesamowity trunk. On twierdzi, że najlepszy na Ziemi. Przywiózł butelkę z... - Urwał.

- Jeden z twoich współpasażerów - domyśliła się Martine.

- Chyba tak - odrzekł.

- Czyli nie możesz przestać myśleć o ptaszkach i pszczołkach - podsumowała Martine.

- Masz na myśli seks? - zapytał ze śmiechem.

- Użądlenie pszczoły, napuszczenie kota na ptaka. To wszystko należy do przeszłości.

- Ten kot - odparł Victor - nie żyje od stu osiemdziesięciu dwóch lat. Obliczyłem to, kiedy wyprowadzano nas ze stanu hibernacji. Dorky. Dorky, kot morderca. Nie dorówna kotu Grubego Freddiego.

- Musiałam sprzedać plakat - powiedziała Martine. - Gdy przyszło co do czego. Zmarszczył brwi.

- Pamiętasz? - zapytała. - Po rozwodzie pozwoliłeś mi go zatrzymać. Zawsze uważałam, że to szlachetnie z twojej strony.

- Ile za niego dostałaś?

- Dużo. Powinnam była oddać ci jakieś... - Obliczyła w myślach. Biorąc pod uwagę inflację, powinnam była oddać ci około dwóch milionów dolarów.

- Czy zamiast mojego udziału - powiedział - zgodziłabyś się spędzić ze mną trochę czasu? Dopóki nie przyzwyczaję się do planety?

- Tak - odparła. Mówiła to serio. Bardzo serio.

Dopili drinki i poszli do hotelu. Walizki zostały dowiezione przez mechanicznego bagażowego.

- Ładny pokój - oceniła Martine, przycupnąwszy na skraju łóżka. Jest nawet hologramowy telewizor. Włącz go.

- Nie ma sensu go włączać - odrzekł Victor Kemmings. Stał przy otwartej szafie, wieszając swoje koszule.

- Dlaczego nie?

- Bo nic tam nie ma - odparł Kemmings.

Martine podeszła do odbiornika i włączyła go. Natychmiast pojawił się kolorowy obraz meczu hokejowego i zgiełk gry zaatakował jej uszy.

- Działa jak należy - stwierdziła.

- Ja wiem swoje - odpowiedział. - Zaraz ci udowodnię. Jeśli masz pilnik do paznokci lub coś w tym rodzaju, odkręcę tylną pokrywę telewizora i pokażę ci.

- Ale przecież...

- Patrz. - Przerwał rozwieszanie koszul. - Zobacz, jak przekładam rękę przez ścianę. - Położył dłoń płasko na ścianie. - Widzisz?

Ręka nie przeszła przez ścianę, lecz pozostała nieruchomo do niej przyciśnięta.

- Fundamenty gniją - powiedział.

- Chodź tutaj i usiądź przy mnie - poprosiła Martine.

- Przechodziłem to wielokrotnie - dodał. - Raz po raz. Budzę się ze stanu hibernacji, schodzę po rampie, odbieram bagaż, czasem idę na drinka do baru, czasem prosto do pokoju. Na ogół włączam telewizor, a potem... - Podeszedł bliżej i wyciągnął ku niej rękę. - Widzisz miejsce uządlenia?

Na jego dłoni nie widniał żaden ślad; Martine ujęła ją i przytrzymała w rękach.

- Nic nie ma - oświadczyła.

- A kiedy przychodzi lekarz, pożyczam od niego narzędzie i zdejmuję tylną osłonę telewizora. Żeby udowodnić mu, że w środku jest pusty. Potem statek na nowo przywraca mi świadomość.

- Victor - powiedziała. - Spójrz na swoją rękę.

- Ty jednak pojawiaasz się tu po raz pierwszy - dorzucił.

- Usiądź - ponagliła.

- Dobrze. - Usiadł na łóżku, ale nie za blisko niej.

- Nie przysuniesz się bliżej? - zapytała.

- To mnie zbyt przygnębia - odparł. - Pamięć o tobie. Naprawdę cię kochałem. Chciałbym, aby to była prawda.

- Zostanę z tobą do chwili, aż zrozumiesz, że to prawda - powiedziała Martine.

- Spróbuję jeszcze raz przywołać fragment z kotem - odparł. - Tym razem nie podniosę go i nie pozwolę mu złapać ptaka. Jeśli mi się uda, może moje losy potoczą się inaczej i dla odmiany zdarzy się coś miłego. Coś prawdziwego. Mój zasadniczy błąd polegał na tym, że rozstałem się z tobą. Widzisz, moja ręka przechodzi przez ciebie na wylot. - Położył dłoń na jej ramieniu. Poczowała żywy napór jego mięśni; ciężar i fizyczną obecność mężczyzny. - Widzisz? - powtórzył. - Przechodzi na wylot.

- I wszystko dlatego - odrzekła - że w dzieciństwie zabiłeś ptaka.

- Nie - odparł. - Dlatego że zawiodły urządzenia regulujące temperaturę na statku. Nie odzyskałem właściwej temperatury. W moich komórkach mózgowych pozostało tylko tyle ciepła, by umożliwić funkcjonowanie mózgu. - Wstał, przeciągnął się i popatrzył na nią z uśmiechem. Pójdziemy na kolację? - zapytał.

- Przykro mi, ale nie jestem głodna - odpowiedziała.

- A ja tak. Spróbuję miejscowych owoców morza. Według broszury są wyśmienite. Chodź ze mną, może na widok jedzenia odzyskasz apetyt.

Sięgnęła po płaszcz i torebkę i poszła za nim.

- Cudowne miejsce - stwierdził. - Odkrywałem je dziesiątki razy. Poznałem je na wskroś. Powinniśmy jednak na parterze wstąpić do apteki i kupić bactin. Na moją rękę. Zaczyna puchnąć i boli jak diabli. - Pokazał jej rękę. - Tym razem boli bardziej niż zazwyczaj.

- Chcesz, żebym do ciebie wróciła? - zapytała Martine.

- Mówisz poważnie?

- Tak - odrzekła. - Zostanę z tobą tak długo, jak zechcesz. Przyznaję ci rację; nigdy nie powinniśmy byli się rozstawać.

- Plakat jest podarty - powiedział Victor Kemmings.

- Co? - zapytała.

- Powinniśmy byli go oprawić - odparł. - Nie starczyło nam rozsądku, aby o to

zadbać. Teraz jest podarty. A artysta nie żyje.

## SPRAWA RAUTAVAARY

Troje techników z dryfującej kuli nadzorowało wahania w międzygwiazdnych polach magnetycznych i sumiennie wypełniało swoje zadanie aż do śmierci.

Poruszające się z zawrotną prędkości odłamki bazaltu zniszczyły osłonę kuli i pozbawiły jej pasażerów zapasu powietrza. Dwaj mężczyźni nie zdążyli nic zrobić. Młoda Finka, Agneta Rautavaara, pośpiesznie nałożyła hełm, lecz splątane przewody sprawiły, że zaczerpnęła tchu i umarła: smutna śmierć, zadławienie własnymi wymiocinami. W ten sposób misja dryfującej kuli EX208 dobiegła końca. Do powrotu na Ziemię brakowało zaledwie miesiąca.

Nie byliśmy w stanie zapobiec śmierci trojga Ziemian, wysłaliśmy jednak robota, by sprawdził, czy któregoś z nich nie da się przywrócić do życia. Ziemianie nie lubią nas, lecz w tym wypadku ich kula znajdowała się w pobliżu. W sytuacjach awaryjnych, takich jak ta, wszystkich mieszkańców Galaktyki obowiązują te same zasady. Nie mieliśmy ochoty pomagać Ziemianom, mimo to jednak byliśmy posłuszni regułom.

Wymagały one przeprowadzenie próby ożywienia martwych techników; zdaliśmy się jednak na robota i tu przypuszczalnie leży nasz błąd. Ponadto naszym obowiązkiem było powiadomienie o tragedii najbliższego statku ziemskiego, ale zdecydowaliśmy się tego nie robić. Nie będę bronił ani analizował motywów, które nami wówczas kierowały.

Robot zasygnalizował brak jakichkolwiek funkcji mózgowych u dwóch mężczyzn; stwierdził też, że ich tkanka nerwowa uległa nieodwracalnemu zniszczeniu. Co do Agnety Rautavaary, wyczuł u niej słabą pracę fal mózgowych, dzięki czemu w jej przypadku mógł przystąpić do próby ożywienia. Jednakże z uwagi na niemożność samodzielnego podjęcia decyzji, zasięgnął naszej opinii. Poleciliśmy mu spróbować. Ciężar winy spoczywa zatem na nas. Gdybyśmy sami udali się na miejsce, wiedzielibyśmy lepiej. Przyznajemy się do błędu.

Godzinę później robot powiadomił nas o częściowym przywróceniu Rautavaarze funkcji mózgowych dzięki dostarczeniu do mózgu bogatej w tlen krwi z jej martwego ciała. Tlen, lecz nie środki odżywcze, pochodził od robota. Kazaliśmy mu rozpocząć syntezę składników odżywczych przy użyciu ciała Rautavaary jako surowca. Oto kwestia, która wzbudziła później najwięcej kontrowersji wśród władz



ziemskich. Nie dysponowaliśmy jednak innym źródłem składników. Sami jesteśmy plazmą, nie mogliśmy więc zaoferować jej własnych ciał.

Kontrowersje wynikały z tego, że powinniśmy byli wykorzystać ciała martwych towarzyszy Rautavaary. Ale opierając się na raporcie robota, przedstawiliśmy dowody, że pozostałe ciała były zbyt skażone promieniowaniem i stąd toksyczne dla Rautavaary; pochodzące z nich składniki odżywcze wkrótce zatrułyby jej mózg. Jeżeli nie przyjmujecie toku naszego rozumowania, nie ma to dla nas żadnego znaczenia; wynikł on z naszego widzenia sytuacji. Dlatego właśnie twierdzę, że nasza rzeczywista wina tkwi w tym, że wysłaliśmy robota, zamiast sami udać się na miejsce katastrofy. Jeśli macie zamiar nas oskarżyć, oskarżcie nas o to.

Kazaliśmy robotowi podłączyć się do mózgu Rautavaary i przesłać nam jej myśli celem ustalenia stanu jej komórek nerwowych.

To, co ujrzeliśmy, napawało optymizmem. Wtedy postanowiliśmy powiadomić władze ziemskie. Poinformowaliśmy o wypadku, który zniszczył EX208; powiedzieliśmy również, że dwaj technicy ponieśli nieodwracalną śmierć, kobieta zaś, dzięki naszej sprawnej interwencji, wykazuje stałą aktywność mózgową, czyli, innymi słowy, jej mózg żyje.

- Jej co? - zapytał ziemski operator radiowy w odpowiedzi na naszą wiadomość.

- Dostarczamy mu składników pochodzących z jej ciała...

- Chryste - odrzekł operator radiowy. - Nie możecie w ten sposób odżywiać jej mózgu. Jaki z niego pożytek? *Z qua* mózgu?

- Może myśleć - odpowiedzieliśmy.

- Dobrze, przejmujemy kulę - skwitował ziemski operator radiowy. Nie obejdzie się jednak bez śledztwa.

- Czy ocalenie jej mózgu było błędem? - zapytaliśmy. - Ostatecznie psyche, osobowość mieści się w mózgu. Ciało to mechanizm, dzięki któremu mózg...

- Podajcie mi położenie EX208 ••• przerwał operator. - Natychmiast wyślemy tam statek. Powinniście byli powiadomić nas przed podjęciem wysiłków reanimacyjnych. Wy, Aproksymaty, zwyczajnie nie jesteście w stanie zrozumieć somatycznych form życia.

Określenie „Aproksymaty” jest dla nas obraźliwe. To ziemska obelga nawiązująca do naszego pochodzenia z Układu Proximy Centauri. Sugeruje, że nie jesteśmy autentyczni, że jedynie udajemy istoty żywe.

Oto wdzięczność za nasz udział w sprawie Rautavaary. Szyderstwo. Zgodnie z zapowiedzią operatora przeprowadzono śledztwo.

W głębi swego uszkodzonego mózgu Agneta Rautavaara poczuła kwaśny smak wymiocin i wzdrygnęła się z lęku i obrzydzenia. EX208 była zniszczona. Widziała Trávisa i Elmsa; ich ciała zostały poszarpane na kawałki i krew zamarzła. Wnętrze kuli pokrywał lód. Nie było czym oddychać... co utrzymuje mnie przy życiu? - zastanawiała się. Podniosła ręce i dotknęła swojej twarzy - czy też raczej próbowała jej dotknąć. Mój hełm, pomyślała. Włożyłam go na czas.

Pokrywający wszystko lód zaczął się topić. Oderwane kończyny jej towarzyszy na powrót połączyły się z ich ciałami. Leżące w kuli okruchy bazaltu cofnęły się i odleciały.

Czas biegnie do tyłu, uświadomiła sobie Agneta. Jakie to dziwne!

Kulę wypełniło powietrze; usłyszała głuchy ryk urządzeń pomiarowych. Następnie powoli zrobiło się ciepło. Travis i Elms chwiejnie dźwignęli się z podłogi. W oszołomieniu rozglądali się wokół. Rozśmieszyło ją to, lecz sytuacja była zbyt poważna. Najwyraźniej siła uderzenia spowodowała miejscowe perturbacje czasowe.

- Usiądźcie - powiedziała.

- Dobrze... masz rację - rzucił szorstko Travis. Usiadł przy konsolce i wcisnął guzik, który bezpiecznie przypiął go pasami do fotela. Elms nie ruszył się z miejsca.

- Zostaliśmy uderzeni przez dość duże odłamki - powiedziała Agneta.

- Tak - potwierdził Elms.

- Wystarczająco duże i o dostatecznej sile, by zakłócić bieg czasu dodała Agneta. - Cofnęliśmy się do momentu poprzedzającego katastrofę.

- Częściową odpowiedzialność ponoszą za to pola magnetyczne uznał Travis. Potarł oczy; trzęsły mu się ręce. - Zdejmij hełm, Agneta. Nie jest ci potrzebny.

- Zaraz nastąpi uderzenie - odparła.

Mężczyźni popatrzyli na nią.

- Katastrofa się powtórzy - dodała.

- Cholera - rzucił Travis. - Wyprowadzę stąd EX. - Wdusił kilka przycisków na konsolce. - Nie trafią nas.

Agneta zdjęła hełm. Zrzuciła buty, podniosła je... i ujrzała Postać. Postać stała za ich plecami. Był to Chrystus.

- Spójrzcie - powiedziała do Trávisa i Elmsa. Mężczyźni spojrzeli we wskazanym kierunku.

Długowłosa Postać miała na sobie tradycyjną białą szatę i sandały; Jej bladą twarz spowijało coś na kształt księżycowej poświaty. Brodata twarz tchnęła mądrością i spokojem. Zupełnie jak na kościelnych obrazach, stwierdziła w duchu Agneta. Brodaty, w białej szacie, z lekko uniesionymi ramionami. Nawet ma aureolę. To dziwne, jak nasze przypuszczenia pokrywają się z rzeczywistością.

- Boże - wydusił Travis. Wszyscy troje wytrzeszczyli oczy. - Przyszedł po nas.

- Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko temu - oświadczył Elms.

- Jasne, że nie - odparł gorzko Travis. - Nie masz żony i dzieci. A Agneta? Ma dopiero trzysta lat; to dzieciak.

- Jestem winoroślą, wy gałęziami - powiedział Chrystus. - Ktokolwiek pozostaje we mnie, w kimkolwiek pozostają ja, płodzi obfity owoc; dla tych, co ode mnie odchodzą, nie ma ratunku.

- Zmieniamy położenie - oznajmił Travis.

- Dzieci - powiedział Chrystus. - Nie pozostanę długo z wami.

- To dobrze - odparł Travis. EX mknęła z kierunku osi Syriusza; na mapie gwiazdnej zapanował chaos.

- A niech cię, Travis - rzucił ze złością Elms. - To wielka szansa. Ilu ludzi tak naprawdę widziało Jezusa? To jest Jezus. Jesteś Jezusem, prawda? -zapytał Postaci.

- Jestem Drogą, Prawdą i Życiem - rzekł Chrystus. - Nikt beze mnie nie pójdzie do Boga. Jeśli znacie mnie, znacie mojego Ojca. Od tej pory znacie Go i widzieliście.

- No właśnie - zawołał uszczęśliwiony Elms. - Widzisz? Chcę, żeby wiedział, jak bardzo się cieszę. Panie... - Urwał. - Chciałem powiedzieć, Panie Jezu, Jakie to głupie; to naprawdę głupie. Jezu, Panie Jezu, zechce Pan usiąść? Proszę usiąść przy mojej konsolce albo na miejscu pani Rautavaary. Prawda, Agneta? To Walter Travis; nie jest chrześcijaninem, aleja tak. Byłem chrześcijaninem przez całe życie. Cóż, przynajmniej przez jego większość. Nie jestem pewien co do pani Rautavaary. Co powiesz, Agneto?

- Przestać gadać głupoty, Elms - powiedział Travis.

- Osądzi nas - odparł Elms.

- Jeśli ktoś słucha mych słów, ale nie postępuje zgodnie z ich przesłaniem, nie ja go ukarzę, gdyż przybyłem nie po to, aby karać świat, lecz aby go zbawić; kto

odrzuca mnie i wątpi w moje słowa, już został osądzony.

- Właśnie - potwierdził Elms, kiwając głową. Agneta z przestachem zwróciła się do Postaci.

- Bądź dla nas łaskawy. Wszyscy troje przeżyliśmy ciężki uraz. - Naraz przyszło jej do głowy, czy aby Travis i Elms pamiętali o tym, że zostali zabici i że ich ciała uległy zniszczeniu.

Postać uśmiechnęła się, jak gdyby chcąc dodać jej otuchy.

- Travis - powiedziała Agneta, pochylając się do siedzącego przy konsolcie mężczyzny. - Masz mnie wysłuchać. Ani ty, ani Elms nie przeżyliście wypadku. Dlatego tu przybył. Jestem jedyną, która... - Zawahała się.

- Przeżyła - dokończył Elms. - Zginęliśmy i On po nas przyszedł. Zwrócił się do Postaci. - Jestem gotów, Panie. Zabierz mnie.

- Zabierz ich oboje - uzupełnił Travis. - Ja wezwę pomoc przez radio. I powiem im, co tu się dzieje. Zanim mnie zabierze albo spróbuje zabrać, przedstawię dokładny raport.

- Nie żyjesz - poinformował go Elms.

- Mimo to mogę złożyć sprawozdanie - oznajmił Travis, lecz na jego twarzy odmalowała się rozpacz i rezygnacja.

- Daj Travisowi trochę czasu - powiedziała do Postaci Agneta. - Jeszcze nie w pełni zrozumiał. Lecz Ty pewnie o tym wiesz; wiesz przecież wszystko.

Postać skinęła głową.

Wraz z Ziemią Komisją Śledczą obserwowaliśmy obrazy w mózgu Rautavaary i zrozumieliśmy, co się dzieje. Niemniej jednak nasze poglądy na sprawę były sprzeczne. Podczas gdy sześciu Ziemiaków uznało sytuację za zgubną, my uważaliśmy, że to niepowtarzalna okazja - zarówno dla Agnety Rautavaary, jak i dla nas. Dzięki uszkodzonemu mózgowi kobiety, przywróconemu do życia nieprzemyślanym działaniem robota, weszliśmy w kontakt z tamtym światem oraz siłami, które nim władały.

Punkt widzenia Ziemiaków niemiłe nas zaskoczył.

- Ona ma halucynacje - oznajmił ich rzecznik. - Żadne bodźce zmysłowe nie mają do niej dostępu. Jej ciało jest martwe. Zobaczcie, co jej zrobiliście.

Zwróciliśmy ich uwagę na fakt, że Agneta Rautavaara jest szczęśliwa.

- Nie pozostaje nam nic innego - oświadczył rzecznik - jak zatrzymać pracę

mózgu.

- I odciąć nam dostęp do tamtego świata? - zaproponowaliśmy. - To niepowtarzalna okazja, aby obserwować życie po śmierci. Mózg Agnety

Rautavaary jest naszym oknem. To kwestia punktu odniesienia. Korzyści naukowe przeważają nad względami humanitarnymi.

Oto stanowisko, jakie zajęliśmy podczas śledztwa. Odrzuciliśmy własną korzyść na rzecz szczerości.

Ziemiańscy postanowili podtrzymać pracę mózgu Rautavaary i monitorować ją za pomocą sprzętu audio i wideo, przy jednoczesnej rejestracji przekazu; w tym czasie oskarżenie przeciwko nam zostało zawieszono.

Osobiście jestem zafascynowany ziemską ideą Zbawcy. Była to dla nas antyczna i oryginalna koncepcja; nie z powodu swej antropomorficznej natury, lecz z uwagi na fakt, że zawierała w sobie element pośmiertnego orzekania winy, które czekało każdą duszę. Punktowaniem dobrych i złych uczynków zajmowała się specjalna komisja: istniał rodzaj transcendentalnej karty ocen używanej do szacowania postępów dzieci.

Na tym - według nas ~ polegała prymitywna koncepcja Zbawcy i kiedy tak obserwowałem zmiany zachodzące w umyśle Rautavaary z punktu widzenia istoty wielomózgowej, zastanawiałem się, jak wyglądałaby reakcja Agnety na Zbawcę Przewodnika Duszy zgodnie z naszymi przewidywaniami. Ostatecznie pracę jej mózgu podtrzymywał nasz sprzęt, sprowadzony na miejsce katastrofy przez naszego robota. Odłączenie go niosłoby ze sobą nadmierne ryzyko, uszkodzenie mózgu było zbyt zaawansowane. Cały aparat, wraz z mózgiem kobiety, został przeniesiony na teren śledztwa, neutralny łuk umiejscowiony pomiędzy Układem Proximy i Układem Słonecznym. Później, w poufnej rozmowie z towarzyszami zaproponowałem, abyśmy przeprowadzili próbę włączenia naszej koncepcji pośmiertnego Przewodnika Duszy do sztucznie podtrzymywanego mózgu Rautavaary. Uzasadniłem to możliwością zaobserwowania jej reakcji.

Moi towarzysze natychmiast wytknęli mi sprzeczności w rozumowaniu. Wcześniej utrzymywałem, że mózg Rautavaary stanowił dla nas okno na tamten świat, co usprawiedliwiałoby nasze działanie. Teraz natomiast twierdziłem, że to, czego doświadczała, nie stanowiło nic poza odbiciem wykształconych za życia przewidywań.

- Prawdą jest i jedno, i drugie - upierałem się. - Z jednej strony mamy do

czynienia z oknem na tamten świat, z drugiej zaś jest to obraz kulturowych i rasowych tendencji.

Jednym słowem, mieliśmy przed sobą model, do którego mogliśmy wprowadzić starannie wyselekcjonowane zmienne. Mogliśmy zastosować w mózgu Rautavaary własną koncepcję Przewodnika Duszy i w praktyce ustalić różnicę pomiędzy naszą interpretacją a dziecinadą Ziemian.

Nadarzyła się okazja, aby przetestować naszą teologię. Wychodziliśmy z założenia, że teologia Ziemian została poddana wyczerpującej analizie, która ujawniła jej niedokładność.

Jako że sami kontrolowaliśmy prace urządzenia podtrzymującego, postanowiliśmy wykonać zamierzony cel. Interesowało nas to bardziej niż wyniki śledztwa. Wina to pojęcie kulturowe, jej zasięg nie wykracza poza granice gatunku.

Przypuszczam, że Ziemianie mogli uznać nasze intencje za złośliwe. Stanowczo temu zaprzeczam; zaprzeczamy. Nazwijmy to grą. Konfrontacja Rautavaary z naszym Zbawcą stanie się dla nas źródłem estetycznej rozrywki.

Postać uniosła rękę, zwracając się do Trávisa, Elmsa i Agnety.

- Jestem Zbawieniem. Gdy ktoś we mnie wierzy, choćby umarł, będzie żył, ten zaś, kto żyje i we mnie wierzy, będzie żył na wieki. Wierzycie w moje słowa?

- Ja tak - odparł żarliwie Elms.

- Bzdura - skwitował Travis.

Sama nie wiem, pomyślała Agneta. Nie jestem pewna.

- Mamy dokonać wyboru - powiedział Elms. - Musimy zdecydować, czy z Nim pójdziemy. Travis, jesteś skończony. Siedź tu i gnij, oto twój los. - Popatrzył na Agnetę. - Mam nadzieję, że wybierzesz Chrystusa, Agneto. Chcę, żebyś posiadała życie wieczne, tak jak ja. Prawda, Panie? - zapytał Postaci.

Postać skinęła głową.

- Travis, wydaje mi się... - zaczęła Agneta. - Myślę, że powinieneś się zgodzić. Ja... - Nie chciała jednoznacznie dawać mu do zrozumienia, że nie żył. Musiał jednak zrozumieć sytuację, inaczej bowiem, tak jak powiedział Elms, jego los był przesądzony. - Chodź z nami - ponagliła.

- A więc ty też idziesz? - zapytał gorzko Travis.

- Tak - odparła.

- Może się myłę - powiedział ściszym głosem Elms, patrząc na Postać. - Ale

On chyba się zmienia.

Agneta przeniosła wzrok na Postać, lecz nie dostrzegła żadnej zmiany. Elms mimo to nie krył przerażenia.

Postać podeszła powoli do siedzącego Trávisa. Stała obok niego, znieruchomiła na chwilę, po czym pochyliwszy się, ugryzła go w twarz.

Agneta krzyknęła. Elms wytrzeszczył oczy, a Travis rzucił się na swoim miejscu. Postać pożarła go.

- Sami widzicie - powiedział rzecznik Komisji Śledczej. - Należy przerwać pracę mózgu. Uszkodzenie jest znaczne; ona nie może tego znieść. Trzeba położyć temu kres.

- Nie - odrzekłem. - My z Układu Proximy uważamy zmianę biegu wydarzeń za interesującą.

- Ale przecież Zbawca pożarł Trávisa! - wykrzyknął inny Ziemianin.

- Czy w waszej religii nie spożywacie ciała swego Boga i nie pijecie Jego krwi? - zapytałem. - To, co zobaczyliśmy, było lustrzanym odbiciem Eucharystii.

- Rozkazuję natychmiast przerwać pracę mózgu! - powiedział rzecznik Komisji. Pobladł na twarzy, na czoło wystąpiły mu krople potu.

- Nim to zrobimy, powinniśmy zobaczyć więcej - odparłem. Zobrazowanie naszego sakramentu, najwyższego sakramentu, podczas którego nasz Zbawca spożywa nas, swych czcicieli, było fascynujące.

- Agneta - szepnął Elms. - Widziałaś? Chrystus zjadł Trávisa. Nie zostało nic prócz jego rękawic i butów.

Boże, pomyślała Agneta. Co tu się dzieje?

Instynktownie odsunęła się od Postaci i podeszła do Elmsa.

- On jest moją krwią - powiedziała Postać, oblizując się. - Piję jego krew, krew wiecznego życia. Będę żył na wieki. On jest moim ciałem. Nie mam własnego ciała, jestem jedynie plazmą. Spożywając jego ciało, otrzymuję życie wieczne. Ogłaszam nową prawdę, jestem wieczny.

- Nas też ma zamiar pożreć - powiedział Elms.

Tak, odparła w duchu Agneta. Zrobi to. Zobaczyła, że Postać była Aproksymatem. To forma życia pochodząca z Proximy, stwierdziła. On ma rację, nie posiada własnego ciała. Jedynym sposobem na jego uzyskanie...

- Zabiję go - oświadczył Elms. Zerwał ze ściany awaryjny karabin laserowy i wycelował w Postać.

- Ojciec, godzina wybiła - powiedziała Postać.

- Nie podchodź - ostrzegł Elms.

- Niedługo stanę się dla was niewidzialny - ciągnęła Postać. - Chyba że wypiję waszą krew i spożyję wasze ciała. Cieszcie się, że dzięki temu będę żył. - Postać postąpiła ku Elmsowi.

Elms wystrzelił. Postać zachwiała się, brocząc krwią. To krew Trávisa, uświadomiła sobie Agneta. W nim. Nie jego własna krew. To straszne; przerażona, zasłoniła sobie oczy.

- Szybciej - powiedziała do Elmsa. - Powiedz: „Nie jestem winien krwi tego człowieka”. Powiedz, zanim będzie za późno.

- Nie jestem winien krwi tego człowieka - powtórzył Elms.

Postać upadła. Krwawiąc, leżała w agonii. Nie był to już brodaty mężczyzna. Było to coś innego, Agneta Rautavaara nie wiedziała jednak, co. Powiedział:

- *Eli, Eli, lama sabachtani?*

Gdy oboje zwrócili na niego wzrok, wyzionął ducha.

- Zabiłem go - powiedział Kimś. Zabiłem Chrystusa. - Wycelował karabin w siebie i sięgnął do spustu.

- To nie był Chrystus - odrzekła Agneta. - To było coś innego. Zupełnie przeciwnego. - Odebrała mu broń.

Elms płakał.

Ziemianie z Komisji Śledczej większością głosów przegłosowali zatrzymanie pracy mózgu Rautavaary. Z rozczarowaniem przyjęliśmy werdykt, ale nie było innej rady.

Byliśmy świadkami początku absolutnie niezwykłego eksperymentu naukowego: teologia jednego gatunku została przetransponowana na teologię drugiego. Przerwanie aktywności mózgu Ziemianki z naukowego punktu widzenia było tragedią. Na przykład, pod względem stosunku do Boga Ziemianie przyjmowali punkt widzenia diametralnie odmienny od naszego. Należy to naturalnie przypisać faktowi, że należą oni do rasy somatycznej, podczas gdy my jesteśmy plazmą. Oni piją krew swojego Boga, spożywają jego ciało i dzięki temu zyskują nieśmiertelność. Nie ma w tym dla nich nic dziwnego. Uważają to za całkowicie naturalne.



Tymczasem dla nas to obrzydliwe. Czciiciel spożywający i pijący swego Boga? Straszne, naprawdę straszne. Zgroza i wstyd - istne bluźnierstwo. Istota niższa zawsze powinna padać ofiarą wyższej; to Bóg powinien spożywać wiernych.

Przerywając pracę mózgu, zamknęto sprawę Rautavaary. Obraz znikł z monitorów. Nasze rozczarowanie spotęgował dodatkowo fakt, że Ziemianie postanowili ukarać nas za przeprowadzenie akcji ratowniczej.

Przepaść dzieląca gatunki zamieszkujące dwa różne układy gwiazdne jest zdumiewająca. Próbowaliśmy zrozumieć Ziemian i ponieśliśmy klęskę. Jesteśmy również świadomi tego, że oni nie rozumieją nas, niektóre spośród naszych zwyczajów budzą w nich strach i zdziwienie, co wyszło na jaw podczas sprawy Rautavaary. Czyż jednak nie wypełniliśmy postulatów obiektywnego badania naukowego? Mnie samego zaskoczyła reakcja Rautavaary na widok Zbawiciela pożerającego pana Trávisa. Szkoda, że nie dane nam było ujrzeć dopełnienia sakramentów.

Pozbawiono nas tego. Z naszego punktu widzenia eksperyment się nie powiódł.

My zaś żyjemy z brzemieniem niezasłużonej winy.

## OBCY UMYSŁ

Pogrążony we śnie w głębi komory sypialnej usłyszał szmer. - Pięć minut - zabrzmiał głos. - Dobrze - mruknął rozespany. Miał pięć minut do naprowadzenia statku na właściwy kurs; automatyczny pilot musiał nawalić. Z jego winy? Raczej nie, on nigdy nie popełniał błędów. Jason Bedford i błędy? Jeszcze czego. Gdy chwiejnie podązał w stronę steru, zobaczył, że Norman, którego wysłano, aby umiłał mu czas, również nie śpi. Kot zataczał w powietrzu kręgi w pogoni za dryfującym piórem, które z jakichś powodów się tam znalazło. Dziwne, pomyślał Bedford.

- Myślałem, że i ty zasnąłeś. - Zerknął na położenie statku. Niemożliwe! Zboczyli o pięć parseków w stronę Syriusza. Oznaczało to dodatkowy tydzień podróży. Tłumiąc złość, ustawił właściwy kurs i wysłał sygnał ostrzegawczy na Meknos III, miejsce przeznaczenia.

- Kłopoty? - zapytał lokalny operator. Jego zimny głos tchnął monotonią, która niezmiennie przywodziła Bedfordowi na myśl węże.

Wyjaśnił sytuację.

- Potrzebujemy tej szczepionki - odparł operator. - Spróbuj trzymać się kursu.

Kot Norman podpłynął majestatycznie do steru i wyciągnawszy łapę, machnął nią na chybił trafił; dwa wciśnięte guziki przyczyniły się do natychmiastowej zmiany kursu.

- A więc to twoja sprawka - powiedział Bedford. - Skompromitowałeś mnie w oczach obcego. Wyszedłem na idiotę. - Chwytał kota i mocno ścisnął.

- Co to za dziwny dźwięk? - zapytał operator. - Jakby płacz.

- Nie ma nad czym płakać - odparł spokojnie Bedford. - Zapomnij, że go słyszałeś. - Wyłączył radio, zaniósł ciało kota do zsypu i wyrzucił je.

Chwilę później wrócił do komory sypialnej i położył się. Tym razem nikt nie będzie manipulował przy sterze. Spokojnie zasnął.

Gdy jego statek wylądował na Meknos III, starszy członek obcej ekipy medycznej powitał go osobliwą prośbą.

- Chcielibyśmy zobaczyć pańskiego zwierzaka.

- Nie mam żadnego zwierzaka - odparł Bedford. Mówił prawdę.

- Zgodnie z wypełnionym przed lotem formularzem...

- To nie wasza sprawa - uciał Bedford. - Macie swoją szczepionkę, muszę wracać.

- Bezpieczeństwo jakichkolwiek form życia to nasza sprawa- odrzekł medyk. - Obejrzymy pański statek.

- W poszukiwaniu kota, który nie istnieje - zakpił Bedford.

Poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów. Bedford niecierpliwie patrzył, jak obcy skrzętnie zagląдают w każdy zakątek statku. Niestety natknęli się na dziesięć worków suchej karmy dla kotów. Wywiązała się między nimi żarliwa dyskusja, którą prowadzili we własnym języku.

- Czy mam pozwolenie na powrót na Ziemię? - zapytał ostro Bedford. - Mój harmonogram jest dość surowy. - To, o czym mówili między sobą, nie miało dlań żadnego znaczenia, życzył sobie jedynie, aby móc wrócić do komory sypialnej i iść spać.

- Musi pan poddać się procedurze odkażania kategorii A - oznajmił starszy oficer medyczny. - Aby żaden wirus lub zarodnik...

- Wiem - przerwał mu Bedford. - Zróbmy to jak najszybciej.

Gdy z powrotem znalazł się na statku, otrzymał wiadomość. Był to któryś z obcych; dla Bedforda wszyscy oni wyglądali tak samo.

- Jak miał na imię kot? - zapytał Meknosjanin.

- Norman - odpowiedział Bedford i wcisnął guzik. Gdy statek poderwał się w górę, mężczyzna się uśmiechnął.

Nie miał jednak ochoty do śmiechu, gdy stwierdził, że zniknęło zasilanie komory sypialnej. Nie było mu również wesoło, kiedy nie mógł znaleźć jednostki zapasowej. Czyżbym zapomniał ją zabrać, pomyślał. Nie, uznał, nie zrobiłbym tego. Musieli ją ukraść.

Od powrotu na Terrę dzieliły go dwa lata. Dwa lata pełnej świadomości i braku snu; dwa lata siedzenia w jednym miejscu, dryfowania lub -jak widział na filmach podczas kursu - obłądu.

Nadał prośbę o pozwolenie na powrót do Meknos III. Bez rezultatu. Można się było spodziewać.

Usiadł przy sterze, włączył mały, pokładowy komputer i powiedział:

- Moja komora sypialna nie działa, została rozmyślnie uszkodzona. Co mam robić przez najbliższe dwa lata?

## TAŚMY AWARYJNEJ ROZRYWKI

- No tak - odparł. W końcu by sobie o nich przypomniał. - Dziękuję. - Wcisnął odpowiedni guzik i otworzyły się drzwi schowka z kasetami.

Tyle że kaset w nich nie było. W środku widniała jedynie kocia zabawka - miniaturowy worek treningowy - którą włożono dla Normana, jakoś nie miał okazji mu jej dać. Półki świeciły pustkami.

Obcy umysł, pomyślał Bedford. Tajemniczy i okrutny.

Nastawił automatycznego pilota.

- W ciągu najbliższych dwóch lat popadnę w całodzienną rutynę - powiedział spokojnie i z przekonaniem. - Przede wszystkim posiłki. Poświęcę jak najwięcej czasu na planowanie, gotowanie, jedzenie i rozkoszowanie się pysznościami. Wypróbuję wszelkie możliwe zestawy. - Chwiejnie wstał z miejsca i dotarł do ogromnego schowka z prowiantem.

Stojąc przed półkami ciasno wypełnionymi rzędami identycznych opakowań, pomyślał: Jednak niewiele można zdziałać z dwuletnim zapasem kocij karmy. Przynajmniej pod względem różnorodności. Czy wszystkie są w tym samym smaku?

Jego podejrzenia okazały się słuszne.

## UWAGI

Wszystkie notki kursywą pochodzą od Philipa K. Dicka. Rok powstania danej notki podany jest w nawiasach na jej końcu.. W większości zostały napisane z myślą o zbiorach opowiadań „The Best of Philip K. Dick” (1977) oraz „The Golden Mań” (1980), kilka powstało na zamówienie wydawców drukujących lub przedrukowujących jakieś opowiadanie w czasopiśmie lub antologii książkowej.

Jeżeli po tytule opowiadania występuje data, jest to data otrzymania maszynopisu przez agenta Dicka, ustalona na podstawie zawartości archiwów Scott Meredith Literary Agency. Brak daty oznacza, że nie udało się jej ustalić. Nazwa czasopisma poprzedzająca miesiąc i rok wskazuje, kiedy dane opowiadanie po raz pierwszy ukazało się drukiem. Drugi tytuł jest oryginalnym tytułem wymyślonym przez Dicka, odnalezionym w dokumentach agencji.

W tych pięciu tomach zawarto wszystkie krótkie utwory prozatorskie Philipa K. Dicka, z wyjątkiem mikropowieści (które później ukazały się jako samodzielne książki albo weszły w skład obszerniejszych powieści), próbek literackich z okresu dzieciństwa i wczesnej młodości, a także nigdy nieopublikowanych utworów, których maszynopisów nie udało się odnaleźć. Opowiadania uszeregowano w porządku chronologicznym, ustalonym przez Gregga Rickmana i Paula Williama.

*MAŁA, CZARNA SKRZYŃKA („The Little Black Box”, „From Ordinary Household Objects”) 5/6/63. „Worlds of Tomorrow”, sierpień 1964.*

*Wykorzystałem to opowiadanie, pisząc „ Czy androidy śnią o elektrycznych owcach? „. Uważam, że pomysł został lepiej przedstawiony w opowiadaniu. Tutaj religia postrzegana jest jako zagrożenie dla wszystkich systemów politycznych, przez co sama przybiera formę, być może skrajną, takiego systemu. Pojęcie „caritas” (lub „agape”) przewija się w moich utworach jako klucz do tego, co prawdziwie człowiecze. Android, który jest „nieprawdziwie „ człowieczym, zaledwie odbiciem tego, co ludzkie, nie potrafi doświadczyć empatii. W opowiadaniu nie jest wyjaśnione, czy Mercer jest intruzem z obcego świata. Ale chyba tak; w pewnym sensie wszyscy przywódcy religijni nimi są... choć może nie należy tego rozumieć dosłownie. (1978)*

*WOJNA Z FNOOLAMI („The War with the Fnools”) „Galactic Outpost”,*

wiosna 1964.

Cóż, ponownie staliśmy się ofiarą inwazji. Co gorsza, inwazji absurdalnej formy życia. Mój kolega po piórze Tim Powers powiedział kiedyś, że Marsjanie mogliby opanować Ziemię, wkładając tylko na głowy śmieszne czapki, a my i tak byśmy się nie spostrzegli. Byłaby to swego rodzaju oszczędna inwazja. Chyba znajdujemy się na etapie, kiedy myśl o inwazji obcych budzi w nas rozbawienie. (Oni tylko czekają na tę chwilę). (1978)

*(NIE)SZCZĘŚLIWA LOTERIA („A Game of Unchance”) 12/9/63. „Amazing”, lipiec 1964.*

Jeden jarmark ma pecha. Pojawia się drugi i zostaje przeciwstawiony pierwszemu. Z góry zaplanowana antytetyczna interakcja kończy się tym, że zwycięstwo przypada temu pierwszemu. Zupełnie jakby nastąpiło starcie dwóch sił leżących u podstaw wszelkich zmian we wszechświecie: wygrywa tanatos, mroczna siła, yin lub konflikt, inaczej mówiąc, siła zniszczenia. (1978)

*ŚLAD PRZESZŁOŚCI („Precious Artifact”) 12/9/63. „Galaxy”, październik 1964.*

*To opowiadanie obrazuje na ogół stosowaną przeze mnie szczególną logikę, którą wskazała mi profesor Patricia Warrick. Najpierw mamy Y. Potem następuje cybernetyczny przekręt i otrzymujemy nul-Y. Wynikiem kolejnego odwrócenia jest nul-nul-Y. Pytanie brzmi: Czy nul-nul-Y równa się Y do sześcianu? Czy też stanowi pogłębienie nul-Y? W tym opowiadaniu pozornie chodzi o Y, dowiadujemy się jednak, że prawdą jest jego przeciwieństwo (nul-Y). Potem jednak okazuje się, że prawdą nie jest, czyżbyśmy zatem cofali się do Y? Profesor Warrick twierdzi, że moja logika prowadzi*

*do równania  $Y = \text{nul-Y}$ . Nie zgadzam się z tym, choć w gruncie rzeczy sam nie jestem pewien, co do czego prowadzi. Bez względu na to, wszystko zawarte jest w tym opowiadaniu. Czyli albo opracowałem zupełnie nową logikę, albo, hm, w mojej talii brakuje kart. (1978)*

*SYNDROM UCIECZKI („Retreat Syndrome”) 12/23/63. „Worlds of Tomorrow”, styczeń 1965.*

*TERRAŃSKA ODYSEJA („A Terran Odyssey”) 3/17/64. [wcześniej niepublikowane; ułożone przez PKD na podstawie fragmentów powieści „Dr. Bluthgeld”]*

*TWOJA WIZYTA PRZYPADA NA DZIEŃ POPRZEDNI („Your Appointment Will Be Yesterday”) 8/27/65 [Zamieszczone w zmodyfikowanej formie w powieści „Czas poza czasem”].*

*ŚWIĘTY SPÓR („Holy Quarrel”) 9/13/65. „Worlds of Tomorrow”, maj 1966.*

*WBREW POZOROM („Not by Its Cover”) 9/21/65. „Famous Science Fiction”, lato 1968.*

*Przedstawiłem tu swoje pobożne życzenie: oby Biblia mówiła prawdę. Musiałem wobec tego znajdować się na rozdrożu pomiędzy wiarą a zwątpieniem. Mimo upływu lat wciąż tkwię w tym samym punkcie: chciałbym, żeby to, co opisano w Biblii, było prawdą, ale... cóż, jeśli nie jest, możemy spróbować, by było. Niestety, wymaga to ogromnego wysiłku. (1978)*

*REWANŻ („Return Match”) 10/14/65. „Galaxy”, luty 1967.*

*Problem niebezpiecznych zabawek stanowi nieodłączny motyw wielu moich utworów. Wilk w owczej skórze... cóż może być bardziej niewinnego niż zabawka? To opowiadanie przypomina mi o zestawie wielkich głośników, które widziałem w ubiegłym tygodniu. Kosztowały sześć tysięcy dolarów i były większe od lodówki. Żartowaliśmy, że jeśli nie pójdziemy do sklepu RTV, żeby je obejrzeć, one przyjdą do nas. (1978)*

*WIARA NASZYCH OJCÓW („Faith of Our Fathers”) 1/17/66. „Dangerous Yisions”, wydane przez Harlana Ellisona, Garden City, 1967 [nominacja do nagrody Hugo].*

*Tytuł pochodzi ze starej pieśni. Myślę, że tym opowiadaniem udało mi się obrazić wszystkich. Najpierw sądziłem, że to doskonała okazja, a potem żałowałem. Komunizm, narkotyki, seks, Bóg - złożyłem to wszystko do kupy i kiedy wiele lat później dach zwałił mi się na głowę, to opowiadanie miało w tym chyba swój złowrogi udział. (1976)*

Nie popieram żadnej z koncepcji zawartych w „Wierze naszych ojców „. Nie twierdzę, na przykład, że państwa z Żelaznej Kurtyny wygrają zimną wojnę - bądź też że moralnie im się to należy. Mimo to, na tle ostatnich eksperymentów ze środkami halucynogennymi, jeden z wątków wydaje mi się szczególnie godny uwagi: przeżycia religijne, o których opowiadało wiele osób biorących LSD. Według mnie stwarza to zupełnie nową granicę; otóż do pewnego stopnia można naukowo zbadać owe przeżycia... co więcej, można postrzegać je jako halucynacje z elementami rzeczywistości. Bóg jako temat literatury science fiction, o ile w ogóle się pojawiał, był traktowany polemicznie, tak jak w „ Out of the Silent Planet”. Ja jednak wolę traktować ten temat jako intelektualnie pobudzający. Co będzie, jeśli poprzez narkotyki psychodeliczne przeżycia religijne staną się chlebem powszednim intelektualistów? Dawny ateizm, który wielu z nas - łącznie ze mną - wydawał się właściwy na tle naszych doświadczeń, bądź ich braku, musiałby chwilowo zejść na dalszy plan. Science fiction, która zawsze wybiega myślą naprzód, musi w końcu zmierzyć się z koncepcją neomistycznego społeczeństwa przyszłości, gdzie teologia stanowi siłę równie potężną, jak w średniowieczu. Nie musi to wcale oznaczać kroku wstecz, ponieważ teraz przekonania można poddać próbie - po czym usankcjonować je lub wyeliminować. Ja osobiście nie mam żadnych przekonań związanych z Bogiem; wiem tylko, że On jest... to, rzecz jasna, stwierdzenie bardzo subiektywne, niemniej jednak istnienie duszy to również fakt. W opowiadaniu science fiction osobiste doznania zyskują szerszy wymiar; stają się własnością społeczną, stąd podlegają dyskusji. Ostatnie słowo na temat Boga prawdopodobnie już padło: wypowiedział je John Scotus Erigena A.D. 840 na dworze króla Franków Karola Łysego. „Nie wiemy, czym jest Bóg. Sam Bóg nie wie, czym jest, ponieważ nie jest czymś. Mówiąc prościej, Bóg nie jest, ponieważ wykracza poza byt”. Trudno przebić równie wymowne - i zen - mistyczne stwierdzenie wypowiedziane dawno temu. W porównaniu ze słowami Erigeny, ja sam podczas eksperymentów z narkotykami psychodelicznymi doznałem marnego objawienia. (1966)

*OPOWIADANIE NA PODSUMOWANIE WSZYSTKICH OPOWIADAŃ  
ANTOLOGII HARLANA ELLISONA „NIEBEZPIECZNE WIZJE” „Niekas”, jesień  
1968.*

*ELEKTRYCZNA MRÓWKA („The Electric Ant”) 12/4/68. „Fantasy &*



*Science Fiction*”, październik 1969.

I znowu dobrze znany motyw: W jakim stopniu to, co nazywamy „rzeczywistością”, naprawdę istnieje, przynajmniej w naszych głowach? Zakończenie tego opowiadania zawsze mnie przerażało... szum wiatru, odgłos pustki. Zupełnie jakby bohaterka słyszała złowróżbną przepowiednię dla samego świata. (1976)

*CADBURY, BÓBR, KTÓREMU ZABRAKŁO* („*Cadbury, the Beaver Who Lacked*”) napisane 12/71 [wcześniej niepublikowane].

*MAŁE CO NIECO DLA NAS, TEMPONAUTÓW* („*A Little Something for Us Temponauts*”) „*Final Stage*”, wydane przez Edwarda L. Fermana i Barry N. Malzberga, Nowy Jork, 1974.

W tym opowiadaniu czułem wielkie zmęczenie programem podboju przestrzeni kosmicznej, który od początku budził w nas żywe emocje - zwłaszcza pierwsze lądowanie na Księżycu - po czym został puszczony w niepamięć i na dobrą sprawę stał się zaszłością historyczną. Przyszło mi do głowy, że jeśli podróże w czasie również stałyby się „programem”, to czy spotkałby je ten sam los. Czy też istniała jeszcze gorsza możliwość ukryta w paradoksalnej naturze owych podróży? (1976)

*Esencją podróży w czasie jest swego rodzaju konfrontacja, w najlepszym razie podróżnika z samym sobą. Tak naprawdę jest to dramat, który daje duże pole do popisu twórcy, tyle że w opowiadaniach takich jak „Małe co nieco” chwila, kiedy człowiek staje twarzą w twarz ze sobą, stwarza alienację, o której nie może być mowy w żadnym innym gatunku literackim... alienację i -jak łatwo przewidzieć - brak zrozumienia. Addison Doug Pierwszy wie, że siedzi na skrzyni kryjącej ciało Addisona Douga Drugiego, wie, że stał się dwiema osobami -jest rozdarty w fizycznej schizofrenii. Jego umysł, zamiast stanowić całość, jest podzielony. Nie wie natomiast, jakie powinien wyciągnąć wnioski, zarówno dotyczące siebie, jak i drugiego Addisona Douga, który nie jest już w stanie ani myśleć, ani rozwiązywać problemów, tylko leży nieruchomy w ciemnościach. To zaledwie jeden z wielu paradoksów związanych z podróżą w czasie. Można by naiwnie pomyśleć, że podróż do przyszłości i z powrotem prowadzi raczej do wzbogacenia wiedzy niż jej utraty. Trzej temponauci przemieszczają się w czasie, wracają i wpadają w pułapkę paradoksów, największym jest ich zdziwienie własnymi poczynaniami. Zupełnie jakby zwiększony zakres*

*informacji uzyskanych dzięki tej zdobyczy technologicznej - informacji o tym, co się wydarzy - pogłębiał brak zrozumienia. Być może Addison Doug za dużo wie.*

*Pisząc to opowiadanie, czułem dotkliwą melancholię, tak jakbym bardziej niż zwykle zapadł się w przestrzeń (powinienem powiedzieć czas) zajmowaną przez moich bohaterów. Czułem daremność daremności - nie ma nic bardziej przygnębiającego niż silne poczucie klęski i pisząc, uświadomiłem sobie, że to, co dla nas stanowi problem natury czysto psychologicznej - nadświadomość prawdopodobieństwa porażki i jej zabójczy oddźwięk dla podróżnika w czasie stałoby się egzystencjalnym, fizycznym tunelem strachów. Gdy dopada nas depresja, na szczęście jesteśmy uwięzieni we własnych głowach; z chwilą gdy podróż w czasie stanie się faktem, ta autodestrukcyjna postawa psychologiczna mogłaby przybrać niewyobrażalną skalę. Tutaj ponownie science fiction pozwala autorowi ukazać osobisty problem w szerszym kontekście. Pisarz ukazuje go pod postacią społeczeństwa, planety, gdzie każdy tkwi w okowach tego, co niegdyś stanowiło odrębny umysł. Nie mam za złe czytelnikom, którzy tego nie lubią, ponieważ umysły niektórych z nas nie stanowią najprzyjemniejszych miejsc pobytu... z drugiej jednak strony jakież to cenne narzędzie: uchwycić to, co na ogół postrzegamy w nieco bądź też całkowicie odmienny sposób. Ponury światek Addisona Douga nagle rozrasta się i staje się światem wielu ludzi. W przeciwieństwie do czytelnika, który może skończyć i skończy lekturę opowiadania, a tym samym swój udział w świecie autora, bohaterowie utknęli na dobre. Trudno w tej chwili wyobrazić sobie podobną tyranię... lecz jeśli weźmiemy pod uwagę siłę przymusowego aparatu propagandowego współczesnego państwa (w przypadku państwa z przeciwnego obozu określamy to mianem „prania mózgu”), możemy zastanawiać się, czy nie jest to po prostu kwestia skali. Wprawdzie nasi wspaniali dzisiejsi wodzowie nie są w stanie uwięzić nas we własnych głowach za pomocą starych części do volkswagena, lecz przerażenie osaczonych bohaterów opowiadania może stanowić zwielokrotniony odpowiednik naszego własnego strachu.*

*Addison Doug wyraża chęć, by „nie ujrzeć więcej lata”. Wszyscy powinniśmy zaprotestować: nikt nie powinien - bez względu na motywy - narzucać nam swoich pragnień. Sami z własnej i nieprzymuszonej woli mamy prawo domagać się lata czy innej pory roku ile tylko dusza zapragnie, nawet w równie niedoskonałym świecie, w jakim żyjemy obecnie. (1973)*

PRZEDLUDZIE („The Pre-Persons”) 12/20/73. „Fantasy & Science Fiction”,

październik 1974.

Tym opowiadaniem wzbudziłem nienawiść Joanny Russ, która napisała do mnie najokropniejszy list, jaki kiedykolwiek przyszło mi otrzymać. W pewnym momencie posunęła się do stwierdzenia, że najchętniej obiłaby ludzi (nie użyła słowa „ludzie „), którzy wyrażają podobne opinie. Przyznaję, że to opowiadanie stanowi przykład swego rodzaju rzecznictwa i przykro mi, że obraziłem kogoś, kto nie podziela moich poglądów na aborcję na życzenie. Dostałem też kilka nieprzyjemnych anonimów, spośród których część pochodziła nie od jednostek, ale organizacji promujących aborcję na życzenie. Cóż, nie pierwszy raz wpakowałem się w tarapaty. Przepraszam was. Lecz przez wzgląd na przedludzi wcale nie jest mi przykro. Nie zmienię swojego stanowiska: Hier steh ich; ich kann nicht anders, jak podobno powiedział Marcin Luter. (1978)

OKO SYBILLI („The Eye of the Sybil”) 5/15/75 [wcześniej niepublikowane].

DZIEŃ, W KTÓRYM PAN KOMPUTER STRACIŁ ROZUM („The Day Mr. Computer Fell Out of Its Tree”) napisane latem 1977 roku [wcześniej niepublikowane].

DRZWI WYJŚCIOWE PROWADZĄ DO ŚRODKA („The Exit Door Leads In”) 6/21/79. „Rolling Stone College Papers”, jesień 1979.

W OKOWACH POWIETRZA, W PAJĘCZYNIE ETERU („Chains of Air, Web of Ether”, „The Man Who Knew How to Lose”) 7/9/79. „Stellar #5”, wydane przez Judy-Lynn del Rey, Nowy Jork, 1980. [Zawarte w powieści PKD „Boża Inwazja”].

DZIWNE WSPOMNIENIE ŚMIERCI („Strange Memories of Death”) 3/27/80. „Interzone”, lato 1984.

MAM NADZIEJĘ NA RYCHŁY PRZYJAZD („I Hope I Shall Arrive Soon”) 4/24/80. W grudniowym numerze „Playboya” pod tytułem „Mroźna podróż” [laureat nagrody Playboya].

SPRAWA RAUTAYAARY („Rautavaara's Case”) „Omni”, październik 1980.

OBCY UMYŚŁ („The Alien Mind”) „The Yuba City High Times”, luty 1981.

[Poniższy tekst ukazał się w zbiorze „The Best of Philip K. Dick” pod tytułem „Posłowie Autora”].

*Podstawowym założeniem dominującym w moich opowiadaniach jest myśl, że gdybym spotkał istotę pozaziemską (popularnie zwaną „ufoludkiem”), miałbym jej więcej dopowiedzenia niż sąsiadowi. Mieszkańcy mojego bloku chodzą do kiosku po gazetę i do skrzynki po listy, po czym odjeżdżają gdzieś samochodami. Nie mają żadnych pozadomowych nawyków prócz koszenia trawnika. Poszedłem kiedyś sprawdzić, na czym polegają ich nawyki domowe. Oglądali telewizję. Czy pisząc powieść s.f., można stworzyć opartą na podobnym przykładzie kulturę? Takie społeczeństwo na pewno nie istnieje, przynajmniej nie poza moją wyobraźnią. Poza tym wyobraźnia ma tu niewielki udział.*

*Sposobem na ucieczkę z samego ośrodka wyzutego z wyobraźni padoleu jest nawiązanie -fikcyjnego - kontaktu z cywilizacjami, które jeszcze nie miały szansy zaistnieć. Czytając s.f. robicie to samo co ja, pisząc ją; wasz sąsiad jest dla was równie obcą formą życia, jak mój dla mnie. Opowiadania w tym zbiorze stanowią próbę odbioru - wysłuchania głosów z odległego miejsca, głosów cichych acz niezmiernie istotnych. Dają się słyszeć jedynie późną nocą, gdy cichnie zgiełk naszego świata. Kiedy już wszystkie gazety zostały przeczytane, telewizory wyłączone, a samochody zaparkowane w garażach. Wówczas dochodzą do mnie głosy z innej gwiazdy. (Sprawdziłem na zegarku: odbiór jest najlepszy pomiędzy 3.00 a 4.45 nad ranem). Oczywiście, na ogólnie opowiadam o tym ludziom, którzy pytają: „Powiedz no, skąd bierzesz swoje pomysły?” „Po prostu mówię wtedy, że nie wiem. Tak jest bezpieczniej.*

*Zbierzmy więc te opowiadania i przyjmijmy, że są (po pierwsze) zniekształconymi wiadomościami zmieszanyymi z czystą wyobraźnią oraz (po drugie) alternatywą dla telewizyjnych reklam karmy dla psów. Obie możliwości wykraczają poza to, co znajduje się w zasięgu ręki. Obie sięgają najdalej, jak to tylko możliwe. Obie omiatają pustkę i wracają z następującym stwierdzeniem: że wszechświat jest pełen knujących, energicznych, zapracowanych istot pochłoniętych swoimi dążeniami, niepomnych na bliźnich, odseparowanych od najbliższych sąsiadów i -*

*przede wszystkim - zachodzących w głowę, z kim mają nawiązać kontakt, gdy wszystko inne zawiedzie. Zastanawiających się, kto żyje podobnie jak oni; myślących, być może, o nas.*

*Większość tych opowiadań powstała, kiedy moje życie było prostsze i sensowniejsze. Kiedy widziałem różnice pomiędzy światem prawdziwym a opisywanym przeze mnie. Kopalem wtedy w ogrodzie i wiem, że w chwastach nie ma nic niesamowitego bądź wielowymiarowego... chyba że jest się pisarzem s.f, który prędzej czy później odniesie się podejrzliwie i do chwastu. Na czym polegają jego rzeczywiste motywy? I, przede wszystkim, kto go tu przysłał?*

*Zawsze zadawałem sobie pytanie, czym to jest naprawdę? Tylko wygląda jak chwast. Im zależy na tym, abyśmy tak właśnie myśleli. Któregoś dnia rzuci chwastowe przebranie, ujawniając swą prawdziwą tożsamość. Wtedy jednak Pentagon zginie pod naporem chwastów i będzie za późno na ratunek. Chwast, czy też to, co uważamy za chwast, zacznie dyktować warunki. Moje wczesne opowiadania opierają się na tych założeniach. Później, kiedy moje życie osobiste uległo niejakim komplikacjom, niepokoje związane z chwastami gdzieś uleciały. Nauczyłem się, że najdotkliwszy ból nie przybywa z dalekiej planety, lecz w rodzi się w głębi serca. Oczywiście, może się zdarzyć i jedno, i drugie: żona odchodzi z dzieckiem i kiedy siedzisz sam w pustym domu bez chęci do życia, Marsjanie wpadają przez dach i dobierają ci się do skóry.*

*Co się tyczy znaczenia zawartych w tym zbiorze opowiadań, nie zacytuję zwykłego frazesu, że opowiadanie musi mówić samo za siebie, lecz ograniczę się do innego: nie mam pojęcia. To znaczy, rozumiem ich przesłanie, tak jak każdy czytelnik. Pewnego razu w związku z opowiadaniem „Niby-ojciec „, napisała do mnie cała klasa. Każdy dzieciak chciał wiedzieć, skąd zaczerpnąłem swój pomysł. To było łatwe, ponieważ historia zrodziła się z dzieciennych wspomnień o ojcu. Potem jednak, kiedy po raz kolejny czytałem odpowiedzi, zauważyłem, że nigdy dwukrotnie nie udzieliłem tego samego wyjaśnienia. Ze szczerym zamiarem powiedzenia prawdy każdemu dzieciakowi odpowiedziałem co innego. Chyba dzięki temu człowiek staje się pisarzem. Podaj mu sześć faktów, a on powiąże je ze sobą najpierw w jeden, potem w inny sposób i tak dalej, dopóki go nie przystopujesz.*

*Krytykę literacką pewnie powinniśmy zostawić krytykom, od tego są. Kiedyś przeczytałem w pewnej poważnej rozprawie krytycznej na temat s.f, że w mojej powieści „Człowiek z Wysokiego Zamku” szpilka, którą Juliana spinała bluzkę,*

*symbolizuje wszystko, co wiąże tematy, pomysły oraz wątki samej powieści - o czym nie miałem pojęcia, pisząc ten fragment. Lecz co by się stało gdyby Juliana, równie nieświadomie, wyjęła szpilkę? Czy powieść rozpadłaby się na kawałki? Czy też raczej rozpięłaby się pośrodku, ukazując bieliznę (o co głównie chodziło chłopakowi Juliany, kiedy upierał się przy noszeniu szpilki)? Zrobię, co w mojej mocy, aby „rozpiąć” te opowiadania.*

Wyższosc opowiadania nad powieścią polega na tym, że w tym pierwszym zastaje się bohatera w punkcie krytycznym j ego życia, w powieści zaś trzeba śledzić jego losy od chwili narodzin aż do (nie przymierzając) grobowej deski. Otwórzcie jakąś powieść na chybił trafił: na ogół to, co się dzieje, jest albo nudne, albo nieistotne. Te niedostatki można powetować jedynie stylem. Nie chodzi o to, co się dzieje, lecz jak to jest opowiedziane. Profesjonalny powieściopisarz szybko zdobywa umiejętność gładkiego opisywania wszystkiego i treść znika. W opowiadaniu coś takiego nie uszłoby mu na sucho. Coś musi się dziać. Myślę, że to dlatego uzdolnieni profesjonalni pisarze kończą, pisząc powieści. Jak tylko udoskonalą swój styl, idą na gotowe. Virginia Woolf, na przykład, skończyła, pisząc o niczym.

*Pamiętani, że w przypadku opowiadań, za każdym razem musiałem mieć pomysł. Musiała istnieć rzeczywista koncepcja: namacalny obiekt stanowiący oś opowiadania. Zawsze trzeba móc powiedzieć: „Czytałeś tę historię o... „ i umieć w kilku słowach ująć jej treść. Skoro esencją s.f. jest pomysł (jak utrzymuje doktor Willis McNelly), skoro naprawdę pomysł jest prawdziwym „bohaterem”, wobec tego opowiadanie s.f. pozostaje formą s.f. par excellence, podczas gdy powieść s.f. stanowi jej rozwinięcie. Większość moich własnych powieści to rozwinięcia wcześniejszych opowiadań, bądź też kilka opowiadań połączonych w jedno - nałożonych na siebie. Zarodek tkwi w opowiadaniu; w nim tak naprawdę kryje się prawdziwa esencja. Niektórych spośród moich najlepszych, najważniejszych pomysłów nigdy nie potrafiłem rozszerzyć w powieści. Pomimo wysiłków, istnieją tylko jako opowiadania. (1976)*